

SHIRLEY CONRAN
KORONKA

Przełożyła Zofia Kierszys

Moim synom Sebastianowi i Jasperowi z miłością

PRELUDIUM

Paryż, 1963 rok

Szurr... szurr... szurr... Zimny twardy metal wbijał się głęboko w ciało dziewczynki.

Wepchnęła knykcie do ust i wgrzyzała się w kości jak tylko mogła najmocniej, żeby ból zwalczyć bólem. Nie miała odwagi krzyczeć. Tylko mamrotała:

- Jezu, Jezu, Jezu - gryząc się w tę rękę.

Łzy spływały jej po policzkach na papierową poduszkę. Trzęsła się cała od zimnego potu. Zza okna dolatywały wesołe odgłosy ruchliwej paryskiej ulicy, ale w tym brązowym małym pokoju słyszała tylko skrobanie i swoje „Jezu”, i od czasu do czasu szcęknięcie stali o stal. A gdyby policzyć do dziesięciu i wrzasnąć? Chyba to już nie może wejść wyżej, to, co on tak w nią wbija? Jak sztylet nieustępliwy, zimny, bezlitosny. Zbierało jej się na wymioty, chciała zemdleć, chciała umrzeć. Nie do zniesienia, że to jeszcze, i jeszcze, i jeszcze...

Ten człowiek pochylał się, zaprzątnięty tym, co robił, a ona leżała na twardym stole, kolana miała podciągnięte wysoko i rozsunięte nogi w strzemionach chirurgicznych. To było straszne od chwili, gdy weszła do tego domu, do tego pokoju ciemnobrązowego z twardym wysokim stołem pośrodku. Na drugim stole zobaczyła leżące rzędem srebrzyste instrumenty i kilka misek o dziwnych kształtach; stało też łóżko polowe i parawan zasłaniał jeden kąt pokoju. Kobieta w białym fartuchu wskazała jej parawan i powiedziała: „Tam możesz się rozebrać”. Potem ona, naga, wstrząsana dreszczem, nie chciała wyjść z za chroniącego ją parawanu, ale ta kobieta wzięła ją energicznie za rękę i pociągnęła na środkowy stół. Położyła ją na plecach tak, że jej wąskie biodra oparły się o krawędź stołu, rozłożyła jej nogi i podniosła w te zimne strzemiona. Rozdygotane dziecko, w ostrym świetle lampy nad stołem, czuło się upokorzone bezgranicznie.

Nie tylko żadnego środka znieczulającego. Ten człowiek miał na sobie wymięty, morskozielony kitel chirurgiczny. Poleciał coś szeptem swojej asystentce i włożył dwa palce w pochwę dziewczynki. Przytrzymując szyjkę macicy, drugą rękę położył na jej brzuchu, żeby zbadać wielkość i położenie macicy. Nastąpiło tamponowanie antyseptykiem, po czym wepchnął zimny wziernik w kształcie kaczego dzioba, rozdzielający ścianki pochwy i pozwalający mu widzieć otwór szyjki. Wziernik nie kaleczył, ale ziębił, wydawał się groźbą w małym, dziecięcym ciele. Wsunęte zostały inne instrumenty, zaczął się ból, kiedy szyjkę otwierały powoli nierdzewne stalowe

rozszerzaczce, aż rozwarły ją dostatecznie, by można było zacząć zabieg. Ten człowiek wziął skrobaczkę - metalową pętlę na długim cienkim trzonku - i przystąpił do wydrążania. Skrobaczka poruszała się w macicy wyskrobując poczęte życie. Trwało to tylko dwie minuty, ale cierpiącej dziewczynce wydawało się nieskończoną męką.

Ten człowiek pracował szybko: od czasu do czasu mamrotał do kobiety, która mu pomagała. Chociaż był zahartowany, bardzo się starał nie patrzeć na twarz pacjentki. Gdy błyskawicznie ukończył zabieg i kolejno wyciągał zakrwawione stalowe instrumenty, sam widok jej małych stóp w strzemionach stanowił dostateczny wyrzut.

W miarę opróżniania macica stopniowo się zmniejszała do pierwotnych rozmiarów, ale dopóki to nie ustało, dziewczynką miotają bolesne skurcze.

Teraz kwiliła jak zwierzę, zachłystując się, ilekroć chwycił ją ból. Ten człowiek raptownie wyszedł z pokoju; kobieta wytarła ją tamponem ze środkiem antyseptycznym: zapach tego środka przesycił powietrze.

- Bądźże już cicho - syknęła kobieta. - Za pół godziny poczujesz się świetnie. Inne dziewczyny tak się ze sobą nie cackają. Powinnaś być wdzięczna za to, że on ma przeszkolenie jak prawdziwy doktor. Nic ci tam nie spała: wie, co robi, jest szybki. Nawet nie wiesz, jaka z ciebie szczęściara.

Pomogła jej, chudej trzynastoletniej dziewczynce, zejść ze stołu i położyć się na połowym łóżku w kącie. Dziewczynka z twarzą popielatą trzęsła się pod kocem niepoohamowanie.

Kobieta dała jej tabletki do połknięcia, usiadła i zajęła się czytaniem romansu w papierowej okładce. Ciszę w pokoju tylko chwilami przerywał zduszony szloch. Po upływie pół godziny powiedziała:

- Możesz już iść. - Pomogła dziewczynce ubrać się i włożyć dwie podpaski higieniczne w majtki. Wręczając jej buteleczkę z antybiotykiem w tabletkach, ostrzegła: - Cokolwiek się stanie, nie przychodź tu. Pewnie nie dostaniesz krwotoku, ale w razie gdyby, wezwij natychmiast lekarza. Wracaj teraz do domu i leż w łóżku przez całą dobę. - Na chwilę ta starannie kontrolowana bezosobowa twardość zmiękła. - *Pauvre petite!* Nie dawaj mu się dotknąć co najmniej przez dwa miesiące. - Kobieta niezgrabnie pogłaskała dziewczynkę po ramieniu i poprowadziła ją korytarzem do masywnych drzwi frontowych.

Dziewczynka wyszła i przystanęła na kamiennych schodach mrugając w ostrym blasku słońca. Potem wolno, z trudem Lili powędrowała bulwarem. Po drodze wstąpiła do jakiejś kawiarenki i zamówiła kakao. Siedziała popijając, czując na twarzy słoneczne ciepło i parę z filiżanki, a szafa grająca ryczała nowy przebój Beatlesów „Ona cię kocha”.

CZĘŚC PIERWSZA

Rozdział pierwszy

Był ciepły wieczór październikowy roku 1978. Maxine patrzyła przez okno limuzyny na dobrze znaną sylwetę Nowego Jorku na tle nieba z rozmigotanymi drapaczami chmur. Wybrała tę trasę specjalnie, żeby to znów zobaczyć. Teraz nobliwy, komfortowo wyciszony Lincoln Continental stał na moście Triboro. Nie szkodzi, powiedziała sobie, jest jeszcze mnóstwo czasu przed tym spotkaniem. A widok jest wart nawet spóźnienia - jest jak rozrzucone po niebie brylanty.

Jej porządnie złożone futro z soboli leżało przy kasztanowatej kasecie z biżuterią. Dwanaście kasztanowatych skórzanych walizek - wszystkie z wytłoczoną złotą hrabiowską koroną i równie złotymi inicjałami M.C. - zostało ulokowanych przy szoferze i w bagażniku. Maxine podróżowała prawie bez żadnego zaaferowania, ale za to z dużym nakładem kosztów pokrywanych zwykle nie przez nią. Nigdy jej nie obchodziło, jaka jest dozwolona ilość bagażu; wzruszając ramionami mawiała, że lubi wygodę; toteż jedna waliza zawierała prześcieradła z różowego jedwabiu, specjalną puchową poduszkę i szal z miękkiej jak śmietana pajęczej koronki, który jej służył zamiast lizeski.

Większość walizek wypełniała garderoba (pięknie poprzekładana karbowaną bibułką). Ale była i taka walizka, która stanowiła małe, w kasztanowatej skórze biuro. W

innej mieściła się zasobna apteczka: tabletki, maści, leki w sprayach, strzykawki z gotowymi zastrzykami witaminowymi i różne czopki, których stosowanie jest uważane we Francji za normalną kurację, przez Anglosasów jednak ze zmarszczeniem brwi odrzucane. Kiedyś Maxine próbowała kupić strzykawki w Detroit - mon Dieu, czyż nie potrafią tam odróżnić francuskiej hrabiny od narkomanki? Trzeba dbać o swoje ciało, drugiego już się nie dostanie, starannie więc należy dobierać to, co się na ciało i w ciało wkłada. Maxine nie widziała powodu, żeby wmuszać w żołądek okropne jedzenie tylko dlatego, że znajduje się na wysokości trzydziestu pięciu tysięcy stóp nad poziomem morza. Wszyscy inni pasażerowie pierwszej klasy z Paryża pracowicie przeżuwali sześć rozgotowanych dań, podczas gdy ona zjadła zaledwie trochę kawioru (nawet bez grzanki) i wypła jeden kieliszek szampana (żaden rocznik, ale Moet, jak zauważyła z uznaniem, zanim go wzięła). Z niedużej torby podróżnej z zamszu w kolorze burgunda wyjęła łyżeczkę, słoik domowego jogurtu i wielką soczystą brzoskwinę z własnej cieplarni.

Później, gdy inni pasażerowie czytali albo drzemali, Maxine wyciągnęła swój miniaturowy magnetofon, maleńki złoty ołówek i duży, tani biurowy duplikator. Magnetofon był do wydawania poleceń sekretarce, a duplikator do notatek, brudnopisów i zapisywania rozmów telefonicznych. Wyrывała to, co napisała, i wysyłała zawsze zatrzymując kopie. Po powrocie do Francji dawała te kopie sekretarce, która składała je do akt. Maxine była w sposób dyskretny dobrze zorganizowana. Nie widziała celowości w organizacji zbyt dobrej, nie znosiła pośpiechu, ale działać mogła tylko w atmosferze porządku. Lubiła porządek bardziej niż komfort.

Gdy Madame la Comtesse robiła rezerwację na podróż w interesach, w Plaža automatycznie rezerwowano dla niej dwujęzyczną sekretarkę. Czasami Maxine zabierała swoją stałą sekretarkę, ale nie zawsze było wygodnie mieć tę dziewczynę zawieszoną na szyi jak para łyżew. Poza tym ona pracowała u Maxine prawie dwadzieścia pięć lat, więc potrafiła pod jej nieobecność mieć oko na wszystko - poczynając od kondycji jej synów i jej winogron, na powrotach (kiedy i z kim) Monsieur le Comte do domu, kończąc.

Mademoiselle Janinę donosiła o wszystkim, pełna żarliwego oddania. Od roku 1956 pracując w Chateau de Chazalle, jaśniała odbiciem chwały, jaką był sukces Maxine. Zaczęła pracować u de Chazalle'ow dwadzieścia pięć lat temu, gdy Maxine, wówczas dwudziestopięcioletnia, przeobraziła zamek w zabytkowy hotel, muzeum i teren

rozrywek, zanim ktokolwiek (z wyjątkiem miejscowych ludzi) słyszał o szampanie de Chazalle. Mademoiselle Janinę krzątała się przy Maxine jeszcze w czasach niemowlęstwa jej trzech synów i doprawdy miałyby życie bardzo jałowe bez tej posady. Co więcej, będąc u de Chazalle'ow tak długo, czuła się nieomal członkiem ich rodziny. Ale tylko nieomal. Oni pozostawali - i mieli pozostawać zawsze - za nieprzekraczalną, niewidzialną barierą swojej sfery.

Tak jak Nowy Jork, Maxine była wspaniała i kipiąca przedsiębiorczością. Dlatego lubiła szybkie tempo tego miasta, lubiła sprawność nowojorczyków zawsze zręcznych i żwawych, cokolwiek robią: czy podają hamburgery, czy sprzątaję śmieci z chodnika, czy też wyciskają sok ze świeżych pomarańczy za pięćdziesiąt centów na słonecznych rogach ulic. Ceniła ich szybki refleks, ich cierpkie poczucie humoru, ich lapidarne dowcipy i w głębi ducha uważała, że nowojorczyki mają w sobie całą joie de vivre Francuzów, przy czym nie są nawet w przybliżeniu tak wulgarni. Równie dobrze czuła się w towarzystwie nowojorskich kobiet. Z przyjemnością je obserwowała, jak gdyby były okazami jakiegoś innego gatunku, chłodne, grzeczne, nieposzlakowane panie na kierowniczych stanowiskach - działające w ogniu bezlitosnej walki o władzę, o pieniądze, o cudze posady. Maxine miała podobnie kolosalną dyscyplinę wewnętrzną, ale - w wieku lat czterdziestu siedmiu - taktykę postępowania z ludźmi jeszcze lepszą. Gdyby tak nie było, nie zgodziłaby się spotkać z Lili. Ta szmatława poszukiwaczka złota!

Niewątpliwie jednak zafrapowana propozycją Lili, Maxine przyleciała zza oceanu po części przez ciekawość. Znów się zastanowiła, czy przyjąć to zlecenie. Zdawało się, że Lili - teraz chyba dwudziestoośmioletnia - już nigdy nie zechce jej widzieć. Maxine przypomniała sobie sprzed lat wyraz zaskoczenia i bólu w pałających orzechowych oczach tej intrygantki, przezywanej w prasie „Lili Tygrysica”.

Zdumiał Maxine ten telefon, niski zmysłowy głos w słuchawce, przedziwnie pokorny, gdy Lili prosiła ją o przyjazd do Nowego Jorku i urządzenie nowego mieszkania na dwóch piętrach, które wynajęła na Central Park South.

Otóż Lili chce mieć swój nowy dom urządony pięknie, rewelacyjnie, a wiadomo, że Maxine potrafi odpowiednio połączyć intelektualną wytworność ze śmiałością stylu. Środki finansowe na to są nieograniczone i oczywiście wszystkie wydatki związane z podróżą do Nowego Jorku zostaną pokryte niezależnie od tego, czy Maxine podejmie się zadania, czy nie.

W słuchawce ucichło, a potem Lili dodała, jak gdyby ze skruchą:

- Chciałabym także pozbyć się uczucia, że coś nasuwa pani bolesne wspomnienia. Od tylu lat sumienie mnie dręczy, z całego serca pragnę zrobić wszystko, co tylko będzie konieczne, żeby pojednać się z panią.

Po tych przeprosinach znów zaległa cisza, brzemienna w zadumę, i dalej rozmowa dotyczyła pracy Maxine.

- O ile wiem, właśnie ukończyła pani zamek Shawborough - powiedziała Lili. - I słyszałam też o tych oszałamiających wspaniałościach, które pani zaprojektowała dla Dominique Tresanges... to musi być cudowne mieć taki talent, ratować zabytkowe domy przed ruiną, urządzać w nich mieszkania piękne i wygodne i jednocześnie tak zachowywać ich charakter, że nadal pozostają historyczną spuścizną ludzkości...

Maxine ostatecznie zgodziła się na tę podróż, bo dawno już nie była w Nowym Jorku sama. Lili poprosiła ją, by na razie nikomu nie mówiła o ich spotkaniu.

- Wie pani, prasa nigdy nie daje mi spokoju - wyjaśniła. I to była prawda. Od czasów Greta Garbo żadna międzynarodowa gwiazda filmowa nie intrygowała publiczności tak jak Lili.

Gdy limuzyna powoli ruszyła naprzód, Maxine spojrzała na swój zegarek wysadzany brylantami - jest mnóstwo czasu przed tym spotkaniem u Pierre'a. Maxine rzadko się niecierpliwiła. Nie lubiła się spóźniać, ale zakładała, że wszyscy inni się spóźniają. Takie jest życie obecnie... brak solidności. Sytuacje dające się naprawić Maxine na ogół naprawiała, czyniąc to z lekkim, krzywym uśmiechem, z miną uroczo konspiracyjną, w której czaiła się groźba. Jeśli sytuacji nie można było naprawić, składała ręce na kolanach i spokojnie akceptowała la loi de Murphy.

Przypadkiem zobaczyła się w lusterku limuzyny. Przechyliła się bardziej, podnosząc podbródek i szczękę nad żabotem z kremowej koronki, tak by zobaczyć je z boku. Ledwie pięć tygodni minęło od operacji, ale maleńkie blizny przed uszami już zniknęły. Pan Wilson spisał się doskonale i to, łącznie z narkozą i pobytem w londyńskiej klinice, kosztowało tylko tysiąc funtów. Skóra nie napięta, nie ściąga się przy ustach ani przy oczach; twarz wygląda zdrowo, promiennie, o piętnaście lat młodziej - z pewnością nie jak twarz kobiety czterdziestosiedmioletniej. Rozsądnie jest poddawać się takim operacjom za młodu, wtedy ludzie nie zauważą, nie mogą wydziwiać, że staruszka się odmładza. Obecnie nie widuje się worków pod oczami u aktorek po trzydziestce - ani u

aktorów też nie, kiedy się tak nad tym zastanowić. Nikt nie zwrócił uwagi na jej nieobecność: spędziła w klinice cztery dni, a potem dziesięć dni w Tunezji, gdzie w dodatku ubyło jej siedem funtów. Po prostu nie mogła zrozumieć, dlaczego niektóre osoby jeżdżą na operacje plastyczne do dalekiej Brazylii i płacą tam Bóg wie ile.

Maxine była niezłomną zwolenniczką ulepszania siebie, zwłaszcza chirurgicznego. Kobieta jest to sobie winna - twierdziła, żeby się usprawiedliwić. Jej zęby, oczy, nos, podbródek, piersi, wszystko zostało ulepszone, aż pokryła się masą prawie niewidocznych szwów. Nawet teraz nie olśniewała urodą, ale gdy myślała o swojej wczesnej młodości, o swoich końskich zębach, wydatnym nosie i nieustannym skrępowaniu, cieszyła się, że przed laty uległa uporczywym namowom, żeby poprawić naturę.

Nóg nie musiała poprawiać. Były prześliczne. Wyprostowała nogę, długą i jasną, pokręciła kostką, obciągnęła spódnicę kostiumu z niebieskiego jedwabiu, po czym opuściła szybę w oknie limuzyny i odetchnęła powietrzem Manhattanu, niepomna spalin na poziomie ulicy. Nowy Jork tak jak szampan wprawiał ją w radosny zachwyty. Oczy jej się iskrzyły, czuła podniecenie, czuła pełnię życia. Jakże dobrze, pomimo zatorów na jezdni, być znowu w tym mieście, gdzie każdy dzień wydaje się dniem urodzin.

Judy Jordan wyglądała jak wyczerpana jasnowłosa sierotka Marysia, chociaż miała czterdzieści pięć lat. W brązowym, aksamitnym kostiumie i cienkiej kremowej bluzce z jedwabiu jechała zatłoczonym autobusem pełnym po Madison Avenue. Z natury niecierpliwa, zawsze wsiadała do tego, co podjeżdżało pierwsze, czy to autobus czy taksówka. Ostatnio rzeczywiście zamieszczono w „People” jej zdjęcie - Judy Jordan, o dziwo, wsiada do autobusu. Ku jej niemałej satysfakcji, bo dobrze pamiętała długi okres biedy, gdy mogła sobie pozwolić tylko na autobus.

Nagle posmutniała. Jak talizmanu dotknęła jednego z dwóch jednakowych pierścionków, które nosiła na środkowych palcach - grubych złotych pierścionków z misternie wyrzeźbionymi w koralu różyczkami. Poza nimi niewiele miała biżuterii - jej pasją było obuwie. Trzymała je w specjalnej szafie, rzędy za rzędami znakomitych, ręcznie wykonanych botków z cholewami i pantofli. Zdecydowała, że mogłaby dzisiejszy dzień uczcić jutro szaleństwem zakupów w firmie Maud Frizon. Czemuż by nie? Jej

wspólnik powiedział nie dawniej niż dziś rano, że w tym roku są warci o prawie dwa miliony więcej.

Coraz trudniej było pamiętać życie w starej pracowni na Jedenastej Wschodniej Ulicy, z której ją wyrzucono, bo nie mogła zapłacić czynszu. Ale zmuszała się do wspomnienia tamtych czasów. Prawem kontrastu tym przyjemniejsza stawała się terażniejszość.

Zresztą nie tylko dlatego Judy nie chciała zapomnieć, jak się czuła nie mając pieniędzy w wielkim mieście. Wiedziała, że tak czuje się wiele jej czytelniczek. Kupują PRZEBOJEM!, magazyn pełen optymizmu, zachęty do działania i zarazem hołdujący zmysłom, i uważają go za przyjaciela. Naprawdę Judy jeździła autobusem po to, by nadal dobrze rozumieć te czytelniczki.

Trudno jej było pogodzić przeciwieństwa w swoim „ja” znanym szerokiej publiczności. Z jednej strony lubiła się pokazywać jako serdeczna, szczerą, zapracowaną kobietą, która jada na obiad parówki w narożnym barze samoobsługowym, jak większość jej pracujących czytelniczek. Z drugiej strony, te same czytelniczki wymagały, żeby prowadziła wspaniałe życie towarzyskie, ubrana jak same chciałyby, i żeby była osobistością. Więc Judy wtedy, gdy nie szła na parówki do baru, jadła obiad w Lutece albo, jeśli musiała, danie dietetyczne Za Złotymi Drzwiami i raz po raz podróżowała. Jak Nowy Jork utrzymywała żwawo, optymistyczne tempo. Momenty, w których nagle spadała w czarną otchłań osamotnienia po prostu przeczekiwała, zaciskając zęby. Osamotnienie od czasu do czasu to cena wolności, a wolność to nie gwiazdy i paski na fladze, to nie idea harcerzy - to jest: mogę robić, co mi się żywnie podoba, zawsze.

Drzwi autobusu z sykiem się otworzyły, wessały nowych pasażerów i z sykiem się zamknęły. Niemłoda kobieta o ziemistej cerze klapnęła na siedzenie naprzeciwko Judy, torbę z zakupami wzięła na kolana i nagle jęknęła:

- Och, żeby te domy się spaliły, już by nie było kłopotów. - Powtórzyła to, a potem podniosła wrzask.

Nikt w autobusie nie zwracał na to uwagi, dopóki nie wysiadła. Wtedy rozległ się szmer ulgi, uśmiechano się, wzruszano ramionami - jeszcze jedna nowojorska wariatka, która ma w nosie to, co ludzie o niej myślą.

Ale taka postawa również świadczy o dojrzałości, dumiała Judy. Człowiek dorosłeje z chwilą, kiedy przestaje go obchodzić, co ludzie myślą o nim, a zaczyna go obchodzić, co

sam myśli o nich. Czy to jest temat? zastanowiła się profesjonalnie. Trzeba wybrać ewentualnego autora, jakieś sławy, żeby się wypowiedziały, może by zrobić quiz? Szybko zanotowała sobie w pamięci: trzeba zlecić to jednej z redaktorek. „Czy już jesteś dorosła?” Niezły tytuł. I pytanie też niezłe, pomyślała, osobiście niezdolna na nie odpowiedzieć. Patrząc na zewnątrz, czuła się wewnątrz dziecinna, chociaż za nic by się do tego nie przyznała. Podatność na zranienie przeszkadza w interesach. Judy wołała mieć swoją reputację enfant terrible, młodej potentatki, zabójczej małej władczyni wydawnictwa, która już przeszła kawał drogi i zamierza pójść znacznie dalej. Judy prezentowała się jako kobieta, z którą należy się liczyć - kobieta, która sprawia, że będąc z nią, myśli się dziesięć razy szybciej niż zwykle - ale też jako kobieta mająca słabość do ładnego obuwia.

Judy nadrabiała stracony czas. Do piętnastego roku życia nosiła tylko praktyczne, czarne półbuciki.

Za koronkowymi firankami jej rodzina była boleśnie biedna. Rodzice, pobożni południowi baptyści bardzo się interesowali grzechem i unikaniem grzechu. Właśnie żeby uniknąć grzechu, Judy i jej młodszy brat nigdy nie mogli niczego robić w niedzielę. Na nabożeństwie śpiewali, ale w domu nie wolno im było śpiewać ani też słuchać radia, bo radio w niedzielę to grzech. Wielki wymyślny orzechowy radioodbiornik, z promienistą drewnianą ozdobą na głośniku, był punktem centralnym ich bawialni. W niedzielę jednak, poza odgłosami z kuchni, ciszę mąciło tylko klekotanie starej lodówki stojącej na tylnym ganku.

Naturalnie palenie i picie było grzeszne. Niemniej dziadek Judy, który z nimi mieszkał, znikał od czasu do czasu w piwnicy, żeby pociągnąć łyk z butelki ukrytej za bojlerem; może sam przed sobą się usprawiedliwiał, że to jest lekarstwo. Po niedzielnych łykach dziadek zawsze wracał na tylny ganek i znów siadał w fotelu na biegunach, który trzeszczał pod jego ciężarem, a on rozpromieniony, wpatrując się w jabłonkę przy końcu ogrodu, dalej czekał na życie pozagrobowe. Rodzice Judy z pewnością wiedzieli o tej whisky, bo od niego zalatywało. Matka ściągала usta i lekko, acz potępiająco, pociągала nosem, ale nigdy nic nie mówiła. Dziadek uchodził za abstynenta.

Mężczyzna w koszuli w szkocką kratę, siedzący na skos od Judy, z niepewną miną zerknął na zamek błyskawiczny swego rozporaka. Judy szybko odwróciła od niego wzrok - najwidoczniej znów się zagapiła. Pogrążona w myślach zwykle wybałuszała na ludzi swe

szafirowe oczy w szykretowej oprawie wielkich okularów dziwnie srogo, co było równie niepokojące jak niezamierzone.

Znów się zastanowiła, w jakim celu Lili chce się z nią spotkać i dlaczego to taka tajemnica.

Najpierw był pełen skruchy telefon - a Bóg świadkiem Lili ma powody, żeby być skruszona. Ostatecznie, rzecz jasna, awantura z Lili okazała się dobra dla Judy, ale przecież nie o to Lili chodziło w tamten wieczór w Chicago.

- Gdybyś mogła znaleźć w sercu trochę ciepła, żeby mi przebaczyć -błagała Lili przez telefon tym niskim głosem z lekkim akcentem europejskim. -Byłam taka niewdzięczna... taka bez etyki zawodowej... Aż wstyd pomyśleć.

Wbrew sobie Judy zaczęła mięknąć; nie dlatego, że Lili była gwiazdą, że magnetyzowała - po prostu dlatego, że Judy swego czasu ją polubiła. Rzeczywiście współpraca szła im doskonale, aż do tamtego wieczoru w Chicago.

Lili powiedziała, że chce omówić z Judy pewną szczególną sprawę.

- Coś bardzo poufnej natury, więc wolałabym o tym porozmawiać z tobą osobiście.

Judy nie traciła czasu dla nikogo. Dziesiątki dziwnych propozycji napływały do niej w każdym tygodniu, i większość z nich docierała nie dalej niż na biurka jej sekretarek. Ale to była Lili, której nazwisko łączono z tyloma słynnymi nazwiskami, Lili, której uroda jak z baśni o bezdomnej sierocie stała się legendą dwudziestego wieku, Lili, która nigdy nie udzielała wywiadów.

Ten ostatni fakt miał dla Judy największe znaczenie. Lili jest warta co najmniej tysiąca słów w PRZEBOJEM! Cokolwiek zdarzy się na tym spotkaniu. Judy więc się zgodziła. Entuzjastycznie, uroczym jak dziecko, Lili podziękowała jej i poprosiła o zachowanie ich spotkania w tajemnicy. Zresztą i tak Judy nie zamierzała komukolwiek o tym powiedzieć. Ale była zaintrygowana. Lili, jak ona, odniosła w życiu sukces prędko, tajemniczo i wbrew logice! Musi mieć teraz dwadzieścia osiem, dwadzieścia dziewięć lat, chociaż na to nie wygląda.

Rozmowę telefoniczną potwierdził list na kremowym grubym papierze z jednym granatowym słowem LILI pośrodku, wyrytowanym klasyczną antykwą Giambattisty Bodoniego.

O co jej chodzi? zastanawiała się Judy. O poparcie? Na pewno nie.

O wydanie czegoś drukiem? Nieprawdopodobne. O reklamę? Już niepotrzebna. Było dwadzieścia po szóstej. Autobus jeszcze stał w zatorze na jezdni, więc Judy wysiadła i ruszyła piechotą. Miała już niedaleko, a zawsze lubiła być punktualna.

W taksówce pachniało dymem z papierosów, tylne siedzenie było pocięte, wysuwało się włosie. Taksówka utkwiała w korku, ale kierowca, z pewnością Portorykańczyk, miłosiernie milczał, aż do chwili, gdy szczechnął nagle.

- Pani skąd?

- Z Konwalii - odpowiedziała Poganka, która nigdy nie uważała się za Angielkę. - Z najcieplejszej części Brytanii - dodała i pomyślała, że to niewiele mówi.

Bładość Poganki wynikała z niedobrego krążenia krwi. Zawsze jej dokuczało zimno, a zimne pogody utrzymywały się w jej rodzinnych stronach przez jedenaście miesięcy w roku. Kiedy była dzieckiem, nie cierpiała rano w zimie spuszczać bosych nóg z łóżka i pospiesznie wsuwała odmrożone stopy w bambosze z baranka. Pierwszą w życiu szaloną miłość pełną nienawiści czuła do swojej ciepłej, ale niewygodnej zimowej bielizny: kombinezonu z gryzącej kremowej wełny z obwisłą odpinaną klapą na pupie, który okrywał ją od szyi aż po kostki i do kłującego flanelowego stanika w rodzaju kamizelki, który kończył się na brzuchu i do którego przypięte były długie, dyndające podwiązki, żeby nie opadały jej grube, wełniane pończochy.

W tamtych dawnych czasach co dzień rano o siódmej mała pokojóweczka biegała po dworze Trelawney i rozpałała w piecach i kominkach ogień, wygaszany o godzinie jedenastej w nocy bez względu na to, o której godzinie wszyscy szli spać. W łazienkach i mniejszych sypialniach stały przed koronkowymi firankami cuchnące, walcowate piece naftowe. Na otwartych paleniskach kominków w głównych sypialniach paliły się węgle, a w hallu i w salonie sterty rozżarzonych wielkich polan. Ale na długim korytarzu i w łazienkach zawsze było mroźno, a potrawy z produktów folwarku zawsze stygły, zanim podawano je na dworski stół. Nierówne kamienne płyty podłogi w jadalni zawsze, nawet w lecie, ziębiły Pogance stopy pomimo pantofli, więc kiedy myślała, że nikt nie patrzy, podwijała je pod siebie na krzesła - zawsze jednak ktoś to zauważał i ostro ją upominał: „Siedź jak dama”.

Ale najgorsze w zimie było układanie się do snu pod zimnym ciężarem płóciennych prześcieradeł. Oddalona od ciepła naftowego piecyka Poganka miała bóle w kościach, aż drętwiała, dopóki sen litościwie nie znieczulał tych tępych bólów.

Przypominając to sobie, chociaż jak na październik było gorąco, czterdziestosześcioletnia Poganka zatrzęsała się w swoim różowym, wełnianym płaszczu.

W Nowym Jorku jak zwykle zatrzymała się w hotelu Algonquin, gdzie czuła się dziwnie swojsko. W hallu, z wysokimi, obitymi lichą skórą fotelami wolterowskimi i lampami w pergaminowych abażurach, panowała atmosfera dosyć wyświechtanego i zgoła bezpodstawnego dostojenstwa londyńskich klubów. Jej pokój był mały, ale gdy się przychodziło z tego rozmyślnie ponurego hallu, zdumiewająco ładny. Wygodny, różowy fotel pluszowy stojący na zielonym jak trawa dywanie; komplet artystycznych koronkowych poduszek rozrzuconych w różnych miejscach; chytrze ustawione mosiężne lampy i w złotych ramach kilka obrazków przedstawiających ptaki - wszystko to świadczyło o niezawodnym wyczuciu, z jakim urządzono to wnętrze. Staroświeckie - ostatnio modne - mosiężne łóżko przypominało Pogance pokój dziecinny w Trelawney, tapeta w kratę jak altana swoją ciemną zielenią na białym tle kojarzyła się z oranżerią, gdzie dziadek co dzień rano czytał „Time” w otoczeniu psów, palm, paproci i roślin tropikalnych. Oranżerię ogrzewały gorące, brązowe, długie rury, które wiły się po ścianach tuż nad podłogą i parzyły w palce, jeśli się ich dotknęło. To było najcieplejsze, jeśli nie jedyne ciepłe pomieszczenie w całym tym pełnym przeciągów wielkim domu, zwłaszcza gdy na trawniki w obramowaniu z rododendronów dmuchał znad granitowych urwisk wiatr od morza. Ciepłarnia była ponadto świetnym miejscem, żeby - z książką i jabłkiem - ukrywać się przed matką. Poganka jak jaszczurka wślizgiwała się pod wachlarze liści jadowicie zielonych i pod krzewy kolczaste koloru malachitu, zasłonięta żółtym pienistym kwieciem i pieniącą się zielenią.

Poganka słabo pamiętała ojca, który zginął w katastrofie samochodowej mając zaledwie dwadzieścia sześć lat. Trzyletnia wówczas pozostała ze wspomnieniem drapiącego ją policzka i drapiących, obleczonych w szorstki tweed kolan. Ślady ojca przetrwały tylko na dębowych półkach w gabinecie - rząd srebrnych pucharów, nagród uzyskanych za wyniki w pływaniu w hrabstwie, za wygrane w golfa, oraz wyblakłe, koloru sepia fotografie drużyn krykietowych i grupy roześmianych ludzi w czasie jakiegoś pikniku na plaży.

Po jego śmierci, aż do ukończenia lat dziesięciu i wyjazdu na pensję w Londynie, Poganka razem z matką mieszkała u dziadka w Trelawney, gdzie była tak rozpieszczana jak hartowana. Gdy miała trzy lata, dziadek zabierał ją łodzią na zatokę i trzymając w objęciach opuszczał do wody, żeby nauczyła się pływać. Na swoim pierwszym kucyku siedziała, gdy miała trzynaście miesięcy, i nawet cugle włożono w jej maleńkie ręce. Dziadek oprowadzał kuczka z nią w siodle po padoku co dzień rano, tak że nauczyła się jeździć konno, zanim podrosła dostatecznie, żeby się bać. Po raz pierwszy była na polowaniu z dziadkiem w Trelawney, gdy miała osiem lat.

To dziadek nauczył też Pogankę uprzejmości. Zawsze uprzejmie i ze szczerym zainteresowaniem wysłuchiwał każdego, czy był to któryś z jego dzierżawców, czy listonosz wioskowy, czy sąsiad, lord Tregerick. Nie znosił tylko tak zwanych przez niego „facetów od pieniędzy” - adwokatów, bankierów, księgowych. Nigdy nie patrzył na rachunki, po prostu do zapłacenja przekazywał je swojemu agentowi.

Wokół Poganki zawsze było mnóstwo służby - mnóstwo, bo dziadek nie cierpiał ludzi odprawiać. Ktoś jej wkładał rękawiczki, ktoś jej ściągał z nóg buty z cholewami, ktoś szczotkował jej włosy na noc, i ktoś układał jej rzeczy, dorastała więc z konieczności niechlujna. Poganka pamiętała cichy szelest spódnicy pokojówki, wczesnym rankiem przynoszącej do sypialni mosiężne konwie z gorącą wodą, żeby je postawić przy miednicy w deseń z róż, i ciepło w pokoju kredensowym kamerdynera, gdzie Briggs czyścił srebro i przechowywał na oszklonych półkach kwiecisty serwis obiadowy Minton; i pamiętała wonną przytulność dużej kuchni, i zrezygnowaną kwaśną minę lokaja dziadka, gdy w garderobie zeskrobywał błoto z jej amazonki.

Matka nieczęsto jej się pokazywała, a jeśli już, to wyraźnie znudzona. Nienawidziła wsi: nie miała tam dokąd pójść, nie miała co robić. Komwalia w latach tysiąc dziewięćset trzydziestych nie była wyrafinowana, a matka była wyrafinowana z pewnością.

Włosy miała krótkie, przylizane, nieomal apreturowane i grube, trupio białe makijaż; codziennie arcydzieło, połyskliwie szkarłatne usta, malowała sobie powiększając swe prawdziwe wargi, o wiele cieńsze. Czerwone ślady tych ust znajdowały się na kieliszkach, ręcznikach i niezliczonych niedopałkach papierosów. Pani Trelawney często wyjeżdżała do Londynu i gdy wracała, przywoziła na weekend swoich londyńskich przyjaciół. Poganka ich nie lubiła, pomimo to jednak podłapała od nich żargon z Mayfair

i już przez całe życie jej wypowiedzi były punktowane zadyszka ich przesadnych określeń pochodzących z tamtego okresu.

Teraz w roku 1978 Poganka nadal odczuwała brak dziadka i ubolewała, że jej mąż nie zdążył go poznać i nie mieszkał w Trelawney, zanim ten dwór został przeobrażony. Co nie znaczy, żeby dziadek mógł znaleźć coś wspólnego z jej mężem, który interesował się tylko książkami i własną pracą. Nie obchodziło go, jak Poganka mobilizuje fundusze - chociaż bez tych pieniędzy nie mógłby dalej prowadzić badań. Rozjątrzona nieraz go besztala. Wtedy ją przytulał i mówił:

- Kochanie, przykro mi, że białe myszy są takie drogie.

Poganka wiedziała, że jest dumny z jej przedsiębiorczości, aczkolwiek proste metody, jakie stosowała w interesach, z początku go niepokoiły. Czasami podejrzewała, że wciąż jeszcze go niepokoją.

Bardzo niechętnie zostawiała męża, ale dla chorych na serce podróże są niewskazane: lepiej czuł się w domu mając pomoc pod ręką - na pół inwalida, a przecież nadal jeden z najdowcipniejszych, najinteligentniejszych, najwybitniejszych ludzi na świecie. Chociaż ani on, ani ona nigdy o tym nie mówili, ubiegłe szesnaście lat było szczególnym darem losu - ale też i latami nieustannej troski o to, by utrzymać go przy życiu, zdolnego do dalszej pracy naukowej. Ten wysiłek miał zostać uwieńczony triumfem, jeśli - co wydawało się prawdopodobne - on wreszcie w ciągu najbliższych dziesięciu lat osiągnie pożądane rezultaty. Pytania, czy zdoła jeszcze dziesięć lat przetrwać, woleli sobie nie zadawać. Dlatego Poganka bardzo niechętnie zostawiła męża nawet teraz, gdy powodem jej wyjazdu była możliwość uzyskania dużej darowizny dla Instytutu.

I to ze źródła tak niespodziewanego.

W zagraconym, pełnym palt, butów gumowych, szalików, wyłożonym kamiennymi płytami korytarzu swego domku na terenie włości Trelawney, Poganka odebrała telefon i usłyszała niski matowy głos samej Lili. Tak po prostu, jak gdyby chodziło o spotkanie w sąsiedniej wiosce, Lili poprosiła Pogankę o przyjazd do Ameryki w sprawie zarówno pilnej, jak poufnej. Pogankę zadziwił ten telefon. Międzynarodowe gwiazdy filmowe nie miały zwyczaju dzwonić do niej tak ni stąd, ni zowąd i w dodatku ona nawet nie знаła Lili, chociaż oczywiście słyszała o niej. Raczej nie można było nie słyszeć o tym romantycznym, utalentowanym, smutnym stworzeniu.

Przez telefon ta gwiazda filmowa mówiła spokojnie i poważnie.

- Tyle się mówi o projektach państwa - powiedziała. - Jestem urzeczona cudownym dziełem pani męża i chciałabym porozmawiać, w jaki sposób mogłabym się przyczynić.

Gdy Poganka spróbowała grzecznie dowiedzieć się szczegółów, Lili wyjaśniła, że jej amerykański księgowy przedstawił kilka ewentualnych form pomocy, w tym dotacje wieloletnie, i zaproponował spotkanie wstępne w Nowym Jorku z jej doradcami podatkowymi. Brzmiało to frapująco, jak gdyby ten wkład Lili miał być rzeczywiście duży, po czym Poganka dostała pocztą bardzo okazały czek na pokrycie kosztów podróży pierwszą klasą.

Siedząc teraz w unieruchomionej taksówce i słuchając, jak kierowca klnie po hiszpańsku, Poganka wiele by dała, żeby się nie czuć tak okropnie. Falujące tycjanowskie włosy, które opadały jej na ramiona, zawsze były ładne, ale dzisiaj twarz miała nabrzmiałą, oczy zmatowiałe, powieki spuchnięte i wyglądała jak najbardziej na swoje czterdzieści sześć lat.

Różnica pomiędzy czasem w Nowym Jorku i czasem londyńskim wynosi pięć godzin. Poganka przyleciała poprzedniego dnia wieczorem i po paru godzinach snu obudziła się o drugiej w nocy, gdy za oceanem jest pora śniadania. Nie mogła już spać, nie mogła czytać książki. Tabletek na sen nigdy nie zażywała. Zresztą żadnych innych leków też nie - nawet aspiryny. Zanadto bała się wpędzić w coś znowu.

Gładkie, czarne drapacze chmur majaczyły nieco ciemniejsze niż niebo. Nie wie się, ile jest odcieni czerni, jeżeli się nie pracuje w modzie czy w branży drukarskiej, pomyślała Kate, spiesząc przez Zachodnią Pięćdziesiątą Ósmą Ulicę, już trochę spóźniona jak zwykle. Gdy wyszła z redakcji dziesięć po szóstej, niebo było bładoniebieskie i kremowe, a teraz o pół do siódmej jest już ciemne. Przez chwilę dumiała tęsknie o długich zmierzchach jesiennych w Anglii, a potem zatrzymała się przed wystawą firmy Van Cleef i Arpels. Koronacyjny brylantowy diadem cesarzowej Józefiny leżał w majestacie. Podobał się Kate bardziej niż diadem wystawiony w drugim oknie - wspaniały diadem rosyjskiej carycy ze szmaragdami wielkości cukierków i roziskrzoną, grubą na trzy cale, oprawą z brylantów. Znów się zastanowiła, dlaczego w zeszły poniedziałek nie dała się Tomowi wciągnąć w kołowrót tych drzwi. Większość mężczyzn nawet nie słyszała o firmie Van Cleef, nie mówiąc już o tym, że nie wie, gdzie to jest, i nie

mówiąc już o tym, że nie proponuje zrobienia tam małego sprawunku. „Chodź, kupimy diadem Józefiny” - Tom wziął ją za rękę, i chociaż potrząsnęła głową, jeszcze próbował z nią wejść, jeszcze tłumaczył, że szmaragdy pasują do wszystkiego. Dlaczego nie chciała przyjąć kosztownego prezentu od niego? Ostatecznie jej urodziny są w przyszłym tygodniu. Kate kończyła czterdzieści sześć lat i wcale się tym nie przejmowała. Nie potrzebowała kosztownych zapewnień: miała to, czego zawsze chciała - cudownego mężczyznę i cudowną pracę.

Teraz, gdy Kate z wielkim powodzeniem wydawała poczytny magazyn, nikt by się nie domyślił, że ona przez długie lata nie wiedziała, czego chce ani dokąd zmierza, i że czuła się panią swego życia akurat tak, jak lalka szmaciana wrzucona do pralki. Czuła, jak się objija, owszem, ale nie wiedziała, w którą stronę. „No dziewczyno - mawiał jej ojciec - pamiętaj, że jesteś lepsza od innych, Kathreen, pamiętaj, że twój tata ma fundusze, a to jest to, co-się liczy. Nic nie może ciebie zatrzymać w drodze na sam szczyt. Twój tata spodziewa się, że będziesz na szczycie, i żeby nie było co do tego nieporozumień”.

„Fundusze” stanowiły ogromne zyski czerpane z rządów jednakowych, przysadzistych domków z czerwonej cegły, które jej ojciec budował w całej

środkowej Anglii. „Fundusze” oznaczały lepsze fatałaszki, lepsze samochody, lepsze wakacje i lepszy dom, niż miały jej szkolne koleżanki, tylko że to się nie liczyło. „Fundusze” jeśli już coś wywoływały, to milczącą niechęć do niej ze strony niektórych koleżanek w londyńskiej szkole. Nigdy nie uważała się za lepszą od którejkolwiek z nich ani też nigdy nie stała się najlepsza. Zawsze z lękiem czekała na cenzury, przewidując wściekłość ojca, kary i - co najbardziej ją niepokoilo - ojcowskie wysiłki, żeby ją poduczyć. Im głośniej ojciec krzyczał, tym mniej mogła zapamiętać.

Była zastraszona. Gniew, którego nigdy nie śmiała okazać, zbijał się w niej w warstwy cichej urazy. Wiedziała, że brak jej odwagi cywilnej, ale bała się narazić argumentacją na gniew ojca. Więc podobnie jak jej matka, zawsze mówiła możliwie jak najmniej albo uciekała.

Mężczyźni poznając Kate bliżej zdumiewali się, że tak łatwo mogą z nią zrobić, co tylko chcą, i ona nie będzie się uskarżać. No, ale gdy wywierali za dużą presję, Kate bez słowa wyjaśnienia po prostu zniknęła.

Ponieważ nie zносиła swego ojca, dopóki żył, nie mogła zrozumieć, dlaczego wbrew woli myśli o nim rzewnie, ilekroć któraś z jej książek trafia na listę bestsellerów. Szkoda,

że stary nie może tego zobaczyć. Nie mogła zrozumieć, dlaczego chce, żeby ten straszny olbrzym, nieżyjący już od dwudziestu lat, był z niej dumny. Nie mogła zrozumieć, dlaczego jest rozczarowana tym, że on umarł, zanim ujrzała siebie na szczycie, zanim mogłaby zawołać: „Tatku, tatku, ty draniu, ja tego dokonałam!” Kate nie zwracała szczególnej uwagi na swoje sukcesy, tak samo jak grono jej przyjaciół, których na ogół miała z czasów, gdy była nieznana, ale jej tata by się tymi sukcesami rozkoszował, wycinałby jej fotografie z gazet, przechowywał wszystkie wycinki i zawiadamiałby swoich koleżków, kiedy ona ma wystąpić w telewizji.

Z pewnością jej nowa książka wydaje się jeszcze jednym sukcesem -potencjalny bestseller. Historia Lili - prawdziwa czy zmyślona, powinna znaleźć się na liście na tydzień przed opublikowaniem. Lili jest piękna, romantyczna, nieodparcie fascynująca, więc publiczność chłonie wszelkie szczegóły z jej życia. Ileż razy już pisano, że Lili zawsze, czy nosi atlas czy jedwab, samodiał czy bawełnę, ubiera się na biało? I oczywiście Lili jest kobietą z przeszłością - i to z jaką przeszłością!

Gdy Lili przed zdobyciem pozycji międzynarodowej była jeszcze jedną z wielu kontynentalnych, drugorzędnych aktorek rozbierających się w drugorzędnych filmach, Kate spędziła kiedyś trochę czasu na planie w mokrym lesie pod Londynem, po czym napisała pierwszy duży wywiad, czyniąc z nastolatki Lili potencjalną gwiazdę. Od tamtej pory nie miała z nią kontaktu, ale to, co o niej napisała, ukazało się później w prasie na całym świecie. Być może dlatego ona mnie zaprosiła do Pierre'a, myślała Kate. Obecnie wszystkie gwiazdy chcą mieć „opowiadaną” autobiografię. Niemniej Kate była zdumiona, gdy Lili zatelefonowała osobiście i prosiła o zachowanie ich spotkania w sekrecie.

Spiesząc w stronę Plaza, Kate poczuła w wilgotnej jesiennej mgiełce zapach gorących obwarzanków, minęła grupę łysych, pustoliczych kobiet okutanych w koronki i srebrne lisy, oświetlonych reflektorami w oknie wystawowym Bergdorfa; zatrzymała się na skrzyżowaniu przy czerwonym świetle, za którym stał niebieski samochód policyjny z dwoma policjantami tak łysymi i pustoliczymi jak te manekiny. Przeszła przez jezdnię pod eleganckie ciemnozielone markizy, rozciągające się znad każdych drzwi bloku mieszkalnego, aż nad krawężnik, gdzie w nieskazitelnych ciemnych samochodach siedzieli szoferzy. Po chwili skinęła głową odźwiernemu w niebieskiej liberii, który jej zasalutował pomiędzy marmurowymi filarami hotelu Pierre, zanim wkroczyła w drzwi wahadłowe i na szeroki kremowy korytarz.

Stała przy kontuarze recepcji i zatelefonowano na górę, by się upewnić, że jest oczekiwana. Obok niej goście hotelowi szeptali po włosku, gromadki za nią rozmawiały po arabsku i po francusku. Przypomniało jej to Kair. Windą wjechała na szesnaste piętro i gdy szła wyciszonym szarym korytarzem do apartamentu 1701, obciągnęła na sobie z tyłu żakiet w kolorze morwy i spulchniła kokardę bluzki ze szkarłatnego jedwabiu.

Drzwi, zanim do nich doszła, otworzyła jej szczupła kobieta o popielatych włosach i w sukni też popielatej. Za otwartymi drzwiami widać było długi kremowy pokój, okna wychodzące na Central Park. Kelner właśnie przygotował na wózku lód, szczypce i małe talerzyki z oliwkami. Popielata sekretarka skinieniem wyprosiła go z pokoju, wpuściła Kate, wyszła i cicho zamknęła za sobą drzwi.

Kate się zachłysnęła.

- Boże! - powiedziała Judy.

- Myliłam się znowu - powiedziała Kate, którą zawsze kusilo mocne akcentowanie początku zdania. Stała przy drzwiach zdumiona, usiłując się zorientować, co to wszystko znaczy. Judy i Poganka siedziały na dwóch morelowych pluszowych kanapach zestawionych ze sobą pod kątem prostym; przy końcach tych kanap stały na niskich stolikach z okopconego szkła ogromne wazy z białymi liliami i importowanym kwieciami jabłoni. Za stolikiem z prawej strony w beżowym pluszowym fotelu siedziała Maxine.

- Co to jest, zjazd-niespodzianka? - zapytała Kate.

Poganka skubała dwoma palcami misternego motylka z zielonego malachitu, zwisającego jej z szyi na pięknym złotym łańcuszku od Cartiera. Maxine powiedziała szybko zniżonym głosem:

- Lepiej uważajmy, co mówimy.

Nastrój był napięty. Kate nie zdążyła podejść do nich, gdy dwuskrzydłowe drzwi w drugim końcu pokoju otworzyły się i weszła nieduża, złocistoskóra młoda kobieta w białym jedwabiu udrapowanym jak starożytna grecka tunika.

Od Lili wprost biło to, że jest gwiazdą. Miękkie czarne włosy chmurą opadały jej na ramiona, zaczesane do tyłu nad owalną twarzą z wydatnymi kośćmi policzkowymi. Jej mały nos był trochę drapieżnie zakrzywiony, usta miała nieco za szerokie, ale gdy się na nią patrzyło, widziało się tylko jej oczy. Wielkie, orzechowe oczy w oprawie gęstych rzęs roziskrzane tak, jakby kręciły się w nich kryształowe lzy.

Tylko że w ten wieczór oczy Lili się nie iskrzyły. Miotaly gromy. Pały wściekłą furią. Przez chwilę gwiazda stała w milczeniu i przyglądała się tym czterem starszym kobietom: Kate w kostiumie fraise stojącej przy drzwiach, Pogance w różowym płaszczu rozpartej na morelowych poduszkach, Maxine znieruchomieją z porcelanową filiżanką w jednej ręce i spodkiem w drugiej przy niebieskim jedwabnym gorsie i patrzącej spode łba Judy w brązowym aksamicie, przycupniętej na brzegu kanapy, zgarbionej z łokciami na kolanach, z podbródkiem opartym na dłoniach.

I nagle przemówiła:

- Dobrze. Która z was, dziwki, jest moją matką?

Rozdział drugi

Aż mnie mdli - mruknęła Kate. Oparła się o wezglowie łóżka i zapięła nowy koronkowy stanik na swych dziewczęcych piersiach.

- Warte mdłości - powiedziała Poganka oblizując palce. W różowym kimonie i bokserskich szortach z pomarańczowej satyny siedziała po turecku w nogach wąskiego łóżka Kate i z ubolewaniem patrzyła na białe tekturowe pudełko stojące pomiędzy Kate i nią. W pudełku został tylko jeden czekoladowy ekler.

- To będzie na po kolacji. Mam ci polakierować paznokcie nóg, żebyś nie myślała o żarciu?

Angielskie pensjonarki wydawały całe swoje pierwsze tygodniówki na ciastka, pomadki do ust i emalie do paznokci. Uwolnione od regulaminu rodzimych szkół, miały nabrać ostatecznego poloru na szwajcarskiej pensji. Po latach braków powojennych, gdy nawet chleb i kartofle były racjonowane, te dziewczęta uważały Szwajcarię roku 1948 za raj w porównaniu z wynędzniałą, znękaną Brytanią - raj pełen ciastek z kremem, czekolady, śniegu i romantyczności.

Poganka zgarbiła się nad lewą stopą Kate. Ta krótkowzroczna tycjanowska piękność lubiła się garbić przeświadczona, że jest za wysoka. Okulary nosiła rzadko, bo po pierwsze była próżna, a po drugie wciąż je gubiła.

Z gołą lewą nogą podniesioną, rozparta na łóżku, Kate patrzyła ponad głową Poganki. Widziała obramowane białymi firankami w otwartym oknie sypialni śnieżne górskie szczyty Gstaad.

- Chodźmy przed podwieczorkiem do lasu - zaproponowała.

- Nie wierę się, idiotko - powiedziała Poganka. - Przecież mamy witać tę nową. Pójdziemy po podwieczorku, jeżeli nie przyjedzie. Biedaczka, tyś załapała najlepszą szafę. W jej prawie nie ma miejsca do wieszania. Będzie musiała trzymać rzeczy pod łóżkiem.

W L'Hirondelle - internacie dla dorastających panienek - sypialnie były przeważnie trzyosobowe, ale na najwyższym piętrze pod drewnianymi okapami tego ogromnego chalet mieściły się mniejsze pokoje. Dwuosobową sypialnię Kate uzupełniała bladoniebieska alkówka z niskim pochyłym stropem z sosnowych bali, akurat wystarczająca, by wstawić jedno niebieskie wąskie łóżko, komodę i stolik. Poganka zagarnęła tę alkowę, i to bardzo dobrze, zważywszy jej straszliwe niechlujstwo, że miała pokój dla siebie. Nic by jej nie nauczyło porządku. Została ochrzczona imieniem Jennifer, ale jej niania wciąż na nią krzyczała: „Nie śmieć, ty mała poganko!”, „Nie będzie podwieczorku, dopóki nie posprzątasz, ty mała poganko!”, aż w końcu wszyscy zaczęli Jennifer nazywać Poganką i to przezwisko do niej przyłgnęło.

- Ja nie mam zamiaru zmarnować takiego ślicznego popołudnia! - Kate zeskoczyła z łóżka, włożyła beżowy kaszmirowy sweterek i spódnice.

Poganka wbiła stare bryczesy na pomarańczowe szorty i wkręciła się w olbrzymi wzorzysty pulower z szetlandzkiej wełny udziergany na drutach, który ścisnęła w talii rzemiennym paskiem dwa razy na nią za długim. Zbiegły obie z drewnianych schodów po dwa stopnie naraz i jak z procy wyleciały z drzwi frontowych. Przebiegły na tyły domu i na pół idąc, na pół podskakując ruszyły stromą ścieżką na tyłach pensji, prowadzącą do lasu. Przeszły tak prawie milę pod górę po sosnowym igliwiu, gdy nagle natrafiły na tablicę stojącą pośrodku ścieżki: „Attention! Defense de passer”.

- To pewnie znaczy, że tego przejścia bronią gajowi - powiedziała Poganka, której znajomość francuskiego była barbarzyńska.

Szły więc zdyszane dalej pod górę, aż ścieżka skończyła się raptownie trawiastą polanką na samym skraju urwiska. Poniżej widziały brązowe szczyty Gstaad, otoczone ciemnozieloną puszcza i w dali malowniczy amfiteatr Alp ze śniegiem na szczytach nawet w pełni lata.

- Juhuu... uuu! - stulając dłonie przy ustach, wrzasnęła Poganka. Gdy echo jeszcze rozbrzmiewało w dolinie, odwróciła się do Kate i powiedziała:

- Oczekuje się od nas, żebyśmy umiały jodłować, kiedy wrócimy do... Urwała. Usłyszała „juhuu” w odpowiedzi, jak gdyby prosto spod ich nóg,

i zaraz wołanie. -Au secours!

- To znaczy: ratunku - przetłumaczyła Kate z powagą.

- I to skądś zza tej skały. Pourquoi secours? - wrzasnęła Poganka. Ten głos odwrzasnął:

- Parce que... zawisłam!

- Angielka? - wrzasnęła Poganka i zrobiłaby krok naprzód, gdyby Kate jej nie przytrzymała za pasek. Stały w odległości nie większej niż dziesięciu stóp od krawędzi urwiska.

- Nie, Amerykanka! Uważaj, ta skała się kruszy! Nawet nie byliśmy blisko skraju! Raptem się osunęła!

- Ile was tam?

- Tylko ja zleciałam! Nick odskoczył i pobiegł po pomoc! Aaach!- usłyszały odgłos osuwania się ziemi i kamieni.

- Jesteś tam jeszcze?

- Jestem, ale niewiele mam miejsca! Och, Boże, tak się boję.

- Nie patrz w dół! - Poganka uklękła na trawie i zaczęła się czółgać. -I już nie wołaj!... Kate, poczołgam się do krawędzi, a ty połóż się za mną i trzymaj mnie za kostki.

Powoli dopełzła do urwistego skraju polanki. Wyrzała ostrożnie. Zobaczyła może ze sześć stóp niżej niebieskie oczy patrzące w górę spod kędzierzawych jasnych włosów.

Ta dziewczyna stała na wąskim parapecie i rozłożonymi rękami czepiała się skały.

- Nick nie mógł mnie dosięgnąć - powiedziała. - Starał się i starał. Zdjął koszulę i rzucił mi, żeby mnie wciągnąć, ale się rozdarła, a potem i tutaj zaczęło się kruszyć, więc pobiegł po drabinę. Ale kruszy się dalej, już nie ma gdzie siedzieć. Tak się boję.

Co najmniej sto stóp niżej ziemia znów się osuwała. Poganka poczuła nudności.

- Och - jęknęła bez tchu. - Boże, nie patrz w dół. - Spróbowała naprężonymi palcami dosięgnąć podniesionych rąk dziewczyny, ale nie mogła. - Słuchaj, trzymaj się tam jeszcze chwilę - zawołała pokrzepiająco. Wycofała głowę znad krawędzi urwiska i poczołgała się z powrotem do Kate. Zdjęła trampki i bryczesy.

- Te portki są mocniejsze niż koszula - wyjaśniła. Związała końce nogawek na supeł refowy tak, że spodnie utworzyły koło; przewlokła przez nie swój pasek i porządnie zapięła sprzączkę.

- Na miłość boską z całej siły uczep się moich kostek - syknęła do Kate, czołgając się z powrotem na krawędź urwiska.

Wyjrzała. Trochę ziemi sypnęło się spod jej piersi i mdło zrobiło się jej jeszcze bardziej, gdy pomachała bryczesami na pasku do tej dziewczyny poniżej.

- Czy możesz je przez głowę włożyć pod pachy? Nie patrz w dół!

- Powoli spuszczała to prowizoryczne koło ratunkowe, aż dosięgło czubków wyciągniętych palców. - Złóż ręce i postaraj się wsunąć w te bryczesy tak, żebyś je miała pod pachami... powoli... powoli... - Drugim końcem paska owinęła lewą rękę i mocno zacisnęła na nim prawą. Przez cały ten czas widziała, jak grudy zsuwają się po stromym czole skały ku czerwonej ziemi i stertom odłamanych sosen i korzeni daleko w dole. - Teraz trzymaj się paska - powiedziała mając nadzieję, że rozkazująco. - Powoli staraj się wejść po skale jak mucha.

- Nie mogę, nie mogę!

Ziemia osunęła się spod lewej stopy dziewczyny i noga jej zawisła w powietrzu.

- Jeżeli spadniesz, nie wiem, czy cię utrzymam - powiedziała Poganka. - Pewnie złamiesz mi przegub ręki i pociągniesz mnie za sobą, więc nie myśl, tylko zrób, co mówię. Liczę do trzech. - Za nią leżała Kate, mocno obejmując ją w talii. - No, raz, dwa, trzy - zabrzmiało to, jak na jej możliwości w tej chwili, dosyć władczo.

Posłusznie ta chuda, mała dziewczyna - Bogu dzięki, że taka mała - odchyliła się od urwiska i pogramoliła pod górę. Pasek szarpnął się i napiął. Poganka poczuła rozdzierający ból w przegubie i ramieniu. Zastanowiła się, czy to nie zwichnięcie, i przestała się zastanawiać, gdy już cała lewa ręka rozboleła ją straszliwie, a dziewczyna wspinała się niezdarnie cal po calu.

Skórzany pasek ślizgał się w spoconej dłoni. Z zapartym tchem Poganka czołgała się do tyłu ciągnięta przez Kate.

Z wolna nad krawędzią urwiska ukazały się najpierw dwie uwieszone paska brudne ręce, a potem przerażona biała twarz.

- Powoli - wysapała Poganka. Doznała wrażenia, że grunt się spod niej usuwa, i zdjęła ją zimna groza. Ale zobaczyła, że dziewczyna już jest na krawędzi i akcję ratowniczą przejmuje Kate. Mogła z krwawiących palców wypuścić pasek.

Tylko że zanim zdążyła wstać, grunt się usunął i nagle zwiesiła się połową ciała, głową w dół w przepaść. Parapet, na którym przedtem stała ta dziewczyna, zniknął.

Kate chwyciła Pogankę i razem padły do tyłu. Dysząc i szlochając odczołgały się jak najdalej od skruszałej krawędzi urwiska.

Dopiero gdy we trzy doszły do sosen i ścieżki, Poganka poczuła się bezpieczna. Wtedy kolana jej się ugięły i upadła. Kate pochyliła się nad nią.

- Ojej! - nagle wykrzyknęła uratowana dziewczyna. W popłochu podniosła ręce do skroni. - Spóźnię się! Och, nie mogę! Och, muszę iść! Ojej, och, dziękuję, och, słuchajcie, wiecie gdzie jest Chesa? Może przyjdziecie tam kiedyś, żebym mogła wam... to znaczy, to jest ponad wszelkie podziękowania, ale... Muszę iść!

Odwróciła się słaniając, dobiegła chwiejnie do zakrętu ścieżki i już jej nie było.

- Co za krowa - powiedziała Kate. - Życie jej się uratowało, a ona po prostu ucieka. Och, Poganko kochana, twoje biedne ręce!

Poganka miała nogi brudne i ręce zbroszone krwią. Ponieważ bryczesy i trampki zostały na krawędzi urwiska, była tylko w szetlandzkim pulowerze i brudnych pomarańczowych szortach z satyny.

Na porębę z przeciwnej strony wyszła gromadka robotników ze zwojem liny, siecią i drabiną. Przed nimi biegł wysoki i szczupły młody człowiek, nagi do pasa. Widząc Kate i Pogankę zatrzymał się jak wryty, przeczesał ręką swe obwisłe w kosmykach czarne włosy i wrzasnął:

- Jezu, osunęło się!

- Jej nic nie jest, myśmy ją wyciągnęły! - zawołała Poganka, już siadając. - Jesteś Nick?

Chłopak podbiegł do nich. Jego orli nos był upačkany ziemią, oczy koloru akwamaryny patrzyły nieprzytomnie.

- Jej nic? Judy nic nie jest? Co się stało? Jak? Na pewno jej nic nie jest? Gdzie ona?... Boże, przeszedłem takie piekło...

- Poganka też - powiedziała Kate z oburzeniem. - Wychyliła się w przepaść i ciągnęła twoją dziewczynę... a ona potem zwała, chociaż zawdzięcza Pogance życie. I tylko lamentowała, że nie chce się spóźnić.

- No, jeżeli spóźni się jeszcze raz, straci posadę, rozumiecie. Już dwa razy ją uprzedzali. Nic jej nie jest... nie potłukła się, nie pokaleczyła?

- Z całą pewnością nie, jeżeli tak mogła zwać - uspokoiła go Kate pogardliwie. - Ale Poganka fatalnie się czuje. Spójrz na jej rękę!

- Nie rób szumu, Kate. - Poganka podniosła się chybotliwie. Była wysoka jak ten chłopak, przyskakujący, żeby jej pomóc. - Wezmę kąpiel i będę się czuła doskonale.

- Tylko powiem tym ratownikom, że to już załatwione, i odprowadzę was do domu - powiedział Nick, odgarniając miękkie kosmyki znad oczu. Odwrócił się szybko i po niemiecku wyjaśnił sprawę ludziom, którzy stali za nim. Z powrotem odwrócił się do Poganki, opiekuńczo ujął ją w pól.

- Naprawdę nic mi nie dolega. - Poganka aż zamrugła, gdy dotknął jej lewego łokcia. - Chodźmy stąd, dopóki więcej tej góry się nie osunie.

- To nieprawdopodobne - powiedział Nick. - Ratownicy mówili, że wysadza się dynamitem część góry, niebezpieczny nawis, który został po zimowych lawinach. Niestety, myśmy tam właśnie się zapędzili... Mają wysadzić resztę w przyszłym tygodniu.

- Co to za jedna, ta spóźniona? - zapytała Kate bardzo sarkastycznie.

- Licealistka, stypendystka z Ameryki. Nie ma pieniędzy, więc pracuje jako kelnerka w Chesa - wyjaśnił Nick, gdy powoli schodzili ścieżką

w dół. - Nie wiem, jak ona to robi. Ciężko haruje, a nigdy nie jest zmęczona, zawsze jest... och, fantastycznie zabawna. Kate spostrzegła, że się zarumienił.

- Jesteś jej... uch?

- Nie, nie jestem, ale chciałbym być. Ona ma faceta w Wirginii, Jima. - Umilkł. Kate i Poganka, patrząc na niego z ukosa, wywnioskowały, że Jim to ktoś dosyć sensacyjny.

- Ty także jesteś licealistą? - Nick wyraźnie był Anglikiem.

- Poniękad. Jestem stagiaire. Kelnerem na wymianie.

- Co to znaczy kelner na wymianie?

- No, wywodzę się z branży hotelarskiej, więc uczę się prowadzenia hotelu. - Podał Pogance ramię, a raczej wciągnął sobie jej rękę pod pachę. - Wcześniej skończyłem szkołę i poszedłem na dwuletni kurs w Westminster'skim Technikum, a potem byłem kelnerem

w Savoyu. Przyjechałem tutaj w ramach wymiany, jeden z kelnerów z Imperialu pojechał na moje miejsce w Londynie.

- Jak było w Savoyu? - zapytała Kate z oczami aż okrągłymi na myśl o otoczeniu tak wyrafinowanym.

- Ciężka praca. Gorąco. Kuchnia restauracji na parterze, więc mieliśmy okna, ale te biedne bękarty w kuchni barowych dań z rusztu pracują w suterenie i nigdy nie widzą światła dnia. Gotowaliśmy na rozgrzanych do czerwoności starych kuchniach węglowych i na podłodze leżały trociny wchłaniające rozlany tłuszcz, żebyśmy się nie poślizgnęli. Człowiek tak się pocił, że pił wszystko, co było pod ręką... wodę, mleko, a także swój przydział piwa... nie przestawało się żłopać płynów.

- Dlaczego odszedłeś z Savoyu? - zapytała Poganka, gdy zatrzymali się na ścieżce i Nick spróbował podtrzymać ją mocniej. Okropnie bolała ją ręka, a rozmowa odwracała jej uwagę od bólu.

- Tego wymagały kursy. - Nick się zachwiał. Poganka nie była wagi piórkowej. - Zostanę tu do końca zimowego sezonu. Wtedy będę miał osiemnaście lat i pójdę do wojska. Mierzi mnie ta cała cholerna koncepcja służby wojskowej, ale nie ma wyboru. Ojciec mówi, że mnie nauczą, co to znaczy przewodzić. Chociaż niczego poza tym. Ojciec ogromną wagę przykładła do przywództwa.

- Boże, czy kelnerom potrzebne są cechy przywódcze?

- Kelnerom nie, ale dyrektorom hoteli tak.

- To nasza szkoła - powiedziała Kate wskazując L'Hirondelle. - Jesteśmy prawie na miejscu, jeszcze tylko parę kroków. - Ona i Nick nieomal nieśli Pogankę, gdy ta brudna gromadka zataczając się doszła do drzwi frontowych. Nick się zarumienił.

- Słuchajcie, ja wiem - powiedział przepaszająco - że uważacie Judy za niewdzięcznicę, ale nie macie pojęcia, jak jej ciężko. Jest tutaj sama i ma zaledwie piętnaście lat. Może spotkamy się w niedzielę na herbatce w Chesa, żeby mogła podziękować wam należycie, jak na pewno chce... I... i ja też bym chciał.

Poganka skinęła głową. Ostrożnie puścił ją, powiedział do widzenia i szybko odszedł. Zaczekała, aż on zniknie za rogiem uliczki, i dopiero wtedy z cichym jękiem osunęła się na bruk.

Poganka leżała w łóżku podparta poduszkami i jadła ostatni ekler czekoladowy, podnosząc go do ust prawą ręką. Lewą dłoń miała zabandażowaną, rękę w gipsie i na temblaku. Kate lakierowała jej paznokcie nóg jaskrawopomarańczową emalią. Niespokojnie podniosła wzrok.

- Dalej tak strasznie cię boli?

- Nie, po zastrzyku w ogóle nic nie czuję. Tylko nie mogę się pogodzić z tym, że byłam nieprzytomna, kiedy Paul wnosił mnie na górę. Ty byś mi nie skłamała, Kate, on naprawdę podniósł mnie w tych mocnych ramionach i trzymał mnie przy swoim męskim torsie i...

- Nie - odpowiedziała Kate. - W taki sposób żaden normalny mężczyzna nie mógłby cię wnieść po schodach. On się z tobą zataczał. Bałam się, że zjedzie na przełożoną i na mnie.

Poganka westchnęła lubieżnie. Paul był szoferem dyrektora szkoły i nieoficjalnym pozeraczem serc. Wszystkie dziewczęta urzekał swoją oliwkową twarzą, skośnymi czarnymi oczami, lśniącą czernią włosów, wyprostowany, smukły w biodrach, nabity w pośladkach jak toreador.

- Opowiedz jeszcze raz dokładnie - poprosiła, gdy Kate nakładała jej pędzelkiem na paznokieć palucha Oranż Orientalny.

- Byłaś za ciężka, żebym sama mogła cię wyciągnąć z rynsztoka, więc wbiegłam do hallu. Paul tam stał, opierał się o stolik, stał z założonymi rękami i czapką w ręce. Czekał chyba na starego Chardina. Kiedy tylko wyjaśniłam mu, co się stało, wyleciał z hallu, rzucił czapkę na chodnik i objął cię... okropnie upaprał tobą liberię, nawiasem mówiąc... dźwignął cię na lewe ramię trochę tak po strażacku, to znaczy jedną ręką obejmował ci plecy, a drugą ten pomarańczowy satynowy zadek. I tak wniósł cię do gabinetu Chardina prosto bez pukania, i położył cię na kanapie, ukląkł przy tobie i podniósł ci powiekę i... Dalszy ciąg też ci już mówiłam.

- Powiedz jeszcze raz.

- Pomacał pod spodem... podciągnął na tobie pulower i wrzasnął, żebym sprowadziła przełożoną i zatelefonowała do doktora, ale ja stałam jak wryta.

- Kate zachichotała. - Przypuszczam, że badał, czy serce ci bije. Nie wydawało się, by zauważył, że nie masz stanika. Tak czy owak, pobiegłam po przełożoną i kiedy

weszłyśmy, pulower był obciągnięty, a ty szeptałaś „Gdzie ja jestem?” akurat tak, jak powinnaś.

Drzwi nagle się otworzyły i wkroczyła przełożona, Szwedka, poprzedzając szkolnego portiera, który wtaszczył starą walizę ze świńskiej skóry. Za portierem stała pulchna dziewczyna w granatowym płaszczu. Uśmiechała się, ale z niepokojem w piwnych oczach. Miała zęby jak kozioł.

Przełożona zmarszczyła brwi.

- Nie wolno siedzieć na łóżkach. Nie wolno w sypialniach jeść, lakierować paznokcie wolno tylko w łazienkach.

Odwróciła się na pięcie i wyszła.

- Suka - powiedziała Poganka. - Parler-vous anglais?

- Trochę, ale jestem Francuzką i przyjechałam tu, żeby się uczyć angielskiego - odpowiedziała nowa. - Jestem Maxine Pascale.

- Przecież nikt się nie uczy angielskiego tutaj! - wykrzyknęła Poganka. - Ani francuskiego też, skoro już o tym mowa. Zobaczysz, Angielki i Amerykanki rozmawiają po angielsku, te z Ameryki Południowej po hiszpańsku, Włoszki bez ustanku wrzeszczą po włosku, a Niemki szczekają po niemiecku. Nikt nie mówi po francusku poza jedną Greczynką, i to tylko dlatego, że żadna inna nie zna greckiego. Mais nous pouvons practiquer sur vous.

- Francuszczyzna Poganki była skandaliczna, jak gdyby na dowód jej racji.

- Nie, będę z wami rozmawiać tylko po angielsku. - Stanowczo, z uśmiechem powiedziała nowa.

Podniosła swoją walizę na łóżko i zaczęła ją rozpakowywać, starannie wyciągając i wygladzając liczne arkusze karbowanej białej bibułki, którymi poszczególne części garderoby były poprzekładane. Jej rzeczy wyglądały raczej na wyprawę ślubną niż na odzież pensjonarki i gdy wieszala je w szafie, Kate i Poganka widziały naszywki Christian Dior.

- Słowo daję, musisz być bogata! - stwierdziła zachłystując się Poganka.

- Te ciuchy są boskie!

- Nie, nie jestem bogata - powiedziała Maxine. - Jestem tylko szczęściara. Mam ciotkę.

I rzeczywiście ciotka Hortense, mająca za sobą świetne, chociaż bezdzietne małżeństwo, była bystrą realistką. Uważała, że sensu nie ma wydawanie pieniędzy na wyprawę, kiedy już się złowiło męża. Szykowny ekwipunek jest potrzebny dziewczynie po to, by zrobiła możliwie jak najlepszą partię. Jest lokowaniem pieniędzy w jej przyszłość.

Tak więc ciotka Hortense zapędziła Maxine z matką do salonu Diora

i w końcu - nie pytając Maxine o zdanie - ciocia i mama wybrały granatowy wełniany płaszcz z ogromnymi guzikami iskrzącymi się jak szafiry; następnie sukienkę koktajlową z niebieskiej satyny pokrytej czarną koronką Chantilly i prosty niebieski wełniany kostium, z dodatkową plisowaną spódniczką w kremowo-niebieską kratę na zmianę pour le weekend. Ponadto wybrały morelową wełnianą sukienkę taktownie dyskretnym rozkloszowaniem maskującą nazbyt krągłe biodra Maxine, i ostatni ich wybór padł na długą do ziemi suknię z bladoniebieskiej tafty bez ramiączek, ale z króciutkim żakiecikiem do kompletu. To wszystko było wcięte w talii i poniżej bardzo szerokie; pięknie uszyte i dopasowane w ciągu trzech tygodni, przy czym Maxine pięć razy musiała przyjść do miary każdej z tych rzeczy i omal zemdląła dowiedziawszy się, że cena tych pięciu toalet wynosi 750 000 franków. Myślała wtedy, że nigdy nie będzie śmiała ich nosić.

Dziewczęta nie zeszły na podwieczorek, bo Kate - z cichą nadzieją pożyczania - przymierzała sztukę po sztuce wszystko, co Maxine przywiozła, a Poganka, która mając rękę w gipsie nie mogła przymierzać, skakała wokoło, zachwycona tymi wspaniałymi kreacjami. Imponowała nowej swoim wysokim wzrostem, swymi włosami i animuszem.

- Słowo daję, Kate, srebrne wysokie obcasy! Och, Maxine, masz stopy jak wróbel, do licha! - wykrzykiwała, gdy Kate ryła w walizie, aż bibułki fruwały. - Patrz, Kate, bluzka z prawdziwego krepdeszynu... i nocna koszula z koronki! Czy wiesz, Maxine, że w Anglii konfekcja jest wciąż jeszcze reglamentowana? Masz po prostu cuda! Och, jak ja tęsknię do czegoś ładnego!

Nie dając się na to nabrać, Maxine widziała, że Poganka to dziewczyna przyzwyczajona do otrzymywania tego, czego chce. Dziwne, że jest przyjaciółką Kate, takiej spokojnej, wyglądającej tak pospolicie, tak mysio pomimo purpury na paznokciach nóg, ale te dwie wyraźnie się lubią. Maxine szybko się dowiedziała, że razem chodziły do szkoły w Londynie i znają się, odkąd ukończyły dziesięć lat. To jednak

nie był jedyny powód ich przyjaźni. One miały z sobą coś wspólnego, zbliżyły się do siebie, bo zarówno jedna jak druga, chociaż z innych względów, była outsiderką. Kate dlatego, że jej ojciec był kłująco w oczy, szalenie bogaty, a Poganka, bo została przygotowana do życia, które już nie istniało. Świat jej przywileju zniknął na zawsze wraz z wielkopańską z kutego żelaza bramą dworu Trelawney, którą - podobnie jak patelnię z dworskiej kuchni - przetopiono na armaty w roku 1940.

Poganka, bardzo się różniąca pochodzeniem i akcentem od koleżanek w szkole Świętego Pawła, dziewczynek ze średnio zamożnej burżuazji, wydawała się wbrew swoim intencjom dosyć arogancka. I nawet na tej szwajcarskiej pensji, gdzie raczej nie przestrzegano zasad uniformizmu, też się wyróżniała bardzo szczególnym sposobem ubierania. Miała pięć stóp dziesięć cali wzrostu, budowę chłopięcą, tak że nic z gotowej konfekcji w sklepach na nią nie pasowało. W czasie wojny, gdy odzież surowo racjonowano i panny młode zbierały kartki odzieżowe z całego roku, żeby kupić jedną suknię ślubną dla ośmiu, wszystkie dziewczyny w Brytanii nosiły swoje rzeczy aż do zdarcia i szyły nowe sukienki ze starych obrusów, prześcieradeł i portier.

Natchniona tym powszechnym przykładem Poganka poszła na strych i rozpakowała garderobę swego zmarłego ojca. Najpierw nosiła jego kaszmirowe pulowery, jedwabne szaliki i bryczesy, potem sięgnęła po jedwabne koszule, które przepasane w talii służyły jej za sukienki. Pani Hocken w wiosce przerobiła jedwabny męski szlafrok granatowy w białe kropki z firmy Charvet na „najlepszą sukienkę” na niedzielę. W końcu Poganka zaczęła plądrować w innych, starszych kufrach na strychu. Do jedwabnych sukien babci z talią jak osa nie zdołała się dostać, ale wyciągnęła koronkowe bluzki mające sto lat i tak samo stare spódnice z butelkowitzelonego aksamitu i szafirowego jedwabiu. Wkrótce pozyskała sobie reputację ekscentrycznej z racji nie tylko dziwacznych poglądów, ale i dziwacznych strojów. Jednakże ta wysoka, smukła, o cudownych mahoniowych włosach, zawsze niedbała Poganka wyglądała zachwycająco.

Gong na kolację w L'Hirondelle zabrzmiał o pół do ósmej. Niechętnie odchodząc od wspaniałych rzeczy Maxine, ale czując głód, dały się porwać dziewczęcej lawinie rozpuszczonych włosów, podskakujących piersi i przenikliwego zapachu spod pach, gdy wszystkie pensjonarki zbiegały po schodach do jadalni ze starymi portretami w złożonych grubych ramach i z holenderskimi mosiężnymi żyrandolami, które zwisały z

ciemnych belek sufitu nad długim dębowym stołem. Wśród wrzawy Maxine zapytała o szkolny rozkład dnia.

- Poranny dzwonek o siódmej, śniadanie o pół do ósmej, lekcje od ósmej do dwunastej - wymamrotała Poganka, gdy Kate krajała jej kotlet barani na małe kawałki. - Dowolne sporty od drugiej do pół do piątej, a potem czas na naukę do pół do siódmej. Potem kolacja, światła się gasi o dziesiątej. Soboty i niedziele są wolne od pracy. Kościół, jak która chce. Quest-ce que tu penses du nourriture de lecole?

- Jest ohydne - odpowiedziała Maxine ze szczerego serca - jak twój francuski.

Poganka się tym nie przejęła.

- Nieważne. Monsieur Chardin powiedział mamie, że akcent mam doskonały. Kate, proszę, rozepnij mi portki w pasie... Już poznałaś dyrektora? Nie? No, to pospolity gad. Płaszczący się, służalczy, zobaczysz. W Londynie zatrzymał się u Claridge'a i złożyłam mu tam z mamą wizytę. Był w kanarkowym pulowerze i ubraniu w szachownicę, jakiego żaden Anglik nawet po śmierci nie chciałby mieć na sobie, a już szczególnie w mieście. Zauważyłam, że on nawet nie przeczytał moich świadectw szkolnych. Co nie szkodzi, bo są absolutnie rozpaczliwe... Miałam wrażenie, że ten Chardin łowi wszelkie pensjonarki, jakie się nawiną. Jemu wyraźnie chodzi tylko o pieniądze, nie sądzisz, Kate?

Kate przytaknęła. Powoli jadła czekoladowe herbatniki. Potrafiła jeść jeden herbatnik przez dwie godziny, skubiąc go zębami miarowo, jak szczur padlinę. Poprawiając sobie temblak Poganka mówiła dalej.

- Raczej dziwię się, że matka przysłała mnie tutaj, chociaż to podobno najlepsza szkoła w Szwajcarii i rachunki płaci dziadek, a nie ona. - Wytarła talerz kawałkiem chleba. - Poza tym, do licha, z pewnością potrzebny mi polor. To znaczy, dosyć słabo u mnie z porządkiem i z elegancją nie bardzo wiem, co mówić ludziom na przyjęciach, i nie umiem robić nic z tego, co robią dorosłe panny.

Kate powiedziała:

- Jesteśmy tu od tygodnia i jak dotąd prawie nie widziałyśmy Chardina. On mieszka z tamtej strony w szalecie i ma oddzielne drzwi frontowe. Zdaje się, że prowadzi życie niewiele mające wspólnego z tą szkołą. Na pewno jada inaczej niż my, bo czasami czujemy z kuchni zapach takich dań jak pieczona kaczka. To nie dyrektor szkoły w moim pojęciu.

- Dwie Brazylijki, które tu są od roku, mówią, że jest strasznie porywczy - dodała Poganka. - Ale tylko jedno go doprowadza do białej gorączki. Wyjście ze szkoły nocą. Jeżeli którąś na tym przyłapie, wpada dosłownie w histerię... i wyrzuca!

Zaległo pełne bojaźni milczenie. Wyrzucenie ze szkoły to los gorszy niż śmierć. Piętno takiej hańby pozostaje na całe życie.

Po kolacji połowa internatu wcisnęła się do sypialni Kate, żeby wpatrywać się w garderobę Maxine, aż do zgaszenia świateł. Ledwie przełożona sprawdziła, czy wszystkie dziewczęta są w sypialniach i czy wszystkie światła zgaszono, Poganka wysunęła się ze swojej alkowy wyglądając jak czerwono-skóry z nadwagą owinięta w pękatą pierzynę, jedyne nocne nakrycie Szwajcarów, i usiadła w nogach łóżka Kate. We trzy szeptały z sobą długo w noc. Maxine opowiadała o swoim młodszym rodzeństwie w Paryżu. Kate, która tak jak Poganka była jedynaczką uważała, że mieć dużą rodzinę to uciecha, z drugiej jednak strony paryska szkoła Maxine bynajmniej nie wydawała się ucieszna.

- My u Świętego Pawła musiałyśmy godzinami odrabiać lekcje - powiedziała Poganka. - Każdy przedmiot miał zabrać tylko dwadzieścia minut i na końcu trzeba było podać, jak długo się to odrabiało, więc naturalnie wszystkie kłamały, bo nie chciały wyjść na głupie. Kiedy wypracowanie o architekturze greckiej pisało się przez trzy godziny, podawało się, że dwadzieścia pięć minut. Wszystkie od Świętego Pawła to kłamczuchy i wszystkie mają słabe oczy, tak muszą wysilać wzrok w łóżku przy latarce, pod kołdrą.

- Moja mama poskarżyła się kiedyś naczelnej - powiedziała Kate - a ona posadziła mamusię na niskim krzeselku naprzeciw swojego ogromnego tronu i zadudniła: „Oczywiście Kate nie powinna odrabiać lekcji w łóżku, niech to robi w przerwie obiadowej albo niech opuści szkołę, jeżeli nie może podołać”.

- Ona była ogromna i władcza. Sunęła jak statek. Nie uwierzyłybyś, że ma nogi - powiedziała Poganka. - Siwa, uczesana w kok i w binoklach, nosiła bardzo staromodne pomarańczowe swetry, i to bez stanika. Było widać, że bez, ale myśmy nie śmiały tego widzieć. Grzmiała na nas grubym majestatycznym głosem. Kiedyś dostałam drugą nagrodę na konkursie czytania, bo po prostu ją naśladowałam. Bałam się, że mnie wyleją za bezczelność; ale jakoś nikt nie zauważył. Powiedzieli, że dobrze się zapowiadam.

- Dlaczego twoja mama posyłała cię do tej szkoły, jeżeli bała się dyrektorki? - zapytała Maxine.

- Nie dyrektorki - sprostowała Kate. - Naczelniej. Chodziłam tam, bo ojciec chciał, żebym była... najlepsza.

Ojciec chciał, żeby Kate otrzymała takie wykształcenie, jakiego sam nie miał. Wybrał dla niej szkołę Świętego Pawła, bo przeczytał, że kształcą się tam księżniczki krwi. Zawsze chciał mieć wszystko co najlepsze, i matka Kate brała to pod uwagę nawet przy zakupach. Kupując śliwki, pytała w sklepie: „Które są najlepsze?” Kupując krzesła, pytała: „Które są najlepsze?” I gdy kupowała suknię, nigdy nie mogła zdecydować, w czym jej najbardziej do twarzy, więc też pytała ekspedientkę, która jest najlepsza, a ekspedientka naturalnie wybierała dla niej najdroższą i tak było dobrze, bo rzeczy są tym lepsze, im drożej kosztują.

Matka Kate również ulegała wpływom królewskim, więc ubierała się jak królowa. Spokojna, nobliwa garderoba Kate pochodziła z firmy Debenham i Freebody, ponieważ tam ubierano królowy i na firmowych pudłach był nadruk: Dostawcy Jej Królewskiej Mości. Kate nie cierpiała tego sklepu, tych marmurowych rozbrzmiewających echem sal z filarami i sędziwych, niesłychanie uprzejmych ekspedientek, które były paniami z towarzystwa i znały lepsze czasy. Wolałyby kupować jak inne dziewczęta u Selfridge'a tanie, bawełniane kopie modeli New Look.

Matka Kate miała również to co najlepsze w ich domu w Greenways. Jej antyki były kosztowne, ale jakoś te pięknie rzeźbione krzesła, kanapy obite brokatem i atlasowe zasłony z gęstymi frędzlami nie mogły ani rusz złożyć się na takie wnętrza wytworne od niechcenia, jak mieszkanie matki Poganki w Kensington, gdzie znalazły się proste meble z dworu Trelawney, interesujące i dobrze dostosowane, chociaż trochę zniszczone, i gdzie porcelana była tu i ówdzie poobtłukiwana, ale jeśli coś służy rodzinie przez sto pięćdziesiąt lat, to chyba zrozumiałe, czyż nie?

Kate nie cierpiała drobnomieszczańskiej doskonałości Greenways. Drzewa i krzewy z obu stron podjazdu po zapadnięciu zmroku jaśniały w blasku reflektorów; ojciec Kate uważał, że to wygląda stylowo i eksponuje kolumnadę werandy. W domu na parterze krzesła, kanapy i stoły były za duże, abażury i obrazy za małe; w jadalni z plastikową boazerią żyrandol składał się z elektrycznych świec w kapturkach z podrabianego pergaminu. Na piętrze sypialnie były zdumiewająco gołe. Ostatecznie wchodziło się do nich tylko po to, żeby spać, więc ojciec Kate nie widział celu w wydawaniu pieniędzy na ich urządzenie.

Kate przyjeżdżała do szkoły ojcowskim Rolls-Royce'em. Ten samochód z szoferem oddzielał Kate od jej koleżanek. One nie miały tylu sukienek, żeby co dzień wkładać inną, i do szkoły przyjeżdżały autobusem albo koleją podziemną. Zawsze kazała szoferowi zatrzymać Rollsa na końcu ulicy i pozostały kawałek drogi szła pieszo. Ten podstęp stał się powszechnie wiadomy, ale koleżanki uznały, że Kate słusznie nie chce się popisywać; popisywanie się było jednym z większych przestępstw szkolnych.

Niestety ojciec Kate popisywał się aż zanadto. Gdy przyjmowała koleżanki w domu, pokazywał im swoje samochody i pytał, jak myślą, ile pieniędzy ostatnio zarobił albo co kupił w zeszłym tygodniu. Później odbywał z nią małe pogawędki, mówił, z którymi koleżankami powinna, a z którymi nie powinna się przyjaźnić. W końcu przestała zapraszać gości. Zaczęła jadać obiady i spędzać czas z Poganką, też odludkiem, bo uważaną w szkole za dziwaczkę. To było niezwykle, żeby dziewczynka w tym wieku, z dobrego domu, tak dalece nie dbała o swój wygląd i żeby tak zupełnie jej nie obchodziło, co ludzie o niej myślą. Poganka ze swojej strony nie ukrywała, że te sumienne, pracowite uczennice Świętego Pawła nudzą ją tak samo jak jazda konna w kurzu po londyńskim parku, gdy serce jej się wyrywa do galopowania z włosami rozwianymi w podmuchach słonego wiatru po wrzosowiskach Komwalii.

Ojciec Kate obsypywał zaproszeniami Pogankę i jej matkę – która wyraźnie była z „wysokich sfer” - i nawet zaproponował im wycieczkę morską na Majorcę (mówił: Madzorka), chociaż to zaproszenie zostało grzecznie odrzucone. Kate wiedziała, dlaczego ojciec lubi matkę Poganki, wiedziała, że ojciec chce wydać ją za męża, może nawet za kogoś utytułowanego, tylko nie wie, jak tego dokonać, ale ostatecznie ma na to „fundusze”, a matka Poganki przecież zna ludzi z tytułami i przy tym zna się „na rzeczy”. Ojciec wysłał Kate do L'Hirondelle, bo Poganka tam jechała. Skoro „na rzeczy” jest szwajcarska szkoła dla młodych panien, Kate musi tę szkołę ukończyć.

Poganka dokuczała Kate w związku z cichymi nadziejami jej ojca.

- Kiedy będziesz markizą, nie pytaj, którędy do kio. Powinnaś pytać, którędy do łazienki.

- Czy to istotne, kiedy i tak wiadomo, dokąd chcę iść? - pytała Kate zirytowana, ale ukradkiem czytała powieści Nancy Mitford i dowiadywała się, co sprawia, że się jest „U” (uprzywilejowana klasa) w przeciwieństwie do tłumów „nie U”. Już mówiła „chodź tutaj” zamiast „pozwól tutaj”; „na razie” zamiast „jak na razie”, „nie życzę sobie” zamiast

„niemam życzenia" i gościom proponowała „kieliszek sherry", a nie „sherry". Ćwiczyła się też w akcentowaniu, szczekliwym i jednocześnie ospałym cedzeniu słów, ale szybko pojęła beznadziejność tych wysiłków. Wydaje się, że angielszczyzna wyższych sfer jest angielszczyzną królewską, naprawdę jednak jest to jakiś tajemny język pełen subtelnych odniesień, których skutecznie można się uczyć jedynie od kołyski. W kręgu „U" tylko jedną rzecz uważa się za gorszą niż niezajomość tych subtelności, a mianowicie udawanie, że się je zna, małpowanie lepszych od siebie. Jedno małe potknięcie i to się ujawniało: wystarczy raz powiedzieć o Królewskiej Eskadrze Jachtów: Królewski Jacht-Klub, lub powiesić fotografię rodzinną na ścianie, gdy powinna w srebrnej ramce od Asperea stać na bocznym stoliku, i już się zasłużyło na wieczne potępienie.

Czasami Kate nocowała u Poganki w Kensington niedaleko Świętego Pawła - chociaż po tamtym strasznym piątku wynajdywała różne wymówki, żeby u niej nie nocować. Zawsze czuła się winna, ilekroć sobie przypominała tamten listopadowy weekend.

Poganka mieszkała na najwyższym piętrze kiedyś eleganckiego, teraz nieco odrapanego domu w Ennismore Gardens. Przez całe piątkowe popołudnie grały w hokeja. Potem Poganka wyszła, żeby coś załatwić dla matki, a spocona Kate zdecydowała się wykapać. Ledwie naga stanęła przy wannie, drzwi nagle się otworzyły i do łazienki wkroczyła pani Trelawney w białym pluszowym szlafroku. Jakoś Kate wiedziała, że to nie jest przypadkowe, więc się zdenerwowała. Zamiast przeprosić i wycofać się - jak można by się spodziewać - pani Trelawney ruszyła ku niej i szkarłatnymi wargami, na których skropiła się para, uśmiechnęła się, gdy ona chwyciła ręcznik. Z bliska zaleciało aromatem dżinu.

- Jakie śliczne piersiątko - powiedziała pani Trelawney ochryple. - Ciało dziewczynki jest o wiele delikatniejsze niż ciało chłopca, nie sądzisz? Większość mężczyzn tego nie docenia, oczywiście. Oni nie doceniają delikatności tych piersi, tych brodawek.

Kate, zaciskając na sobie ręcznik, cofnęła się w ciasny kąt pod oknem pomiędzy umywalnią i sedesem, gdzie znalazła się rzeczywiście w pułapce.

- Chyba zauważyłaś, że... - Ręka nagle się wyciągnęła i palce z polakierowanymi paznokciami zwarły się na jej brodawce sutkowej.

Zdrętwiała ze zgrozy Kate nie mogła się ruszyć. Ku swemu oszołomieniu i upokorzeniu, poczuła raptowny dreszcz w pachwinie. Widziała pory na nosie pani Trelawney, opadające mięsiste fałdy pod oczami, czarne grudki tuszu na rzęsach. Pani

Trelawney zbliżała się i przytrzymała ją, drugą ręką usiłując zerwać z niej ręcznik. Pochyliła się tak, że widać było biały przedziałek w jej włosach. Język jej pełzał szybko jak wąż po piersi Kate, gdy palce wsunęły się w krocze dziewczyny mocno, boleśnie, a przecież podniecająco. Na chwilę Kate dała się erotycznie zahipnotyzować; potem kolana się pod nią ugięły i padła na podłogę odpychając tę kobietę. Zdyszana, podniosła jedno kolano, żeby kopnąć w razie ponownego ataku. Nic nie powiedziała, tylko oczy jej błyszczały lękiem i gniewem.

Pani Trelawney zrozumiała. Rzadko popełniała błędy, i jeśli jej się to zdarzyło, umiała się wycofać.

Odsunęła się.

- Zostawiam cię, możesz wykapać się spokojnie - i mówiąc to łagodnie, tonem idealnej pani domu, jak gdyby nigdy nic wyszła z łazienki.

Kate wskoczyła do wanny. Siedziała cała drżąca, ale czuła się bezpieczna, nie ruszyła się więc, dopóki woda nie wystygła. Już do końca tamtego weekendu unikała sam na sam z matką Poganki, a później minęły miesiące, zanim zdobyła się na wizytę u nich ponownie. Pani Trelawney zachowywała się wtedy tak normalnie, że tamto wszystko wydawało się Kate wybrykiem fantazji. Czyż możliwe, żeby mylnie coś sobie wytłumaczyła?

Jednak tamtych parę minut miało wywrzeć dalekosiężny wpływ na życie miłosne Kate w przyszłości, gdy w namiętym uścisku mężczyzny czuła podniecenie seksualne omal nie do zniesienia - i natychmiast lęk, wstręt i wstyd.

Rozdział trzeci.

Dźwięki fortepianu, szczękanie porcelany i od czasu do czasu czysty śmiech przebijały się przez gwar w Wielkim Hallu hotelu Imperial. Ludzie tu napływali od czwartej po południu, wracając na podwieczorek albo na koktajle. Pod pogodnym wzrokiem olejno namalowanej Madonny hostessa brydżowa sprawdzała swoją listę i na stole tryktraka już grzechotały pierwsze kości. Przy jednym z rogów księżę Aga Khan szeptał coś do ucha kruczowłosej Latynosce. Nie opodal smukła młoda Elizabeth Taylor sięgała po czwarty kawałek tortu Sachera.

Wahadłowymi drzwiami wszedł, otoczony gromadką satelitów o kamiennych twarzach, Aristoteles Onassis. Tuż za nim wsunęła się mała blondynka z plikiem książek pod pachą. Gorzej nie mogłaby wejść dziewczyna, która nie chciała być zauważona, bo odźwierny, główny kelner i maitre d'hotel z odwróconymi głowami już tam patrzyli, żeby jeden z najbogatszych ludzi świata został obsłużony należycie. Za Onassisem Judy Jordan starała się wyglądać jak turystka mieszkająca w tym hotelu, szła w stronę windy dosyć prędko i zbliżając się do kontuaru recepcji, patrzyła prosto przed siebie. Była w plisowanej spódnicy w kratę, białym swetrze zapiętym na guziczki na plecach, białych skarpetkach do połowy łydek i dwukolorowych półbucikach. Już prawie przy windzie. Jeszcze piętnaście kroków... dziesięć... pięć, niech to diabli! Grupa arabskich goryli nagle się pojawiła z obu stron windy. Judy mignął schludny oliwkowy kark wysokiego bruneta, który wszedł do windy przed adiutantem w europejskim mundurze wojskowym. Ze względów bezpieczeństwa nikomu nie wolno było jeździć windą z księciem Abdullahem czy kimkolwiek innym z Sydońskiej rodziny królewskiej, stale zajmującej dwa

apartamenty w hotelu Imperial, kiedy ten osiemnastoletni książę kształcił się w Le Mornay.

Judy skrzyła więc w stronę schodów, żeby poczekać, ale ktoś położył jej ciężką rękę na ramieniu.

- Frdulein - syknął odźwierny - Wielki Hall to nie miejsce dla ciebie, panienko. Są schody dla służby i nawet nie należysz do stałego personelu. To już ostatnie ostrzeżenie, zanim zostaniesz zwolniona.

- Przepraszam, zatrzymali nas dłużej na studium językowym i jeszcze muszę się przebrać do pracy w Chesa. Chciałam sobie zaoszczędzić trochę czasu.

- Żadna wymówka nie jest wymówką w Imperialu. Idź do schodów służbowych.

Toteż zamiast wjechać windą Judy musiała piąć się po stu dwudziestu pięciu stopniach, po czym już biegiem po dwóch ostatnich kondygnacjach dotarła na pochyłe poddasze, gdzie oddzielone cienkimi przepierzeniami pokoiki służbowe były jak pudełka do butów.

Rzuciła książki na szary pled i zaczęła szybko przebierać się w strój, który nosiła jako kelnerka w hotelowej kawiarni Chesa. Jeszcze trzy dni do wolnej niedzieli, pomyślała ściągając tasiemkę przewleczoną przez dziurki przy dekolcie haftowanej białej bluzki. Wskoczyła w fałdzistą czerwoną spódnicę z szerokim paskiem i zacieśniła sznurowanie

czarnego gorsecika. Jeszcze ściągając czarną sznurówkę pobiegła na koniec korytarza, zastukała do drzwi i otworzyła je, nie czekając na odpowiedź.

Nick leżał na żelaznym łóżku. Rękawy białej koszuli miał podwinięte, nogi w czarnych spodniach założone jedna na drugą duży palec sterczał mu z dziury w starej skarpetce.

- Rok tysiąc dziewięćset dwudziesty ósmy był tak dobry jak tysiąc dziewięćset czterdziesty piąty - powiedział - Medoc, Graves, St Emilion i Pomerol wyjątkowy rocznik, wytrawne białe wina Bordeaux niezupełnie tak dobre, ale Souternes rocznik doskonały. - Rzucił podręcznik na łóżko. - Egzamin winiarski w przyszły wtorek. Masz czas, żeby mnie przepytac, Judy?

- Nick, wykluczone. Jestem spóźniona. Zajrzałam tylko, bo chcę cię poprosić: zwęźd dla mnie coś w kuchni, gdybym ja nie mogła.

- Za młoda jesteś na śmierć głodową - powiedział spuszcżając nogi z łóżka i siadając.
- Przymknij, że niedzielę spędzisz ze mną to w te kelnerskie kieszenie z plastikową podszewką nakradnę tyle, że przez trzy dni będziesz miała co jeść.

- Umowa stoi. W niedzielę przepytam cię z roczników.

- Dobrze. Wpadnę do Chesa później na kawę przed pracą. Wszystko, byleby znów cię zobaczyć.

Rzuciła mu całusa w powietrze i wybiegła. Ze stu dwudziestu pięciu stopni służbowych schodów zeszła do kawiarni.

Pomimo swej kipiącej energii Judy czuła wielkie zmęczenie - doprawdy wolałaby niedzielę przeleżeć w łóżku. Minęły niecałe trzy miesiące, odkąd przyjechała do Szwajcarii, a już była wciąż wyczerpana. Od ósmej rano do pół do czwartej po południu uczyła się na kursach lingwistycznych, odrabiała lekcje w ciągu godziny przeznaczanej na obiad. A potem aż do pierwszej w nocy pracowała w kawiarni Chesa, z krótką tylko przerwą na przekąskę. Nie było w Szwajcarii żadnych przepisów związków zawodowych, ale też nie było problemu z pozwoleniem na to, by pracować. Miała szczęście, że dostała tę posadę kelnerki. Pastor Hentzen zaprotegował ją na początku letniego sezonu, gdy w hotelu potrzebowano rąk do pracy. Została przyjęta na dwa miesiące, a potem ją zatrzymano. Zarabiała o wiele mniej niż wszystkie inne kelnerki w Chesa. Prawie za mało na zapłacenie rachunku w pralni, ale miała przynajmniej gdzie spać i co jeść, a właśnie to się liczyło.

Maxine, Kate i Poganka siedziały w Chesa z czwartą dziewczyną, którą zaprosiły tylko z jednego powodu - jej brat był w Le Mornay. Ale Poganka już pół godziny temu doszła do wniosku, że jeśli Nigel jest bodaj trochę podobny do tej swojej niemądrej, krowiastej siostry, szkoda starań, żeby go poznać.

- Tatuś mówi, że ta szkoła rzeczywiście zmieniła Nigela, on teraz jest niewiarygodnie ustosunkowany - klepała Francesca. - Tatuś mówi, że uważa opłaty tej szkoły za dobrą lokatę, bo trzeba, żeby Nigel miał perspektywy międzynarodowe, a w Le Momay poznaje się tylko ludzi z pieniędzmi i nazwiskami. Wszyscy nafciarze tam posyłają synów. I to wcale nie wygląda jak szkoła. To stary zamek nad Lac Leman. - Wgryzła się w ciastko z kremem. - I mogą jeździć do Genewy albo do Lozanny w wolne wieczory i wyjeżdżać na weekend, jeżeli rodzice dadzą pozwolenie. - Wzięła jeszcze jedną tete de negre. - Pracy mają mnóstwo, ale nie muszą tak siedzieć w zamknięciu jak my, Hirondelles. I oczywiście mogą chodzić na sobotnie bale. Co sobota przez całą zimę odbywa się bal w którymś z hoteli, wiecie, chociaż Nigel chodzi tylko na eleganckie bale w Imperial albo Palace.

- Nigdy nie byliśmy na balu - powiedziała Kate. - Nawet nie umiemy tańczyć.

- Nic poza polką i szkockim skakaniem - dla ścisłości dodała Poganka. -Tego nauczyliśmy się w szkole.

Chłopcy, bale, wspaniałe hotele, to wszystko było kolosalnie porywające i niepokoiło. Szczęśliwa, szczęśliwa Francesca, że ma starszego brata, pomyślały.

- Kiedy chłopcy z Le Mornay przyjadą tutaj?

- Są w Gstaad przez trzy miesiące, od stycznia do marca. Mamusia mówi, że to tak dobrze zaplanowane... po feriach gwiazdkowych kufer Nigela po prostu wysła się do Gstaad zamiast do Roue.

- Przypomniało mi się - skłamała szybko Poganka. - Przełożona prosiła, żeby ci powiedzieć, Francesca, musisz pójść na pocztę. Jest paczka dla ciebie, opłata pocztowa trzy franki.

Francesca pisnęła ucieszona, zapłaciła swój rachunek i odeszła w pośpiechu.

- Już bym jej dłużej nie zniosła - na cały głos wyjaśniła Poganka.

- Ja też - powiedziała mała kelnereczka. Poganka odwróciła się i nagle sobie uświadomiła, że ta dziewczyna w tradycyjnym stroju szwajcarskim jest tą uratowaną z

urwiska. Jej krótkie jasne włosy wyglądały tak, jakby je obcięła nożycami kuchennymi, co zresztą zrobiła. - Ocaliłaś mnie...

- Dobrze, że zdajesz sobie z tego sprawę! - warknęła Kate.

- ...i zламаłaś rękę!

- Nie, tylko zwichnęłam ramię - powiedziała Poganka. - Wyszłaś bez szwanku?

- Prawie bez draśnięcia, ale naprawdę się bałam. Kolana później miałam jak z waty przez długie godziny. Nie wiem, co powiedzieć poza tym, że dziękuję. Wiem, że nie powinnam była tak odbiec...

- W porządku. Nick wytłumaczył - Poganka się uśmiechnęła.

- Ty może wyszłaś bez draśnięcia - dalej warczała Kate. - Ale Poganka nie. Ona zemdląła. I miała rękę tak jak ramię porozdzieraną na kawałki. Musiała przez dwa dni leżeć w łóżku.

- Zamknij się, Kate. Co za sens wywoływać w niej poczucie winy? Ostatecznie nie spadła z tego urwiska celowo.

- Ja nawet nie spadłam. Ziemia mi się osunęła spod nóg. Bardziej chyba martwiło mnie, że się spóźnię, niż to, że mogę być zimnym trupem.

- No, nie mówmy o tym - mruknęła Poganka zakłopotana. - Hej, patrzcie, kto przyszedł!

Pomachała ręką do Nicka, który właśnie się ukazał w ciężkich, rzeźbionych dębowych drzwiach. Odpowiedział jej tym samym, schylając głowę, by przejść pod belką szerniałą w ciągu stuleci od dymu z paleniska. Chesa o ścianach grubych na długość ręki była o wiele starsza niż cały hotel. Zbudował sobie ten dom jakiś wieśniak w siedemnastym wieku.

- Już nie mogę rozmawiać - powiedziała Judy - ale Nick i ja jesteśmy wolni w niedzielę i bardzo byśmy chcieli spotkać się z wami jak należy... podziękować jak należy. I ja coś dla ciebie mam.

Pospiesznie znów napełniła ich filiżanki gorącą czekoladą i odbiegła z tacą, odprowadzona wzrokiem Nicka wyraźnie zadurzonego.

W niedzielę po południu drzwi kawiarni Chesa raptownie się otworzyły i jak przywiani podmuchem zimnego powietrza weszli Judy i Nick. Judy była w swoim uniformie niedzielnym, czyli w niebieskich dzinsach podwiniętych do połowy łydek, w

dwukolorowych półbucikach i białych skarpetkach, w kurtce amerykańskiej marynarki wojennej. Rozejrzała się i rozpromieniła na widok ich trzech.

- Hej tam! - zawołała.

Wręczyła Pogance prezent: duże pudełko w gwiazdkowym opakowaniu, owiązane białą lśniąca wstążką. W pudełku była para ręcznie zrobionych szkarłatnych skarpetek ze skórzanymi podeszwami. Poganka się zachwyciła.

- Pasują do mojego temblaka - powiedziała i uparła się, żeby Kate natychmiast jej te skarpetki włożyła.

Maxine zwróciła się do Judy.

- Dlaczego rodzice przysłali cię tutaj na kursy językowe, a nie do szkoły?

- Nigdzie mnie nie wysłali. Nie mówiłam im, bo nie przypuszczałam, że ja to stypendium wygram... no więc kiedy wygrałam, mama była wściekła. Powiedziała, że piętnaście lat to za młody wiek, żeby wyjeżdżać z domu, i wydziwiała, dlaczego ja chcę się uczyć obcych języków. Ale nasz pastor mamę przekonał, że powinnam wykorzystać zdolności, które dał mi dobry Bóg. - Judy uśmiechnęła się od ucha do ucha. - Tutejszy pastor ma czuwać nade mną. On chyba myśli, że zamierzam być afrykańską misjonarką, więc potrzebny mi francuski i niemiecki dla tych pogan w Kongo Belgijskim i Afryce Wschodniej.

- A ty nie zamierzasz? — Maxine ostrożnie wygładziła fałdy swojej najlepszej spódnicy, którą włożyła, bo ostatecznie w dwudziestu pięciu procentach miała rendez-vous z Nickiem.

- Nie. Pojadę do Paryża - odpowiedziała Judy stanowczo.

- Sama? Rodzice ci pozwolą?

- Nie wiem. Zawiadomię ich, kiedy już tam będę i dostanę jakąś pracę. Bo może by nie pozwolili - wyjaśniła Judy.

Z czią i bojaźnią te trzy z L'Hirondelle milczały. One nigdy jeszcze nie myślały o przyszłości, nie planowały niczego dalej niż do następnych ferii. Jak w dziecięcej książce z ilustracjami do kolorowania, wszystko na obrazku ich przyszłego życia było wyraźne i proste, i już przez kogoś obmyślane. Każdą z nich za schodkiem ślubnego ołtarza czekało szczęście na zawsze i jedynym fragmentem nie narysowanym była twarz królewicza z bajki. Praca Judy wydawała się tym trzem dziewczynom czymś konkretnym w przeciwstawieniu do niechętnego wystukiwania na maszynie „Proszę przyjąć wyrazy głębokiego

szacunku", na zakończenie listu urzędowego z podręcznika, czy też w przeciwstawieniu do siekania cebuli pod okiem mademoiselle uczącej je sztuki kulinarnej. Kate z przejściem zaczęła wypytywać Judy o kursy językowe.

- Tak, oczywiście te kursy są skomasowane - powiedziała Judy. - Ale to dobrze, bo mam tylko rok, żeby nauczyć się mówić płynnie po francusku i po niemiecku. Wszystkim innym kursantom tak samo się spieszy. Wszyscy są starsi ode mnie... rzeczywiście starzy, niektórzy powyżej trzydziestki! Ci, którzy w swoich interesach muszą znać jeszcze jeden język, zlatują do Gstaad z całego świata i godzinami siedzą w kabinach ze słuchawkami na uszach. Mój niemiecki jeszcze nie nadaje się do konwersacji. Naprawdę zamiast rozmawiać z Nickiem, chyba powinnam ćwiczyć się w niemieckim.

Nick popatrzył na nią czule.

- Przecież my prawie nie mamy czasu na rozmowy. Do naszych pokoiów przychodzimy tylko, żeby się przespać. Ja zaczynam nakrywać stoliki do śniadania już o siódmej, potem od razu pracuję w restauracji aż do trzeciej po południu. Potem jest przerwa do pół do siódmej wieczorem, a następnie znów restauracja aż do jedenastej. Jeżeli nie ma jakiejś uroczystości, bo wtedy praca się przeciąga do drugiej nad ranem, a pobudka zawsze o siódmej.

- Mamy szczęście, że nam dali takie sypialnie - powiedziała Judy. - Chłopcy na kelnerskiej praktyce wypożyczeni z Lausanne Palace mówią, że ich jest po pięciu w jednym pokoiku pod samym dachem, a w Palace Saint Moritz, jak słyszałam, personel sezonowy musi spać w suterenie.

- Boże, czuję się tak, jakby L'Hirondelle była domem wypoczynkowym! wykrzyknęła Poganka, której dość odpowiadał nudny, ospały tryb życia w tej szkole, podczas gdy Kate wprost rozjątrzało lenistwo na nudnych lekcjach.

Po tym spotkaniu Judy zawsze zachowywała dla nich wolny stolik w Chesa w środę po południu, kiedy to piły po jednej drogiej filizance czekolady przez bite dwie godziny, a po południu w niedzielę Nick zabierał je wszystkie na podwieczorek do któregoś z lokali, gdzie jadły i jadły, aż im się uszy trzęsły.

Niezależność Judy wyraźnie urzekała trzy pensjonarki. Zazdrościły jej energii, wigoru i wesołości nie orientując się, że Judy musi codziennie rano się mobilizować, żeby przetrwać harówkę dnia. One niechętnie przestrzegały szkolnego rozkładu zajęć, Judy sama sobie narzuciła rozkład bardzo surowy i trzymała się go zawzięcie. Były też

zaintrygowane dobitnością jej wypowiedzi. Bo Judy mówiła dokładnie to, co myślała, a im trzem, bardziej uprzywilejowanym, od dzieciństwa wpajano, że należy swoje uczucia ukrywać i że po prostu nie wypada wyrażać swych pragnień i swego zdania.

Szybko pojęły, że Nick - zadurzony w Judy i świata nie widzący poza nią - jest takim właśnie starszym bratem, jakiego zawsze chciały mieć, żeby je podziwiał i chronił, żeby się z nimi przekomarzał, żeby im przedstawiał chłopców i płacił za ich eskapady. Nick był kimś bezpiecznym. Kimś, kto nie uczestniczył w tej uda-się-czy-nie-uda seksualnej grze o skalpy, więc wszystkie trzy instynktownie w szczególny sposób flirtowały z Nickiem. Mogły być wobec niego skandalicznie wyzywające i wcale nie bać się następstw, mogły ćwiczyć się w tańcu na linie nad siatką ochronną jeśli miejsce tu na takie porównanie.

Nickowi podobała się ogromnie i pochlebiała nowa rola kawalera trzech sympatycznych, acz wymagających panienek. Wychowany w kamiennym chłodzie tradycyjnych brytyjskich internatów, lękliwy dzieciak ze wsi niewiele miał możliwości spotykania dziewcząt sympatycznych czy antypatycznych. Ale zachowywał się pięknie i gdy już opanował sztukę nieoblewania się rumieńcem, był dumny jak pasza eskortując je cztery. Odgrywanie takiej ważnej roli w tym, co inne dziewczyny z L'Hirondelle zawistnie nazwały „paczką” sprawiło, że Nicka wkrótce opuściła nieśmiałość jedynaka, rozwiały się jego wątpliwości co do samego siebie, dręczące brytyjskich nastolatków. Maxine, Poganka i Kate wiedziały, że na zabawach tanecznych, cotygodniowych od połowy grudnia, poznają innych chłopców, ale chociaż tymczasem miały Nicka, nieraz się niecierpliwiły i łaknęły przygody.

- Może mogłybyśmy której nocy wymknąć się tylnymi drzwiami i pójść do jakiegoś boskiego nocnego lokalu, na przykład do Gringo - zaproponowała w pewne niedzielne popołudnie Poganka po ogromnej bananowej melbie.

Nick raptownie podniósł wzrok i odgarnął z czoła swe czarne włosy.

- Lepiej uważać, wiesz. Wylecicie ze szkoły, jeżeli was przyłapią... i jest coś jeszcze. - Zarumienił się. - Coś paskudnego. Znacie Paula, kierowcę starego Chardina?

- Tak, szofera - przytaknęła Kate.

- Nie, on jest kierowcą - poprawiła Poganka. - Chyba, że mówisz po francusku.

- Szofer czy kierowca, wiecie, co mam na myśli. No, Chardin, to... hm... homoseksualista i Paul jest jego przyjacielem. Wiem, że tak, bo Paul za plecami Chardina romansuje z jednym z kucharzy w Imperialu. - Zaróżowił się jeszcze bardziej. -

To, co wam teraz powiem, to tylko pogłoska, ale słyszałem ją kilka razy. Wszystkie wiecie, że Chardin kocha pieniądze.

Wszystkie przytaknęły.

- No, mówi się w miasteczku, że kiedy któraś da się poza szkołą przyłapać z chłopcem, on natychmiast ją wyдалa... jeżeli jej ojciec nie zapłaci łapówki, żeby uniknąć tej hańby. To może być zupełnie niewinna sprawa, coś dla żartu, nic poważnego, ale Chardin to wyolbrzymia w międzymiastowej rozmowie z rodzicami. I zawsze jest ważniejsze słowo Chardina i taka biedaczka musi przyznać, że wymknęła się ze szkoły, więc rodzice wierzą w to najgorsze i płacą.

- Nie do wiary!

- Skąd wiesz?

- Czy ludzie się orientują że on jest homoseksualistą?

- Wszyscy kelnerzy tutaj wiedzą, że Chardin to pedał - powiedział Nick. - Od lat ma przystojnych kierowców, chociaż wcale kierowcy nie potrzebuje. Jest taki bar za miasteczkiem, Le Cous Cous... dość dziwne typy w nim bywają... ja bym tam nie wszedł, mówię wam!

- Ale czy on by się nie bał szantażować? - zapytała Poganka.

- Jeżeli te historie o szantażach są prawdziwe, to Chardin prowadzi niebezpieczną grę, ale nie aż tak niebezpieczną, jak się wydaje. On wybiera swoje ofiary starannie. A ma z czego wybierać. Chyba nawet przez chwilę nie przypuszczacie, że nie mógłby powstrzymać dziewczyn od wymykania się w nocy, gdyby chciał. Rodzice takiej jego wybranej zawsze są gdzieś daleko w innym kraju i są bogaci. Chardin nigdy nie żąda sum, których by nie mogli łatwo wyłożyć. O ile dobrze słyszałem, najniższa stawka to cena rocznych korepetycji. Na ogół, takich rodziców stać na uniknięcie skandalu i ponieważ są w różnych krajach, nie kontaktują się ze sobą więc nie ma niebezpieczeństwa, że się na ten temat dogadają.

Poganka, Kate i Maxine wprost piły słowa z ust Nicka, zafascynowane tak straszliwie niecnymi możliwościami.

- Więc na miłość boską bądźcie ostrożne. Na wszelki wypadek, gdyby te pogłoski były zgodne z prawdą. Ja wiem, że to plotki, ale wciąż krążą pocztą pantoflową w hotelu. I nie koniec na tym. Niektórzy mówią że Paul jest biseksualny.

Nastąpiła przerwa, w czasie której Nick wyjaśnił, co to znaczy: biseksualny. Policzki mu już płonęły i żałował, że poruszył ten temat, ale zarazem pochlebiała mu uwaga audytorium.

- Podobno, jeżeli bardzo bogata dziewczyna wymknie się w nocy i Chardin ją przyłapie, to może zostać z rozmysłem uwiedziona przez Paula i sfotografowana w... hm... kompromitującej pozycji. Barman w Imperialu mówił mi, że w zeszłym roku ojciec jednej z tych Brazylijek wypił trochę za dużo i zaczął przeklinać Chardina. Powiedział, że przyleciał tylko dlatego, że dyrektor szkoły go szantażuje i że on nie może zwrócić się do policji, bo jego córka jest w to wmieszana i gdyby ten skandal przeciekł, żona nigdy by mu nie wybaczyła... On musi chronić nazwisko rodziny i reputację córki, bo inaczej nie wyda jej dobrze za mąż i tak dalej... A potem powiedział, że nigdy nie wybaczy córce tego, że znalazł się przez nią w takiej sytuacji, bo nie może ryzykować zdemaskowania Chardina. Są fotografie jego córki z Paulem. - Nick uśmiechnął się. - To musiały być dosyć niezwykle fotografie. Powiedział barmanowi, że zapłacił za nie trzydzieści sześć tysięcy franków szwajcarskich. Gotówką.

Zycie w L'Hirondelle płynęło Pogance, Maxine i Kate w uroczej mgie czułości i naiwności. Pod kobiecymi kształtami te pensjonarki były jeszcze dziećmi, kipiące szczenięcą energią i wylewnością chichotały, piszczały, biegały, i na ogół zachowywały się dosyć niemądrze. Na lekcjach się nudziły, fascynowała je miłość, pragnęły uczyć się, czym jest namiętność, i miały tylko jedną ambicję - zakochać się. W szampańskiej atmosferze oczekiwania przygotowywały się do tego, żeby być kobietami! Przez długie godziny z magazynem otwartym na stronicy porad i wykresów w jednej ręce, a w drugiej z kosztownymi tubami kosmetyków biedziły się, czy mają twarze owalne, okrągłe czy kwadratowe. Dużo czasu zabierały im dyskusje, jak się ubierać, przymierzanie sukienek, zamienianie się rzeczami. Wszystkie nosiły szerokie paski ściskające je w talii, baletki na nogach, ogromne kloszowe spódnice, blad różowe albo niebieskie sweterki i sznurki perełek. Staniki Amerykanek rozdzielały piersi w dwóch stebnowanych okrągłych miseczkach, które sterczały ku niebu jak dwa jednakowe stożki do lodów. Każda nowa amerykańska pensjonarka już w drugą swoją sobotę pędziła do miasta, żeby kupić podobny koronkowy stanik francuski. Po czym te dziewczyny w nieskończoność porównywały swoje nowe buńczuczne piersi, robiły pomiary, martwiły się, „ja mam jedną większą od drugiej”... „Dlaczego moje są niżej niż twoje?”... „Serena ma włosy na

brodawkach"... „Możesz mieć szerszy rowek pośrodku, jeżeli z boków wepchniesz skarpetki"... „Szkoda, że nie mam większych"... „Szkoda, że nie mam mniejszych".

Maxine za nic nie chciała eksponować biustu. Miała piersi duże, dosyć nisko osadzone i jeszcze się do nich nie przyzwyczaiła. Nadal ją żenowały, więc usuwała je na tyle, na ile mogła pod pachy, aż stopniowo plecy jej się od tego zaokrągliły. Koleżanki w żaden sposób nie mogły Maxine przekonać, że jej wspaniałe wypukłości to atut. Zawsze na widok gromadki robotników z daleka oblewała się szkarłatnym rumieńcem, wiedząc, że za chwilę wlepią oczy w jej biust. Matka ją pocieszała, że ten embonpoint zniknie przy karmieniu piersią pierwszego dziecka, ale myśl o noszeniu przez lata całej takich futbolówek, które dopiero kiedyś tam przytłamsi jakieś jeszcze nie poczęte niemowlę, nie była żadną pociechą. Maxine, jeśli nie chodziła w swych drogich rzeczach od Diora, ukrywała się pod dzianiną bardzo luźnych, niezgrabnych swetrów.

Właśnie w takim krótkim wełnianym całunie pewnego wieczora uczyła Kate tańczyć un slow. Nucąc „Statek do Chin" trzymała Kate w objęciach i z powagą szurały po wąskim kawałku podłogi między dwoma łózkami.

- Lepiej, że nie ma miejsca, bo tak jest na dansingach - wyjaśniła Maxine, która nigdy na żadnym dansingu nie była.

Żadna z nich trzech nigdy też nie miała rendez-vous. Nie wiedziały, o czym powinny rozmawiać, gdy wreszcie owo spotkanie się zdarzy, rozpaczliwie zazdrościły wszystkim koleżankom mającym starszych braci, i zamartwiały się, co przy pocałunku zrobić z nosem.

Rozmawiały o takich sprawach co noc. Po zgaszeniu świateł Poganka spowita w swoją ciężką pierzynę wysuwała się z alkowy, siadała po turecku w nogach łóżka Kate i długo we trzy roztrząsały wszelkie aspekty życia kobiety. Zawsze zgadzały się chórem, że odważą się na wszystko w imię prawdziwej miłości, od pierwszego wejrzenia, oczywiście. Następnie ustalały, jaki ma być mąż, i z grubsza opisywały sobie nawzajem swoich wymarzonych królewiczów z bajki. Omawiały swoje suknie ślubne, snuły plany podróży poślubnych. W przytulnych ciemnościach głęboko wciągały oddech i przystępowały do rozważania urzekającej tajemnicy, wobec której żadna z nich nie stanęła. Seks. To było niezmiennie romantyczne i nigdy nie pociągało za sobą spania na mokrej plamie. Nie wyobrażały sobie królewicza z erekcją a już na pewno nie z ochronną gumą.

Zdumiewający był ogólny brak dokładnego uświadomienia w tej szkole, ale wszystkie dziewczęta kłamały jak z nut o swoich przeżyciach seksualnych - których wcale nie miały - byle tylko nie wydawać się nie zepsute. Dotychczasowe seksualne doświadczenie Kate i Poganki ograniczało się do fantazjowania po cichu o tamponach. Żadna z nich dotąd nie używała tamponów, ale Poganka ukradła z pudełka matki broszurkę i obie z Kate ślęczały nad tymi wprowadzającymi je w zakłopotanie, ilustrowanymi zaleceniami.

Żadna z nich nie badała, nie macała ani nie widziała części swego ciała pomiędzy nogami. Żadna z nich nie słyszała o masturbacji ani nie wiedziała, że już tego zaznała. Maxine, wówczas czternastoletnia, nudząc się i wierząc na krześle w czasie lekcji religii myślała, że odczuwa upojenie religijne. Poganka kiedyś, gdy polowała w siodle z niezwykle wysokim łukiem na porywczym wierzchołku uznała swoje nagłe uniesienie za dreszcz radości myśliwskiej. Kate zawsze lubiła wspinać się ręką za ręką po linie w sali gimnastycznej, bo później oplatając linę nogami, naprężając uda i przyhamowując stopami, zjeżdżało się z góry z rozkosznym łaskotaniem. Raz miała to łaskotliwe uczucie na górnym końcu liny i chwiejnie tam zawisała, odrętwiała z błogości, niezdolna się ruszyć, głucha na gniewny, szczekliwy głos nauczycielki gimnastyki, panny Haydock (która przywykła do widoku dziewczynek zdrętwiałych na linie pod sufitem), nakazujący jej natychmiast zjechać.

Maxine, będąc Francuzką i mając szesnaście lat - o rok więcej niż Kate i Poganka - była ich bezspornym i poważanym autorytetem w sprawach seksualnych tym bardziej, że została oświecona. Chłopcy są wszyscy tacy sami, wyjaśnił jej ksiądz, jak kocury. Każdemu chłopakowi chodzi tylko o jedno, dziewczyna nie powinna mu tego dać, bo on gdy tylko to dostanie, zacznie nią gardzić. Nawet jeśli przysięgnie, że kocha, to ledwie dziewczyna mu ulegnie, będzie ją traktował per noga (prywatnie i co gorsza, publicznie też), bo naturalnie już straci do niej cały szacunek. I jeśli chłopiec rzeczywiście poważny i naprawdę kochający usiłuje nalegać, to niech dziewczyna wie, że on ją poddaje próbie - próbie czego, ten ksiądz nie powiedział. Z jakiejś tajemniczej racji mężczyzna nie może się opanować, więc jeżeli wpada w szal namiętności, winę ponosi tylko dziewczyna, bo jest zbyt ponętna, czyli go „bałamuci”. To łatwo mogłoby spowodować nieszczęście, bo co później powiesz, dziewczyno, swojemu mężowi w noc poślubną? Nie zaoszczędzisz się

dla swojego męża, twoje małżeństwo będzie nieszczęściem od samego początku, a więc życie sobie zmarnujesz. Ponieważ mężczyzna zawsze potrafi to poznać.

Rzecz dziwna, żadna z nich nie kwestionowała dwoistości kryterium seksualnego. Wszystkie przyjmowały, że chłopca może niepohamowanie ponieść namiętność, wcale jednak nie przychodziło im na myśl, że byłoby zrozumiałe, gdyby dziewczynę też ponosiło. Przyjmowały, że za wytyczenie granicy seksualnej odpowiada dziewczyna, a nie chłopiec, że jej zadaniem jest opanowanie jego żądz. Tak więc dziewczęta uczą się zdławiać w sobie popędy erotyczne, tworzy się wzór postępowania, aż po latach dławienia naturalnych uczuć niejedna później ma trudności z przekroczeniem - czy nawet z pobudzeniem się do przekroczenia - owej seksualnej bariery. Ich seksualizm już jest zaprogramowany i wypaczony.

Maxine uparcie twierdziła, że Włoszki oszczędzają się dla swoich mężów i jednocześnie pozwalają mężczyźnie posuwać się jak najdalej trasą alternatywną.

- Uch! Zmyślasz, ty obrzydliwa - powiedziała Poganka. - W każdym razie, jak mężczyzna poznaje?

- Kiedy nie może włożyć tego swojego, to dowód, że jesteś dziewicą - wytłumaczyła Maxine. - Jeżeli nie jesteś bardzo wysportowaną nie jeździsz konno czy na rowerze.

Nawet jeśli nie miało się poważnego adoratora, o którym się myślało, że może będzie narzeczonym, były określone przepisy seksualnej etykiety. Na szczęście Maxine знаła je wszystkie i nie skąpiła informacji po zgaszeniu świateł.

- Na pierwszym spotkaniu... rendez-vous... absolutnie nic - powiedziała autorytatywnie - oprócz znaczącego spojrzenia przy pożegnaniu.

Zaległa cisza, wszystkie trzy ćwiczyły znaczące spojrzenia w ciemnościach.

- Potem na drugim spotkaniu może być całus w policzek. A na trzecim przy pożegnaniu prawdziwy pocałunek.

- Francuski, z językiem? - zapytała Kate.

- Nie, to na czwartym.

Maxine musiałaby przyznać, że sama tego nie robiła, więc z pośpiechem przeszła do piątego rendez-vous, gdy chłopiec, jeżeli ma poważne zamiary, może objąć w talii. Tu były dwa podpunkty - objąć z wierzchu i objąć pod sukienką. Ona osobiście nigdy nie pozwoli ani na jedno, ani na drugie. Będzie roztropna aż do ślubu.

Pewnego rodzaju dziewczyny pozwalają dotykać się poniżej talii, w którym to przypadku też były dwa podpunkty - w bieliznie i pod bielizną.

- ...ale wtedy ten jego musi być porządnie zapięty na zamek błyskawiczny, rozumiecie?

- Ale co on robi pod bielizną?

- Głaszcze futerko.

Ale jakkolwiek się to nazywało, wylaniał się znowu problem etykiety.

Znów zaległa cisza, gdy panienki głaszały się ukradkiem po włosach łonowych i nic nie odczuwały.

Siódmym etapem bezceństwa było pozwolenie chłopcu na wszystko. To oczywiście oznaczało ekstazę, ale też mogło być straszliwie niebezpieczne.

Zważywszy, że wszystkie dziewczęta w L'Hirondelle bały się zajść w ciążę, wydawało się dziwne, że nie myślały konkretnie o sobie. Każda żywiła niezachwiane, religijne nieomal przekonanie: ja w ciążę nie zajdę, a już na pewno nie po pierwszym razie. Bóg mnie uchroni, zresztą dowodzi tego statystyka. Jeżeli oczywiście nie zetknę się... z tym. Wszystkie bały się nasienia. Wystarczy jedno z niezliczonych milionów mikroskopijne jajeczko, żeby zajść, a to lichy może żyć cztery dni, niewidocznie wpełznąć po nogawce majtek. Więc lepiej nie ryzykować i koniecznie ten chłopiec musi podjąć środki ostrożności. Ale jakież to paskudne, jeżeli użyje tego czegoś z gumy!

- To się nazywa francuska sałata - powiedziała Poganka tonem osoby dobrze poinformowanej.

- Nie, to się nazywa capot anglais - poprawiła ją Maxine oziębło. Czy trzeba odwracać wzrok, kiedy on to nakłada? Czy udawać, że się tego nie widzi? Czy może nakłada to przed spotkaniem? Jeżeli tak, dowiódłby, że nie porywa go namiętność, tylko rzeczywiście przyszedł już z tym zamiarem. Nieistotne zresztą. Jak oni to nakładają?

- Myślę, że nasuwają kiedy im staje - powiedziała Poganka. - Jak rękawiczkę z jednym palcem.

Niezbyt romantycznie - pomyślały. Ale musiały przyznać, że lepsze to niż zajście w ciążę. Pechowe dziewczyny, które zły los sobie upatrzy, muszą siedzieć w parząco gorącej kąpieli i wypić butelkę nie rozcieńzonego dżinu. Prawdziwa przyjaciółka będzie siedziała przy takiej biedaczce w łazience pełnej pary, żeby ją podnieść na duchu, ratować przed zemdleniem, utonięciem czy wydawaniem donośnych pijackich odgłosów,

które mogłaby usłyszeć przełożona. Alternatywą jest konieczność wykombinowania stosunkowo dużej sumy pieniędzy, z którymi pójdzie się do pewnej starej kobiety na bocznej uliczce. Ta kobieta położy dziewczynę jak oskubanego kuraka i rozciągnie jej nogi na brudnym stole. Nie myjąc przedtem rąk, wepchnie w dziewczynę szydełko. Czy też jeżeli to dziewczyna bogata, może ją czekać prywatna klinika i narkoza, i szydełko będzie ze stali nierdzewnej, należycie wysterylizowane i wszyscy będą udawać, że wycinają jej ślepą kiszkę.

Kate obudziła się, zanim rozbrzmiał dzwonek i natychmiast sobie uprzytomniła, że tej nocy stało się coś dziwnego. Odgłosy z ulicy dolatywały przytłumione, w pokoju było niezwykle jasno. Wskoczyła z łóżka, podbiegła do okna. Odciągnęła koronkową firanę. Na szybie bieleły się kwiaty mrozu.

Bosa, w niebieskiej nocnej koszuli otworzyła okno i wyjrzała. Drzewa osypał śnieg, na dachach chalet leżały grube białe koce migotliwe w pierwszych blaskach słońca, wieżyczki hotelu Imperial lśniły białą jak lukrowany tort urodzinowy dla dziecka. Za miasteczkiem sosnowe lasy wyglądały widmowo jak szara korona.

Śnieg padał obficie przez kilka nocy i po tygodniu to małe miasteczko się przeobraziło. Sklep z nartami do wynajęcia prawie nigdy nie był zamknięty; narciarze jeździli po śniegu na ulicach; opatulone dzieci, wyglądające jak pękate pakunki, ciągnęły kolorowe saneczki, mleko rozwoziły sanki ciągnięte przez psy i miejscowa stajnia natychmiast posłużyła turystom swymi wspaniałymi saniami konnymi. Sezon.

Z dnia na dzień pojawiła się nowa elita. Każdy mężczyzna, który dobrze jeździł na nartach, był ponętny, każdy, który jeździć nie umiał, nie był. Ignorowani przez całe lato robotnicy rolni i murarze stali się nagle bogami pod postacią instruktorów jazdy na nartach. Zimową nadzieją każdego hydraulika było poślubienie którejś z milionerskich córek doksztalających się na słynnych szwajcarskich pensjach dla panienek, toteż dziewczęta z L'Hirondelle, ucząc się jeździć na nartach, miały przywileje i troskliwszą opiekę, niż na to zasługiwały. Opaleni instruktorzy w czerwonych wełnianych czapkach i swetrach podbijali wszystkie panięskie serca, gdy przymilali się i karcili, i pomagali maruderkom, śmigając tam i z powrotem bez wysiłku, z gracją, jakiej one wszystkie im zazdrościły, bo dobra jazda na nartach przynosi najwyższe odznaczenie towarzyskie.

Również wielbiona, chociaż bardziej z daleka, była szwajcarska drużyna narciarzy trenująca w Gstaad. O wyczynach tych czterech członków drużyny i dwóch rezerwowych dziewczęta rozmawiały bez końca, cóż, kiedy oni nie mieli czasu na nic oprócz treningu. Mieszkali w szalecie na skraju miasteczka i bardzo rzadko się pokazywali. Co, oczywiście, przydawało im uroku.

Któregoś dnia przy śniadaniu Poganka przerwała nieustanne teraz spekulacje, jak to będzie na pierwszym balu sezonu. Podniosła wzrok znad listu matki.

- Macie pojęcie? - powiedziała. - Moja mama zna ojca Nicka. Napisała o Nicku w ostatnim liście. Mama przypuszcza, że Nick chyba był w Eton z moim kuzynem Tobym. Píše, że jeżeli on się nazywa Cliffe z „e” na końcu, to jest synem sir Waltera Cliffe i odziedziczy olbrzymią rodzinną sieć hoteli.

- To nie może być on, przecież Nick by nam o tym wspomniał - powiedziała Kate.

- Jeżeli jest synem sir Waltera Cliffe, to z całą pewnością by o tym nie wspomniał. - I Poganka dodała zwracając się do Maxine: - Brytyjskie niedomówienie, rozumiesz?

Później w toalecie w Chesa powiedziały o tym Judy, która wykrzyknęła:

- Bujanie! Mnie nic o tym nie mówił. Myślałam, że uczy się pracować jako kelner po to, żeby być kelnerem.

Wróciły do sali. Nick lawirując między zatłoczonymi stolikami już szedł ku nim. Ku zakłopotaniu ich trzech, Judy natychmiast rzuciła się na niego.

- Czy to prawda, że kiedyś odziedziczysz sieć hoteli Cliffe?

Nick się zarumienił. Żeby zyskać na czasie, odgarnął włosy z twarzy.

- No, tak... będę musiał ją prowadzić, ale nie będzie naprawdę moja. To jest trust rodzinny. Ja mam nim zawiadywać... na rzecz rodziny.

- Czy to znaczy, że jesteś bogaty? - zapytała Judy.

- Biedny nie jestem - po chwili Nick odpowiedział żałośnie - ale czeka mnie ogromna odpowiedzialność. - Z niezwykłą stanowczością dorzucił:

- Jeżeli nie sprawi ci to zbyt dużej różnicy, przestańmy mówić o tym. Później w toalecie Maxine rozpromieniona zwróciła się do Judy.

- No teraz, kiedy wiesz o Nicku, koniec z Jimem w Wirginii, prawda?

- Dlaczego? - zdziwiła się Judy.

- Przecież Nick wyraźnie szaleje za tobą. I to byłby świetny interes. Judy parsknęła śmiechem.

- Słuchaj, ja jeszcze nie mam szesnastu lat. Jeszcze nie myślę o wyjściu za mąż, a już szczególnie za kogoś, kogo nie kocham. Dałam matce słowo, że nawet nie pójdę na żadną randkę z chłopcem, dopóki tu będę, i tylko dlatego pozwoliła mi wyjechać. Chyba to rozsądne, więc dotrzymam słowa. Wiem, że wam, bogatym dzieciakom, to wydaje się jakimś fiołem, ale ja muszę zarabiać na życie. Trudno mi wkuwać francuski i niemiecki naraz, a ta praca w kawiarni wcale mi nauki nie ułatwia. Ale to moja jedyna szansa, więc korzystam z niej. Potem w moim życiu będą mężczyźni. Na razie mogę poczekać - zawahała się. - Jeżeli chcesz znać prawdę - wyznała - nie mam w kraju żadnego chłopca. Jim w Wirginii nie istnieje. Jest tylko zasłoną dymną. Mówię o nim, kiedy faceci się mną interesują. To nie godzi w ich próżność. Mężczyźni nie cierpią słyszeć „nie" bez powodu.

- Przecież jeżeli wyjdiesz dobrze za mąż, nie będziesz musiała pracować
- powiedziała Maxine zbита z tropu.
- Akurat - odparła Judy.

W ten wieczór podczas szkolnej kolacji szumiało jak w ulu, dziewczęta podniecone debatowały, w co się ubrać na bal. Maxine miała tę niebieską jedwabną suknię bez ramiączek i bolerko z bufiastymi rękawami. Kate ubolewała nad swoją nieciekawą suknią od Debenhama - „nobliwą" z kremowej mory, z szarfą w talii i ze skromnym dekoltem w kształcie serca, w który był wszyty koronkowy plastron. Maxine zaofiarowała się przerobić jej ten przód, wyciąć śmiały, duży dekolt. Propozycja została natychmiast przyjęta, ale to nie rozwiązało problemu, w co się ubierze Poganka.

- Nic z tego, nie mogę tam pójść. Nie mam długiej sukni - rzekła Poganka smętnie.

- Masz kloszową czarną spódnicę z tafty - powiedziała Maxine - i tę białą, jedwabną bluzkę po babci. Można by kupić ze dwa jardy tafty landrynkoworóżowej i falbaną z niej przedłużyć spódnicę do kostek, a z reszty tej tafty zrobić bardzo szeroki namarszczony pas prawie pod same piersi. I będziesz miała bluzkę rozpiętą tak, żeby był dekolt.

Poganka poweselała. Maxine dziwnie teraz przypominała starą panią Hocken w wiosce Trelawney, a Poganka nade wszystko lubiła przerabiać starą garderobę, by służyła na zupełnie inne okazje niż te, na które ją uszyto.

Tegoż wieczora Maxine nakreśliła białą kredą na kremowej morze linię bardzo zuchwałego dekoltu. Kate z zamkniętymi oczami trzymała palce skrzyżowane, gdy w morę wbiły się nożyczki. Następnie Maxine na klęczkach zaczęła sunąć wokół Poganki

przypinając do jej czarnej spódnicy gazetę, z której miał być wykrój na falbanę. We wszystkich sypialniach odbywało się przymierzanie sukien balowych. Niektóre z dziewcząt z Kontynentu miały zachwycające, czarne kreacje „Wesoła wdówka” - obcisłe z satyny od pach do połowy ud i niżej szerokie z pienistej koronki. Trzymało się to na pręcikach stalowych tak niewygodnych jak fiszbiny w gorsetach kobiet wiktoriańskich, ale było sexy.

Wszystkie oprócz jednej pensjonarki w L'Hirondelle wysłały listy do domu z błaganiem o pieniądze na nieobowiązkowe lekcje gry na skrzypcach.

Hotel Imperial ze swymi baśniowymi basztami i wieżyczkami to jeden z najpiękniejszych hoteli świata. Gdy nieogrzewany szkolny minibus podjechał pod rozmigotaną oszkloną werandę, dziewczęta zdjęły swoje nieszykowne płaszcze zimowe (niewiele z nich miało wieczorowe okrycia), bo lepiej marznąć, niż wyglądać byle jak. Pod eskortą dwóch znękanym mademoiselles pomaszerowały po czerwonym dywanie w blasku kryształowych żyrandoli do sali dansingowej, gdzie ludzie już siedzieli przy małych białych stolikach, na których paliły się świece. Zająły stoliki na tym z kilku szerokich ciemnoczerwonych progów, który został zarezerwowany dla szkoły, i zamówiły dzin z wodą sodową - musiały płacić za siebie, a podobno taki dzin w szklankach piło się najdłużej. Jednym z kelnerów przyjmujących ich zamówienie był ceremonialnie grzeczny Nick.

Każda z nich się denerwowała, bała się, że ktoś ją poprosi do tańca, i bała się, że nikt jej nie poprosi, bała się, że będzie tańczyć nie w takt albo deptać partnerowi po nogach. Wszystkie udawały, że nie widzą, jak w drugim końcu sali już zaczyna się tworzyć szereg kawalerów do wzięcia. I wszystkie się przygotowywały na - przecież nie wykluczone - swoje pierwsze większe publiczne upokorzenie. Poganka była rada, że siedzi, więc ci chłopcy nie mogą zobaczyć, jaka jest wysoka - za wysoka dla połowy mężczyzn w tej sali - chociaż nie pojmowała, dlaczego miałoby im to przeszkadzać, ona nie miała nic przeciwko niższym od siebie mężczyznom.

- Chyba pójde do toalety - oznajmiła Kate niedbale.

- Nie, nie pójdziesz - powiedziała Poganka. - Jedno jest pewne, nikt ciebie nie poprosi do tańca, jeżeli będziesz w toalecie. Nie bądź takim tchórzem. Patrz na mnie! To

nam oderwie myśli od tej okropnie ciężkiej próby. Trzęsę się ze strachu, że nadepnę na tę piekielną landrynkową falbanę i cała mi się odpruje.

Orkiestra zaczęła grać *La vie en rose*, nastąpiło szuranie i ich stolik otoczyli chłopcy, wszyscy prosząc do tańca... Kate. Oszołomiona Kate przyjęła zaproszenie najbliższego. Gdy poprowadził ją w *un slow*, Bogu dziękowała za lekcje Maxine. Wkrótce wszystkie trzy już tańczyły, uratowane przed strasznym losem panien podpierających ściany.

Taniec się skończył, partnerzy odprowadzili je do stolika, ukłonili się i odeszli. Potem, gdy orkiestra zagrała sambę, znowu zrobił się ten szalony ruch wokół Kate. Wprost nie mogła uwierzyć w takie swoje powodzenie, sunąc po parkiecie z przystojnym chłopcem luźnym w stawach, który miał na imię Francois i był studentem z *Le Mornay*.

Francois był ponadto - przepisowo - brunetem. W objęciach tego kociego dansera (pewnego siebie nawet w walcu w odwrotną stronę) Kate nieważko unosiła się w mgielki radości, gdy on władczo przyciągał ją do białego wykrochmalonego gorsu koszuli. W głowie jej łomotało, czuła przy piersiach jego nieznane ciepło. Następnym tańcem była rumba, w którą Francois wprowadzał najróżniejsze ryzykowne warianty. Zanim ta rumba się skończyła, Kate płonęła rumieńcem. W sali jest za gorąco, pomyślała, a potem nagle doznała niezwykłego uczucia: jednocześnie zawrót głowy, czczość w żołądku i słabość w kolanach. Mdleję, pomyślała, jakie to dziwne. Nagle jednak sobie uświadomiła, co się dzieje. To na pewno to, stwierdziła uszczęśliwiona, mylnie biorąc pożądanie za miłość.

Francois gładko, z wielką wprawą mówił o niczym. Prowadził Kate po parkiecie, odchyłał od siebie, przechylał do siebie w sambach, coraz bardziej zacieśniał objęcia, a rozmawiał z nią grzecznie, jakby byli na podwieczorku u jego rodziny. Uznała, że to dziwnie zmysłowe: odczuwać stwardnienie jego ciała (czy może tak jej się tylko wydaje, bo on najwyraźniej nie zauważa tego) i jednocześnie słuchać jego uprzejmych informacji o najlepszych trasach spacerów w lesie, o trasach narciarskich, o barach, hotelach i dansingach w okolicy.

Kate mówiła bardzo mało. Tylko z podziwem wlepiała swe zielone oczy w jego opaloną twarz, gdy jej wyjaśniał, że te sobotnie bale mają jeden poważny feler. Otóż po balu dziewczynie z *L'Hirondelle* nie wolno rozmawiać z mężczyznami, których poznała. W następny sobotni wieczór może znów tańczyć ze swoim wymarzoną niezliczone

akordeonowe wersje La vie en rose, ale jeśli go spotka na ulicy w niedzielny poranek, musi go ignorować, patrzeć na potencjalną miłość swego życia jak na powietrze.

Dyrektorowi szkoły chodzi o to, żeby dziewczyny tańczyły doskonale, kiedy je odeśle z powrotem do rodziców, wyjaśniał Francois. Niedociągnięcia pod każdym innym względem można tłumaczyć wrodzonym brakiem zdolności, lenistwem, nerwowością dojrzewania, napięciem przedmiesiączkowym, ale rodzice się wściekają, jeżeli ich córki nie umieją tańczyć. Dobry tani sposób znalezienia chętnych, żeby je uczyli i zarazem zmuszali do francuskiej konwersacji, to puszczać je na te publiczne sobotnie dansingi na koszt ich rodziców. Monsieur Chardin nie ufa żadnej z dojrzewających młodych kobiet, za które ponosi odpowiedzialność, i nie chce widzieć na swoim progu żadnych rozgniewanych przyszłych dziadków i babć domagających się rekompensaty czy (co jeszcze trudniejsze) zidentyfikowania. Gwoli zapewnienia sobie spokoju, a swoim podopiecznym bezpieczeństwa, najłatwiej mu je zamykać co wieczór jak kury.

To się prosiło o kłopoty.

O północy Kate czuła się jak Kopciuszek. W istocie była zbyt oszołomiona, by zauważyć, że gdy weszła do toalety, żadna z obecnych tam koleżanek nie chce z nią rozmawiać. Nie zazdrościły jej powodzenia tak po prostu. Gniewało je to, że nie mogą jej powodzenia zrozumieć. Kate wyglądała tak pospolicie.

- Pojęcia nie mam, co oni w niej widzą wystrojonej w tę nudną starą kiecunię. I żeby ona chociaż była ładna. Włosów niewiele... i nawet nie długie... i te cudaczne zielone, tylko na pół otwarte oczy.

To był pierwszy smak pełnej niedowierzania zazdrości kobiet, z jaką Kate miała się spotykać przez nadchodzące trzydzieści lat dalszego życia. Bo one nie rozumiały, co mężczyźni w Kate widzą, myślały, że Kate jest chytra, że oszukuje, że żaden mężczyzna nie jest z nią bezpieczny. Naprawdę się myliły: to Kate nie była bezpieczna z żadnym mężczyzną.

Rozgłośnie brzękały talerze perkusyjne i w blasku reflektora kierownik orkiestry oznajmił, że po następnym tańcu odbędzie się konkurs kandydatek na Miss Gstaad i za chwilę zostaną rozdane kartki do głosowania.

- No, to zupełnie oczywiste - Poganka promieniała. - Kate jest królową balu, powinna też być Miss.

- Nie bądź śmieszna - powiedziała Kate. - Nie wyjdę na tę scenę, żeby się wygłupiać.

- Wyzywam cię - powiedziała Maxine. - To nic poważnego, nie Miss Świata, ostatecznie, tylko małomiasteczkowa potańcówka. - Szturchnęła Kate stanowczo, spychając ją z obitej pluszem kanapki. - Nie bądź tak piekielnie brytyjska.

Kate wstała. Niechętnie powlokła się na parkiet, gdzie wodzirej pchnął ją w szereg, dając jej dużą kartę z numerem 17. Kilka innych pensji przyjechało na ten bal, więc liczba kandydatek w szeregu na parkiecie dochodziła do trzydziestu, przy czym wyróżniała się urodą jakaś smukła Włoszka w czarnej sukni bez ramiączek. Kate widziała, że nie ma szansy wygrać, już było jednak za późno, żeby się wycofać. Powoli kandydatki na Miss utworzyły krąg.

Ale Kate nie wzięła pod uwagę Nicka, który podszedł do kelnera rozdającego kartki do głosowania, uśmiechnął się, co miało znaczyć „później się z tobą rozliczę”. Wpakował garść kartek do kieszeni, po czym w ciemnej męskiej toalecie nabazgrał na wszystkich „17”. Po powrocie do sali złapał cylinder przygotowany do zbierania głosów od stolika do stolika. Proste.

Światła przygaszono i błędzący reflektor oświetlał kolejno każdą z kandydatek, gdy powoli wchodziła po schodkach na scenę, stawała pośrodku, rozpromieniona albo zażenowana, podnosiła rękę ze swoim numerem i schodziła ze schodków.

W hałasie oklasków, gwizdów zachwytu, światła znów się zapaliły i wszyscy zaczęli wrzucać swoje głosy do cylindra, z którym chodził Nick.

Kandydatki usiłowały mieć obojętne miny. Dla nich ten konkurs piękności nie był pomniejszą atrakcją dansingu wymyśloną przez znudzonego, chociaż profesjonalnie wesołego wodzireja. Dla każdej z nich to był pierwszy smak publicznego współzawodnictwa seksualnego. Z łomotem w sercach prawie nie mogły oddychać, dopóki po następnej sambie wodzirej nie wystąpił, żeby ogłosić:

- Nową Miss Gstaad w roku tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym, panie, panowie i dżentelmeni, została siedemnastka.

Kate potrząsnęła głową nie wierząc. Maxine objęła ją i uściskała, Poganka krzyczała uradowana, gromada kelnerów, którzy wiedzieli, utworzyła szpaler, gdy Kate szła na tę małą scenę szkarłatna ze zdumienia i radości. Wodzirej udekorował ją niebieską szarfą z napisem „Miss Gstaad 1948”, po czym włożył jej na głowę brylantowy diadem, wręczył

dwie butle szampana i stanął u jej boku pozując na dobrego wujaszka w błyskach fleszów fotografów.

- Z tą czekają nas kłopoty - mruknęła jedna z tych znękanych mademoiselles wydelegowanych do eskortowania pensjonarek z L'Hirondelle.

To była trafna prognoza.

Rozdział czwarty

Pod koniec grudnia prawie wszystkie dziewczęta miały swoich chłopców i odkryły, że w tym małym miasteczku jest zdumiewająco dużo miejsca, gdzie można się spotykać potajemnie. Odbywały się te spotkania za kościołem, w stajniach i stodołach, na tylnych siedzeniach samochodów, na zapleczu sklepu z nartami, w herbaciarniach pod miasteczkiem albo na narciarskiej skoczni. W soboty i niedziele góry Eggli, Wasserngrat, Homberg i Wisple dawały schronienie licznym parom zakochanych, podobnie jak w pobliskich wsiach Saanen i Chateau d'Oex gospody i kawiarnie, które gościły już niejedno pokolenie cudzoziemskich pensjonarek chorujących na cielecą miłość.

Po sobotniej nocy przespanej w papierowych papilotach i z kremem albo zaschniętym błotem na twarzach, żeby zapobiec zmarszczkom, pensjonarki z L'Hirondelle niezmiennie szły do Chesa. Popisując się pewnością siebie, słabo ukrywały brak zdecydowania i niepewność. Byle uwaga czy śmiech mogły od razu wywołać nienawistny rumieniec podwójnie upokarzający, jeśli rozszerzał się na szyję. Kokieteryjne i impertynenckie, świadome tylko swego wyglądu i publiczności, udawały, że nie zauważają młodych mężczyzn, którzy siedzieli przy sąsiednich stolikach, miotając się na krzesłach, niecierpliwiąc, ale poddając temu kobiecemu komedianctwu, temu pozornemu ignorowaniu ich.

Niespodziewanie po raz pierwszy w życiu odkryły, że mają jakąś władzę. Każda czuła się dziwnie dumna, gdy pojęła, że jest zdolna wziąć chłopca w niewolę - ba, dwóch chłopców, trzech, co oczywiście podwoi albo potroi jej władzę. Żadna nie zdawała sobie sprawy z siły i niebezpieczeństw nagle uzyskanej władzy seksualnej - z tego, że ów czar może być jasny albo ciemny zależnie, czy się go używa czy nadużywa. W roku 1948 sex-appeal był władzą, jedyną władzą, jaką te dziewczyny mogłyby kiedykolwiek mieć, więc korzystały z niej, jak się tylko dało, na całego! Naturalnie znały granice, których

przekroczenia strzegły dąsem i afektacją, ale nigdy im nie przychodziło na myśl, że mężczyźni czasami bywa trudno zdławić swój przemożny popęd właśnie wtedy, gdy odpowiada to dziewczynie. Nigdy nie przychodziło im na myśl, że moc, jaką w mężczyźni wyzwalają, to nie tylko namiętność, ale w razie jej udaremnienia także i zdolność do gwałtu, do zabójstwa. Nikt nigdy nie wyjaśnił im reakcji sfrustrowanego samca.

Judy stała się skrzynką pocztową dla tych wszystkich młodocianych miłośnic. Po raz pierwszy od początku roku szkolnego weszły w niemiłosierne użycie słowniki, wyłoniły się problemy gramatyczne i tym samym z dnia na dzień pogarszał się stan podręczników, a Maxine cieszyła się wielkim wzięciem jako tłumaczka. Ponadto Judy przekazywała wiadomości o miejscach spotkania, często zależnych od pogody. Razem z rachunkiem czy papierową serwetką kładła na stoliku kartki: „Sheila o piątej przy wyciągu dla początkujących” albo: „Helas! Gerard che'ri, impossible cette semaine, samedi prochain a trois heures, ton Isabel”.

Od czasu do czasu ktoś z grona nauczycielskiego przyłapywał którąś na rozmowie z chłopcem i za karę musiała siedzieć przez cały weekend w szkole, ale wciąż przyłapywano tylko Kate, bo Kate po pierwsze: zadurzyła się w oszalamiającym Francois nieprzytomnie i po drugie: z natury szczerą, nie przywykła do kręactwa. Sprowokowana przez przełożoną wyznała, że spotyka się z Francois w miejscowym kościele. W dwa tygodnie później pewna zazdrosna koleżanka doniosła o jej rendez-vous w stajni, a w następnym tygodniu jedna z mademoiselles zobaczyła, jak oboje z Francois na Hombergu popijają Gliihwein, co zaliczało się do poważnych przestępstw. Niepokój Kate narastał, aż nadszedł weekend, gdy Francois jej powiedział, że wynajął salonik w małym pensjonacie na skraju miasteczka. Chciałby z nią pobyć tam wygodnie, nie kuląc się na słomie, nie marznąc na śniegu; nie siedząc jak na pokaz w kawiarni. Chciałby z nią porozmawiać poufnie, bo ma coś ważnego do powiedzenia. Poprosi mnie o rękę, pomyślała Kate.

Więc weszła za nim do domu z zielonymi okiennicami i na górę po schodach, na których wysokie buty ich obojga głośno stuknęły. Otworzył drzwi z klucza, a ona stanęła jak wryta na widok rzeźbionego drewnianego łoża nakrytego kołdrą w niebiesko-białą szachownicę. Delikatnie pchnął ją w fotel przy oknie i zaczął całować. Z uczuciem

omdlewania w kolanach pomyślała, że on może tego łóżka nie zauważył. Może to łóżko jest nieporozumieniem, może nie mógł dostać pokoju bez łóżka.

Zrzuciła buty z nóg, czując jego ciepły język liżący ją w ucho, a potem jego wargi na karku i ostatecznie leżała w jego objęciach, oczy miała na pół zamknięte, usta na pół otwarte.

- Cherie, będziemy mieli cudowne życie we dwoje - powiedział Francois. Powoli odpiął perłowe guziczki jej szarej koronkowej bluzki i w rozcięcie wsunął rękę. Wydawało jej się, że płynie pod wodą w filmie w zwolnionym tempie, gdy delikatnie odgarnął bluzkę, rozpiął jej stanik, zaczął wargami pieścić różowe czubki jej brodawek.

Potem naga do pasa leżała rozmarzona pod szachownicą kołdry i czuła ciepło jego języka w swoim drugim różowym uchu. I czuła jego rękę pod spódnicą dotykając jakieś chytre, niby od niechcenia, jak gdyby sam nie wiedział, co ta jego ręka robi.

Poruszyła się, spróbowała się zerwać z łóżka. Francois pchnął ją z powrotem na wznak. Dosyć mocno.

- Żeby go podrażnić - syknął.

W skłębieniu usztywnionej kłującej halki zacisnął palce na jej udzie, przesuwał gwałtownie rękę ponad jedwabną pończochę i dalej. Spróbowała się wyzwolić.

- Ja jeszcze nigdy, nie wiem, jak... Błagam, nie... zrobię wszystko, tylko nie! Boże, pomyślała, rozpiął spodnie. Już czuła tętnienie tego, nieomal objanie

się o miękką wewnętrzną stronę jej uda. Znieruchomiały nad nią Francois oddychał ciężko i patrzył tak, jakby jej nie poznawał, oczy miał szkliste, oczy uważne, a jakoś dalekie.

- Więc będę ostrożny - wymamrotał i ku uldze Kate wycofał rękę, ale tylko, żeby się sturlać na bok i rozebrać. Chyba nie zdawał sobie sprawy, że teraz ten jego widać. Lawendoróżowy penis sterczał z gniazda czarnych włosów, pod nim kiwały się jądra. Jakie to brzydkie, pomyślała.

Znów spróbowała się podnieść i znów Francois pchnął ją na łóżko. Brutalnie podciągnął jej piersi ku sobie, wbił roztętniony penis w rowek między nimi i zaczęło się. Wprost nie mogła oddychać pod jego ciężarem, przyciśnięta do łóżka, oszołomiona, oburzona i jednocześnie pełna niedowierzania. Nagle z ochrypłym chrząknięciem boleśnie zaciskając ręce na jej piersiach zeszywniał i zadrżał. Potem osunął się na nią i czuła, jak coś lepkiego sączy jej się po obojczyku i szyi. Wiedziała, co to jest, więc nie

odważyła się poruszyć, bo wtedy to mogłoby spłynąć w niewłaściwe miejsce. Dławił ją strach.

- Widzisz, powiedziałem, że będę ostrożny, kochanie moje - wymamrotał Francois.

Pomyślała, że wcale nie był ostrożny. I jak on śmie nazywać ją swoim kochaniem? Z drugiej strony, czyż nie tego właśnie chciała jeszcze pół godziny temu? Być jego kochaniem? I z pewnością, skoro nie mógł się opanować, jakąż to namiętność przemożnie ogromna!

Tak, tak jest, powiedziała sobie. On mnie kocha, dlatego to się stało. Nie tego się spodziewała, nie było ani romantycznie, ani cudownie, było niechlujnie i niewygodnie. Ale może to jak jazda na nartach, pierwsze parę razy trudne, męczące...

Zresztą dopuściła go pod bieliznę czyli do drugiego etapu - najwyraźniej więc on musi być miłością jej życia. Ale, rzecz dziwna, zbierało jej się na płacz.

W dwa dni potem Kate stwierdziła, że koleżanki nie chcą z nią rozmawiać. Wykluczają ją. Zadowolone z siebie, teatralnie, publicznie okazują jej pogardę.

- O co chodzi? Co ja zrobiłam? - zapytała Pogankę dosyć zafrasowaną.

- Och, one myślą że puściłaś się z Francois. Nie zwracaj na nie uwagi, dziwki zazdrosne - powiedziała Poganka.

- Ale ja się nie puściłam. - Kate jednak nie wiedziała, czy rzeczywiście nie. One wszystkie przyjęły, że tak. Nie rozumiała obłudy świata, który publicznie potępia pewne rzeczy, prywatnie jednak te rzeczy sam robi albo ich zazdrości. Zgrzeszyła przeciwko jedenastemu przykazaniu: nie będziesz przyłapana. I ponadto szkoła karała ją za to, że została Miss Gstaad.

W następną niedzielę Judy z rękami założonymi, dłońmi wtulonymi pod pachy, przytupując w wysokich butach na śniegu, żeby się rozgrzać, czekała na Kate przed kawiarnią Chesa.

- Słuchaj, Kate, ten gad, z którym chodzisz, opowiada w całym mieście, że sypia z Miss Gstaad. Barman w Imperialu powiedział Nickowi i Nick zaraz przyszedł z tym do mnie. Uznaliśmy, że powinnaś wiedzieć.

- Nie wierzę - Kate potrząsnęła głową wreszcie pojmując, skąd one w szkole się dowiedziały.

Popędziła do tego pensjonatu na spotkanie z Francois, który gładko ją zapewnił, że nikomu nic nie mówił. Uwierzyła mu, bo chciała uwierzyć. Czuli się wyprana z energii, samotna, obolała. Przytuliła się do niego, pozwoliła, żeby ją rozebrał, i naga drząc znów do niego przywarła w ciepłe kołdry. Wsunął jej rękę pod pośladki, dotykał ją pomiędzy nogami... Trochę bolało - ten jego wwiercający się w nią palec. Ale pozostawała bierna. Nie wiedziała, co powinna zrobić, skoro jednak już ją potępiono za to, niechże to się stanie. Poczuli na brzuchu bijący obcym ciepłem ciężar Francois i po sekundzie zawieszenia zachłysnęła się z bólu. A potem już poruszali się razem rytmicznie jak w tańcu, aż przyjemnie się rozgrzała i podnieciła. Cóż, kiedy zanim to się rozwinęło w coś bodaj zbliżonego do orgazmu, Francois z westchnieniem zeszywniał i tylko było coraz bardziej mokro, w miarę jak jego erekcja ustępowała. Widziała, że on jest wyraźnie z siebie zadowolony. Sama była rozczarowana, niepewna, jak gdyby ją zostawił na lodzie. Może z nią jest coś nie w porządku? Może to oziębłość płciowa?

Dwa do wyrwania, na tych czarnych przednich będą korony i muszę przez jakiś czas wkładać na noc szynę - zameldowała Maxine tegoż dnia wieczorem. - On od razu zatelefonował do papy i papa powiedział, proszę bardzo. I to wcale nie tak drogo, jak myślałam, to tańsze niż moja mandarynkowa sukienka.

- No, więc teraz włosy - powiedziała Poganka. Skuliła się w pierzynie osrebrzonej księżycową poświatą - za nisko ci rosną na czole, wyglądasz jak neandertalka... trochę ci je wytnę nożyczkami do paznokci, ażebyś miała śliczne czółko z włosami w szpic. Jeżeli nie będzie ci się podobało, możesz związać włosy na czubku głowy i zwiesić na czoło, a jeżeli będzie, to można to zrobić raz na zawsze elektrolizą. - Zeskoczyła z łóżka i sięgnęła po małą fioletową maszynkę do golenia pach należącą do Kate.

Wobec takiego zapewnienia Maxine pozwoliła zgolić sobie włosy nad czołem w świetle latarki elektrycznej. Poganka była trochę zmartwiona, gdy już tego dokonała: Maxine wyglądała strasznie, tak jakby przygotowano ją do operacji mózgu.

- Może gdybyś jej wyskubała brwi? - doradziła Kate.

Więc Poganka zaatakowała krzaczaste brwi Maxine. Niestety, wyskubała za bardzo lewą a potem za bardzo prawą, chcąc ją do lewej dopasować, i znów lewą żeby ją

dopasować do prawej, aż w końcu z brwi zostały dwa dziwne, poziome, cienkie znaki zapytania, poniżej krzywizny wygolonego czoła.

Maxine przejrzała się w lustrze i wybuchnęła płaczem.

Nazajutrz przełożona popędziła ją do fryzjera. Później w to popołudnie wróciła do szkoły, znów promieniejąc, inna Maxine. Włosy nad czołem miała należycie przystrzyżone i ponadto, za namową fryzjera, rozjaśnione pasemka i trwały ondulację. Warkocze stały się wspomnieniem, zamiast nich była połyskliwa blond, gęsta lwia grzywa.

- Teraz twoja waga - powiedziała stanowczo Judy w następną niedzielę. - Dwadzieścia funtów. Nie jedz ciastek. I w ogóle dieta. Zawsze mówisz, że

nie cierpisz szkolnego jedzenia, więc to nie powinno być dla ciebie trudne. Możesz sobie kupić siedem jajek na twardo na cały tydzień i co dzień jeść jedno na śniadanie z czarną kawą Na obiad możesz mieć w pokoju pomarańczę i płat szynki, podwieczorek pomijaj, na kolację przegryź możliwie jak najmniej. I zobaczysz, powoli te futbolówki znikną.

Nie zniknęły, ale reszta Maxine zmniejszyła się w tempie dwóch funtów tygodniowo. Koleżanki urzeczone patrzyły na jej przeobrażenie. Niektóre próbowały ją naśladować, brakowało im jednak jej determinacji i wytrwałości, ilekroć widziały ciepły świeży chleb prosto z pieca i konfitury truskawkowe na śniadanie, czy ciastka z kremem i filiżanki z parującą czekoladą na podwieczorek.

Gdy Maxine z rozmiaru szesnaście zjechała do rozmiaru czternaście i była w drodze do dwunastki, Judy obejrzała ją dokładnie jak konia na aukcji i z zadowoleniem pokiwała głową. Potem cofnęła się o krok.

- Nos - powiedziała.

Maxine, o dziwo, zmartwiła się, że to już będzie dowód próżności, że ludzie by zauważyli, że matka będzie się sprzeciwiać i w ogóle świętokradztwem jest zmieniać sobie nos, który się dostało od Pana Boga.

- Piersi dostałaś od Pana Boga nie po to, żeby nosić stanik - powiedziała Judy. - Twoja sprawa, czy chcesz Panu Bogu trochę pomóc, wiesz, jeżeli będziesz wyglądać w miarę swoich możliwości dobrze.

Po Bożym Narodzeniu Maxine wróciła na pensję o dziesięć dni później niż wszystkie dziewczęta. Miała sińce pod oczami i nos po prostu doskonały.

- Co za numer - powiedziała podnosząc na czoło okulary przeciwsłoneczne, żeby pokazać swoje sińce. - Wyklócałam się i płakałam, i nie chciałam wychodzić z domu, och, byłybyście ze mnie dumne. Zachowywałam się fatalnie i byłam szalenie zdeterminowana. Przymilałam się cici Hortense, az obiecała zapłacić za to, jeżeli rodzice mi pozwolą. - Opuściła okulary na nos - Myślała, że nie pozwolą ale błagałam ich i błagałam, żeby nie byli okrutni i nie odrzucili takiej propozycji. Mówię wam, przez całe pierwsze święto tonęłam we łzach. Więc w końcu się zgodzili. W klinice byłam tylko cztery dni, ale potem potrzebowałam wypoczynku!

Z nowym nosem i nową figurą Maxine, bardzo już wierząc w siebie, skoncentrowała się na dalszym traceniu wagi. Jadła i piła możliwie jak najmniej, jeździła na nartach możliwie jak najczęściej, co dzień rano i wieczorem siadała na podłodze sypialni i masowała sobie pulchne uda drewnianym wałkiem kuchennym.

- Osiemdziesiąt osiem... auu... osiemdziesiąt dziewięć... faul souffru pour e'tre mince, ojej, sto. Uff! Gdzie są moje skarpety narciarskie?

- Wybierasz się na narty dzisiaj? - zapytała Kate. - Niebo wygląda, jakby leżał na nim przycisk. To jest niedziela do siedzenia przy kominku.

- W zeszłym tygodniu ubył mi tylko jeden funt, popatrz na mój wykres na ścianie. Jeszcze dziesięć funtów muszę zrzucić.

Maxine poczłapała na stację kolejki linowej. Zdecydowała się spróbować jazdy na trasie dla zaawansowanych, pojechała więc wagonikiem gondelbahn na szczyt góry Wisple. Szczyt był szary na tle groźnych chmur. Trochę się trzęsąc z wrażenia, popatrzyła na drogowskaz, choinkę z kolorowych strzałek przybitych do słupa, wskazujących poszczególne zjazdy. Żółte były łatwe, czerwone trudniejsze, a czarne tylko dla bardzo doświadczonych narciarzy.

Jeździła na nartach od dwóch zaledwie miesięcy, ale uznała, że czarny zjazd nie wydaje się taki trudny - w istocie wyglądał na zupełnie łatwy i z pewnością najładniejszy. Taki też był na przestrzeni pierwszych dwustu jardów. Potem piste raptownie skręcała w lewo i Maxine znalazła się na zlodowaciałej ścieżce z koleiną biegnącą wśród lasu stromo w dół. Przez chwilę chciała wspiąć się na szczyt z powrotem, zbyt szybko jednak zjeżdżała, żeby się zatrzymać. Narty klekotały w koleinie. Bała się, że ją zarzuci na drzewo. Gdybyż przedtem pomyślała, że na tej drodze może nie być nikogo. Jodły majaczyły nad nią ogromne. Natrafiła na muldę, utknęła z szarpnięciem i upadła.

Podniosła się, ruszyła naprzód - znów za prędko - tym falistym lodowym szlakiem i znów upadła uderzając się w biodro. Chociaż pod rękawicami narciarskimi miała dwie pary wełnianych mitenek, ręce jej zdrętwiały, czoło i policzki już ją bolały z zimna. Znów się podniosła i przez dziesięć minut udawało jej się zjeżdżać powoli, ostrożnie, chociaż z poślizgami w bok. Potem śnieg zaczął padać, co stopniowo ograniczało widoczność do paru jardów, i szybko zasypał piste. Już nie widziała strzałek orientacyjnych, płatki śniegu latały bezlitośnie, bezszelestnie, aż niesamowicie. Złękła się.

Nagle śmignął obok niej samotny, cały na czarno ubrany narciarz w pomarańczowej czapce z daszkiem. Machnęła za nim kijkami i wołała, ale się nie zatrzymał. Po omacku zjeżdżała dalej w jego kierunku. Nigdzie go jednak nie było, gdy znalazła się na stromo opadającej terasie pokrytej wyboistym lodem. Bała się zjechać nią prosto. Zaczęła zjeżdżać trawersami. Ilekroć się zbliżała do bocznego skraju, skręcała mozolnie i robiła niezdarne krótkie ześlizgi. Kolana jej drżały od wysiłku, dalej jednak tak zjeżdżała, wcale nie myśląc o stylu swojej jazdy. Była już poniżej terasy, gdy znów ją minął pełen gracji narciarz w pomarańczowej czapce.

- Au secours! - wrzasnęła. - Na pomoc!

Ale on chyba nie słyszał, znowu więc zjeżdżała w jego kierunku i wkrótce znalazła się na skraju najbardziej stromego zbocza, na jakim kiedykolwiek była.

Opadł ją strach. Zastanowiła się, czy nie zawrócić. Ale łatwiej jest schodzić w dół, niż wchodzić pod górę, rozumowała. Zdjęła narty i ciągnęła je za sobą - przed każdym krokiem drążąc obcasem narciarskiego buta dziurę w lodzie, żeby w niej postawić nogę. Bardzo się bała upuścić narty, bo niewątpliwie zsunęłyby się z tej szklistej powierzchni i przepadły na zawsze. I może ona sama...

Chociaż schodziła wyraźnie w dół, dręczyło ją paskudne wrażenie, że idzie w niewłaściwą stronę. Minęły już trzy godziny, odkąd zaczęła zjeżdżać ze szczytu góry. Przemokła, śnieg miała na karku pod kołnierzem i już nawet nie czuła nóg. Zziębnięta, nieszczęsna, przerażona, usiadła na śniegu, żeby odpocząć. Mróz szczypał, wokoło gęstniał szary mrok.

Tym razem, ponieważ nie zjeżdżała, usłyszała z daleka, jak zjeżdża ten narciarz w pomarańczowej czapce. Z trudem się podniosła i machając rękami wrzasnęła wniebogłosy:

- Stój, stój, proszę, stój! Zatrzymał się przy niej.

- Czy mógłby pan mi powiedzieć, którędy najłatwiej dostać się na dół? -zapytała niecierpliwie.

Popatrzył na nią przez żółte okulary ochronne i odpowiedział po francusku.

- Nie ma łatwej drogi. To czarny zjazd. Musiała pani wybrać czarny? Przecież są łatwiejsze. - W głosie jego brzmiało rozjątrzenie. - Niech pani zjeżdża za mną, bo nigdy pani stąd nie wróci. Proszę włożyć narty.

Powolutku Maxine zjeżdżała za nim z tej piekielnej góry. Wyprzedzał ją, a potem zatrzymywał się, czekał i patrzył, jak ona się szarpie, osuwa, chwieje zgrzytając swymi nowymi zębami z determinacją, gdy szary mrok zmieniał się w czarną ciemność. Aż w pewnej chwili kolana się pod nią ugięły i osunęła się na śnieg. Zaszlochała cicho.

- Niestety już nie mogę. Muszę odpocząć. Przepraszam, ale nie mogę się ruszyć.

Czarny narciarz przybrał ton łagodny i przekonujący, żeby ją ponaglić:

- No, spisuje się pani cudownie, jesteśmy już prawie na stacji w połowie drogi. To już za następnym zakrętem, będzie pani mogła zjechać w dół w gondelbahn

Więc znów wolno posuwali się dalej, dopóki Maxine znów nie upadła. Wszystko ją bolało.

- Nie mogę - wymamrotała, ukryła twarz między kolanami i poturlała się po śniegu skulona jak w łonie matki.

Narciarz westchnął, odpiął narty i na sztorc wbił je w śnieg.

- Rozgrzeję panią - powiedział.

Rozcierał jej ręce, potem plecy, aż jęczała. Potem brutalnie rozcierał jej nogi, dopóki nie odzyskała w nich czucia, i pomógł jej wstać.

Powoli, z trudem zjeżdżała dalej. Za następnym zakrętem nie było stacji, ani za drugim z kolei też nie. Dopiero w godzinę później minęli zakręt, za którym była ta stacja. Maxine nieomal doczołgała się tam. Jej ratownik powiedział, że resztę drogi odbędzie na nartach. Może się spotkać z nią w barze na dole, jeżeli chce.

Bez wysiłku odjechał i zniknął jej z oczu.

Na dole Maxine, czując się nieco lepiej, weszła chwiejnie do pobliskiego baru. W toalecie zdjęła czapkę, okulary ochronne, szalik i dodatkowe swetry, umyła twarz ciepłą wodą - co za rozkosz! - i najlepiej jak umiała spulchniła włosy. Potem ociężałe wkroczyła do parującej ciepłej sali z sosnową boazerią. Ponieważ wyłącznie głupcom mogło się zachcieć jazdy na nartach przy takiej pogodzie, w barze było pusto. Tylko jeden krzepki,

ogromny narciarz opierał się o kontuar zwieszając rękę z pomarańczową czapką i żółtymi goglami.

- Grzany rum z masłem dla pani, dla mnie herbata - powiedział, gdy zaprezentowała swój nowy, naprawdę nie do odparcia uśmiech. - Muszę przyznać, że nie spodziewałem się takiej ładnej dziewczyny pod tą stertą końskich derek, które pani na sobie dźwigała.

Miał twarz jak z brązu i schludnie kręjące się jasne włosy. Maxine raz spojrzała w jego czyste, puste niebieskie oczy i z miejsca się zakochała.

Dodatkową premię stanowił fakt, że wybawca Maxine był rezerwowym ze szwajcarskiej narodowej kadry narciarskiej, a każda dziewczyna w L'Hirondelle życie by oddała, żeby poznać kogokolwiek z tej drużyny. Oszaleją, kiedy im powiem, pomyślała Maxine.

Ale im nie powiedziała, bo Pierre Boursal siedział z nią sam na sam w pustym barze, dopóki nie musiała wrócić do szkoły na kolację, a potem odprowadził ją, niosąc jej narty i przecież nie wiedząc, jak ona się modli, żeby zaproponował spotkanie, i kiedy rzeczywiście zaproponował - tylko nie na nartach, zaznaczam, jeden raz wystarczy - stał się dla niej tak ważny, że nie mogłaby się nim zwyczajnie chwalić. Nie powiedziała nawet Kate i Pogance. Lepiej nie kusić losu. Czy też Kate i Poganki.

Odtąd Maxine spotykała się z Pierre'em, kiedy tylko mogła - po godzinach kursowania kolejki i wyciągów, rzecz jasna. Pierre nie miał zamiaru wiązać się z dziewczyną. Traktował swój trening bardzo poważnie. Nie palił, nie pił i nie chciał, by kobiety mu przeszkadzały. Moja cnota jest wspaniale bezpieczna dzięki jego treningom, myślała Maxine marząc o nim, gdy tańczyła z nim serce przy sercu na maleńkim parkiecie któregoś z lokali albo gdy obejmował ją swą umięśnioną ręką w najciemniejszym kącie którejś z herbaciarni. W takich chwilach rozumiała, jak to łatwo być dziewczyną zepsutą.

Gdybyż tylko miała możliwość!

Slalom miał się zacząć o dziesiątej rano. Ponaglone przez Maxine, która włożyła swoją najlepszą żółtą kurtkę narciarską i piękny kaptur ze srebrnego lisa, dziewczęta wcześniej były znów na Eggli. Pod opieką nauczyciela gimnastyki podjechały z Gstaad pod górę zielonym autobusikiem do kolejki linowej, która je zabrała wyżej. Chwilami ciemnozielone sosny przebiegał dreszcz i śnieg cicho sypał się z gałęzi.

Chociaż było wcześniej, dziewczęta zaraz po przybyciu do restauracji na szczycie góry napiły się gorącego czerwonego Gllihwein, bo wiedziały, że wkrótce będą drętwieć z zimna. Nauczyciel gimnastyki jeszcze raz im wyjaśnił, że te zawody narciarskie wymagają świetnego przeszkolenia, wspaniałej kondycji fizycznej, najlepszego sprzętu i sprzyjających warunków atmosferycznych. W pochmurny szary dzień widoczność jest słaba, narciarz nie sięga wzrokiem daleko przed siebie. Zamglone białe niebo zlewa się ze śniegiem i wtedy nie wiadomo, gdzie śnieg się kończy, a niebo zaczyna, czy widzi się stok, czy niebo za pionowym urwiskiem. Przy złej pogodzie trzeba przede wszystkim mieć więcej szczęścia niż przy doskonałej, bo w blasku słońca na nierównym terenie wyraźnie zaznaczają się cieniami wszystkie muldy, krawędzie, spadki i koleiny.

Gdy dziewczęta wyruszały z Gstaad w ten poranek, lód na stromych zboczach po raz pierwszy od tygodnia migotał w promieniach słońca. Ale gdy wjechały na szczyt Eggli, słońce już zniknęło wśród chmur i zaczął padać śnieg - niezbyt gęsty, a przecież ograniczający widoczność. Organizatorzy na początku stoku zdecydowali się rozpocząć zawody o dwadzieścia minut wcześniej niż zapowiadano, dopóki nie ma śnieżycy.

Jedynym odgłosem na tej cichej górze był chrzęst śniegu pod nartami, gdy dziewczęta zjeżdżały do finiszu. Z obu stron slalomowego stoku beżowe ogrodzenie poszerzało się i znikало w cichej bieli górskiego zbocza. Stok opadał na przestrzeni trzystu jardów z wysokości trzystu stóp na lewo od kępy sosen. W śnieg wbito pięćdziesiąt par kolorowych tyczek slalomowych tworząc pięćdziesiąt bramek w odstępach pięciojardowych. Ten slalom męski był konkurencją. Każdy narciarz miał nie tylko współzawodniczyć z innymi, ale i poprawić własny czas na pierwszym stoku, a później na sąsiednim. O zwycięstwie miała zdecydować największa różnica czasów.

Pierre Boursal uważał, że szanse ma niewielkie. Było trzydziestu siedmiu zawodników, w tym trzech członków kadry, reszta rezerwowi. Ale jeden z rezerwowych miał się zakwalifikować do drużyny na miejsce Leista, który poprzedniego dnia złamał obojczyk w wypadku samochodowym.

Nagle zniecierpliwiony Pierre uznał, że zamiast czekać, lepiej przejechać się na nartach. Wyciągiem dostał się na szczyt i śmignął na dół. Ponad wszystko w świecie kochał te ciche zjazdy, gdy stawał się samym tylko ciałem podlegającym przyciąganiu ziemskiemu, żeby unosić się jak sokół nad czarowną białą powierzchnią. Najwyższym fizycznym uniesieniem radości był dla niego ten dreszcz nieustannego ryzyka,

niebezpieczeństwa, na jakie rozmyślnie się narażał, pozwalając sobie zjeżdżać trochę za prędko i raczej na oślep. Po raz pierwszy stanął na nartach jako maleńki chłopczyk i szybko odkrył, że narty to jego jedyna możliwość ucieczki od wspaniale pięknej matki i nieznośnych hord jej ewentualnych kochanków, co rok tłoczących się w elegantszych częściach St Moritz. Zamiast dać się ciągnąć za tą hałastrą, Pierre szukał samotności na czystych ośnieżonych szczytach gór, gdzie wśród niebiańskiej ciszy słyszał tylko, jak jego narty ze słabym odgłosem rzeźbią szlaki w dziewiczym śniegu.

Pierre nie był dobrym uczniem w szkole. Dopóki nie ukończył trzynastu lat, przyjemność i zadowolenie sprawiała mu jedynie jazda na nartach. Później zaczął bardzo lubić reakcje przechodniów, gdy z nartami szedł ulicą miasteczka. Były to reakcje dwojakiego rodzaju. Czasem jakaś zagapiona w niego gromadka wykrzykiwała: „Tylko wariat wypuści się na Scharnfurst dzisiaj!” albo „Widzieliście, jak błyskawicznie zjechał?” I nieraz w miasteczkach narciarskich, w których go znano, widział, jak ludzie go sobie wskazują, szepczą odwracając głowy, patrzą z przeciwległego chodnika.

Jedynie jego rodzice nie wiedzieli, że on jeździ na nartach jak demon.

Dopiero gdy na bankiecie bankierów w Zurychu prezes międzynarodowej firmy sponsorującej drużynę juniorów pogratulował panu Boursalowi przyszłego mistrza, ojciec pojął, że Pierre nie jest ani niezdolny, ani leniwy - po prostu szkolne przedmioty go nie interesują.

Teraz Pierre zjeżdżał z Eggli w doskonałym stylu z szybkością może trochę zanadto karkołomną. Rozgrzewając się przed zawodami wyminął najtrudniejsze muldy, zboczył z piste w głęboki niepokalany śnieg, przy czym dociążał tyły nart, żeby ich czubki się nie ośnieżały. Pióropusze śniegu roznosiły się za nim, bezszelestne rozpylacze brylantów. Wrócił na trasę i w końcu przysiadł z łokciami na kolanach, z kijkami wetkniętymi pod pachy, z głową spuszczoną w ostatecznym schuss na nartach już poziomych. Zapomniał o niepokoju. Czysto fizycznie odczuwał siebie, śnieg i uderzające do głowy mroźne szampańskie powietrze zimowe na tej wysokości.

Z nartami na ramieniu Pierre ruszył pod górę przy stoku slalomowym. Zjazdy próbne z tego stoku nie były dozwolone. Dopiero w czasie zawodów ta trasa miała stanąć otworem dla zawodnika, gdy będzie mknął przez labirynt tyczek. Czekać na swoją kolej, należy obserwować zawodników przed sobą, żeby wyciągnąć wnioski z ich ruchów.

Slalom wymaga wielkiej koncentracji. Bramki są ustawione nierówno, nieraz za ciasno, łatwo wpaść na tyczkę albo ominąć bramkę.

Trasa tych zawodników nie wydawała się Pierre'owi trudna. Zaczynając od końca dwa strome spadki, kilka ostrych zakrętów „V” i za jednym z nich prawie natychmiast mała pętla, przed którą trzeba będzie bardzo się sprężyć. To było to diabelstwo konieczne do zapamiętania.

Pierre doszedł na początek stoku i czekał razem z innymi zawodnikami, z chrzęstem nart posuwając się coraz bliżej startu, oddychając parą w mroźnym powietrzu. Wyciągnął numer 8, dobry numer: mógł określić trasę po przejazdach poprzednich zawodników i liczyć na to, że jeszcze nie będzie na niej kolein, w których utykają czubki nart.

Już miał być następny. Sprawdził czerwoną zrobioną na drutach opaskę, czy włosy spod niej nie będą mu opadać na oczy i czy dobrze chroni uszy i czoło przed zmarznięciem. Odchrząknął, splunął w śnieg, po czym stanął na starcie. Napięty, zrównoważony, pochylił szyję i ramiona i niecierpliwie suwając nartami w tył i w przód, i znowu w tył, czekał, aż starter dotknie jego ramienia i buta, żeby uruchomić zegar elektroniczny.

Już!

Wystartował, świadom, że wzdłuż stoku stoi czarny, cichy ludzki żywopłot publiczności. Rzucił się w dół, wziął ostry zakręt w lewo nad pierwszą bramką. Jeszcze przed tą bramką miał się przygotować w przysiadzie do przejechania przez drugą i zdecydować, gdzie skrócić, żeby przejechać przez trzecią. Od chwili, gdy zaczął trenować, wciąż słyszał od instruktora: „Myśl na dwie bramki naprzód!” i „Prędeż, prędeż, prędeż!” Nauczono go, że trzeba startować ostrożnie, wyczuć trasę, po czym - gdy się nabierze rytmu i rozpędu, jechać tak prędko, jak tylko się zdoła bez utraty kontroli.

Ze skrętem ciała w prawo przejechał między tyczkami, przy czym nogi lekko rozsunał dla równowagi w niskim przysiadzie. Potem przerzucił ciężar ciała na wewnętrzną nartę, odchylony do stoku. Drapiąc śnieg jego zewnętrzna narta jak na łyżwie pchała, pchała, pchała go w skrócie i dalej naprzód.

Po stromym spadku przy ósmej bramce ciało przystosowało się do rytmu ruchów. Poczul, że napięcie mija, serce wali mu głośno już z podniecenia, a nie ze zdenerwowania. Mignięcie każdej bramki do tyłu było błyskiem ulgi.

Nagle narty zadrzały pod nim i zagrzechotały na ostrym spadku przed czternastą bramką Z trudem odzyskał panowanie. Przez kilka przerażających sekund uderzał nartami w czarny lód, z którego poprzedni zawodnicy zdrapali cienką powłokę pylistego śniegu. Prawie zaraz znalazł się na terenie stromego spadku. Zakołysał się i niezdarnie przejechał przez bramkę z lewej strony. Narty znów zadrgały fatalnie na lodzie i chwilowo stracił kontrolę. Raptem przestał myśleć dwie bramki naprzód i zobaczył tyczki dopiero wtedy, gdy były tuż przed nim - bierne wyzwanie.

Strasliwym wysiłkiem woli zaciskając usta, wytrzeszczając oczy odzyskał kontrolę umysłową zawziął się i przewinął przez bramkę. Znów myślał dwie bramki naprzód. W przelocie ledwie mignęła mu niebieska kurtka pechowca, który wyczołgiwał się z trasy.

Teraz podstępny ciasny zakręcik. Dopiero w parę sekund po trzepnięciu tyczki poczuł je na przedramieniu. Prawie zaraz miał przed sobą jeszcze ciaśniejszy zakręt mniej więcej na tym samym poziomie. Szybko pod górę podepchnął się zewnętrzną nartą czując, jak mięśnie łydki dygoczą mu od wysiłku. To już będzie ponad wytrzymałość jego nóg, on tego nie dokona.

Szarpnął się w lewo, żeby nie wpaść na odgiętą w bok tyczkę, której nie wyprostowano. Omal nie ominął trzydziestej czwartej bramki i w chwili, gdy przyhamował, znów się zagubił tak dalece, że omal nie wpadł na łeb na szyję na tę tyczkę. Wstrząśnięty zwolnił odruchowo, ale determinacja pchnęła go naprzód i z wytrwałością urodzonego mistrza przejechał jeszcze błyskawiczniej dziesięć następnych bramek.

Byle nie stromy spadek znowu, pomyślał. Tego skurwysyna, który zaprojektował taką trasę, chciałbym dostać w swoje ręce... Chyba to już ostatnie...?

I ni stąd, ni zowąd Pierre usłyszał pobudzające miarowe ryki publiczności. Wiedział, że oni wrzeszczą w takt brania zakrętów, jeżeli się je bierze szczególnie dobrze. Nie mogę słuchać, pomyślał, muszę się koncentrować.

I wtedy - Boże drogi, nie! - był znowu stromy spadek. Pierre skoczył jak z trampoliny i całym ciałem brawurowo rzucając się naprzód, zmusił narty, by sunęły dalej, zebrał resztki energii i wyminął metę.

Ogarnęło go uniesienie. Nieźle...

Gdy wszyscy zawodnicy wykonali pierwszy przejazd, Pierre prowadził o półtorej sekundy. Czternastu z trzydziestu siedmiu odpadło.

Drugi slalom odbywał się przy torze pierwszego w tempie jak zwykle szybszym, bo zawodnicy już się rozluźnili, ale pogoda była gorsza. Zrobiło się zimniej, chmury przepuszczały światło zwodnicze i ponure. Widoczność stała się prawie niebezpiecznie ograniczona. Pierre się zastanawiał, czy ta druga część zawodów nie zostanie przełożona na kiedy indziej. O Boże, błagam, nie, modlił się.

Podjechał do ogromnej tablicy, na której podawano czas zawodników, i odwrócony plecami do toru stał tam patrząc na postacie pnące się pod górę. Maxine z zapartym tchem trzymała się od niego z daleka. Na tej trasie teraz zdarzyło się więcej niż normalnie wypadków. Już jeden z zawodników ze stromego zlodowaciałego spadku wpadł na bramkę. Inny uderzył twarzą w tyczkę, co szczęśliwie skończyło się tylko lekkim wstrząsem i podbitym okiem. Ale nie miał takiego szczęścia zawodnik, któremu narta utkwiała w zamarzniętej koleinie z takim skutkiem, że zatoczył się na ogrodzenie stoku, wywołując popłoch stojącej tam publiczności i złamał nogę w trzech miejscach poniżej kolana. Pierre wstrzymywał oddech z nadzieją i nie mógł w duchu się nie cieszyć, gdy w trzy minuty później jego osobisty konkurent, Klaus Werner, ładnie zagarnął tyczkę nartą i z wdziękiem wykoziółkował się z zawodów, bez żadnych obrażeń.

Na tablicy ukazał się numer 8 i czas: 1.56 minuty. Maxine przygramoliła się po śniegu, zarzuciła Pierre'owi ręce na szyję wykrzykując:

- Pierre, wygrałeś, wygrałeś!

Ku jej i swemu zdumieniu pocałował ją w usta namiętnie, aż dech jej zapało.

- Muszę pójść z chłopcami, kochanie - szepnął. - Spotkajmy się w Chesa za pół godziny. - I odszedł wśród instruktorów, fanów i współzawodników uśmiechniętych, klepiących go po plecach.

Maxine już czekała na Pierre'a w Chesa. Oboje byli zanadto podnieceni, żeby coś zjeść, chociaż popijali szampana z obowiązkowej w tych okolicznościach butelki. Po pół godziny Pierre, który właściwie nie wypił prawie nic, objął Maxine ramieniem i powiedział:

- Teraz pójdziemy do mojego pokoju, co?

- Teraz? - zapytała z powątpiewaniem. Chciała i bała się.

- Teraz.

Brnęli w śniegu po uliczkach, gdzie co chwila ktoś Pierre'owi gratulował zwycięstwa. Jak długo to będzie trwało? - zastanawiała się Maxine przekradając się u jego boku.

W siedzibie narciarskiej kadry nie było nikogo. Z tupotem ciężkich butów weszli po drewnianych schodach na górę.

W pokoju Pierre'a stały dwa wąskie łóżka. Przed drzwiami Pierre, zanim je zamknął na klucz, postawił popielniczkę - umowny sygnał dla współlokatora.

Maxine chciała wyjść, ale też chciała zostać.

Zaczął ją rozbierać szybko, pocałunkami zamykając jej usta, ilekroć próbowała coś powiedzieć. Czy powinna mu wyznać, że ona jeszcze nigdy poniżej talii...

Błysnął niefrasobliwym uśmiechem i wprawnie odpiął kurtkę.

- Nie obawiaj się, byłem w takiej sytuacji setki razy.

- Setki razy? - powtórzyła z ulgą ze zgrozą i z pretensją.

- No, dosyć dużo.

Nastąpiło szamotanie przy jej narciarskich spodniach, które uparcie trzymała na sobie, więc on sam zaczął się rozbierać. Gdy rozpiął ekler, zamknęła oczy. Potem skoczyła na łóżko i jak struś ukryła głowę pod kołdrą.

- Pierre, jest dzień. Wstydzę się, ktoś mógłby zajrzeć przez okno.

- Dwa piętra nad ziemią? - Roześmiał się, ale usłużnie zasunął firanki.

I nagle już leżał przy niej nagi, delikatnie odrywając jej ręce od twarzy i całował jej nagie piersi ze zdecydowaniem, które ją szalenie podniecało. Zakłopotana i rozpalona, mimo woli oplotła się wokół niego, ukryła głowę na jego piersi, żeby nic nie widzieć. Potem znów zdrętwiała. Już czuła jego umięśnioną nagość, czuła zapach jego pożądania. I czuła coś jeszcze. Ukradkiem odsunęła rękę, ale on stanowczo tę rękę ujął i pociągnął delikatnie w dół. Teraz wyrwała rękę raczej gwałtownie. I znów on łagodnie, wytrwale pociągnął rękę w dół, zacisnął jej palce na swoim ciele. Zdecydowała się udawać, że to nie jest jej ręka. Bała się zrobić coś niewłaściwego, sprawić mu ból. Czy należy to przygiąć do przodu? Czy obracać? Czy to może się oderwać?

Usłyszeli głośne stukanie w drewno drzwi.

- Monsieur Boursal? Paru fotografów na dole! Oboje znieruchomieli. Pierre zaklął i usiadł gniewnie.

- Powiedz im... powiedz im, że ja śpię. Wyczerpany. Później.

Zaległa cisza, po chwili dały się słyszeć kroki coraz dalsze na korytarzu. Pierre wrócił do sprawy ręki. Maxine ze zdumieniem odkryła, że głaskanie może tak na niego działać, czynić go takim bezradnym, gdy ona tu leży pod ciepłą kołdrą i doprowadza go do szału samym tylko ostrożnym dotykiem tego.

- Wyrzucimy te cholerne spodnie - szepnął Pierre, gdy poszczególne części garderoby Maxine wylatywały spod kołdry w głąb pokoju.

Odważyła się ukradkiem zerknąć poniżej i znowu zdrętwiała. Ten ogrom. Przecież to niemożliwe, to ją rozerwie na pół.

- Boję się, myślę, że powinniśmy przestać - powiedziała. Pierre wycofał się z jęknięciem.

- Masz rację, jesteś za młoda - mruknął niechętnie. Maxine w furii znów chwyciła to w rękę.

- Nie chcę ciebie skrzywdzić - mruknął, ale przetoczył się na nią.

A potem nagle już nic nie bolało i on był w niej i poruszali się razem.

- Czy dobrze to robię? - szepnęła zaniepokojona takim rytmem. Trochę tak, jakbyśmy poziomo tańczyli sambę, pomyślała, ale czy powinnam poruszać się razem z nim czy odwrotnie?

- Nie myśl o tym, nie martw się o nic - szepnął jej uspokajająco do ucha. Leżała ogarnięta falami ciepła, w całym ciele czując mrowienie. Reagowała już instynktownie.

Raptem Pierre zaczął poruszać się coraz bardziej gorączkowo, z coraz większym pośpiechem. Wygiął plecy, stęknął cicho jak gdyby z bólu i osunął się na Maxine. Przez chwilę myślała, że zemdłał, ale po paru minutach zawarczał jak zadowolony senny szczeniak i zasnął.

Wszystko dobrze. Ale czy tak? Czują ulgę, że już jest po tym, że już przekroczyła tę barierę, że stała się prawdziwą kobietą. Zarazem jednak czują się dziwnie - wyczerpana, a przecież całkowicie przytomna. Napięta, leżała niewygodnie. Pod plecami miała rękę Pierre'a, a nie śmiała się poruszyć, obudzić go. Powolotku wreszcie przesunęła się ku nogom łóżka, aż oparła na tej ręce kark i tak leżała cała ukryta pod kołdrą. Oczy zamknęła, bliska płaczu.

To było wszystko? Wszystko, o czym one po zgaszeniu światła snuły tyle domysłów, z taką nadzieją roztrzęsając aluzje z romantycznych nowelek w magazynach? Ta mokra

krwawa plama na prześcieradle przy jej łokciu, ten obcy zapach spoconych ciał, zakisły zapach, ta lepkość sącząca się po jej udach.

Teraz pragnęła tylko być czysta, leżeć w swoim łóżku, w swojej sypialni w blasku słońca wpadającego przez okno przez koronkowe firanki. I nade wszystko w świecie wziąć kąpiel.

Coś musiała zrobić źle... czy może on czegoś nie zrobił dobrze. Trenowanie pewnych rzeczy to brak treningu w innych rzeczach - wymamrotał Pierre sennie podnosząc głowę i patrząc na nią. - Och, Maxine, masz najcudowniejsze piersi.

Wkrótce Maxine poczuła się raźniej. Znow ogarnęły ją ciepłe fale błogości. Bezwiednie zaczęła poruszać się w tym samym rytmie co on. Czy może on tak się w nią wtopił? Wyciągnęła ręce wzdłuż jego boków, przyciągnęła do siebie jego pośladki.

- Proszę, nie przestawaj. Proszę, nie przestawaj, proszę, nie przestawaj!- prosiła usilnie, bez tchu. Znieruchomiała w zawieszeniu jak zamrożony wodospad, potem sprężyła się w łuk i jeszcze raz się sprężyła i to, czego zaznała, było zdumiewającą rozkoszą - tak wielką o jakiej się słyszy - w istocie nawet większą.

Gorączkowe walenie do drzwi przybierało na sile. Maxine obudziła się ze wzdrygnięciem, poczuła przy sobie ciepłe nagie ciało i znow podskoczyła.

- Maxie! Maxie! - Głos Poganki naglił. Zeszła z łóżka i po omacku ruszyła przez nieznaną pokój w księżycowej poświacie do drzwi. Uchyliła je ostrożnie, ukrywając za nimi swoją nagość.

Przed drzwiami stała Poganka w swoim za dużym zielonym płaszczu z samodziału.

- Czy wiesz, że już prawie północ? Mówiłaś, że Pierre cię odprowadzi przed kolacją, więc myśmy tak naprawdę zaczęły się denerwować dopiero przed gaszeniem świateł.

- Mon Dieu! - Maxine się zachłysnęła. - To znaczy, kurczę, wiedzą, że mnie nie ma?

- Nie wiedzą. Kiedy przełożona chodziła w czasie gaszenia świateł, Kate powiedziała, że jesteś w łazience, a potem czekałyśmy, aż wszystkie pójdą spać, i rzuciłyśmy franka, która ma ciebie poszukać. Padło na mnie, więc Kate przekradła się z latarką do kancelarii i zwędziła z haczyka klucz od tylnych drzwi i teraz czeka, żeby nas wpuścić. Cztery szybkie stuknięcia w okno kuchni, to ma być sygnał. Na litość boską, pospiesz się!

Maxine, rozdygotana, wgramoliła się w swój kostium narciarski, nie budząc Pierre'a. Obie na palcach pomknęły przez korytarz, zbiegły ze skrzypiących drewnianych schodów

i wyszły na ulicę. Bez słowa, z rękami w kieszeniach, człapały po śniegu jak tylko mogły najszybciej, chwilami się potykając, chwilami ślizgając na odkrytym lodzie.

Już się zbliżały do szkoły, gdy jezdnia nagle zajaśniała. Powoli nadjeżdżał ku nim jakiś samochód. Po chwili się zatrzymał i przestraszone znalazły się w pełnym blasku reflektorów. Przyspieszyły kroku, żeby go wyminąć, ale ktoś opuścił szybę w oknie i wychylił się do nich.

- No, no - powiedział wesoło - panie zwiedzały nocne lokale? - To był Paul, kierowca dyrektora. - Siadajcie z tyłu - polecił ostro.

Wsiadły. Paul odwrócił się, przełożył rękę przez oparcie siedzenia i z uśmiechem popatrzył na te dwie pobladłe dziewczyny, które wiedziały, że grozi im wydalenie ze szkoły.

- Może zawrócimy? Może wybierzemy się razem do prawdziwego lokalu nocnego? Znam taki, gdzie nikt was nie rozpozna i ze mną będziecie bezpieczne.

- Nie, to tylko pogorszy naszą sytuację - szepnęła Maxine. Pamiętała, co Nick mówił o Paulu.

Ale Pogance przyszło na myśl, że jeżeli się zgodzi, to Paul jako współwinowajca nie będzie mógł powiedzieć Chardinowi. Nie zostaną wydalone.

Zebrała w sobie odwagę.

- Maxine powinna wrócić do budy. Koleżanka na nas czeka. Ja pojedę, ale jak potem wrócę?

- Mam klucz oczywiście.

Niespokojnie się oglądając, Maxine wysiadła i pobiegła po śniegu do tylnych drzwi. Czarny Jaguar posuwicie odjechał.

Ale Paul nie poprowadził go do żadnego z nocnych lokali. Przejechali przez miasteczko na jakieś odludzie z drugiej strony.

- Hej! - powiedziała Poganka prostując się na siedzeniu, gdy samochód zatrzymał się przed samotnym domem. - To jest nocny lokal?

- Nie, to jest mój dom - odpowiedział Paul. - Wypijemy po jednym i odwiozę panią do szkoły.

Poganka wyjrzała z samochodu. Już nie widziała świateł Gstaad i pojęcia nie miała, gdzie jest, więc posłusznie weszła za Paulem do tego małego chalet. Znalazła się w zdumiewająco nowoczesnym saloniku. Fotele były w obramowaniach z chromu;

abstrakcyjne obrazy w ogromnych srebrnych ramach, naturalnej wielkości męskie popiersie z marmuru odcinało się woskową bielą od czarnych ścian.

Poganka aż mrugała, zdumienie brało górę nad zmęczeniem. Nadal w płaszczu, stała milcząc pośrodku pokoju, gdy Paul przygotowywał srebrny shaker do koktajli. Potrząsnął nim, przelał zawartość w pucharek i podał Pogance. Pachniało to mydłem i płynem do prania na sucho, chociaż powiedział, że to brandy z wódką i odrobiną czegoś specjalnego. Lepiej być z nim dobrze - pomyślała Poganka - ale żeby to paskudztwo wypić, musiała wstrzymać oddech i od razu przełknąć. Przełknęła. Zakrzrusiła się i poczuła, jak nogi jej słabną. Straciła przytomność.

Poganka chciała tylko, żeby żołądek jej się uspokoił. Pomyślała, że już nigdy nie będzie mogła podnieść głowy. Ostrożnie otworzyła oczy. Lunęły na nią jaskrawe światła. Więc zamknęła oczy z powrotem. W głowie jej kołowało, miała mdłości i wrażenie, że nie panuje nad rękami i nogami. Po chwili na przegubie poczuła stal, usłyszała pstryknięcie... Co ten człowiek wyprawia?

Paul kajdankami przymocował jej rękę do słupa łóżka. - Teraz druga ręka. Tylko bez głupstw, panienko.

Była zbyt słaba, żeby myśleć. Znów zamknęła oczy. Nie wiedziała, czy czuje się gorzej z oczami zamkniętymi, czy otwartymi. Strasznie marzła, bo nie miała na sobie nic. Och, gdybyż mogła zrozumieć, co się dzieje... gdybyż Paul dał jej spokój... Co ten bydlak chce zrobić?

- Będę cię tylko głaskał, i to już wszystko, potem odwiozę cię do szkoły. Chyba nie chcesz wstać zaraz, prawda? I chyba nie chcesz mnie powstrzymać, prawda? Nie możesz. Jest ci przyjemnie, prawda?

I rzeczywiście przyjemne było to kojące, miękkie kocie głaskanie piersi, żeber, brzucha. Spróbowała znów otworzyć oczy i zobaczyła, że Paul leży przy niej nagi na czarnej pościeli. Lśniącą czarną głowę podpira łokciem, uśmiecha się niedbale z rozbawieniem, głaszcząc ją czarnym piórem.

Znów zamknęła oczy. Po chwili cicho zsunął się z łóżka, poczuła coś innego, jak gdyby wąż jej pełzał po udach.

Znów otworzyła oczy: teraz to był czołowy widok, jej pierwszy w życiu widok erekcji. Paul z nogami rozsuniętymi unosił się nad nią i - nie, to po prostu niemożliwe! - delikatnie muskał ją w uda czarnym skórzanym pejczem.

- Nie masz wyboru, musisz robić dokładnie to, co mówię - szepnęła. Znów zamknęła oczy. Za wiele tego wszystkiego. I głowa tak boli! Nagle błysnęło. Oprzytomniała.

Została sfotografowana.

Potem on zrobił to jej i wcale nie bolało. Było obrzydliwie, ale nie bolało. Aż w końcu Paul siedział w nogach łóżka i palił jakiegoś ziołowego papierosa. Taki właśnie słaby zapach Poganka poczuła, gdy weszła do tego domu. Zdawałoby się, że zapomniał o jej obecności, po chwili jednak odwrócił do niej głowę i zduszając papierosa na czarnym prześcieradle, zaczął chichotać niepohamowanie. Złękła się tak bardzo, że w pełni odzyskała czujność. Nie miała pojęcia, która jest godzina, ale wiedziała, że musi uwolnić się od tych kajdanków, ubrać się i wrócić do szkoły, zanim ten bydlak spali dom.

- Paul, kochanie - powiedziała - proszę, odepnij mi to, muszę iść do łazienki.

Podsunał się na łóżku i zdjął jej z rąk kajdanki. Prawie na oślep przeszła do saloniku, żeby poszukać swoich rzeczy. Zbierając je, spojrzała w lustro w ramie z brązu zawieszona nad sekretką. Twarz miała nabrzmiąłą powieki jak obwarzanki: najwidoczniej w którejś chwili płakała.

Zauważyła, że najwyższa szuflada sekretki jest na pół wysunięta. Oczy jej omal nie wyskoczyły z tych zapuchniętych powiek, gdy zobaczyła, co tam jest.

Prędko sięgnęła do tej szuflady.

O świcie Poganka wkradła się do sypialni internatu.

- Wyglądasz okropnie. Już jest po piątej.

- Strasznie pachniesz. Gdzie byłaś?

- Co się stało?

- Byliśmy w jakimś barze i za dużo wypiliśmy. Z łaski swojej odczepcie się ode mnie! - warknęła.

Wypluła usta środkiem odkażającym, umyła twarz i zataczając się położyła spać. Nie zeszła na śniadanie. Przełożona widząc tę opuchliznę, czerwone powieki, matowość

oczu, natychmiast zmierzyla jej gorączkę. Gorączki nie było, ale wyglądało na to, że jakaś choroba się rozwija, więc Pogankę przez dwa dni trzymano w szkolnym szpitaliku.

Rozdział piąty

w dziesięć dni później triumfowała już prężność młodości. Poganka zdołała samą siebie przekonać, że wymazała obrzydliwy incydent z pamięci i potrafi udawać, że nic się nie stało. O dziwo, ten epizod rzeczywiście wcale jej nie przygasił, więc w niedzielne popołudnie kipiąc niespokojną energią namówiła swoje trzy przyjaciółki do wynajęcia na godzinę czerwonych sanek konnych.

Koń poczłapał po ośnieżonych kocich łbach. Siedziały we cztery stłoczone rozkosznie pod fartuchami z rudych lisów. Podskakując na wybojach w takt brzękania srebrnych dzwonek przy upręży, machały rękami do przechodniów, aż wyjechały na łąki za miasteczkiem rozciągające się w kierunku Saanen. Zatrzymały się. Kolejno każda z nich siadała na koźle, brała w ręce bat i lejce, a Poganka fotografowała ją swoim Brownie.

Raptem Judy, która nie umiała powozić, niewiele myśląc szarpnęła lejcami i wykrzyknęła: „Wioo!”, przy czym trzasnęła batem w powietrze. Niefortunnie ten rzemień uderzył niemłodą kobyłę w ucho. Stanęła dęba. Judy przerażona upuściła bat i chwyciła się kurczowo siedzenia, gdy kobyła pocwałowała przed siebie ciągnąc ciężkie sanie, tak że kołysały się od skraju do skraju drogi. Kate i Maxine kulily się na tylnym siedzeniu miotane po śniegu, gdy Poganka i woźnica, coraz dalej z tyłu, patrzyli na to rozdziawiając usta.

Po raz pierwszy od dziesięciu dni Poganka naprawdę zapomniała o tamtej wstrętnej sytuacji. Rzuciła aparat fotograficzny i popędziła za saniami zataczającymi się to w jedną to w drugą stronę koleiny, gdy kobyła dawała susy naprzód z szybkością do jakiej nie przywykła.

W ten sposób sanie minęły gromadkę narciarzy. Jeden z nich podbiegł i chwycił lejce. Tylko na pół o własnych siłach biegnąc przy kobyle, stopniowo ją zatrzymał i zanim Poganka zasapana dogoniła sanie, on już głaskał rozdygotane zwierzę po parującej szyi i szeptał coś w języku Pogance nie znanym.

- Jak śmiałaś! - wrzasnęła Poganka do przerażonej i bladej Judy. - Jak śmiałaś uderzyć tę klacz! Jak śmiałaś ją spłoszyć, zmusić do galopu po lodzie, ty cholerna

idiotko! Siadaj z tyłu! - Głowę podniosła wysoko, zadarła władczo swój krótki prosty nos z nozdrzami rozdętymi z wściekłości.

Przejęta stanem kobyły, wzięła lejce od tego nieznanego, powiedziała „dziękuję” prawie go nie zauważając i poprowadziła kobyłę z saniami do woźnicy. Zawrócili do stajni.

Przed stajnią ktoś czekał - śniady, czarnowłosy narciarz pełen arogancji uprzywilejowanego sługi. Z twarzą bez wyrazu, poza bijącym z niej poczuciem wyższości, podszedł do Poganki i lekko się uklonił.

- Mój pan, Jego Królewska Wysokość, następca tronu książę Abdullah pragnie zaprosić panią teraz na spotkanie w hotelu Imperial.

- Ja jestem królową Chin - powiedziała Poganka jeszcze wściekła i głucha na przeprosiny Judy.

- Abdullah z pewnością mieszka w Imperialu, Poganko - powiedziała Judy. - Ma dwa apartamenty na stałe, dopóki tu się kształci. Nigdy go nie widziałam, ale ten facet to z pewnością jeden z jego goryli. - Otuliła podbródek końcem swego bladoniebieskiego szalika. - Słuchaj, muszę już iść do pracy, ale ja bym się zastanowiła nad tym zaproszeniem. Czy bardzo często książęta krwi zapraszają cię na herbatę? -I odbiegła w ciężkich butach hamujących jej bieg.

Poganka przypomniała sobie jednak bolesną eskapadę z Paulem, więc marudziła. Nie chciała już się wplątać w nic cudzoziemskiego.

- Nie zaszkodzi ci przejść się do Wielkiego Hallu - nastawały przyjaciółki. - Och, Poganko, książę krwi - dorzuciła Kate, gdy szły za tym śniadolicym gorylem w stronę hotelu Imperial.

W kącie Wielkiego Hallu siedział obleczony w biel swego narciarskiego stroju książę Abdullah. Siedział wyprostowany i niecierpliwy. Z brwiami jak skrzydła miał w twarzy coś z czujnego sokoła i spojrzenie człowieka przywykłego do okazywania mu posłuszeństwa. Nie poruszając głową patrzył, jak one trzy podchodzą po czym wstał i powiedział grzecznie:

- To świetnie, że panie przyszły. Cudowna dziś pogoda, prawda? - Mówił po angielsku szczekliwie z odrobiną tylko obcego akcentu.

Machnięciem ręki wskazał pluszowe fotele stojące wokół jego stolika.

Usiedli wszyscy i rozmawiali o pogodzie, o hotelu, o narciarskich stokach. Postawa tego księcia wyprostowanego jak struna, jego bumpy, nieomal groźny spokój, świadczyły o majestacie, dziwnie jednak obciążały osiemnastoletniego

chłopca. Poganka pomyślała, że prawdopodobnie wygląda on bardziej na swoim miejscu dosiadając arabskiego konia niż siedząc w tym starym hotelowym fotelu z zielonego pluszu. Skierowała rozmowę na temat koni i wtedy księżę po raz pierwszy się uśmiechnął. Od tej chwili Kate i Maxine mogłyby nie istnieć.

Wygrałam! - pisnęła Poganka i przyciągnęła do siebie stertę kart. Grała w karty, leżąc na brzuchu na skórze niedźwiedzia polarnego przed ogniem z dREW buzującym w kominku. Abdullah, siedzący przy niej po turecku, uśmiechnął się i wzruszył ramionami.

Księżę Abdullah nie chodził do Chesa. Powiedział, że nie lubi, jak ludzie się na niego gapią i nie chce, żeby mu tańczyły aparaty fotograficzne paparazzi przed nosem, ale naprawdę, chociaż tego nie mówił, uważał bywanie w zatłoczonych kawiarniach za ryzykowne w jego przypadku. Poganka z początku nie chciała przyjść do apartamentu, ostatecznie jednak, gdy dał słowo, że będzie „zachowywać się przyzwoicie”, zgodziła się spędzić sobotnie popołudnie w jego saloniku, gdzie rozwalona na kasztanowatym grubym dywanie rozmawiała z nim o koniach albo uczyła go dziecięcych gier w karty.

Prywatnie Abdullah zrzucał z siebie pelerynę majestatu. Znikała ona, ledwie krótkim skinieniem głowy odprowadzał goryli.

- Zaczynam myśleć, że szachrujesz - powiedział, ziewając. Sam szachrował z reguły. Uśmiechnął się szeroko, aż błysnęły jego równe białe zęby.

Gdy przekręcał się na bok zwinnym kocim ruchem, jakoś dziwnie leniwie groźnym, coś głośno trzasnęło w sąsiednim pokoju. Jednym skokiem zerwał się i Poganka jeszcze zgarniając karty, zobaczyła, że spod fioletowego swetra wyciągnął połyskliwy pistolet automatyczny. Ruszył do drzwi sypialni i otworzył je kopnięciem. Poza tym, że trzaskały płonące drwa na palenisku kominka, w sypialni panowała cisza. Z przysiadu jak kot wskoczył tam i stanął tyłem do drzwi.

- Nic się nie dzieje! - zawołał po chwili. - Przepraszam, Poganko! Wstała i wbiegła tam za nim. W przeciwieństwie do zbyt kownego,

wyściełanego pluszem saloniku, sypialnia Abdullaha była prawie pusta - nawet bez firanek w oknach - tyle, że pośrodku stało podwójne łóżko z małym stolikiem z boku. Na stoliku przy karafce z wodą i fiolce tabletek leżał drugi pistolet. Abdullah zza framugi patrzył przez okno.

- Chyba jakieś drzewo upadło, po prostu. Przepraszam, że cię zaniepokoiłem - powiedział - ale muszę być ostrożny.

- A goryle... - Pogance zabrakło tchu. Abdullah wzruszył ramionami.

- Goryla można przekupić byle czym. Jestem w takiej samej sytuacji jak najbiedniejszy żebrak w moim królestwie. Jeżeli nie będę uważał na siebie, nikt tego za mnie nie zrobi.

- To dziwny pokój! - Poganka rozejrzała się jeszcze raz.

- Arabowie mają krępujący stosunek do wygody i luksusu, coś pomiędzy nienawiścią a umiłowaniem - wyjaśnił Abdullah. - Luksus sprawia, że człowiek mięknie. A ja, żeby przetrwać, nie mogę sobie pozwolić na miękkość. Muszę być twardy tak duchem jak ciałem. - Na pozór zgoła nie przejęty, patrzył na nią mocnym wzrokiem wspaniale pewnego siebie samca. Wepchnął pistolet za pasek spodni i obciągnął na sobie fioletowy sweter.

- Grajmy w karty dalej - powiedziała Poganka, oczy miała jeszcze okrągłe, ciągnąc go z powrotem do saloniku. - Czego się bałeś... myślałeś, że co się stanie? - zapytała.

- Może jest spisek, żeby mnie porwać czy zabić. - Wzruszył ramionami, trochę zakłopotany.

- Rzeczywiście myślisz, że mogliby cię porwać?

- Pierwsza próba porwania była, kiedy miałem niespełna rok. Moją niańkę ukamienowano za udział w spisku. Następny zamach, kiedy miałem siedem lat. Mój goryl wepchnął mnie pod łóżko, ale wyciągnęli mnie, a jego dźgnęli sztyletem pięć razy i zostawili, pewni, że nie żyje. Ale on nie zaraz umarł, podniósł alarm, zanim ci spiskowcy wynieśli mnie z pałacu. - Abdullah uśmiechnął się leniwie, widząc na twarzy Poganki niedowierzanie. - Trzeci zamach, kiedy miałem czternaście lat. Wracaliśmy z polowania. Jechałem pierwszym Land Roverem. Wpadliśmy w zasadzkę w parowie, postrzelili mnie w rękę i w pierś, zanim nadjechał drugi Land Rover z obstawą strzelającą na wszystkie strony. Kula któregoś z nich trafiła mnie w nogę, ale udało mi się zastrzelić jednego z napastników. I odtąd - powiedział to z jakąś dojrzałą bezwzględnością - nie ufam

nikomu. Bez trudu. Serce mi chyba z dnia na dzień stwardniało. Ryzykiem śmierci; to było proste. I wówczas byłem nieostrożny po raz ostatni. Zawsze już noszę pistolet, śpię z pistoletem pod poduszką, prowadzę samochód z karabinkiem maszynowym na siedzeniu obok mnie.

Przerwało Abdullahowi ciche pukanie do drzwi. Na progu stał Nick w liberii kelnera. Maską kelnerskiego uszanowania spadła z jego twarzy, gdy zobaczył Pogankę na pół leżącą na niedźwiedziej skórze, ale zaraz się opamiętał. Abdullah zamówił lemoniadę i herbatę, po czym jeszcze niezupełnie uspokojony zaczął nerwowo chodzić po pokoju.

- Przestań się kręcić - rozkazała Poganka.

- Jestem niespokojnym duchem. To naturalne, że człowiek, który nigdy nie czuje się bezpieczny, nie może usiedzieć w miejscu.

Nick wrócił z załadowaną tacą i znów spojrzał na Abdullaha jak sługa mający swego pana w nosie, gdy sztywno się pochylając stawiał tacę na niskim stoliku przy pluszowej kanapie. Poganka mrugnęła do Nicka, ale udawał, że jej nie widzi. On nie cierpi Abdullaha, pomyślała. Ciekawe dlaczego?

Abdullah ani jednym drgnieniem mięśnia w twarzy nie okazał, że rozpoznał Nicka, ale przelotnie przypomniał sobie najbardziej upokarzającą chwilę swego życia.

Długa na osiem stóp, obita zielonym wełnianym rypsem tablica była centralą szkolnej działalności; na niej przypinano wypisywane atramentowym ołówkiem zawiadomienia o specjalnych lekcjach, wycieczkach, zebraniach klubów i o nabożeństwach w kaplicy, a także spisy sportowców. Abdullah pamiętał swoje chłopięce rozradowanie, gdy pewnego dnia rano, wracając po śniadaniu do swego pokoju zobaczył, że jego imię figuruje w spisie drużyny piłki nożnej, reprezentacji Eton. Nabazgrane było: Abdullah. On jeden w całej szkole nie miał nazwiska. On jeden nie miał przyjaciół.

Abdullah nie rozumiał, dlaczego w tych starych kamiennych murach wszyscy chłopcy - łącznie z nim samym - są sobie równi. Jemu ta istniejąca od stuleci tradycyjna, elitarna szkoła brytyjska wydawała się światem niezrozumiałym i wrogim. Nie znał sztywnych konwenansów i szczególnego języka na użytek własny swoich kolegów, ciągle więc robił i mówił to, czego zgodnie z etykietą Eton robić i mówić nie należało. Ale teraz,

pomyślał patrząc na tablicę, wszystko mi darują. Jestem w reprezentacji! Podniecony, w podskokach pobiegł kamiennym korytarzem po książki na pierwszą tego dnia lekcję.

Każdy uczeń miał swój nieduży pokój z ponacinanym scyzorykami wielu pokoleń drewnianym stołem, dwoma krzesłami, wąskim składanym metalowym łóżkiem, biurkiem i komodą w której trzymał swój sprzęt sportowy. Pokój Abdullaha był taki sam jak pokoje jego kolegów, z pewną wszakże różnicą: u niego na ścianie wisiły w ramach fotografie: jacht jego ojca, matka w stroju dworskim, ojciec w paradnym mundurze, gdy król Jerzy VI daje mu odznaczenie, i on sam, Abdullah, w wieku lat trzynastu przyjmujący salut Sydońskiej Gwardii Pałacowej, i drugie jego zdjęcie, na którym Rita Hayworth całuje go w policzek.

Przetrząsając biurko w poszukiwaniu gramatyki łacińskiej, Abdullah usłyszał głosy chłopców na korytarzu. Od razu ich rozpoznał.

- Masz pojęcie? No, Horton, słuchaj, ten pawian w drużynie naszego domu!

- Nie! Za chińskiego boga! Nie rozumiem nawet, dlaczego w ogóle go tutaj mamy. A już z pewnością nasza reprezentacja to nie miejsce dla brudnych Arabów. Nie mogli go dalej trzymać tam, gdzie był?

- Drybluje chyba nie najgorzej, ale zawsze zapędza w róg, wchodzi chyłkiem...

- Jakiś miłośnik czarnuchów jeszcze go wystawi na wybory do następnych rozgrywek o Puchar. Spodziewam się, że będzie miał rekordową liczbę czarnych gałek. Czarne gałki, ha, ha, ha! Szkoda, że nie jaja. Jakiego koloru jaja mają pawiany? Królewsko purpurowe, jak myślisz?

Doleciał wybuch chrapliwego śmiechu i jednocześnie zadźwięczał dzwonek. Złośliwi koledzy odeszli od tablicy ogłoszeń.

Abdullah nie odważył się zmierzyć z nimi. Wszyscy trzej zasiadali w radzie, byłoby więc nie do pomyślenia poskarżyć się na nich - tylko by został wyśmiany. Ręce mu się trzęsły w bezsilnej wściekłości. Ale właściwie dlaczego miałby się przejmować tym, co myśli o nim hołota? Oni będą w przyszłości rolnikami, wojskowymi czy politykami, a jego przeznaczenie to być królem, przywódcą swojego ludu kochanym przez wiele plemion, przez mężczyzn i kobiety...

Głęboko w płuca wciągnął powietrze. Kobiety! Te zera, ci aroganci nie przeszli trzytygodniowego wtajemniczenia u hakima w Kairze... Stojąc z gramatyką łacińską w ręce i trzęsąc się z wściekłości Abdullah pomyślał o słodkiej zemście.

Zdecydował, że będzie miał ich kobiety.

Poganka wyszła z apartamentu Abdullaha wcześniej niż zwykle. Ale z hotelu nie wyszła, tylko wjechała windą na najwyższe piętro, po czym wbiegła po pozostałych schodach na poddasze do pokoju Nicka, gdzie już one wszystkie składały chichocząc wizyty. Miała szczęście, bo Nick właśnie skończył służbę. Otworzył jej drzwi. Był bez marynarki.

- W ramach dobroczynności? - zapytał oziębło, gdy cmoknęła go w policzek.

- Nie. Tylko jestem ciekawa, dlaczego nie cierpisz Abdullaha? Nie możesz wymagać, żebyśmy wszystkie cztery poświęcały ci całą uwagę tym bardziej, że wiemy, jak kochasz się w Judy. - Usiadła na jego żelaznym łóżku. Sprężyny się ugięły.

- Twoje życie prywatne to nie moja sprawa.

- Ale o co chodzi, Nick? Czy Abdi już ma dziewczynę?

- Nie wiem. Zresztą to też nie moja sprawa i nie powiedziałbym ci, gdybym wiedział... Ale... byłem z nim w szkole i daję ci słowo, że ten skurczybyk Abdullah wcale nie jest taki, jaki się wydaje. Oczywiście kobiety uważają, że jest porywający. Wyraźnie atrakcyjny.

- Nie tylko to - Poganka zachichotała. - Te rekwizyty są uciechą. Straż przyboczna, powłóczyście szaty i czarne wąsiska i... hm... te środki ostrożności.

- Nagle się zastanowiła, czy Abdullah ma oficjalne pozwolenie na posiadanie broni w Szwajcarii. Przypuszczalnie podróżuje z paszportem dyplomatycznym, więc może robić, co mu się podoba. Westchnęła. - Nie pojmuję, czemu się w nim nie zakochałam. Jest fascynujący, ale ja nie straciłam dla niego głowy, tak jak ty dla Judy.

- No to masz cholerne szczęście, bo Abdullah nie jest dżentelmenem wobec kobiet. On się nimi posługuje. To znaczy kobiety go nie obchodzą. Ani pokojówki, ani siostry kolegów, ani nawet ich matki.

- Nick! Chyba nie mówisz, że...

- Mówię tylko, że jest dziwnie... bezosobowy wobec kobiet. - Nick nie wiedział, jak powiedzieć, że stosunek Abdullaha do Europejki jest zimny i wykalkulowany. Że Abdullah się nimi posługuje. Uczy się od nich. Swymi podbojami chce wykazać, jaką władzę ma nad nimi i mężczyznami z ich otoczenia.

- Och, Nick, on jest ostrożny wobec każdego, musi się strzec, żeby go nie wykorzystano, nie zastrzelono, nie... no strzec się przed tym wszystkim, przed czym się strzegą władcy - powiedziała Poganka myśląc, że Nick jest po prostu zazdrosny.

- I właśnie to połączenie groźby i wdzięku tak nieodparcie pociąga kobiety

- powiedział Nick z zawziętością i odrobiną zawiści.

- Czym mam rozumieć, że Abdi może rozmyślnie bawić się ze mną w kotka i myszkę, żeby mnie unieszczęśliwić?

- Poganko, nie rozmawiajmy o głupich męsko-damskich gierkach, posłuchaj. Bardzo lubię was wszystkie cztery i wiesz, co czuję do Judy. Jestem waszym przyjacielem. Żadną z was bym się nie posługiwał, a Abdullah właśnie to robi z tobą. On nie wie, co to szacunek... rycerskość... on nie jest dżentelmenem.

Poganka odrzuciła głowę do tyłu i roześmiała się.

- Kochany Nick - powiedziała - stara ciotuniu! Zacznę nosić drut kolczasty zamiast elastycznych majtek.

Dla Poganki - i dla wszystkich jej koleżanek - poważnym zagadnieniem było to, czy Abdullah zaprosi ją na bal w wieczór Świętego Walentego. Abdullah rzadko pokazywał się publicznie, zwłaszcza po pewnej niedzieli, gdy po południu wynajął sanie i uliczny fotograf zrobił mu zdjęcie w tych saniach z Poganką. Negatyw szybko za grube pieniądze został posłany do „Paris Match” i w ciągu dwudziestu czterech godzin tę fotografię rozpowszechniła prasa na całym świecie.

Co dwa dni Poganka otrzymywała naręczę czerwonych róż bez żadnego bileciku.

- Mówiłaś, że czerwone róże są wulgarne - zauważyła Kate wesoło, za co poleciała na nią poduszka.

Po trzeciej wiązance róż Poganka wezwana do dyrektora dowiedziała się, że nie wolno jej przyjmować kwiatów. Monsieur Chardin wydawał się niezwykle wzburzony. Połowa dziennikarzy prowadzących kroniki towarzyskie Europy nie dawała mu spokoju. Niewątpliwie taka reklama służyła szkole, poczuwał się jednak do obowiązku wyrazić dezaprobatę.

W parę dni później wieczorem Pogankę znów wezwano do gabinetu dyrektora. Wróciła zadumana.

- Co się stało? - zapytała Kate leżąc na swoim łóżku i trzymając jedną nogę w powietrzu, gdy Maxine lakierowała jej paznokcie u nóg.

- Telefon.

- Kto? - Telefon zawsze był w szkolnym życiu wydarzeniem.

- Caspar, mój kuzyn. Jest naszym ambasadorem w Emiratach. Powiedział, że podobno często widuję się z księciem Abdullahem, więc żebym jednak była roztropna. - Zachichotała nerwowo. - Powiedział też, że w Sydonii uważa się kobietę za własność i wyrzuca się, jeżeli jest skalana. Nawet czasami się ją kamieniuje na śmierć. Wyobrażacie sobie?

- Do licha - powiedziała Maxine. - Nie ruszaj się, Kate. Poganka rzuciła się na puste łóżko Maxine.

- Więc zapytałam, co zbezczeszczone Arabki mają wspólnego ze mną. - Była w wystrzępionym wiktoriańskim szlafroku liczącym sobie ponad sto lat i w szkarłatnych tureckich kapciach ze sterczącymi noskami.

Tamte dwie na drugim łóżku usiadły prosto, przy czym emalia do paznokci pocięła po kostkach Kate.

- Stary Caspar - ciągnęła Poganka - powiedział, że Abdi musiał zostać władcą kiedy był jeszcze mały, bo jego ojciec jest bardzo pobożny, trochę i zwariowany i żyje w zupełnym odosobnieniu. I dodał, że Abdi, chociaż jest bardzo, bardzo twardy, wcale nie jest tak doświadczony, jak mu się wydaje, i nie ma dostatecznych danych, żeby się uporać ze światem dwudziestego wieku, i jeśli tylko podejrzewa, że się z niego śmieją, i czuje się upokorzony, potrafi być niebezpieczny. - Zachichotała. - Mówił i mówił, że Abdullah to właściwie dwóch ludzi, jeden to władca z europejskim wykształceniem, który będzie dyplomatycznie pertraktował z europejskimi mężami stanu, a drugi to bezlitosny, straszliwie potężny przywódca arabski, którego słowo jest prawem i który ma instynkty gwałtowne, groźne, średniowieczne.

Zrzuciła z nóg tureckie kapcie i przeskoczyła na łóżko Kate. Podwinęła nogi pod siebie i dodała niedbale, z wielkim jednak pośpiechem:

- Caspar też mi powiedział, że Abdullah jest zaręczony.

- O! - Maxine, w białej nocnej koszuli kładąc się w swoim łóżku, znieruchomiała. - Z kim?

- Z jakąś arabską księżniczką która ma zaledwie dziesięć lat. Dacie wiarę? Pobiorą się, kiedy będzie miała piętnaście lat. - Poganka usiłowała udawać niefrasobliwość, ale

głos jej się załamał. - Pękałam ze śmiechu - dodała niepewnie - więc Caspar się rozszłościł i powiedział, że zatelefonuje do mamy.

Nagle światła zgasły, wyłączone jak zwykle w mieszkaniu dyrektora. Firanka w poświacie księżycy rzuciła na łóżko cień jak wieniec z popielatych róż, gdy Maxine odgarnęła prześcieradło i podbiegła do Poganki, by ją uściskać.

- Biedaczko kochana, biedaczko kochana! Oszust cholerny, szczur, skurczybyk!

- To prawda, rzeczywiście chyba średniowieczny! - wykrzyknęła Kate.

- Tak właśnie patrzy na to Caspar. Abdi nie jest europejskim bogatym nastolatkiem, który stara się zachowywać jak światowiec. On jest raczej... bezwzględny, bardzo potężnym bandytą z pustyni. - Poganka umilkła. - Myślę, że dlatego mnie fascynuje.

- Z pewnością nie można mu ufać! - powiedziała Maxine. - No, ale oczywiście nie powinno się ufać żadnemu mężczyźnie.

- Przestań się mądrzyć - powiedziała Kate. - Komu można?

- My sobie możemy ufać nawzajem - powiedziała Maxine stanowczo. Więc dosyć uroczyście, siedząc na łóżku Kate, przysięgły sobie wieczystą przyjaźń.

- Na wozie i pod wozem. - Poganka patrzyła rękami nad głową jak posiniaczony, ale zwycięski bokser.

- Czy śmiech, czy łzy - Kate zachichotała. - Szczególnie łzy. - Szturchnęła Maxine w nadal dobrze pokryte tłuszczem żebra.

- Czy grzech, czy łzy - powtórzyła Maxine, Francuzka, w ferworze mylnie podchwytyjąc angielskie słowo.

- No tak, to także - przytaknęła Kate z powagą.

Nazajutrz rano wywołano Pogankę z klasy, gdzie mademoiselle rozpatrywała fragmenty Lamartine'a, a dziewczęta naradzały się, co włożyć na bal Świętego Walentego i jak wyciągnąć z domu więcej pieniędzy rzekomo na robótki ręczne: haft i szycie, a tak naprawdę na papierosy. Te lekcje to farsa, pomyślała Kate gniewnie, wycinając nożyczkami do paznokci za osłoną różowego bibularza swoje inicjały na pulpicie, gęsto już i bez tego ozdobionym graffiti. Nimb letargu wisiał nad klasą wraz z zapachem kredy i potu spod pach. Słyszał tylko skrzypienie kredy na tablicy i klekot starego pianina, który dolatywał z piętra powyżej; niewidoczna pianistka wciąż irytująco myliła się w tym samym miejscu i zaczynała grać od początku.

Poganka wróciła rozchichotana, ale usiadła przesadnie poważna.

- Co to było? - Udręczona mademoiselle odwróciła się od tablicy za późno, by zobaczyć, jak Poganka końcem drewnianej linijki podrzuca zwiniętą kartkę do Kate. Jak zwykle, Kate nie odpowiedziała kartką, bo papierowe kulki Poganki nigdy nie wymagały odpowiedzi. Tym razem przeczytała: „Dostanę suknię balową, hurra!”

Po lekcji Poganka przybiegła ze swoją wiadomością.

- Mama była zbulwersowana. Chciała tylko wymusić ode mnie przyrzeczenie, że nie będę widywać się z Abdullahem sam na sam. Zapytałam, czy mogłaby z łaski swojej przysłać mi jakąś przyzwoitą garderobę... wtedy ją raczej zatkało... ale wyjaśniłam, że on może mnie zaprosi na bal na Świętego Walentego, a ona przecież wie doskonale, że ja nie mam się w co ubrać. Jednakże uznałam, że lepiej sobie zapewnić sukienkę, więc kiedy się wyłączyła, zadzwoniłam do dziadka i zapytałam, czy mógłby z łaski swojej postarać się, żebym miała odpowiednią suknię balową. Właśnie - dodała trochę zawstydzona - dałam do zrozumienia, że jeżeli mi nie przyślą sukienki, może Abdi mi ofiaruje. Dziadek powiedział, że z przyjemnością kupi mi balową suknię, bylebym przyrzekła, że nie będę przyjmować żadnych prezentów od Abdiego.

W kilka dni później specjalny posłaniec doręczył Pogance ogromne brązowe pudło. Wszystkie koleżanki stłoczyły się za nią gdy wbiegła do jadalni i rzuciła to pudło na jeden z pustych długich stołów. Zerwała opakowanie, zanurzyła ręce w warstwach szeleszczącej białej bibułki i wyciągnęła piękną chmurę popielatego tiulu rozmigotanego brylancikami jak kropelki. Była to kreacja balowa Normana Hartnella z dekoltem w szpic, skromnym, ale nie do niemożliwości.

Wszystkie wzdychały pożądliwie.

Po swym następnym spotkaniu z Abdullahem Poganka wróciła nieco przygaszona.

- Pytałam go, czy jest zaręczony z dziesięciolatką. Raczej się naburmuszył, zadarł podbródek i powiedział, że jest, ale to całkowicie sprawa dyplomacji i nie ma nic wspólnego z nami. Był trochę dziwny może przez dziesięć minut, a potem poszedł do sypialni, żeby zatelefonować i... możecie sobie wyobrazić... W jakieś dwadzieścia minut później pukanie do drzwi saloniku, wchodzi jeden z tych ponurych goryli z małym człowieczkiem z butiku Cartiera. Człowieczek wręcza Abdiemu pudełko i bardzo szybko wycofuje się, prawie tyłem, Abdi odwraca się do mnie, daje mi to pudełko... cudowne karmazynowe aksamitne pudełko z wyściółką z białej satyny, na której leży, ach! i migocze do mnie wprost szaleńczo po prostu boski brylantowy naszyjnik. Gdybym

dziadkowi nie przyrzekła, z miejsca bym to przyjęła. No, musiałam Abdiemu powiedzieć, że nie mogę nic od niego przyjmować. Nie sędzę, żeby był przyzwyczajony do osób, które odrzucają brylantowe naszyjniki, i w ogóle do odmowy.

Przy każdej z czterech następnych okazji, gdy Poganka przychodziła na podwieczorek do książęcego apartamentu, Abdullah usiłował podarować jej biżuterię, zawsze w karmazynowym aksamitnym pudełku. Ale Poganka posuwała się tylko do tego, że przymierzała te szmaragdowe kolczyki, diadem ze złotych liści brzoźowych, bransoletę z akwamaryn i pierścionek z ogromnym nie szlifowanym szafirem. Coś wszakże, za pozwoleniem matki, Poganka od niego przyjęła. Abdullah zaproponował jej starą jeździecką opończę swojego dziadka i w dodatku wymógł na niej niechętną obietnicę, że ona w tej opończy przyjdzie na bal za karę, skoro nie chce przyjąć jego cennych prezentów. Pogance niezbyt odpowiadało pachnące okrycie wieczorowe ze starej arabskiej końskiej derki, ale wpadła na pomysł, że może je zdjąć w szkolnym autobusie przed wejściem do Imperialu.

Nazajutrz wieczorem była pomniejsza potańcówka, tym razem w ratuszu.

Dziewczęta z L'Hirondelle w niezgrabnych butach na „po nartach”, ale w długich sukniach i w samodzielnych płaszczach, z bawełnianymi ściąganyymi na tasiemki workami, w których miały pantofle do tańca, wsiadły do szkolnego autobusu. Jak zwykle mademoiselle policzyła głowy, gdy wsiadały, co miała znów uczynić, gdy wrócą do autobusu po zabawie.

Maxine pożyczyła na ten wieczór przymilającej się Pogance swoją bladoniebieską taftową suknię od Diora, chociaż Poganka nie mogła dopiąć ekleru sukni pod bolerkiem. Obręb został spuszczonej i sfastrygowany, żeby sięgać Pogance do kostek.

Orkiestra była cygańska. W pewnej chwili tańczącą Pogankę klepnął w ramię jeden z goryli Abdullaha, wyraźnie nieswój w za dużym o dwa numery smokingu.

- Mój pan, Jego Królewska Wysokość, książę Abdullah pragnie zatańczyć z panią.

- No, będzie musiał poczekać - powiedział duński student, który z nią tańczył. Objął ją mocniej i tańczyli dalej. Goryl zrobił szybki krok naprzód i nagle Duńczyk leżał na parkiecie.

Poganka odwracając się oburzona, zobaczyła stojącego w drzwiach Abdullaha. Powoli, z uśmiechem ruszyła do niego popychana mocną ręką goryla. Jeszcze z tym uśmiechem powiedziała:

- Zechce Wasza Królewska Wysokość powiedzieć swoim zbirom, żeby nigdy mnie nie dotykali. I proszę pamiętać, że nie jestem ani poddaną ani własnością Waszej Królewskiej Wysokości. Będę tańczyć, z kim mi się podoba. - I nagle, już nie wyniosła, dodała cicho: - Och, Abdi, po co to upokorzenie Hansa, ściąganie uwagi wszystkich na mnie?

Nie od razu Abdullah powiedział oziębło.

- Fakt godny ubolewania. Mój służący był nadgorliwy.

- Och, przestań mówić jak z samouczka hinduskiego radży! - prychnęła Poganka. - Oczywiście zatańczę z tobą ale naprawdę nie możesz pomiatać ludźmi i spodziewać się, że będą cię za to lubili. Nie cierpię takiej raptownej władczości. To jest zwyczajna zabawa i jeżeli nie chcesz być traktowany zwyczajnie, nie powinieneś być tu przyjąć. - Niegodziwie dorzuciła: - Mam nadzieję, że swoją biedną małą dziesięcioletnią narzeczoną nie będziesz tak komenderował.

Abdullah zacisnął usta, oczy mu pały gniewem. Przez chwilę Poganka myślała, że ją uderzy, ale on poprowadził ją do tańca. Zza jego ramienia przesłała całusa Hansowi, który w odpowiedzi tylko łypnął na nią spode łba.

A potem ni stąd ni zowąd Poganka stwierdziła, że cała drży przytulona do tego umięśnionego chłopca - bardziej świadoma go fizycznie w tłumie tańczących niż kiedykolwiek, gdy była z nim sama w jego apartamencie. Teraz czuła się inaczej, zuchwale, czuła na szyi poniżej ucha jego ciepły oddech i koniuszek jego języka jakoś erotyczny, do czegoś zachęcający.

Przez resztę tego wieczora Poganka sunęła po parkiecie jak w transie.

Przed północą i końcem zabawy Abdullah patrząc jej prosto w oczy, szepnął:

- Chodź ze mną. Pokażę ci, czym jest miłość. Sprawię, że będzie ci tak, jak nie było jeszcze nigdy.

- Mmm - westchnęła, gdy ciepłą dłonią lekko dotykał jej karku. - Skąd taka pewność?

- Kiedy miałem szesnaście lat, przez trzy tygodnie w Kairze hakim Khair al Saad uczył mnie, jak się kochać, jak myśleć tylko o rozkoszy.

- Lekcje miłości przez trzy tygodnie? Uczyłeś się miłości niczym geografii?

- Pogance zdumionej i zaintrygowanej, bardzo to imponowało. Chciała wypytywać, czego on się nauczył i jaką metodą. Czy to były żywe kobiety, czy tablica i kreda, i co mu zadawano do odrobienia, i w ogóle. Ale tylko jej się wyrwało: - Jak?

Skubnął ją zębami w płatek ucha.

- Chodź - mruknął - do Imperialu, to ci pokażę.

Urzeczona, nie mogła oczu oderwać od jego oczu czarnych, pewnych siebie. I zaraz Abdullah już ją prowadził do wyjścia. W porę jednak przypomniała sobie kuzyna, matkę, tę narzeczoną i paparazzi. Zatrzymała się i powiedziała naprawdę żalując:

- Nie mogę, po prostu nie mogę, Abdi. Patrz, mademoiselle już macha na nas, żebyśmy szły do szatni.

Obolały z pożądania Abdullah przyciągnął ją do siebie, gdy spróbowała mu się wyrwać.

- Czego ty chcesz od mężczyzn? - warknął. - Podniecasz mnie, a potem znikasz w mrokach nocy. W moim kraju jest nazwa dla takich kobiet.

- Och, w moim kraju też. - I Poganka nie oparła się pokusie, żeby dodać- ale ostatecznie ty jesteś zaręczony.

Czarne oczy Abdullaha znów zapalały. Zniecierpliwiona mademoiselle kiwała palcem na Pogankę. Księżę czy nie księżę, chciała już iść spać. Jeszcze raz Abdullah przyciągnął Pogankę do siebie tak, że poczuła jego rozrządzenie. Potem odwrócił się na pięcie i gniewnie, majestatycznie wyszedł z sali.

Wieczorem w wigilię balu Świętego Walentego Kate jak bomba wpadła do sypialni.

- Poganko, ty flejtuchu, znów nie umyłaś po sobie wanny. Woda spłynęła i została obręcz brudu!

- Przecież wanna jest do mycia siebie - broniła się Poganka zmieszana.

- A nie po to, żeby ją myć.

- Dotychczas, ale od dziś, niech cię licho, będziesz ją myła - powiedziała Kate. - Rzeczywiście jesteś największym flejtuchem w tej szkole.

- O rage, o desespoir! - wrzasnęła Poganka swoje nowe przekleństwo i rzuciła w Kate obszarpanym podręcznikiem. - Po dziurki w nosie mam ciebie i Maxine. Ty wciąż krytykujesz, a Maxine nie dotrzymuje obietnic.

- Ja nie dotrzymuję obietnic, ty dzi-ff-ko?!

- Obiecałaś, że pożyczysz mi dziesięć franków.

~ Merde, to znaczy gównno. Nie możesz o dziesięć franków poprosić swojego bogatego książątka? Jego bardziej stać na takie pożyczki niż mnie!

- Tylko dlatego, że wydajesz całą swoją forszę na diety, żeby schudnąć dla jakiegoś głupiego narciarza, który woli narty niż ciebie. - Poganka rzuciła się na Maxine i zaczęła okładać ją pięściami.

- Auu, merde, szlag, cholera, cholerna dziffko!

- Skończcie tę seksualną szamotaninę - wykrzyknęła Kate. - Przełożona już podejrzewa, że cała szkoła to kipiąca masa lesbijek, nie wiecie? Bł... błagam, nie kłóćcie się, nie mogę tego znieść. Poganka wcale nie myślała, że Pierre to głupi narciarz i oczywiście on ciebie kocha!

- Oczywiście. Wiem na pewno, bo czuję to - oświadczyła Maxine z godnością. Już nakręciła papiloty z papieru toaletowego, żeby mieć loki na bal. - Zwłaszcza później, po tym wszystkim, jest ta złota luna jak fajerwerki gasnące na niebie.

Nastąpiło milczenie. W końcu Kate wyznała lękliwie:

- Dla mnie po tym wszystkim jest najgorsza chwila. Czuję się taka rozstrojona i bliska płaczu, i daleka od Francois.

- Mon Dieu, ja właśnie czuję się o wiele bliżej Pierre'a. - Maxine zmarszczyła brwi i zastanowiła się nad szczotką do włosów. - Może ty nie masz dosyć. Za pierwszym razem z Pierre'em nie było mi dobrze, ale nie chciałam go zdenerwować, więc nic nie mówiłam. Chciałam, żeby został ze mną, tyle tylko czułam za pierwszym razem.

- A ja tylko tak czuję się z Francois za każdym razem. - Kate była zmartwiona. - Zaczęłam to robić dawniej niż ty, Maxine, ale nigdy nie zaznałam takiej złotej luny spokoju. Naprawdę sexy i cudownie, i ciepło jest mi przed tym. Po tym jest tylko zawód. To znaczy, przytulasz się do kogoś godzinami i godzinami w tańcu na parkiecie i czujesz jego ciało, jego zapach, i kołyszysz się w takt muzyki spleciona z nim, i omal nie omdlewasz, i w końcu idziesz na całość, bo wiesz, że będzie ci jeszcze lepiej. Tylko, że kiedy do tego rzeczywiście dochodzi, nagle wszystko robi się nijakie. On jest w siódmym niebie i szaleje, a ja patrzę na niego jak z sufitu i już nie ma tego cudownego uczucia, od którego kolana miękną. Chcę wtedy uderzyć go, płakać.

Maxine zakłopotana spróbowała doradzić:

- Może powinnaś się bardziej odprężyć, Kate. Może za bardzo się przejmujesz tym, co powinnaś robić. Ty po prostu miej ochotę to robić. Ja zawsze potem czuję się cudownie.

- Pewnie dlatego, że jesteś Francuzką - powiedziała Kate ponuro.

- Nie bądź niemądra - skarciła ją Poganka. - Może Francois ma za mało wprawy albo może nie został pouczony. Abdullaha, kiedy miał szesnaście lat,

wysłano do specjalnego doktora, żeby się uczył o miłości... przez trzy tygodnie! Wyobraźcie sobie! Wolałam go nie pytać, czy miał próby i egzaminy.

Zaległa raptownie grzeczna, pełna zainteresowania cisza. Poganka natychmiast odpowiedziała na to nieme pytanie.

- Mylicie się... myśmy nigdy. I już ani słowa nie powiem.

- Skąd możemy wiedzieć, że ta historia to nie jest reklamowa arabska bujda zachwalająca towar, jeżeli odmawiasz świadectwa konsumentki? - zapytała Kate. - My się dzielimy naszymi tajemnymi doświadczeniami seksualnymi, żeby się należycie doksztalić. Skoro nie chcesz się do nas przyłączyć, nie możesz tego słuchać. Dla mnie to poważna sprawa. Obawiam się, że jestem nienormalna.

Znów zaległo milczenie. Po długiej chwili Poganka powiedziała:

- No jeżeli ty jesteś nienormalna, to ja także, bo tak samo się czułam jak ty... Tylko, że nie z Abdim. Z Paulem i jeżeli odważycie się komukolwiek pisać o tym, zabiję was.

- Więc jednak.

- Tak - przyznała Poganka ponuro. - I to było wstrętne. Uważam, że seks się przecenia.

- Podejrzewam, że to rzecz gustu - podsunęła Maxine. - Jak ostrygi. Ktoś walnął do drzwi.

- Ostryg też nie lubię - powiedziała Poganka. - Entrez.

Sędziwy portier wniósł duże pudło dla Poganki. Tamte dwie zaglądały spoza niej, gdy je otwierała. Tym razem nie było bibułki. Pudło wypełniały miękkie, ciemne perskie karakuly. Cisza zaległa nieomal zbożna, gdy Poganka wyciągnęła to futro, narzuciła na ramiona i nasunęła kaptur na swe potargane, mahoniowe włosy. Ta wspaniała peleryna sięgała do podłogi.

- Chryste, to znaczy mon Dieu - powiedziała Poganka. - Nie tego mama się spodziewała. Muszę ją zapytać, bo inaczej zrobi mi piekło.

Gdy Kate i Maxine przymierzały pelerynę, poszła do telefonu, żeby zadzwonić do matki. Wróciła po półgodzinie rozdrażniona.

- Mama mówi, że skoro już się zgodziła, mogę to przyjąć. I zatrzymać. Ale ponieważ ta peleryna jest droga, nie mogę jej nosić. Mogę w niej pojechać jutro na bal, bo tego wymaga grzeczność, ale potem mam się w niej nie pokazywać.

- No, przynajmniej będzie przyjemniejsza w nocy niż ta twoja stara pierzyna.

Więc już do końca swoich szkolnych czasów Poganka po zgaszeniu światel siedziała po turecku w nogach łóżka Kate spowita od stóp do głów w bezcenne karakuły.

Rozdział szósty

Maxine upięła swoje skręcone loki w kunsztowny kok na czubku głowy: dwie godziny zabrało jej to przed balem. Podniecona prawie boleśnie, natychmiast w sali dansingowej wypatrzyła Pierre'a.

Kate nie mogła wypatrzeć Francois. Rzeczywiście nie widziała go już od tygodnia z górą. Judy przekazała jej liścik, w którym Francois przeproszał, że musi odwołać ich rendez-vous, ale jego ojciec życzy sobie, żeby dodatkowo z instruktorem doskonalił się w jeździe na nartach. Kate wolałaby dowiedzieć się o jakichś mniej wygórowanych ojcowskich ambicjach związanych z Francois, było jednak zrozumiałe, że narty mają pierwszeństwo. Ojciec chce zobaczyć Francois w szwajcarskiej kadrze narodowej. Kate przymykała oczy na mankamenty swojego chłopca i złego słowa nie dałaby o nim powiedzieć. Poszła na całość, bo jest w nim zakochana. Czy może jest zakochana, bo poszła z nim na całość? Gdybyż to wiedziała!

Pierre już szedł wyraźnie w kierunku Maxine. I nagle Kate zobaczyła Francois. Siedział pomiędzy dwiema pulchnymi brunetkami jednakowo sennie patrzącymi spod ciężkich powiek. Pomachała mu ręką, ale on chyba tego nie zauważył. Ktoś ją poprosił do fokstrota i tańcząc koło stolika Francois, znów pomachała mu ręką, a on chyba znów nie zauważył.

Gdy fokstrot się skończył, do Kate, już siedzącej z powrotem na swoim miejscu, podeszła Judy. Była w swym tradycyjnym szwajcarskim stroju: białej bluzce, ciasno zasnurowanym czarnym gorseciku i szerokiej czerwonej spódnicy.

- Z radością przestanę się w to przebierać... przecież wyglądam w tym, jakbym wyskoczyła z zegara z kukułką. Kate, co się dzieje? Gdy Kate wyjaśniła, Judy powiedziała:

- Masz przecież dwie nogi i masz język w ustach. Nie siedź tak. Podejź do niego, powiedz: cześć.

Wiec Kate, bardzo efektowna w kremowej taftcie z dekoltem na każdy bal wycinanym coraz głębiej, podeszła do stolika, przy którym siedział Francois. Spojrzał na nią, lekko marszcząc brwi.

- Ach, dobry wieczór, Kate. Pozwól, że ci przedstawię. Anna i Helena Stiarkoz.

Kate uśmiechnęła się do tych dwóch, skłaniających przed nią głowy mniej więcej na jedną ósmą cala. Jedna z nich starannie wetknęła papierosa w długą złotą firkę, a Francois pstryknął zapalniczką podając jej ogień niemal odruchowo.

Kate powiedziała:

- Siedzę tam w rogu, Francois.

- Widziałem. Chętnie z tobą zatańczę później, być może.

Kate oszołomiona zrozumiała, że to odprawa, i niezdarnie wśród stolików wróciła na swoje miejsce. Później?... Być może?... To jest ten bal Świętego Walentego!

- Co się stało? - zapytała Maxine.

Kate nie mogła mówić. Bała się, że zacznie płakać. Nietwarzowy matowy rumieniec oblał jej twarz i szyję.

- Chodźmy do toalety - Maxine szybko pociągnęła ją za rękę. W toalecie Kate od razu wybuchnęła płaczem.

- Myślę, że przesadzasz - uspokajała ją Maxine. - Może to jego dawne znajome. Ja pójdę się z nim przywitać. Czeka tu na mnie.

Więc Maxine poszła przywitać się z Francois. Również jej przedstawił te dwie dziewczyny i dał do zrozumienia, że nie chce z nią rozmawiać.

Biedna Kate, myślała Maxine, pędząc z powrotem. W przygasłych światłach sali zobaczyła z daleka Judy i ruchem głowy wskazała toaletę. Judy przysła tam w parę minut później. Maxine właśnie mówiła:

- Kate, cherie, dosyć już tych łez. On musi mieć jakiś powód, jeżeli tak się zachowuje.

- I jeszcze mówiąc to pojęła, że Francois ma doprawdy aż dwa powody, siedzące z obu jego stron.

- Słuchaj, to szczer i dobrze, żeś się go pozbyła - powiedziała Judy zbyt niedoświadczona, by wiedzieć, że przyjaciółka porzuconej nigdy nie powinna przed nią oczerniać tego, kto ją porzucił. - Masz dwa wyjścia - ciągnęła ujmując Kate za ramiona i potrząsając nią. - Albo zrób mu teraz w sali awanturę... i wtedy przegrasz... albo nie okazuj mu, że cię upokorzył. Mężczyźni nie lubią kobiet płaczliwych, zasmarkanych, starających się ich zatrzymać. Po prostu musisz przywołać swoją dumę. Wróc tam uśmiechnięta.

- Niech on nawet się nie domyśli, że jest ci przykro - dołączyła swój głos

Maxine. - Musisz rozegrać to należycie i we właściwej chwili rzucić mu tym w twarz tak, żeby nie mógł się uchylić.

- Słuchaj, Francois przez cały ostatni tydzień jadł drugie śniadanie w Chesa z tymi greckimi tłumokami - powiedziała Judy. - To córki jakiegoś wielkiego armatora i nie myśl, że Francois o tym nie wie. Więc możesz albo chlipać dalej, albo być dzielna i nie okazywać, że cię puścił kantem.

Niestety tę rozmowę podsłuchiwała koleżanka, która była w jednej z kabin. Radośnie pospieszyła puścić szeptem wiadomość. Miss Gstaad wreszcie dostała po nosie. Kate ze świeżym makijażem wracając z toalety, natychmiast się zorientowała, że o jej upokorzeniu powszechnie wiadomo. Obudziła się w niej Irlandka. Skinęła na kelnera.

- Nick, przynieś mi coś podwójnego. Bądź kochany.

Nick, który też wiedział o greckich bliźniaczkach, przyniósł zakazaną podwójną brandy. Kate się zakrztusiła, ale wypłała do dna i poprosiła o następną. Nick odmówił. Przynosił jej jednak raz po raz różne kolorowe, pełne pokrajanych owoców napoje bezalkoholowe, za które sam płacił,

I gwarzył wesoło tak, że nie wymagało to żadnych odpowiedzi. Pocieszał się pocieszaniem Kate. Wiedział, jak ona się czuje, bo gdy tylko miał czas na rozmyślenia, czuł się odtrącony przez Judy. Dlaczego Judy nie ulega sile jego miłości? Dlaczego ta siła nie zmusza Judy, żeby go pokochała? Dlaczego Judy uparcie traktuje go jak kolegę? Nick i Kate tym boleśniej przeżywali swoje zawody miłosne, że uważali za jedyną miłość w życiu to, co było tylko pierwszą miłością.

- Spójrz, Kate, jest i paczka z Le Momay - szepnął Nick. - Wszyscy w kolejce do zakochania się w tobie.

Szklanymi drzwiami właśnie weszła gromadka młodzieńców w smokingach, niezwykle kosmopolityczna: dwóch Persów z łukami zrosniętych czarnych brwi, śniady indyjski radża i szczupły jasnowłosy chłopiec ze Skandynawii, wyraźnie przyzwyczajony do tego, że zawsze idzie pierwszy. Były też dwa tegoroczne klejnoty Le Momay: zawrotnie bogaty Hunter Baggs i księżę Soddrudin, młodszy syn Agi Khana.

Gdy nie spiesząc się, szli do swego stolika, zapanowała nagle charakterystyczna cisza oczekiwania, jaka poprzedza wkroczenie kogoś krwi królewskiej. Wszystkie głowy odwróciły się do drzwi, w których stanął sztywno, jak gdyby przyjmował defiladę, gość honorowy, księżę Abdullah. U jego ramienia spłynęła ze schodków przesadnie skromna Poganka w obłoku rozmigotanego popielatego tiulu.

Kate teraz otwarcie flirtowała z Nickiem, z którym czuła się bezpieczna. O północy różowo-białe balony chmurą zleciały z sufitu i każda z obecnych pań dostała w prezencie złocistą puderniczkę w kształcie serca oraz jedną różową różę. Rzucano wijące się srebrzyste serpentyny, nastrój zrobił się swobodny.

Kate już nie mogła znieść ogólnej wesołości. Szła do toalety, gdy Nick zastąpił jej drogę. Wypił sporo, chociaż był na służbie.

- Słuchaj, oboje jesteśmy nieszczęśliwi - szepnął. - Judy nie widzi we mnie mężczyzny, a dziś nawet nie chce ze mną rozmawiać. Czuję się taki samotny i żalony, Kate, jesteś mi potrzebna - powiedział po prostu. - Przyjdź do mojego pokoju, kochanie.

Ku swemu zdumieniu Kate rozważyła tę propozycję. Odtrącona, łaknęła uspokajającego ciepła męskich objęć.

- No nie wiem - powiedziała. - To znaczy, jak mam przyjść?

- Bądź jedną z pierwszych do podliczenia przy waszym autobusie i kiedy mademoiselle jeszcze będzie liczyła następne, wysiądź drugimi drzwiami. Umów się z Poganką, żeby cię później wpuściła do szkoły. - Kate była tak wyraźnie załamana, że Nick odważył się szybko ją uściskać.

- Dobrze, postaram się, ale nie obiecuję. To zależy od Poganki. Wróciła do stolika, żeby omówić możliwości z Maxine, która po dwóch

kieliszkach szampana była trochę wstawiona.

- Pierre też chce mnie zatrzymać - wyznała tęsknie.

- I zabrać cię do siebie.

- Nie, zarezerwował pokój tu w hotelu. Na wszelki wypadek. Kate to zaimponowało.

- Boże, chociaż nie wiedział, czy coś z tego wyjdzie. Tyle pieniędzy!

- No, ale dlaczego nie miałybyśmy zostać? - Obie popatrzyły na Pogankę, która tańczyła udając księżną. - Myślisz, że Poganka też by chciała?

- Myślę, że nie zaryzykuje. - Zasygnalizowały Pogance z daleka, żeby spotkała się z nimi w toalecie.

- Zostać? - wykrzyknęła Poganka. - Jakże ja mogę zostać? Wszyscy by wiedzieli. Wpuszczę was o piątą. Ale na litość boską, nie spóźniajcie się.

O pierwszej Kate i Maxine wsiadły do autobusu. Zaraz za nimi wsiadając Poganka zrobiła wielkie zamieszanie. Głośno piszczała i tak podnosiła na brudnym stopniu rąbek swojej szaty od Hartnella, że omal nie wepchnęła mademoiselle w rynsztok. W tym czasie Kate i Maxine wymknęły się z autobusu drugimi drzwiami.

Kate pobiegła z powrotem do Imperialu, do tylnych schodów na górę. Zwolniła kroku dopiero na piątym piętrze, gdzie czekał Nick. Popędzili korytarzem do schodów służbowych. Wreszcie w swoim bezpiecznym pokoju Nick ją przytulił do siebie, rozpiął jej gruby samodziąłowy płaszcz. Przysiadła niepewnie na krawędzi łóżka, które skrzyknęło. Nick delikatnie przyciągnął jej głowę do piersi i długo ją głaskał, aż się odprężyła. Zaczął całować ją po włosach, po twarzy, ale nie w usta. To była jego osobista miara zdrady. Później jednak, gdy Kate przyciągnęła jego twarz do swojej, usta do ust, przestał myśleć i ten pocałunek był pełen niewyżytej jurności jego osiemnastu lat, nagromadzonego niepokoju i bólu ostatnich ośmiu miesięcy. Trwał chyba pół godziny. Nick wprost nie mógł oderwać warg, skąpany w zapachu perfum Kate, w fali ciepła jej miękkiego ciała pod kremową taftą coraz bardziej zgniecioną.

Potem suknia opadła na podłogę i Nick delikatnie całował piersi Kate.

- Pod koce - szepnął.

Ale rzecz dziwna, to dla Kate była miara zdrady, więc leżeli na kocach w plątaniu na pół ściągniętej bielizny splatając ręce i nogi. Stopniowo zrzucali wszystko łącznie z zahamowaniami, Nick wreszcie triumfalnie nagi i spragniona Kate.

Ale coś niezupełnie w porządku, pomyślała Kate, gdy jej ręka pieśczośliwie osuwała się po brzuchu Nicka. Jest tak, jakby on już to zrobił. Dotknęła go, wzdrygnął się, po czym pocałował ją z nowym zapalem, jednocześnie odsuwając od siebie tę jej rękę.

W dziesięć minut później zaniepokojona Kate, żeby jednak przejść zwycięsko tę jakąś niewytłumaczalną dla niej próbę, znów chciała popieścić Nicka, tak jak Francois ją

nauczył. Poczula pod swą skwapliwą dłonią woreczki obwisłej skóry, zanim Nick znów jej rękę odsunął. Oboje zakłopotani, nie wiedzieli, co dalej robić. Z tej rozpacz objęli się i przytulili jak przyjaciele, którzy są dla siebie nawzajem serdeczną pociechą.

Ale obojgu było smutno.

Maxine ze skrzypieniem śniegu na białej w błękitnych cieniach ulicy podeszła do Kate trzęsącej się pod latarnią. Bez słowa wzięły się za ręce w ciepłych rękawicach i popędziły do tylnych drzwi internatu. Zapukały cicho.

Drzwi otworzyła na oścież gniewna przełożona w pełnym granatowym umundurowaniu.

- Świetna z was para! - huknęła. - Powinnyście się wstydzić! Od razu idźcie do dyrektora.

W szlafroku z kasztanowatego jedwabiu monsieur Chardin wściekły spacerował po gabinecie. Poganka w swoim zniszczonym jaegerowskim szlafroku z wielbłądziej wełny - skrojonym jak mnisi habit, ale przepasanym purpurową szarfą z satyny - siedziała blada i cicha, skubiąc nerwowo poręczę fotela. O trzeciej nad ranem obudziła ją przełożona z długim warkoczem zwieszonym na szlafrok, i wezwała do telefonu. Dzwoniła matka Poganki - dziadek miał ciężki atak serca po południu, upadł w stajni i zaraz po północy zmarł. Poganka ma natychmiast wrócić do Anglii.

Przełożona, przechodząc do alkowy Poganki przez pokój Kate i Maxine, zauważyła, że ich obu nie ma w łózkach. Poganka, chociaż oszołomiona wiadomością o śmierci dziadka, nic nie powiedziała i teraz, żeby dać im to do zrozumienia, podniosła wzrok, gdy popychane weszły do dyrektorskiego gabinetu.

- Gdzieście były? - zapytała. - W Gringo?

Raptownie Kate i Maxine stanęły wobec rzeczywistości. W tym nieogrzewanym gabinecie już pod płaszcami dygocząc z zimna, zadrzały ponadto z trwogi przed Chardinem i z trwogi przed reakcją rodziców. Miękkie różowe płatki zwiędłej róży Kate upadły na dywan, w ręce została jej tylko długa kolczasta lodyga.

Chardin wybuchnął. Miotał na nie wszelkie wyzwiska od niewdzięcznic aż po dziwki, po czym wskazał swym pękatym palcem Kate i zapiał:

- A ty, ty putain, latasz za każdą parą portek w mieście! Na co znowu w Kate odezwała się Irlandka.

- Pan także, monsieur.

Po chwili groźnego milczenia Chardin powiedział jadownicie:

- Jutro obie zostaniecie wydalone ze szkoły.

- Nie - powiedziała Poganka zmęczonym, dziwnie obojętnym głosem. Chardin odwrócił się do niej.

- A kim to ty jesteś, moja panno, żeby mi zaprzeczać?

- Jestem przyjaciółką pana przyjaciela, Paula. Zabrał mnie do swojego domu i pokazał mnóstwo fotografii. Uznałam, że nie będzie mu ich brakować, więc ukradłam kilka i teraz zostawiłam u mojego znajomego w miasteczku. Ale jedną mam tu.

Pogrzebała w kieszeni szlafroka i wyciągnęła fotografię Paula w łóżku z dwiema małymi Południowoafrykankami, które tak nagle wyjechały po Bożym Narodzeniu. Pokazała tę fotografię najpierw przełożonej, a potem Chardinowi i z powrotem schowała do kieszeni. Z kolei wyciągnęła swój atut - fotografię monsieur Chardina we własnej osobie, pulchnego i nagiego jak niemowlę, unoszącego się nad nagim Paulem.

- Radosne fotki - powiedziała obojętnie, ze znużeniem. Ta scena jeszcze wczoraj byłaby dramatyczna i straszliwa, dzisiaj była błahostką w porównaniu ze śmiercią dziadka. - Jakoś mi się wydaje, że pana system się sprawdza tylko w przypadkach pojedynczych. Gdyby któryś z tych ojców zobaczył fotografie także i cudzych córek, byłoby jasne, że pan, monsieur Chardin, rzeczywiście jest nędznym szantażystą i że z rozmysłem wystawia pan dziewczyny do sfotografowania z Paulem. W każdym razie on mi to wszystko opowiedział. - Nikt w pokoju nie odezwał się ani nie poruszył. -I chyba powiedział, że aktualna cena dla ojców to sześć tysięcy franków co trzy miesiące. Naprawdę nie wiem, co z tym zrobić, ale jeśli pan podejmie jakąkolwiek akcję przeciwko Kate i Maxine, pójdę prosto do policji z tą moją historią i tamtymi fotografiami. Więc pan tu decyduje, monsieur Chardin.

Chardin stał przez chwilę w milczeniu. Potem się uśmiechnął. Nienaturalnym głosem powiedział:

- Jesteś, panienko, niewątpliwie zdenerwowana z powodu wiadomości o smutnej śmierci dziadka. Dlatego nie biorę pod uwagę tych śmiesznych oskarżeń. I ponieważ nie chcę ściągnąć na moją szkołę niesławy, nie ukarzę tych dwóch głupich panien. - Odchrząknął i umilkł, żeby odzyskać autorytet. - Ale ufam, że one zdają sobie sprawę z

powagi swojego szaleństwa. Całe szczęście, że żadna z was nie jest w ciąży. A teraz idźcie spać wszystkie.

Wyczerpane, przerażone dziewczęta powlokły się na górę. Uczucie ulgi je obezwładniało. Już nie ma czego się bać, myślały, rozbierając się ze znużeniem.

Ale myliły się, mylił się też dyrektor. Bo jedna z ich paczki była w ciąży.

CZĘŚC DRUGA

Rozdział siódmy

W swoim zniszczonym płaszczu Judy nagle poczuła się jak dziewczyna z zapadłej wsi. Wzdychała do tej delikatnej pięknej konfekcji tak artystycznie eksponowanej w paryskich oknach wystawowych, które pokazywała jej Maxine paplając nieprzerwanie, dopóki nie doszły do rogu, gdzie był Hermes. Lękliwie przepchnęły się przez szklane drzwi, po czym Maxine od razu zaczęła zadzierać nosa, oglądać najdroższe na świecie szaliki jedwabne i torebki tak wyniośle, jakby to wszystko było za tandetne dla tych dwóch nastolatek. Odurzona zapachem kosztownych skór, Judy kupiła terminarzyk Hermesa w pięknej oprawie z cielejącej skóry i ze złotym ołówkiem zatkniętym z boku.

Poczuła się trochę bardziej francuska i trochę bardziej dorosła. Ostatecznie miała siedemnaście lat i w Paryżu była już od dwóch dni. Urzekło ją to miasto: wspaniałe bulwary w szpalerach kasztanowców, rozmigotane butiki, eleganckie uperfumowane kobiety, cudowne aż-ślinka-kapie restauracje i wesoło hałaśliwe mieszkanie rodziców

Maxine, gdzie miała gościć przez tydzień czy dwa tygodnie do czasu, gdy znajdzie sobie pracę i dach nad głową. Ale jeszcze nie chciała o tym myśleć; dzisiaj chciała udawać, że może prowadzić beztrudne życie pod kloszem, tak jak mogą Maxine, Kate i Poganka. Kiedyś - obiecywała sobie - będę tak żyć zawsze, a nie przez kilka dni.

- Teraz do Dzielnicy Łacińskiej - powiedziała Maxine.

Prawie pobiegły ulicą nadal w śniegu lutego i ze stukotem obcasów przeszły pod konwaliami art nouveau z kutego żelaza, zdobionymi łukowate wejście na stację metra przy Palais Royal. Zeszły na dół, minęły skuloną na stołku otyłą starą kwiaciarkę w szarej chustce. Miły podmuch gorąca wzbijał aromaty papierosów Gauloises, pożółkłych gazet, wadliwej kanalizacji i czosnku.

- Spóźnimy się. Powiedziałam Guyowi, że będziemy o dwunastej - martwiła się Maxine, gdy na końcu swej podróży wynurzyły się znów na światło dzienne. - Co nie znaczy, żeby on był punktualny, zwłaszcza kiedy umawia się ze mną. Odkąd byliśmy dziećmi, zawsze pamięta, że jest o trzy lata ode mnie starszy. Często się widywaliśmy, bo nasze mamy przyjaźniły się jeszcze w szkole. Więc chciał, czy nie chciał, musiał się na moje towarzystwo godzić.

Popędziła bulwarem St Germain, ciągnąc Judy ręką w szkarłatnej rękawiczce. Amerykanka marudziła, bo zaglądała w każde kręte odgałęzienie bulwaru.

- Jaka jest konfekcja Guya? - zapytała.

- Przeważnie kostiumy i bluzki, trochę lekkich płaszczy.

- Czy on sam szyje?

- Nie, nie, ma krojczynię i krawcową. Pracują w jednym pokoju, a w drugim on sypia. Wkrótce będzie musiał poszukać jakiegoś atelier, ale o to niewiarygodnie trudno, jeżeli się nie ma kapitału zakładowego... a Guy nie ma.

- Więc jak płaci tej krojczyni i krawcowej?

- Jego papa nie chciał pomóc, powiedział, że moda to zajęcie dla pederastów, więc Guy zdobył pieniądze od kilku prywatnych klientek. Najpierw przyszedł do mojej mamy i zaproponował jej cztery kreacje na rok w zamian za skromną coroczną zapłatę z góry. Mama się zgodziła i posłała go do swoich znajomych i one wszystkie się pisały, nawet ciocia Hortense.

Judy jeszcze ogarniało oszołomienie na myśl o tej ciotce tak bardzo niepodobnej do wszystkich ciotek, czy też nawet do wszystkich osób dorosłych, jakie w życiu spotykała.

W poprzedni wieczór ciotka Hortense zabrała Maxine i ją na kolację do Madame de George - wytworny posiłek: jajka przepiórek, karczochy, perliczka, deser o smaku mrożonej brandy - co raz na zawsze oddaliło Judy od Rossville. Po tej przepysznej kolacji światła przygasły i zaczęły się występy w układzie zaprojektowanym na kształt warg sromowych - niezwykle piękne dziewczyny, wysokie, szykowne, smukłe w biodrach tańczyły pod osłoną frou frou z różowych strusich piór. Nagle Judy zauważyła ich szerokie ramiona, bicepsy, umięśnione ręce. Nie wierzyła własnym oczom. Uszczypnęła Maxine i szepnęła:

- Czy... te dziewczyny... to mężczyźni?

- Tak - Maxine zachichotała.

- Dziwię się, że twoja ciotka zabrała nas do takiego lokalu.

- Chciała, żebyś zobaczyła coś oo la la la! - Maxine parsknęła śmiechem. - A to jest jeden z najmniej bezecnych nocnych lokali w Paryżu. Ciotka Hortense lubi epatez les bourgeois. To znaczy, nie znosi ludzi pompatycznych, lubi gorszyć kołtunów.

- Nigdy nie zrozumieję was, Europejczyków.

- Aha, ale my rozumiemy was, wiemy, co was gorszy - powiedziała ciotka Hortense. Jej głos przypominał Judy szumek lekkiej zawiei śnieżnej, pluskanie deszczu na starą kamienną fontannę, szlachetny brzęk porcelany, skrzypienie zmokniętych i wyschniętych butów do konnej jazdy. Prawdopodobnie, myślała Judy, ona nawet kiedy robi piekielną awanturę, nigdy nie podnosi głosu. Ciotka Hortense miała dużą twarz o grubych rysach, ogromny wścibiński nos nad szerokimi ustami cofniętymi w stałym zwodniczym uśmiechu i powieki szmaragdowe pod kolor szmaragdowego koktajlowego kapelusza z atlasu. Wysoka, władcza, była odpychająca, dopóki nie zniewalała tym czarownym, szerokim uśmiechem.

Pędząc po śniegu Maxine i Judy w końcu dobrnęły do zaparowanej szklanej ściany kawiarni Deux Magots. W sali usiadły przy jedynym wolnym stoliku i zamówiły gorący poncz cytrynowy.

- Merde, to znaczy psiakość, nikogo tu nie mogę rozpoznać - lamentowała Maxine. - Wieczorem jest inaczej. Widziałam kiedyś, jak Simone de Beauvoir kłóciła się z Jean-Paulem Sartre'em. I kiedyś widziałam Juliette Greco. Ona zawsze chodzi w czarnym swetrze i spodniach... dziwnie się ubiera, nie sądzisz?

- Przynajmniej nie musi rano zastanawiać się, co włożyć - powiedział nieduży łykowaty blondynek w czarnym swetrze i czarnych spodniach. Wyglądał jak kotwłamywacz bez maski. Miał trochę haczykowaty rzymski nos, zmysłowe duże usta i czuprynę w kolorze konopi. - Boże, jaka różnica... twoja twarz, Maxine... Poznałbym cię tylko z tyłu, chociaż tak wysmukłałaś, że mogłabyś być u mnie modelką. - Rozluźnił długi czarny szalik na szyi, zamówił wino i trzy croque-monsieur, kanapki ze smażoną szynką i serem, będące podstawą jadłospisu francuskich studentów.

- Co się z tobą dzieje? - zapytała Maxine.

- Już od roku z górą mieszkam tutaj na Lewym Brzegu w Hotel de Londres, jestem mistrzem krawiectwa damskiego, ale jakoś nikt mnie nie zauważa.

- Jak pan został mistrzem krawiectwa? - zapytała Judy, od razu się włączając. - Jak pan uniknął waszej service militaire?

- Kiedy miałem czternaście lat, chorowałem na gruźlicę, więc armia mnie nie chciała. No to się zaciągnąłem do firmy Jacquesa Fatha. Papa się wściekał, oczywiście, ale mama była zachwycona, bo już się nie upierałem przy projektowaniu sukien dla niej. Skarżyła się, że nudne jest przymierzanie... wbijałem w nią tyle szpilek! - Zachichotał.

- Ale jakim cudem pan prosto ze szkoły dostał się do studia takiego krawca? - zapytała Judy.

- Prawdę mówiąc, dostałem się tam, bo matka знаła naczelną vendeuse. W każdej wolnej chwili, kiedy nie zbierałem szpilek, szkicowałem modele Fatha. Na tyle publicznie, na ile to było możliwe, rozumiecie. Ja cudownie rysuję. - Dmuchnął przez słomkę na Maxine. - Już po pierwszym roku zrobili mnie tam rysownikiem, a po drugim asystentem projektanta. Nie samego Fatha, rozumiecie, tylko jednego z jego najemników. - Nalał wina dziewczętom i sobie. - Moim zadaniem było tłumaczenie szkiców Fatha dla pracowni, a potem koordynowanie decyzji, dopóki toile, szablon z płótna nie był gotowy, a potem dogłądanie każdego eklera i guzika, dopóki nie był gotowy model. Naturalnie myśmy nie mieli do czynienia z klientkami... to już robiły vendeuses... Maxine nie jedz croque-monsieur w takim tempie, jeżeli chcesz zachować tę zdumiewającą nową figurę.

- Ale jak pan się nauczył krawiectwa? - nastawała Judy. Chciała wiedzieć wszystko.

- Och, nie wiem, po prostu zająłem się tym. - Guy wzruszył ramionami. Guy Saint Simon przybierał niedbałą pozę świeżo wyklutego geniusza,

ale prawdziwym sekretem jego sukcesu było - niezależnie od jego talentu - opętanie interesowaniem się modą. Gdy tylko mógł, asystował krawcom i krojczym Jacquesa Fatha, ucząc się kroić z tą zręcznością rozwijaną i przekazywaną - samym tylko przykładem - z pokolenia na pokolenie mężczyzn (krawcami i krojczymi byli zawsze mężczyźni, kobiety tylko szyły).

- Ale od czegoś trzeba zacząć - powiedziała Judy.

- No, uszyłem kilka należytych kostiumów mojej matce, a ona je nosiła. Myślałem, że je nosi, żeby mi sprawić przyjemność, jednak wszystkie jej przyjaciółki chciały kupić takie same. Więc... wild... znalazłem się w branży! Teraz powiedzcie mi, co wy zamierzacie ze sobą zrobić.

- Ja chcę być dekoratorką wnętrz, studiować w Londynie - oznajmiła Maxine. - Ale jeszcze nie mam odwagi powiedzieć papie, chyba spróbuję uprosić ciotkę Hortense, żeby się za mną wstawiła.

- A ja postaram się tu w Paryżu o posadę tłumaczki. - Judy wydawała się bardziej pewna siebie, niż rzeczywiście była. Wiedziała, że konkurencja na paryskim rynku pracy jest prawie tak piekielna jak ruch na paryskich jezdniach i że francuski dzień roboczy jest długi i kiepsko płatny.

- A potem ona pojedzie z powrotem do Nowego Jorku i ze swoją znajomością języków dostanie posadę w jakiejś wspaniałej firmie międzynarodowej, i w końcu oczywiście wyjdzie za szefa!

- Czy możemy zobaczyć pana modele, Guy? - zapytała Judy, żeby zmienić temat rozmowy.

- Ależ tak. Może obie wyjdziecie za jakichś strasznych starych milionerów i staniecie się moimi najlepszymi klientkami. Tylko nie dzisiaj, za dziesięć minut muszę się zobaczyć z moim producentem guzików. Jutro po pracy czekam na was o szóstej w Hotel de Londres. Później zabiorę was na kolację do Beaux Arts, bo jutro jest Świętego Walentego, studenci urządzą fantastyczną zabawę. O co chodzi?... Dlaczego takie dziwne miny?... Powiedziałem coś, co was zdenerwowało?

- Nie, nie - z pośpiechem zapewniła Maxine. - Tylko było trochę kłopotu w szkole rok temu na Świętego Walentego. Hm... wróciliśmy z balu później, niż powinnyśmy.

- No, już macie z głowy takie dziecinne sprawy. - Guy, przywołując kelnera z rachunkiem, nie zauważył niespokojnego milczenia Maxine i Judy.

Na zewnątrz świeciło anemiczne zimowe słońce, wiatr ustał i zrobiło się znacznie cieplej. Powędrowały we dwie brukowanym quais przy kamiennych parapetach Sekwany, mijały ciemnozielone kramy i wózki z używanymi książkami.

- Czy Guy lubi dziewczyny? - zapytała Judy, gdy weszły na Pont Royal. Było coś w gestykulacji tego chłopca.

- Nie wiem. Może nie lubi. Nie mam pojęcia. W każdym razie, nie zakochuj się w nim. Chcę cię zostawić z kimś, kto będzie się tobą opiekował, z kimś na miejsce Nicka... z bratem, nie kochankiem, chwilowo. Nie chcę, żebyś czuła się w Paryżu samotna.

- Czy nie mogę mieć i brata, i kochanka naraz?

- Oczywiście, w Paryżu kochanek jest nieunikniony. Ale zaczekaj do wiosny, kiedy zakwitną kasztany. Popatrz, już są kwiaty tutaj w Jardin des Tuileries.

Szybko przeszły przez ogród, po czym skręciły w lewo w stronę Avenue Montaigne coraz bardziej podniecone w miarę, jak zbliżały się do numeru 32, salonu największego krawca na świecie, Christiana Diora.

Spowila je chmura perfum, gdy wkroczyły w to rozpieszczające ciepło. Ciotki Hortense, z którą miały się tu spotkać, nigdzie nie było widać, więc błądziły po butik, dotykały ślicznych jedwabnych bluzek w kolorach migdałów w cukrze, oglądały niewiarygodnie cieniutką bieliznę, głaskały zamszowe rękawiczki.

Judy ku jej uldze ignorowano, ale vendeuses trzepotały się wokół Maxine mającej na sobie swój diorowski granatowy płaszcz. Ostatecznie więc Maxine się zdecydowała zuchwale przymierzyć parę rzeczy. Włożyła długie do stóp futro z szakala, czemu przyglądała się pobłaźliwie ekspedientka, która wiedziała, że ta smarkata nie ma zamiaru go kupić, niemniej ktoś ją przecież ubrał w ten granatowy płaszcz od Diora. Potem Maxine przymierzyła białą bawełnianą koszulę nocną z przybraniem z wąskiej zielonej satynowej wstążeczki, koszulę, która kosztowała tyle, ile wynosiło jej kieszonkowe przez trzy miesiące. Odłożyła koszulę i kupiła bialo-niebieski koronkowy pasek do podwiązek - kieszonkowe z trzech tygodni, ale warto. Chwilę później zjawiała się ciocia Hortense i przeszły do wielkiego antycznego kontuaru recepcji po zarezerwowane dla nich bilety na pokaz.

Gdyby ciotka Hortense nie była stałą klientką elegancka recepcjonistka zapytałaby ją grzecznie o nazwisko, adres i numer telefonu, po czym by to wszystko napisała w dużej, oprawionej w skórę księdze gości, zapytałaby również, kto jej doradził, by z tymi

panienkami odwiedziła salon Diora. Taka procedura pomagała w odróżnieniu osób szpiegujących albo przychodzących dla zabicia czasu od prawdziwej klienteli. Szpiedzy przemysłowi rzadko próbowali dostać się na pokaz nowej kolekcji, bo wszelkie potrzebne informacje mieli na trzeci dzień po pokazie, ale niejedna sztywno ubrana kobieta (czasem prawdziwa klientka, taka jak królowa kosmetyków Helena Rubinstein) oglądała kolekcję w towarzystwie gorzej ubranej „przyjaciółki”, która rzeczywiście była krawcową i której drugorzędne pantofle i rękawiczki niezmiennie o tym świadczyły.

- Tak wygodnie tutaj - powiedziała ciotka Hortense, gdy już siedziały w popielatym salonie, w pierwszym rzędzie połączonych fotelików. - Chociaż ja nigdy nie rozumiałam, dlaczego mężczyznom się wydaje, że kobiety lubią kupować. Kupowanie nowej garderoby to bolesna, ciężka próba. Bóle są dwojaki... najpierw przy wyborze właściwych rzeczy, a potem przy ich dopasowaniu... Och, te kłótnie, jakie miewam ze sklepowymi szwaczusiami. Do Christiana Diora przychodzę dlatego, że nie lubię kupować. U wielkich krawców sprzedawczynie nie obniżają morale klientki tak jak w sklepie, gdzie zmuszają ją do przymierzania sukien, w których czuje się gruba, niezgrabna i brzydka.

- Albo ubolewają że się nie ma typowych rozmiarów, jakby się było jakimś dziwadłem - zgodziła się z nią Judy.

- Albo tak zastraszają że się w końcu kupuje coś drogiego, jeżeli się w tym nie wygląda aż tak okropnie, jak w czymś tańszym - dodała Maxine.

- Właśnie. Łatwiej jest pójść do Diora. Płaci się więcej, ale nigdy nie marnuje się pieniędzy i zawsze wygląda się jak najlepiej. Ha, oto pierwszy model!

Publiczność, niczym reflektanci na aukcji koni, skoncentrowała całą swoją uwagę, gdy wyniosłe, eleganckie modelki jedna po drugiej występowały, przybierały efektowne pozy i sunęły z powrotem za szare aksamitne portiery.

- Jakim cudem dziewczyna może być tak cienka w talii? - zdziwiła się Judy na widok kruczowłosej modelki w płaszczu z popielatej flaneli ściśniętej szerokim paskiem ze srebrnoszarej cięłej skóry. - Gdzie im się mieści jedzenie?

- Jeżeli zdejmiesz ten pasek - szepnęła ciotka Hortense - zobaczysz, że pod nim nie ma flaneli, tylko jedwabna tafta wszyta pośrodku płaszcza. Dlatego ta tak wygląda. Ale ona nie powinna futer nosić z takim szacunkiem. Pierre Balmain mówi, że cała sztuka

polega na tym, by nosić norki jak płaszcz z sukna, a płaszcz z sukna, jak gdyby to były norki.

Ostatnią pozycją w kolekcji była biała suknia ślubna z kaskadą koronkowych falbanek spływającą z ramion długim na osiem stóp trenem.

- Doskonała - wyraziła aprobatę ciotka Hortense. - Panna młoda powinna mieć z tyłu coś interesującego, na co wszyscy będą patrzeć, kiedy uklęknie przed ołtarzem. Śluby są nudne, no bo cóż może na nich zaskoczyć? Teraz muszę iść do miary.

Przeszły do przymierzalni, gdzie milcząca kobieta - milcząca, bo z ustami pełnymi szpilek - wprowadziła maleńkie poprawki na morelowej jedwabnej sukni z bałwaniastymi rękawami cygańskiego skrzyпка i talią osy.

- Trzy razy muszę mierzyć każdą rzecz - utyskiwała ciotka Hortense - ale dzięki temu leży jak ulał, co jest jedną z głównych atrakcji haute couture. - Zwróciła się do kobiety ze szpilkami w ustach. - Może trochę luźniej w talii, nie sądzi pani?... Judy, chcesz wiedzieć, dlaczego wybrałam tę suknię? Dlatego, że jest dosyć oryginalna, a nie bulwersująca. Tylko te bardzo bogate albo bardzo piękne, albo naprawdę twórcze mogą się ubierać rzeczywiście oryginalnie. Ja do takich nie należę. Ale wiem, jakie chcę sprawiać wrażenie, podczas gdy większość kobiet chce się wyróżnić i jednocześnie nie wyróżniać, a to niemożliwość.

- Ten dekolt w szpic jest mniejszy niż w modelu na pokazie - zauważyła Maxine.

- Mniejszy. Monsieur Dior był miły, że się zgodził. Po czterdziestce piątce przed godziną szóstą trzydzieści nie należy pokazywać ani cała skóry.

- Bardzo szykowna suknia - wypowiedziała się Judy i natychmiast usłyszała, że nie ma racji.

- Bardzo elegancka, a nie bardzo szykowna. To Schiaparelli wynalazł słowo „chic”, co znaczy ekscentryczna i oryginalna. Nie można mieć szyku od czasu do czasu. Albo się ma szyk, albo się go nie ma. Ja nie jestem szykowna.

Ale za to ciotka Hortense była perfekcjonistką. Energiczna i dość stanowcza, by wiedzieć, czego chce, nigdy nie oszczędzała niczyich uczuć na swojej drodze do osiągnięcia perfekcji. Zawsze uprzejma, zwracała sukienkę, płaszcz czy kapelusz do pracowni raz po raz, dopóki nie uznała, że wszystko jest zadowalające. I był to rzeczywiście szczyt jakości. Nie miała dużo garderoby, ale to co miała, było z najcieńszych szyfonów, najdelikatniejszych jedwabi, najbardziej misternych tweedów i

miękkich futer. Poza kreacjami Dio nosiła różne odmiany garsonek, które uważała za strój odpowiedni do jej wieku i stylu życia: z jedwabiu albo wełny żakiet bez kołnierza do spódnicy poszerzanej albo plisowanej i bluzkę szyfonową w tym samym kolorze, każdej garsonki dobierała dwa kapelusze: jeden mały oblepiający głowę, drugi duży z szerokim rondem z filcu albo ze słomki. Ten prosty strój uzupełniała znakomita biżuteria. Ubierając się z umiarem, ciotka Hortense wcale o zachowanie umiaru nie dbała, jeśli chodzi o klejnoty. Lubiła brosze z bryłek złota, grube łańcuchy platynowe, brosze ze szmaragdowego kwarcu nabijanego brylancikami i długie supełkowe sznury barokowych pereł.

Po pokazie u Diora ciotka Hortense zabrała Maxine i Judy do Plaża Athenee na herbatę. Z obu stron szerokiego korytarza stały, po kilka razem, pluszowe foteliki i pachniało drogimi perfumami, aromatem cygar i gruntem czystością Amerykanów.

- Co myślicie o kolekcji? - zapytała, gdy podjechał wózek z wyborem wyrobów cukierniczych.

- Była superwspaniała - powiedziała Judy rozpierając się w foteliku. To, że jest obsługiwana, sprawiało jej przyjemność niewyobrażalną dla osób, które nigdy nie kelnerowały. - Bardzo piękna i wspaniała, ale myślę, że ubranie powinno być praktyczne, a te piękne rzeczy takie nie są. Nawet gdyby mnie było stać na nie, nie byłoby mnie stać na dbałość o nie, więc bym ich nie kupiła, choćbym miała Bóg wie ile pieniędzy. - Wbiła widelczyk w bezę. - Maxine, nie musisz patrzeć na mnie tak, jakbym wyraziła się obraźliwie o Maryji Pannie. Nie uprałabym ręcznie sukni z sześciu jardów materiału. Nie uprałabym na sucho tej balowej kreacji z krepy. I czy długo można chodzić w czystym płaszczu z kremowego zamszu?

- Waszym amerykańskim projektantom daleko do stworzenia czegoś tak dobrego jak nasze paryskie kolekcje - z oburzeniem powiedziała Maxine. - Dlatego Amerykanki zjeżdżają się, żeby kupować tutaj.

- Słuchaj, Maxine, ja tylko mówię, że ta kolekcja jest boska, ale niepraktyczna dla większości kobiet, które nie mają pokojówki i nie kończącego się kredytu w pralni chemicznej. Twoja ciocia zapytała mnie o zdanie, więc powiedziałam, co myślę. Mam nadzieję, że będę w życiu o wiele za bardzo zajęta, żeby połowę doby poświęcać na troszczenie się o moją szafę.

Ciotka Hortense siedziała w pluszowym foteliku wyprostowana jak kadet z St Cyr.

- To interesująca i rzeczowa krytyka. Powtórzyłabym to monsieur Diorowi, tylko że on oczywiście nie zwróciłby na to uwagi. Na świecie jest nie więcej niż osiemnaście tysięcy kobiet dostatecznie bogatych, by kupować stroje couture w Paryżu, i one wszystkie chyba w ogonku stoją u jego drzwi. Czemużby miał zawracać sobie głowę praktycznymi aspektami swoich kolekcji? Ale Judy słusznie mówi to, co myśli. Ja też nie owijam w bawełnę. Kiedy byłam w waszym wieku, siedziałam cicho jak mała mysz... no nie taka mała... wprost bałam się otworzyć usta. Dzieci było widać, ale nie było ich słychać, wiecie, przed pierwszą wojną światową.

- Zawsze mówię to, co myślę, dlatego, że nie umiem mówić inaczej - wyjaśniła Judy.

- Wiem, że w Europie wydaję się źle wychowana, ale nie rozumiem, z jakiej racji.

- Jesteś nietaktowna i wrzeszczysz - powiedziała Maxine, jeszcze rozdrażniona tym, że Judy krytykuje Diora.

- Czasami wrzeszczę, kiedy się podniecam, bo w dzieciństwie musiałam wrzeszczeć, żeby starsze dzieci zwróciły na mnie uwagę.

- Nie zmieniaj się - poradziła ciotka Hortense. - Myśl sama za siebie, nie powtarzaj cudzych opinii. Jesteś bezpośrednia, więc od innych wymagaj też bezpośredniości. Może twój sposób bycia wydaje się trochę obcesowy ludziom, którzy ciebie nie znają, może nawet irytuje ich czy niepokoi, ale teraz już nie jesteś dzieckiem i wkrótce nabierzesz towarzyskiej ogłady. Ja osobiście uważam, że jesteś odświeżająco szczerą, w istocie nieco podobna do mnie. Ta urocza naiwność, ta bezwzględna niewinność, ta świeżość, moim zdaniem, jest ujmująca. - W zamyśleniu wypila łyk herbaty. - Utrata niewinności niewiele ma wspólnego z utratą dziewictwa, wiecie. Człowiek traci niewinność, kiedy musi się zmierzyć samodzielnie z rzeczywistym światem i poznaje pierwsze prawo życia: zabij albo ciebie zabiją. To się różni od baśni w dzieciennym pokoju. - Wzięła jeszcze jeden fiołek w cukrze.

- Dość szybko zdałam sobie z tego sprawę w czasie tej wojny. Dopiero wtedy... mając czterdzieści dwa lata... pojęłam, jakie naprawdę jest życie. Ta wojna była straszna, ale czasami była też ekscytująca. Wciąż jeszcze tęsknię do akcji. Jak Maxine wie, wolę akcję niż rozmowę. Człowiek nie powinien siedzieć z założonymi rękami i czekać, żeby coś stało się w jego życiu.

- Tak - potwierdziła Judy z powagą. - Trzeba sprawić, żeby to się stało.

- Właśnie. Och, ileż mieliśmy uciechy wśród takiej grozy i cierpień! Maurice, mój szofer był moim szefem w Ruchu Oporu i pracowaliśmy na torach kolejowych. - Ciotka Hortense w odpowiedzi na nieme pytanie Judy pstryknęła palcami. - Wyszadziliśmy je. Potem pomagaliśmy na trasie ucieczek... już nie taka uciecha, ale jeszcze bardziej niebezpieczne. - Wykwintna ciotka Hortense zamieszała herbatę w porcelanowej filiżance srebrną łyżeczką.

- Ale gdzie pani się nauczyła tego wszystkiego?

- Och, nigdy przedtem nie uczyli mnie rzeczy użytecznych. Ale kiedy się musi, chwyta się bardzo prędko.

- Czego powinni byli panią nauczyć?

- Powinni byli mnie nauczyć spodziewać się zmian jako czegoś naturalnego, zmian we wszystkim, łącznie ze mną samą. Przekonasz się, kiedy będziesz miała dwadzieścia pięć lat, będziesz zupełnie inną osobą, niż jesteś teraz, kiedy masz siedemnaście. Inne dążenia, zainteresowania, postawy, grono przyjaciół. - Ciotka Hortense umilkła na chwilę, po czym wzruszyła ramionami. - A w dziesięć lat później stwierdzisz, że znów się zmieniłaś... i tak to idzie dalej. W końcu kiedy dojdiesz do mojego wieku, ludzie będą mówić, że stałaś się zdecydowana, co będzie naprawdę znaczyło, że lubisz stawiać na swoim. To początek samolubstwa starości. - Znów umilkła, podniosła rękę ze srebrną łyżeczką. - Wy obie wydajecie się o wiele bardziej wszyteczne, niż ja byłam w waszym wieku. Nie? To nie to słowo? No, moja angielszczyznę trzeba przewietrzyć. Judy przyda mi się do konwersacji. - Judy przytaknęła, a ona mówiła dalej. - To znaczy wydajecie mi się obie bardzo dorosłe. Ja, kiedy miałam szesnaście lat, myślałam, że nic nie wiem

i to było moim wielkim zmartwieniem. Kiedy miałam osiemnaście lat myślałam, że wiem wszystko, a potem po trzydziestce pojęłam, że nie wiem nic, i przygnębiało mnie to, dopóki nie zauważyłam, że wszyscy inni też nic nie wiedzą. Wszyteczność zawiera w sobie pewien obiektywizm, opanowanie i mądrość, nie sądzicie?

- Pani chyba nie ma na myśli wszyteczności. Wszyteczny to znaczy rozpustny, nierządny.

- Dziękuję, drogie dziecko. Miałam na myśli, zaraz... stateczność. Chodziło mi o to, że człowiek im starszy, niekoniecznie jest tym bardziej dorosły.

Z początku Judy uważała ciotkę Hortense za snobkę, ale szybko stwierdziła, że ona jest po prostu Francuzką starą i bogatą ze jest doświadczone, więc warto jej słuchać, i że

wcale się nie liczy z niczym zdaniem. Była ciotką Hortense zafascynowana. Taka zupełnie inna niż mama, pomyślała nielojalnie. Myśląc tak, poczuwała się do winy. Wciąż jeszcze bała się widma Rossville, bała się, że tak jak matka przepuści swoje życie przez palce, niezauważenie dla kogokolwiek - nawet dla siebie samej. Stanowiła przeciwieństwo matki: nie miała zamiaru żyć w lęku przed zrobieniem czegokolwiek.

Matka Judy nie potrafiła odsunąć wspomnień z lat trzydziestych, z tych dwóch fatalnych lat, gdy mąż był bez pracy. I udało jej się przekazać Judy ten strach, że można zostać bez grosza. Dlatego Judy myślała o materialnej pewności jutra tak, jak inne dziewczęta myślały o wymarzonej królewnie z bajki. Nie mogła też nie wiedzieć, że jej ojciec nie okazał się wymarzonej królewną. Małżeństwo nie gwarantuje pieniędzy i pewności jutra, o tym wiedziała. Musi pracować długo i ciężko, zanim będzie mogła wyciągnąć z krokodylowej torebki gruby banknot i nie rzucając okiem na rachunek, zapłacić kelnerowi, tak jak to właśnie zrobiła ciotka Hortense.

Po wypytaniu Judy o jej plany na przyszłość ciotka Hortense powiedziała z sympatią:

- Jeżeli nie będziesz miała nikogo, kto by się troszczył o ciebie, pamiętaj, proszę, że ja nie mam się o kogo troszczyć. Nie jestem taka nieznośna, jak się wydaje, i jeszcze nie zapomniałam, co to znaczy mieć siedemnaście lat. Więc zadzwoń do mnie, gdybyś potrzebowała pomocy. A raczej proszę, zadzwoń do mnie w każdym razie.

Maurice odwiózł Maxine i Judy do Neully. Judy patrząc na jego szerokie ramiona poniżej czarnej czapki z daszkiem, szepnęła:

- Myślisz, że zdarzyło się kiedyś coś wszetecznego?

- Z ciotką Hortense nigdy nic nie wiadomo - szeptem odpowiedziała Maxine.

W tym starym Mercedesie jadącym przez śródmieście Paryża Judy czuła się jak w niebie. Nie inaczej niż wiele Amerykanek przed nią już pokochała Paryż.

Rozdział ósmy

Luksusowy hall Hotel de Londres wyglądał jak pozostawiony samemu sobie. Wyblakła tapeta się łuszczyła, boazerię poniżej tapety znaczyły ślady kopniaków.

- Gdzie jest winda? - zapytała Maxine portiera przy kontuarze recepcji.

- U Ritza. - Szarpnięciem kciuka wskazał schody w głębi hallu. Maxine i Judy minęły obwisłą, wyczerpaną palmę w miedzianej donicy

i po skrzypiących schodach wdrapały się na czwarte piętro, gdzie na końcu półmrocznego korytarza znalazły pracownię Guya. W tym małym, niskim pokoju od podwórza było czystiej niż w hallu i chyba wszystkich innych pomieszczeniach odrapanego hotelu. Na tle okna rysowała się sylwetka kobiety zgarbionej nad terkotliwą maszyną do szycia. Przy stole zajmującym większą część pokoju stał mężczyzna w koszuli z rękawami podwiniętymi i kroił wełniany materiał koloru mauve. Z lewej strony drzwi piętrzyły się na półce sztuki materiału, z prawej stały dwa wieszaki na kółkach obwieszane garderobą w osłonach z białej bibułki.

- Więc teraz wam pokażę - powiedział Guy, gdy już przedstawił dziewczyny krojczemu i krawcowej, którzy właśnie kończyli dzień pracy. Jedną po drugiej zaczął zdejmować swoje kreacje z wieszaka i ściągać z nich bibułkę. Były to przeważnie komplety albo poszczególne części: zmysłowo jedwabiste żakiety i spódnice mgliście różowe i lawendowe, spodnie z dżerseju w ciemniejszych odcieniach tych kolorów; aksamitne garsonki w kolorach kamieni szlachetnych, topazu, granatu i szafiru i odpowiednie płaszcze w tychże kolorach, ale zmatowiałych, bo wełniane.

- Do tego trzeba nosić mnóstwo śmiałej, sztucznej złotej biżuterii - wyjaśnił Guy, gdy Maxine i Judy przymierzały te rzeczy i podziwiała się w lustrze.

- Szyję tylko jeden model płaszcza nieprzemakalnego, ale w trzech długościach, można go nosić do wszystkiego z tej kolekcji, i z paskiem albo bez paska. - Wyciągnął cynamonowy płaszcz z gabardyny z fioletową wełnianą podszewką. - Chciałbym też to widzieć w kolorze cynowoszarym z podszewką blad różową, ale nie stać mnie na szycie modeli w zbyt wielu kolorach do pierwszej mojej kolekcji.

- Szalenie mi się podobają prawie wszystkie - powiedziała Judy entuzjastycznie po półgodzinie, którą obie, w halkach, zwariowane na punkcie strojów jak chyba wszystkie nastolatki, spędziły na przymierzaniu modeli. - Łatwo się w nich poruszać, więc chyba łatwo w nich żyć. Jak gdyby nic się nie miało na sobie. Po prostu się o nich nie pamięta.

- Staram się produkować garderobę, w której kobieta wygląda elegancko i zarazem jest jej wygodnie. Zauważyłyście, że wszystkie paski spódnic są z gumkami? I kładę nacisk na to, żeby moja modelka w każdej z tych rzeczy chodziła do łazienki i sprawdzała, czy ta rzecz jest naprawdę praktyczna.

Wygodne modele Guya bardzo różniły się od znakomitych, ale przyciasnych kompletów, które Judy widziała u Diora. Styl Guya chociaż niby niedbały, był elegancki dzięki świetności kroju i pięknym materiałom.

Guy ściągnął z półki sztukę jedwabiu mauve, odwinął część, udrapował na nagich ramionach Judy i zaczął spinać szpilkami.

- Nie w ten sposób większość projektantów pracuje - wymamrotał ze szpilkami w ustach. - Tylko madame Gres kroi od razu z materiału i upina na żywej modelce.

- Czy dopasowanie do figury klientki to sprawa pana personelu? - zapytała Judy.

- Nigdy! Przymierzanie jest najważniejszą częścią tej pracy, więc ja sam to robię. Nie lubię, ale nie mam nikogo, kto by potrafił. Dobrego przymierzania nie można się nauczyć, do tego trzeba się urodzić. My tu w Paryżu mamy najlepsze fachowe siły. Proszę stać spokojnie, bo ukłuję. Umieję robić patrony, modele próbne, kroić, szyć, kierować wielką pracownią, ale przede wszystkim jestem projektantem i kiedy rozrosnę się dostatecznie, będę wyłącznie projektował. Dziękuję.

- A co ze sprzedażą? - zapytała Judy. - Kto sprzedaje pana towar? Guy zmarmotniał.

- Jak dotąd nie potrzebuję żadnej vendeuse, bo moje klientki mnie znają i przyprowadzają do mnie swoje znajome. Dla nich to frapujące... przychodzić do tej nory... Wydaje im się, że kupują coś taniego i oczywiście tak jest. I również im się wydaje, że dokonują nadzwyczajnego odkrycia, i jak mam nadzieję, też tak jest. No więc, jak ci się to podoba, ma chere? - Cofnął się o krok i Judy ostrożnie podeszła do lustra. Miała na sobie klasycznie udrapowaną szatę greckiej bogini.

- Och, jak ja marzę o czymś takim!

- Kiedy będę bogatszy, zobaczymy. Na razie muszę się liczyć z każdym sou. - Guy błyskawicznie uwolnił Judy od szpilek i zręcznie chwycił opadający jej z ramion kawał jedwabiu. - Czy mogę wam zaproponować aperitif?

Otworzył drzwi, które prowadziły do sypialni, dziwnej w porównaniu z tą nieskazitelną, surowo praktyczną pracownią. Jego osobiste mienie - książki, bielizna, buty - było spiętrzone w nogach łóżka stanowiącego jedyne prawie wolne miejsce wśród manekinów krawieckich na pół przyodzianych i metalowych wieszaków, bel muslinu i papierowych wykrojów. Pchnął stertę książek i buty na sam koniec łóżka. We troje siedzieli po turecku na kołdrze popijając z jednego kubka do zębów i dwóch kubeczków papierowych biały wermut. Guy wprowadził Maxine i Judy w swoje plany, nakreślił

przed nimi swoją karierę i przyszłe życie - obraz tak wyraźny jak wczoraj widok Łuku Triumfalnego, pomyślała Judy smętnie.

- Mówi pan z taką pewnością siebie.

- Ja? Wciąż dręcą mnie wątpliwości, brak zdecydowania, ukrywam panikę na myśl, czy podołam - powiedział Guy. I dodał ponuro: - Nie macie pojęcia, jaka to męka zdecydować, czy marynarka ma być jedno czy dwurzędowa... a taka decyzja jest bardzo istotna, bo nie stać mnie na eksperymentowanie. I dopóki nie będzie mnie stać na kogoś do pomocy, nie mam z kim czegokolwiek omawiać. Mówię wam, na dole jest samotnie.

- Ja to rozumiem - powiedziała Judy. - Strasznie mi będzie brakowało Maxine. Nikogo do rozmowy, nawet mieszkania jeszcze nie znalazłam.

- Może tutaj niech się pani wprowadzi - poradził Guy. - To najtańszy przyzwoity hotel, jaki mogłem znaleźć, doba tylko pięćset franków... to chyba około dwóch dolarów, prawda? Na Lewym Brzegu jest pełno tanich hotelików dla studentów, ale w tym jest czysto i śniadanie podają do łóżka, jeżeli się ma na to. Kiedy chorowałem na gripę, przynosili mi trzy śniadania dziennie. I jest telefon: powiedzą kto dzwonił i z jaką wiadomością jeżeli raz w miesiącu da się temu gburowi w hallu na piwo.

- Cudowny pomysł - przyklasnęła Maxine. - Guy będzie mógł mieć cię na oku, a ty będziesz mogła mu doradzać, czy dwu- czy jednorzędówka.

Po drodze na kolację zatrzymali się w recepcji i Maxine, pertraktując z gburowatym portierem, wytargowała miesięczną cenę pokoju o piętnaście procent niższą. Potem poszli przez nie Bonaparte do hałaśliwej restauracji Beaux Arts na rogu tej ulicy. Judy nad kieliszkiem wina poczuła się pewniej. Teraz potrzebowała tylko pracy.

W dwa dni później, polując na posadę, Judy nie była taka pogodna.

Uzbrojona w swój szwajcarski dyplom, zgłosiła się do nędznego biura pośrednictwa pracy, gdzie siedziała w ogonku, dopóki nie wywołano jej nazwiska. Rozmowę z nią przeprowadziła kobieta w wieku niewiadomym, o twarzy typowo francuskiej - śniadej cerze, znużonych piwnych oczach i kosztownie rozłożonych włosach ściągniętych do tyłu w kok. Mówiła bardzo szybko, a Judy odpowiadając na jej pytania, zacinała się. W końcu tego wywiadu kobieta prychnęła przeciągle, co miało oznaczać powątpiewanie, wzruszyła ramionami, co miało wyrażać rezygnację, po czym wyjęła z szuflady duży kuchenny chronometr i poddała Judy próbie maszynopisania. Nastrój był zastraszający,

ale Judy wyszła z tej próby zwycięsko. Kobieta znowu prychnęła, co miało wyrażać zdumienie, wzruszyła ramionami, co miało wyrażać, że nigdy nic nie wiadomo, po czym wykonała cztery telefony, dała Judy cztery adresy i wysłała ją do tych firm na rozmowy.

Wreszcie trafiając pod pierwszy adres Judy wjechała windą jak klatka do dusznego biura i przyjął ją wymuskany człowieczek, który ją wypytywał, ale nie patrzył na nią tylko czyścił sobie niepokalany lewy rękaw. Gdy załatwił ją odmownie, poszła pod następny adres i ogółem spędziła półtora tygodnia na wizytach w podobnych odrapanych biurach. Wszędzie tam ściany były szare albo beżowe, pachniało kurzem i starymi herbatnikami, na biurkach piętrzyły się napęczniałe sfatygowane teczki z kremowej tektury. Ostatecznie po obniżeniu poborów podanych przez agencję przyjął Judy na posadę tymczasowej sekretarki pewien importer tekstyliów, duży, niemłody, z twarzą jak szare jajko, na którym wymalowano obwisłe czarne wąsy. Dyktował listy po francusku, ale nieraz Judy musiała je po przepisaniu na maszynie przetłumaczyć na niemiecki albo angielski. Musiała też się zмагаć z wypełnianiem niezliczonych formularzy celnych, koniecznych, żeby sprowadzić do Paryża tweed ze Szkocji, płótno z Dublina, czy żeby wysłać jedwab z Lyonu i koronki z Valenciennes do Nowego Jorku. Pracodawca wyraźnie uważał ją za chodzący, mówiący i piszący na maszynie automat i nie zadawał sobie fatygi, by z nią kiedykolwiek porozmawiać po krótkim B 'jour, mademoiselle.

Byłam, ciociu, wczoraj na balu w tej twojej pięknej jedwabnej sukni, każdy taniec tańczyłam z kimś innym... i nudziłam się jak mops - powiedziała Maxine ponuro siedząc z ciotką Hortense w jej małej bibliotece wykładanej klonową boazerią. Sama wprosiła się do paryskiego mieszkania ciotki, była napięta, ale niezłomnie zdecydowana. - Jakoś nie mogę mówić o tym z rodzicami tak, żebyśmy się zaraz nie pokłócili. Można by myśleć, że żyjemy w roku tysiąc osiemset pięćdziesiątym, a nie w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym. Mama nie może zrozumieć, że ja nie chcę chodzić na „odpowiednie” przyjęcia, tańczyć z tymi wszystkimi „odpowiednimi” kawalerami, a potem wyjść za kogoś z nich. Nie chcę wyjść za Pierre'a, boga nart, nie chcę prowadzić zupełnie takiego samego nudnego, wygodnego życia jak moja mama.

Pod ogromnym zielonym rondem słomkowego kapelusza ciotka Hortense uniosła krzaczaste brwi i pociągnęła swym dużym kościstym nosem. Maxine w przeciwieństwie

do Judy trochę bała się ciotki. Ale widząc, że ona teraz bez słowa potakuje, ciągnęła śmielej.

- Oczywiście kocham swoją rodzinę, tylko już nie chcę żyć jak w książce dla dzieci. Chcę się wyrwać. Chcę mieć własne życie. „Będziesz miała -przybrała rozjątrzony ton swojej matki - jeżeli wyjdiesz za Pierre'a Boursala" mama mi mówi. Pierre już rozmawiał z papą ciociu, ale kiedy odwiedzam jego rodziców w tym ich mieszkaniu na Avenue George V, chcę stamtąd uciec jak najprędzej. Klaustrofobiczne, czuję się jak w pułapce. Chociaż tam jest o wiele wspanialej niż u nas... białe marmury, czarna pokojówka... jego matka prowadzi życie zupełnie takie samo jak mama, z tą różnicą że ona wyłącznie w kreacjach haute couture. Ja nie chcę wyjść za Pierre'a, bo nie chcę takiego życia.

Maxine ogryzała gniewnie paznokieć kciuka, chociaż niewiele już do ogryzania zostało.

- I jest jeszcze ważniejszy powód. Pierre tak naprawdę interesuje się tylko nartami. Wiem, to wydaje się śmieszne i powiesz mi, ciociu, że jemu to minie, ale ja myślę, że w jego przypadku, kiedy to rzeczywiście minie, nic mu nart nie zastąpi. Jest bogaty i lubi jeździć na nartach; pracować nie lubi i nie musi. - Popatrzyła na ciotkę błagalnie. - Przecież bym nie zniosła małżeństwa z bogatym narciarzem-snobem, a już szczególnie ze starzejącym się bogatym narciarzem snobem. Więc dam Pierre'owi kosza. I chcę na jakiś czas wyjechać z Paryża. Znam Paryż. Mieszkam tu od urodzenia. Chcę poznać inne miasta... Londyn i Rzym.

Ciotka Hortense znów potakiwała, żeby dać sobie czas do namysłu. W tym wieku niejedna dziewczyna czuje się tak jak Maxine, ale Maxine jest niezwykle niecierpliwa w tym swoim dążeniu do osiągnięcia tego, czego chce. Z czasem nauczy się posuwać wolno i ostrożnie, żeby postawić na swoim, zamiast tak rzucać się w przygotowaną sobie argumentację. Nauczy się bez względu na to, za kogo wyjdzie za mąż.

- Właściwie czego ty chcesz? - zapytała ciotka Hortense.

- Chcę pojechać do Londynu, studiować tam architekturę wnętrz, a potem wrócić do Paryża i otworzyć własną firmę. To ty, ciociu, zaczęłaś we mnie wyrabiać gust... zabierałaś mnie ze sobą, kiedy kupowałaś suknie, kiedy kupowałaś antyki, chodziłaś ze mną po muzeach. Ty, ciociu, masz swój styl. Ja teraz chcę rozwinąć mój. Francuscy architekci wnętrz robią wciąż to samo, co robili jeszcze przed wojną. Wnętrze strasznie

przeładowane ozdobami i za kosztowne. Nie takie ja chcę projektować. - Maxine zerknęła na ciotkę spod rzęs. - Mam zamiar poprosić papę, żeby mi pozwolił studiować w Londynie przez dwa lata. Więc chcę, żebyś, ciociu, przekonała go do tego, bo wiesz, że ja nie potrafię, i wiem, że ty potrafisz.

Ciotka Hortense znów potakiwała jak nieraz, gdy uważała, że roztropniej nie mówić nic. Zachęcona tym Maxine powiedziała:

- Poganka, moja przyjaciółka, pisze, że najlepszym londyńskim dekoratorem jest James Partridge, który niedawno urządził mieszkanie jej matki. I pisze, że on ma cudowne wycucie koloru i antyków, i że już z nim rozmawiała. Pytała go, czy mógłby znaleźć pracę dla mnie.

Ciotka Hortense przytaknęła jeszcze raz. Nie taki głupi pomysł. Przyda się ta umiejętność dziewczynie, kiedy dobrze wyjdzie za mąż. Z pewnością wysubtelni jej dobry smak i jeśli kiedyś będzie robiła na tym pieniądze, to bardzo duże.

Więc ciotka Hortense zaprosiła rodziców Maxine na jedną ze swych pomniejszych wspaniałych kolacji. Posadziła ojca Maxine pomiędzy dosyć sławną, dosyć zalotną aktorką i ładną młodą hrabiną, owdowiałą w poprzednim roku i, jak szeptano, niezupełnie niepokieszoną. Ojciec Maxine bawił się znakomicie. Po kolacji, gdy goście siedzieli przy koniaku i kawie w bibliotece, siostra odciągnęła go na bok i powiedziała:

- Chcę z tobą chwilę porozmawiać, Louis, o mojej chrzestnej córce. Mam wrażenie, że Maxine nie powinna tracić czasu na socjalizację w Paryżu. Pora już, by kształciła się dalej.

- No, my raczej zakładamy, że ona wyjdzie za młodego Boursala...

- Louis, chyba nie tego chcesz dla swojej inteligentnej córki? To taki dureń. Och, dziewczyna ledwie wyszła ze szkoły, a wy ją zamierzacie wydać za takiego idiotę bez krzty oleju w głowie? Nie, myślę, że Maxine wdała się w ciebie. Jest bystra, przejawia zdecydowane zdolności artystyczne. Byłoby dobrze, gdyby poważnie zaczęła studiować sztuki piękne.

- No, może masz rację, Hortense - powiedział ojciec Maxine, dla którego rzeczywiście nie miało znaczenia, co Maxine będzie robiła, dopóki nie wyjdzie za mąż, byleby nie kosztowało go to za dużo pieniędzy. - Rozejrzemy się, na jakie kursy przyjmują w Beaux Arts.

- Bardzo mądrze, Louis, z twojej strony. I jeszcze jest jeden drobiazg, na który warto by zwrócić uwagę. Maxine nie za dobrze mówi po angielsku... daleko jej do twojej świetnej angielszczyzny. Ona po angielsku mówi tak jak Winston Churchill po francusku... exe rabie! Ja to bym ją wysłała na dwa lata do Londynu, żeby tam postudiowała u jakiego rzeczywiście dobrego dekoratora wnętrz. O wiele szybciej można się wszystkiego nauczyć praktykując zamiast wkuwać teorię.

- Do Londynu? Na dwa lata? Zwariowałaś chyba, Hortense. Matka w żadnym razie jej nie puści. Ona ma dopiero dziewiętnaście lat, nie zapominaj.

- Przed chwilą dawałeś do zrozumienia, że jest dostatecznie dorosła do małżeństwa. Poza tym ona ma w Londynie przyjaciółki. Och, Louis, tylko pomyśl, jaką myśmy mieli niewesołą młodość. Jest taka utalentowana, ta twoja Maxine. Chyba chętnie pozwolisz temu biednemu dziecku trochę rozpostrzeć skrzydła, zanim będzie musiała zabrać się do odgrywania poważnej i często nudnej roli żony.

Nastąpiła chwila milczenia.

- A gdybym jej pozwolił pojechać do Londynu, do kogo by tam poszła?

- Do najlepszego londyńskiego dekoratora, rzecz jasna - odpowiedziała ciotka Hortense stanowczo. - To znaczy do monsieur Partridge'a. Nie mam pojęcia, czy jest wolne miejsce w jego pracowni, i nie wiem, ile on bierze za naukę, ale mogę jutro zatelefonować i dowiedzieć się. Nie! Nie! Z przyjemnością zrobię to dla ciebie, skoro ty sobie tego życzysz, Louis.

Poprowadziła go z powrotem do biblioteki, w pełni z siebie zadowolona. Zdumiewające, jak łatwo nakarmić pochlebstwami dorosłego mężczyznę.

Tak to we właściwym czasie Maxine po ucałowaniu Judy na do widzenia pojechała Żółtą Strzałą do Londynu. Kate i Poganka czekały na dworcu Victoria. Kate już wynajęła w Chelsea mieszkanie. Były to tylko dwa ciemne pokoiki w suterenie, ale na Walton Street, uroczej uliczce maleńkich domów z dziewiętnastego wieku.

Co wieczór o szóstej Judy pędziła z przygnębiającego biura do swego nędznego pokoju z przekwitłymi różami na tapecie w Hotel de Londres. Okno pokoju wychodziło na podwórze tak pełne życia jak audycje reklamowe w radiu. Chyba nikt nigdy nie

zasłaniał okien, więc z mieszkań naprzeciwko słyszała kłótnie, czuła zapachy gotowania, już nie mówiąc o tym, że mogła w tych oknach zobaczyć sceny nawet bardzo intymne.

W miarę jak kolekcja się powiększała, w sypialni Guya robiło się coraz ciaśniej, więc Guy po pracy chodził do pokoju Judy dwa piętra wyżej, gdzie czekała go szklaneczka wina wraz ze współczuciem. Siedząc po turecku na swojej poduszce, Judy szybko przyswajała sobie wiadomości o świecie francuskiej couture.

- Cały dzień zmarnowany na przymierzaniu - kiedyś wieczorem jęknął Guy siadając w nogach łóżka. - Jakże ja pragnę projektować na rynek butików.

- A jaka to różnica?

- Masowe zamówienie, masowa produkcja; nie ma co przymierzać. Rzeczy haute couture szyje się na zamówienie, muszą być trzy uświęcone, czasochłonne miary, natomiast konfekcję butikową szyje się partiami w typowych rozmiarach i sprzedaje gotową od razu do noszenia. Wszelkie zmiany w niej czy poprawki to już sprawa klientki albo sklepu, jeżeli są konieczne.

Judy odchyliła się, wyciągnęła spod łóżka butelkę wina i napełniła dwie szklaneczki.

- Myślałam, że lubisz klientki couture!

- Tylko dlatego, że muszę. Bardzo niewiele kobiet stać na garderobę couture. Wszystkie są zepsute, a większość z nich często zmienia zdanie. Mało która, z wyjątkiem tych ubranych najlepiej, trzyma się jednej firmy couture. - Napił się wina i mówił dalej. - Słynne klientki nieraz pożyczają suknie balowe na jakieś wielkie gale i zwracają je brudne, czasem nawet podarte, zawsze bez słowa dziękuję! Zut! Nie chcę przez całe moje życie być na pastwie kilku bogatych dziwek, które przez całe swoje życie stroją się na koktajle. - Guy wyprostował się raptownie i wskazał palcem pod umywalnię. - Nom d'un nom, cóż to takiego? - Na kawałku linoleum stał kosz do śmieci, a w koszu podparte w gniazdku z aluminiowej folii stało na sztorc żelazko elektryczne.

- To jest mój piecyk. Kupiłam rondel i mogę gotować na płaskim boku żelazka. Jedno z tych nowych z termostatem. Nastawiam „płótno” do grzania i do gotowania jajek albo „wełnę” do pichcenia gulaszu.

Guy przewrócił oczami.

- Straszne niebezpieczeństwo pożaru! Masz szczęście, że jeszcze żyjesz! Nie wiesz, że w hotelu nie wolno gotować w sypialniach? Wyrzucą cię.

- Nie mam pieniędzy, żeby co dzień jadać w restauracjach, więc trzymam żywność w walizce pod łóżkiem.

- Będziesz tu miała myszy i karaluchy.

- Nie, wszystko jest w blaszanym pudle. - Wyciągnęła walizkę, żeby mu pokazać. - Chcesz, ugotuję ci jajko.

- Błagam, nie. - Zaintrygowany, chociaż pełen dezaprobaty Guy powiedział: - Wy, Amerykanie, niewątpliwie jesteście pomysłowi. Widzę to w waszym przemyśle odzieżowym... wyprzedzacie nas o dziesięć lat swoją produkcją i sprzedażą, i sposobem, w jaki się specjalizujecie. W Stanach poszczególne firmy nie oferują klientkom wszelkiej konfekcji od spódnic aż do sukien balowych, tak jak my to robimy we Francji. Firma, która szyje spódnice w cenie detalicznej od dziesięciu do dwudziestu dolarów, niewiele wie o spódnicach za czterdzieści dolarów czy pięćdziesiąt. Bardziej prawdopodobne jest zrobienie forsy na modzie, jeżeli się ma specjalność. Myśląc o swojej nienawistnej posadzie, Judy westchnęła:

- Projektowanie modeli musi dawać mnóstwo satysfakcji. Guy dopiero po chwili zaprzeczył posępnie.

- Właściwie nie. - Usiadł na krawędzi łóżka. - Przepraszam, jestem w złym humorze. Le cafard. To tylko zmęczenie i zdenerwowanie. Zamiast posuwać ważną pracę dalej, zajmuję się przez cały boży dzień bzdurami, tu spuszczałam pół cala, tam o pół cala skracałam.

- Jesteś przybity, bo wyczerpany i czas cię nagli. Jutro znów pokochasz couture.

- Tak, ale powtarzam ci, nie chcę do końca życia pracować dla kilku bogatych kobiet. Chcę produkować konfekcję taką, żeby tysiące kobiet czuło się w niej wspaniale. - Westchnął rozjątrzony. - Obecnie kobiety chcą wyglądać naturalnie, a ja chcę im w tym pomóc. - Prychnął. - Haute couture to rynek, który się kurczy... Z roku na rok jest coraz mniej bogatych prywatnych klientek.

- Pomasuję ci plecy - zaproponowała Judy odwracając się od okna. - To cię trochę odpręży.

Wstał ze znużeniem i zaczął rozpinać niebieską bawełnianą koszulę. Jeszcze rozmyślał głośno.

- Innym minusem jest to, że projekty zawsze kradną masowi producenci z całego świata, więc w istocie pracuje się dla nich, i to za darmo.

Judy zabrała z łóżka poduszki, wygładziła kołdrę, rozłożyła na niej czysty ręcznik i podwinęła rękawy. Guy na krawędzi łóżka zrzucił z nóg buty, po czym się położył.

- ...Ale nazwisko można sobie wyrobić nie w masowej produkcji, tylko w haute couture. - Leżał na brzuchu i dalej myślał głośno, gdy Judy masowała mu kręgosłup, mocno naciskając kciukami, zaczynając od krzyża. Przy masażu mięśni barkowych czuł, jak ich napięcie mija, już oddychał głębiej. - Zdradzić ci mój plan? - wymamrotał. - Chcę zrobić coś nowego, specjalizować się w masowej produkcji wysokiej jakości. Moja konfekcja nie będzie tak droga jak haute couture, ale też nie będzie tania jak większość konfekcji fabrycznej. Moje dążenie na długą metę to mieć przedsiębiorstwo pośrodku, produkujące moje własne modele z moją własną etykietką.

Teraz kciuki Judy były na jego karku. Mocno wyciskały z mięśni napięcie.

- Mm... już mi lepiej... Chcę szyć znakomitą gotową konfekcję, która fasonami, krojem i jakością nie będzie ustępować haute couture, chociaż bez dopasowywania na klientki osobiście. Takie modele trzeba starannie projektować, żeby mogły być w różnych rozmiarach. Zacznę od kolekcji poszczególnych sztuk... mnóstwo ich z wełnianego dżerseju... aach; to cudowne.

- Teraz odwróć się twarzą do okna - powiedziała Judy. - Inaczej nie mogę masować ci lewego boku należycie, bo przy łóżku jest ściana. Słuchaj, ty potentacie, kiedy twoje kostiumy będą gotowe, co z nimi zrobisz?

- Mój próbny towar będzie gotowy w lipcu. Wynajmę w którymś z hoteli apartament i pokażę te modele właścicielom magazynów i butików. Dostanę zamówienia z magazynów... jeżeli będę miał szczęście... i wtedy tę konfekcję zacznę produkować pewna mała fabryczka w Tauchon.

Judy lekko klepnęła go po plecach.

- Już jesteś nowym człowiekiem - powiedziała. Guy wstał i włożył koszulę.

- Dziękuję. - Pochylił się i rozczochrał jej modną wystrzępioną grzywkę.

- Słuchaj, Judy, naprawdę mi przykro, że byłem w takim parszywym nastroju, ale dzisiejszy dzień miałem nieproduktywny. Jose, ta moja krawcowa, zwolniła się na cały tydzień, bo zwichnęła rękę, więc jesteśmy opóźnieni. Mam tyle roboty, muszę nawet być, do licha, posłańcem.

- Zabieram cię na kolację - powiedziała Judy.

- Judy, jesteś aniołem, ale to niemożliwe. Muszę zrobić rachunki przed wypłaceniem jutro tygodniówek. Właśnie ta księgowość doprowadza mnie do szału najbardziej... niby jedna godzina na tydzień, tylko że to jakoś nigdy nie jest jedna godzina.

- Jeżeli chcesz i jeżeli to rzeczywiście ma być jedna godzina, mogę cię w tym zastąpić - zaofiarowała się Judy. - Będziesz mi płacił, kiedy będziesz mógł. Zamówienia i faktury załatwiam w biurze i poproszę Denise, naszą księgową, żeby mi pokazała wszystkie inne papiery. Mogłabym pracować u ciebie w czwartki.

- Aniele! Zapłacić ci z góry kostiumem? Tym niebieskim jedwabnym z dekoltem w szpic głębokim aż do piersi. Wieczorem możesz nosić bez niczego pod spodem, tylko włożyć perły.

Rozdział dziewiąty

Stój spokojnie i wciągnij powietrze. - Judy mocowała się z zamkiem błyskawicznym. - Teraz na miłość boską nie oddychaj.

Jedna z czterech modelek zawiodła, więc Guy prezentował swoją pierwszą kolekcję tylko na trzech dziewczynach. Firanki z woalu poruszył lekki wiatr, ale i tak lipcowy upał był nieznośny nawet tutaj, w Plaza Athene'e. Guy sprawdzał spis dodatków i rozkładał rzeczy na trzech stołach. Te stoły na kozłach wstawiono do apartamentu na miejsce bliźniaczych łóżek wyniesionych na cały dzień. Guy rozesłał trzy tysiące zaproszeń, spodziewał się jednak przybycia tylko trzystu osób.

Po czterech miesiącach prawie nieprzerwanej pracy Guy był szary ze zmęczenia i co zrozumiałe, bardzo spięty. Miał nadzorować modelki. Judy, która wzięła w biurze tydzień urlopu, miała zajmować się gośćmi i anonsować modele. Większość paryskich znakomitych domów mody już zaprezentowała swoje kolekcje: kreacje nadal ładne, ale niewygodne, sute spódnice, talie wyściskane, ramiona wypchane, żakiety sztywne od fizeliny, spłaszczające piersi. Modele Guya, proste i wygodne, z pewnością wyglądały inaczej. Co wieczór Judy biegła po gazety, żeby przeczytać recenzje z pokazów, jakie odbyły się w ciągu dnia, a Guy niespokojnie zbierał zakulisowe informacje przez telefon.

Pierwsza weszła połączanymi podwójnymi drzwiami matka Guya z gromadką znajomych, a potem jedna po drugiej zjawiały się jego prywatne klientki. Ciotka Hortense konspiracyjnie mrugnęła do Judy i szepnęła:

- Możesz wyciągnąć książkę zamówień. Kupię dwa komplety, nawet jeśli on tu wystawi całuny.

Zjawili się również dwoje przyjaciół Guya ze studia Jacquesa Fatha, ale nie było nikogo z prasy i przyszły tylko trzy osoby spośród zaproszonych ewentualnych nabywców, zaopatrujących najelegantsze sklepy i magazyny Paryża.

Pierwsza modelka wkroczyła z korytarza ubrana w kostium w kolorze granatów - krótki prosty żakiet i spódnicę w kontrafałdy. Do tego miała czarną marynarską czapkę zsuniętą na tył głowy i wlokła za sobą cynamonowy płaszcz nieprzemakalny. Uśmiechnęła się promiennie, jak gdyby do wielotysięcznego tłumu. Podeszła w głąb pokoju krokiem nerwowego konia wyścigowego i zakręciła bardzo wolno. Z powodu braku czwartej dziewczyny trzeba było przeciągać prezentację każdego modelu jak najdłużej, żeby tamte dwie modelki zdążyły się przebrać.

W sypialni z powrotem modelka przybrała błyskawiczne tempo. Krawcowa już jej podawała następny model gotowy do włożenia, krojczy chwycił zdejmowane części garderoby, a Guy, stojący w drzwiach ze stoperem, żeby wyliczać czas, już jej podawał następne dodatki.

Gdy pokaz się skończył, rozległy się grzeczne oklaski, kelner zaczął roznosić szampana, pamiętając, że kieliszki mają być wciąż napełnione. Tymczasem w sypialni Guy płacił modelkom gotówką zgodnie ze zwyczajem, gdy dwoje jego pomocników pakowało kolekcję. Wszystkie prywatne klientki szarmancko złożyły zamówienia. Matka Guya zaczęła, by zobaczyć, co nie znalazło amatek, i szybko to zamówiła - kremowy wełniany komplet a la mundur polowy, raczej nie przydający wdzięku pani w średnim wieku. Ciotka Hortense kupiła cynamonowy płaszcz, szafranowy żakiet aksamitny z krótką spódniczką i z długą spódnicą i odpowiednią bluzką z szyfonu, ale nie chciała wziąć aksamitnych wążutkich spodni. Wszystkie te prywatne klientki wyszły razem piejąc z zachwyty i nie szczędząc słów zachęty.

Gdy drzwi się za nimi zamknęły, Guy osunął się w obity bladoniebieskim brokatem fotel i ukrył twarz w dłoniach.

- Ani jednego, ani jednego zamówienia oprócz tych po znajomości. Potem w pokoju Judy w Hotel de Londres siedział na krawędzi łóżka i z rozpaczą wpatrywał się w kapuściane róże tapety.

- Połóż się, zaparzę ci herbaty - powiedziała Judy, łagodnie popychając go na łóżko.

Ale zanim woda na żelazku się zagotowała, Guy już spał. Judy zdjęła mu buty i ułożyła go porządnie tak, jakby nie żył albo był pijany, i skuliła się obok niego. Ją też zmogło wyczerpanie. Niestety, pomyślała, nie będzie dużo roboty z fakturami...

Nazajutrz przed południem obudził ich telefon. To Jose dzwoniła z pracowni. Zaopatrzeniowiec butików Galerie Lafayette pyta, kiedy Guy może pokazać mu swoją kolekcję.

W pięć tygodni później Guy wpadł jak bomba do pokoju Judy, wskoczył na łóżko i podskakując wydawał indiańskie okrzyki wojenne.

- Przedtem miałem problem z niepowodzeniem - wykrzykiwał. - Teraz mam problem z sukcesem! Sprzedaliśmy całą kolekcję zimową i muszę odrzucić zamówienia na dwa miliony franków... to jest osiem tysięcy dolarów, prawda? Zamówienia napływają strumieniem! To przerażające, bo mam za mało pieniędzy, żeby sfinansować większe obroty, a nie chcę się znaleźć w punkcie przesilenia płynności. Mój ojciec mówi, że tak się zwykle dzieje, kiedy przedsiębiorstwo rozrasta się za prędko.

- Odkąd to twoje słownictwo zawiera takie zwroty jak punkt przesilenia płynności? I przestań mi skakać po łóżku. O mojej spiżarni w walizce pokojówka nie doniosła, ale o rozbitym łóżku będzie musiała donieść.

Guy usiadł w nogach łóżka już spokojniej.

- Ojciec zmienił swoją śpiwkę. Rzeczywiście dosyć mi pomaga. Wczoraj wieczorem przejrzelśmy te cyfry i chyba był zaskoczony tym, że jestem taki praktyczny... wyłącznie dzięki tobie oczywiście... W każdym razie radzi szyć tylko krótkie serie każdego projektu i nie przyjmować zamówień ponad stan. Mam mówić spóźnionym, że moja cała zaplanowana produkcja jest już zamówiona. No bo naprawdę jest! Włóż ten swój kostium. Zabieram cię do Ritza na kieliszek szampana.

- Czy nie ma lepszego sposobu odmowy? - zapytała powoli Judy wkładając kostium z bladoniebieskiego jedwabiu, dobry na wszystkie pory roku i będący jej jedynym porządnym strojem. - Czy nie ma sposobu, który nie rozdrażniałby klientów, tylko by ich zdopingował do złożenia wcześniej zamówień następnym razem? Może podaruj jakimś sławnym damom po dwa komplety pod warunkiem, żeby wszystkim mówiły, że są upokorzone, bo nie wolno im było zamówić więcej niż dwa. - Zasunęła zamek błyskawiczny. - Wtedy twoja kolekcja mogłaby się wydawać bardziej ekskluzywna.

Zamiast ukrywać to, że z braku środków nie przyjmujesz zamówień, zacznij się pysznić tym, że ich nie przyjmujesz.

- Tylko że ja nie znam żadnych sławnych dam. I nie stać mnie na rozdawanie. Nie po to od lat haruję, żeby dawać prezenty obcym.

Judy szybko zapięła guzik żakietu i włożyła na szyję obrożę ze sztucznego złota.

- Guy, musisz ponosić jakieś koszty reklamy. Europejczycy wcale tego nie rozumieją! Nikt nie będzie ciebie wychwalał za darmo. Do licha, szkoda, że nie masz pieniędzy, żeby mnie zatrudnić na pełnym etacie!

- Kiedy tylko będę je miał, posada u mnie jest twoja, mon chou. Na razie całą gotówkę, jaką dysponuję, wydam na szampana dla ciebie u Ritza. Nie, nie, nie czarne lakierki, włóż te kremowe czółenka.

Pomimo przyjaźni z Guyem Judy tęskniła do Nicka bardziej, niżby chciała to przyznać. Choć Nick pisał do niej co tydzień, jego listy przychodziły nieregularnie, czasami trzy w ciągu dwóch dni, czasami jeden dopiero po miesiącu. Judy odpisywała w różnych odstępach czasu, bo tylko wtedy, gdy rzeczywiście miała jakąś szczególną wiadomość. Bazgrała kilka linijek zielonym atramentem zupełnie tak, jakby do Nicka mówiła, nie dbając o gramatykę ani o interpunkcję. W taki sam sposób korespondowała z Maxine, Kate i Poganką. Tylko do matki pisała starannie, regularnie raz na tydzień, i to było dla niej nieomal domowym wypracowaniem. Nie cierpiała pisać do matki. Nie mogła pisać swobodnie, nie mogła pisać o świecie mody, który wciągał ją coraz bardziej zafascynowaną, bo matka przecież umarłaby ze zgorzenia, gdyby się dowiedziała.

Pod koniec sierpnia Paryż omdlewał, wydawało się, że każdy kamień ulicznych bruków topnieje w spiekocie. A przecież na Malajach pewnie jest jeszcze większy upał - pomyślała Judy, widząc w swojej przegródce nad kontuarem recepcji bladoniebieską kopertę poczty lotniczej. Ochocho chwyciła ten list. Stała przy zmarniałej palmie w hotelowym hallu, rozdarła kopertę i nagle serce jej podeszło do gardła.

„Kochana Judy - pisała Maxine. - Mam bardzo złą wiadomość. Z początku miałyśmy nadzieję, że to nieprawda, ale sprawdziłyśmy w Ministerstwie Spraw Wojskowych i już nie ma wątpliwości. Nie wiem, jak ci to napisać, ale Nick poległ na służbie - w zasadzce komunistów na Malajach”.

Judy przeczytała list do końca, nic więcej jednak z jego treści do niej nie dotarło. Ogłuszona, machinalnie poszła po siedmiu kondygnacjach schodów do swojego pokoju,

dokładnie zamknęła drzwi na klucz i na łańcuch, podbiegła do umywalni i zwymiotowała. Potem dokładnie umyła miednicę, zdjęła pantofle i położyła się równo na środku łóżka. Teraz pomimo upału trzęsła się jak w febrze.

Concierge, pokojówka i Guy klócili się na korytarzu.

- To fakt, od dwóch dni nie mogę się dostać do jej pokoju; łańcuch wewnątrz założony - mówiła pokojówka. - Powinniśmy wywalić drzwi.

- I ona nie odbiera telefonu - dorzucił concierge. - Ale zawiasy są od wewnątrz... więc wywalić... no, ja nie mogę odpowiadać za szkody.

- Zapłacę za te drzwi - powiedział Guy niecierpliwie. - Wiemy, że ona tam jest, nic nie słyhać, więc albo chora, albo... Wrzeszczałem do niej godzinami. Sam je wywalę, jeżeli wy nie chcecie! - Z gniewem rzucił się na drzwi całym swym drobnym ciałem. - Judy! Słyszysz mnie?

- Może powinniśmy wezwać pogotowie? - zaproponowała pokojówka.

- Powinienem był zrobić to wczoraj - wystękał Guy napierając na drzwi. - Skąd można wiedzieć, czy ona żyje po dwóch dniach w zamknięciu, kiedy się nie odzywa?

Nagle, ku jego uldze, usłyszeli zgrzytnięcie metalu zsuwającego się łańcucha, potem klucz w zamku się obrócił i drzwi powoli się otworzyły. Stała w nich Judy w pończochach, w pogniecionej sukience, którą miała na sobie przez dwa dni. Była blada i oszołomiona.

- Co się stało? Jesteś chora? Dlaczego się zamknęłaś? - zapytał Guy wściekły teraz, gdy zobaczył, że ona ani nie podcięła sobie żył, ani nie jest w stanie śpiączki.

Wszyscy wtoczyli się do pokoju. Guy wypchnął concierge 'a i pokojówkę i zatrzasnął drzwi. Judy patrzyła na niego spode łba. Ale raptem poczuła, jak łzy spływają jej na policzki, już mogła płakać.

Guy wziął ją w objęcia i mocno przytulił. Na oślep sięgnęła ręką na nocną szafkę i dała mu list Maxine. Przeczytał trzymając tę kartkę ponad jej ramieniem, głaszcząc ją po włosach, aż trochę się uspokoiła.

- Rozbierz się i wskocz do łóżka - powiedział łagodnie. - Idę do mojego pokoju, tylko nie waż się znowu zamykać tych drzwi.

Po kilku minutach wrócił z dużą butelką wody kolońskiej i półlitrowką mleka, które zagrzwał skrupulatnie nastawiając żelazko na „wełnę”.

- Czuję się winna, tak strasznie winna pod każdym względem. Nie kochałam Nicka, on mnie kochał, a teraz jest za późno - chlipała Judy.

- Nie można nakazać miłości.

- Ale ja chyba nie potrafię pokochać mężczyzny. Spotykam się z niejednym, owszem, ale chyba nie potrafię pokochać.

- Judy, masz osiemnaście lat i mówiłaś mi, że nie chcesz się zainteresować żadnym Francuzem. Że chwilowo nie chcesz komplikować sobie życia.

Siedział przy niej i znów głaskał ją po włosach, aż w miękkiej szarości zmierzchu zasnęła.

Po ciemku Guy wsunął bladoniebieski list do kieszeni. Miał ochotę udusić Maxine. Nie mogła zatelefonować do niego? Dwa razy w ciągu tej nocy Judy budziła się z płaczem, a on głaskał ją po włosach i pocieszał, dopóki znów nie zasnęła. Rano podniósł słuchawkę telefonu i głosem stanowczym zamówił cafe au lait i croissants dla dwojga, ku niemałemu zdumieniu pokojówki, która dotychczas myślała, że z nim jest coś nie tak.

Rozdział dziesiąty

w sobotę po śmierci Nicka ciotka Hortense zadzwoniła do Judy i natychmiast wyczuła w niej jakąś zmianę.

- Jesteś chora, dziecko? Masz głos taki matowy i znużony. Już nie wiem, czy dasz się porwać do Wersalu.

- Chyba nie, dziękuję - powiedziała Judy. - Jest trochę bieżącej roboty u Guya.

Ciotka Hortense od razu zadzwoniła do Guya, który jej zdradził powód apatii Judy. Zadzwoniła do Judy ponownie i powiedziała tonem nie znoszącym sprzeciwu:

- Zaraz przyślę po ciebie samochód. Chcę, żebyś poświęciła mi pół godziny, jeżeli nie sprawi ci to zbyt dużej różnicy. Mam prezent dla ciebie.

Wyłączyła się, zanim Judy zdążyła wymyślić jakiś wykręt.

Zwykle Judy szalenie lubiła wizyty u ciotki Hortense w pięknym, z balkonami z kamiennej koronki, starym domu na L'Ile de la Cite, maleńkiej wysepce pośrodku Sekwany, czyli w pierwotnym mieście Paryżu. Dzisiaj siedziała apatyczna na tylnym

siedzeniu Mercedesa, który lawirował po brukowanych kocimi łbami jezdniach, mijając handlarzy ulicznych niosących duże wiklinowe kosze pełne świeżego masła i jajek, rumuńskie Cyganki usiłujące sprzedawać niechętnym przechodniom suszoną lawendę albo ręcznie zrobione szczypcy do bielizny, i sklep z perukami, i sklep z guzikami. Gdy Mercedes przejeżdżał koło sklepu, gdzie młode dziewczęta spletały wieńce pogrzebowe z fiołków, lilii i białych róż, znów się rozszłochała.

Zachód słońca pozłacał ściany salonu. Ciotka Hortense w milczeniu wręczyła Judy zielone aksamitne pudełeczko. W pudełeczku był staroświecki naszyjnik z drobnych perełek.

- Ale dlaczego? - zapytała. - To nie są moje urodziny. Nie mogę przyjąć...

- Owszem, możesz - powiedziała ciotka Hortense. - Ja go przyjąłam w twoim wieku ze znacznie bardziej niegodziwego powodu i chcę, żebyś ty go miała. Co bym zrobiła z nim teraz? Jest na szyję młodej dziewczyny. Pokażę ci, jak się zapina zameczek. Jeżeli nie podoba ci się ten rubinowy, możesz u Cartiera wybrać inny.

Judy powoli zapięła naszyjnik i podeszła do lustra. W tym starym pofalowanym srebrnym lustrze perełki lśniły na jej skórze.

- Dlaczego pani mi to dała, ciociu Hortense?

- Szczerze mówiąc, dlatego że jesteś nieszczęśliwa, dlatego że straciłaś przyjaciela i dlatego że nie odpowiada ci twoja nudna posada. Może powinniśmy spróbować znaleźć ci jakąś inną?

- No tak, prawie każda inna byłaby lepsza, ale inne biura chyba są raczej podobne.

- Nie myślę o pracy w biurze. Myślę, że może byś chciała być pomocnicą ekspedientki u Christiana Diora. Te pomocnice są młode, wiesz. - Szmaragdowe powieki ciotki Hortense zatrzepotały. - Nic nie obiecuję, rozumiesz, ale rozmawiałam z directrice i ona rozpatrzy twoje zgłoszenie. Pobory będą straszne, rzecz jasna... jeżeli dostaniesz tam posadę... bo współzawodnictwo jest zaciekle. Wiem, że ty rzeczywiście nie aprobujesz monsieur Diora, ale to salon, w którym mam największe... jak wy to mówicie?

- Chody?

- Właśnie. Znają mnie tam, więc rozpatrzą twoje zgłoszenie. Ale proszę nie mów tam, co myślisz o dziełach monsieur Diora. I nie zapomnij wejść służbowymi drzwiami.

- Ciociu Hortense, pani jest taka dobra.

- Dobre to, co ma sens. Coś trzeba zrobić.
- My z Maxine po cichu panią nazywamy ciocia Ho-ho-sens.
- Wiem, ma chere. Gorzej też mnie nazywają.

Tak więc Judy jeszcze raz przestąpiła progi Christiana Diora, tym razem korzystając z dobrze strzeżonego wejścia dla personelu. Była w swoim bladoniebieskim jedwabnym kostiumie i starała się nie sprawiać wrażenia zbyt kwalifikowanej. Rozmowę z nią przeprowadziła kobieta o bardzo inteligentnej twarzy i srebrnych włosach upiętych we francuski koczek, ubrana w doskonale skrojoną szarą sukienkę z płótna.

- Więc mówi pani po angielsku, francusku i niemiecku? - zapytała.

- I trochę po hiszpańsku.

- I pracuje pani w eksporcie jako sekretarka. Dlaczego już nie chce pani pracy biurowej?

- Dlatego, że chcę się uczyć sprzedaży i być wśród ludzi. Pracuję prawie od roku sama w pokoju. I zrobiłabym wszystko, żeby pracować u Diora.

- Mówi to większość dziewcząt, które tutaj przychodzą. Kochają modę, ale nie zdają sobie sprawy, jaka to ciężka praca. Fizycznie męcząca.

Im dłużej rozmawiały, tym bardziej directrice była zdumiona fachowością Judy w sprawach mody, dopóki nie usłyszała, że Judy zajmuje się księgowością Guya Saint Simona.

- Aha, teraz rozumiem. Młody człowiek godny uwagi. Oczywiście w jego wieku nietrudno zdobyć pewien rozgłos, ale jeśli mu woda sodowa nie uderzy do głowy, jeśli on na razie pozostanie mały, jeśli klientela nie straci zaufania do jego talentu, jakości, wykończenia i... przede wszystkim... jego solidności, no to mógłby zajechać daleko.

- Taki ma zamiar.

Nie było wolnych posad u Diora, ale zapisano jej nazwisko i na początku grudnia dyrektor personalny zatelefonował do niej z wiadomością, że jedna z pomocniczek ekspedientek zachorowała na żółtaczkę. Czy mademoiselle Jordan chce dostać pracę w zastępstwie do czasu zamknięcia kolekcji w lutym? Wszystko byleby tam wejść, pomyślała Judy i natychmiast tę propozycję przyjęła.

Wszystkie pogawędki ucichły, gdy Judy lekko weszła po raz pierwszy do pokoju ekspedientek. Było tak jak jej pierwszego dnia w gimnazjum. Przeróżająco. Dostała już mundur ekspedientki, sukienkę z szarej flaneli. Swój pierwszy Dior! Jej szefowa, Anne,

szybko przedstawiła ją wszystkim, po czym popędziła ją do salonów. Nieustannie narzekała na ból w nogach i na prowizję, którą wciąż sobie obliczała hipotetycznie w czarnym notesiku: Jeżeli hrabina weźmie to także w czarnej wersji... Jeżeli ambasadorowa nie uzna, że to jest przeładowane... Jeżeli Zizi Jeanmaire spodoba się te szkarłatne pióra".

Pomocnice ekspedientek były na ogół starsze od Judy. Nie otrzymywały prowizji, miały tylko skromną tygodniówkę. Przechodziły dwuletni staż, po którym mogły dostać posadę pierwszej sprzedawczyni w drugorzędnym domu couture, skąd następny krok wiódł prosto na stanowisko pierwszej sprzedawczyni w firmie pierwszorzędnej.

Ze zdumieniem Judy się dowiedziała, jak liczny personel jest potrzebny do prowadzenia tych wytwornych popielatych salonów. Odźwierny, rozpryskiwacz perfum, ekspedientki w butikach, directrice, ekipa sprzedaży modeli, dział reklamy, sześć modelek i garderobiane stanowili tylko widoczny wierzchołek tego lodowca.

Poza tym działały potężne siły zakulisowe: sam cichy, budzący cześć i grozę ciastowatolicy monsieur Dior i jego asystenci, zespół jego projektantów (wyłącznie mężczyźni) i z kolei ich asystenci. I dalej dyrektor handlowy, zaopatrzeniowcy, księgowi, sekretarki, krawcy i krojczy, kierowniczkami przymierzalni, starsze i młodsze szwaczki, midinettes, magazynierki i dalej, i dalej w dół, aż do posłańców.

Szybko straciła szacunek dla wyrafinowanych sprzedawczyń salonowych, za kulisami wciąż wyrzekających na nowe klientki albo niezmordowanie obgadujących stare. Zaczęła natomiast szanować pozornie skromne krawcowe, takie jak madame Suzanne, która upinała tę morelową jedwabną suknię na ciotce Hortense. Krawcowe stały albo klęczały przez cały dzień często do dziewiątej wieczorem - a nawet dłużej przed ukończeniem kolekcji - starannie dopasowując modele do figur znużonych, zirytowanych modelek. Każda z tych krawcowych kierowała pracownią liczącą chyba ze czterdzieści szwaczek. Szwaczki szyły pracowicie, plotkując, wszystkie w czarnych spódnicach, białych bluzkach i czarnych swetrach, do których w dniu swojej patronki, świętej Katarzyny, przypinały żółte i zielone wstążki.

Za kulisami panował nieustannie nastrój szalonego pośpiechu. A przecież z chwilą przestąpienia progu drzwi prowadzących do nobliwie wspaniałych salonów sposób bycia się zmieniał. Anne mówiła spokojnie, prawie cicho, przybierała postawę pełną uszanowania, okazywała troskliwość, ale nigdy nie namawiała do kupna, nigdy też nie

pozwalala sobie na krytykowanie klientki pod jakimkolwiek względem, zwłaszcza gdy klientka ją o krytykę prosiła. Klientka miała zawsze rację. Jeśli coś było nie tak, jak trzeba, to tylko kolor, fason, krój albo oświetlenie. Ledwie jednak Anne znalazła się z powrotem za tymi wahadłowymi drzwiami, jej znakomity takt ulatniał się jak kamfora.

- Hrabinie przybyło najmniej dziesięć funtów od czasu pierwszej miary! Judi-i, gdzie moja książka zamówień? Myślałoby się, że damy z ambasad potrafią bez pytania umiec zdecydować, czy dobrze im w cyklamenach! Judi-i, gdzie są godziny jutrzejszych miar? Ta stara Belgijka, dziwka jedna, wie doskonale, że żadnych zmian nie może być w modelu bez zgody monsieur Diora. Dlaczego każdej klientce się wydaje, że tylko ona musi mieć nowy ciuch na Boże Narodzenie? Judi-i, co się dzieje w pracowni z tym numerem dwadzieścia dwa z białego atlasu dla la comtesse de Ribes?

Atmosfera pośpiechu i napięcia u Diora gęstniała w miarę, jak zbliżał się dzień pokazu wielkiej kolekcji w lutym. Modelki biegały ze swych pokojów do studia okutane w białe szlafroki, żeby nie pobrudzić kreacji pod nimi i żeby nikt ich nie zobaczył do chwili tego pokazu dla prasy. Zgodnie z życzeniem monsieur Diora cały personel studia projektów również był w białych kitlach, bo kreacje musiały być nieskazitelnie czyste. Zniżano głosy wokół studia, które wyglądało jak skrzyżowanie nowoczesnego kościoła z salą operacyjną: białe ściany, wszystkie kąty rzeźbiście oświetlone, żadnych cieni, okna zasłonięte kremowymi storami w dzień i w nocy, żeby zapobiec szpiegowaniu przez lornetki z drugiej strony ulicy. Monsieur Dior miał swój pokój, gdzie tworzył wśród masy farb, kredek, fotografii i skrawków tkanin, ale projektanci pracowali w zewnętrznym studio, ich deski kreślarskie stały wokół ogromnego stołu, długiego na dwadzieścia i szerokiego na dziesięć stóp. Na wszystkich ścianach były półki z ułożonymi schludnie stertami guzików, pasków, torebek, pantofli, sztucznej biżuterii i jedna na drugiej rolkami próbek materiałów. Normalnie właśnie tutaj przedstawiciele fabrykantów pokazywali swój towar i nieraz zostawiali sztukę materiału z nadzieją że spodoba się któremuś z projektantów, bo jeśli Dior wprowadza jakieś nowe materiały, na całym świecie wszyscy ich chcą.

W czasie generalnej próby przy każdym drzwiach stał strażnik. Christian Dior - Mistrz - w nieskazitelnie szarym garniturze siedział na krześle okrakiem, z rękami złożonymi na oparciu i jego blada twarz starzejącego się cherubina, bez śladu uczuć czy

temperamentu, przejawiała tylko znużenie, gdy łagodnie, w milczeniu przyglądał się każdej modelce przechodzącej przed nim i razem ze swoimi asystentami decydował, jaką biżuterią i jakimi dodatkami uzupełnić tę kreację.

Siąpnął kapuśniaczek na Avenue Montaigne, gdy Judy pędziła do pracy. O ósmej rano tłum już się zebrał przed głównym wejściem. Fotografowie ze sprzętem na rzemieniach u ramion rozpychali się przy dwóch zaparkowanych ciężarówkach: ekipa filmowa drząc z zimna stała dalej na chodniku. Przy wejściu dla personelu również był tłok i zator w drzwiach, gdzie strażnicy legitymowali wchodzących. Wewnątrz niewiele rozmawiano, wszyscy się spieszyli, miny mieli niespokojne, zaabsorbowane.

Tymczasem główne drzwi frontowe się otworzyły i zrobił się zamęt, tłum napierał z zaproszeniami w rękach jak uchodźcy z paszportami. Istne piekło rozpętało się przy biurku recepcji, gdy sprawdzano każde zaproszenie i od osób podejrzanych żądano okazania urzędowych legitymacji prasowych z pieczęcią chambre syndicate i fotografią. Strażnicy przy drzwiach, żeby nie dopuszczać gawiedzi, trzymali się za ręce jak policjanci na meczu piłki nożnej. Podmuchy zimnego powietrza wlatywały na marmurowe schody, okrzyki witały przybywające sławne osobistości: księżnę Ali Khan, swego czasu Ritę Hayworth, i patrzącego na nią spode łba Gene'a Tiemey, i księżnę Windsoru, która wyglądała jak drobnej budowy guwernantka.

Akceptowani goście napływali do głównego salonu. Pożłacane foteliki były numerowane, ale reporterzy kłócili się o miejsca. Ani chambre syndicate (związek krawców), ani domy mody nie wiedziały i w swojej arogancji wiedzieć nie chciały, jak stosunkowo ważni są dziennikarze z zagranicznej prasy codziennej; przejeżdżali oni siedem tysięcy mil, zatrzymywali się w hotelu Plaža Athenee, po czym byli traktowani jak złodzieje kieszonkowi w nowojorskim metrze. Dochodziło teraz do gwałtownych kłótni, gdy potężni zrzeszeni felietoniści zastawali miejsca, które sobie zastrzegli na wiele tygodni naprzód, zajęte przez jakieś tuzy z gazety w Little Rock z sześćo-tygodniowym terminem publikacji. Zdesperowani jak kamikadze, nieubłaganie dochodzili swoich praw.

Inaczej sprawa się miała w pierwszym rzędzie, zawsze zarezerwowanym dla gwiazd filmowych i dla „Vogue”, „Harper's Bazaar”, „Women's Wear Daily”.

- Kto to jest ta mała blondynka? Jak ona się tam dostała? - zapytał ktoś Judy.

- To Empress Miller. Od niedawna pisze o modzie w „New York Clarion”.

- Judy poznała Empress kiedyś na przyjęciu u ciotki Hortense.

Za pierwszym rzędem zrobiło się spokojniej, notatniki były w pogotowiu. Miazmat tysiąca zapachów nowych perfum mdlił coraz bardziej. Już było gorąco, a miało być jeszcze goręcej, gdy zapalą się lampy łukowe.

Lampy się zapaliły. Natychmiast zapanowała cisza.

Judy na zapleczu tego wszystkiego czuła się tak, jakby wkroczyła w kalejdoskop szeptanych pytań, niespokojnych oczu, napiętych twarzy i ogólnego chaosu w pokoju modelek. Nagie, tylko w paskach do podwiązek i w pończochach (żadna modelka nie nosiła majtek, boby się odznaczały), te dziewczyny siedziały przed swoimi lustrami. Na półkach poniżej lusterek miały szminki, słoiki z kremem, brudne laseczki do makijażu, na pół zużyte pomadki do ust. Przylepiały sobie ogromne rzęsy, podczas gdy fryzjerki dziobały grzebieniami ich fryzury. Potem garderobiane pomogły im się ubrać - zamki błyskawiczne zaciągnąć, zatrzaski zacisnąć, guziki pozapinać.

Naczelną garderobianą sprawdzała, czy dodatki są odpowiednie, obręb prosty, całość idealnie czysta, wyprasowana należycie.

Podając dodatki Judy patrzyła, jak modelki wychodzą ze swoich cabins gotowe do występu. Odbywało się to w ustalonych odstępach czasu, z wojskową dokładnością odmierzaną stoperem. Prezentacja modeli została tak zaplanowana, żeby zestawiać i przeciwstawiać kolory, fasony i linie tej nowej kolekcji, grupowe występy modelek miały pokazać prasie rozwinięcie nowego stylu czy koloru. Judy widziała pierwszą próbę, gdy o tym wszystkim zdecydowano. W wyniku podjętych ustaleń przypięto polecenia na dużej tablicy ogłoszeń w korytarzu przed garderobami: pionowe rzędy kart z imionami modelek i numerami kreacji w takiej kolejności, w jakiej modelki miały się pokazywać. Tablica zmieniła się w plan pokazu 22,13,71,49,32 itd. - te liczby oznaczały nie kolejność, tylko każdą z kreacji tak oznaczoną po jej zaprojektowaniu.

Modelki były nerwowe jak charty na starcie. Bawiły się naszyjnikami, które Judy zapinała im na szyjach, obciągały żakiety, przeczesały palcami włosy. Było sześć modelek stałych i osiem niezależnych, mających figury niczym laseczki wanilii, przybyłych zza oceanu. Te ostatnie musiały być jeszcze szczuplejsze niż stałe modelki Diora, żeby odpowiadać wymogom każdego projektanta mody. Odżywiały się Dexedrina

i jogurtem, i często po pokazach kolekcji mdlały wskutek wyczerpania, niedożywienia i stresu.

Pierwszą modelkę zapowiedział głos dziwnie wysoki i zdławiony. - Peking numero trois, nu-merr tszy.

Modelka miała makijaż orientalny, sarnie oczy podkreślone czarną kredką. Luźny żakiet z białego płótna, prosta czarna spódnica i kapelusz kulisa w starannie przemyślany sposób wskazywały, jaki będzie motyw tej kolekcji -wpływy chińskie. Ołówki podskoczyły, pracująca część publiczności się skoncentrowała. Niektóre dziennikarki bazgrały nieprzerwanie, ale Empress Miller zanotowała tylko:

„Długość bez zmiany/chińskie/ czerń i biel styl kulis/płynność/ bez usztywnień/ bez poduszek/swobodne/ kapelusze słomka, duże rondo/ kostiumy granat i biel/ spódnice fałdy i gładkie”.

Prasie wolno było tylko notować: żadnych dokładnych opisów, żadnych szkiców. Zrobiło się jeszcze bardziej gorąco. Jakaś dziewczyna w futrze z rysiów zemdląła i szybko ją wyniesiono. Kruczowłosa diorowska modelka w sukni balowej ze szkarłatnego tiulu bez ramiączek zauważyła, że jedna z dziennikarek rysuje. Przystanąła, pogłaskała się po płatkę lewego ucha i uśmiechnęła się prosto do tej dziennikarki.

Anne rzuciła się tam.

Szkice wraz z notatnikami zostały skonfiskowane, nazwisko dziennikarki znalazło się na syndicate czarnej liście. Następnie usunięto dwie inne dziennikarki. Wściekłość, pogroźki, błagania i lzy - wszystko to nie zdało się na nic.

W godzinę później Judy w garderobie usłyszała nagły ryk aplauzu. Monsieur Dior w nieskazitelnym popielatym garniturze, wyraźnie zmordowany, z twarzą spoconą, wystąpił i kłaniając się, podziękował. Judy przerwała rozpinanie złotego naszyjnika na szyi modelki w samym tylko kapeluszu z piór i pasku do podwiązek. Naczelną garderobiana odetchnęła z ulgą.

- Nie tak głośne jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym siódmym, ale głośniejsze niż w czerwcu zeszłego roku - oświadczyła.

Z wolna wszystkie się uśmiechnęły, potem w garderobie zjawił się monsieur Dior i zaczęła się orgia całowania.

Czuję się jak pęknięta sprężyna - wyznała Judy ponuro w pięć dni później.

- Głowa do góry - powiedział Guy. Leżał na podłodze w jej pokoju, bose stopy opierając o łóżko. - Przecież od początku wiedziałas, że ta praca u Diora jest chwilowa.

- Tak, ale miałam nadzieję, że mnie zatrzymają.

- Jeszcze tam jesteś do końca lutego, dopóki ta pomocnica Anne nie wróci - zauważył. - I masz za darmo szarą flanelową sukienkę od Diora, która by kosztowała osiem twoich miesięcznych pensji, gdybyś musiała za nią zapłacić. Jeżeli chcesz byle gdzie robić byle co za te same żalosne pieniądze, jakie ci płaci Dior, to ja mogę cię zatrudnić na pełnym etacie. Hotel sobie nie życzy, żebym dalej pracował tutaj: mówią, że są hotelem, a nie fabryką jakiegoś krwiopijcy. Więc twoim pierwszym zadaniem będzie znalezienie dwóch pokoi na pracownię gdzieś w tych stronach. Nie, nie całuj mnie, kiedy piję.

Znalazła odpowiednie studio na poddaszu ze świetlikami w odległości dwóch ulic od hotelu. Do niej należało teraz załatwianie wszystkich spraw poza produkcją. Przyjmowała klientki, odbierała telefony, prowadziła księgowość i ekspedycję.

Guy projektował, kupował materiały i nadzorował pracę personelu pracowni. Do wiernej Jose dołączyła druga krawcowa. Ta nowa siła, Marie, córka pierwszej podręcznej u Niny Ricci, miała od dzieciństwa świetne przeszkolenie zawodowe.

Nigdy dotąd Judy nie była tak bardzo zajęta i tak szczęśliwa. Klientki ją lubiły, bo nie stała z książką zamówień w ręce i z twarzą bez wyrazu, tylko rozmawiała i żartowała z nimi. Obdarowana żywym poczuciem humoru, chemie ludzi rozśmieszała nawet własnym kosztem. Kilka osób jednak uważało, że jej wylewność jest męcząca, i niektóre z trudem trawiły jej szczerość, gdy prosto z mostu mówiła to, co myślała. Kiedyś Guy był świadkiem, jak karci klientkę rezygnującą z zamówienia jednego z nowych modeli żakietu.

- Mogłabyś okazywać trochę taktu, Judy - powiedział później. - Nie potrafisz odnosić się do klientek tak jak do przyjaciółek ciotki Hortense... z trochę większym szacunkiem?

- Zirytował się. - Wiem, to prostolinijność, ale Francuzki tego nie rozumieją. Im wydajesz się „trudna”, a taka przecież nie jesteś.

- Tym większa szkoda - powiedziała Judy patrząc spode łba na spięty spinaczem plik faktur z adnotacją „zaległe”, który trzymała w ręce. - Od dzisiaj zacznę. Zacznę być trudna w sprawach płatności. Ciebie nie stać na udzielanie takich kredytów. One będą

musiały płacić przy zamówieniu. Wykonanie zamówienia dopiero wtedy, kiedy czek wpłynie na nasze konto.

- Sprzedaż za gotówkę to świetny pomysł, tylko że nikt w tej branży tak nie sprzedaje. Nie będę miał żadnej z moich klientek.

- Nie będziesz też miał żadnych fatalnych długów - powiedziała Judy. -Przecież zacząłeś od brania gotówki, nie pamiętasz? Twoja matka i wszystkie jej przyjaciółki z Avenue George V płaciły ci z góry. Chcą mieć twój towar, niech płacą, kiedy go zamawiają. Już czas się przekonać, czy rzeczywiście chcą chodzić w twoich rzeczach... zanim zbankrutujesz.

Judy groźnie starała się sprawiać wrażenie starszej, niż była. Oboje, ona i Guy, stwierdzili, że młodość jest poważnym obciążeniem w interesach, bo młodych nikt nie traktuje serio.

- To chyba utrapienie, które trzeba przetrzymać - uskarżał się Guy - tak jak mutację czy jak generała de Gaulle'a. Z czasem minie.

Ale w czasie „przetrzymywania” Judy już nie ubierała się jak nastolatka; zapuściła włosy i skręcała je w nietwarzowy francuski koczek; zrosła się ze swoją diorowską sukienką z szarej flaneli i nosiła duże okulary w rogowej oprawie mając nadzieję, że wygląda w nich staro, godnie i szacownie.

- Ma chere, wprost mnie przerażasz - powiedziała Maxine. Wróciła poprzedniego dnia z Londynu po dwóch latach szkolenia i teraz przy śniadaniu w Deux Magots miały sobie mnóstwo do powiedzenia. Maxine zamierzała poprosić ojca o pieniądze na założenie firmy. Z odrobiną zawiści Judy zauważyła:

- Piekielna z ciebie szczęściara, że masz bogatego ojca. Maxine, zanurzając croissant w swojej cafe au lait, sprostowała:

- Papa nie jest bogaty. Za moją Szwajcarię płaciła ciocia Hortense. Z papą można się dogadać. Mam nadzieję, że zaciągnie dla mnie pożyczkę w banku. Inaczej chyba nie mógłby mi dać pieniędzy, ale zaryzykuje postawieniem na mnie. - Ugryzła duży kawałek croissant. Płatki ciasta spadały na stolik, gdy z pełnymi ustami bełkotała: - To Guy ma bogatego ojca.

Judy postawiła swoją filiżankę na spodku. Była zdumiona.

- Więc dlaczego Guy zawsze jest bez grosza?

- Po pierwsze dlatego, że chce sam zarabiać, a po drugie, jak wiesz, jego papa nie lubi projektantów mody. Wyraźnie powiedział, że mu nie pomoże. Więc Guy chce pokazać staruszkowi, że daje sobie radę bez niego.

Judy zaraz po powrocie z tego śniadania poprosiła Guya o podwyżkę. Potem rzucili się w wir pracy nad kolekcją lipcową. Miał to być pokaz kostiumów i poszczególnych rzeczy - żakietów, spódnic i spodni - w trzech kolorach do wyboru i z jednym płaszczem wełnianym oraz jednym płaszczem nieprzemakalnym. Ogromnie podobały się Judy kolory tej nowej kolekcji: subtelne, powabne cynowe szarości, srebro, kolor perłowy i żółtawozielonkawy w połączeniu z bladoróżowym, ciemną purpurą, połyskliwie kasztanowatym, miedzią i brązem. Do wąskich spodni a' la toreador były wspaniałe taftowe „góry” z bufiastymi, ogromnymi rękawami. Szczególnie zachwycała ją mieniąca się tafta w kolorze pelargonii do spodni z szafranowego aksamitu. Na to mógł być płaszcz dymnie szary, skrojony ze skosu jak peleryna i z podszewką jedwabną pod kolor tej tafty. Płaszcz przeciwdeszczowy o takim samym kroju z ciemnozielonej gabardyny był z podszewką z różowego jedwabiu.

Guy miał nadzieję, że pokazem tej kolekcji zaprezentuje się jako poważny biznesmen, a nie cudowne dziecko, które bawi się w projektowanie mody. Postanowili więc tym razem zrobić to stylowo, znów w Plaža Athenee, ale z pomocą zawodowego reżysera. To kosztowało drogo, ale się opłacało.

Dla Guya ta kolekcja znaczyła: wypłynąć albo zatonać.

Rozdział jedenasty

Na pięć dni przed pokazem Guy wpadł do pokoju Judy, która zbyt zmęczona, żeby pracować bodaj trochę dłużej, zdecydowała się wziąć wolny wieczór przed nieuniknioną gorączką ostatnich przygotowań. Stała przy oknie oparta łokciami o parapet w gorących powiewach lipcowego wiatru poruszającego białe koronkowe firanki.

- Ukradli! Wszystko! Nawet dodatki! Półki ogołoczone! Ani śladu po półrocznej pracy! Cała moja kolekcja po prostu zniknęła z pracowni!

- Zgłosiłeś policji? - zapytała, gdy pojęła, że on nie żartuje.

- Oczywiście. Natychmiast. Nie bardzo się zainteresowali. Próbowałem dzwonić do ciebie, ale telefon hotelowy znów nawala, więc przybiegłem. Wszyściuteńko zniknęło, ale

tylko kolekcja. Dziwne, że ci złodzieje nie zabrali mojej srebrnej zastawy do kawy ani maszyny do pisania, ani bel sukna, ani w ogóle nic innego, co ma wartość. Tylko kolekcję.

Razem pobiegli do pustej pracowni.

- Trzeba te drzwi zabezpieczyć jeszcze dzisiaj - powiedziała Judy. - Nie możemy zostawić tu sukna.

- Będę tu dziś nocował - powiedział Guy beznadziejnie nieszczęśliwy. Nagle telefon zadzwonił, aż oboje podskoczyli. Głos męski poprosił Judy.

Zdumiona wzięła słuchawkę od Guya.

- Judy Jordan przy telefonie.

- Jeżeli chcecie mieć swoje ciuchy z powrotem w piątek, niech jego tatuś wyłoży osiem milionów franków gotówką - powiedział ów ktoś po francusku i wyłączył się.

Judy spojrzała na Guya.

- To szantaż. - Powtórzyła tę wiadomość i dodała z trwogą: - Prawie dwadzieścia dziewięć tysięcy dolarów.

- Skąd on wie, że mamy pokaz w piątek?

- Mnóstwo ludzi wie o tym. Wszyscy, którzy dostali zaproszenia. Lepiej znów zadzwoń do flics.

Resztę tego wieczora spędzili z policjantami. Tylko policja może zrozumieć, jaką katastrofą dla couturier jest utrata czterdziestu dwóch modeli, a z tyłu składała się cała kolekcja Guya. Jeżeli on ich nie pokaże teraz, gdy nabywcy zjeżdżają się do Paryża, żeby poczynić zakupy, nie będzie zamówień. Ponadto chodziło o jego prestiż. Nie ulegało wątpliwości, że ważna klientela i ważna prasa nie zjawią się na następnym jego pokazie; zostanie uznany za niedbałego amatora przez grupę liczących się osób, które nie chcą marnować czasu w ciągu tych dwóch tygodni pokazów najświetniejszych projektantów mody. I - co miało największe znaczenie - była to istotnie kwestia solidności Guya. Ten, kto nie potrafi wystawić swojej kolekcji w terminie, chyba nie zdołałby też wykonać terminowo zamówień - klienci wolą nie ryzykować. Pogłoska, że Guy jest „niesolidny”, byłaby dla niego dzwonem pogrzebowym w branży.

Raz po raz policjanci wypytywali Judy. Czy mademoiselle jest pewna, że dobrze usłyszała? Czy może określić ten głos? Czy któreś z nich dwojga ma jakichś wrogów?

Jaka jest wartość handlowa kolekcji w przeciwieństwie do faktycznej wartości tej odzieży? I tak dalej.

W końcu Judy i Guy wrócili do hotelu. Na białej porcelanowej kłamce Judy wisiała torba do zakupów. W torbie była taftowa bluzka koloru pelargonii pocięta na wstążki. Ze zgrozą Judy jeszcze trzymała te strzępy w ręce, gdy telefon przy jej łóżku zadzwonił.

- Ma pani tę czerwoną bluzkę? Dobrze. Proszę być w Cafe Rubis przy targowisku mięsnym jutro o czwartej po południu. Tam będą mieli paczkę dla was.

Dwa piętra niżej Guy także znalazł wiszącą na kłamce torbę. W torbie była para szafranowych aksamitnych spodni nierówno przecięta na pół.

- Powiemy policji? - zapytał Guy.

- Jeszcze nie - powiedziała Judy. - Oni tylko dadzą nam następne sto formularzy do wypełnienia. Tak czy owak, myślę, że ja jestem ich główną podejrzaną. Postarajmy się zebrać więcej informacji, zanim znów się do nich zwrócimy. Wiemy niewiele, ale spróbujemy to zanalizować. - Raptownie potrząsnęła głową. - Oba te telefony były do mnie. Dlaczego nie do ciebie? Wszyscy wiedzą, że masz pokazać swoją kolekcję, ale bardzo mało ludzi słyszało o mnie i wie, gdzie mieszkam. Poza tym jestem cudzoziemką, nie potrafię dobrze określić francuskiego głosu w słuchawce, mogę tylko poznać, czy to mężczyzna czy kobieta, czy dziecko. Więc na pewno dzwonił ktoś, kogo znamy! Z pracowni albo spośród kupców, albo dziennikarzy, być może, albo nawet ktoś z naszych dostawców... Zrobmy ich spis z książek zamówień i dostaw, i adresów prasy.

Nazajutrz rano pod drzwiami pracowni leżała paczka zaadresowana, Judy". Zawierała topazową jedwabną bluzkę koszulową rozdartą w połowie.

Guy szalał.

- Oni tylko pokazują, jacy są nieustępliwi - rozumowała Judy. - Całej kolekcji nie potną, boby nie mieli co nam sprzedać. Zniszczyli tylko dwie bluzki i parę spodni, zakietów nie tknęli. Może zdążymy to odrobić. Te wszystkie rzeczy szyla Marie, prawda? - umilkła na chwilę. - No, ciekawe. Ani jednej z tych trzech sztuk nie szyla Jose. Może ktoś, kto szyje tak znakomicie jak Jose, nie zdobyłby się na pocięcie swojej własnej pracy.

Guy nie chciał uwierzyć, że Jose, pracująca u niego od samego początku, mogłaby go obrabować.

- A krojczy? - zapytała Judy.

Ale Guy nadal nie dopuszczał myśli o takim sprzeniewierzeniu się kogokolwiek z jego maleńkiego personelu. Przecież oni wszyscy widzą, jak ciężko pracuje, jak bardzo się martwi i jak się stara nie wymagać od nich za dużo.

Potem przypomniał sobie nagle.

- Mąż Jose jest tragarzem na targu mięsny, a do Cafe Rubis stamtąd niedaleko. Kiedyś tam odwiozłem Jose, miała się z nim spotkać właśnie w Cafe Rubis. Odwiozłem ją ciężarówką dostawczą. Ona chyba nie pamięta.

- To raczej nie zbieg okoliczności, kiedy ma się wszystkie kawiarnie w Paryżu do wyboru.

Tegoż dnia o czwartej po południu wkroczyli do Cafe Rubis. Od drzwi buchnął na nich przesycony podmuch hałasu; fioletowy neon rzucał oślepiająco ostre światło z sufitu podpartego cienkimi żelaznymi kolumnami. Przy blaszonym barze, wśród rzeźników w zakrwawionych białych fartuchach i tragarzy z opaskami skórzanymi na przegubach rąk, rozpierały się rude od henny prostytutki.

Nie pytając, co im podać, postawiono na stoliku przed nimi półmisek zakąsek - grube płyty aromatycznie przyprawionej kielbasy i świeżej szynki i duże zielone sześciany wędzonego ozora w galarecie. Potem trzy godziny przesiedzieli nad czarną kawą, ale nic się nie działo, żadnej paczki nikt im nie doręczył. Niepokoiili się coraz bardziej zdenerwowani i zgnębieni, aż Judy wpadła na pomysł.

- Zadzwoń do ciotki Hortense i poproszę ją o radę.

Szczęśliwie ciotka Hortense była w domu. Judy szybko przedstawiła jej sytuację. Po chwili milczenia ciotka Hortense powiedziała:

- Poczekajcie do dziesiątej. Po dziesiątej zadzwoń do mnie znowu i jeżeli nic się nie stanie, przyjedźcie tutaj.

Ale o godzinie dziewiątej kelner zapytał:

- Vous etes Americaine, Mademoiselle Jordan? Telephone.

Judy poszła do kabiny telefonicznej na zapleczu, wyglądającej jak trumna postawiona na sztorc drewnianej budki, w której pachniało nieświeżym potem i niedopałkami papierosów. Zerwała staroświecką słuchawkę z haczyka na ścianie i powiedziała szorstko:

- Judy Jordan. - Skoncentruj się, pomyślała. Wsłuchaj się w brzmienie tego głosu, zapisuj słowo po słowie. Ale nie było na czym położyć notesu, a na ścianie oprzeć nie mogła, mając drugą rękę zajęta.

- Proszę te pieniądze jutro rano włożyć do zwyczajnej białej koperty listowej. I czekać u siebie w biurze. Pieniądze mają być nie znaczone, my sprawdzimy. Jeżeli spróbujecie jakichś sztuczek z glinami, już nie damy o sobie znać aż do czwartku, bo będziemy mieli mnóstwo nożycowej roboty.

Judy wyszła z cuchnącej budki i powtórzyła tę wiadomość Guyowi. Głos w słuchawce był dosyć niski, męski głos, prostacki, warkliwy. Więcej nie potrafiła powiedzieć, nie mogła nawet poznać, czy to głos specjalnie zmieniony.

- Powiedział „nożycowej”, nie „nożyczkowej”? Jesteś pewna? - Zapytał Guy z zawziętością. - Tylko w pracowni mówi się „nożyce”.

Pospiechali do mieszkania ciotki Hortense. Czekala w bibliotece i ku ich zdumieniu siedział tam w fotelu, popijając whisky z wodą sodową Maurice, jej szofer. Oni oboje nie chcieli whisky.

- Więc napijemy się czarnej kawy, żeby nie zasnąć - powiedziała ciotka Hortense. - Służące już poszły sobie na noc, zajmę się tym sama... Nesca, to takie praktyczne.

- Ja to zrobię - zaofiarowała się Judy i pobiegła mrocznym korytarzem do kuchni.

Gdy wróciła z kawą na tacy, musiała powtórzyć swoją opowieść. Potem Guy musiał wszystko powtórzyć na wypadek, gdyby była jakaś drobna różnica, która mogłaby stanowić klucz. Po pełnym namysłu milczeniu ciotka Hortense zapytała:

- Czy wiecie, gdzie mieszka wasz personel? Czy ktoś z nich ma telefon? Nie? To dobrze. Zaraz złożymy wizytę tej młodej krawcowej, Marie. Guy może wpaść do niej wzburzony i zapytać, ile czasu jej zabierze uszycie dwóch następnych bluzek i spodni. Każdy pretekst będzie dobry, chodzi o to, żeby ją zaskoczyć w domu.

Marie w białej bawełnianej koszuli nocnej i w papierowych papilotach rzeczywiście była zdumiona późną wizytą Guya. Natychmiast poprosiła, żeby wszedł, i powiedziała, że jest gotowa szyć nieprzerwanie przez całą noc, dopóki te następne rzeczy nie będą wykończone.

- Skreśl ją z listy - powiedział Guy, gramoląc się z powrotem do Mercedesa. - Teraz krojczy. Zapytam go, czy może jutro pracować przez całą noc.

Znów chociaż dochodziła północ, został zaproszony do mieszkania i krojczy natychmiast okazał gotowość do całonocnej pracy nazajutrz.

- Skreśl go. Teraz jedźmy do Jose.

Wyraźnie przestraszona Jose wysunęła głowę zza szarych drzwi swego mieszkania na pierwszym piętrze. Gdy Guy zapytał, czy może wejść, powiedziała, że nie. O tej porze jest nie ubrana, więc to niemożliwe, mąż śpi, musi wstać wcześniej, żeby o piątej być na targowisku. Guy ją poprosił, żeby sobie przypominała, czy w zeszłym tygodniu był w pracowni ktoś obcy. Odpowiedziała, że policja pytała ją o to dwa razy, że w pracowni zawsze kręcą się jacyś posłańcy albo zaopatrzeniowcy. Jeszcze raz zapytał, czy może wejść, i znów się sprzeciwiła z paniką w oczach.

- Jutro rano w pracowni porozmawiam z panem o wszystkim, o czym pan tylko chce, ale nie teraz. Jest północ. Nie teraz, monsieur Guy. Boję się go obudzić.

Guy powiedział dobranoc, z głośnym tupotem odszedł, ale po chwili zawrócił na palcach i przyłożył ucho do szczeliny w drzwiach. Słabo usłyszał przyciszoną kłótnię staccato. Wściekły, pewny, że jego kolekcja jest w tym mieszkaniu, zapragnął wywalić drzwi. Trzęsąc się w poczuciu bezsilności, wrócił do Mercedesa z meldunkiem.

- Jak myślisz, Maurice? - zapytała ciotka Hortense szofera.

- Nieprawdopodobne, madame, żeby to zrobił ktoś z klientów czy dziennikarzy, czy dostawców. Zbyt wielkie ryzyko dla głupich ośmiu milionów franków. To raczej ktoś, kto ma niskie dochody... posłaniec albo akwizytor, albo ktoś z personelu.

- Posłaniec czy akwizytor nie mówilby „nożyce” - wytknął Guy - a w pracowni nikt nie mówi inaczej - zawahał się. - Kiedyś odwiozłem Jose do Cafe Rubis. Jej mąż pracuje na targowisku mięsny. Jeżeli mamy pertraktować w tej kawiarni, to on tam nie będzie się rzucał w oczy. Pewnie często tam się kręci, więc nawet gdyby rzeczywiście zwrócili na jego obecność uwagę, wątpię, czy powiedzieliby o tym policji, to raczej bandycki lokal.

- Ale jeśli on wie, że odwiozłeś tam Jose, chybaby wolał załatwić to gdzie indziej.

- Ja tylko wysadziłem ją niedaleko, może mu o tym nie powiedziała, może zapomniała. Nie jest szczególnie lotna, a dziś była przerażona. Paplała, co jej przychodziło na myśl, nie chciała mnie wpuścić i skłamała. Powiedziała, że

jej mąż śpi, a ja w dwie minuty później słyszałem, jak z nim rozmawiała. Dlaczego miałyby kłamać?

- Fakt, że skłamała i że nie wpuściła Guya, i że chodzi do Cafe' Rubis przy targu mięsnym, i że jej mąż jest tragarzem mięsa, świadczy, że to ona, nikt inny - podsumowała Judy. - Poza tym jest ten dziwny zbieg okoliczności, że żadna z jej prac nie została zniszczona. I ona zna moje nazwisko, wie, że jestem cudzoziemką i musi wiedzieć, że ojciec Guya jest bogaty, i dla niej na pewno nożyczki to „nożyce”.

- I jeszcze coś, co tylko ja widziałem - dodał Guy. - Okropnie się złękła, kiedy chciałem wejść do jej mieszkania. Mamrotała ze strachu. Chyba bała się mnie, a jeszcze bardziej swojego męża. A dlaczego miałyby się bać, jeśli nie jest winna?

Ciotka Hortense znów się zastanowiła w milczeniu. Po chwili zapytała:

- Co mielibyśmy do stracenia, gdybyśmy włamali się do ich mieszkania w czasie ich nieobecności i okazałoby się, że są niewinni? Żeby policja się tym zajęła, Jose musiałaby wnieść oskarżenie, a ona w tych okolicznościach z pewnością by wolała dostać do ręki gotówkę niezależnie od pokrycia kosztów nowych drzwi wejściowych. Jak się na to zapatrujesz, Maurice?

- Przypuszczam, madame, że ona jest winna. Doradzałbym natarcie z zaskoczeniem na mieszkanie Jose podczas spotkania, które wyznaczają, żeby dostać pieniądze. Nasze natarcie, madame. Policja nie będzie tak szybka.

- Jestem tego samego zdania. Och, zupełnie jak w dawnych czasach. Sama poprowadzę Mercedesa, jak dawniej. Ty i Guy się włamiecie; ty staniesz na straży, Guy otworzy okno i będzie wyrzucał te rzeczy do Judy. Ona będzie czekać na chodniku, upychać je w torby na śmieci i wrzucać torby do Mercedesa. Jeżeli wynikną kłopoty, odjadę z tymi rzeczami, a wy już sobie radźcie sami. Judy, włóż pantofle na niskich obcasach, żeby w razie czego łatwiej ci było uciekać. - Ciotka Hortense zwróciła się do Guya: - Maurice jest świetny w takich sprawach, ale musisz się spieszyć. Będziesz miał tylko pięć minut, ani sekundy więcej. Jednakże przekonasz się i zdziwisz, ile można zdziałać w ciągu pięciu minut.

Nazajutrz rano Judy i Guy przyszli do pracowni jak zwykle. Gdy Guy grał swoją rolę projektanta szalejącego z rozpaczy, personel zabrał się znów do pracy. Jose - doprawdy wyraźnie przerażona - przeprosiła Guya za to, że w nocy go nie wpuściła.

- Nie ma o czym mówić. Nie powinienem był przychodzić. Wypiłem parę głębszych.

Guy pojechał do banku i pobrał trochę pieniędzy w drobnych banknotach, które następnie włożył do koperty już pełnej pustych białych kartek. Postarał się, żeby tę kopertę widział z daleka cały personel pracowni.

Maszyny do szycia cichły i wszyscy nieruchomieli, ilekroć zadzwonił telefon. W południe Judy usłyszała w słuchawce:

- Proszę być przed kinem Odeon na Polach Elizejskich dzisiaj pięć po piątej. Niech pani przyjdzie sama, inaczej nic z tego. Proszę stać twarzą do fotosów w gablocie z prawej strony wejścia. Trzymać białą kopertę listową z pieniędzmi w lewej ręce. I nie odwracać głowy. Ta koperta zostanie zabrana. Nie ruszać się potem przez pięć minut.

- Jaka gwarancja, że odzyskamy kolekcję?

- Nam te ciuchy niepotrzebne. Kiedy dostaniemy pieniądze, zawiadomimy, gdzie to wszystko jest.

Złożyli raport ciotce Hortense.

- Sprytnie - powiedziała. - Film prawdopodobnie kończy się o piątej, tłumy będą wychodzić z kina obok Judy i wśród nich ten podłapacz. Judy prawie by nie poczuła zabrania jej koperty z ręki i na pewno nie mogłaby kogokolwiek później rozpoznać. Oczywiście oni nie mają zamiaru oddać kolekcji, bo te rzeczy byłyby obciążającym materiałem dowodowym. Podejrzewam, że planują wrzucenie ich do Sekwany. My więc już planujemy to natarcie z zaskoczeniem.

Za piętnaście piąta Maurice zaparkował Mercedesa w odległości dwóch przecznic od mieszkania Jose i zamienił się miejscem z ciotką Hortense w granatowym płaszczu, granatowym berecie i w ogromnych ciemnych okularach. Ciotka Hortense odwróciła się od kierownicy do Guya, który miał twarz białą jak kreda.

- Sprawiedliwość - powiedziała wesoło - zależy od tego, kto trzyma szale. Mój drogi, zapamiętaj sobie trzy punkty. Punkt pierwszy: jeżeli cię złapie policja, nie mów nic, nawet swojego nazwiska, tylko zażądaj mojego adwokata. Punkt drugi: rób dokładnie to, co ci powie Maurice... on kieruje akcją. Jeżeli Maurice nic ci nie powie, wykonaj swoje zadanie i po pięciu minutach czmychnij stamtąd. Nie zwracaj uwagi na żadną walkę, gdyby była. Jeżeli szczęście będzie sprzyjać, to po pięciu minutach usłyszysz moje trzy gwizdy, że masz już wyjść. I punkt trzeci - dorzuciła rozsądny argument - nie zapominaj, że po prostu odbierasz swoją własność. - Włączyła silnik z łomotem, aż Maurice

zamrugał. - Uderzymy na nich za dziesięć piąta, kiedy będą najbardziej nerwowi, duszą i sercem już przy kinie Odeon.

Przed domem, w którym mieszkała Jose, Judy - też w ciemnych okularach i berecie - z naręczem toreb plastikowych stanęła na chodniku. Guy poszedł za Maurice'em pod łukiem bramy na podwórze i po schodach na górę w ciemny, wąski korytarz. Maurice rozejrzał się, ostrożnie zbadał brudne szare drzwi, po czym przyłożył do nich ucho. Czubkami palców namacał zamek, znieruchomiał. Potem oparł się niedbale o przeciwległą ścianę, podniósł lewą nogę na wysokość zamka i mocno raz kopnął drzwi. Ustąpiły. Wbiegł, lewym ramieniem odpychając drzwi do wewnętrznej ściany, po czym jeszcze je przycisnął palcami.

Okiennice były zamknięte, w mieszkaniu panowała duchota i cisza, poza tym, że dolatywały odgłosy ulicznego ruchu. Mebli było niewiele - kwiecista kanapa, dwa fotele, duża lampa z abażurem z podrabianego pergaminu i kredens. Na ścianie wisiało kilka obrazów, które przedstawiały udręczonych świętych.

Maurice wysunął głowę na korytarz i skinieniem przywołał Guya.

- Pan w lewo, ja w prawo.

Drzwi z prawej strony prowadziły do małej gołej kuchni i do klozetu. Za drzwiami z lewej był duży pokój, na którego urządzenie składały się: małżeńskie łóżko, krucyfiks nad łóżkiem, nieduża ozdobna szafa, klonowa toaletka z trzyczęściowym lustrem i lampa z abażurem też pseudopergaminowym, ale wykończonym kasztanową obwódką. Za sypialnią był jeszcze jeden mniejszy pokój. W mglistym świetle, przenikającym przez okiennice, Guy zobaczył jeszcze jedną małą szafę, drewniane krzesło i wąskie łóżko - a na łóżku zwaloną w stertach całą swoją kolekcję.

Wykrzyknął triumfalnie i już mocował się z okiennicami, żeby je otworzyć, gdy do pokoju przybiegł Maurice.

Guy widział, jak Judy o dwa piętra niżej i jakieś piętnaście kroków dalej patrzy niespokojnie w górę. Zawołał. Usłyszała i podbiegła pod okno, w którym stał. Ciotka Hortense włączyła silnik. Mercedes powoli ruszył za Judy i zatrzymał się, po czym stał z włączonym silnikiem.

Obaj, Guy i Maurice, zaczęli przez okno wyrzucać kolekcję tak prędko, że Judy nie mogła nadążyć z wpychaniem jej w torby. Otworzyła tylko drzwiczki Mercedesa i wrzucała kostiumy, sukienki, kapelusze i pantofle jak popadło, zbierając je z chodnika.

Nieliczni przechodnie przystanęli zdumieni i patrzyli. Po pięciu minutach, zgodnie z planem, ciotka Hortense dała sygnał gwizdkiem - pal licho zielony szalik podlatujący nad chodnikiem i czółenko z różowego atłasu. Judy wskoczyła do Mercedesa, rzucając się na górę garderoby na tylnym siedzeniu, Guy i Maurice wybiegli z bramy i wcisnęli się na przednie siedzenie. Ciotka Hortense dodała gazu i wzięła najbliższy zakręt na dwóch kołach.

- Wolnego, madame. Wolnego! - skarcił ją Maurice. - Chyba nie chcemy mandatu za przekroczenie szybkości w takim momencie.

Ale ciotka Hortense świetnie się bawiła. W zawrotnym tempie dojechała do pralni chemicznej Guya, gdzie Judy wysiadła wraz z kolekcją. Judy czuła wprost uniesienie, jak nigdy dotąd - poznała radość akcji. Myślała przedtem, że będzie się bać, a tymczasem to ją upoiło. I odnieśli zwycięstwo.

- Chyba niczego nie brakuje - zameldował Guy, gdy dojechali do jego pracowni. - Tylko ronda kapeluszy się pogniotły.

Ciotka Hortense zahamowała, po czym niechętnie ustąpiła miejsca przy kierownicy Maurice'owi.

- Nie ma potrzeby mówić o tym policji - powiedziała niefrasobliwie. - Oni nie lubią włamań i wtargnięć. I mogliby zatrzymać te rzeczy jako dowód. Więc może niech to zostanie dla nich jeszcze jedną nie wyświeconą tajemnicą?

Guy przytaknął. Popędził na górę po dwa stopnie naraz, mając nadzieję, że zastanie Jose. Krojczy i Marie już wyszli po pracy. Jose właśnie zapinała pasek na swoim beżowym płaszczu nieprzemakalnym. Ledwie zobaczyła Guya, wiedziała, że prawda wyszła na jaw. Jednym susem podbiegł do niej, brutalnie chwycił ją za rękę i pociągnął do telefonu.

- Powiedz, dlaczego to zrobiłaś i kto ci pomagał, albo natychmiast wezwę policję - wycedził przez zęby zaciśnięte z wściekłości.

- Niech mnie pan puści! Pan chyba zwariował, monsieur Guy, niech mnie pan puści, bo będę krzyczeć!

- A krzycz sobie... wtedy ktoś sprowadzi policję.

Usiłowała uwolnić rękę, kopnąć Guya, szamocząc się, podrzucała głową w kierunku okna.

- Nie dam ci wyskoczyć przez okno, Jose. Co by mi z tego przyszło? Nie chcę ci szkodzić. Chcę tylko wiedzieć, jak to się stało. Wiem, że to nie był twój pomysł. Wiem, że ty nie chciałaś. Odzyskaliśmy kolekcję. Była na łóżku w małej sypialni w twoim mieszkaniu.

Zdumiona, przestała się szamotać i spojrzała na niego z przestraszeniem, ale czujnie.

- I co by mi przyszło z tego, że zamknęliby cię w więzieniu, Jose? Te modele do mnie wróciły. Ale chcę wiedzieć, jak to się stało. Jeżeli mi wszystko powiesz, może nie zgłoszę policji. Ale jeśli się nie oczyścisz, natychmiast wezwę flics, a to znaczy, że cię zamkną. Więc powiedz prawdę, Jose. To był pomysł twojego męża?

- Nie wiem, o co panu chodzi. Przez chwilę panowała cisza.

- Znaleźliśmy kolekcję w twoim mieszkaniu. Jose wybuchnęła.

- To nie mój mąż. - Znów umilkła. Guy szarpnął ją za rękę w stronę telefonu. - Nie! To jego kumpel, Andre... kieszonkowiec. Nigdy go nie lubiłam! Mój mąż nigdy by sam czegoś takiego nie próbował. Och, Matko Przenajświętsza, co teraz z nami będzie?

- Kto jeszcze pomagał?

- Nikt! Monsieur Guy, niech pan położy słuchawkę! Wszystko powiem. Nikt.

- Czy to ten Andre telefonował?

- Tak, tak, Andre.

- Kłamstwo! - Szarpał jej rękę, aż znowu zakwiliła, ale była nadęta i nie chciała mówić. - Andre nie powiedziałaby „nożyce”. Jeszcze raz skłamiesz i wzywam flics.

Znów się rozpląkała. Guy ujął ją za ramiona i mocno nią potrząsnął, ale tylko beczała głośniej. Jednakże, gdy podniósł słuchawkę z widełek, ucichła w półszlochu, po czym opowiedziała mu już wszystko. Było to bardzo proste.

O piątej w tamto popołudnie mąż Jose sam czekał w pobliżu kina na Polach Elizejskich, bo nie dowierzał swemu przyjacielowi, złodziejowi kieszonkowemu. Zaplanowali, że po podjęciu pieniędzy obaj zbiegną na stację metra, wsiądą do pierwszego lepszego pociągu, wysiądą gdziekolwiek i poszukają jakiegoś parku. Tam dopiero po zapadnięciu zmroku, gdy park się wyludni, mieli się podzielić tymi pieniędzmi. Mąż Jose umyślił sobie, że swoją część wyśle pocztą do siebie na poste restante w swoim dzielnicowym urzędzie pocztowym i podejmie, gdy będzie czuł się zupełnie bezpieczny.

Guy mógł tylko szeptać, taki był rozwścieczony, taki słaby z tej wściekłości.

- Wynoś się - zachrypiał - i nigdy, nigdy, nigdy nie zbliżaj się tutaj, bo natychmiast wezwę policję.

Jose na nowo wybuchnęła płaczem i uciekła.

W ciągu dwudziestu czterech godzin historia porwania i odzyskania kolekcji Guya stała się znana w całej paryskiej branży mody i chociaż Guy zapewniał reporterów, że to nieprawda, ta intrygująca opowieść przyciągnęła na jego pokaz znacznie więcej osób z prasy, niżby ich przyszło bez tego.

Po pokazie lipcowej kolekcji uznano Guya za poważnego projektanta godnego uwagi. Już nikomu Guy nie wydawał się bawiącym w projektowanie fatalaszków bogatym smarkaczem. Judy nagle stwierdziła, że kontakty z prasą zajmują jej prawie cały roboczy dzień.

Jedyną osobą która opublikowała dokładną relację o tej kradzieży, była Empress Miller, tak urocza, tak rozbijająca, tak nienatrzętnie fachowa, że zawsze dowiadywała się prawdy - dlatego też Judy trochę się jej bała.

Rozdział dwunasty

Następne dwa lata były pełne wytężonej pracy, ale i podniecenia. Sukces nieodmiennie łączył się z kłopotami pieniężnymi, dopóki nie przyszła pomoc z niespodziewanej strony. Dyrektor banku, po przestudiowaniu historii finansów Guya, rzutowania zysków i strat, zatelefonował - z własnej inicjatywy - do jego ojca. Chyba szkoda, powiedział, odwracać się plecami do możliwości intratnego interesu, tylko dlatego, że byłby to interes zrobiony z własnym synem. W rezultacie bank zgodził się udzielić Guyowi poparcia, a ojciec - doprawdy rad, że może zejść ze swej dogmatycznej pozycji - poręczył tę pożyczkę. Jednakże Guy trwał przy decyzji niepowiększania firmy. Po prostu miał i tak dostatecznie dużo zamówień.

- Interesuje mnie długotrwała stabilizacja, a nie krótkoterminowy obrót

- tłumaczył dziennikarce, Empress Miller, wciśniętej w skrzypiący stożkowaty fotel trzciny na trzech metalowych nóżkach. W jego nowej pracowni, do której dojeżdżało się windą i z której okien rozciągał się malowniczy widok na szczyty szarych dachów i nadstawki kominowe Paryża, była nie tylko odrobina miejsca do przyjmowania gości, ale i żaluzjowy kredens z wmontowaną kuchenką elektryczną. Judy krążyła z dzbankiem

kawy, gdy Guy odpowiadał na pytania Empress Miller. - Bo ostatecznie, chodzi mi o to, żeby ustalić niedużą kolekcję modeli dobrej jakości, gotowych do noszenia. W Europie nie ma żadnej takiej modelowej gotowej konfekcji, jak w Stanach, są tylko wielkie serie taniej odzieży fabrycznej. Ale z drugiej strony w Stanach nie ma słynnych projektantów... i dlatego wasi wytwórcy kupują modele w Paryżu. Chcę połączyć te dwie operacje.

- Tak, to niezły pomysł, Guy - Empress zawsze chwaliła ostrożnie, chociaż krytykowała bez wahania, i to w tonacji poczynając od umiarkowanej ironicznej, a na wprost jadowitej kończąc. Zawsze jednak była sprawiedliwa i jeśli coś jej się nie podobało, wyjaśniała dokładnie dlaczego.

Pochyliła starannie uczesaną blond głowę nad notatnikiem.

- Jakie to uczucie być człowiekiem sukcesu w tak młodym wieku? Zajechać wysoko w ciągu zaledwie paru lat?

Guy skrzył się w swoim fioletowym płóciennym fotelu tak zawieszonym na czarnej cienkiej metalowej ramie, że wprost zmuszającym do przybrania pozycji jak w łonie matki.

- Wszyscy mnie o to pytają, ale równie dobrze można by mnie pytać, jakie to uczucie być psem albo studentem, albo gońcem na pocztę. Jestem tym, czym jestem, od tego się nie ucieknę, więc nie wiem, jakie to uczucie być czymś innym. Jestem projektantem mody podobnie jak ktoś jest księgowym. Zacząłem młodo, bo tak się złożyło. - Spojrzał w zadumie na pomarańczowy sufit. - Przypuszczam, że jeśli się robi coś rzeczywiście dobrze, to kosztem wykluczenia wszystkiego innego. I ja nie odniosłem sukcesu z dnia na dzień. Mam dwadzieścia sześć lat, pracuję w modzie już jedenasty rok. Po prostu ludzie zaczęli z dnia na dzień mnie dostrzegać. Przypuszczam, że z większością sukcesów tak się dzieje.

- Niemniej Wool International zaryzykowała dla ciebie, przykładając się do twojej ostatniej kolekcji.

- Ja też zaryzykowałem dla nich. Bo cała ta moja kolekcja była uszyta wyłącznie z wełny. Z niczego innego.

Nie bez najbardziej wrzaskliwych kłótni, w jakich kiedykolwiek uczestniczyłam, pomyślała Judy, która usilnie nalegała na wybranie tego właśnie reklamowego tematu.

Empress podniosła grzecznie pytająco brwi, więc Guy wyjaśnił:

- Dżersej wełniany dobrze się układa i dobrze leży... materiały syntetyczne przeważnie są albo za sztywne, albo za wiotkie. - Dźwignął się ze swego fioletowego płóciennego temblaka i ściągnął z półki kupon ciemnozielonej wełny. Zręcznie udrapował i upiął szpilkami ten materiał na figurze Judy, co było jego starą ulubioną sztuczką gdy chciał udokumentować swoje zdanie. -Rozumiesz, o czym mówię? I popatrz na ten kolor. Ma w sobie ciepło, głębię, bo włókno naturalne lepiej niż syntetyczne wchłania barwnik.

- Auu! - pisnęła Judy. - Może dla szpilek trochę mniej tej głębi, błagam.

- I widzisz, jak ten dżersej spływa, kiedy ona idzie? - Upięty materiał już stał się płaszczem rozkloszowanym z tyłu a la peleryna toreadora. Taki właśnie płaszcz koloru morwy, wykonany dla Maxine, wisiał na wieszaku przy drzwiach, gotowy do zawieszenia jej wieczorem. Judy niecierpliwie czekała na dwa spokojne dni na wsi, spacerzy z Guyem i Maxine po zmarzniętym cichym lesie i spokojne lenistwo w ciepłe ognia z drew na palenisku kominka.

- A Pierre Mouton jak zapatruje się na wełnę? - zapytała nagle Empress patrząc Guyowi prosto w oczy.

Skąd ona wie? zastanowił się Guy. Ten belgijski fabrykant w żadnym razie nie zdradziłby Empress Miller ich planów i jedyną osobą wtajemniczoną była Judy. Musiał być przeciek z fabryki. Nic, do diabła, w tym przemyśle nie da się zrobić po cichu, pięć minut nie minie, a już wszyscy wszystko wiedzą.

- Mówi się, że wypuszczasz nową kolekcję gotowej konfekcji, którą produkuje Pierre Mouton pod Brukselą. Pokażesz tę gotową w tym samym czasie, co swoją kolekcję letnią couture, i następnego dnia zaczniesz sprzedawać tak, że te rzeczy gotowe będą na rynku, zanim którakolwiek klientka couture zdąży kilkakrotnie zmierzyć modele, które zamówi, a cóż dopiero dostać je wykończone. - Empress nie odrywała wzroku od twarzy Guya. - Oczywiście to mogłoby się okazać twoim zawodowym samobójstwem, bo wszystkie klientki couture będą wściekle, ale też widzę, że to może być śmiałym nowym sposobem podłączenia konfekcji gotowej do modeli couture. Przyznajesz?

Guy zagapił się na nią. Skąd ona wie? Nikt z załogi fabryki z pewnością o tym nie wie. I liczyli na to, że klientki couture nie zirytuje pokaz kolekcji gotowej do noszenia, skoro one będą miały pierwszeństwo w wyborze tych gotowych rzeczy. I przecież to kolekcja inna, wcale nie naśladownictwo kolekcji couture. Zaprojektował dwie kolekcje

tak, żeby raczej na siebie zachodziły, wcale nie będąc dwiema wersjami jednej: droższą i tańszą.

- Pierre Mouton zawsze u mnie kupował - powiedział udając spokój - ale wiesz, że jego fabryki nie są nastawione na produkcję modeli dla butików.

Empress spojrzała na niego bystro.

- Nie odpowiedziałeś mi na pytanie.

- Gdyby ta pogłoska była prawdą, przecież nie mógłbym odpowiedzieć. Pierre Mouton jest jednym z moich najlepszych klientów. Więcej nic nie powiem.

- No, to sprawę załatwia - powiedziała Empress wesoło. Zamknęła notes i odwróciła się do Judy. - Z przyjemnością wypiłabym jeszcze jedną filiżankę kawy. Nieoczekiwana radość, dobra kawa w Paryżu. Czasami podejrzewam, że kawę parzą tutaj z mielonych żołędzi, nadal tak jak w czasie wojny.

- To dlatego, że Francuzi są skąpi, oszczędzają na ilości kawy. Cel w tym, żeby sypnąć dwa razy tyle - wyjaśniła Judy. Mówiłaby o czymkolwiek, żeby tylko tematem rozmowy nie był Pierre Mouton. - Ale z francuskim mlekiem nic się nie da zrobić - powiedziała. - Francuskie krowy chyba nie mają krwi w żyłach. Czasami tęsknię do szklanki prawdziwego amerykańskiego mleka. Od sześciu lat jestem poza krajem, a wciąż jeszcze odczuwam nostalgię na myśl o takich niemądrych małych rzeczach.

Odczuwała nostalgię na myśl o większych rzeczach niż mleko. Chociaż długo mieszkała w Paryżu, chociaż bardzo kochała Paryż, przypuszczała, że jej charakter zbyt zasadniczo amerykański nie pozwoli jej osiedlić się w Europie na stałe. Nieraz się zastanawiała, czy to nie dlatego wcale nie jest kochliwa w przeciwieństwie do paryżanek wokoło. Nie chciałaby wyjść za mąż za Europejczyka. Spotykała się z odpowiednimi Francuzami, których od czasu do czasu prokurowała ciotka Hortense, ale jakoś nigdy nie czuła się w ich towarzystwie całkowicie swobodnie. Wyjątek stanowił jedynie kochany Guy. Wszyscy inni wydawali się jej tak cholernie uprzejmi. Ale to był tylko jeszcze jeden kłopot. Wyłaniał się problem poważniejszy: uważała, że pracę ma wprost kapitalną, nie chciała jednak grać przy Guyu drugich skrzypiec do końca życia. Co się stało z jej własną karierą?

Po odejściu Empress otrząsnęła się z tej nagłej rzewnej tęsknoty ogarniającej ją zawsze po rozmowach z Amerykankami, które wiedzą że wodzirej to nie jest stanowisko polityczne i znają napój z mleka i lodów.

Pogroziła Guyowi pięścią

- Ja nie powiedziałam ani słowa! Ty faktycznie jej powiedziałeś. Wystarczyło, żeby dodała dwa do dwóch, no i rzeczywiście musiała coś słyszeć. Najwidoczniej wygadałeś się przed kimś choćby tylko jakąś aluzją. Wiedziałam, że nie potrafisz nabrać wody w usta. Pewnie jakieś zwierzenie do poduszki.

- Przysięgam, ani słowa nie powiedziałem. To ty paplesz wciąż z tymi dziennikarkami. - Chwycił ją za przegub ręki, oboje stracili równowagę i z łomotem przewrócili się na fioletową płócienną kanapę. Śmiali się i piszczeli boksując, rzucając w siebie poduszkami - rozmyślnie dziecinna reakcja po napięciu i udawaniu obojętności w rozmowie z Empress Miller.

- Co sobie pomyśli nasza nocna sprzątaczką, jeżeli tu wejdzie? - Judy chichotała patrząc na potargane włosy Guya.

- Będzie kompletnie zdezorientowana i uzna, że te wszystkie plotki o mnie to plugawe kłamstwo, po czym kupi sobie czarne siatkowe pończochy i zacznie mnie uwodzić. Wiesz, francuska krew, romantyczność z podejściem przydrożnym. I już nigdy nie będę miał chwili spokoju.

Rechotali oboje wyobrażając sobie, jak ta sześćdziesięcioletnia, ogromna gruba sprzątaczką rzuca się na niedużego, piórkowej wagi Guya, gdy nagle zadzwonił telefon. Judy pogramoliła się i podniosła słuchawkę. Dziwne, telefon do pracowni o dziewiątej wieczorem.

Ale w Rossville była dopiero godzina trzecia po południu. Judy usłyszała głos ojca i ogarnął ją lęk. To może oznaczać tylko nieszczęście: ojciec nie dzwoniłby zza oceanu, gdyby nie zmusiła go do tego jakaś straszna konieczność.

- Czy to ty, Judy? - Na linii szumiało cicho. - Mam rzeczywiście złą wiadomość. Matka. Słyszysz mnie, Judy? Powinnaś przyjechać do domu.

O drugiej w nocy jeszcze siedziały w chłodnej bibliotece ciotki Hortense, Judy w czerwonym wełnianym szlafroku, ciotka Hortense w zielonym cienkim negliżu koronkowym pod futrem z norek. Centralne ogrzewanie wyłączono o północy.

- Twoja matka może wyzdrowieć. Wylew krwi do mózgu jest straszny, ale nie zawsze śmiertelny.

- Nie tylko to. Czuję się tak bardzo winna. Od sześciu lat z dala od niej.

- Mówiłaś mi, że piszesz do domu co tydzień. I ciężko pracujesz. Robisz coś, z czego twoja mama będzie dumna.

- Och, mama nigdy o tym nie pisała, nie uskarżała się ani nie prosiła, żebym wróciła, ale chociaż miałam dobre wymówki, wiedziałam, że ja po prostu nie chcę teraz wrócić. W Paryżu jest zabawniej niż w Rossville. Tygodnie tak przelatowały. Było wciąż tak podniecająco i uważałam, że gdybym pojechała w tamte strony, to byłoby... uczuciową pułapką. Bałam się, że jeśli tam pojadę, mama poprosi, żebym została... bałam się, że nie będę mogła się nie zgodzić.

- Judy, może niewiele twoja mama i ty macie ze sobą wspólnego, ale jak wnoszę, ona zdaje sobie sprawę, że tak jest. Chyba nie usiłowałyby odwozić ciebie od twojej decyzji. O ile wiem, nigdy nie próbowała. Oczywiście kocha cię tak samo, jak ty ją na swój sposób kochasz. Widać to teraz w tym krytycznym momencie... przecież myślą jesteś już w drodze do niej...

- Zmusza mnie poczucie winy. Nie byłam tam przez sześć lat.

- Niestety, nie wiem, jak to jest być matką ale gdybyś była moim dzieckiem, mocno bym tobą potrząsnęła. Poczucie winy jest nudne i bezcelowe. Jedziesz do domu, do chorej matki. Więc łaskawie przestań przesadzać w dramatyzowaniu tej sytuacji. Będzie ci dobrze u mamy, a potem wrócisz do Paryża z jej błogosławieństwem.

Ale Judy nie wróciła do Paryża. Matka po dwunastu strasznych tygodniach, w ciągu których jej życie wisiało na włosku, powoli otworzyła oczy i zobaczyła stojącą przy łóżku swoją jedyną córkę. Spróbowała się uśmiechnąć. Z żarliwością osób ciężko chorych wyszeptwała:

- Tylko tego chciałam. Zobaczyć cię znowu.

- Och, Bogu dzięki, mamu, Bogu dzięki. - Judy chwyciła matkę za ramię i uklękła przy łóżku, żeby jak najbardziej się do niej zbliżyć. - Mamu, co mogę zrobić? Co mogę zrobić, żebyś była szczęśliwa? Czego chcesz? Co ja mogę ci dać?

Przez chwilę panowała cisza, a potem matka szepnęła słabo:

- Zawsze myślałam, jak to cudownie i odważnie, Judy, że wyjechałaś, żeby zobaczyć inny świat. Ja nigdy nie mogłam... zawsze się bałam... jesteś taka niepodobna do mnie. Chcę dobrze cię poznać, jestem z ciebie dumna... chcę poznać cię, zanim umrę... chcę z

tobą przebywać... Proszę, przez jakiś czas bądź tu gdzieś w pobliżu. Wiem, że nie powinnam zatrzymywać ciebie w Rossville, ale proszę... bądź w Ameryce.

Bez chwili wahania Judy jej to przyrzekła.

Rozdział trzynasty

Biura najbardziej wziętych agentów reklamowych nie wyglądają tak, jakby czekali na fotografa z magazynu „Dom i Ogród”, a to biuro nie jest wyjątkiem, pomyślała Judy. Istotnie to biuro było tak odrapane jak tamto, w którym Judy miała swoją pierwszą posadę w Paryżu. Na chodniku za brudnym oknem dziewczyny w kwiecistych sukienkach zbierały wiosenne pogwizdy zachwyty; wewnątrz przy tym oknie stały rzędem poobijane szare szafki z aktami i piętrzyły się na nich prawie pod sufit pliki magazynów. Ściana przed Judy była pokryta wylewnie dedykowanymi fotografiami osobistości show-businessu słynnych przed pięciu czy dziesięciu laty. W kącie wisiał zeszloroczny kalendarz. Ktoś przestał zdzierać z niego kartki 5 kwietnia 1954 roku. Poniżej kalendarza stało biurko z szarego metalu zarzucone starymi gazetami i znów magazynami, które leżały wśród metalowych koszyków zawierających stare pozwolenia na publikacje w prasie. Na jednym z rogów biurka siedziała gibka, duża blondynka w szkarłatnej garsonce i czarnych lakierkach na śmiesznie wysokich obcasach. Wyglądała tak, jakby wyskoczyła z powieści kryminalnej.

- Chyba mało kto rzeczywiście decyduje się zostać agentem prasowym i studiować tę specjalność w college'u - mówiła ta blondynka. - Praca w takiej agencji to raczej jest coś, w czym raptem można się znaleźć. Ja byłam reporterką do czasu, kiedy moja gazeta splajtowała. Potem byłam bezrobotna, aż jeden znajomy powiedział mi, że „Szaleństwa Na Lodzie” szukają kogoś zaawansowanego. Zapytałam; co to znaczy ktoś zaawansowany? I w tydzień potem jako „zaawansowana” byłam w Filadelfii. - Zaciągnęła się dymem z papierosa. - Właściwie co panią przyciąga do reklamy?

- Trochę się tym zajmowałam we Francji. W mojej pracy w Paryżu miałam dosyć bliski kontakt z Wool International i tam mi poradzili złożyć podanie tutaj.

Poradzili? Czy ta smarkata się nie orientuje, że paryski dyrektor WI telefonował do Lee i Sheldon, żeby ją umieścić w nowojorskim biurze tej agencji? I gdy w agencji się wahano, zostało mile dane do zrozumienia, że WI chce, by ta nieznana panna Jordan

pracowała na rzecz właśnie WI. Jednocześnie prezes agencji miał telefon od samej Empress Miller, która powiedziała, że dobrze zna z pracy pannę Jordan wykazującą znajomość haute couture ogromną jak na swój wiek. Empress zawsze umniejszała wszystko, ale było oczywiste, że ta mała ma przyjaciół. I chociaż jest bardzo młoda, doświadczenie na pewno ma imponujące. Więc dlaczego stara się

o posadę asystentki? Po co tyle tych rozpaczliwych wewnętrznych przesunięć, żeby było miejsce dla panny Jordan?

Ale Judy wiedziała, że potrzeba jej doświadczenia na takiej właśnie posadzie, zanim da sobie radę z samodzielną pracą w jakimś nowojorskim biurze. Nie chciała wylądować jako sekretarka dyrekcji; chciała cierpliwie sortować swoje kontakty na Siódmej Alei i wypatrywać szansy otrzymania takiej pracy, jaką miała u Guya. Staż w reklamie wydawał jej się dobrym sposobem spokojnego rozglądania się wokoło.

Z Rossville wyjechała po siedemnastu tygodniach, gdy matka wyzdrowiała na tyle, na ile to było możliwe. Nigdy już nie miała w pełni władać lewą ręką i jeszcze usta jej trochę opadały.

Poczucie winy nie opuściło Judy, ale stosunki z matką układały się teraz bardzo dobrze i z ojcem też nie najgorzej. Ojciec chwalił się dosyć wzruszająco tym, że ona „przyleciała aż z Paryża we Francji, i to zaraz następnego dnia”. Przyjazd dziecka w krytycznym dla rodziców czasie podnosił ich miejscowy prestiż w zależności od tego, jaką i w jakim tempie dziecko pokonało odległość.

Rodzinne miasteczko wydawało się Judy tak samo klaustrofobiczne jak zawsze przedtem. Znała tam wszystkich, ich twarze, ich rodziny, ich perspektywy, ich przyszłość. Mężczyźni byli nieciekawi, kobiety chodziły bezkształtne w źle uszytych płaszczach zimowych albo pastelowych drukowanych perkalach. Potrafiły rozmawiać tylko o przepisach kulinarnych, o pogodzie, o swoich dzieciach, o swojej ostatniej ciąży i ciążach swoich przyjaciółek. W rozmowach rzadko padały nazwiska. Określało się ludzi imieniem ich matki czy ojca albo miejscem pochodzenia. „Słyszałam, że Tom... syn Stevena... żeni się z córką Joan... albo córka MacDanielów wychodzi za tego gościa z Quantico”.

I znów Judy czuła, że musi wyjechać - tym razem nie tylko w samoobronie.

Musiała zarobić pieniądze na leczenie matki, którego ogromne koszty polisa ubezpieczeniowa ojca pokryła zaledwie częściowo. Napisała do Guya i innych przyjaciół

we Francji z wyjaśnieniem, dlaczego nie może wrócić do Paryża, a także wysłała kartkę do Empress Miller z prośbą o radę w sprawie otrzymania jakiejś odpowiedniej posady w Nowym Jorku. Guy odpowiedział natychmiast sążnistym telegramem.

OSAMOTNIONY STRACIŁEM PRAWĄ RĘKĘ STOP ROZUMIEM TWOJE
POWODY STOP NIE CHCĘ SKOŃCZYĆ PRZYJAŹNI STOP MAM NADZIEJĘ ŻE
TWOJE NOWE KONTAKTY POMOGĄ USTAWIĆ MNIE W AMERYCE STOP PRĘDKO
PRĘDKO STOP MILIARD CAŁUSÓW STOP GUY

W Nowym Jorku Judy wynajęła studio na Jedenastej Wschodniej Ulicy i wysłała trzysta podań z takim skutkiem, że zatelefonowało do niej siedemnaście osób, z których tylko trzy, słysząc, że ona dotychczas nigdzie nie pracowała w Ameryce, chciały się z nią zobaczyć. Czasami gdy myślała o swojej ciekawej pracy i przyjaciółach w Paryżu, garbiła się; czuła się samotna, miała sobie za złe, że odrzuciła dobrze się zapowiadającą przyszłość, żeby dotrzymać czułościowego przyrzeczenia.

I nagle dostała kartkę od Empress Miller, która radziła jej zgłosić się do Lee i Sheldon, i nazajutrz list z tą samą radą z Wool International w Paryżu.

Zdaje pani sobie sprawę, że musiałyby pani sporo podróżować? - zapytała blondynka w szkarłatnej garsonce. - Zasadniczo pomagaliśmy mi pani w dziale WI. Zapowiadamy tendencje mody w prasie, przygotowujemy zestawy z rysunkami i fotografiami i dwa razy na rok, po pokazach paryskich kolekcji, koordynujemy modele wełniane, które WI zamawia u francuskich couturies. Reklamujemy wszelkie wełniane kopie produkowane przez wytwórców amerykańskich i ogólnie wbijamy ludziom do głów przesłanie, że wełna jest cudowna, więc powinni kupować więcej wełny - zakołysała nogą w eleganckim nylonie i pytająco uniosła brew.

- Robiłam to wszystko - powiedziała Judy. - Na małą skalę, oczywiście.

- Ponadto pokazujemy się w telewizji, wygłaszamy pogadanki o wełnie ilustrowane rysunkami i fotografiami. Nic z tego nie jest nawet w przybliżeniu tak wspaniałe, jak się wydaje, nawet zapraszanie wydawców żurnali na obiad.

- Przywykłam - powiedziała Judy, coraz bardziej pewna siebie.

Blondynka zmieniła pozycję, zaczęła kołysać drugą zgrabną nogą.

- Agenci reklamowi - powiedziała - całe swoje zawodowe życie poświęcają na wyjaśnianie, dlaczego konsumenci nie są tumanami. A przeważnie są, oczywiście. - Zapaliła jeszcze jednego papierosa. - Jeżeli pani będzie u nas pracować, chcę, żeby pani

załatwiała pokazy objazdowe. Modele, które kupujemy z kolekcji paryskich, natychmiast pokazujemy najlepszym sklepom w każdym większym mieście Ameryki. Pani by organizowała te pokazy, zamawiała modelki, a potem jeździła z nimi, opiekowała się tymi dziewczętami i modelami. Woziłaby pani przy tym materiały reklamowe, fotografie, bilety na pokazy, próbki tkanin, z których modele są uszyte, i niedrogie prezenciki. Musiałaby pani co dzień być w innym mieście przez cztery tygodnie w roku. Myśli pani, że pani to wytrzyma?

- Proszę ze mną spróbować.
- No to teraz spróbujemy martini.

Nigdy dotąd Judy nie pracowała tak ciężko. Jej szefowa, Pat Rogers, okazała się niemilosierna. Ta eks-dziennikarka uważała, że każdy powinien pracować sprawnie i do utraty tchu, tak jak ona, i będąc wymagająca, dawała szkołę. Judy szybko pojęła, że to, co nie jest ze wszechmiar należyte, jest złe, i nawet to, co jest prawie należyte, nadaje się tylko do odrzucenia.

- Łatwo być dobrym agentem reklamowym - pouczyła ją Pat - jeżeli się wie, że na łamy prasy nie ma wejścia przez bufet. Wchodzi się z dobrą powiastką. Nowy Jork to nie Paryż. O każdy cal kolumny trzeba walczyć, bo konkurencja jest zaciekła. - Rozparła się w foteliku, założyła nogę na nogę na biurku, aż fotelik się przechylił. - Jesteś akwizytorem. Dziennikarz chce mocnych faktów i może w zamian propagować twój towar, na tym polega zasadniczy interes. Niewielu jest dobrych agentów reklamowych. Przeważnie są to byli dziennikarze i dlatego rozumieją w czym rzecz. Były dziennikarz wie, co to jest wiadomość. Wiadomość jest to coś, o czym nikomu nie było wiadomo wczoraj. Jeżeli twoja powiastka nie jest wiadomością choćby była najbardziej interesująca, nie zaliczy się do godnych umieszczenia wśród wiadomości w gazecie.

Pewnego dnia powiedziała:

- Czas, żebyś nauczyła się pisać, mała. Nie zawracaj sobie głowy kursami korespondencyjnymi. Przez parę miesięcy przesypiaj się z jakimś dziennikarzem. Nie? No, przygotuj się na sobotę, przyjdź do mnie do domu i ja cię nauczę. Jestem Sobotnią Szkołą Skondensowanego Dziennikarstwa, najmniejszą z takich szkółek na świecie.

Po dwóch sobotach obelg i zgniatania papierosów, Pat przeciągnęła się i zaopiniowała:

- Z grubsza już masz pojęcie, mała. Ludzie albo to łapią w lot, albo... większość zresztą... nie łapie tego wcale. Jesteś niecierpliwa, to pomaga; szybko się nudzisz, to także pomaga, nigdy nie będziesz Ernestem Hemingwayem, ale żeby pisać proste reportaże z faktów, wystarczy praktyka. Napijmy się martini.

We wrześniu tegoż roku Judy wyruszyła w pierwszy swój objazd, wyprzedzając ekipę o dwa dni, żeby sprawdzić przygotowania i rozgłosić nowinę, zupełnie tak jak czołówki wędrownych lunaparków przed laty. Taszczyła walizy pełne materiału przygotowawczego, wygładzała nieuniknione chropowatości przygotowań, pochlebiała, koła i przymilała się w tej drodze przez kraj i od chwili, gdy zataczając się wstawała z łóżka rano, aż do chwili gdy osuwała się w pościel na następnym łóżku w następnym mieście wieczorem, myślała wyłącznie o wełnie.

Było to twarde i samotne życie, ale w ciągu dnia miała za dużo roboty, a w nocy spała zbyt zmęczona, żeby się tym przejmować. Czas wciąż naglił, gdy pędziła do taniego pokoju hotelowego i do biura, i do studia telewizyjnego, i z powrotem na lotnisko, i dalej na następne lotnisko. Maleńki budżet nie pozwalał jej zatrzymywać się w porządnym hotelach. Choćby bardzo się starała, nie mogła ze swoich diet podróży pokryć wydatków na siebie i całodzienne utrzymanie, a w dziale księgowości nikt nie chciał nawet porozmawiać z nią o tym. Zaczęła więc oszukiwać, podawać zawyżone koszty, dopóki Pat nie powiedziała, że wiceprezes zwrócił uwagę na jej rachunek telefoniczny wyższy niż jego. Wtedy Judy wybuchnęła. Oświadczyła, że ma apetyt, więc musi jeść, a księgowość nigdy nie uwzględnia ani szybkości, z jaką ona musi pozalać wszystko w danym mieście przez jeden dzień, ani żadnych odchyłeń od teoretycznego harmonogramu. zaproponowała, żeby następnym objazdem zajął się zamiast niej ktoś z młodszych księgowych i niechby zobaczyli, jak ów ktoś sobie poradzi.

- Widzę - powiedziała Pat - że lubisz krzyczeć, ale to nie jest sposób, żeby wygrać. - Po czym wyszła i skrzyczała głównego księgowego. Diety Judy podwyższono. Życie nadal było samotne i niestrawne, ale Judy przynajmniej jadła.

I osiągała rezultaty.

W niecałe sześć miesięcy później Judy potrafiła przekonać Pat, że trzeba do Nowego Jorku zaprosić Guya celem omówienia z nim pokazu objazdowego. Z Guyem przyleciał Pierre Mouton, który chciał zbadać możliwości sprzedaży swoich tekstyliów w Stanach Zjednoczonych. Nowa kolekcja Guya złożona z poszczególnych sztuk obejmowała niebieski odcinek widma, od tonów lawendowych aż po ciemny fiolet. Te modele zapowiadały styl łączenia różnych rzeczy w jeden komplet, były dość luźne, by dawać tak pełną swobodę ruchów, jak gdyby nic się nie miało na sobie, i sprawiały, że kobieta prezentowała się w nich korzystnie, bez kłopotliwego starania o korzystny wygląd. Guy uszył kolekcję z materiałów wyłącznie luksusowych i nie chciał puścić jej w wersji rzeczywiście taniej.

- Jeden dobry kostium jest dla kobiety lepszy niż trzy kostiumy byle jakie
- powiedział stanowczo, stojąc z Judy przy burcie promu.

Za złocistozieloną wodą Wall Street wyglądała jak pasy taśmy telegraficznej wyciągnięte w niebo.

- To jest obowiązkowa na początek wycieczka turystyczna - wyjaśniła przedtem Judy. - Trzeba po rzece Hudson przepłynąć obok Statui Wolności, dalej po East River opłynąć wokół Manhattan. Później pomaszujemy przez śródmieście. Nie masz pojęcia, jak ja kocham Nowy Jork.

- Bardziej niż Paryż?

- Inaczej. - Już po tygodniu pobytu w Nowym Jorku uznała, że to cudowne, roziskrzone, wyczerpujące miasto jest jej miejscem na świecie i że chce zawsze tu mieszkać. Miała do Nowego Jorku stosunek osobisty, zaborny, uczucie, jakiego nigdy nie żywiła do Paryża. - Kocham Nowy Jork i zaczynam kochać moją pracę. Żyję już nie tak gorączkowo, o wiele spokojniej i wygodniej teraz, kiedy jeżdżę z pokazem, a nie przed pokazem.

- Odwróciła się do Guya mrużąc oczy w blasku popołudniowego słońca.

- Nawiasem mówiąc. Pat zaprosiła nas na kolację, żeby omówić objazd i twoją następną kolekcję. Uprzedzam cię, ona chce, żebyś ty jeździł... prawdziwy francuski Francuz z urręczym akcentem. Będą mdleć na sam dźwięk twojego głosu w Cleveland.

- Nie miałbym nic przeciwko przejechaniu się po Stanach za darmo.

- Nie spodziewaj się wakacji - Judy odwróciła się tyłem do wody i oparta o poręcz, pogroziła Guyowi palcem. - Z pewnością takie podróże wydają się szampańskie, kiedy się

widzi, jak na tomiskach witane są modelki i jak z naręczkami róż w celofanie wsiadają do limuzyn, ale to wszystko jest blichtr. W rzeczywistości przylatujemy ostatnim nocnym samolotem: sześć osób z trzydziestoma sześcioma walizkami... i przy lotnisku czeka na nas ciężarówka. A potem o świcie wyciągam te dziewczyny z łóżek, jedna pędzi do telewizji, żeby pokazać się ludziom w czasie śniadania, reszta przygotowuje się do pokazu sklepowego, na którym cała znająca się na modzie publiczność jest w sfatygowanych garniturach albo w zwiotczałych płaszczach nieprzemakalnych. Potem mamy konferencję prasową, potem jest pokaz popołudniowy, potem znów telewizja i jazda na lotnisko. Jeżeli się wylatuje wieczorem, przylatuje się za późno, żeby coś zjeść i wypić, z wyjątkiem Nescafe w torebkach w pokoju hotelowym. Mówię ci, po takim objeździe trzeba dwa dni przeleżeć w łóżku z telefonem wyłączonym, żeby nerwy i żołądek doszły do porządku. Umilkła i patrzyła na mewy krążące nad zszarzałą wodą.

- To nieustanne pakowanie i rozpakowywanie. Biedna garderobiana musi przed każdym pokazem dopilnować odprasowania wszystkich modeli i wyłożyć dodatki. Naprawdę święte są te garderobiane! - Prychnęła. - Ale modelki to diablice, komplikacje seksualne nigdy się nie kończą. Na ostatnim objeździe miałyśmy dwie lesbijki, nie odrywały rąk jedna od drugiej, nawet w czasie pokazu... No i jest problem z jedzeniem. Oczywiście modelki boją się utyć, a już te rzeczywiście chude są najgorsze... albo się odżywiają suszonymi wodorostami i kwiatem lipowym i wymagają, żeby hotel to miał na składzie, albo zamawiają szampana i kawior, i każą to dopisać do rachunku za hotel. Zawsze mówimy w hotelach, że nie pokryjemy żadnych kosztów dodatkowych, i te dziewczyny wiedzą o tym. Jednak się dąsają kiedy słyszą, że muszą za kawior zapłacić od razu gotówką bo inaczej go nie dostaną.

- Powiedz mi coś więcej o tych biednych chudzielcach i ich komplikacjach seksualnych. Chyba wszystkie nie mogą być takie nieznośne.

- Przypuszczam, że niektóre z nich są z gruntu miłe, ale prowadzą bardzo niepewne życie. Koncentrują się na wyglądzie... nawet nie cieszą się swoją urodą, bo wciąż się martwią że ją tracą. Żadna modelka nie uważa się za piękność. Nic dziwnego! Wciąż stają do przeglądu, nawet te sławne, zanim dostaną jakiś przydział, a kiedy wybiera się jedną spośród dwudziestu, dziewiętnaście przecież się odrzuca. Nieustannie muszą się godzić z odprawą i w rezultacie to je pozbawia odporności.

Judy nasunęła na uszy swoją czapkę z kremowej włóczki.

- Niektóre żyją nieomal powietrzem, żeby stracić apetyt... więc są drażliwe, obrażają się o byle co. Albo nie mogą spać, bo nocują coraz to w innym hotelu, więc zażywają tabletki nasenne. A potem nie mogę ich dobudzić rano. - Zachichotała. - Oczywiście czasami nie mogę ich dobudzić, bo po prostu ich nie ma. Podrywają gości w barze i na całą noc znikają. Już samo odganianie od nich fotografów to praca na pełnym etacie.

- Niczym mnie nie przerazisz. - Guy połaskotał Judy w nos, nadal pomimo jej powagi wyglądający jak guzik. - Naturalnie pojedę na objazd. Pojedziemy razem. Pomogłaś mi odnieść sukces we Francji. Tym razem, Judy, ja się postaram, żebyś stale dzieliła ze mną ten sukces! Już ode mnie nie uciekniesz tak łatwo... Chyba, że będziesz się upierać przy noszeniu tych śmiesznych czapek. - Zerwał jej z głowy kremową włóczkową czapkę i wrzucił do East River. - Takim czymś moja babcia nakrywała jajka na miękko, żeby nie wystygły. Pierwsza rzecz jutro rano: kupisz sobie piękną czapkę z lisa u Saksa. Tylko niemowlęta noszą te włóczkowe dzianiny.

Ku jego niemałemu zdumieniu Judy wybuchnęła płaczem.

CZEŚĆ TRZECIA

Rozdział czternasty

Mróz zawiesił białe koronkowe firanki za oknem.

Elizabeth nie cierpiała wstawać rano zimą w takie mrozy. Zamrożone niebo było jeszcze ciemne, mglisty pył śniegu leżał na jabłoniach i na buczynie żywopłotu wokół ogrodu. Chciała leżeć bezpiecznie, przytulnie pod pierzyną rozkoszując się ciepłem, słuchając głosów rodziny na dole.

- Spóźnisz się, Elizabeth - zawołała maman podchodząc do stóp schodów.

Z oczami jeszcze zamkniętymi ta mała dziewczynka wysunęła boscie nogi na dywanik i przesunęła się na rzeźbionym drewnianym łóżku, żeby sięgnąć po odzież porządnie

złożoną na czerwonym lakierowanym wieku skrzyni. Sennie, po omacku włożyła czarne grube trykoty, ciepłą wełnianą zimową bieliznę, sukienkę w niebieską szachownicę, granatowy fartuszek, po czym usiadła na dywaniku i zasznurowała mocne, sztywne czarne buciki. Zimą roku 1955 było to typowe szkolne umundurowanie szwajcarskich dziewczynek.

Weszła na krzesło przy oknie, dokładnie przetarła zamarzniętą szybę i popatrzyła, jaka jest pogoda. Śnieg tego dnia nie padał i zaczynało się rozjaśniać nad czarnymi poszarpanymi górami po drugiej stronie alpejskiej doliny. Poniżej okna Elizabeth bielił się ogród mgliście widoczny za zdobnym w inkrustacje śniegu drewnianym balkonem. Ten balkon na pierwszym piętrze biegł wokół całego chalet.

Poniżej dachu z dachówek, ułożonych jak łuski ryby, wycięto w drewnie napis, starą modlitwę:

BOŻE, BŁOGOSŁAW WSZYSTKIM, KTÓRZY TU MIESZKAJĄ 1751 ROK

Dziewczynka zeskoczyła z krzesła i ciężko w niezgrabnych bucikach stąpając po deskach podłogi, przeszła na korytarz. Otworzyła drzwi. Pokoik jej młecznego brata był od strony góry, niewiele światła przenikało przez staroświeckie szybki w oknie.

- Wstawaj, wstawaj, leniuchu! - Parsknęła śmiechem. Rzuciła się na zszywaną z łątek kołdrę, spod której wysunęła się oburzona twarz. - Nie przyniosłeś chleba z piekarni.

- Felix powiedział, że przyniesie - wymamrotał zaszpany Roger.

- Nie wierzę ci. Felix w tym tygodniu ma nocną służbę.

Felix był Węgrem, kierownikiem recepcji w hotelu Rosat w Chateau d'Oex. W roku 1939 Felixa zabrano z farmy jego ojca i wcielono do węgierskiej armii, a później do armii niemieckiej walczącej z Rosjanami na Froncie Wschodnim. Gdy Budapeszt padł, dywizja Felixa uciekła do Niemiec i po drodze Felixowi udało się zboczyć do Szwajcarii. Felix rąbał drwa i wykonywał inne prace za ciężkie dla kobiety. Maman odwdzięczała się praniem jego rzeczy i szyciem.

- Słowo daję, on przyjdzie wcześniej, obiecał.

Elizabeth z tupotem zbiegła po drewnianych schodach na dół do kuchni, gdzie zawsze w zimie jedli i przesiadywali, żeby zaoszczędzić opał.

Maman podgrzewała czekoladę w rondelku na zielonym emaliowanym piecu.

- Roger nie przyniósł chleba na śniadanie.

- No, nie szkodzi, Elizabeth. Spryskam wodą wczorajszy bochenek i odświeżę w piecyku. Nie poznasz, że to nie dzisiejszy, panno skarżypyto. - Ciemne włosy przybranej matki jeszcze nie zwinięte na dzień w schludny kok, tylko splecione w luźny warkocz, opadały jej na plecy, na białą flanelową nocną koszulę. Czerwone ręce o łuszczącej się skórze postawiły na stole biały dzbanek z gorącą czekoladą.

Mąż mamana poniósł śmierć na lodowcu Diablerets osiem lat wcześniej. Był przewodnikiem i prowadził grupę narciarzy po tym lodowcu, gdy pogoda nagle się zmieniła. Wszyscy zginęli w śniegu. Angelina Dassin owdowiała, sama z maleńkim dzieckiem, nie mogła wrócić na swoje miejsce pokojówki tam, gdzie pracowała przed ślubem. Prawie bez grosza przyjęła pierwszą lepszą pracę, szorowanie podłóg w miejscowym szpitalu. Co wieczór i w popołudnia sobotnie i w niedziele haftowała obszyte koronką białe bluzki do sklepu z pamiątkami dla turystów. Przez trzy lata było jej bardzo trudno żyć. Potem zaproponowano jej, by zaopiekowała się dziewczynką, która urodziła się w tym szpitalu. Dodatkowe pieniądze za tę opiekę oznaczały, że Angelina nie musiała już harować do bólu krzyża jako sprzątaczką, mogła wygodnie siedzieć w domu z dwojgiem dzieci i skoncentrować się na haftowaniu.

Angelina wychowywała Elizabeth tak, jakby ta miała należała do rodziny Dassin, ale zawsze jej mówiła, że ona ma jeszcze jedną matkę, prawdziwą matkę, i że kiedyś, kiedy będzie starsza, prawdziwa matka przyjedzie i weźmie ją do domu. Elizabeth myślała o tym co wieczór, gdy Angelina cicho śpiewała *Au clair de la lune*, *mon ami pierrot* i inne dziecięce piosenki, kołyszając ją do snu, i gdy sosny cicho szeleściły za oknem w ciemnym ogrodzie.

Naprawdę Angelina wiedziała o tej mitycznej matce tylko trochę więcej niż Elizabeth. Co miesiąc otrzymywała w kopercie anonimowy czek z banku w Gstaad. Pisząc mozolnie swoje sprawozdania, zaczynała je od „Chere madame” mając nadzieję, że już ta biedna dziewczyna wyszła za mąż, ale listy w odpowiedzi nie zawierały żadnych informacji o nadawczym. Były to tylko pytania, jak się czuje dziecko, jak się rozwija, na które Angelina należycie odpisywała.

Z początku Elizabeth wyobrażała sobie swoją prawdziwą matkę jako anioła w koronkowej nocnej koszuli. Co wieczór po zmówieniu pacierza na szmacianym dywaniku szeptała:

- Bonne nuit, vraie maman.

Potem miała nadzieję, że jej prawdziwa matka jest królową z bajki i nie może przyjechać, bo śpi na leśnej polance, dopóki królewicz jej nie obudzi pocałunkiem. Jakże pragnęła, żeby on się pospieszył! Miała nadzieję, że w tym lesie nie ma zbyt dużej wilgoci ani mrówek.

Roger dokuczał Elizabeth, że vraie maman to wiedźma z długimi paznokciami, bezzębna i łysa, ale dziewczynka nie chciała mu wierzyć, a Angelina, która kiedyś usłyszała ich rozmowę, skarciła Rogera. Taki jest niedobry dla swojej siostry, chociaż wie, że gdyby nie jej pięćset franków miesięcznie, jego matka na klęczkach szorowałaby szpitalne podłogi, zamiast siedzieć w ciepłej kuchni i haftować niebieskie edelweiss przy wyciętych w „serek” dekoltach bluzek.

- Roger mówi, że Felix przyjdzie wcześniej - powiedziała Elizabeth przełykając czekoladę.

- No to prędko włoż płaszcz... pospiesz się, mała. - Prawie jednym ruchem Angelina ubrała Elizabeth w szkarłatny płaszczyk, wetknęła jej palce w rękawiczki zawieszane na tasiemce przewleczonej przez rękawy, nasunęła na głowę szkarłatny wełniany hełm, owinęła szyję grubym szalikiem i pocałowała ją na do widzenia.

Na zewnątrz Elizabeth stanęła na palcach na szczycie schodków, z nadzieją wypatrując Felixa. Drżała, oddech jej zamarzał na szaliku, oczy łzawiły i te spływające łezki od razu lodowaciały. Powietrze rozdarł gwizd, echo objęło się o góry, gdy niebieski pociąg do Montreux śmignął po szynach za spiczastym stalowym pługiem do usuwania nocnego śniegu. Elizabeth słyszała ciche, spokojne porykiwanie krów, szczęknięcie wiader z mlekiem i gwar na sąsiedniej farmie, czuła zapach słomy i nawozu. Poza tą farmą chalet Angeliny Dassin był ostami przy górskiej drodze. Dalej i powyżej aż do skalistego szczytu, teraz w śnieżnej styczniowej bieli, rozciągał się ciemny sosnowy las. Poniżej chalet ogród na górskim zboczu opadał ku zamarznętej rzece, która rozdzielała ośnieżoną dolinę. Tylko ciemny zygzak rzeki i ostre ciemne krechy torów kolejowych przerywały ten biały koc.

Zobaczyła na drodze sunącą wolno od strony wioski pod górę pękata postać Felixa z dużym koszykiem przewieszonym przez rękę. Witając go okrzykiem, wątpiła dziewczynka nieomal ześlizgnęła się z góry do niego.

- Felix, będziesz tutaj, kiedy wrócę? Opowiesz mi coś? Naprawisz mi lalkę, ręka jej wisi? Zbudujesz mi znowu igloo?

- Tak, tak, a jakże, jeżeli się nie spóźnisz do szkoły!

- Och, słowo, że nie.

Szczuplutka, ślizgała się i zjeżdżała po stwardniałym śniegu; akurat zdążyła się wsunąć w szklane drzwi klasy w wioskowej szkole i przemknąć koło tablicy, gdy tante Gina zadzwoniła cynowym dzwonkiem. Zegar wybił pół do ósmej.

Drewniana, pełna drzazg szkolna ławka miała być z każdą godziną coraz twardsza, aż te wszystkie siedzące na niej dzieci w granatowych fartuszkach, zdrętwiały z niewygody, zaczęły się wiercić.

Po modlitwie cała szkoła skandowała tabliczkę mnożenia.

- Un fois deux, deux. Deux fois deux, quatre.

Potem, ponieważ była środa, Elizabeth weszła po schodach do saloniku tante Simone na prywatną lekcję angielskiego. Miała też prywatne lekcje francuskiego, ale to w piątki.

W saloniku tante Simone pachniało okruchami herbatników, naftaliną wodą kolońską i staruszkami. Ciemną brokatową tapetę kropkowały z powagą monochromatyczne oczy dawnych uczennic. Pod tymi fotografiami stało czarne stare pianino, pośrodku pokoju królował okrągły stół nakryty indyjskim szalem z plamami atramentu i otoczony krzesłami o wysokich oparciach ze spłowiałego niebieskiego pluszu, zdobnymi w pokrowce z białej koronki. Na jednym z tych krzesel siedziała ulubiona nauczycielka Elizabeth.

Mademoiselle Sherwood-Smith uczyła Elizabeth śpiewać tradycyjne dziecięce piosenki i przynosiła dla niej książki o króliku imieniem Peter,

o niedźwiedziu imieniem Rupert i o bitwach w krwawych dziejach królów

i królowych angielskich. Razem układały dużą lamigłówkę, z której wyłaniała

się mapa Anglii, i grały zapamiętałe w „pędzącego demona”, dzięki czemu Elizabeth umiała już po angielsku liczyć.

O wiele mniej podobały się dziewczynce prywatne lekcje francuskiego. Mówiła po francusku śpiewnie z akcentem kantonu przypominającym trochę ryk krowy w oborze, bo zawsze w środku zdania zniżało się głos, a na końcu się głos podnosiło łagodnym melodyjnym muu. Mademoiselle Pachoud, znacznie starsza od mademoiselle Sherwood-Smith, chodziła z laską miała chorą nogę. Była Francuzką z Francji, uczyła Elizabeth

wymowy, klasycznej francuszczyzny, oduczała ją szwajcarskiego dialektu. Ale, gdy Elizabeth zaczęła mówić po francusku poprawnie, dzieci w szkole jej dokuczały.

Znów się na nią rzuciły w południe; ledwie włożyła płaszcz, żeby pójść do domu na obiad. Jedna ze starszych koleżanek porwała jej kominiarkę i prowokacyjnie tą kominiarką wymachiwała poza zasięgiem jej podniesionych rąk. Ona, mała na swój wiek, podskakiwała i podskakiwała, aż jej zabrakło tchu i twarz poczerwieniała od wysiłku i powstrzymywania łez.

- Widzisz, nie jesteś taka mądra, ty szczapo, chociaż masz te swoje specjalne lekcje. Nic dziwnego, że nikt nie chce się z tobą przyjaźnić, ty parado zarozumiała!

Elizabeth podskoczyła i sięgnęła znowu, ale szkarłatna kominiarka podleciała jeszcze wyżej.

- Myślisz, żeś lepsza od nas, a to wcale nie. Moja mama mówi, że jesteś bękart. Chudy, mały bękart, zarozumiały chudy, mały bękart!

Jeszcze dwie koleżanki podniosły taki obelżywy krzyk i tańczyły wokół Elizabeth ciągnąc ją za długie, ciemne warkocze. Nagle to rozjątrzone dziecko pochyliło się i głową walnęło jedną z dręczycielek w brzuch. Zaskoczona koleżanka z wrzaskiem przewróciła się na podłogę akurat w chwili, gdy do szatni weszła mademoiselle Gina.

- Pchnęła mnie, Elizabeth pchnęła mnie, mam'selle.

Mademoiselle Gina spojrzała na Elizabeth zarumienioną szkarłatnie, z zębami wyszczerzonymi, z nogą cofniętą do kopnięcia.

- Wstydz się, Elizabeth, natychmiast idź do domu.

Później przy obiedzie mademoiselle Gina, jedząc zupę powiedziała siostrze:

- Znów kłopot z tym, że Elizabeth się bije.

- Ojej, nie sądzisz, że jej dokuczają?

- Jeśli nawet, to nie powód do przemocy. Dzieci często sobie dokuczają na boisku, ale tylko Elizabeth puszcza w ruch pięści. Ona bije się jak chłopiec.

- No, Roger, jej cioteczny brat bardziej się z nią przyjaźni niż którakolwiek z dziewczynek. Pewnie nauczył ją jakichś brutalnych sztuczek.

Szkoda, że ona wydaje się taka inna, poniekąd obca. Koleżanki stają się podejrzliwe, czują się z nią nieswojo. Dlatego jest taka trudna, dlatego nie ma przyjaciółek.

- Nie broń jej, Simone. Jest bardzo drażliwa, zawsze gotowa podejrzewać zniewagę i zbyt pochopna w swojej mściwości.

- Ona tylko wtedy traci panowanie nad sobą, kiedy uważa, że ją traktują niesprawiedliwie. Po prostu musi coś zrobić, żeby wyładować urazę. W pięć minut potem zawsze się uspokaja, a poza tym to bardzo pilna uczennica.

- No, owszem... ale nie może sobie pozwalać na taką porywczosć bez powodu. Życie nie będzie dla tej małej łatwe...

Elizabeth biegła do domu w śnieżnej ciszy, mróz ochłodził jej wzburzenie. Trzymając się mocno poręczy, wgramoliła się krok po kroku po wysokich kamiennych schodkach do drzwi wejściowych, umieszczonych powyżej linii zimowych zasp. Wspięła się na palce, zastukała żelazną kołatką, po czym się pochyliła, otworzyła skrzynkę na listy i przez ten otwór w drzwiach pociągnęła nosem: kartofle pokrajane w kostki z siekanym boczkiem i cebulą. W domu zawsze czuła się bezpieczna.

Ostrożnie, żeby nie naleciało śniegu, Angelina uchyliła drzwi. Jak zwykle, była w niebieskiej drelichowej sukience, w niebieskim fartuchu i czarnych wysokich butach. Nigdy się nie malowała, nigdy poza ślubną obrączką nie nosiła żadnej biżuterii.

- Maman, co to znaczy bękart? Tak mnie nazwały w szkole. - Elizabeth tupiąc strząsnęła śnieg z bucików.

Angelina wyraźnie się zaniepokoiła.

- Tak niemądrze czasami nazywa się tych, którzy nie mają ojca.

- Roger nie ma ojca, czy też jest bękartem?

- Oboje możecie mieć ojca, jeżeli chcecie.

Elizabeth podniosła wzrok zdumiona, gdy Angelina delikatnie wciągnęła ją do szwalni i zamknęła drzwi.

- Psst. To jeszcze jest wielki, wielki sekret. Ale kogo ty byś wybrała sobie na ojca?

- Królewicza z bajki.

- Nie, kogoś, kogo znasz.

- Rogera chyba nie, jest za młody... Już wiem... Felixa!

- Właśnie!

Długimi ciemnymi włosami i czubkami palców dotykając kocich łbów, Elizabeth w żółtym pasiastym kostiumie kąpielowym zwiślała głową w dół z lin trapezu, które oplatała chudymi nogami.

- Teraz się zakolysz i podnieś, i usiądź na drążku - powiedział Felix. - Jeszcze raz, Lili, po linach w górę najwyżej jak możesz... Dobrze.

Odkąd się ożenił, czyli od półtora roku, uczył tych dwoje dzieci sztuczek, które ćwiczył ze swoim bratem dawno temu na Węgrzech.

- A teraz trochę pracy na trampolinie - polecił i wyciągnął małą zieloną trampolinę na trawnik.

Gdy pouczał Elizabeth, słońce zachodząc powoli przyrumieniło szczyt dalekich gór. Angelina na balkonie wychyliła się znad poręczy, żeby zawołać ich na kolację. Przed nią chmurka kremowych motyli trzepotała wokół mirabelki, lekka słodka woń unosiła się z różowo-niebieskiego groszku, który rósł przy drewnianej kratce pod balkonem. Na dole Elizabeth chwyciła Felixa za obie ręce. Angelina patrzyła, jak ta cienkonoga dziewczynka szybko wchodzi po jego udzie i po biodrze i wskakuje mu na szerokie ramiona, jak się tam chwieje, odzyskuje równowagę, puszcza jego ręce, po czym powoli staje wyprostowana, z kolanami lekko ugiętymi, z rękami wyciągniętymi.

- Mogę już iść? - zawołał Felix.

- Jeszcze nie. Nie jestem gotowa... Au, Felix, ty zwierzaku.

- Nie gadaj, tylko skup się, Lili. Chcę zobaczyć piękny skok z moich ramion na trampolinę. Stopy mają być zsunięte i ładnie to wykończ.

Dziewczynka posłusznie przeleciała w powietrzu, odbiła się na zielonym płótnie raz i drugi i zeskoczyła na trawę. Wylądowała ze stopami trochę rozsuniętymi. Do licha! Zobaczyła nad sobą Angelinę i pomachała ręką, a potem usiadła na drewnianej huśtawce pod balkonem i huśtała się leniwie, wdychając lato. Zapachy rozgrzanej ziemi, róż ogrodowych i sosen w lesie wznosiły się i łączyły z bogactwem zapachów siana i gnojówki. Lato pachnie miodowym ciepłem, jesień pachnie ostrzej, bardziej dymem; pachnie cierpko jabłkami, które spadły z drzew i leżą w piwnicy, zanim będzie z nich różowa galaretką i sos jabłkowy, i stertami gnijących liści na końcu ogrodu, błagających, żeby je deptać i rozrzucić kopniakiem.

Felix zaniósł trampolinę do piwnicy. Potem zewnętrznymi drewnianymi schodami oboje, on i Elizabeth, poszli do kuchni na kolację. Roger już siedział przy stole. Wracając z lasu po kąpiel w strumieniu, nabierał pełną czapkę poziomek.

- Prawie taki dobry jak na Węgrzech - powiedział Felix z uznaniem po zjedzeniu pstrąga. Ta pochwała zawsze była przyjmowana drwiąco, ale dzisiaj dodał: - Przed

wojną, w tysiąc dziewięćset trzydziestym dziewiątym roku w każdej węgierskiej restauracji, nawet najwspanialszej, musiał być w jadłospisie posiłek za jeden pengó, to tyle co jeden szwajcarski frank. Teoretycznie byle jaki stary włóczęga, nawet bardzo brudny, ale mający jednego pengó, mógł wejść i zjeść. Zgodnie z prawem restaurator powinien go obsłużyć.

Elizabeth usiadła Felixowi na kolanach, jak zawsze po kolacji, i zwinęła się w kłębek.

- Opowiedz nam o Gundelach - poprosiła. Ogromnie lubiła słuchać jego opowieści z wesołych romantycznych Węgier przedwojennych.

- No Lili, byłem tylko młodym kelnerem, ale, och, widzieliśmy ta-a-kie potrawy. Prasowany łeb dzika w galarecie, szczupak na zimno z ćwikłą i sałatką z ogórka, szatkowany szpik w sosie koprowym, kopytka, wędzona kielbasa, treściwy czerwony gulasz, gęś po transylwańsku i naleśniki wprost napęczniałe puchatym pomarańczowym twarogiem z rodzynkami, polane sosem czekoladowym...

- Nie mów nam o jedzeniu, opowiedz o tych dzieciach i zabawach w parku - zażądała Elizabeth władczo, uderzając go piąstką w pierś.

- No, Lily, jak wiesz, Gundelowie mieli dziesięcioro niegrzecznych dzieci, mieszkali nad restauracją, a wokoło restauracji były drzewa i od frontu dwie wielkie furtki z czarnego żelaza.

- Już opowiedz o tej zabawie w parku! - Elizabeth piszczała z podniecenia.

- No, pierwsze pięćdziesiąt stolików to była ogrodowa piwiarnia... chociaż myśmy tam przeważnie pili białe wino... przy następnych pięćdziesięciu stolikach siadali ci, którzy chcieli zjeść coś droższego, a dalej w głębi wchodziło się po ośmiu niskich kamiennych stopniach na taras, opleciony dzikim winem do samego dachu, i właśnie tam jadała arystokracja. Całe Węgry ucztowały razem w jednym ogrodzie i tym ludziom przy piwie trąbiła orkiestra dęta, a niedaleko tarasu przygrywała romantyczna orkiestra cygańska.

- Felix, pokaż, jak grali Cyganie! - zawołała Elizabeth podniecona.

- Byli w cudownych, jaskrawych strojach węgierskich. - Felix wstał, pieczołowicie posadził ją na swoim krześle; udrapował sobie szkarłatną serwetkę pod szyję, z salaterki na stole wziął dwie pary wiśni i zawiesił je na uszach, po czym zawiązał na głowie swoją czerwoną w kropki chustkę od nosa i zaczął niemrawo jak wielki czarny niedźwiedź skakać wokół kuchennego stołu, udając, że gra na skrzypcach.

Elizabeth znów piszczała z zachwytu.

- Czy możemy się pobawić w najlepszą noc wszechczasów, Felix? Och, proszę cię...

Felix pytająco spojrział na Angelinę. Angelina roześmiała się i przytaknęła. Dziewczynka wybiegła uradowana. Po chwili wróciła w samej halce. Przyniosła tradycyjny czerwony pasek, szeroki, sznurowany i dwa długie kawałki prześcieradła.

- Zaczynaj, Felix, zaczynaj! - wykrzykiwała, gdy Angelina pobłażliwie związywała jej białą bawełnianą szatę na chudych ramionkach.

- Najlepsza noc wszechczasów - powiedział Felix podkręcając czarne wąsy - zaczęła się w pewien aksamitny wieczór w tysiąc dziewięćset trzydziestym ósmym roku, kiedy król Albanii, Zou, zaręczył się z węgierską arystokratką. Geraldine Apponyi ona się nazywała. - Angelina rozplotła warkocze dziewczynki i spulchniła jej długie ciemne włosy. - Była piękną brunetką - mówił Felix - i miała zostać królową Albanii. Wydali ogromną kolację na tarasie, podawałem od siódmej wieczorem do siódmej rano. - Angelina zaczęła wpinać białe róże ze stojącego na stole wazonu we włosy dziewczynki, aż utworzył się z nich diadem. Felix mówił dalej: - Była muzyka, ale tańców nie było, tylko przez całą noc wesołe radosne przemówienia.

Angelina zasznurowała czerwony pasek na dziewczynce. Elizabeth wyprostowała się, poważna, bardzo przejęta, świadoma, że wszyscy patrzą na nią.

- Felix, czy ta królowa trochę się bała?

- Trochę była oszołomiona, chyba. Ale wyglądała olśniewająco w białej sukni z koronką i z brylantami jak iskry w tych gęstych, ciemnych włosach.

Pod wiankiem z białych róż ciemniała opalona buzia dziewczynki, błyszcząły jej rozmarzone duże ciemne oczy. Pogodna, pewna siebie i prześliczna Elizabeth podniosła czoło i po królewsku skinęła głową.

- Co ja tam jadłam, Felix?

- Podaliśmy ci potrawę z utartych jajek, mózdzku cielęcego i pieczarek, taką zwyczajną przekąskę. - Felix nagle zmieniając się w unżonego kelnera udał, że podaje półmisek. - Prawie nie mogłem oddychać! Oczu nie mogłem oderwać od tej pięknej damy. Ona sobie wzięła tylko łyżeczkę tej przekąski, nawiasem mówiąc zupełnie inna niż arcyksiężniczka Augusta... córka cesarza Franciszka Józefa... Ta to miała twarz jak niedźwiedź; apetyt jak niedźwiedź i śmiała się jak niedźwiedź. I paliła ogromne cygara, puff, puff, puff...

Raptownie dziewczynka wyciągnęła różę z włosów, zarzuciła na gołe ramionka czerwoną serwetkę, lewą ręką skręciła włosy w kok i przytrzymując je, usiadła na krześle. W szerokim uśmiechu wyszczerzyła zęby, pokiwała głową mądrze, jak gdyby wszystkie rozumy zjadła, po czym podniosła do ust prawą rękę niby to z cygarem.

- Puff, puff, puff, czy to tak?

- Jako żywo, wasza wysokość:

- Psujesz ją. - Angelina się roześmiała, cóż kiedy Felix psuł ich wszystkich. Prowadzili takie spokojne, stateczne, uporządkowane życie, dopóki Felix nie wtargnął z tą swoją męską siłą, wylewnością, hałasem. - Czas już spać - powiedziała zabierając się do zdejmowania z Elizabeth zasuplanej na ramionach szaty.

- Maman, czy mogę mieć prawdziwą białą sukienkę, a nie jakieś stare prześcieradło?

- Nie, tylko byś ją od razu pobrudziła, ty mała akrobatko. Podrośniesz, to dostaniesz białą sukienkę, jeżeli będziesz dobrym dzieckiem.

- Felix, czy jestem taka dobra jak ty, kiedy byłeś mały?

- Na trapezie, Lili, owszem, ale nie tak dobra na trampolinie. Ale we wrześniu pojedziemy na Węgry i będziesz mogła ćwiczyć z wujem Sandorem na trampolinie, która nam służyła, kiedyśmy byli dzieciakami, i mam nadzieję, że wtedy nauczysz się robić podwójne salto i lądować ze stopami zsuniętymi!

Rozdział piętnasty

Elizabeth, wychylając się z okna, machała ręką do ludzi, których mijala. Robotnicy rolni w niebieskich drelichach odpowiadali jej machaniem z pól wysokiej kukurydzy, bujnych liści tytoniu czy kłaniających się żółtych słoneczników. Pasterze na koniach strzelali z batów nad stadami leniwych wielkich białych wołów. Jak wehikuł czasu, oliwkowy pociąg pędził przez węgierską wieś, która w ciągu ubiegłych dwustu lat niewiele się zmieniła.

Wszystko wyglądało tak ładnie, że Elizabeth nie mogła zrozumieć, dlaczego Felix zwykle wesoły, dziś siedzi z głową wciąż odwróconą od drzwi przedziału prowadzących na korytarz, przygryza wargę i drży. Chociaż patrzy za okno, chyba nie widzi tych równych złotych łąnów zboża ani jezior; spokojnych rybaków w płaskodennych łódkach i wierzb na brzegu płaczących długimi gałęziami prosto w wodę.

Angelina pociągnęła Elizabeth za bawełnianą sukienkę, gdy mijali wznoszące się nad drzewami popielate baszty i blanki.

- Już dojeżdżamy, uczeszę cię...

W Sopron wuj Sandor czekał na nich na peronie, machając batem na znak, że ich rozpoznał. Ciemnowłosy, ogniście przystojny jak Cygan, miał jeszcze dłuższe wąsiska niż jego brat, Felix. Uściskali się serdecznie, po czym wszyscy wsiedli na zakurzony czerwony wóz gospodarski. Czekala ich cała godzina jazdy cienistymi drogami w szpalerze wierzb, biegnącymi przez winnice.

W końcu dojechali do obejścia Sandora. Nad niskim domem zapadał już zmierzch. Wzdłuż bielonych ścian rosły oleandry kwitnące biało i różowo i pachnące wanilią, na ścianie przy oknie kuchennym suszyły się na długich sznurach ciemnoczerwone papryki, psy szczekaniem powitały wóz. Babcia Kovago wybiegła na podwórze, wytarła ręce o swój biały fartuch i od razu wciągnęła dzieci do kuchni, gdzie już paliła się lampa i gdzie w wystrzępionym czarnym ubraniu, rozpiętej koszuli bez kołnierzyka czekał z otwartymi ramionami dziadzio Kovago.

Ścianę naprzeciw kuchennego pieca zdobiły trzy stare śrutówki, tamburyn i w złotych ramach kilka obrazów, na których prymitywnie namalowani święci wznosili oczy w górę, i dwie dziewiętnastowieczne szarozółte fotografie cesarzowej Elżbiety poważnie wpatrzonej w blask lampy. Na kuchennym stole stały drewniane półmiski i ogromne gliniane garnki z jedzeniem. Cierpki zapach sera, korzeni i domowego wina przesycił powietrze w tej niskiej izbie. Z krokwi, pociemniałych od dymu, zwisały czarne szynki, wianki kielbas i sznury suszonych grzybów.

Gdy kobiety kładły dzieci spać, Felix po raz pierwszy znalazł się z ojcem sam. Stary raptownie przestał być miły.

- Dlaczego przyjechałeś? Jak możesz tak strasznie narażać nie tylko siebie, ale swoją żonę i te dzieci?

Felix milczał. To była dla niego trudna decyzja. Od trzech miesięcy, odkąd otrzymał przemyconą wiadomość od matki, pocił się na myśl o ryzyku, jakie podejmuje. Będąc uchodźcą wojennym, na próżno ubiegał się o obywatelstwo szwajcarskie, a nie mógł wystąpić o paszport węgierski. Nawet udanie się do konsulatu węgierskiego w Bernie, żeby zasięgnąć informacji o możliwości odwiedzenia ojczyzny, byłoby z jego strony niebezpiecznym szaleństwem. Mało, że w armii węgierskiej walczył z Rosjanami, ale w

dodatku potem służył w armii niemieckiej. Gdy zwrócił się z prośbą o radę do antykomunistycznej grupy Węgrów na wygnaniu w Genewie, powiedziano mu, że może się spodziewać aresztowania na granicy i skazania na dwadzieścia lat obozu pracy - jeżeli będzie miał szczęście!

Po dyskusji jednak to ugrupowanie ostatecznie się zgodziło zaopatrzyć Felixa w konieczne fałszywe dokumenty i ustalono, że przekroczy granicę z żoną Szwajcarką i dwojgiem szwajcarskich dzieci, żeby to wyglądało na wakacje rodzinne.

Dotychczas, wbrew jego obawom, wszystko było dobrze. W świetle kuchennej lampy podniósł głowę i po raz pierwszy zwrócił się do ojca, nie jak układowy syn, tylko jak mężczyzna do mężczyzny.

- Przecież tatuś wie, dlaczego przyjechałem. Mama mnie wezwała. Bo tatuś... nie będzie żyć wiecznie. Wszyscy o tym wiemy. Przyjechałem, żeby oboje rodziców zobaczyć... jeszcze raz... I mama chce, żebym wyciągnął stąd Sandora. Dlatego przyjechałem i zrobię to.

- Czy Angelina wie?

- Nie wie. Tak bezpieczniej dla niej.

- A Sandor?

- Też jeszcze nie. Z tego samego powodu. Zaległo milczenie.

Po chwili stary westchnął i powiedział:

- Masz odwagę i jestem z ciebie dumny, ale brak ci rozsądku. Gniewa mnie to, że nierozsądnie narażasz się na niebezpieczeństwo.

Przez następne dwa tygodnie Elizabeth i Roger prowadzili przyjemne sielskie życie węgierskich chłopskich dzieci, które niewiele się zmieniło od średniowiecza. Jeździli konno na oklep, pływali w jeziorze i zrywali z żywopłotów maliny i jeżyny na galaretkę. W wilgotnych gąszczach lasu zbierali grube tłuste grzyby, osrebrzone kropelkami rosy i duże jak piątka dziecka.

Ćwiczyli akrobacje na trampolinie, którą wuj Sandor wywlókł ze stajni. To on podrzucał ich, łapał i pouczał, gdy skakali i obracali się na płótnie. Chudziutka mała Lili wypełniała każde polecenie wykrzykiwane przez Sandora i szybowała w powietrzu jeszcze długo potem, gdy Roger znudzony odbiegał, żeby penetrować stajnie. Oboje chodzili na krótkie spacerunki z dziadkiem Kovago albo na długie spacerunki po lesie z wujem

Sandorem, który niósł drugie śniadanie dla nich w koszyku przypasanym jak plecak. Pewnego dnia doszli do granicy austriackiej na północny zachód od farmy. Jedząc wędzoną kielbasę wspięli się tam na szczyt wzgórza, Lili była jednak rozczarowana. Spodziewała się zobaczyć biegnącą w dal, hen, gdzie wzrok nie sięga, czerwoną linię jak na mapach w szkole, a tu się okazało, że żadna czerwona linia nie przedziela sosnowych lasów na zboczu.

Gdziekolwiek się rozglądali wokół farmy, widzieli winnice, które rozciągały się aż do horyzontu. Winorośl, wprawdzie nie tak wybujała jak w Szwajcarii, była wyprowadzona na słupy wysokości dwudziestu stóp i jej rzędy sprawiały wrażenie wigwamów pokrytych zielonymi liśćmi. Angelina pracowała w winnicy razem z miejscowymi kobietami zrywając winogrona, często wchodząc po wysokiej drabinie, żeby dostać się do najwyższych gałązek. Doglądał winobrania krzepki nadzorca, zgarbiony pod ciężarem dużego drewnianego pojemnika, do którego każda z kobiet, gdy ją mijał, wrzucała zawartość swego kubelka. Gdy pojemnik był pełny, nadzorca wchodził na drabinę opartą o ciężarówkę bez budy i przechylał się tak, że winogrona z pojemnika sypały się nad jego głową na coraz większą złocistą stertę owoców w ciężarówce.

W pewien wieczór Elizabeth triumfalnie podbiegła do Felixa i rzuciła mu się na szyję.

- Ćwiczyłam cały dzień. Już potrafię z furtki podwórza zrobić na trampolinę salto do tyłu!

- Potrafisz?

- No, prawie potrafię.

- Albo potrafisz, albo nie potrafisz, Lili. Zawsze mów „tak” albo „nie”. Potrafisz albo nie potrafisz, chcesz albo nie chcesz. Wszyscy wiedzą, co to czarne i co to białe, szary kolor może być najrozmaitszy. Więc trzymaj się bieli albo czerni, moja panno. No, pokaż swoje salto.

Tegoż wieczoru dwaj bracia Kovago poszli do odległej o dwie mile miejscowej csarda, żeby pogadać z ludźmi, których znali od dzieciństwa. Gdy wracali w poświacie księżyca, po nasłuchaniu się plotek i o wiele za dużej ilości białego wina, Sandor nagle powiedział:

- Wiesz, Felix, muszę przyznać, że miałem cię za durnia, kiedy wyjechałeś z Węgier, i za durnia, kiedy zaryzykowałeś przyjazd tutaj, a już najbardziej za durnia, kiedy zostawiłeś to gospodarstwo dla mnie. Ale teraz nie jestem tego taki pewny.

- Czemu za durnia? - zapytał Felix ostrożnie. - Wszystko wygląda jak najlepiej, winogrona rosną, słońce świeci, dzieci się bawią.

- Felix, tyś zawsze widział tylko co, co masz przed nosem. - Sandor potknął się. - Z pogodą, którą Pan Bóg daje, nie dzieje się nic złego, cały kłopot to tyrania ludzka. Pod powierzchnią, Felix, na Węgrzech dzieje się coraz gorzej. Ty nie czujesz, jaki lęk jest w miastach. Ty nie zauważasz, że ludzi się zabiera ze wsi do pracy w nowych fabrykach, więc produkcja rolna maleje, bo rolnictwo zepchnęli na drugie miejsce.

Zatrzymał się w księżycowej poświacie na szosie i przesadnie po pijanemu zaczął odliczać na palcach:

- Na drugim miejscu rolnictwo, bo na pierwszym jest przemysł węglowy, przemysł chemiczny, przemysł boksytowy i barwników. Rosjanie przysyłają tu surowce, które Węgrzy muszą przetworzyć w produkty i prawie wszystkie odesłać do Rosji. Nasi robotnicy nie mogą się wykazać swoją pracą. A znów wszystko, co produkuje wieś, zabiera państwo i mnóstwo żywności wywozi się z kraju, więc rolnicy też raczej nie mają bodźca do pracy... a jeżeli nie ma dostatecznych plonów, to rolnik może ni stąd, ni zowąd znaleźć się w więzieniu.

- Ale jeżeli sprzedasz świnię czy gęś, Sandor, czy musi ktoś o tym wiedzieć?

- Dasz się przyłapać na sprzedaży jednej bodaj gęsi na czarnym rynku, dostaniesz wyrok siedem lat więzienia. Tłumaczę ci, powoli stajemy się niewolnikami ruskich.

Szli w milczeniu tą szosą srebrną od poświaty, gdy nagle Sandor dodał:

- Janos, kierownik szkoły, mówi, że gazety i radio podlegają cenzurze, większość powojennych książek i sztuk teatralnych to tylko naga sowiecka propaganda.

- Nic nowego, Sandor.

- Tak, ale Janos mówi, że w Budapeszcie nawet komunistyczni intelektualiści już zaczynają krytykować przykre strony systemu rosyjskiego. Rozumiesz? - znów się potknął. - Węgierscy komuniści krytykują Związek Radziecki.

- To zdrowe.

- Rosjanie na to nie pozwalają. Tajna policja jest z dnia na dzień potężniejsza. - Sandor objął brata ramieniem. - W czerwcu Miklos, kowal, upił się w esarda kiedyś

wieczorem i powiedział mniej więcej to, co ja ci mówię. Następnego dnia po południu przyjechała policja, wepchnęli go do samochodu i zabrali w stronę Budapesztu. - Znieruchomiał w księżycowej poświacie przypominając to sobie. - Nikt nie wie, co się z Miklosem stało, ale podobno zawieźli go do Komendy Avo na ulicy Andrassy, gdzie oni mają komory tortur, więc chyba już nigdy go nie zobaczymy. Mówię ci, gdyby nie to gospodarstwo i staruszkowie, wyjechałbym z wami zaraz po święcie winobrania.

Felix zachował swoje plany przy sobie, gdy tak szli dalej w poświacie księżyca. Zauważył tylko:

- Rolnik nigdy z głodu nie umrze, jeżeli usta zamyka na skobel.

Wśród namiotów postawionych wokół esarda chodzili przekupnie, namawiając wieśniaków, by kupowali sznury serdelków, ciastka i słodycze. W namiotach też kwitł handel, energicznie sprzedawano kapelusze, suknie, ozdoby, garnki i patelnie, kosy i inne narzędzia rolnicze. Poprzedniego dnia wokół esarda była pusta równina porośnięta trawą, teraz tłoczyli się odświętnie, jaskrawo wystrojeni ludzie uroczyście obchodzący szuret, święto winobrania. Niejedna z kobiet miała na sobie ni mniej, ni więcej tylko dwadzieścia pięć halek pod zieloną czy szkarłatną spódnicą, sięgającą do skraju cholewek bucików ze szkarłatnej miękkiej skóry; białe organdyne bluzki i małe kamizelki były suto haftowane.

Rankiem tego dnia kobiety splotły olbrzymi wieniec z winogron i kwiatów

leśnych i polnych, związanych kolorowymi wstążkami. Wieniec został uroczyście przeniesiony z winnic do miasteczka, a na czele radosnego, hałaśliwego pochodu szła przygrywając wesoło orkiestra cygańska. Elizabeth i Roger maszerowali wolno wraz ze wszystkimi przez miasteczko do csarda, gdzie jak wszyscy oni też dostali po szklance bladoczystego wina, zanim zaczęło się świętowanie. Przywódca Cyganów podniósł wysoko swą ciemną głowę i wolniutko przeciągnął smyczkiem po skrzypkach. Jeden po drugim przyłączały się instrumenty, muzyka stawała się głośniejsza, coraz szybsza, coraz bardziej natarczywa. Wkrótce już w tańcu migały wysokie buty, wirowały spódnice, kręciły się ręce, rozbrzmiewały niepohamowane okrzyki radości.

- Żaden naród nie tańczy tak jak Węgrzy! - wrzasnął wuj Sandor pociągając w płasy Angelinę. - Taniec mamy we krwi i nic nie może nas powstrzymać!

Elizabeth stwierdziła, że to zupełnie inna zabawa niż w spokojnej, statecznej Szwajcarii. Oczy miała okrągłe jak spodki, gdy patrzyła na wir tych spódnic, na rozwiane ciemne włosy i rozplamione twarze dorosłych.

- Chodź, Lili, nauczę cię tańczyć! - wykrzyknął Felix, chwytając ją za rękę. W rozpiętej przy szyi białej koszuli z wielkimi bufiastymi rękawami, w szkarłatnym pasie i rozpiętej czarnej kamizelce, w obcisłych czarnych spodniach wpuszczonych w wysokie szkarłatne buty, wyglądał cudownie. Biegiem ruszył z Elizabeth w stronę tańczących i raptownie stanął, przekuśtykał dwa kroki, znów zatrzymał się i zamrugał z bólu.

- Do diabła, nie mogę. Stopa mi pulsuje. Musisz poczekać na Sandora. Tak więc Lili przytupywała, wirowała, kręciła się z wujem Sandorem,

podczas gdy Felix dowlóknął się do ławki, usiadł i zdjął but z prawej nogi. Angelina obejrzała jego stopę, a on znów mrugał z bólu.

- Komar mnie ugryzł, ja to drapałem. Zakaziło się, nic poważnego.

Nie chciał, żeby uządlenie komara zepsuło radość szuret, więc z trudem wcisnął but na nogę i usiłując nie zwracać uwagi na bolesne pulsowanie, cieszył się przynajmniej widokiem tańców. Ale wieczorem wrócił na farmę razem z kobietami wozem.

Angelina kazała mu wymoczyć stopy w blaszanej miednicy, babcia Kovago przygotowała okład z chleba. Dziadek wyśmiał propozycję Angeliny, żeby wezwać lekarza. Wyjmując swą czarną fajkę z ust, ten sękaty staruszek parsknął śmiechem.

- Na ukłucie komara?! - Złota dewizka zwisająca mu na krągły, mały brzuch, kiwała się do wtóru.

Nazajutrz Felix siedział na podwórzu przed kuchennymi drzwiami. Owiniętą w białe płótno stopę trzymał na krześle. Ale wieczorem znów zaczęło się pulsowanie i nazajutrz rano prawie nie mógł chodzić.

Angelina upierała się przy wezwaniu lekarza, więc Sandor wyruszył konno do Sopron. Wieczorem, gdy przyjechał doktor, Felix miał wysoką gorączkę, pocił się i obolały starał się nie poruszać.

- Zakażenie krwi. Potrzebna mu penicylina, a nie okłady z chleba -marszcząc brwi nad okularami zsuniętymi do połowy nosa, warknął doktor, ledwie zobaczył tę spuchniętą fioletowoczerwoną stopę. - Nie wstanie pan z łóżka co najmniej przez dwa tygodnie. Jeżeli będzie pan miał szczęście.

Wobec tego Angelina napisała list do Herr Panglossa, dyrektora hotelu Rosat, z wiadomością że Felix wróci dopiero pod koniec października. Ale że nie ma powodu do niepokoju. Ostatecznie to tylko uządlenie komara.

Pod wieczór w środę, 24 października 1956 roku (już od trzech tygodni Elizabeth i Roger powinni byli chodzić do swojej szkoły w Szwajcarii) wuj Sandor odbył dwumilowy spacer, by w esarda pod miasteczkiem jak zwykle przy fajce i winie pogawędzić z Janosem, kierownikiem szkoły. Wieczory były już zimne, włożył bunda, tradycyjny haftowany długi kożuch.

O dziesiątej wieczorem babcia zaniepokojona tym, że Sandor jeszcze nie wrócił, zaczęła utyskiwać:

- Polityka, polityka, zawsze kiedy wypiją za dużo wina, tylko gadają bez sensu o polityce.

Po jedenastej zrezygnowali z czekania i mieli już położyć się spać, gdy ciężkie drzwi kuchni raptownie się otworzyły i wbiegł zdyszany Sandor.

- Rewolucja wybuchła! W Budapeszcie! Prędko nastawcie radio! Studenci opanowali radiostację!

W rozgardiaszu skrzypiały krzesła, padały pytania, a on podszedł do dużego staroświeckiego odbiornika i nastawił Radio Budapeszt, gdzie nadawano z płyt muzykę cygańską zgoła nie rewolucyjną.

Obudzona hałasem Elizabeth wysunęła się z łóżka i zajrzała za drzwi. Po raz pierwszy Felix ją zignorował. Wszyscy dorośli zebrali się przy radiu. Wuj Sandor wykrzykiwał:

- Nagy znów jest prezydentem Węgier, mianowali go Rosjanie. Dziś wieczorem o dziewiątej ogłoszono stan wojenny. Słyszeliśmy to przez radio w esarda. Później podali, że Nagy poprosił wojska radzieckie o pomoc, żeby przywrócić porządek.

Zaprotestowali chórem.

- Nagy to patriota, nigdy by tego nie zrobił.

- No zrobił. Słyszałem, jak podali.

- Więc Rosjanie na pewno go zmusili.

- Siadaj, Sandor, i opowiedz wszystko od początku. W tym cholernym radio nic tylko muzyka.

- Może powinniśmy wrócić do Szwajcarii - podsunęła Angelina, zmartwiona.

- Nie wyjedziecie. Granice zamknięte, bez sowieckiej przepustki nikt nie wyjedzie.

Angelina z przestachem spojrzała na Felixa. Podszedł do niej kulejąc, uściskał ją i powiedział:

- Nie ma się czego bać, tu jesteśmy bezpieczni. Połóż Liii z powrotem do łóżka i posiedź przy niej, dopóki nie zaśnie... Mama też niech idzie spać, mamó. Wojna to męska sprawa.

Niespokojne, ale posłuszne, kobiety odeszły. Wtedy Sandor powiedział:

- Dopóki noga ci dokucza, Felix, siedź tutaj i pilnuj, żeby im nic nie groziło. Zostawię ci jedną strzelbę, dwie zabiorę do Budapesztu. Proszę przez radio o żywność, więc zaczniemy ładować na wóz jutro z samego rana. Nie, tato, oni za was walczą, to wasza rzecz ich nakarmić. Jadę jutro do Budapesztu z Janosem.

Nazajutrz o świcie, chociaż babcia płakała ze zgrzyoty, Sandor odjechał skrzypiącym wozem, który z ładunkiem żywności wyglądał jak platforma na kołach w pochodzie dożynkowym, gdy koń go ciągnął po zamarzniętych koleinach traktu.

Po południu dziadek poszedł do miasteczka dowiedzieć się, co słychać, i wrócił dopiero o zmroku.

- Awo w Budapeszcie otworzyli ogień do bezbronnego tłumu, dwunastu tysięcy ludzi, do dzieci, kobiet i starców - warczał - a potem wrzucali zwłoki do Dunaju.

W niedzielę, zaledwie w pięć dni później, odkąd walki się zaczęły, zmęczony, ale triumfalny głos premiera Nagya obwieścił przez radio, że Chruszczow zgodził się wycofać wojsko sowieckie. Wyglądało na to, że kraj rzeczywiście się wyzwolił, gdy radzieckie czołgi z dudnieniem wyjeżdżały ze spustoszonych ulic Budapesztu i - po raz pierwszy od dziesięciu lat - radio i gazety nie podlegały cenzurze.

Ale dziadzio był sceptyczny i podejrzliwy.

- Niemożliwe, żeby Rosjanie poddali się tak łatwo, na pewno coś szykują - dowodził uparcie. - Kiedy będziecie w moim wieku, wy także nie zaufacie niedźwiedzim, które zachowują się jak jagnięta. Powstanie musiało ich zaskoczyć... ostatecznie wszystkich zaskoczyło... myśleli pewnie, że my, Madziarzy, po takim długim czasie już nie mamy w sobie bojowego ducha.

Zapalił fajkę, posłał cybuch i potrząsnął głową.

- Zapamiętajcie moje słowa. Rosjanie są potulni, bo wolą żeby Zachód nie przyłączył się do naszej wilki. Kiedy tylko cały szum i zainteresowanie ucichnie, wrócą tutaj te skurwysyny i znów będą nam deptać po karkach.

I dziadzio miał rację. Pierwszy dzień listopada przyniósł złowieszczą wiadomość, że setki czołgów sowieckich wjeżdżają przez granicę na Węgry. Wmaszerowały już i otoczyły Budapeszt tysiące radzieckich żołnierzy.

Co dzień rano i o ósmej wieczorem dziadzio jeździł do miasteczka, żeby w urzędzie pocztowym czekać o umówionej porze na telefon Sandora.

- Jeszcze nic, mamó - meldował po powrocie. - Poza tym, że uchodźcy z miast tłumami ciągną do granicy austriackiej, a sowieckie czołgi ich zawracają każdego, kto próbuje uciec. Żadna przyjemność uciekać w taką pogodę; ostry wiatr, śnieg i będzie coraz gorzej.

We wtorek 6 listopada wieczorem Sandor dodzwonił się do urzędu pocztowego.

- Tylko się nie zdenerwuj, mamó, oni natarli na sowiecki czołg i Sandor dostał kulę w prawą rękę i ramię - powiedział dziadzio, nie dodając, że w tej samej walce Janos poległ.

- Sowietci już w Budapeszcie. Bombardują domy, strzelają do przechodniów. Ciężkie walki są w innych miastach także, ale w Budapeszcie najgorzej i Rosjanie znów tam panują. Jak w tysiąc dziewięćset czterdziestym piątym, Boże, zlituj się nad nami.

I ze smutkiem dziadzio dokończył:

- Sandor mówi, że w Budapeszcie głód, naszym brakuje amunicji i środków opatrunkowych... Sandor stara się wrócić do domu i uważa, że powinniśmy uciec do Austrii. Represje będą straszne i może wszystkich zdrowych dorosłych wywiozą do sowieckich obozów pracy.

- Na miłość boską - powiedział Felix. - Angelino, zabierz gdzieś stąd te dzieci.

Dzieci, prawie zapomniane od paru dni, zniecierpliwione zdenerwowaniem starszych, trzymały się z daleka. Na dworze było za zimno, i śniegu nie napadało dosyć, żeby ulepić bałwana czy rzucać śnieżkami - tylko cienka biała warstewka pokrywała stwardniałą ziemię. Ale teraz wuj Sandor został ranny i starsi bardzo się martwili.

- Wywieście w oknie latarnię, niech się pali całą noc na wypadek, gdyby Sandor tu szedł po ciemku - polecił dziadek i zwrócił się do Felixa, ujmując go za obie ręce. - Synu, my za starzy, żeby stąd pójść. Urodziliśmy się tutaj i tu chcemy umrzeć, kiedy dobry Pan

Bóg nas zawoła. Ale wy musicie uciekać, kiedy tylko Sandor się zjawi. Nie dla Rosjan wychowaliśmy naszych dwóch synów.

Babcia ze ściśniętym gardłem tylko patrzyła na Felixa smutnymi w siatce zmarszczek oczami. Lękała się, że to będzie pożegnanie na zawsze.

Księżyc przedarł się przez chmury i zalał tę wiejską okolicę srebrem. Gromadka ludzi, szybko idąc ścieżką wśród pól pod srebrnym śniegiem, widziała z daleka wioskę i winnice między rzędami drzew. Wszyscy byli w ciemnych grubych płaszczach, dzieciom zawiesili na szyjach tekturowe tabliczki: ich personalia, jak zawsze się to robi w czasie takich ucieczek na wypadek, gdyby zostały odłączone od towarzyszących im dorosłych. Sandor miał prawą rękę na temblaku, co powodowało, że nie mógł zapiąć górnych guzików płaszcza, więc zimny wiatr chłostał mu pierś, Felix podpierał się pasterską laską, w drugiej ręce niosąc jedyną pozostałą strzelbę.

Była godzina druga nad ranem i już zbliżali się do granicy. Wędrówka zanadto ich nie zmęczyła, bo szli przeważnie przez las w dół zbocza. Dwa razy brodzili w lodowatych, wartkich potokach i wtedy Elizabeth przenosił na ramionach Felix, który nadal fatalnie kuśtykał i nie powinien był forsować swojej chorej nogi. Kierowali się do leśnej ścieżki biegnącej do granicy w miejscu, jak Sandor wiedział, nie ogrodzonym. Okazało się jednak, że tam jest ogrodzenie z drutów kolczastych. Za drutami rozciągała się na przestrzeni pięciuset jardów ziemia niczyja, aż do następnych drutów kolczastych - faktycznej granicy. Oba te ogrodzenia i ziemię niczyją patrolowała policja z psami.

Jak na ironię, bezpieczne przejścia były nieraz w pobliżu wysokich drewnianych wież strażniczych, które znaczyły linię pogranicza i z których strażnik miał rozległy widok. Tych wież zwykle nie obsadzano dostatecznie, a czasem nawet pozostawiano puste. Nie można było na to liczyć teraz, ale oni przechodząc w mroku koło jednej z nich mogliby widzieć, co się dzieje i gdzie penetrują smugi reflektorów.

Mieli czekać w dogodnym miejscu, aż patrol z psami się oddali, po czym popędzić za granicę, do wolności. Idealizując, Sandor spodziewał się, że wypatrzy takie miejsce w poświacie księżycy i że ruszą stamtąd, gdy księżyc znowu wyjdzie zza chmur. Wolaliby, żeby to była noc bezchmurna, ale nie mieli wyboru: im dłużej zwlekali z ucieczką, tym niebezpieczniejsza się stawała.

Ni stąd, ni zowąd prawie weszli na pierwsze kolczaste ogrodzenie. Było ledwie widoczne, wysokości około sześciu stóp i z kolcami o wiele dłuższymi, o wiele

ostrzejszymi niż drut kolczasty używany w rolnictwie. Za nim leżała ziemia niczyja. Łaty śniegu białeły na nierównej trawie, która porastała dosyć stromą skarpe. Nie mogli dojrzeć, co jest po tamtej stronie.

Sandor dotknął brata i bez słowa wskazał, że mają iść w prawo. Szli teraz skrajem lasu, aż ukazała się drewniana graniczna wieża. Stał na niej chyba tylko jeden strażnik, powoli obracając pojedynczy reflektor. Pięcioosobowa gromadka cofnęła się z powrotem między drzewa. Musieli wyjść poza zasięg wężu psów, a jednak pozostać w zasięgu słuchu; na szczęście, wiatr dmuchał im w twarz od strony granicy. Gdy patrol już przejdzie, mieli dobiec do ogrodzenia i przeciąć dolne druty dwoma sekatorami, których ostrza były dokładnie oblepione błotem, żeby nie błyskały w poświacie. Mieli znów się schronić między drzewa, gdy reflektor zacznie sunąć w ich kierunku. A potem, gdy tylko przesunie się dalej, dobiec z powrotem do tych rozciętych drutów i tamtędy uciec. Roger miał trzymać się płaszcza Sandora. Elizabeth miała uczeplić się Felixa.

Sandor już nie czuł swoich zmarzniętych nóg. Ramię, szyja i klatka piersiowa bolały go, ale to nie było tak niebezpieczne jak bolesne pulsowanie zakażonej nogi Felixa. Sandor cicho ruszył sam naprzód i zaczął pod jodłą. Jodła trzęsła się bezszelestnie i osypywała go śniegiem. Po chwili usłyszał dalekie skrzypienie butów, ciche powarkiwanie psów. Wycofał się znów między drzewa, gdzie czekali Felix, Angelina i dzieci, spojrzął na swój fosforyzujący zegarek. Dwadzieścia po drugiej.

Stali teraz w mroźnym zimnie, dopóki patrol nie wrócił, bo musieli wiedzieć, co ile minut jest obchód. Angelina delikatnie, wełnianymi rękawiczkami z jednym palcem, rozcierała dzieciom twarze, by pobudzić krążenie krwi.

Potem znów usłyszeli ciche głosy i znów dyszenie psów - patrol wracał. Szedł z wiatrem, więc Sandor mógł się wysunąć, zaczekać i dobrze go zobaczyć. To byli dwaj ludzie w płaszczech i okrągłych sowieckich czapkach z nausznikami. Nieśli automatyczne karabiny.

Pięćdziesiąt minut pomiędzy jednym patrolem a drugim; powinno być dosyć czasu.

Popędził z powrotem do swojej gromadki i skinął, żeby ruszyli za nim. Księżyc teraz zasłoniły chmury, trudno więc im było widzieć Sandora, mglistą postać biegnącą wśród jodeł.

Angelina z dziećmi czekała w ukryciu, gdy bracia podczołgali się do wysokiego ogrodzenia i zaczęli przecinać dolne druty. Sandor niezgrabnie lewą ręką ciął pierwszy od dołu. Felix ciął drugi.

Wydawało się, że sekatory nie robią na tych drutach żadnego wrażenia. A potem nagle Felix już trzymał dwa obwisłe końce zamiast jednego napiętego drutu. Szybko zaczął przecinać następny. Obaj zdyszani pracowali zaciekle, wiedząc, że od tego zależy ich życie. Gdy smuga reflektora - jak co dwadzieścia minut - sunęła ku nim, rzucili się pod osłonę z drzew.

Gdy się przesunęła, wrócili do pracy, klnąc i sapiąc z wysiłku, dopóki z cichym zgrzytnięciem drut się nie przerwał.

Nisko pochyleni pogramolili się po śniegu z powrotem do Angeliny i dzieci, i wszyscy znów czekali z sercami łomoczącymi, żeby smuga reflektora się przesunęła.

Szare światło kołysało się w mroku, coraz jaśniejsze w miarę jak zbliżało się do nich. Oddalając się, znów zszarzało. Wystartowali jak szybkobiegacze. Angelina tak bardzo się bała, że usiłowała nic nie wiedzieć, nie myśleć o niczym poza tym, że musi biec za Felixem.

Mężczyźni przytrzymywali dolne druty, a ona i dzieci się przeczolgiwały. Potem, w przemoczonym obuwiu i w przemoczonych płaszczach, niezdarnie wbiegli na skarpe.

Sandor widział, że są prawie na szczycie. Dwadzieścia jardów... dziesięć jardów... Felix zostawał z tyłu... Pięć jardów... Wspięli się na wzniesienie, po czym zaczęli schodzić w dół, pocąc się rozgrzani uczuciem ulgi, z trudem łapiąc dech.

Ale z tej strony zbocza do drugiego zasięku było znacznie dalej, niż się spodziewali. Mieli jeszcze do przebycia większą część pięciusetjardowego pasa ziemi niczyjej i tutaj na niższych wzniesieniach leżały głazy stanowiące dobrą kryjówkę, ale też i przeszkody trudne do pokonania. Rozdzielili się i pogramolili do pierwszych głazów, żeby się ukryć, zanim, w parę zaledwie sekund później, smuga reflektora przemiotła się nad nimi.

W tym momencie po raz pierwszy Felix pozwolił sobie mieć nadzieję, że może jednak przejdą. Wstali i chwiejnie znów ruszyli naprzód po nierównym gruncie.

Felix zatoczył się, taki miał zawrót głowy. Ale czuł, jak Elizabeth ufnie trzyma się jego płaszcza, więc całą siłą woli szedł dalej. I nagle ze zgrozą usłyszał dalekie szczekanie psów już na tropie.

Gorączkowo zbierając resztki sił fizycznych ciągnął Elizabeth. Nie miał pojęcia, gdzie są Angelina, Sandor i Roger. Myślał tylko o tym, żeby dojść do drugiego zasięku, zanim pulsująca noga odmówi mu posłuszeństwa, zanim psy ich dogonią.

Gdy doszedł, omal nie upadł na druty. To było potworne: ogrodzenie jeszcze wyższe niż pierwsze i o wiele bardziej kolczaste. I widział je gorzej niż tamto pierwsze, bo chmury znów zasłoniły księżyc. Dotknął drutów, i szarpnął się do tyłu bez tchu.

To ogrodzenie było pod prądem.

Trzęsąc się i dysząc chrapliwie, odrzucił swoją laskę, ostrożnie położył strzelbę na ziemi i szybko nachylił się nad Elizabeth.

- Lili, kochanie - wyszeptał błagalnie. - Wiesz, że akrobatka musi być posłuszna. Stań mi na ramionach i wykonaj swój skok najlepiej jak potrafisz za te druty. Nie wyląduj tak, jak na trampolinie. Klapnij miękko jak kłębek. Pokaż Felixowi niedobre lądowanie. Zrozumiałaś, skarbie? Bardzo dobry, bardzo wysoki skok i opadniesz miękko, zwinięta w kłębek. I zaraz wstaniesz i zbiegniesz z tej góry prosto do pierwszego tam domu. Nie czekaj na mnie, kochanie, i nie oglądaj się!

Ściągnął jej z rąk rękawiczki, żeby złapała się go mocniej. Nic nie rozumiejąc, posłusznie weszła mu na ramiona. Wolno się wyprostowała, skupiona, odetchnęła głęboko, ugięła trochę kolana i wleciała nad druty, jak gdyby wcale ich nie było.

Opadła boleśnie na czworaki w rzadkim śniegu po drugiej stronie. Gdy się podnosiła, już niedaleko ujadały psy. Zawahała się.

- Posłuszeństwo, Lili! - usłyszała wrzask Felixa. - Uciekaj! Uciekaj!

Puściła się biegiem w dół po zboczu, szary mały cień na tle śniegu.

Za kolczastymi drutami Felix podniósł strzelbę, przykucnął. Słyszał chrapliwe dyszenie, gardłowe poszczekiwanie. W mglistym świetle zobaczył wielkiego alzackiego owczarka.

Pies rzucił się na Felixa. Felix nacisnął spust i trafił go w łopatkę, ale za późno - już leżał powalony. Z dzikim warczeniem, niepomne na swoją tresurę, ranne zwierzę zaatakowało.

Przyciśnięty do ziemi ciężkim skręcającym się cielskiem, Felix poczuł na twarzy nierówny, smrodliwy zwierzęcy oddech i zaraz ból nie do zniesienia, gdy owczarek rozrywał mu szyję.

CZEŚĆ CZWARTA

Rozdział szesnasty

Siedemnastoletnia Maxine zaczęła pracować w Londynie u Partridge'a w bałaganiarskim studiu nad spokojnym sklepem w okolicy Bond Street. Pan Partridge wyglądał i ubierał się raczej jak makler z City niż jak sławny projektant. Emanował dziwną uroczą bezradnością, co wyrabiało w ludziach przekonanie, że muszą wykonać daną pracę, bo on nie potrafi. Dzięki temu jego pracownicy czuli się potrzebni i pożądanymi, nie tylko zatrudnieni przez niego. Był delikatny i świątły, ale niemiłosiernie bezkompromisowy w sprawach swojej twórczości. Odznaczał się nadzwyczajnym wyczuciem koloru połączonym ze znakomitą intuicją i umiarem.

Maxine, po zaznajomieniu się z biblioteką próbek Partridge'a, przeważnie pełniła funkcję gońca. Tu zabierała próbki farb, tam przynosiła próbki tkanin, ale też i sprawdzała, czy ten cytrynowy jedwab jest identycznego koloru, co ta próbka cytrynowożółtej satyny. To niesamowite, myślała, tyle na świecie najrozmaitszych materiałów, tak różnie tkanych, a dziewięćdziesiąt procent to po prostu ohyda. Szybko awansowała do sporządzania prospektów. Były to arkusze tektury, na których naklejała kwadratowe próbki wszystkich farb, tkanin i wykończeń oraz fotografie rysunków wszelkich innych materiałów, z jakich miało powstać zaprojektowane wnętrze. Ogromnie polubiła tę pracę wymagającą właśnie jej wrażliwości na kolor i jej nieomylnego zmysłu klarowności. Nauczyła się też bardzo dobrze pisać specyfikacje. W głowie miała ład jak w kartotece i jej praktyczne, bystre rozeznanie okazało się bezcenne w chwilach przesilenia, nieodmiennie wypełniających dni w studiu.

Po kilku miesiącach pan Partridge odkrył, że ona namiętnie lubi stare meble, więc zaczął ją wysyłać na zwiady do bardziej odległych sklepów z antykami i do mało znanych

sal aukcyjnych takich jak Austen i Peckham, gdzie można było kupić wykonaną na czyjeś zamówienie mahoniową szafę wiktoriańską - ze specjalnym miejscem na kapelusze do opery - za niewiele funtów albo za znacznie więcej sekretero-bibliotekę z odciągającym blatem, prawie Chippendale.

Jednakże najmilszym dla Maxine źródłem mebli był ezoteryczny antykwariat na Bont Street, obok wykładanej kremowymi kafelkami mleczami Lorda Raglana. W tym mrocznym sklepie panował wielki spokój. Właściciel, Jack Reffold, uroczy pan o piskliwym drżącym głosie, miał świetny gust i bezbłędne wyczucie proporcji. U niego Maxine znajdowała przedmioty, których nie zobaczyłaby nigdzie indziej: niebieski, w deseń z piór, porcelanowy serwis śniadaniowy z jachtu królowej Wiktorii; wyprawę ślubną lalki zapakowaną w miniaturową walizkę; krwawo olejny obraz przedstawiający bitwę pod Trafalgarem. Większość owych ciekawszych rzeczy wysyłał do Nowego Jorku, ale Maxine szybko zaliczyła się do jego stałej klienteli, kupując zwłaszcza proste wiktoriańskie meble z ułożonego w pasy sosnowego drewna, takie, jakie jej babcia uznałaby za nieodpowiednie nawet w pokojach służby.

W pewien lipcowy wieczór zmęczona Maxine pieszo wracała z pracy na Mayfair, podziwiając letni Londyn w mgliście złotym blasku zachodzącego słońca. Wybrała trasę, która biegła przez pięknie grecki, kremowy Belgrave Square na Pont Street. Sklep Reffolda jeszcze był otwarty, więc Maxine wstąpiła tam na kieliszek sherry i pogawędkę z Jackiem i trzema miłymi sędziwymi subiektami.

Już sporo wiedziała o meblach angielskich i francuskich i o ich cenach, jakie chętnie płacili Amerykanie. Jack Reffold wysubtelnił jej gust, nauczył ją, czego wymagać czy to od fotela Sheraton, czy to od meissenowskiej patery. Dzisiaj utyskiwał nad ozdobną wazą Rodringham, która mu się nie podobała.

- Tylko popatrz na tę zgrozę, Maxine. Pamiętaj, zawsze patrz na kształt, musi być dobry. Na nic się nie zda ładowanie ozdób na taki kształt jak ten, zasadniczo nieproporcjonalny - gromił swym drżącym głosem. - I jest olbrzymia! Nigdy nie kupuj niczego w takich rozmiarach, dziewczyno droga, bo te duże rzeczy trudno odsprzedać. - Napełnił sobie kieliszek i mówił dalej: - Teraz ludzie na ogół mają małe pokoje, więc chcą mieć małe meble i nie chcą mebli zanadto ozdobnych, bo trudno je czyścić. Sir Hugh Casson mówi, że jeśli coś warto mieć, również warto ścierać z tego kurz, ale ja nie sądzę, żeby sir Hugh często zajmował się odkurzaniem.

Potem Maxine powędrowała dalej do domu w ten połączany wieczór, myśląc, jakże życie jest piękne. Jednakże gdy otworzyła czerwone drzwi frontowe, usłyszała z sypialni szlochy. Pobiegła tam. Kate leżała na wąskim łóżku, głowę trzymała na kolanach Poganki i obie płakały. Poganka spłakana, spuchnięta, bez słowa podała jej wieczorną gazetę. Na ostatniej stronie była dwucalowa notatka:

„Ministerstwo Wojny zawiadomiło, że podporucznikiem z pułku Green Howards poległym w zeszłym tygodniu w zasadzce komunistycznych terrorystów na wyspie Pang, Archipelag Malajski, był Nicholas Cliffe, syn sir Waltera Cliffe z Barton Court, Barton, Shropshire”.

Maxine nie wierzyła własnym oczom. Nigdy dotąd nie spotkała się ze śmiercią. Sędziwi krewni znikali, stare koty zabierano, żeby je „uśpić”, ale to było coś, co przecież nie mogłoby się zdarzyć jej ani jej bliskim. Wybuchnęła płaczem.

- Judy wie? - zapytała.

Zrobiło się cicho - wszystkie trzy zdały sobie sprawę, że dla nich utrata Nicka nie jest aż tak ciężkim ciosem, jak będzie dla Judy.

Tej nocy płakały, dopóki nie zasnęły, i przez następne dwa dni płakały nieprzerwanie i wydawało się, że wszystko - filiżanki z kawą, pogniecione poduszki - przypomina im tę wiadomość o Nicku. Rzecz dziwna, ale to ojciec Kate wyrwał je z żałobnej apatii. Usiadł w ich słabo oświetlonym małym pokoju od frontu i zaczął wypytywać o Nicka. Słuchał cierpliwie, gdy o nim mówiły, a potem powiedział:

- Zastanówcie się, czy ten wspaniały chłopiec chciałby, żebyście się mazgały po jego zgonie? - Wszystkie trzy podniosły wzrok pytająco. - Nie, oczywiście, że nie, on by chciał, żebyście normalnie żyły dalej i wspominały szczęśliwe chwile, które z nim spędziłyście. Otóż, gdyby mnie szlag trafił, Kate, pamiętaj, ty i matka macie raz porządnie się wypłakać, a potem już zawsze wspominać mnie bez pochlipywania. Macie wspominać mnie z uśmiechem, tego ja bym sobie życzył.

Ostatecznie wyciągnął je na obiad, a później, ponieważ słońce świeciło, zabrał je do St James Park, gdzie popatrzyły na pływające kaczki i poczuły się o wiele lepiej. Nie zapomniały Nicka, ale już nie markotniały i nie pociągały nosami na byle wzmiankę o nim.

Poganka i Kate pracowicie spędzały londyński sezon w charakterze panien na wydaniu. Przedstawiały Maxine niezliczonych młodych ludzi, z którymi oglądały polo w

Windsor, tenisa w Wimbledon i wyścigi konne w Ascot. W czasie wolnym od pracy Maxine dawała się zapraszać na przejażdżki łodzią po Serpentine, w malarskich kapeluszach chodziła na wystawy malarstwa albo godzinami patrzyła na mecze niepojętego krykieta. W czasie kilkudniowych wizyt w dworach wiejskich kontemplowała nadzwyczajny styl ubierania się Angielek na wsi: na głowie chustka związana pod brodą a la księżniczka Elżbieta, „bliźniaki” rozciągnięte na piersiach i nigdy nie leżące dobrze na ramionach, pończochy w obwarzanki na kostkach, powypychane spódnice z samodziału (zawsze niedoczyszczone z psiej sierści) i niezmiennie sfatygowane torebki z krokodylowej skóry. Jak gdyby po to, by trudniej było zgadnąć, garderoba schludna, starannie dobrana i odprasowana oznaczała, że się jest spoza środowiska.

Czasami Maxine bywała na zabawach tanecznych, ale niezbyt często, bo musiała zaczynać pracę o dziewiątej rano. Minusem tych zabaw był zwyczaj, w myśl którego Anglik, zapraszając dziewczynę na tańce, spodziewa się wyłączności na cały wieczór. W Szwajcarii i we Francji na zabawach tanecznych wesoło zmienia się partnerów i przyzwyczajona do tego Maxine uważała, że trudno jest tańczyć, rozmawiać, przebywać przez cały wieczór z jednym mężczyzną, dopóki on nieuniknienie nie zacznie jej zwabiać na tylne siedzenie swego sportowego samochodu. Nie podobali jej się ci młodzi Anglicy na co dzień w melonikach i edwardiańskich garniturach, w soboty i niedziele w czapkach golfowych i samodziałowych marynarkach. Wszyscy oni ubierali się, zachowywali i wyrażali tak samo - nawet myśleli jednakowo.

Poganka i Kate rozkoszowały się życiem towarzyskim Londynu, ale Maxine szybko miała go dosyć. Już była *une serieuse*. Wolała tak zwaną pracę niż tak zwaną zabawę. Niezłomnie postanowiła po powrocie do Paryża namówić ojca, by za pieniądze przeznaczone na jej posag wydzierżawił dla niej któryś z małych antykwariatów na rue Jacob. Wyobrażała sobie, jak pomaluje ten lokal na kolor jasnooliwkowy i będzie importować bezpośrednio do Francji meble kupowane od Jacka Reffolda - nie dość dobre, żeby je wysyłać za Atlantyk. Wybrała też sobie specjalność, to, co Francuzi nazywają *le style anglais*, zdobnictwo, oparte z grubsza na angielskiej osiemnastowiecznej interpretacji starożytnych wzorów indyjskich i chińskich w zastosowaniu do prostych mebli Adama albo wygodnych wyściełanych foteli i kanap gregoriańskich, tak różnych od niewygodnych, atlasowych z guzikami krzesel, na których przyjaciółki jej matki siedziały w swoich salonach jak kury na grzędzie. Francuzi przejęli

angielskie składniki i wysubtelnili szczegóły: produkowali frędzle i galony do portier i kap na łóżka, tkali jednobarwne tkaniny tapicerskie w kolorach deseniowych angielskich perkali. Gdy się dysponowało takimi możliwościami, recepta na urządzenie wnętrza była gotowa: zasłony i kanapa, i może jeden fotel z perkalu w podstawowy deseń; reszta tapicerki i kapy z gładkich tkanin to w jednym, to w drugim z dwóch wyraźnych kolorów wybranych z podstawowego deseni, ściany pokryte tym samym perkalem albo tapetą w ten sam deseń, albo też pomalowane na jeden z kolorów wybranych, tyle że w odcieniu znacznie bledszym.

Po ukończeniu swego dwuletniego terminowania w Londynie Maxine potrafiła nadawać wnętrzu le style anglais z dnia na dzień, chociaż bardzo uważała, by się z tym przed klientami nie zdradzić. Zdawała sobie sprawę, że klienci przeceniają czas, wcale nie doceniając zdolności i doświadczenia.

James Partridge zaproponował jej stałą płatną posadę u niego w Londynie, ona jednak wolała wrócić do Paryża i robić „karierę”, jak w skrytości ducha nazywała swoją pracę.

- Różnica pomiędzy karierą i posadą - wyjaśniła jej kiedyś Judy - polega na tym, że posada ciebie nie ustawi. Jeżeli planujesz karierę, posada powinna być krokiem do określonego celu... Przy obejmowaniu posady powinnaś dokładnie wiedzieć, kiedy zamierzasz z niej odejść.

- Bzdura! - powiedziała wówczas Maxine. - Może byś napisała książkę o doskonaleniu się, jak Dale Carnegie.

Ale to nie była zła rada i mając to w pamięci Maxine zrezygnowała z posady, by wrócić do Paryża, gdzie stwierdziła, że Judy zamiast sama robić karierę po odejściu od Diora, pomaga Guyowi robić karierę projektanta mody.

Ojciec Maxine powitał córkę z radością, dumny z jej płynnej angielszczyzny i jeszcze bardziej dumny z jej nowych uzdolnień. Szybko zasmakował w układaniu z nią planów na przyszłość, bo dobrze się o to starała. Traktowała go jak ulubionego klienta. Imponowała mu swoją znajomością rzeczy i powagą, ale zarazem przerażała kompletnym brakiem pojęcia o księgowości.

- Nie wiem, dlaczego tak się upierałaś, żeby zostać na dodatkowe pół roku w Szwajcarii i ukończyć tam kursy handlowe - powiedział. - Nic dziwnego, że nie zdałaś tych egzaminów! Tylko strata pieniędzy! Przez cały pierwszy rok prowadzenia tego

sklepu masz do mnie telefonować codziennie o dziesiątej rano i przedstawiać mi najważniejszą sprawę, jaką załatwiłaś poprzedniego dnia. Chcę słyszeć ni mniej, ni więcej tylko o jednej sprawie. To cię nauczy ustalać priorytety. I chcę, żebyś co sobota rano pokazywała mi swoje rachunki.

Ku zdumieniu ojca, Maxine rzeczywiście miała głowę do interesów. Po miesiącu dostała w siedmioletnią dzierżawę sklep pod numerem 391 na rue Jacob. Nietrudno było znaleźć sklep na tej ulicy z szeregiem pełnych kurzu antykwariatów, które jeszcze nie nabierając szyku, kiepsko pomalowane, obskurne, przyciągały raczej handlarzy niż turystów. Dom numer 391 był ciemny, wąski od ulicy, ale długi i dzierżawa obejmowała mieszkanie nad sklepem. Na razie Maxine podnajęła to mieszkanie staremu Polakowi, nauczycielowi łaciny. Nazwała sklep Paradis i natychmiast zaangażowała subiekta, bo bez tego wychodząc coś załatwić, musiałaby zamykać sklep. Potem znalazła studenta Akademii Sztuk Pięknych do pracy póletatowej na zapleczu, takiej, jaką ona wykonywała u Jamesa Partridge'a w Londynie. Ojciec wybrał dla niej księgową, grubokościstą dosyć brzydką kobietę imieniem Christine, o pociągłej krowiej twarzy, krowich piwnych oczach. We dwie otwierały sklep o godzinie pół do ósmej rano i Maxine miała w niedużej kuchni leżak, żeby mogły kolejno wyciągnąć się wygodnie i odpocząć przez pół godziny, gdy pracowały do późnego wieczora.

Co sobota ojciec uczył Maxine, jak się planuje budżet i jak się preliminuje obroty. Uczył ją również czytać zestawienia bilansowe, co było o wiele łatwiejsze i ciekawsze, niż się spodziewała. Okazało się, że Maxine, ku jego i jej samej zdumieniu, jest oszczędna i ma instynkt kobiety interesu.

Po sześciu miesiącach pracy w sklepie Christine zgłosiła chęć przystąpienia do spółki z Maxine, co poparła gotowością wpłacenia swego udziału. Christine miała ojca, którego też przekonała, że dochodowe przedsiębiorstwo to lepsza lokata niż posag - zresztą w wieku trzydziestu czterech lat nie była całkowicie pewna, czy posag kiedykolwiek będzie jej potrzebny.

Po roku do Paradis zaczęły napływać większe zlecenia - urządzenie już nie tylko łazienki tutaj czy kuchni tam, ale całych mieszkań, niedużych biur i nawet jednej rezydencji wiejskiej. Paradis zajmował się wszystkimi szczegółami, poczynając od klamki drzwi na framudze okna kończąc, i chociaż kolorystyka i sposoby oświetlenia były

nowoczesne, Maxine specjalizowała się w projektach tradycyjnych. Teraz w jej firmie pracowali dwaj etatowi projektanci i dwaj asystenci na pół etatu.

W każdy poniedziałek rano Maxine i Christine układały plan pracy na cały tydzień i przydzielaly poszczególne zadania projektantom. W każdy poniedziałek wieczorem odbywała się krótka konferencja całego personelu. Zaczynała się po zamknięciu sklepu o szóstej, a kończyła kolacją w restauracji Beaux Arts, gdzie zawsze było pełno wesołych, hałaśliwych studentów pałaszujących tradycyjne potrawy francuskie. Wszyscy lubili poniedziałkowe wieczory - łączyło ich wtedy raczej koleżeństwo niż troska o wspólne interesy; mogli się odprężyć i poplotkować.

W roku 1953 Maxine miała dwadzieścia dwa lata i odniosła już nieduży, ale wyraźny sukces; sklep zaczynał przynosić zyski. Ojciec był uszczęśliwiony, matka jednak się martwiła, bo Maxine nie tylko nie wyszła za mąż, ale uważała wszystkich odpowiednich kandydatów na męża za nudziarzy.

- To takie nienaturalne - uskarżała się ciotce Hortense. - Tej dziewczyny

nie interesuje żaden mężczyzna, jeżeli nie jest projektantem czy potencjalnym klientem, czy też jakimś niechlujnym brodatym protege z Beaux Arts. Hortense rozważnie pokiwała głową.

- Zobaczę, co się da zrobić - powiedziała.

W parę miesięcy później ciotka Hortense zatelefonowała do Maxine.

- Maxine, kochanie, mam dla ciebie klienta - oznajmiła. - Siostrzeniec mojej znajomej. Biedny chłopiec, właśnie odziedziczył walący się chateau niedaleko Epemay; podobno straszny bałagan. Od wojny nikt tam nie mieszka, a biedak nie ma czasu, żeby się uporać z takim domem, musi przejąć posiadłość haniebnie zaniedbywaną przez piętnaście lat. Przyszło mi na myśl, że to byłoby interesujące zadanie dla ciebie. Więc, moja droga, jeżeli chcesz, zabiorę cię jutro o dziewiątej rano i pojedziemy do Chazalle. O ile wiem, do tej posiadłości należy winnica... około siedmiuset akrów, też w opłakanym stanie.

Nazajutrz ciotka Hortense przyjechała po Maxine, która czekała wystrojona jak zawsze, gdy chodziło o pozyskanie klienta, w pierwszorzędnym płóciennym kostiumie koloru brzoskwini, w pantoflach o odcień ciemniejszych. Swe długie do ramion, ciężkie złote włosy związała w koński ogon z przypiętą brzoskwiniową jedwabną kokardą.

Wyjechały z Paryża w kierunku Champagne. Posiadłość de Chazalle rozciągała się w odległości dziesięciu mil od Epernay, na skraju rejonu Côte des Blancs, leżącego na południe od Epernay pomiędzy Vertus i Oger na zachodzie.

Tuż pod lasem na płaskim grzbiecie wzgórza zaczynały się winnice pokrywając zbocze aż do złocistej mgły łąnów zboża na równinie poniżej. Mercedes skręcił z piaszczystej wiejskiej drogi w bramę z kutego żelaza, zardzewiałą, częściowo oderwaną od zawiasów, i pojechał zapuszczoną, pięciusetjardową aleją wjazdową, mijając klomby pełne zielska. Z daleka ciemny zamek z wieżyczkami na tle lawendowego nieba rysował się wspaniale. Ale z bliska wyglądał smętnie, od dawna nie zamieszkanym. Dziedziniec zaśmiecały potłuczone dachówki, jak zauważyła Maxine wchodząc z ciotką Hortense po obtłuczonych kamiennych schodkach prowadzących do drzwi frontowych. Ciotka Hortense pociągnęła uchwyt zardzewiałego żelaznego dzwonka. Ku ich zdumieniu dzwonek jednak zadźwięczał gdzieś w dali za drzwiami.

Drzwi otworzył wysoki, szczupły młody człowiek w starym brązowym swetrze. Twarz miał małą i szczupłą, rysy drobne, szare oczy ze zmarszczkami śmiechu w kącikach. Był wyraźnie mile zaskoczony, jak gdyby niespodziewanie dostał ładny prezent. Ukłonił się, pocałował obie panie w rękę i poprosił, żeby weszły.

- Wszędzie tu kurz, dlatego wciąż kicham, ale zrobiłem sobie trochę miejsca w jednym z salonów i kobieta z wioski przychodzi mi sprzątać. Ten dom jest w okropnym stanie.

Wprowadził je przez hall, przygnębiająco mroczny z zamkniętymi okiennicami i goły. Na ścianach łuszczyła się brudna farba, pajęczyny osnuwały każdy kąt, jedne z drzwi wewnętrznych rozbite leżały na podłodze. W tym zamku byli zakwaterowani niemieccy żołnierze: piękne rzeźbione drzwi pozostawili prawie w drzazgach, antyczną boazerię pooraną wyciętymi w drewnie inicjałami, na ścianach nabazgrane sprośne napisy. Większość umeblowania zużyli na opał, ocalały tylko nieliczne meble, które Kommandant kazał zamurować na strychu z nadzieją, że później je odmuruje dla siebie.

- Poza moim chateau jeszcze tylko cztery się zachowały na tym obszarze. Montmort, zabytek pierwszej klasy i tak samo Brugny, ale Mareuil nie sprawia aż tak imponującego wrażenia, a Louvrois mnie osobiście się nie podoba, jeśli chodzi o architekturę. - Hrabia trochę się garbił i miał długą szyję. Od czasu do czasu ukradkiem spoglądał na Maxine. Spodziewał się kogoś starszego, pomyślała, i chyba nie chce zlecić tej pracy osobie tak

młodej; muszę pokazać, że jestem kompetentna. Sięgnęła po notatnik i zaczęła notować sążnięcie.

Nieśmiały i skromny Charles de Chazalle był pociągający w swojej czystej bezradności. Mężczyzna bardziej agresywny może by uznał, że Maxine jest zbyt apodyktyczna, ale Charles właśnie takiej potrzebował, więc z każdą godziną budziła w nim coraz większy podziw. Bazgrała nieustannie i pod wieczór zaproponowała prosty, a przecież skuteczny system uporania się z chaosem, w jakim on tak nagle się znalazł.

Nic dziwnego, że powierzył jej to zadanie.

Potem prawie co dzień po południu Maxine przyjeżdżała podskakującą na wybojach alei wjazdowej niedużą, białą ciężarówką Renault z coraz to innym paryskim rzeczoznawcą u boku. Najpierw z mierniczym i architektem, potem z licytатorem, z dekarzem, z hydraulikiem, konserwatorem mebli, z ekspertem wyceniającym wartość obrazów.

We właściwym czasie wszyscy ci fachowcy składali sprawozdania i co piątek wieczorem Maxine i Charles omawiali plany przy kolacji w osiemnastowiecznym zajędzie w Epernay - u schyłku lata podawano tam dziczyznę i jak w każdej porze roku miękki, biały, ostry ser Boursault - pijąc miejscowe białe wino wytrawne, delikatne, trochę przypominające smakiem orzechy laskowe.

Maxine równie dobrze mogłaby tam jadać suchy chleb i popijać wodą.

Chociaż przed zamówieniem potraw długo się naradzali nad ich dobozem, prawie nie wiedziała, co je; myślała tylko o tym, żeby się Charlesowi podobać, podobać, podobać.

Charles natomiast zawsze rozkoszował się każdym kęsem. Rzadko bywał w restauracjach. Lubił życie na wsi, nie chciał błyszczeć w Paryżu, rozmawiać

o niczym w eleganckim towarzystwie przy stole. Całymi dniami ciężko pracował, zajmując się dużymi zaniedbanymi winnicami. Na ogół wolał więc spędzać wieczory samotnie w ciepłe ognia na kominku i, wyciągając wygodnie swe szczupłe długie nogi, czytać albo słuchać muzyki. Maxine bawiła go i intrygowała po części dlatego, że była une serieuse.

- Tyle trzeba zrobić - westchnął w pewien piątkowy wieczór, gdy skończyli jeść. - Zaczyna się od tego, że na razie nie produkujemy nawet w przybliżeniu dostatecznej ilości wina. Przeciętnie z każdego hektara powinno być około pięciu tysięcy sześciuset

litrów szampana. - Dał znak kelnerowi, żeby podał kawę. - Skąd ja wiem? No, to przecież nie dziwne, że teoretycznie znam się na produkcji szampana. Wywodzę się z rodu mieszkającego tu od wieku. Ale mogę teorię wypróbować w praktyce dopiero teraz, po śmierci ojca.

Umilkł i patrzył, jak kelner nalewa mu brandy, po czym stawia ten duży pękaty kieliszek na stole, sprawdzając miarę: brandy powinna się prawie wylewać, ale niezupełnie.

- Większość Francuzów chce, żeby ich synowie pracowali w rodzinnych firmach, ale mój ojciec tak bardzo lubił demonstrować swoją samodzielność, że nie pozwalał mi brać rzeczywistego udziału w prowadzeniu interesów. Z drugiej strony nie pozwalał mi pracować gdzie indziej. To było frustrujące, bo stanowczo się opierał stosowaniu nowych metod. Wiedziałem, że nie będzie żył długo... fatalnie go torturowali w gestapo w czasie wojny... więc nigdy mu się nie sprzeciwiałem.

Restauracje na prowincji zamyka się wcześniej, z Royale Champagne goście już wychodzili, ale Charles dalej obracał w rękach pusty kieliszek po brandy.

- To chyba naturalne, że ojciec tęsknił do przedwojennych czasów. Udawał, że się nie zmienił, że nic się nie zmieniło. - Dostał od kelnera rachunek na talerzyku. Rzucił okiem (nie potrafił dodawać tak prędko, pomyślała Maxine), podpisał rachunek i ciągnął: - Niestety, jego sposoby kierowania firmą były też staroświeckie. Kiedy usiłowałem rozmawiać z nim o tym, stanowczo przywoływał mnie do porządku. „Będziesz miał mnóstwo czasu na zmienianie wszystkiego, kiedy umrę” mawiał. Tak sobie życzył, więc ja to respektowałem, ale teraz zamierzam pracować ze wszystkich sił, żeby przywrócić świetność firmie de Chazalle.

Zawahał się, spojrzął na Maxine i powiedział:

- Nasz szampan już nie jest zaliczany do tych naj-najlepszych, ale niezłomnie się zdecydowałem to naprawić. - Zaczął mówić szybciej, jak gdyby spodziewając się kontrargumentów i zawczasu broniąc się. - To nie jest taka obłądna ambicja; Lansonowie mieli pierwotnie małą firmę, ich cała realność została faktycznie zmieciona z powierzchni ziemi w czasie pierwszej wojny światowej, ale dwaj synowie... Victor i Henri... objechali świat, żeby zebrać zamówienia i powodzi im się zdumiewająco.

Kelner ostentacyjnie gasił światła. Charles zrozumiał.

- Pójdziemy?

Ukrywając niechęć, Maxine wstała, inny kelner przyskoczył, żeby odciągnąć jej krzesło. Charles pożegnał obu kelnerów skinieniem, głowy i poszedł za nią do drzwi.

- Nie widzę powodu - powiedział - dla którego nie miałbym spróbować dorównać Lansonom. Oni ugruntowali światową sławę swojego szampana na pół stulecia, co obejmuje dwie wielkie wojny... i długi okres kryzysu.

Coraz bardziej niecierpliwie, chociaż skrycie, oboje wyczekiwali piątkowych wieczorów i z każdym piątkiem Maxine wracała do Paryża coraz później. Trudno jej było rozstać się z Charlesem, który już zaczął pokpiwać z jej profesjonalizmu i który potrafił sprawić, że śmiała się razem z nim z siebie albo w ogóle z niczego. Dzięki niemu chichotała znowu tak serdecznie, jak w szkolnych czasach.

Charles wydawał się cichy, powściągliwy, prawie nudny każdemu, tylko nie Maxine. Moc rozśmieszania kobiety to silny środek zwiększający popęd seksualny. Zawsze czuła podniecenie w powietrzu, gdy ubierała się w piątek rano; zawsze długo dumiała przed szafą i rozmyślała się co najmniej trzy razy, aż w jej sypialni pełno było porozrzucanej garderoby. Matkę cieszyły takie niezwykle objawy. Brak zdecydowania, w co się ubrać, nieodmiennie oznacza mężczyznę na horyzoncie.

A wieczorem, gdy siedzieli nad kawą i brandy w Royale Champagne, pragnęła, żeby Charles jej dotknął. Ale on jej nie dotykał.

W pewien piątkowy wieczór rozmowa ani rusz się nie kleiła, jak gdyby wzniosła się między nimi zaporą zakłopotania. Maxine dojmująco uświadamiała sobie, że dla niej Charles już nie jest tylko klientem, i skrupowana, miała się na bacności - żeby nie drapać się w głowę ołówkiem (nawyk, nad którym ubolewała jej rodzina), żeby przy jedzeniu i picu nie przełykać raptownie i głośno.

Pod koniec następnego spotkania była tak wzburzona, że z trudem stała obok Charlesa. Pokazała mu w ten wieczór zniszczone obrazy olejne przedstawiające konie. Stwierdzając, że są bardzo podobne do tych, które Jack Reffold zaczął sprzedawać w Ameryce, pozbierała je z różnych części domu i złożyła w stertę na korytarzu. Byli już spóźnieni na kolację w restauracji hotelowej, gdzie mieli zarezerwowany stół; ale koniecznie chciała obejrzeć te obrazy razem z Charlesem, bo już się zastanawiała, czy warto parę z nich przesłać Jackowi, żeby je ocenił.

- Może wrócisz tu po kolacji - zaproponował Charles. - Wtedy zdecydujemy, które wyślemy do Londynu.

- Będę zbyt zmęczona, wyruszę do Paryża o wiele za późno i wóz mi będzie tańczył na szosie.

- Ja ciebie odwiozę - powiedział.

- To za daleko, nie wróciłbyś do Epernay przed świtem. - W duchu dodała, że może nie wróciłby nigdy. Jediną rzeczą, jaka jej się w nim nie podobała, była jego niefrasobliwość przy kierownicy samochodu.

Jedli dalej. Potem, gdy kelner nalał im kawę, Charles pochylił się nad stolikiem i powoli, z rozmysłem pogłaskał Maxine po gęstych, świeżo utlenionych na kolor kukurydzy włosach. Wstrząsnęło nią to aż po pachwiny. Nie mogła oddychać należycie, dyszała, jak gdyby się znalazła wysoko w górach. Charles wypuścił z palców pasmo jej włosów, jęknęła cicho.

- Te jazdy późno wieczorem to za duży wysiłek dla ciebie - powiedział. - Nie mogłabyś po prostu przeprowadzić się do mnie?

- Moi rodzice dostaliby ataku.

- Nie, gdybyśmy się pobrali. - Nie odrywając oczu od jej twarzy, podniósł jej lewy nadgarstek do ust i bardzo lekko ucałował niebieskie żyłki biegnące ku dłoni.

Maxine, która zawsze panowała nad sytuacją i wiedziała, co chce zrobić, teraz oniemiała. Zabrakło jej tchu. Nie śmiała się poruszyć. Czowała się tak słaba, że wątpiła, czy zdoła wyjść z sali. Patrzyła na niego i patrzyła. A on tym razem wyjątkowo się nie uśmiechał; wyraz twarzy miał dziwnie obojętny.

Po wyjściu z restauracji Charles prowadził samochód z powrotem do zamku na łeb na szyję, nie mówiąc ani słowa. Gdy dojechali, chwycił Maxine za rękę i - nadal bez słowa - pociągnął ją za sobą po schodkach do głównych drzwi wejściowych. Nie czuł nocnych zapachów ciepłej ziemi, rozgrzanej trawy. Świadom był tylko napiętej, zdeterminowanej namiętności, przepływającej jak prąd elektryczny przez ich splecione ręce.

Tuż za drzwiami przygarnął ją mocno i pocałował w usta. Jedną ręką ją trzymał, drugą przesuwając po niej, jak gdyby delikatnie odrysowywał linię kręgosłupa aż do podstawy, po czym miękko, krągło ulepiął kształt jej pośladków. Przyciskając ją do siebie, aż czuła jego wznoszące się podniecenie, powoli podciągnął jej spódniczkę. Ręka przemknęła z nagiego uda pod koronkę majtek.

Maxine się trzęsła. Pragnęła go, jak nigdy przedtem nie pragnęła nikogo, kolana się pod nią ugiwały. Wprost nie mogła stać dłużej. Czuła jego twardość na swoim brzuchu, gdy pieszczotliwie głaskał jej rozedrgane pośladki, i przyciągał, i przyciągał ją bliżej, jeszcze bliżej do siebie.

Nagle z wysiłkiem oderwał się od niej, westchnął głośno, niecierpliwie i dźwignął ją w objęciach (nigdy nie miała być lekka jak piórko). Po zakręcających schodach zaniósł ją do pełnej kurzu, ale wspaniałej, zdobnej w niebieskie brokaty, jaśniepańskiej sypialni. W srebrnych smugach księżycy delikatnie upuścił ją na antyczne łoże nakryte jedwabną kapą. Rozebrał się, omal nie rozrywając na sobie ubrania, i rzucił się jak ptak na zdobycz.

Maxine zachłystywała się zdumiona. Nie przypuszczała, że ten delikatny, sympatyczny, zabawny Charles jest taki władczy, taki namiętny i sprawny.

Przez następne cztery godziny Maxine mogła też się zdumiewać własnym ciałem, zdolnym do reagowania ponad jej wszelkie dotychczasowe nadzieje. Potem nie chciała rozstać się z Charlesem. Naga, ze złocistymi włosami, spletanymi i wilgotnymi, opadającymi na jej mlecznie białe pełne piersi, przywierała do niego.

- Nie chcę - szeptała i w oczach miała łzy, gdy on delikatnie, ale stanowczo ściągnął ją z łóżka i w księżycowej poświacie pomagał jej się ubrać.

- Twoi rodzice będą niespokojni - powiedział. - Odwiozę cię teraz do Paryża, a jutro rano porozmawiam z twoim ojcem.

Zatrzymali się tylko w hallu, żeby podnieść z podłogi rozdartą białą koronkę i pojechali do Paryża, prując powietrze otwartą ciemnozieloną Lagondą Charlesa. Oboje upajała jazda tym rocznikowym samochodem sportowym sunącym przez tajemniczy nocny krajobraz. Wydawało się, że świat jest niezwykle cichy i należy wyłącznie do nich. Chwilami księżyc przysłaniały obłoki i wtedy noc z obu stron złotego szlaku, który przed nimi wykuwały reflektory, była jak czamy aksamit.

Gdy mijali topole, gdy pędzili tunelami mrocznej zieleni, dolatywały do nich dziwne, ochryple pokrzyki nocnych zwierząt, prawie takie jak te nieartykułowane bezradne jęknięcia, które dopiero co dawały się słyszeć w rozsrebrzonej księżycową poświatą niebieskiej brokatowej sypialni.

Rozdział siedemnasty

Poganka nie mogła przyjechać na ślub, bo była w Egipcie, ale Judy i Kate nic by nie odwiodło od przyjazdu. Kate przywiozła w prezencie ślubnym bryłę ametystu, mającą służyć za przycisk do papierów na biurku Maxine, a Judy uroczą akwafortę Steinberga, na której zdenerwowana, pustooka panna młoda trzyma kurczowo swego gamoniowatego oblubieńca. Poganka przysłała piękną antyczną skrzynię damasceńską z inkrustacjami z macicy perłowej.

Maxine i Charles po niespełna roku znajomości wzięli ślub cywilny w merostwie Epernay. Maxine wystąpiła w bladuróżowej jedwabnej sukni ze spódnicą nawarstwioną jak płatki róży, w dużym kapeluszu z kremowej słomki. W czasie krótkiej ceremonii ślubnej, dopełnionej przez burmistrza, państwo młodzi siedzieli na twardych krzeselkach, po czym podpisali się w rejestrze, co jest we Francji równoznaczne z podpisaniem kontraktu małżeńskiego. Tak to będąc już urzędowo mężem i żoną, pojechali z całą rodziną na obiad do Royale Champagne, skąd o godzinie szóstej Maxine wyruszyła do Paryża z rodzicami, jak nakazywał zwyczaj.

Ślub kościelny odbył się nazajutrz w pokrytym patyną wieków, kamiennym kościele w Epernay. Na francuskich ślubach panna młoda normalnie nie ma opiekunki honorowej ani druhen, ale mały kuzynek i kuzyneczka Maxine mieli być enfants d'honneur i iść za nią po starych kamieniach.

Maxine poprosiła Kate, żeby pomogła jej się ubrać, W pokoju hotelowym Kate parsknęła śmiechem, zastając ją tylko w pianie puszystego welonu i kusej halce z białej satyny. Jej rzeczy leżały rozłożone na łóżku.

- Rzeczywiście, Maxine, nawet twoja suknia ślubna jest praktyczna!

Kate wzięła z łóżka kremowy płaszcz jedwabny długi do połowy łydek. Był to model Raphaella dopasowany w talii. Obficie rozkloszowany z szacowną stójką i rzędem od góry do dołu guziczków z drobnych perełek. Do ślubu miał ten płaszcz okryć balową suknię z kremowego tiulu bez ramiączek. Po ślubie miał służyć jako płaszcz albo jako sukienka na wyścigach w Chantilly czy też na prawie każdej z eleganckich imprez w czterech ścianach.

- No, to jest najładniejszy ciuch, jaki kiedykolwiek miałam - powiedziała Maxine - więc nie chcę w nim występować tylko raz.

Wyjątkowo nie sprawiała wrażenia osoby zaradnej. Co więcej, wyglądała zwiewnie, gdy w kościele sunęła między surowymi, dostojnie kamiennymi kolumnami. Spod skraju tego kloszowego kremowego płaszcza pienił się kremowy tiul. Na głowie miała prosty diadem z kwiatów jak gwiazdy. Z uroczystą powagą przechodząc obok Kate, nagle szybko zrobiła do niej oko.

Po powrocie z podróży poślubnej Maxine została przedstawiona wszystkim znakomitym rodzinom w okręgu. Nadal pozostawiając Christine prowadzenie codziennych spraw Paradis, zajęła się nawiązywaniem tych ważnych nowych koneksji. Największą przyjemność sprawiła jej wizyta w domu firmy Moët i Chandon, której tradycyjna gościnność znana była od czasów Napoleona. Jak przedtem cesarzową Józefiną, cara Rosji, cesarza Austrii i króla pruskiego, oprowadzano Maxine po długich podziemnych piwnicach, żeby zobaczyła, skąd się bierze szampan. Szli pod ciemnymi sklepieniami, szarymi i zielonymi od staroci, w zapachu wilgotnej kredy, pleśni i sfermentowanego wina.

- Osiemdziesiąt mil takich piwnic jest w tej kredowej glebie pod Epernay - powiedział Charles. Wziął jej rękę i przesunął paznokciem po kruszącej się powierzchni piwnicznej ściany. - Widzisz? Cały ten okręg szampana to taka szczególna kreda. Jedyne na tych terenach winorośl daje owoce z niezwykłym, szampańskim aromatem. Nigdzie indziej na świecie tego nie ma.

Pod koniec wizyty Maxine uznała, że to, czego się nasłuchiwała o szampanie, zupełnie jej chwilowo wystarczy. Ale wiedziała, że mogłoby być gorzej. Ostatecznie mogłaby wyjść za hodowcę owiec, na przykład, czy za króla przemysłu konserwowego, czy za fabrykanta złącz wagonów kolejowych. Jak gdyby czytając w jej myślach, Charles powiedział:

- Nie obawiaj się. Nie zamierzam być jeszcze jednym z tych nudnych szampaniarzy. Moje przedsiębiorstwo jest częścią mojego życia i moim dziedzictwem... inaczej mówiąc, ponoszę za nie pełną odpowiedzialność... ale ja nie jestem przedsiębiorcą wielkomięjskim. Jestem wieśniakiem. Lubię patrzeć na moją ziemię, chodzić po niej z moimi psami, a później wieczorem czytać albo słuchać muzyki... lubię spokojne życie.

- A później w nocy - powiedziała Maxine - lubisz się kochać.

- O każdej porze lubię się kochać — oświadczył jej stanowczo. Nazajutrz zaproponował, żeby złożyła wizytę w jego centrali i zapoznała się trochę z produkcją szampana.

- Żona producenta musi te rzeczy wiedzieć. Na razie mała lekcja do odrobienia. Postaram się, żeby to nie było nudne, kochana moja.

A więc czeka nas nudziarstwo dziś przed południem, pomyślała Maxine w swej sypialni wkładając wyjściowy kostium od Christiana Diora; płócienny w kolorze pierwiosnka. W ogromnej spódnicy w mocno zaprasowane fałdy i obcisłym żakiecie wyglądała uroczonie nobliwie.

- Wyglądasz skromnie i przyzwoicie, bardzo wytwornie - pochwalił ją Charles pomagając jej wsiąść do Lagondy.

Tuż za Epernay z piskiem opon zahamował na kamiennym dziedzińcu i wprowadził żonę do starej kamiennej budowli, w której teraz mieściło się jego biuro. W mrocznym pustym hallu, wchodząc z Maxine na zniszczone schody prowadzące do laboratorium, wyjaśnił:

- Każda firma, która produkuje szampana, dokłada starań, żeby jej szampan miał zawsze taki sam smak, taką samą jakość. Ponieważ pogoda bywa różna i co rok zbiór winogron jest inny, można osiągnąć taką niezmienną tylko na drodze mieszania. - Urwał, żeby otworzyć białe nieduże drzwi. - Zaraz poznasz najważniejszą osobistość w każdej produkcji szampana: mojego zlewacza. - Skinął, żeby weszła. - Szampana nie można mieszać maszynowo. W dobrej firmie musi być dobry zlewacz. Cała jej reputacja zależy od jego podniebienia, oczu i nosa.

Weszli do pedantycznie czystego laboratorium. Stały tam rzędem krzesła, przed nimi kilka spluwaczek, pośrodku drewniany stół i na stole nie oznakowane butelki. „Palenie wzbronione” głosiły napisy na ścianach. Jak dotąd piekielnie nudno, pomyślała Maxine, gdy Charles ją przedstawił człowiekowi z obwisłym brzuchem i ponurą twarzą fioleto-czerwona niczym korale indyka.

Ten chef de cave uroczyście poczęstował ich nierocznikowym szampanem. Maxine podziękowała mu z pełną wdziękiem godnością pasującą do jej nowej pozycji, po czym Charles poprowadził ją z powrotem na dół po schodach między czarno-białymi marmurowymi ścianami.

Nagle chwycił ją za rękę i wciągnął w ciemną niszę na półpiętrze schodów. Szybko rozpiął pierwiosnkowy żakiet, wsunął obie ręce pod koronkowy stanik i pocałunkiem stłumił jej okrzyk pełen zgrozy. Poczula na języku jego język, ale zaraz odsunął głowę. Jak gdyby nigdy nic, powiedział:

- Pierwsze butelkowanie odbywa się na ogół na początku maja. Dodajemy trochę cukru trzcinowego do mieszanki, żeby wywołać drugą fermentację. - I zaczął całować jej sutki.

Bezradna, niechętna, jednak odczuła to tak, że jęknęła. A on nagle wycofał ręce i zapiął jej żakiecik wprawnie jak panna służąca. Szepnęła słaba z pożądania:

- Nie powinienes, naprawdę nie powinienes... robić czegoś takiego. - Ale to nie brzmiało przekonywająco.

Wziął ją za rękę i sprowadził z następnych stopni schodów do hallu, mówiąc głośno:

- Przy drugiej fermentacji szampan zaczyna się iskrzyć. Te iskierki to rzeczywiście gaz. Fermentacja powoduje wybuchowe ciśnienie gazu. Więc konieczny jest dobry korek.

Nie przestając płynnie mówić, pociągnął ją w cień pod schodami. Przytulił ją do piersi lewą ręką, a prawą sięgnął pod zaprasowaną fałdy pierwszoklasowej spódnicy. Szarpnął koronkę majtek.

- Precz! - mruknął.

- Charles! Zwariowałeś, ktoś mógłby zobaczyć - zaprotestowała.

- Precz! - rozkazał koronce i tak szarpnął, że majtki opadły na podłogę. Maxine zdenerwowana wyszła z nich i chciała je podnieść, ale nie pozwolił.

- Nie dam ci się zmienić w taką jak moje siostry, szacowną paniusią z tytułem hrabiowskim, która wciąż się martwi, co ludzie sobie pomyślą - powiedział.

I znieruchomiał, gdy usłyszeli zbliżające się kroki. Maxine przymknęła oczy, pewna upokorzenia. Kroki zbliżyły się i ucichły, po czym usłyszała odgłos otwierania i zamykania drzwi. Charles puścił ją. Szybko się pochyliła, podniosła te żółte koronkowe majtki i schowała je do swej „myśliwskiej” płóciennej torby. Charles bez słowa wziął ją za łokieć i szybko ruszył z nią do windy w głębi hallu. Normalnym tonem powiedział:

- Rozgrzejesz się, mam nadzieję. Ostrzegałem cię wczoraj, że w piwnicach jest zimno. Może ci przynieść z samochodu płaszcz?

Młody człowiek w białym kombinezonie przyszedł za nimi i poskoczył, żeby otworzyć żelazną kratę dwuosobowej windy.

- Nie, nie, Charles, nie przesadzaj - drząc powiedziała Maxine ze względu na tego czołobitnego chłopca, zamykającego drzwi windy.

Charles nacisnął jeden z zielonych guzików. Winda szarpnęła i zaczęła zjeżdżać w dół. Jak Maxine się spodziewała, jego ręka już była pod jej spódnicą, kciuk poruszał się

miarowo. Drugą rękę Charles zacisnął na jej nagich pośladkach, tył spódnicy skłębził się w zjeżdżającej z szarpnięciami, ciasnej windzie. Już nigdy nie doprowadzi się tych plis do porządku, pomyślała Maxine, godzinami trzeba będzie je zaprasowywać.

- Zanim się zjawił Dom Perignon w roku tysiąc sześćset sześćdziesiątym ósmym, butelki korkowano tamponami z płótna natłuszczonymi oliwą, a to,

rzecz jasna, nie było zamknięcie hermetyczne - tłumaczył z powagą Charles.

O Boże, a Maxine mogła myśleć tylko o jego palcach. Teraz wołała narazić się na upokorzenie, niż zmusić go, żeby przestał. - Dom Perignon wpadł na wspaniały pomysł, że lepszy będzie korek zmoczony w wodzie, a więc dość giętki, by go wbić mocno w szyjkę butelki. - Maxine podrywała się i drżała, a Charles mówił dalej. - Korek zamknął butelkę szczelnie, gaz już nie uciekał.

Winda się zatrzymała z nagłym lekkim wzdrygnięciem. Charles otworzył żelazną kratę.

- Ciśnienie w butelce szampana jest mniej więcej takie samo jak w oponie autobusu... więc rozumiesz, jak wielkie znaczenie ma korek.

Maxine wyszła z windy zataczając się, obciążając na sobie spódnicę. Zdyszana i chwiejna chodziła po piwnicach wzdłuż szeregów tysięcy butelek, szyjkami w dół umieszczonych na drążkach przy zzieleniałych kredowych ścianach. Charles machał ręką w stronę tych schludnych błyszczących zastępów, tych zielonych żołnierzyków swojego cesarstwa.

- Trzymamy butelki zmieszanego wina w piwnicach przez rok albo i dwa lata. A potem tak właśnie się je układa na tych specjalnych półkach, żeby osad z wina powoli ściekał na korek.

- Na korek - powtórzyła Maxine oszołomiona. Poczowała na policzku kapnięcie czegoś ze stropu. Charles pociągnął ją za rękę w mrok jednej z wnęk obudowanych butelkami i znów rozpiął jej zakieci. Tym razem nie protestowała.

- Tak - potwierdził z powagą - na korek.

Wyciągnął ją z wnęki i szli dalej przez tę długą szeroką piwnicę w kierunku szeregu pleców milczących ludzi w granatowych swetrach i kombinezonach.

Potem Maxine patrzyła, jak butelki z ich rąk powoli wsuwają się w lśniącą paszczę stalowej maszyny. Charles, raczej ku jej rozczarowaniu, zachowywał się idealnie. W pewnej jednak chwili podszedł z nią bliżej do maszyny, która tak ich zasłoniła, że ci

robotnicy mogli widzieć tylko ich głowy. Mocno ujął rękę Maxine i przytrzymał przy sobie, żeby poczuła jego wznoszące się podniecenie. Chwyciła go, a on dalej mówił jak gdyby nigdy nic.

- Po odkorkowaniu cały ten osad przymarznięty jest na korku. Sprytny sposób usuwania osadu z butelki, prawda? - Ciałem jego pod jej palcami wstrząsały dreszcze, gdy tak mówił monotonna tonem znudzonego przewodnika turystów. - Trzeba to wino powąchać, żeby sprawdzić, czy nadal jest w dobrym stanie, i wreszcie, jak zobaczysz, kiedy przejdziemy do następnego działu, zaprawia się je pożegnalną dawką... maleńką ilością osłodzonego likieru ze starego wina i cukru trzcinowego...

Westchnął ukontentowany. Po chwili zaprowadził Maxine dalej. W tym następnym dziale dał jej pucharek ze zlewką do powąchania.

- Nie dodaje się dużo likieru, jeżeli chce się mieć wino brut, na ogół najlepsze z win danej firmy - wyjaśniał. - Ilość dawki się zwiększa w zależności od tego, jak słodkie ma być wino... szczególnie wytrawne, wytrawne semi-doux i doux, które jest słodkie obrzydliwie i nigdy nie znajdzie się na moim stole.

- Na naszym stole - powiedziała Maxine, gdy ruszyli dalej. - Myślę - dorzuciła - że już potrafiłabym wyprodukować serię szampana.

- Nie widziałas ostatniego działu. Jest przed nami. Tam butelki znów się korkuje i zabezpiecza korki drucianymi dziobkami. Potem przechowujemy butelki przez kilka lat w tych piwnicach na drugim końcu, a potem naklejamy na nie etykiety i wysyłamy do klientów.

Maxine popatrzyła w dal wysoko sklepionego tunelu. Z obu stron były głębokie wnęki ze spiętrzonymi leżącymi butelkami, których czarnozielone dna układały się w nieskończony bogaty deseń. Raptownie Charles pociągnął ją znowu w najbliższą z wnęk. Przycisnął jej ramiona do kredowej ściany, a ona, chociaż każdy kto by przypadkiem przechodził mógł ich zobaczyć, nie zważała na nic, przejęta tylko swym gwałtownym pożądaniem. Napięcie seksualne szybko się skumulowało, tak wybuchowo, jak korek wylatuje z butelki szampana.

Rozdział osiemnasty

W trzy miesiące po ślubie Maxine z radością dowiedziała się, że zostanie matką. Niestety prawie przez cały czas ciąży czuła się źle, musiała więc odłożyć wszystkie plany w związku z urządzaniem zamku i niewiele robiła dla firmy Paradis. Dziękowała swoim szczęśliwym gwiazdom za to, że ma tę flegmatyczną twardą Christine, nie ustającą w prowadzeniu z dnia na dzień spraw ich przedsiębiorstwa. W miarę jak się zaokrąglala, stawała się coraz bardziej apatyczna i senna.

- Myślałam, że cera mi się zrobi cudowna i że będę promiennie pogodna - wołała ze swojej łazienki do Charlesa - a nie taka ospała krowa. Nie, nie waż się wejść, właśnie się wbijam w ten paskudny pas ciążyowy. Chyba w ogóle zrezygnuję z ubierania się i przez parę ostatnich miesięcy będę w negliżu leżała na kanapie jak madame Recamier.

Łatwo urodziła syna, Gerarda. Uszczęśliwiona liczyła z Charlesem jego paluszki i rozpatrywała rysy maleńkiej twarzyczki.

- Ma twój nos - zauważył Charles czule.

- Ale twoje usta - dodała.

- I moje włosy, chociaż o wiele za mało - powiedział z tkliwością głaszcząc miękką, jedwabistą bladobeżową główkę.

Nie miałem pojęcia, że ojcostwo tak mnie będzie cieszyło - przyznał Charles w kilka miesięcy później. Pociągnął Maxine za kremowy koronkowy negliż i delikatnie pocałował ją w szyję.

- Więc będzie cieszyło cię podwójnie, Charles.

Zaalarmowany, usiadł i spojrzał na nią pytająco.

- O niebiosa. Ty chyba nie... przecież Gerard ma dopiero cztery miesiące!

- Niebiosa nie miały z tym nic wspólnego - powiedziała szelmowsko cytując Mae West.

Tym razem poród był bardzo trudny. Trwał trzy dni, po których umęczona Maxine wydała na świat drugiego syna. Ochrzczono go imieniem Oliver.

Nastąpił dla Maxine okres wyczerpania i przygnębienia. Szwy ją bolały, gdy tylko się ruszyła. Płakała z byle powodu i warczała na Charlesa. Ponieważ wiedziała doskonale, że jest szczęśliwa i nie ma żadnych podstaw do litowania się nad sobą, niepokoił ją w głębi duszy ten ciągły smutek, od którego nie mogła się uwolnić. Czyżby było z nią coś nie w porządku? Charles po cichu porozmawiał z doktorem o jej płaczliwości i napadach złego humoru. Po narodzinach Gerarda nie czuła się tak źle. Doktor powiedział, że

prawdopodobnie minie parę miesięcy, zanim ona dojdzie do siebie po tym ciężkim porodzie. Może by przyjechała jej siostra, matka czy przyjaciółka, by dotrzymywać jej teraz towarzystwa, rozweselać ją. Ktoś bliski, z kim czułaby się dobrze.

Ledwie doktor odjechał, Charles usiadł przy telefonie. Poganka jeszcze nie wróciła z Egiptu, do Kate nie zdołał się dodzwonić, ale Judy odezwała się od razu. Przedstawił sytuację.

- W żaden sposób nie mogę rzucić wszystkiego i przyjechać natychmiast - powiedziała Judy. - Jestem siłą najemną, zapomniałeś? Ale należy mi się urlop i tak czy owak będę w Paryżu na kolekcjach za dwa miesiące. Mogłabym wtedy przyjechać do was na dwa tygodnie, jeżeli chcesz.

Maxine wybuchnęła płaczem, gdy usłyszała o wizycie Judy. Nie chciała widzieć nikogo. Znekany Charles zabrał psy na długi spacer w deszczu. Kobiety! Jednakże z biegiem tygodni jego żona powoli nabrała sił i animuszu tak, że Judy przyjechała już niecierpliwie przez nią oczekiwana.

Co dzień rano Judy jadła śniadanie w niebieskiej sypialni Maxine, która leżała oparta na zdobnych w koronki poduszkach poniżej sutych jedwabnych draperii opadających z korony hrabiowskiej ponad jej głową. Przed południem szły obie na krótki, szybki spacer, popychając dwa wysokie niemowlęce wózki po zmarzniętej ziemi w parku. Po południu siedziały gawędząc w pokoju dzieciennym.

Maxine od chwili przybycia Judy zaczęła odzyskiwać swoją werwę. Podziwiała w Judy zdolność przystępowania prosto do rzeczy.

- Rozjaśniasz mi w głowie, Judy - powiedziała nie tylko z podziwem, ale i z odrobiną żalu. - Sprawiasz, że się ześrodkowuję na tym, co jest ważne, w przeciwieństwie do tego, co jest tylko pilne. I dla ciebie to naturalne, podczas gdy mnie to kosztuje wiele wysiłku woli. Co dzień, kiedy siadam przy biurku, znajduję na nim mnóstwo problemów. Czuję taką pokusę, żeby ominąć te duże... o ileż łatwiej zająć się małymi trudnościami.

- To dlatego, że jesteś gruba, gnuśna i szczęśliwie zameżna - powiedziała Judy.

- Stanowczo opowiadam się za małżeństwem. - Maxine ziewnęła. - Czemu ty tego nie próbujesz?

- Och, bo ja nie lubię mężczyzn ani bardzo młodych, ani bardzo starych. Lubię mężczyzn w średnim wieku, ale takich nie ma, żaden nie chce się do średniego wieku przyznać.

- Nie, poważnie, Judy, nie masz kogoś specjalnego? Nigdy o nikim nie mówisz, ale chyba...

- Znam tłumy mężczyzn, Maxine, tylko że żaden mnie szczególnie nie interesuje i koniec na tym. Chodzę na randki, ale jakoś nie mogę się zakochać. Widzę, jak kobiety się zakochują, ale mnie to się nie zdarza. W każdym razie jestem tak już daleko na tej drodze, że poważny romans byłby geograficznie niemożliwością.

- Nie sądzisz, że może po prostu boisz się oddać mężczyźnie?

- Och, przestań, Maxine. Nie, naprawdę są w życiu inne sprawy, wiesz... Mam dopiero dwadzieścia dwa lata! Mężczyzna dwudziestodwuletni nie snuje się zamartwiając, jeżeli nie jest zakochany. Podejrzewam, że kobiety przeceniają miłość.

- Tyś się jeszcze nie zakochała, to tylko dlatego.

- Jeżeli nie przestaniesz - z miłym uśmiechem oświadczyła Judy - będę musiała rzucić w ciebie tym kieliszkiem szampana. - Podniosła kieliszek na długiej nóżce, kształtem przypominający tulipan. Zimne czerwone słońce właśnie dotknęło horyzontu.

- Nawiasem mówiąc, jak się to dzieje, że wy nie macie do szampana należytych kieliszków?

- To jest kieliszek do szampana ze wszech miar należyty - Maxine splótła ręce nad głową i oparła się na poprzesywanym guzikami, karmazynowym pluszu fotela. - Tradycyjne kieliszki nie mogą być szerokie i płytkie. W szerokim kieliszku bukiet się rozprasza, szampan zaraz przestaje musować, bo jest bardziej wystawiony na działanie powietrza. - Ziewnęła, przeciągnęła się i wzięła na kolana czarną kotkę, która leżała przed kominkiem. - Widzisz, wiem o szampanie piekielnie dużo.

Judy zapatrzyła się w ogień na palenisku, potem powiodła wzrokiem po pokoju i spojrzała na nią. Uśmiechnęła się mówiąc:

- Masz wszystko, mała.

- I, o Boże, zapracowuję na to! - Maxine nagle wydała się sterana, kotka zeszywniała zdumiona. - To strasznie ciężka praca, prowadzenie domu wielkiego czy małego. Rzeczywiście uważam, że łatwiej prowadzić przedsiębiorstwo, bo w przedsiębiorstwie widać rezultaty. Nikt nie dostrzega pracy domowej, dopóki się ją wykonuje. Przestaniesz, są pretensje. Zawodowo pracuje się na ogół tylko osiem godzin dziennie przez pięć dni w tygodniu. Domowa harówka trwa szesnaście godzin na każdą cholerną dobę w roku, jeżeli są małe dzieci. - Westchnęła. - No, przynajmniej nie mam już poczucia winy, nie

jestem matką pracującą poza domem... chociaż siostry Charlesa wciąż mnie o to podejrzewają. Odprężyla się i kotka się uspokoiła.

- Pamiętasz, po urodzeniu Gerarda też byłam trochę przygnębiona bez żadnego powodu. Charles ciężko pracował, prowadzenie domu przestało być dla mnie nowością. Już nie byłam młodą żoną, która się popisuje... Czułam się winna z tym swoim przygnębieniem, uważałam, że jestem złą matką, skoro moje dziecko mnie nie uszczęśliwia. - Ironiczny uśmiech raczej zachmurzył, niż rozjaśnił jej twarz. - Więc zaczęłam się pocieszać podjadaniem między posiłkami, niezupełnie w tajemnicy, ale wtedy, gdy nikt nie widział, rozumiesz?... Czekolada to zawsze moja wielka słabość. Więc jadłam ciastka czekoladowe i czekoladowe lody, piłam gorącą czekoladę z gęstą śmietaną... Kiedy zaczęłam przybierać na wadze, po prostu przestałam się ważyć, a potem znów zaszłam w ciążę tak prędko, że miałam dobry pretekst do tycia... No, oczywiście nigdy sobie nie mówiłam tak bez ogródek, że tyję.

Podniosła wzrok, jeszcze głaszcząc kotkę.

- Aż pewnego dnia na ulicy zobaczyłam swoje odbicie w szybie wystawowej... nie poznałam siebie! Daję ci słowo, to był prawdziwy szok. Boże, pomyślałam, wkrótce będę taką tłusciochą jak przed laty, kiedy przyjechałam do Szwajcarii. Ale wtedy ten cielecy tłuszczuk łatwo było zrzucić, a teraz po dwóch ciążach doktor mnie uprzedził, że to będzie trudniejsze.

Kotka wyciągnęła przednie łapki i wbiła pazurki w jej kolano. Dostała za to lekkiego klapsa.

- Więc, żeby przestała myśleć o jedzeniu - ciągnęła Maxine - zalecił mi powrót do pracy w Paradis. Pracowałam tam dzień w dzień i po miesiącu, ku swojemu zdumieniu, stwierdziłam, że jestem znów szczęśliwa! Nie miałam czasu jeść ani nudzić się, ani się nad sobą roztkliwiać. - Ziewnęła. - Więc kiedy przestanę karmić Olivera, wrócę do pracy. Przemyślałam to i omówiłam z doktorem. Uznaliśmy, że lepiej dla dzieci nie mieć przy sobie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę przygnębioj i zdenerwowanej matki z nadwagą. Szesnaście godzin w domu zupełnie wystarczy.

- Należy ci się piątka z plusem za czarną niewdzięczność - powiedziała Judy. - Masz dwadzieścia cztery lata, dwóch uroczych niemowlaków, kwitnące przedsiębiorstwo, tytuł hrabiowski i zamek. Czego jeszcze mogłabyś chcieć?

- Pieniądzy - odpowiedziała Maxine po prostu.

- Myślałam, że jesteście bogaci.

- To jest ten drugi powód mojego powrotu do pracy. Paradis opłaca nasze wszystkie wydatki osobiste, chociaż te zyski naprawdę powinno się wkładać w przedsiębiorstwo. Christine zaczyna to gniewać i ja ją rozumiem. Ale co mogę zrobić? Jesteśmy biedni. To nasz prawie jedyny dochód.

Zawahała się, po czym dodała pośpiesznie:

- Prawdę mówiąc, nie będzie już nas długo stać na mieszkanie tutaj. Dlatego tak się cieszę, że przyjechałaś teraz. Charles jest uparty jak muł, nie chce sprzedać zamku, ale te mury lada chwila zwałą się nam na głowy. Raz po raz powtarza, że kiedyś winnice przyniosą zysk, ale zbiory są w zastawie hipotecznym, więc nie skorzystamy, jeżeli będą dobre, a jeżeli nie będą popadniemy w straszne tarapaty. Papa zamierza kiedy przyjedzie na weekend, porozmawiać z Charlesem o interesach. Jest eksporterem, więc może mógłby pomóc nam więcej sprzedawać za granicę. Ale w tym przemyśle jest wielka konkurencja, a o szampanie Chazalle nikt nigdy nie słyszał. Kupuje się szampana Moet albo innych renomowanych firm.

Judy się zastanowiła.

- Wybacz, że zwrócę ci uwagę, macie w domu sześcioro służby. Ja tego nie nazywam biedą.

- Tak, ale do utrzymywania tu porządku potrzebne są co najmniej dwie pokojówki. Charles musi mieć sekretarkę. Dzieci muszą mieć nianię, jeżeli ja mam pracować. Konieczna jest kucharka. I wreszcie kamerdyner, żeby rozciągać nad nimi nadzór.

Judy z powątpiewaniem uniosła brew, rozparła się w fotelu i popatrzyła na hipnotycznie płomienny ogień.

- Maxie, wiem, że siedzicie na kopalni złota. Czuję to. Tylko nie bardzo widzę, w jaki sposób możecie zrobić pieniądze, poza tym, że przyjmujecie mnie tu cudownie i nieraz myślę, że wolę być tutaj niż w najwspanialszym hotelu. Ten miesiąc jest jak sen. Nigdy dotąd i nigdzie nie było mi tak przyjemnie. Tak wygodnie i tak radośnie. Jesteś bardzo utalentowaną panią domu, Maxine. Może by się dało jakoś poprowadzić w tym zamku coś w rodzaju hotelu... no może niezupełnie hotelu, ale żeby goście płacili za pobyt tutaj... tacy, którzy chcą zakosztować życia w prawdziwym zamku, poczuć się tu prywatnymi gośćmi? Weekend za, powiedzmy, sześćdziesiąt dolarów. Potrafiłabyś tym ludziom fantastycznie uprzyjemnić czas.

Maxine wyprostowała się w fotelu. Co za wspaniały pomysł! Dlaczego mnie to nie przyszło do głowy? pomyślała. Przecież na małą skalę już robiła coś takiego. Siostry Charlesa przyjeżdżały do zamku, jak gdyby to był dom wypoczynkowy. I może mogłaby otworzyć filię antykwariatu w stajniach.

- Pomogłabym załatwić reklamę od strony amerykańskiej - zgłosiła chęć Judy. - Przydałby się napływ ludzi ze Stanów, ich najbardziej ciągnie do starych zamków. Na początek może byście zaprosili jakichś sławnych Amerykanów bezpłatnie.

- Myślałam, że to ma być sposób zrobienia pieniędzy - sprzeciwiła się Maxine.

- Tak, ale jeśli zaprosicie parę hollywoodzkich gwiazd czy gwiazdorów... oni często przyjeżdżają do Paryża... będzie się o was mnóstwo pisało w amerykańskich gazetach. I będzie się mówiło. Żywe słowo! Doprawdy, Maxine, ja znam tę branżę. Tylko nie wolno ci myśleć, że to się robi za darmo. Nie wolno ci popełniać takiego błędu jak wszyscy twoi cholerni rodacy. Za każdą formę reklamy trzeba płacić jak za ogłoszenie, tyle że w inny sposób. - Judy przewróciła oczami w żartobliwie francuskim rozjątrzeniu. - To forma bardziej ryzykowna, bo trudno ją skontrolować, ale kiedy jest dobry, wart opublikowania towar i nadanie mu rozgłosu odbywa się sprawnie, skutek nie daje na siebie czekać.

- Porozmawiam z papą w tę sobotę - powiedziała Maxine myśląc szybko. - Zanim papa zacznie mówić z Charlesem o winnicach.

Charles, przerażony pomysłem Judy, oświadczył kategorycznie, że nie chce mieć z tym nic wspólnego. Z odrazą i przykrością myślał o perspektywie obecności obcych w jego rodzinnym domu. Zdawał sobie sprawę, że coś trzeba zrobić, bo inaczej zamku nie utrzymają, ale tak ciężko pracował, by swoją posiadłość unowocześnić i uczynić opłacalną, że nie miał czasu na żadne inne sprawy. Ostatecznie jednak znużyły go entuzjastyczne nalegania Judy i cicha determinacja Maxine. Wskutek wyczerpania i niepokoju tracąc odporność, uznał ich racje i pozwolił Maxine działać pod warunkiem, że ona nie zaangażuje w ten projekt ani trochę z jego skromnego kapitału - ponieważ ani trochę po prostu nie ma na zbyciu.

Maxine była szalenie podniecona. Z trudem skupiała się na praktycznych aspektach projektu, bo mimo woli wciąż jej się nasuwały urocze uboczne pomysły. Na pewno można by ten wielki bezużyteczny blok stajni przeobrazić w kryty pawilon sklepów, na niektóre z nich uzyskać koncesję, tak jak to jest w paryskich hotelach. I można by też otworzyć nieduży sklep, gdzie sprzedawałoby się szampana na butelki albo skrzynki.

Jej ojciec, poproszony o radę, powiedział ostrożnie, że chociaż jego zdaniem są w tym projekcie możliwości, sam w żaden sposób nie mógłby takiego ryzykownego przedsięwzięcia sfinansować. Wszelako chyba udzieliliby im kredytu bank.

Gdy tylko zaczęli sporządzać kosztorysy, okazało się, że remont zamku będzie wymagał o wiele więcej pieniędzy, niż zdołają wyciągnąć brutto z prowadzenia w nim hotelu. Maxine słyszała o paru angielskich wielkopańskich dworach zmienionych w tereny rozrywek, miejsca wycieczek rodzinnych, przyciągające zabytkowością muzeami i galeriami różnych uciech. To jej się wydawało dobre i możliwe, ale przed dokładnym zbadaniem swego planu nie śmiała o tym napomknąć Charlesowi: dopiero by się wściekał na myśl o przemianie siedziby przodków w wesołe miasteczko.

Po odlocie Judy do Stanów Maxine też wyruszyła w podróż na dwa tygodnie, w ciągu których najpierw zwiedziła zamki w Dolinie Loary otwarte dla publiczności. Wnętrza tych zamków były prawie puste i jeśli interesujące, to tylko dla uczonych. Potem pojechała do Anglii i zwiedziła Longleat, znakomity przykład architektury elżbietańskiej, własność markizy Bath, a także piękne i bardzo dobrze prosperujące Opactwo Woburn. Następnie potrudziła się do Derbyshire, żeby zobaczyć Chalsworth księcia Devonshire w całej jego chłodnej wspaniałości. Wróciła do Epemay z konkretnymi pomysłami. W swoim zamku chciała nie tylko umożliwić zwiedzanie starej siedziby rodu, ale i spróbować teatralnie odtworzyć historię.

Maxine, jej ojciec i księgowy posiadłości opracowali nowe kosztorysy jej ambitnego projektu. Ojciec i księgowy zabierali się do tego bez przekonania, ona jednak się uwzięła, żeby plan został dokładnie wyceniony. Zrozpaczona wysokością ogólnej sumy, zatelefonowała do Judy.

- Potrzebujemy około stu siedemdziesięciu siedmiu tysięcy dolarów. Myślę, że to nie będzie możliwe.

- Jest możliwe, dopóki się nie okaże, że nie jest. Więc sprawiaj wrażenie spokojnej, ufnej i emanuj pewnością siebie.

Maxine nauczyła się wiele od czasu, gdy sporządzała swoją pierwszą prognozę finansową żeby powiększyć antykwariat. Teraz z pomocą ojca i księgowego sformułowała propozycję transakcji i we czworo - bo Charles niechętnie zgodził się uczestniczyć - pojechali do Paryża, żeby tę propozycję przedstawić w jednym z banków handlowych. Potrzebowali 33 milionów franków. Jeżeli dostaną taką pożyczkę, będą musieli osiągnąć

obrót w wysokości 39 milionów franków rocznie, co pozwoli pokrywać koszty bieżące i wykazywać zysk. Mając szczęście, uwolnią się od długu za piętnaście lat. Nie mając szczęścia, wylądują bez domu i bez pracy, bo cała posiadłość zostaje zadeklarowana jako zabezpieczenie pożyczki, nie mówiąc o dalszej gwarancji udzielonej przez ojca Maxine.

Zrozumiałe, że Charles był temu przeciwny.

- Powiedziałem, że w zasadzie się zgodzę, jeżeli obejdzie się bez sięgania do mojego kapitału.

- To nie jest kapitał. To tylko sprawa wykorzystania wszystkich twoich niezahipotekowanych aktywów, żeby wziąć tę pożyczkę pod ich zastaw.

- Ale jeśli to się nie powiedzie, będziemy zrujnowani.

- Jeśli się powiedzie, nie będziesz musiał się wyprowadzić ze swojego domu rodzinnego. Twoi synowie dorosną tutaj tak jak ty.

Maxine wygrała.

Od dnia zaciągnięcia bankowej pożyczki nie było chwili do stracenia. Maxine zaangażowała sekretarkę, schludną, sprawną dziewczynę z zaciśniętymi ustami, i prawie zaraz stało się niejasne, czy mademoiselle Janinę jest szefową Maxine czy Maxine jest szefową mademoiselle Janinę.

Charles się wzdygał, gdy rozmyślał, co mogłoby pójść niedobrze. Maxine myślała tylko o pracy, która ją czeka. Budząc się przypominała sobie to, o czym zapomniała poprzedniego dnia. Życie jej kręciło się wokół spisów, spisów i spisów, ale rozpiekało ją podniecenie. Judy już zaprojektowała nadruk firmowy:

LE CHATEAU DE CHAZALLE. EPERNAY. FRANCE

W ciągu następnych miesięcy Maxine nie mogła spędzać tyle czasu ze swymi dziećmi, ile by chciała, zawsze jednak bez względu na to, jak bardzo była zajęta, poświęcała im popołudnie. Gdy już spały, pracowała do późnej nocy - co noc - ponieważ nie tylko przyjęła odpowiedzialność za zamek jako przedsiębiorstwo dochodowe, ale podjęła znów pracę, którą przerwała, gdy pierwszy raz była w ciąży.

Poza stosunkowo małą częścią zamku zamieszkaną przez rodzinę, wiele pokoi i korytarzy pozostawało nadal w okropnym chaosie. Zapomniane skarby stały przy stertach nic nie wartych akwrel, będących dziełem ciotecznych babek Charlesa. Wydawało się, że wszystko jest brudne, pokryte pajęczynami, upstrzone przez muchy, nadgryzione przez myszy. Strych zachodniej wieżyczki wypełniały obrazy olejne - konie i

psy, owce i pokazowe byki, jak również inne cenne zwierzęta przodków. Niestety niszczały fatalnie przechowywane, niejednen z tych obrazów był podarty i wymagał konserwacji. Zniechęcająca sprawa.

Firma Paradis projektowała i nadzorowała remont i urządzenie wnętrz. Maxine wybrała sobie do współpracy jednego z młodych paryskich projektantów i razem robili plany. Nie chciała, żeby tłumy z szuraniem chodziły po pokojach za znudzonym, śpiewnie im coś prawiącym przewodnikiem. Chciała, żeby zwiedzanie było ciekawym teatralnym wydarzeniem.

- Nasi goście muszą być zdumieni i zachwyceni - powiedziała projektantowi, któremu nigdy dotąd nie stawiano takich dziwnych wymagań.

Zaczęli od nakreślenia dokładnego planu pierwszego piętra i po dokonaniu przeglądu wytyczyli trasę zwiedzania. Przez tydzień ślęczeli nad planami, bazgrali na kalkach technicznych, szkicowali różne swoje pomysły. Potem cała rodzina przeprowadziła się do wynajętego domu w Epemay i wszystko z zamku wyniesiono do magazynu na sześć miesięcy, w ciągu których odbył się generalny remont. Przed wyniesieniem każdy przedmiot wciągnięto do katalogu i sfotografowano. Maxine, wiedząc, że gusty mas ulegają niezglębionym zmianom - i że rupiecie jednego pokolenia są dla następnego antykami - postanowiła prawie niczego nie sprzedawać.

Miejsca mamy mnóstwo - rozumowała - więc naszą lokatą będzie przechowywanie. Takie dziewiętnastowieczne obrazy i meble już teraz dobrze się sprzedaje w Ameryce, toteż na razie pozbędziemy się tylko rzeczywiście dużych sztuk, jak te wszystkie szafy. Mogę je sprzedać stolarzom meblowym, niech sobie z nich robią podrabiane antyczne biblioteki.

Sama obejrzała skrupulatnie każdy mebel. Największym jej odkryciem były dwie smukłe komódki Boulle'a, które na wdzięcznie wygiętych nóżkach i o wspaniałych brązowych okuciach, z uchwytyami z brązu osadzonymi w rozetach z pięciu żołądzi, przypominały mazarinowskie komody w Luwrze, wykonane w roku 1709 dla Ludwika XIV. Tylko jeden z cennych mebli sprzedała: biurko Oebena z walcowatą pokrywą zdobną w inkrustowane kwiaty, i z datą: 1765 rok. Nie cierpiała tego biurka. Sprzedała je, ku zdumieniu i podziwowi męża, do Metropolitan Museum za pięć milionów franków i tę sumę przeznaczyła na pokrycie rachunku hydraulików.

Do zamku wprowadziło się przedsiębiorstwo budowlane. Charles doznawał chwilami wrażenia, że to nie remont, tylko wyburzanie.

- Długo nie zniosę tego zamętu! - ryknął pewnego dnia rano do Maxine, wymachując rękami pośrodku wypatroszonego głównego salonu, gdzie wszystkie drzwi i okna właśnie wyjmowano i przepierzenia rozbierano z łoskotem w trąbie powietrznej kurzu.

Maxine, przyzwyczajona do bałaganu nieuniknionego przy takich pracach, widziała nie tyle ten pozorny chaos, ile to, co wkrótce miało być znakomicie odnowionym salonem. Wzięła Charlesa pod rękę i poprowadziła go do sąsiedniego skrzydła. Tu remont już ukończono, ale rwetes był jeszcze większy, bo od poddasza po piwnice uwijali się zawodowi sprzątacze z ogromnymi maszynami do cyklinowania podłóg, ze skomplikowanymi drabinami automatycznymi i żurawiami pozwalającymi sięgać w miejsca inaczej nieosiągalne.

Charles uciekł najbliższymi drzwiami i skierował się do bloku stajennego, do swojej psiarni, ale tę jego tradycyjną przystań spokoju okupowała jeszcze jedna armia robotników. Stajnie przetwarzano w pawilon uroczych, staroświeckich sklepików, wśród których miały być również: bar kawowy, restauracja i winiarnia z bezpłatnym szampanem.

Stał, podnosząc ręce w galijskiej rozpacz, gdy Maxine go dogoniła i pociągnęła za rękaw.

- Charles, kochanie... jesteś taki cierpliwy... to już tylko parę tygodni, najdroższy... pokażę ci część zupełnie gotową... uliczkę Pradziadów... ukończoną wczoraj!

Uliczką Pradziadów nazywali żartobliwie Trasę Historyczną na parterze. Zainstalowano tam elektroniczne urządzenia obsługiwane guzikami, wymagające tylko znikomego udziału człowieka, bo Maxine uznała, że elektronika będzie pewniejsza niż człowiek. Smugi reflektorów znaczyły ciemną trasę między karmazynowymi sznurami. Nieduże pokoje były całkowicie zaciemnione, umeblowane muzealnymi gablotami, na które padały wąskie smugi światła, tak chytrze, że wystawione w nich skarby rodzinne wydawały się unosić w ciemnym powietrzu.

Jeden z korytarzy, mający osiem stóp szerokości, został pomalowany na kolor cytrynowożółty i wykorzystany jako galeria portretów przodków. Charles uspokoił się idąc wzdłuż pięknie eksponowanych szeregów de Chazalle'ow, wyłaniających się z dalekiej przeszłości. Siedmioletni Christian w koronkowej koszulce z niebieską szarfą

prowadził osiołka przez park w roku 1643. Amelie de Chazalle w wydekolowanej popielatej sukni moire uśmiechała się trzymając na ramieniu papugę w roku 1679. A w roku 1776 siedmioro małych dzieci (w tym dwie parki bliźniąt) siedząc przy jadalnym stole jadło winogrona i orzechy, podczas gdy ich mateczka w aureoli loków i z licznymi pierścionkami na palcach karmiła migdałami swoją ulubioną małpkę.

- Biedactwa, w czasie Rewolucji wszystkie poszły pod gilotynę z wyjątkiem tego najmłodszego - usłyszał nagle Charles swój własny głos nagrany na taśmie. - Ten najmłodszy dostał się do Genewy przebrany za pokojówkę pewnej uciekającej damy. Jakoś udało mu się poślubić spadkobierczynię wielkiej fortuny i ich córka wyszła za Henriego Nestle z rodziny króla czekolady.

Również głos Charlesa miał witać gości w hallu wejściowym, a potem, gdy będą chodzili po zamku, opowiadać im dzieje rodu od dwunastego wieku aż do terażniejszości, przy czym tłumaczenia na dwanaście języków także już napisano. W wielu pokojach było tło muzyczne - straussowskie walce, muzyka klawesynowa. Pod łukowate sklepienia domowej kaplicy wznosił się chłopięcy sopran, a w zabytkowym pokoju dzieciennym dawało się słabo słyszeć pełną ożywienia paplaninę dzieci.

Maxine miała nadzieję, że otworzą zamek dla publiczności pierwszego lipca, ale wciąż się wyłaniały jakieś problemy z robotnikami, tak że przeciągnęło się to aż do połowy sierpnia. W dniu otwarcia wszyscy czekali bardzo spięci. A jeżeli nikt nie przyjedzie? Wyczekiwali na swoich stanowiskach bojowych od godziny dziewiątej rano. Ale nic się nie działo.

Na brukowanym kocimi łbami dziedzińcu pomiędzy blokiem stajni i domem wzniesiono z myślą o dzieciach uroczą dziewiętnastowieczną karuzelę z połączanymi drewnianymi końmi, delfinami, łabędziami i syrenami. Dzieci mogły też przejechać się na kucykach albo starą, polakierowaną na żółto, hrabiowską karetą, która miała kursować tam i z powrotem po alei wjazdowej. Przygotowano tyle bezpłatnych przyjemności, ile tylko Maxine zdołała wymyślić - poczynając od jazdy na tej karuzeli, aż do degustacji szampana - wszystko dla uświetnienia tego pierwszego dnia ze względu nie tylko na morale personelu, ale też i na możliwość obecności prasy.

Nic się nie działo przez cały poranek. I nagle o godzinie pół do jedenastej podjechały przed zamek pierwsze trzy powozy (Charles natychmiast pomyślał: trzeba będzie wzmocnić nawierzchnię alei). Gromadka czekająca na frontowych schodach powitała je

owacyjnie. Ciotka Hortense gestem bez precedensu zerwała z głowy fioletowy kapelusz w kształcie rondelka i podrzuciła go w powietrze. Nadenerwowała się bardziej, niż oni wszyscy. Tylko ona wiedziała, że w ostatniej chwili to właśnie jej zakulisowe argumenty przekonały ojca Maxine, by puścił się na nieznane wody tego interesu.

Gdyby się nie powiodło, nigdy by jej nie wybaczył.

Rozdział dziewiętnasty

Od samego początku Judy bez żadnych trudności reklamowała zamek tak, że prawie wszyscy pierwsi płacący goście, którzy sobie zarezerwowali pobyt, byli ze Stanów Zjednoczonych. Żeby ci Amerykanie czuli, że coś przecież mają za swoje pieniądze, Maxine zapraszała znajomych spośród francuskich sławnych osobistości, łącznie z Guyem Saint Simon, obecnie renomowanym projektantem mody.

- Widać, że oni bawią się tu fantastycznie - zauważył Guy po pierwszej swojej wizycie.

- Och, tak. Parę osób nawet już zarezerwowało pokoje na następny raz - powiedziała Maxine radośnie. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że zabawianie tych cudzoziemców sprawia jej przyjemność. W większości z nich znajdowała coś interesującego, a przy tym ich zadowolenie było zaraźliwe.

Z trudem odbudowała kruszące się gniazdo rodu Charlesa i tchnęła w nie na nowo życie. Oczywiście nie mogło się to podobać wszystkim. Siostry Charlesa lodowato ją krytykowały - no, ale one zawsze wynajdywały dziury w całym. Ich zdaniem wulgarne było to, że de Chazalle'owie pracują i że rezydencja rodzinna stoi otworem dla obcych ludzi.

- Dobrze mu tak, skoro ożenił się z mieszczką - powiedziała starsza siostra. - Bóg jeden wie, co ona jeszcze wymyśli: striptiz w salonie czy zoo w naszym parku.

Obie siostry nie chciały uznać faktu, że bez pracy Maxine nie byłoby już zamku, bo Charles sam bez jej zachęty, pomysłowości i pomocy nie mógłby w żaden sposób ze swojej posiadłości uczynić jednej z atrakcji turystycznych w Szampanii. Ale już najbardziej ubolewały nad współniczką Maxine, tą wulgarną Amerykanką, która przyleciała z Nowego Jorku na otwarcie, nad tą smarkatą Judy, mówiącą tak głośno i rozprawiającą przy posiłkach o pieniądzach i interesach.

Przed samym odlotem Judy do Ameryki przyjechał do zamku Guy z Paryża. Ponieważ był to wolny wieczór kucharza, kolacja na zimno została podana w bibliotece. Judy biorąc plasterek szynki wyczuła, że panuje tu dziwny, pensjonarski, konspiracyjny nastrój zawieszenia, jak gdyby miał zostać wyjawiony jakiś sekret. Może oni zamierzają dać jej prezent? Ostatecznie, otwarcie zamku dla publiczności to jej pomysł... Wzięła swój talerz i usiadła na stołeczku u stóp ciotki Hortense, tych stóp o podbiciu kościstym, wypukłym wskutek chodzenia przez całe życie na zbyt wysokich obcasach. Siedzieli wszyscy w ciepłe kominka, w blasku płonących drewn. Nawet w letnie, wcale niechłodne wieczory Maxine dbała o to, by w tej małej bibliotece trzaskał wesoły ogień.

- Coś się dzieje? O co chodzi? Co ukrywacie przede mną? - zapytała Judy. Ciotka Hortense parsknęła śmiechem szybko stłumionym, przy czym omal

nie upuściła talerza. Guy spojrzał na Charlesa, który dziwnie się uśmiechnął. Charles teraz lubił towarzystwo Guya, chociaż z początku boczył się na tego damskiego krawca, przesiadującego u Maxine w pokoju dzieciennym, a więc lepiej wiedzącego, co ona myśli, niż jej mąż. Po chwili Guy kiwnął głową i zwrócił się do Judy.

- Chcemy z tobą omówić interes. Chcemy ci zaproponować, Judy, żebyś otworzyła biuro na własną rękę i zajęła się reklamowaniem nas w Stanach.

Ogarnęło ją zdumienie.

- To bardzo... to cudownie pochlebające i bardzo wspaniałomyślne z waszej strony.

- Bynajmniej, to leży w naszym interesie - powiedział Guy. - Mnie jest potrzebny rzecznik prasowy w Stanach i przecież pracowałem z tobą lata całe w Paryżu. Znasz moje sprawy doskonale.

- A my oczywiście będziemy zależni od napływu gości z Ameryki - dorzuciła Maxine. - Więc potrzebujemy kogoś zaufanego, kto będzie nas w Ameryce reprezentował.

- Nie myślcie, że mi ten pomysł nie przyszedł do głowy! Ale ja jestem o wiele za młoda i nie mam żadnego kapitału. Maxine, ty wiesz, wszystko, co mogę zaoszczędzić, wydaję na leczenie matki. Nie mam ani centa.

- Teraz płacimy za reklamę innym firmom - powiedział Charles. - Moglibyśmy równie dobrze płacić tobie. Szczerze mówiąc, ja też pomyślałem, że jesteś młoda, ale przecież młodo zaczęliśmy wszyscy. Masz prawie dwadzieścia trzy lata, Judy. Kobieta w tym wieku nie jest już zbyt młoda na to, by ponosić odpowiedzialność za małe dzieci,

może więc odpowiadać i za małą agencję. Nie musisz zacząć natychmiast. Mogłoby to być za pół roku. Judy zapytała Guya:

- Czy o tym myślałeś, kiedy przyjechałeś pierwszy raz do Nowego Jorku? Do tego robiłeś aluzje wtedy na East River?

- Oczywiście. Tyś pomogła nam wystartować. Teraz my zamierzamy pomóc tobie. - Guy wstał i podniósł podobny do fletu kieliszek z szampanem. - Zdrowie Judy!

Wszyscy mu zawtórowali. A Judy się rozplakała.

Charles w swoim budżecie prawie całą niedużą pozycję reklamy wypełnił wydatkami raczej na informacje niż na ogłoszenia. Szybko zafrapowały go pomysły Judy, jej bezpośrednie podejście i imponujące rezultaty. Z początku trudno mu było rozmawiać z kobietą, która mówiła tak szorstko i zdecydowanie. Przywykł do omawiania interesów w sposób okrężny i do kobiet, które mężczyznom schlebiali, ale zdawał sobie sprawę, że przetrwanie wymaga nowych pomysłów; zorientował się, że Judy rozkręcając swoją agencję będzie ze wszystkich sił pracować na jego rzecz. I rzeczywiście usilnie pracowała.

Łatwo przychodziło jej propagowanie i opisywanie czegoś tak miłego jak szampan; gdyby usiłowała sprzedawać szczotki czy praktyczne półbuciki, może miałaby o wiele większe trudności. Od początku wysuwała trzy połączone słowa: „Paris - Champagne - Maxine”. Wykorzystywała do swoich celów raczej Maxine, niż Charlesa, bo Charles nie cierpiał rozgłosu. Maxine rozumiała to znacznie lepiej i radowała się swoją zawodową sławą. Drugim powodem ważnym dla Judy, było samo imię „Maxine” tak bardzo podobne do „Maxim”, nazwy słynnej paryskiej restauracji „U Maxima”. Nowy nadruk firmowy „Paris - Champagne - Maxine” natychmiast wywołał protest tej restauracji - przecież nazwa jej nierozłącznie kojarzy się ludziom z Paryżem, reklamowanie szampana imieniem Madame La Comtesse może wprowadzić zamęt. Ale Judy - uszczęśliwiona - pozwoliła sobie nie zgodzić się z tym i nie zmieniła nadruku.

Maxine stawiała się coraz bardziej znaną francuską osobistością. Zawsze potrafiła powiedzieć sentencję godną zacytowania czy żart, czy bystrą uwagę, gdy tylko to było potrzebne. Judy ostrzegła ją, żeby nigdy publicznie nie mówiła o pieniądzach, polityce i religii i żeby nigdy na nic nie uskarżała się prasie, a gdy dorywczo ukazał się w jednej z gazet złośliwy artykuł, żeby go ignorowała.

- Tak, wiem, że mamy skrzynie wspaniałych wycinków prasowych -powiedziała Maxine ze smutkiem. - Ale niestety tylko te draństwa budzą zainteresowanie... i tylko tym się przejmuję.

- No, będziesz musiała nauczyć się żyć z tym - stanowczo powiedziała Judy. - Prywatnie możesz sobie głośno mówić, co o tym myślisz, bylebyś nigdy nie próbowała wymuszać przeprosin od gazety. Zaskarż ją do sądu albo zapomnij o tym.

Judy również kładła nacisk na to, by Maxine pokazywała się zawsze pięknie ubrana. Do tego polecenia Maxine stosowała się chętnie. Gdy było już ją stać, kupowała kreacje Christiana Diora, chociaż z początku musiała się ograniczać do dwóch rocznie. Po wizytach u Diora spacerkiem szła dalej rue du Faubourg St. Honore, żeby wybrać parę rzeczy w butikach i odnowić zapasy bielizny.

Maxine potrzebowała sporo bielizny z pewnego bardzo osobistego powodu.

Charles był mężem czułym i pobłażliwym. Na początku kilkakrotnie przejawiał drażliwość, po czym pozwolił Maxine organizować ich życie i z dumą połączoną z cichym rozbawieniem patrzył, jak ona to robi. Od czasu do czasu tupał nogą, ale rzadko. Przeważnie Maxine stawiała na swoim, mogła w okolicznościowych kłótniach mieć ostatnie słowo, Charles lubił jednak jej przypominać, dlaczego tak się dzieje. Otóż nie dlatego, żeby wariował za nią czy był pod pantoflem, tylko dlatego, że po prostu chce jej pobłażać. Sposób przypominania o tym miał szczególny.

Nieraz na wytwornych przyjęciach Charles sprawiał, że Maxine zachłystywała się albo rumieniła i nawet zapominała, co ma powiedzieć. Osiągał to jednym znaczącym spojrzeniem. Cieszył się ogromnie z takiej władzy nad nią, z tej zdolności rozbijania jej spokoju wzrokiem, pod którym, jak wiedział, serce jej zamierało i pachwiny wilgotniały. Bo Maxine dobrze te spojrzenia rozumiała.

W pewien wieczór wkrótce po ślubie szepnął:

- Na ten bal dzisiaj u państwa de la Fresange nie wkładaj bielizny. Chcę wiedzieć, że w każdej chwili, kiedy pocuję chęć, jesteś dla mnie gotowa.

Maxine myślała, że on żartuje, ale na balu, gdy tańczyli, wyprowadził ją z salonu w ciemny kąt tarasu i szybko wsunął rękę pod blad różowy nawarstwiony tiul jej sukni balowej.

Była w koronkowych figach.

Rozdarł je na niej, zerwał i rzucił z tarasu na ziemię, lewą ręką przyciskając ją do kamiennej balustrady. Z tyłu wyglądali jak każda inna flirtująca para,

jego palce jednak napierały brutalnie. Bała się, że wypadnie za niską balustradę. Bała się, że ktoś zobaczy, a przecież nie mogła się oprzeć rytmowi tych palców. Rozpiął się i poczuła go w sobie. Nigdy dotąd jej nie pożądał aż z takim samolubnym zapamiętaniem. Po spełnieniu delikatnie ucałował ją w usta i powiedział:

- Kochanie, w niewielu sprawach chcę, żebyś mi była bezapelacyjnie posłuszna.

Potem nieraz jak gdyby nigdy nic mówił Maxine, żeby nie wkładała bielizny, zwłaszcza gdy się wybierali na jakąś bardzo uroczystą imprezę. W takich przypadkach zwalniał nieco zdumionego szofera na cały wieczór. Sam wtedy prowadząc samochód, sięgał pod spódnicę Maxine między jej drżące uda i sprawdzał, czy go usłuchała. Raz, kiedy nie usłuchała (żeby zobaczyć, co się stanie), zatrzymał samochód i grubiańsko kazał jej wysiąść. Na trawie przy wiejskiej drodze zmusił ją do zdjęcia majtek, powiesił te motylki z brzoskwiniowego szyfonu na żywopłocie, po czym wciągnął ją na tylne siedzenie samochodu, przerzucił sobie przez kolano i dał jej po tyłku. Nie żartował.

W parę dni później, gdy zjedli kolację a' deux w domu, wziął ją za rękę i poprowadził do kantoru, w którym pracowali razem. Ten pokój był jak wygodny salon, chociaż stały tam maszyny do pisania, magnetofony i biurowe szafki. Na środku królowało wielkie, kwadratowe, staroświeckie biurko wspólników, pokryte zieloną skórą, z szufladami z obu stron, żeby mogły przy nim pracować dwie osoby.

Charles usiadł na swoim krześle obrotowym.

- Rozbierz się - powiedział łagodnie. - Już. Chcę zobaczyć cię nagą.

- Ale służba jeszcze nie śpi. Nie możemy pójść na górę?

- Już! Tutaj!

Patrzył z lekkim uśmiechem, jak się rozbiera. Potem wychylił się z krzesła i szorstko pociągnął ją za schludnie upięty kok. Blond włosy opadły do przodu na ciężkie piersi. Posadził ją sobie okrakiem na kolanach, wpatrzoną w niego, zmieszaną, zdenerwowaną i bardzo zaniepokojoną. Przycisnął usta do jej pełnej piersi, pożyłkowanej niebiesko i ssał namiętnie, aż ona wyginając się tak, że włosy jej jak splątana słoma zawisły nad podłogą, już nie wiedziała, gdzie jest i co robi! Uniósł jej pośladki, delikatnie nasunął ją na siebie i zaczął powoli drążyć w niej, dopóki nie była bliska orgazmu.

- Boisz się - szepnął jej nagle do ucha - że służba usłyszy?

- Nie, nie - sapnęła - nie przerywaj, nie przerywaj!

- Boisz się, że ktoś nas zobaczy?

- Nie!

W inny księżycowy wieczór w kantorze kazał jej się rozebrać, usiąść na krawędzi tego wielkiego biurka. Poglaskał ją po plecach jedwabście, zmysłowo, dziwnie obojętnie, miękko przesunął czubki palców na krągłość brzucha, zakosztował ciepłego pizmowego zapachu jej kobiecości. Delikatnie pchnął ją do tyłu i teraz leżała naga, drżąca na skórzanym blacie, pasma blond włosów opadały na dyktafon. Pochylając głowę, zaczął pieścić jej blade ciało językiem. Później, gdy zdyszana leżała nieruchomo, szybko się rozebrał i wziął ją na biurku. Przerwał dręcząco.

- Miałabyś coś przeciwko temu - zapytał - żeby mademoiselle Janinę zobaczyła, co się tu dzieje po godzinach urzędowania?

- Nie! Och, proszę, Charles, wróć!

- Więc nie robi ci różnicy, jeżeli będzie wiedziała, że Madame la Comtesse taka poprawna, taka elegancka, zmienia się w rozpasaną dziwkę, ledwie jej wsunę rękę między uda?

Ale Maxine, wzdychając z rozkoszy, nie mogła odpowiedzieć.

W miarę jak Maxine stawała się coraz bardziej znana we Francji, emablowana, cytowana i fotografowana w towarzystwie takiej czy innej osobistości, Charlesowi coraz większą przyjemność sprawiała myśl, że jednym spojrzeniem może wytrącić ją z równowagi. Patrzył na nią z mocą z drugiego końca pokoju pełnego nienagannie ubranych ważnych ludzi i natychmiast miał satysfakcję, bo Maxine podrywała się i rumieniła.

Potem w nocy zdzierał z niej nocną koszulę - lubił zdzierać powiewne, przybrane koronkami szatki ze swojej żony - i mówił:

- Ten generał właśnie to chciał ci zrobić, prawda?

Albo brutalnie chwycił ją za piersi, wtulał w nie głowę i mamrotał:

- Czy tego chciałaś od Newmana?

Maxine nigdy przed ślubem nie przypuszczała, że życie małżeńskie będzie tak urozmaicone ryzykiem i niespodziankami ani że tyle pieniędzy będzie wydawać na bieliznę.

Kochała każdą niebezpieczną chwilę życia z Charlesem.

Większość zamężnych przyjaciółek Maxine miała kochanków, ale ona już dawno postanowiła być mężowi wierna - postanowienie jak na Francuzkę z jej sfery niezwykle. Uważała - miała nadzieję - że żadne dodatkowe podniecenie nie jest jej potrzebne.

Z jednym wyjątkiem.

W zimie 1956 roku Maxine ni stąd, ni zowąd bez uprzedzenia, bez opowiadania się komukolwiek, zostawiając tylko krótką wiadomość u sekretarki Charlesa, wyjechała na tydzień. Zanim jej zielony mały MG zniknął z garażu, były jakieś zamiejscowe rozmowy telefoniczne w odosobnieniu buduaru, gdzie na ogół rzadko przesiadywała.

Po siedmiu dniach wróciła blada, mizerna, rozstrojona i płakała. Powiedziała wściekłemu, zdenerwowanemu Charlesowi, że nagle zdecydowała się odwiedzić Colette Joyaux, koleżankę szkolną w Bordeaux, która zachorowała.

Mąż wpadając w furję, zrobił jej scenę zazdrości. Nawet nie chce jej się kłamać zręcznie, jak to ona potrafi. Trudno uwierzyć, powiedział sarkastycznie, że jakaś koleżanka, z którą prawie się nie widuje, daleka znajoma w istocie, nagle nabawia się choroby akurat wymagającej właśnie jej obecności.

Co to za choroba? Jak nazywa się lekarz madame Joyaux i jaki jest numer jego telefonu? Dlaczego Maxine wyjechała bez uprzedzenia, ale z zapakowaną walizką? I dlaczego sama pakowała, zamiast kazać zrobić to pokojówce? Dlaczego nie powiedziała mu o chorobie Colette przed wyjazdem? Dlaczego z wiadomością, że wyjeżdża na kilka dni, zatelefonowała rano do biura w Epemay, kiedy wiedziała, że jego tam nie ma. I dlaczego potem nie zatelefonowała do domu ani razu, rano czy wieczorem, kiedy mogła liczyć na to, że go zastanie?

Maxine usiłowała odpowiadać na ten ogień zaporowy gniewnych pytań. Niezdarnie wykręcała się od jednego kłamstwa odpowiedzią, natychmiast prowadzącą do następnego, ale uparcie nie chciała wytłumaczyć swojej nieobecności. Sama wyglądała na chorą i Charles nigdy dotąd nie widział jej tak smutnej. Wyraźnie było jej obojętne, co czuje, myśli i mówi. Nawet się nie fatygowała tego ukrywać. Chociaż wróciła, Charles wiedział, że duchem jeszcze przebywa daleko. Z kimś innym.

Wyszedł z jej buduaru, popędził po kolistych schodach na dół, wskoczył do swojej Lagondy i pojechał do Paryża na tydzień, nie zastanawiając się, gdzie się tam zatrzyma. Po jego wyjeździe Maxine stwierdziła, że dwie fotografie Pierre'a Boursala zostały wyjęte z jej szkolnego albumu i pozostawione w drobnych strzępach na toaletce.

Gdy w tydzień potem Charles przyjechał późnym wieczorem, ponury, ale zadowolony z siebie, doszło między nimi do zażartej kłótni, która skończyła się żywiołowo i szczęśliwie w łóżku. Odtąd tej sprawy nigdy nie poruszali.

Bo Charles już się zrewanżował i wiedział, kiedy dać spokój.

Rozdział dwudziesty

Elizabeth zobaczyła mgliste światła w dolinie poniżej, w tej bezpiecznej Austrii i natychmiast z poczuciem osamotnienia ogarnął ją niepokój. Prawie nie chciała dotrzeć do dalekich światła. Bez tchu mała, zmęczona dziewczynka zatrzymała się i zaczęła rozcierać zmarznięte ręce. Dopiero po długiej chwili poczłapała w austriackim śniegu krętą ścieżką biegnącą do Eisenstadt.

Po godzinnej wędrówce weszła zataczając się na schodki pierwszego domu przy skraju miasteczka i niemrawo podskoczyła do kołatki na drzwiach. Nagle buchnęło światło, zobaczyła dużą męską postać i ktoś powiedział:

- Więcej zupy, Helga. Jest jeszcze jedna.

Oszołomiona, oniemiała, tylko niejasno wiedziała, że znalazła się w kuchni pełnej pary wśród obcych dorosłych w nocnej bieliznie i w szlafrokach, którzy się koło niej krzątają. Szybko zasnęła, otulona kocem w fotelu.

Nazajutrz zabrano ją do obozu uchodźców w Eisenstadt, ponurych starych baraków wojskowych, zatłoczonych ludźmi - znaczną liczbą z tych stu pięćdziesięciu tysięcy Węgrów, którym udało się uciec za granicę w roku 1956. Pospiesznie zwerbowani ochotnicy chodzili od baraku do baraku, zapisywali personalia nieszczęsnych cichych przybyszów kulących się w płaszczach z podniesionymi kołnierzami, zaciskających kurczowo palce na wypchanych torbach, workach od kartofli czy małych walizeczkach - całym teraz swoim dobytku.

Niecierpliwa, zafrasowana kobieta o tłustej cerze, trzymając notatnik w wyciągniętej ręce, zapytała Elizabeth, jak się nazywa. Zapytała najpierw po niemiecku i to z cudzoziemska tak, że oszołomione dziecko jej nie rozumiało, dopóki nie zaczęła po francusku.

- No powiedz, masz sznurek na szyi, ale bez plakietki z nazwiskiem. Czy się oderwała? Muszę wiedzieć, jak się nazywasz, zanim pójdziesz na badanie lekarskie.

W końcu dziewczynka wykrztusiła:

- Lili.

- Lili jaka?

- Quoi, s 'U vous plait, madame?

- Twoja rodzina. Jak się nazywają twoi rodzice?

- Da... da... - Nie, przecież już nie Dassin... Wyszłochała: - Ko... Ko... vago. Kobieta zapisała na gorze stronicy „Lili Vago (język francuski)

urodzona 1949 r." I tak właśnie Lili, mając lat siedem, dostała czwarte nazwisko. Pierwsze było to na jej metryce, drugie Dassin, trzecie Kovago, a teraz Vago.

Potem z przydzielonym mydłem i kromką razowego chleba stanęła w ogonku smutnookich dorosłych do badania lekarskiego. W uszach jej szumiało, skądś z bardzo daleka opadł jej na pierś chłodny stetoskop.

- To chyba zapalenie płuc. Szok, zdana sama na siebie. Zabierzcie do baraku szpitalnego. Następny, proszę.

Gdy tylko dziewczynka wyzdrowiała na tyle, że mogła podróżować, pani z komitetu do spraw uchodźców powiedziała jej, że się nią zaopiekuje pewna rodzina w Paryżu.

- Masz wielkie szczęście, Lili. Dla połowy osób w tym obozie nie możemy znaleźć domów.

W czasie długiej i niewygodnej jazdy pociągiem dziewczynka prawie się nie odzywała do niespokojnych, wyczerpanych uchodźców. Gdy z pociągu wysiedli w gryzący zapach dworca, zajęła się nimi inna pani z komitetu do spraw uchodźców z nieodłącznym notatnikiem. Odfajkowała ich na swojej liście i zabrała do poczekalni, gdzie siedzieli oklapli na twardych ławkach, podczas gdy ich losy układały się na nowo.

- Lili... Lili Vago jest tam, madame Sardeau. Wstań i przywitaj się, Lili. Będiesz u pani Sardeau, która hojnie ofiarowuje ci dom.

Tych dwoje ludzi stojących przed Lili nie wyglądało na hojnych. Byli opatuleni w ten zimny dzień, ich spiczaste nosy i ściągnięte usta wysuwały się zza ciemnych szalików.

Dziwnie ceremonialnie ta podstarzała para uścisnęła dziecku rękę. Potem kobieta powiedziała ostro:

- Ale myśmy się spodziewali o wiele starszej dziewczynki. Prosiliśmy o dwunasto-czternastoletnią.

Równie ostro odpowiedziała pani z komitetu.

- Madame, w tej sytuacji, chociaż doceniam państwa gościnność i zainteresowanie, nie można zamawiać dzieci, jak gdyby obóz uchodźców był domem towarowym.

- Nie ma bagażu? Nie ma paszportu? - zapytał mężczyzna.

- Dzisiaj żadnych dokumentów - powiedziała ta z komitetu głosem już zmęczonym. - Zechcą państwo tylko podpisać tutaj, i tutaj, i tu. Jutro prosimy do biura... o której państwu wygodnie, żeby wypełnić formularze i załatwić inne formalności.

Dziewczynka poszła z dworca do nowego domu, w nowe życie u państwa Sardeau. Wyczuła, że coś jest niedobrze, że ich rozczarowała i rozzłościła. W milczeniu pojechali metrem do Sablon, a potem doszli ciemnymi ulicami do staroświeckiej kamienicy. Pod łukowatym sklepieniem czarna dwuskrzydłowa brama prowadziła na podwórze, tak wielka, że przejechałby wóz z sianem. Lili szła za swymi nowymi rodzicami zanadto zmęczona, by na cokolwiek zwracać uwagę poza bólem w łydkach, bólem w klatce piersiowej, ciśnieniem w głowie. Zatrzymali się przed jakimiś drzwiami i gdy monsieur Sardeau wyławiał z kieszeni klucze, dziewczynka przy tych drzwiach mieszkania osunęła się na podłogę.

- Henri, nie myślisz, że wlepili nam taką, której coś jest? - zapytała madame Sardeau z niepokojem. - Godziliśmy się nie na chorą. Nie chcemy rachunków lekarzy. Chcemy silną dziewczynę do pomocy w domu.

- Jednak dziś trzeba wezwać doktora. - Monsieur Sardeau podniósł to wątłe dziecko. - Połóż ją do łóżka, a ja sprowadzę Dutheila.

Doktor Dutheil był życzliwy.

- Zasadniczo chyba wszystko z nią w porządku. Dzieci są bardzo żywotne. Ona jest wyczerpana i sądząc z tego, co mówi, jeszcze niezupełnie doszła do siebie po zapaleniu płuc. Przeżyła jakiś duży wstrząs emocjonalny, o którym nie chce opowiadać; to także normalne i zrozumiałe. W tej fazie nie ma dość sił, żeby przynieść sobie ulgę opowiadaniem o tym przeżyciu, więc proszę jej nie wypytywać. Niech sobie leży w łóżku, dobrze jada, pije dużo mleka i przede wszystkim niech ma spokój.

Niepewnie popatrzył na madame Sardeau, ale nie mógł sobie tej kobiety wyobrazić w roli pocieszycielki. Zdjął okulary, przetarł je chustką do nosa i milczał. Po chwili chytrze powiedział:

- Pani jest bohaterką, madame! Świętą, tak pięknie ratującą biedne dziecko! Przyjdę jutro i będę przychodził codziennie, dopóki ona nie wyzdrowieje. Pieniądzy za wizytę nie przyjmę. Proszę pozwolić, żebym dopomógł w pani szlachetnej działalności.

Nazajutrz rano madame Sardeau wbiła się w swój czarny płaszcz, omotała szyję rdzawym grubym szalikiem, dwiema szpilkami umocowała na głowie kapelusz i wyruszyła do centralnego komitetu do spraw uchodźców. Podążyła

recepcjonistce swoje nazwisko, po czym czekała w zatłoczonym małym biurze. Ludzie z pośpiechem wchodzili i wychodzili, niektórzy byli urzędnikami, ale też sporo osób pracowało najwidoczniej społecznie. Wreszcie, gdy już myślała, że będzie czekać w nieskończoność, wprowadzono ją do zimnej klitki wypełnionej stertami aktówek.

- To nie z panią rozmawiałam wczoraj na dworcu - zauważyła widząc tam zaaferowaną niedużą kobietę.

- Nie ze mną. Yvonne mówi po węgiersku, więc musiała znów pójść na dworzec, żeby przyjąć nową partię uchodźców, której się nie spodziewaliśmy. Przykro mi, madame, nie chcemy narażać nikogo na fatygę i czekanie, ale wszyscy tu nagle mają więcej kłopotów niż zwykle. No, gdzie jest to dziecko?

- Chore w łóżku. Codziennie będzie przychodził do niej lekarz, i to co najmniej przez dwa tygodnie! Pani sobie wyobraża taki wydatek? Ładnie się zaczyna!

- Ojej, powinniśmy bezpośrednio od niej uzyskać dane, żeby natrafić na ślad jej rodziców. Zrobimy na razie wszystko, co możemy, ale kiedy już będzie zdrowa, musi pani tu ją przyprowadzić, bo to ona ma odpowiadać na pytania sama. Spróbujmy teraz wypełnić te formularze.

Tak więc formularze zostały wypełnione, ostemplowane i włożone z powrotem do teczki, która powędrowała do szuflady opatrzonej literą V.

Czując się już dosyć dobrze, Lili siedziała w łóżku owinięta szorstkim grubym szalem zapiętym z tyłu na agrafkę. Niespokojnie pytała, co się stało z Angeliną, Felixem i Rogerem, jej mlecznym braciszkiem.

- Komitet stara się o nich dowiedzieć. Kiedy już zaczniesz wstawać, pójdziemy tam do biura i powiedzą ci, co będą wiedzieli.

- Czy moja vraie maman wie, gdzie ja jestem?

- Więc monsieur i madame Vago to nie są twoi prawdziwi rodzice?

- Nie są. Angelina się mną opiekuje, dopóki nie będę mogła być z moją prawdziwą mamą w innym kraju, a Felix się opiekuje Angeliną i także Rogerem, chociaż Felix nie jest vrai papa Rogera, oczywiście. I Felix się nazywa Kovago, a ja naprawdę mam na imię Elizabeth, z tym, że wolę mieć na imię Lili i Felix tak do mnie mówi. Wszyscy na Węgrzech mówią do mnie Lili, tylko w Chateau d'Oex mówią Elizabeth. O wiele bardziej mi się podoba Lili i wolę Węgry niż Szwajcarię, chyba. Tylko żałuję, że nie umiem rozmawiać po węgiersku. Znam za mało słów.

Czy to dziecko jeszcze bredzi? zastanowiła się madame Sardeau. Najlepiej poczekać do jutra, kiedy przyjdzie doktor, i po jego wizycie zapytać znowu.

Nazajutrz madame Sardeau z notatnikiem kuchennym i ołówkiem usiadła przy stoliku Lili i doprowadziła do porządku jej historię.

- Więc byłaś wychowanką madame Dassin i mieszkałaś w Szwajcarii, i pojechałaś w odwiedziny na Węgry, zanim tam wybuchło powstanie? Czy wiesz coś dokładnie o twojej prawdziwej matce?

- Tak, tak, tak, nie. Czy już mogę spać dalej?

Przy kolacji madame Sardeau omówiła tę sprawę z mężem.

- To nie nasz obowiązek odszukać jej rodzinę. To ma zrobić komitet -oświadczyła. - Co prawda, raczej nie wierzę w takie pokręcone gadanie. Doktor Dutheil dziś powiedział, że być może ona żyje w urojonym świecie, żeby się bronić przed rzeczywistością. Powiedział, że być może, tylko w ten sposób zdoła znieść utratę swojej rodziny.

- Tymczasem, moja droga - pan Sardeau wbił nóż w kruchą zapiekankę cebulową - chyba jednak powinienem napisać do burmistrza Chateau d'Oex, zapytać, czy tam... jak to dziecko mówi... mieszka rodzina Vago czy Kovago. Ostatecznie, jeżeli oni uciekli z Węgier, to oczywiście wróciliby do domu i jeżeli wrócili, będziemy mogli oddać im tę małą i zażądać wynagrodzenia, zwrotu kosztów, co nam się moralnie należy. Z drugiej strony, jeżeli nie uciekli albo ich zabili, to może temu dziecku należy się coś w spadku... dom może. Więc jutro rano wystosuję list.

Ta zima roku 1956-1957 była w Paryżu bardzo mroźna. Doktor Dutheil nie pozwolił Lili wychodzić z dusznego przegrzanego mieszkania aż do połowy lutego. Dopiero wtedy madame Sardeau znów się udała do komitetu dla uchodźców, teraz w towarzystwie Lili. I znów nastąpiło długie czekanie w lodowato zimnej małej poczekalni, tym razem już nie

zatłoczonej. W końcu przyjęła je jakaś wolontariuszka, której madame Sardeau poprzednim razem nie widziała.

- Imię i nazwisko, kochasiu?

- Lili Kovago.

Pół godziny trwało nerwowe poszukiwanie, trzydzieści minut grzebania pod beżowymi plikami papierów na biurku i na szafkach, dopóki madame Sardeau nie przyszło do głowy powiedzieć:

- Może ta teczka jest pod V. Vago. Na początku była pomyłka. Nie z mojej winy, pani rozumie.

Rzeczywiście ta teczka znalazła się pod V. Pani z komitetu gdzieś się przy tym zapodziały okulary, a madame Sardeau resztki cierpliwości.

- To niewybaczalne, że ja tu muszę czekać, i że te dokumenty giną aż dwa razy.

Tamta jeszcze bardziej się zmartwiła.

- Nie dostaliśmy żadnych pytań o to dziecko.

- Idiotka! - warknęła madame Sardeau. - Pytania byłyby o dziecko nazwiskiem Kovago albo Dassin, to znaczy, tak poprzednio nazywała się matka, i musiałyby być włożone pod K albo pod D.

Więc pani z komitetu znów zaczęła grzebać w szafce, przetrząsać szuflady K i D, ale nie było tam teczki ani Kovago, ani Dassin.

- Tylko mi pani niepotrzebnie marnuje czas w tym bałaganie - warczała madame Sardeau. - I sobie też marnuje pani czas w tym bałaganie. To oczywista strata czasu siedzieć tutaj jak kretyńka! - I wyszła z komitetu, ciągnąc za sobą Lili.

Wyczerpana działaczka pomocy dla uchodźców odłożyła teczkę Lili - nadal z etykietą Vago - z powrotem do szuflady V. Nie było prawdopodobne, żeby ktokolwiek, kto by Lili szukał, zajrzał do tej szuflady, bo z jakiej racji. Lili dosłownie przepadła z powodu zawieruszonych papierów.

Po wysłuchaniu relacji oburzonej małżonki z wizyty w komitecie dla uchodźców monsieur Sardeau nazajutrz rano podyktował jeszcze jeden list, tym razem ze skargą do zarządu komitetu pomocy dla uchodźców. Otrzymał w odpowiedzi pismo z przeprosinami, ale poza tym nic nowego nie wnoszące.

W sześć tygodni potem przyszedł krótki list z biura burmistrza Chateau d'Oex. O ile burmistrzowi wiadomo, nie ma w miasteczku rodziny nazwiskiem Vago, ale pewien

kelner, Węgier, Kovago mieszkał w wynajętym domku na peryferiach. Niestety on i jego rodzina byli z wizytą na Węgrzech, gdy tam wybuchło powstanie i najwidoczniej, próbując ucieczki, wszyscy zginęli.

W archiwach miejskich nie ma żadnych innych danych.

Nie myśl, że jesteśmy bogaci - niosąc torby z zakupami madame Sardeau prychnęła grymaśnie, gdy wielką bramą wchodziły na podwórze - komorne za to mieszkanie jest ustawowe. Mieliśmy szczęście po wojnie.

„Nie myśl, że jesteśmy bogaci” było ulubionym hasłem Sardeau. Gdy tylko Lili wzięła dodatkową kromkę chleba albo zapomniała zgasić światło w staroświeckiej bezokiennej łazience, czy też poprosiła o cokolwiek, te słowa automatycznie dobywały się obojgu państwu Sardeau z ust.

Byli bezdzietnym małżeństwem. Nigdy żaden tyrański bachor nie pozbawił ich nocnego snu ani co lepszych ozdób w mieszkaniu. Nigdy nie mieli nawet kota, po którym musieliby sprzątać, szybko więc odkryli, że męczy ich obowiązek opiekowania się małą dziewczynką. Zgłosili chęć adoptowania sieroty z powodów praktycznych - żeby na starość mieć kogoś, kto by dbał o nich, ewentualnie popychał fotel na kółkach, siedział przy łóżku, chodził na pocztę po emeryturę. Nigdy nie było ich stać na służącą, madame już się starzała, potrzebowała pomocy w domu i owszem, chyba przydałby się im ktoś do towarzystwa, bo monsieur pracował w państwowym urzędzie statystycznym i po dwudziestu siedmiu razem przeżytych latach właściwie już nie bardzo mieli o czym rozmawiać.

Ale ta dziewczynka, chociaż drobna i chuda, i bodaj w przybliżeniu nie tak silna jak dorosła służąca, jadła jak dorosła. Co jeszcze gorsze, nie służyła na każde zawołanie, bo albo była w szkole, albo marudziła przy odrabianiu lekcji. Z pewnością na razie nic nie uzasadniało ponoszenia kosztów jej utrzymania. I nie należało jej ufać: kłamała. To dziecko musiało mieć fatalne pochodzenie. Oby nie żydowskie.

Lili, uległa, posłuszna, bledziutka szkolna uczennica, rzeczywiście już zaczęła kłamać w samoobronie, żeby uzyskać trochę czasu dla siebie, pomarzyć o tym, co by mogło być. Kłamała, o której godzinie wyszła ze szkoły, kłamała, że nie chodziła po parku. Kłamała, że była w kościele, że już wytarła kurze, skończyła prasować. Gdy oboje Sardeau spychali jej wyobraźnię na szare koleiny instynktu samozachowawczego, zaczęła żyć w świecie fantazji, w którym była - ta samotna mała dziewczynka - zawsze uwielbianą, roziskrzoną,

wspaniałą damą. Stawała się coraz bardziej przygaszona, zamknięta w sobie. I jednocześnie czyniła ze swej nieznannej matki coraz bardziej romantyczną tajemnicę; bo alternatywę stanowiło zmierzenie się z faktami, że owa matka szorstko ją odtrąciła.

To mieszkanie na szóstym piętrze było małe, ciemne i niepokalanie czyste. Każde szpetne cacko miało w nim swoje ustanowione miejsce, jak Lili się przekonała, codziennie je odkurzając. Mieszkała w nie większym niż szafa pokoiku przy kuchni od podwórza.

Chociaż z nauką miała trudności, szybko sobie uświadomiła, że bardziej odpowiada jej wesoły, hałaśliwy nastrój szkoły niż klaustrofobiczny nastrój przedsiębiorstwa pogrzebowego panujący u Sardeau. Z pewnością jednak w tym liceum musiała pilnie się uczyć jak nigdy dotąd.

Madame Sardeau nie zamierzała dawać swej podopiecznej czasu na zbijanie bąków. W dni wolne od szkoły Lili musiała nie tylko wykonywać wszystkie lekkie prace porządkowe, ale też obierać jarzyny, podawać do stołu, prasować i szyć. Madame Sardeau zwłaszcza szyciem obarczała ją nadmiernie, odkąd odkryła jej zdolności w tym kierunku. Ostatecznie, mówiła sobie w duchu, patrząc, jak Lili niewolniczo haruje, diabeł stworzył pracę dla leniwych.

Po dwóch latach Lili rozumiała - chyba lepiej niż sami Sardeau - że oni uważają ją za kiepską lokatę, której niestety nie mogą zlikwidować, żeby przerzucić wkład na coś istotniejszego. Nie byli dla niej niedobrzy, ubierali ją, karmili i dawali odpowiednio coraz lepsze prezenty na Gwiazdkę czy przy innych uroczystych okazjach - żywoty świętych, przybory do szycia, kamizelki - ale ta dziewczynka nigdy nie przejawiała wdzięczności.

Przed jej dziewiątymi urodzinami madame pokazała Lili fotografię w gazecie - wielkooką afrykańską sierotę z kończynami jak patyki.

- Widzisz - powiedziała - przed czym cię ocaliliśmy! Lili długo milczała, po czym oświadczyła:

- Moja mama by nie dopuściła, żebym konała z głodu.
- Wiesz doskonale, że twoja matka nie żyje.
- Moja tamta matka przyjechałaby po mnie. Madame Sardeau się rozgniewała.
- Ty mała kłamczucho. Twoje bajki o tamtej matce i dzwonkach sań na śniegu to czczy wymysł. Ksiądz mi mówił, że wiele dzieci tak zmyśla, zwłaszcza te, które dostają od

rodziców baty za złe sprawowanie. Lepiej bądź bardziej obowiązkowa wobec nas. Bo masz wobec nas obowiązki. Bo to my dajemy ci utrzymanie i dach nad głową i wydajemy na ciebie pieniądze. Twoi rodzice nie żyją! Wbij to sobie wreszcie do głowy.

- Ale żyją dziadkowie Kovago. Nie poszli z nami wtedy w nocy. Kiedy będę dosyć duża, wrócę do nich.

- Ty niewdzięczna idiotko! Nawet jeżeli żyją, są teraz za Żelazną Kurtyną. Już nigdy ich nie zobaczysz.

Lili milczała walcząc ze wzburzeniem, z poczuciem daremności. Aż nagle gniew i od dawna dławiona uraza wzięły górę. Oczy jej błysnęły nienawiścią. Splunęła na madame Sardeau.

Zaległa cisza, a potem zgorszona, rozjuszona madame wrzasnęła:

- To, że zachowujesz się jak ulicznica, tylko zdradza, z jakich pochodzisz nizin. Powiem o tym mężowi wieczorem i on cię ukarze. Marsz teraz do swojego pokoju!

Lili uciekła, łzy spływały na jej szkolny fartuszek. Rzuciła się na swe nierówne, ze sfatygowanymi sprężynami łóżko tęskniąc do Angeliny, Felixa i Rogera. Już nie miała nic. Ani brata, ani babci, ani dziadka, ani wuja, ani ojca. Jak może waie mamam choćby się dowiedzieć, że ona jest w Paryżu? Skąd teraz będzie wiedziała, gdzie jej szukać, kiedy czas na to przyjdzie?

Czuła się tak, jak gdyby jakiś niewidzialny mściwy duch dręczył ją, łamał ją w tym bezradosnym mieszkaniu. Chociaż miała zaledwie dziewięć lat, wiedziała, że jej dzieciństwo minęło i że teraz pozostaje jej tylko odliczać czas w drodze przez te szare dni rozciągające się przed nią, dopóki nie będzie na tyle dorosła, żeby uciec.

Rozdział dwudziesty pierwszy

Trzy lata po otwarciu zamku były dla Maxine wypełnione prawie bezustanną pracą. W roku 1959 odkryła, że interes postępuje zygzakiem - jeden krok do tyłu, na każde trzy kroki naprzód. Personel zamku de Chazalle uczył się swoich zadań z dnia na dzień, a ona tym wszystkim zarządzając stwierdziła, że coraz trudniej jej się uporać z problemami przedsiębiorstwa prowadzonego na skalę o wiele większą niż to, do czego przywykła w sklepie przy rue Jacob.

W pierwszym roku mieli 92 tysiące zwiedzających i uzyskali brutto 30,8 milionów franków. Czyli ponieśli stratę. O rage, o desespoir, myślała Maxine ponuro, przypominając sobie często powtarzany pensjonarski lament Poganki. Jeszcze więcej dni spędzała z księgowymi, jeszcze bardziej niespokojnie składała wizyty w banku i - co najgorsze - jeszcze raz zaciągnęła pożyczkę, której skutkiem było jeszcze więcej bezsennych nocy.

W drugim roku mieli 121 tysięcy zwiedzających i brutto 48,4 milionów franków. Sukces!

Ale czy to się utrzyma?

W trzecim roku zwiedziło zamek ponad 174 tysiące osób. W czwartym przekroczyli czarowną liczbę 250 tysięcy zwiedzających.

Tak, to miało się utrzymać. Ale co z Maxine? Guy zmartwiony powiedział Charlesowi na osobności, że jego zdaniem ona jest jak ktoś, kto zbiega za prędko ze wzgórza i w rozpędzie nie może się zatrzymać. Charles przyznał mu rację, po czym wydał, nie po raz pierwszy zresztą, polecenie jej sekretarce. Mademoiselle Janinę zechce możliwie jak najwięcej spraw załatwiać bez udziału Madame la Comtesse. Sekretarka radziła sobie z tym tak dobrze, że w końcu Maxine mogła jej zlecać prawie wszystko z wyjątkiem odbywania co tydzień w poniedziałek konferencji z księgowym posiadłości i również cotygodniowego w piątek spotkania z Christine w Paryżu, kiedy to omawiały projekty Paradis.

Już Maxine nie siedziała przy biurku do północy, odkładając załatwione pisma tylko po to, by nazajutrz witały ją piętrzące się nowe sterty korespondencji. Już nie wstawała o szóstej rano. Bez pośpiechu jadała teraz śniadanie w łóżku, do biura przychodziła o dziewiątej i kończyła dzień roboczy przed obiadem. Ku swojej uldze mogła znacznie dłużej niż dotychczas przebywać z synkami; to jeden z plusów mieszkania nad sklepem, myślała, gdy w każde zimne popołudnie bawiła się z tymi uroczymi chłopaczkami w pokoju dziecinnym, ciepłym od dREW trzaskających na palenisku kominka, i gdy w słoneczne popołudnia uganiała się z nimi i z psami po parku. Dotychczas się nie spodziewała, że będzie jej dane tak po prostu cieszyć się swoimi dziećmi i często, patrząc na nie, czuła w sercu szarpnięcie poczucia winy; chyba ona na te dzieci nie zasługuje, to jest zbyt dobre, żeby było prawdziwe. Czasem dreszcz ją przebiegał na myśl, że może los

wymierzy jej jakąś straszną karę za to, że jest tak bezwzględnie praktyczna i że wszystko idzie jak z płatka.

Po części z powodu ogromnego sukcesu zamku firma Paradis też miała coraz większą renomę, konserwując i przystosowując zabytkowe domostwa. Odkąd zamek de Chazalle otworzył swe podwoje i wspaniale zareklamował, co Paradis potrafi, na rue Jacob ścigały tłumy potencjalnych klientów. Maxine z powodzeniem odrestaurowała i unowocześniła dwadzieścia sześć budowli.

Firma Paradis przetwarzała rezydencje historyczne w osobiwości do oglądania, w hotele albo domy wielorodzinne. Zatrudniała teraz czterech pełnoetatowych projektantów. Maxine, wymagając od wszystkich ciężkiej pracy, jednak starała się, żeby ci projektanci lubili to, co robią, często więc gdy tam pracowała, dolatywały do niej z głównego studia wybuchy śmiechu. Nadal przedkładano jej do aprobaty szkice każdego projektu, zanim pokazywano go klientowi. Nic, choćby nawet bardzo błędnego, nie uchodziło jej bystremu oku.

Maxine była też nie do zastąpienia na innym bardzo ważnym polu. Nieraz koszta wykonania projektu Paradis sięgały pięćdziesięciu milionów franków, nieraz mogły być znacznie niższe. Maxine potrafiła jak nikt przedstawiać projekt tym, którzy mogliby go sfinansować.

- Ruszasz z miejsca z oczami pałającymi jak matador na arenie - zauważył kiedyś Charles.

Maxine upajała się pracą ale to w sporej mierze dlatego, że nigdy nie doznała dużej porażki.

Chociaż wiedziała, że Charles będzie wściekły, zrobiła coś, co potajemnie już od dawna chciała zrobić. Przez lata całe nie cierpiała swoich piersi. Nie zmniejszyły się po urodzeniu dzieci, więc pewnego dnia, nic nie mówiąc Charlesowi, zgłosiła się incognito do szpitala, żeby jej piersi zmniejszono.

Razem ze swoją vendeuse u Diora żywiła nadzieję, że wyjdzie stamtąd mając sylwetkę Audrey Hepburn, cóż kiedy piersi, pomimo podniesienia o cztery cale, nie przestały być pełne. Jak zawsze, ta operacja była bardzo bolesna; pod każdą pierś pozostało półkole wielu szwów i w dodatku pod każdą biegł poszarpany ich rząd aż do brodawki. Paskudztwo. I nigdy te szwy nie miały zniknąć.

Charles szalał z wściekłości. On szczególnie jej piersi lubił.

- Dlaczego, do diabła, mi nie powiedziałaś, że wpadłaś na taki pomysł? Przecież narkoza zawsze jest dosyć niebezpieczna.

- Dlatego, że mógłbyś mnie powstrzymać.

- No pewnie, że mógłbym, do cholery jasnej! To nie są twoje piersi, są nasze! Ciekawe, co ty byś powiedziała, gdybym ja zdecydował się odciąć sobie parę cali!

Ale w sumie życie Maxine płynęło ciekawie i pomyślnie, aż do roku, w którym kończyła trzydzieści lat. Wtedy to nastąpiły dwa wydarzenia -zaszła znów w ciążę i Charles zakochał się w innej.

Z początku wiedziała tylko o swojej ciąży, o tej drugiej sprawie nie miała pojęcia. Nie była zadowolona, dwóch synów przecież wystarczy. W pracy znów osiągnęła szczyty i po raz pierwszy od lat cieszyła się ze swojej pozycji. Czowała, że jest u steru tego, co się dzieje, a nie w codziennym kieracie. Wszystko miała świetnie zorganizowane i pożyczkę w banku spłacała o wiele szybciej, niż to przewidywała.

Aż tu w pewien poranek mademoiselle Janinę, podając jej teczkę z korespondencją powiedziała:

- Zauważyłam, że madame de Fortuny znowu tu była wczoraj. Jak na redaktorkę notatek informacyjnych, to ona z pewnością jest bardzo swojej pracy oddana. Wciąż telefonuje do Monsieur le Comte i jest w spisie gości na dzisiejszy obiad. Według mnie za bardzo pachnie goździkami. Za dużo perfum może powalić.

Ponieważ mademoiselle Janinę nigdy jeszcze tak długo jednym tchem nie mówiła, Maxine spojrzała na nią bystro. O czym ta dziewczyna plecie, na Boga? O zapachu jakiejś redaktorki notatek informacyjnych? De Fortuny... czy to nie ta, która pracuje nad nowymi etykietami i opisami szampana? zastanowiła się Maxine leniwie, po czym odsunęła tę myśl, włączając dyktafon i zabierając się do przeglądania korespondencji. Niemniej przy obiedzie zwróciła szczególną uwagę na ładną, niedużą madame de Fortuny. Pani ta była w nowym kostiumie chanelowskim - un vrai Chanel, nie ten podrabiany przez firmę Wallis - w kostiumie z kremowej wełny z wążutką kremową lamówką z satyny, niepraktycznym a ekstrawaganckim. I mademoiselle Janinę miała rację, rzeczywiście wprost jechało od niej goździkami. Jednakże madame de Fortuny okazała się gościem inteligentnym i zabawnym. Opowiadała doprawdy krotchwilne historyjki o swojej pracy i ogólnie czarowała wszystkich.

Uwagę Maxine raptownie odwróciło przybycie sir Waltera i lady Cliffe. Po nabożeństwie za duszę Nicka Maxine i Kate kilkakrotnie odwiedziły jego rodziców w ich londyńskim domu. Ze smutkiem matka Nicka lgnęła do jego przyjaciół - zwłaszcza z ostatniego okresu jego życia - było to dla niej ogniwo łączące ją ze zmarłym synem.

Gdy wszyscy inni goście poszli zwiedzać piwnice, lady Cliffe poprosiła, żeby Maxine zabrała ją do dzieci. Usiadły obie w słonecznym żółtym pokoju dzieciennym i patrzyły, jak Gerard mocuje się z Oliverem. Lady Cliffe się rozrzewniała.

- Dla mnie - powiedziała - najsmutniejsze jest to, że nigdy nie będę miała wnuków. - Umilkła, po czym dodała: - Oczywiście Walter też się martwi, że nie ma kto po nim dziedziczyć, więc tytuł wygaśnie, no ale on już się z tym pogodził na długo przed śmiercią Nicka. - I widząc, że Maxine nie rozumie, wyjaśniła. - Bo Nick, kiedy miał czternaście lat, chorował na świnkę z komplikacjami, zapaleniem jąder. Dwa razy nam powiedziano, że nie przeżyje, ale wyszedł z tego, tylko lekarze specjaliści uprzedzili nas, że nie będzie mógł mieć dzieci.

- Czy Nick wiedział? - zapytała Maxine.

- Tak, oczywiście, trzeba było mu powiedzieć, ale chyba tak naprawdę nie przyjął tego do wiadomości. Myślę, że... że on w głębi ducha miał nadzieję, że jakoś się wyleczy.

- Biedny Nick. Dobrze, że Judy nie chciała wyjść za niego - powiedziała Maxine wieczorem rozmawiając z Charlesem, gdy przebierali się do kolacji. - Chociaż - dorzuciła - nie powiem, żeby mnie w tej chwili tak szalenie zależało na dzieciach. - Pogłaskała się po bardzo już wypukłym brzuchu. Charles parsknął śmiechem.

- Cierpliwości - powiedział - nie musisz już długo czekać. - Pochylił się i pocałował ją w kark, przy czym wionęło od niego słabo, ale niezaprzeczalnie zapachem goździków. Odsunęła tę myśl w podświadomość. Ostatecznie Charles przebywał w towarzystwie tej kobiety przez cały dzień.

W dwa tygodnie później Christine powiedziała obojętnie:

- Widziałam monsieur Charlesa wczoraj wieczorem w Le Grand Vefour. Muszę przyznać, Maxine, że on z każdym rokiem jest przystojniejszy na swój bładny, uroczy sposób.

- W Le Grand Vefour? Jesteś pewna?

- Tak. Z tą kobietką z jego biura reklamy. Jack Reffold przywiózł nam nową dostawę, więc uznałam, że trzeba go zabrać do jakiegoś miłego lokalu. Charles siedział w drugim

końcu sali. Pomachałam do niego, ale chyba mnie nie zauważył. - Pochyliła się nad swoją pracą i gawędziła dalej już o ostatniej partii mebli od Reffolda.

Maxine czuła się tak, jakby ktoś chlusnął jej w twarz szklanką zimnej wody. Mrowie przechodziło jej po czubkach palców, nie mogła oddychać należycie. Wiedziała, co Christine chce jej powiedzieć. Wiedziała, że Christine dobiera słowa, żeby można to było zignorować, jeżeli ona uzna, że tak będzie lepiej. Wczorajszy wieczór spędziła spokojnie w domu, z kolacją na tacy patrząc na telewizyjny balet, bo Charles musiał zabawiać jakichś kanadyjskich klientów. Miał zabrać ich może do Folies Bergere, a potem może do jakiegoś nocnego lokalu, gdzie ona, jak powiedział troskliwie, z pewnością bardzo by się nudziła...

Christine podniosła wzrok.

- Dobrze się czujesz, kochanie? Może powinnaś się położyć. Dziecko kopie? Biedaczko kochana, wszyscy oczekujemy od ciebie, że będziesz je nosiła, jak gdyby nic się nie działo, tylko dlatego, że zawsze jesteś taka. Chodź, połóżysz się na leżaku tam w pokoju.

- Nie, nie - zaproponowała Maxine słabo. Wydawało jej się, że słyszy siebie z bardzo daleka. Musiała z kimś porozmawiać o swoich podejrzeniach. Może zatelefonować do cioci Ho-Ho-Sens, jak zawsze ciotkę Hortense nazywa Judy.

Z tonu Maxine, tak starannie obojętnego, ciotka Hortense natychmiast wywnioskowała, że sprawa jest poważna.

- Zaraz przyjedź do mnie, moja droga. Wiesz, że ja zawsze tu jestem.

Maxine już w drzwiach wejściowych zaczęła płakać. Ciotka Hortense poprowadziła swoją chrześniaczkę na szeslong i ujęła ją za obie ręce.

- No, co się stało? Chodzi o Charlesa?

- Tak - szepnęła Maxine. - Skąd wiesz, ciociu?

- Hmm... spodziewasz się trzeciego dziecka, moja droga i jesteś osiem lat po ślubie. Nie potrafię ci powiedzieć, co masz zrobić, bo nie znam szczegółów i doprawdy wolę ich nie znać. Czy Charles usiłuje cię oszukiwać?... Tak?... To dobrze! W takim razie ostrzegam cię: ignoruj sytuację, jeżeli to możliwe, dopóki ta gorączka nie spadnie. Teraz nie czas na rozgrywkę.

Maxine przytaknęła.

- Charles - ciągnęła ciotka - jest niewątpliwie ogłupiały z powodu jakiejś pani, wobec czego nie myśli logicznie. Ty, moja mała, jesteś podejrzliwa i zazdrosna, wobec czego nie patrzysz na to spokojnie. Staraj się więc za wszelką cenę nie sprowokować kłótni, kiedy głos mają raczej emocje niż zdrowy rozsądek.

Maxine słuchała dosyć naburmuszona, ale ciotka Hortense mówiła stanowczo, jak gdyby Charles był po prostu samochodem, którego silnik trzeba wyregulować.

- Przecież nie chcesz się z Charlesem pokłócić. Z mężczyznami nigdy nic nie wiadomo. Mógłby uciec z tą panią tylko na złość tobie. On kocha cię oczywiście, inaczej by przed tobą nie ukrywał tego związku. Mężczyzna, który już nie kocha żony, nie zadaje sobie fatygi, by cokolwiek ukrywać, wiesz.

Maxine smętnie powiedziała:

- Ona jest piękna i smukła.

- Moje biedne dziecko, byłoby gorzej dla ciebie, gdyby nie była piękna. Wtedy byś bez końca się głowiła, jaki ona może mieć niewidoczny urok. -Ciotka Hortense puściła rękę Maxine i pociągnęła sznur dzwonka. - W tej chwili jej powab jest oczywisty... uroda w połączeniu z nowością owocu zakazanego. - Wzruszyła ramionami. - Jakkolwiek on cię kocha, już mu spowszedniałaś. Nie uprzedza się młodych żon, a szkoda, o tym, że niewątpliwie kiedyś zakochają się w kimś innym, i ich mężowie tak samo. Ale czasami życie jest zbyt trudne do wytłumaczenia młodym, zresztą czy młodość by w to uwierzyła?

Odwróciła się do wchodzącego służącego i kazała mu podać kawę.

- Daj Charlesowi spokój, moja droga, nie zauważaj niczego. Musisz, dziecińco, zachowywać się jak anioł.

Znów wzięła Maxine za rękę.

- O czymś jeszcze powinnaś myśleć - powiedziała łagodnie, przebijając w słowach: - Dobry mąż jest ważniejszy niż interesy. Nie chcę przez to powiedzieć, że twoje interesy są nieważne. Ja tylko mówię, że dobry mąż jest o wiele, wiele ważniejszy.

Więc Maxine zachowywała się jak anioł, co przychodziło jej z wielkim trudem, bo z dnia na dzień była coraz bardziej spięta i niezdarna. Charles często wyjeżdżał, a gdy był w zamku, wydawał się nieobecny duchem. Nieraz Maxine napotykała jego wzrok skierowany na nią, pełen bezsilnego wyrzutu, i serce jej zamierało.

Zamknęła w sobie bezlitosną zazdrość i zaborczość. W wyobraźni wciąż sprawdzała rozkład zajęć Charlesa, ale nigdy nie śmiała zanadto go wypytywać i starała się też nie

dokuczać mu - nie chciała, żeby poczuł się osaczony i zapragnął uciec. Czasami jej nastawienie nagle się zmieniało - pełna była tylko gwałtownej urazy wobec zdrady męża, zrzeczności, z jaką kłamał - dzień po dniu, miesiąc po miesiącu - najwyraźniej bez żadnych skrupułów. Cierpiała straszliwie wysilając się, by grać swoją rolę, ukrywać przed mężem ból, okłamywać go, tak jak on ją okłamywał.

Charles rzekomo był w Lyonie, gdy urodził się ich trzeci syn o tydzień wcześniej niż przewidziano i znacznie łatwiej, niż ona się spodziewała. Przytuliła to niemowlętko, chciała mieć je ciągle przy sobie. Małeńki Alexandre był jej nadzieją na przyszłość, ogniwem łączącym ją z mężem.

Tym razem nie istniała możliwość, żeby Maxine znów zaszła w ciążę w cztery miesiące po porodzie. Bo minęły cztery miesiące, a Charles jeszcze nie wrócił do jej łóżka z stojącego w jego garderobie.

W roku 1963 Charles i Maxine nie żyli ze sobą już od trzech lat i Maxine nadal ignorowała wiarołomstwo męża. Niezmiennie była do tego zdolna tylko dzięki tłumieniu wrodzonych skłonności i przestrzeganiu konwencjonalnych dobrych manier, które odebrała wraz ze swym ściśle francuskim mieszczańskim wychowaniem. Od czasu do czasu uciekała do ciotki Hortense, łaknąc uspokojenia i współczucia.

Wciąż jeszcze zachowywała się jak anioł, ale był to ogromny dla niej wysiłek. Sypiała źle, zmizerniała i nawet, gdy zdobywała się na swój uśmiezek pewności siebie, jej podkreślone brązowym ołówkiem oczy zdradzały niepokój. Nieraz warczała na synków i na personel tylko po to, by nie wybuchnąć płaczem czy nie rozwrzeszczyć się wniebogłosy. Nie do zniesienia stawało się napięcie podtrzymywania pozorów, odgrywania fałszywej roli i czekanie, czekanie. Gdybyż można było cofnąć zegar. „Gdybyż tylko” - polubiła tę grę wyobraźni.

Gdyby dało się usunąć pajęczyny czasu i wrócić z Charlesem w tamto śliczne ciepłe lato przed jej ostatnią ciążą. Gdybym wybrała inną agencję reklamową.

Gdyby ta agencja nie poruszyła reklamy szampana Charlesa tej diabolicznej domowego ogniska.

Gdybym była szczuplejsza, wyższa, młodsza, powabniejsza.

Gdyby tylko Charles mógł we mnie znów zobaczyć to, co widział dawniej!

Straciła ufność we własne siły. Ubierała się albo nieciekawie i postarzająco, albo przesadnie młodo, co zgoła nie pasowało. Jej vendeuse rozpaczała i uskarżała się swojej pomocnicy.

- Jeżeli madame de Chazalle nie potrafi się pogodzić z konkurencją, to nie powinna była wyjść za przystojnego mężczyznę. Aż wstyd patrzeć, jak jedna z moich klientek traci godność na oczach całego Paryża. Przecież powinna odplacić się Monsieur le Comte pięknym za nadobne. Mało to w Paryżu interesujących młodych ludzi, którzy z ochotą by zerwali taką dojrzałą brzoskwinie?

W maju 1963 roku Judy przyjechała do zamku na roboczy weekend. Widząc smutny machinalny uśmiech Maxine i myśląc o jej pracowitym, ale samotnym życiu, Judy nagle podjęła decyzję. Charles jest klientem, ale Maxine jest przyjaciółką. Starannie wybrała odpowiednią chwilę. Nazajutrz po przyjeździe, gdy z Charlesem za kierownicą jechała do biura winnic, zapytała go:

- Nie cieszysz się, że w obu waszych przedsiębiorstwach tak dobrze wam idzie?

Przytaknął roztargniony.

- Nie jesteś dumny z tych trzech waszych pysznych chłopców? Znow z roztargnieniem przytaknął.

- I prawda, że Maxine jest cudowną panią domu? Czyż nie wie o tym cała Francja?

I znow automatyczne przytaknięcie.

- Ale myślisz, Charles, że jak długo jeszcze ona wytrzyma w obecnej sytuacji? Ja bym powiedziała, że jest bliska załamania. Wiem, że we Francji prawie nie ma rozwodów. Mężowie i żony mają po cichu romanse, które nigdy ich małżeństwu nie zagrażają. Ale Maxine kocha ciebie, nie chce żadnego innego mężczyzny. Więc myślę, że w końcu nie będzie mogła znieść tego podwójnego życia... i zostawi cię, zamieszka w Paryżu, bo lepiej z czegoś zrezygnować, niż żyć z ciągłym bólem. Więc zastanów się, Charles, co utracisz. - Judy bardzo uważała, żeby odwołać się nie do lepszej strony charakteru Charlesa, tylko do jego francuskiego instynktu samozachowawczego. - Utracisz swoje łatwe, wygodne życie, utracisz swoje dzieci, utracisz panią swojego domu, z której jesteś tak dumny i która jest takim atutem w twoich interesach. A co zyskasz? Tę wyrachowaną krówkę, tę redaktorkę i skandal numer jeden!

Odwróciła głowę, żeby popatrzeć na Charlesa. Oburzony, oniemiały, skupił uwagę na szosie przed sobą. Mówiła dalej:

- Och, Charles, nikt nie może mieć wszystkiego, czego chce! Dla takiego głupstwa narażasz się na tyle nieszczęścia. Boże drogi, zawsze znany byłeś z tego, że cenisz rodzinę, wygodę i pieniądze. Gdzie to się podziało?

Charles zaciskając ręce na kierownicy, milczał. Z początku rozmowy słuchał Judy poruszającej temat tak osobisty, potem ogarnęła go wściekłość -no, bo jak ona śmie! Ale gdy dojechali do biura, już zaczął rozważać to, co powiedziała, wyobrażać sobie życie bez Maxine.

W tydzień po wyjeździe Judy Maxine siedziała przy stoliku z białej żelaznej koronki pod miedzianolistnym bukiem za tarasem. Pilnowała ośmioletniego Gerarda, który z żółtych i pomarańczowych klocków budował w trawie fortecę dla dwuletniego Alexandres. Leniwie przy tym sprawdzała listę gości zaproszonych na huczne przyjęcie dla uczczenia pierwszego świetnego rocznika szampana La Chazalle po niedawnej modernizacji.

Nagle Charles pokazał się na tarasie. Maxine się zdziwiła. Nie widywała go w domu po południu.

Charles już szedł do niej. Wydawało jej się, że to jakiś film w zwolnionym tempie. Szedł bardzo zdecydowanie.

Czekała, serce jej łomotało.

Charles podszedł, pochylił się, pocałował ją w ucho.

Odwróciła szybko głowę i oczy ich się spotkały. Widząc wyraz jego twarzy poczuła nadzieję i radość taką że zrobiło jej się słabo, ale po chwili zerwała się i rzuciła w jego objęcia. Fotelik z żelaznej koronki odepchnięty gruchnął na ziemię.

Charles mocno ją przytulił. Potem pochylił się nad jej ramieniem, wziął ze stolika jej pióro i wykreślił z listy gości nazwisko de Fortuny. Chwyliła jego rękę, ucałowała, nie chciała tej ręki puścić.

Później Maxine leżała na swoim łóżku i jej gęste blond włosy rozpuszczone opadały na niebieską kapę. To już nie był ten szal gwałtownej namiętności z dawnych czasów - to było lepsze, zmysłowe, z ładunkiem elektrycznym seksu wspólne przeżycie, w którym Charles bez słów prosił o przebaczenie i też bez słów Maxine mówiła mu, że tamto już nieważne, że ważne jest tylko to co teraz. Charles szepnął:

- Sięgnij pod poduszkę.

Maxine wsunęła rękę pod kremową koronkę i wyciągnęła szkarłatne pudełeczko.

- Od Cartiera! Ale dziś nie są moje urodziny!

- Ach, nic, to nie na urodziny. To na zawsze - powiedział Charles z wyraźną skruchą.

W tym aksamitnym pudełeczku była roziskrzona obrączka z kwadratowych brylantów.

- Rozmiar akurat na mój palec! - wykrzyknęła Maxine.

I znów Charles wziął ją w ramiona, szepcząc jej czule do ucha.

- Nie ty jedna w tej rodzinie załatwiasz wszystko sprawnie. - Uśmiechnął się do niej tak właśnie, jak wtedy przed laty, gdy po raz pierwszy się kochali.

CZEŚĆ PIĄTA

Rozdział dwudziesty drugi

Wkrótce po śmierci dziadka Poganka - która natychmiast wróciła do Anglii z pensji w Szwajcarii - zrozumiała, że powodem przedłużającej się rozpacz jej matki jest nie to, że on umarł, tylko to, że umarł biedny. Zamiast spadku pozostawił chaos. Wielka posiadłość w Konwalii była w idealnym porządku, tylko że najwyraźniej im się nie należała. Należała się bankowi - absolutnie wszystko zostało zahipotekowane. W gabinecie, przeszukując biurko z czasów królowej Anny, znalazły tylko anonimową ślubną obrączkę i zajęczą łapkę prawie zjedzoną przez mole. W innych szufladach tylko wycinki, a raczej wrywki, bo nie wycięte, a powyrywane z gazet, pudełko po cygarach pełne listów, które pisał do domu ojciec Poganki, gdy kształcił się w Eton, kilka gęsto pozaznaczanych starych numerów „Horse & Hound” i stertę pośliskłych listów i dokumentów. Rachunków nie było żadnych, ponieważ rachunki dziadka zawsze auto-

matycznie przechodziły do agenta, który płacił je natychmiast pomimo ogromnego przekroczenia konta bankowego, przy czym gwarancję stanowił dwór Trelawney.

Długo trwało zorientowanie się w tym chaosie. Przed samym Bożym Narodzeniem w roku 1949 matka zabrała Pogankę do kancelarii adwokackiej w St Austell.

Od razu usłyszała tam złą wiadomość: nie ma ani grosza. Może by dało się sprzedać dwór na siedzibę jakiejś instytucji czy szkołę?

- Nie da się - powiedziała matka Poganki. - Mamy zaledwie dwadzieścia trzy sypialnie.

Posepnie milcząc wróciły samochodem do tej niskiej kamiennej budowli z czasów Tudorów. Matka poszła prosto do swojego pokoju i zatelefonowała do Londynu. Siedemnastoletnia Poganka chodziła po całym domu, jak gdyby już został sprzedany, a ona się z nim zegnała. Wszędzie niezliczone zegary tykały cicho, każdy w innym rytmie. Zegary kolekcjonowała babcia, której Poganka nie знаła - zegary marmurowe i z brązu, i z porcelany, i zegary z mosiądzu, i stojący na szafce nocnej zegar emaliowany w kolorze indygo, prezent dla babci od królowej Aleksandry, roziskrzony sztucznymi brylantami wokół tarczy. Od czasu do czasu zegary zachłystywały się i wydzwaniały kuranty.

Cały dzień obie bolały nad utratą. Poganka nigdy nie płakała w domu, pozwalała sobie płakać tylko w zaciszu lasu albo na granitowym urwisku siedząc z nogami wyciągniętymi jak drewniana lalka. Potem Selma przyjechała na weekend.

Bo teraz matka dzieliła swoje londyńskie mieszkanie („taka się czułam samotna, kotku, kiedy byłaś na pensji”) z Selmą, poważną kobietą po pięćdziesiątce, żyjącą ze skąpych alimentów, które płacił jej były mąż zamieszkały w Hull. Grubokoścista Selma miała kości policzkowe zakrzywione jak szabla turecka i usta prostokątne, też wygięte w dół ku jej żylastej szyi. Nie była z tych, z którymi w pojęciu Poganki jej matka chciałyby się przyjaźnić. Jakżeby wyglądała w „małej czarnej” i w perłach ta Selma zgoła bez szyku, zgoła nie na miejscu w londyńskich salonach? Z dala jednak od socjety była szorstko władcza.

Któregoś wieczora po wyjeździe Selmy, gdy wiatr od morza wstrząsał szybami okien w bibliotece, Poganka opierając się na biurku, wspominała ręce, które ostatni raz dotykały tej papeterii w teczce z kasztanowatej skóry, tego wyrzeźbionego z zęba wieloryba przycisku do papieru... Pani Trelawney, siedząca przy kominku w ciepłe ognia, pociągnęła ładnie, szybko łyżeczek sherry z kieliszka i powiedziała:

- Przestań przebierać palcami, Poganko. Chcę z tobą porozmawiać poważnie. O pieniądzach. Selma uważa, że byłoby możliwe zrobić z Trelawney farmę zdrowia.

- Co?

- Miejsce, gdzie ludzie przyjeżdżają, żeby zeszczupłeć. Selma kiedyś pracowała na takiej farmie w New Forest. Właściwie tam się specjalizowali w odzwyczajaniu od picia niegroźnych alkoholików towarzysko do przyjęcia. Selma mówi, że niewielkim kosztem można by coś takiego urządzić w Trelawney.

Na to Poganka powiedziała tylko:

- Mamusiu, chyba masz źle w głowie, jeżeli zamierzasz podejmować alkoholików na krawędzi urwiska.

Wkrótce potem pani Trelawney wyprawiła Pogankę w odwiedzinach do Kate do Greenways. To cię rozweseli, wyjaśniła.

- To mnie też usunęło z drogi - powiedziała Poganka spacerując z Kate i szkockimi terierami po błoniach. - Idę o zakład, że Selma tam się wprowadziła, ledwie ja się wyprowadziłam. One obie tkwią po uszy w tym wariackim projekcie.

Ale ojciec Kate nie uważał tego za taki głupi pomysł i zaczął o to wypytywać Pogankę.

- Mogłoby się udać - powiedział rozważając. - Ja widzę w tym plusy.

- Dla mnie plus jest w tym, że ponieważ nie ma pieniędzy, nie będę debiutantką jak było zaplanowane - powiedziała Poganka. - Odbębienie londyńskiego sezonu kosztuje około dwóch tysięcy funtów, to znaczy, jeżeli się wydaje bal. Dzięki Bogu, mojej mamy na to nie stać. Nie mam ochoty skakać po Londynie od zmierzchu do świtu w balowych kieckach z różowego tiulu.

Ojciec Kate nic nie powiedział, ale we właściwym czasie zatelefonował do pani Trelawney i ofiarował się sfinansować londyński sezon Poganki, jeżeli pani Trelawney zechce również i Kate puścić na szerokie towarzyskie wody. Zamierzał dać swojej córce możliwie jak największe szanse, żeby spotkała odpowiedniego mężczyznę, czyli bogatego i, kto wie, może z...

Matkę Poganki bardzo ucieszyła perspektywa uciech sezonu za cudze pieniądze.

- Ale twój tata nie zdaje sobie sprawy - powiedziała Poganka, gdy kiedyś wieczorem siedziała z Kate na podłodze w swoim londyńskim mieszkaniu popijając kakao - chyba nie rozumie, że my nie jesteśmy z arystokracji. Jesteśmy tylko ze szlachty, z ziemiaństwa, i to nie na pewno. Bo ziemi może już wcale nie mamy.

Lato w roku 1950 było idyllicznie brytyjskie. Gdy Maxine przyjechała do Londynu, Poganka i Kate kręciły się zawrotnie w roziskrzonym kole sztucznych ogni. Zostały przedstawione na Dworze. Przedstawić debiutantkę królowi i królowej mogła tylko dama, która sama swego czasu została przedstawiona (w tym przypadku pani Trelawney). Tak więc we trzy - w długich po łokcie białych giemzowych rękawiczkach, w jedwabnych sukienkach o przepisowej długości poniżej łydki, bez dekolców, z ramionami zasłoniętymi - siedziały godzinami w Rolls-Roysie prowadzonym przez szofera i ze specjalną etykietką X na przedniej szybie, gdy inne takie samochody z innymi debiutantkami też powoli, cal po calu posuwały się do Pałacu Buckingham, aż wreszcie wpęzły ozdobną bramą z czarnego żelaza na królewski dziedziniec. Potem we trzy wkroczyły między imponujące kamienne kolumny frontowego wejścia i na czerwonym dywanie przedsiönka czekały w ogonku, żeby wywołano ich nazwiska. Poganka równie dobrze mogłaby czekać na szkolny podwieczorek, ale Kate bardzo się denerwowała i w duchu raz po raz ćwiczyła dygnięcie. W komplecie dziesięciu dziewcząt ona i Poganka miały trzy konieczne lekcje dygania u słynnej madame Vacani.

Kate zerwała się z krzesła, gdy usłyszała swoje nazwisko. Wprowadzono ją do jeszcze jednej antykamery z czerwonym dywanem czy też na bardzo szeroki korytarz, gdzie na podium również z czerwonym dywanem siedzieli król i królowa. Jeden krok naprzód prawą nogą, jeden krok naprzód lewą nogą, prawą nogę przesuwamy w bok, lewą cofamy za prawą i dyg z głową pochyloną przed Jego Królewską Mością Jerzym VI. Prostujemy się, prawą nogę przesuwamy w bok, lewą stawiamy przed prawą, prawą dalej w bok i tak stajemy przed królową Elżbietą. Powtarzamy dygnięcie. Przechodzimy w prawo...

Kate chwiejnie weszła w blask żyrandoli pałacowej sali, w której debiutantki jadły kanapki z ogórkiem i popijały herbatę, rozmawiając przyciszonymi głosami.

Każdy dzień przynosił nadmiar rozrywek. Na wiele miesięcy przedtem daty tych wydarzeń towarzyskich zostały niespokojnie sprawdzone i uzgodnione z Betty Kenward, damą będącą metronomem nowoczesnego Londynu. Pani Kenward pisała Dziennik Jennifer w „Tatler” i nieoficjalnie to właśnie ona decydowała o londyńskim sezonie. Nikt nie odważyłby się obrazić pani Kenward: każdy chciał się pojawić w Dzienniku Jennifer.

Kate i Poganka wydawały w nieskończoność obiady dla innych debiutantek, podwieczerek zawsze jadły u Guntera albo u Ritza, albo u Browna. Co wieczór były na co najmniej dwóch koktajlowych przyjęciach, jeżeli nie wybierały się do kogoś na proszoną kolację przed znaczącym balem - wtedy matka Poganki nie pozwalała im pójść na koktajle, bo mogłyby zanadto się „podekscytować”.

Po miesiącu miały wciąż worki pod oczami, ale nieugięta wytrzymałość, tak osobliwie cechująca debiutantki, umożliwiała im przetrwanie pomimo niedorzecznych jadłospisów i braku snu. Gdy to lato się skończyło, ani jedna, ani druga już by nie wypila następnego kieliszka szampana, już by nie zjadła następnej kanapki z ogórkiem czy zimnego plasterka łososia różowego jak baletki, czy następnej piersi kurczęcia, połyskliwej w majonezie, następnych lodów waniliowych, następnej porcji truskawek ze srebrnej czarki.

Bywały na wyścigach w Ascot i w Goodwood, patrzyły na zawody wioślarskie w Henley, na zawody jachtów w Cowes, na mecze krykieta w Lord's. Przy żadnej z tych okazji nie poświęcały samym tym sportom zbyt wiele czasu, bo, nie inaczej niż większość debiutantek, oceniały z zadowoleniem albo z przestraczem, jak która jest ubrana. Tańczyły na Jubileuszowym Balu w Oksfordzie i na Majowym Balu w Cambridge, gdzie stare dziedzińce college'ow rozbrzmiewały echem swingów Tommy'ego Kinsmana czy kogoś innego importowanego specjalnie na daną uroczystość. Weekendy spędzały w brytyjskich rezydencjach wiejskich.

Ojciec Kate płacił wszystkie rachunki, a jej matka trzymała się z daleka, nikogo więc nie gorszyła popełnianiem takich fatalnych błędów, jak używanie słowa „randka” zamiast rendez-vous, czy trzymanie noża trzonkiem na sztorc. Pani Trelawney, dzięki uprzejmości ojca Kate, zapraszała na obiady z homarem wszystkie swoje dawne przyjaciółki, które także wprowadzały córki w świat. Tymczasem Selma kierowała robotami w Trelawney. Miała rację. Przetwarzanie Trelawney w farmę zdrowia nie wymagało dużo pracy. A na tych obiadach z homarem bywały również dziennikarki, które mogły napisać o farmie zdrowia w swoich rubrykach poświęconych pielęgnacji urody, oraz redaktorki kronik towarzyskich, które mogły napisać o Pogance i Kate, otrzymując nierzadko butelki rocznikowego szampana. Poganka strasznie denerwowała matkę tym, że ignorowała te ostatnie panie i jednocześnie kultywowała znajomość z osobami, zdaniem matki, zgola nieodpowiednimi.

One obie, Poganka i Kate, miały gromadkę reprezentacyjnych adoratorów - eleganckich młodych oficerów, noszących się na czarno, nieopierzonych bankierów, maklerów i urzędników ubezpieczeniowych od Lloydsa - którzy uczyli się być światowcami, w niejednym przypadku mając dochody bardzo ograniczone. Przyzwoite panny uważały, żeby nie zamawiać drogich potraw, wróciło się do dawnego zwyczaju przesiadywania nad dżinem z wodą sodową, gdy po balu odwiedzało się nocne lokale (zwłaszcza z młodymi oficerami), i lepiej było nie mieć w torebce za dużo pieniędzy, bo mogłoby to zostać pożyczone bezzwrotnie (zwłaszcza przez młodych oficerów).

Tak jak w Szwajcarii, cnotliwość była w wysokiej cenie. Wszystkie debutantki udawały, że mają surowe zasady, ale rzeczywiście sporo zdarzało się zachłystywania i dyszenia w taksówkach, sporo szperania pod różowym tiulem i sięgania pod bładniebieskie „bliźniaki”. Każda z dziewcząt jednak wiedziała, że za dużo namiętności spowoduje szermowanie jej nazwiskiem w kasynie oficerskim, w klubach, nawet w otwartej przez całą noc łaźni tureckiej na Jermyn Street, bo teoretycznie żaden z tych facetów nie lubi Takiej Dziewczyny, chociaż w praktyce im wszystkim chyba o taką właśnie chodzi. I znów omawiało się bez końca „jak daleko”. Poganka wciąż jeszcze uparcie twierdziła, że nie pozwoliła Abdullahowi posunąć się za daleko. No, nie poniżej talii. Kate i Maxine jej nie wierzyły.

- To po co komu trzy tygodnie szkoły miłości? - zapytała Kate ziewając - jeżeli tam nie uczą posunąć się poniżej talii?

Tego lata 1950 roku Kate była wymieniona w „Tatler” dwa razy, a Poganka siedem, z czego dwa razy z księciem Abdullahem. Normalnie Pogance jakoś dziwnie nie zależało na niczym ani na nikim; wydawało się, że trzydziestoma procentami ducha przebywa gdzie indziej. Ale gdy Abdullah był w Londynie, ożywiała się i podniecała, jakkolwiek przysięgała, że nie jest w nim zakochana. Kate i Maxine na osobności zgadzały się, że te przysięgi to tylko ratowanie pozorów. Rzadko wiedziało się z góry, kiedy on przyjedzie na parę dni do hotelu Dorchester; czasami Kate i Maxine go widziały, czasami nie. W tym czasie Abdullah opętany był myślą o możliwości zamachu na jego życie. Wybierając się z nim na kolację Poganka musiała udawać, że wsiada do jednego samochodu, a potem nagle wskakiwać do drugiego, który szybko podjeżdżał za tym pierwszym. I jechali wcale nie tam, dokąd było zaplanowane, tylko do zupełnie innej restauracji, gdzie po cichu wprowadzano ich na tyły.

- Nie uważasz, że Abdi to trochę paranoik? - zapytała kiedyś Kate. - Nie uważasz, że to trochę melodramat, te kawałki prosto z książek sensacyjnych?

W dwa dni później koniuszy Abdullaaha wsiadł do jego urzędowego królewskiego samochodu, włączył silnik i samochód wyleciał w powietrze. Szczątki samochodu i szczątki koniuszego leżały wszędzie na Kensington Square przed domem wynajętym na pobyt Abdullaaha w Londynie. Odtąd Kate i Maxine już tak gorąco nie pragnęły być nieoficjalnymi damami dworu Poganki, a ona nigdy już się nie uskarżała na raptowne zmiany planów, gdy spotykała się z jego królewską wysokością.

Wraz z trzystoma innymi zaproszonymi gośćmi Abdullah zjawił się na debiutanckim balu Poganki i Kate, który odbył się w hotelu Kensington Park. Dziewczyny promieniały podnieceniem. Poganka w białym atlasie haftowanym w zielone konwalie, Kate w tiulu pierwsnkwowym. Naturalnie one były gwiazdami tego balu, tańcząc pod dumnym nadzorem ojca Kate i jej matki strojonej w szarą taftę i wyraźnie zdenerwowanej - oraz pani Trelawney, chudej, ptasiej, dietami ograniczonej prawie tylko do kości pod obcisłą suknią z brązowego jedwabiu, nabytą dzięki uprzejmości ojca Kate.

W walcu Kate nagle się potknęła: serce jej na chwilę zamarło, bo do sali, prowadząc dziewczynę w białej koronkowej sukni, wszedł Francois, jej szwajcarski uwodziciel. Po chwili już widziała, że to nie jest Francois, chociaż miał podobną twarz Cary Grama, piwne oczy i drwiące usta. Jednakże ten mężczyzna był jeszcze przystojniejszy, wyższy, szerszy w ramionach. Nie przestawała patrzeć na niego z ukosa. Chciała go poznać i jednocześnie chciała przed nim uciec możliwie jak najdalej. Niedbale zapytała, kim jest ten brunet, i dowiedziała się: syn bankiera, Robert Salter, studiuje w Cambridge.

Do końca balu Kate czuła nieodparty pociąg, a przecież nie zdobyła się na odwagę, by podejść i przedstawić się - pomimo że to był jej bal.

Ale nazajutrz rano przyniesiono na Walton Street drzewko pomarańczowe. I dostała dołączony do drzewka bilecik z krótkim stwierdzeniem, że była gwiazdą cudownego wieczoru i podpisem: Robert Salter. Nie mając okazji, żeby zatańczyć z Kate, Robert dowiedział się jednak od swojej dziewczyny, że Kate jest jedynaczką, że jej ojciec jest bardzo bogaty i że oni mieszkają w jakimś zamku w Konwalii.

Robert zaczął obsypywać Kate prezentami. Miał zabrać się do pracy w banku swego ojca po powrocie do Kairu, gdzie dorastał i znał wszystkie rozpieszczone panny do

wzięcia. Uważał, że lepiej wybrać sobie żonę w Anglii. Gdy patrzył na Kate tańczącą radośnie w pierwsnosnkowym tiulu, zdecydował się podjąć starania.

Chociaż na ich pierwszym rendez-vous okazało się, że żadnego zamku nie ma, odkrył w Kate niewidoczną, dziwnie przemożną urokliwość. Ona nawet w połowie nie była tak ładna jak jej przyjaciółka, ale wzbudzała w nim pożądanie, o niej marzył i śnił.

Kate mówiła o spotkaniach z nim tylko matce, umiejącej zachować sekret. Olśniona, wychwalała jego świetną prezencję, władczość i wyrafinowanie.

- On po prostu jest bardziej dorosły niż ci zuchowaci absztyfikanci na balach - zwierzyła się matce w pewien poranek przed wyprawą do Harrodsa po srebrne balowe pantofle.

- Muszę przyznać, że Robert wie, jak należy pannę traktować przy ludziach - zgodziła się matka - pod tym względem ci chłopcy do pięć mu nie dorastają.

- Obiad w Savoyu to nic nadzwyczajnego - tęsknie powiedziała Kate wkładając giemzowe rękawiczki — ale kiedy się jest z Robertem, wszyscy kelnerzy fruują wokół. Z Robertem zawsze się podjeżdża limuzyną pod drzwi. I przecież co rano szofer we wspaniałej liberii z ukłonem doręcza mi bukiety lilii od Constance Spry i drobnostki z drogimi kamieniami od Aspreya w tych purpurowych pudełeczkach.

Otworzyła torebkę i pokazała złotą papierośnicę ze złotą zapalniczką do kompletu, pasującą do tego puderniczkę, platynową oprawkę pomadki do ust, ołówek wysadzany brylancikami, notes z krokodyłowej skóry.

- To nie znaczy, że tatuś nie mógłby mi kupić takich rzeczy, ale ten deszcz prezentów... no, zupełnie jakby co dzień była Gwiazdka.

- Spodziewam się, że jesteś rozmyślna - powiedziała matka, co oczywiście miało znaczyć, że roztropna.

- Och, tak - skłamała Kate zatrzaskując torebkę.

Rozdział dwudziesty trzeci

Po Bożym Narodzeniu Poganka odrzuciła propozycję ojca Kate, żeby obie pojechały na narty do St Moritz.

- Wolę złamać nogę, kiedy spadnę z konia - wyjaśniła wesoło. - Poza tym nikt pod słońcem nie oszaleje z zachwyty na mój widok na nartach.

Została w Konwalii. Kate nie chciała odjeżdżać aż tak daleko od Roberta, więc została w przytulnym mieszkaniu w suterenie na Walton Street i próżnowała, co najwyżej załatwiając sprawunki i rozmawiając przez telefon. Od czasu do czasu igrała z myślą o studiowaniu w Akademii Sztuk Pięknych i wtedy wypuszczała się do Muzeum Wiktorii i Alberta, oglądała tam biżuterię elżbietańską czy perskie miniatury.

Maxine była zdumiona zmianą, jaka ostatnio zaszła w jej współlokatorce. Kate całymi dniami, gdy nie włączyła się po Muzeum Wiktorii i Alberta, a telefon milczał, leżała na dywanie zasluchana w muzykę z płyt albo na sofie zupełnie beczynn timer. Maxine nie rozumiała, jak można przez cały tydzień nic nie robić. Co piątek Kate jeździła do Cambridge, skąd wracała w poniedziałek albo szalenie szczęśliwa, albo zapłakana. Ani pytaniami, ani dokuczaniem nie dawało się niczego od niej wyciągnąć, ale najwyraźniej krył się za tym jakiś mężczyzna - i najwyraźniej ona nie chciała poznać go ze swymi przyjaciółkami. A więc to poważna sprawa, doszła do wniosku Maxine.

Późną wiosną znów zaczęło się życie towarzyskie. Kate odrobinę poweselała, otoczona swą zwykłą gromadką stęsknionych miłości amantów. Ale Wielkanoc wśród powodzi światła i radości Greenways spędziła na przemian to płacząc bez opamiętania, to pisząc list po liście. W czerwcu znów jeździła do Cambridge na każdy weekend, ale w lipcu raptem przestała się interesować tym uniwersyteckim miasteczkiem i na Walton Street zaczęły przychodzić dwa razy na tydzień listy ze stemplem Kair.

- Jeżeli mi o nim nie powiesz - zagroziła Maxine - otworzę następny list. Dlaczego nam nie mówisz o nim? Ja wiem, dlaczego. Chcesz za niego wyjść i myślisz, że jeżeli nam powiesz, zapeszysz to i on ci się już nie oświadczy.

- Dziwka!

Aż w pewien poranek wrześniowy Kate wbiegła do sypialni rozpromieniona, w szlafroku rozpiętym, z otwartą kopertą w ręku.

- On chce, chce, chce się ze mną ożenić! Robert... Kate Salter... pani Robertowa Salter... pani Salter.

- Myślisz, że tym razem to rzeczywiście to? Zaręczałaś się chyba ze czternaście razy - powiedziała Poganka, która spędzała kilka dni na Walton Street, podczas gdy Maxine pracowała przy urządzeniu jakiegoś domu w Wiltshire.

- Tylko wtedy, kiedy oni wyjeżdżali z kraju, kiedy ich okręty miały odpłynąć gdzieś daleko albo kiedy ich pułki były odkomenderowane na Malaje. I ja wtedy tylko mówię: może. To jest obowiązek patriotyczny.

- Tak. Ale popatrz na te wszystkie pachnidła, jakie od nich dostajesz, na te bele brokatu z Singapuru.

- Och, zamknij się! On do mnie zadzwoni dziś wieczorem. Robert zadzwoni! Oczywiście, ja się zgodzę. Więc już mogę ci wszystko powiedzieć. On studiuje ekonomię w Cambridge, ale jego ojciec ma bank w Kairze, więc on tam będzie pracować. Wyobrażasz sobie! Życie w Egipcie! Piramidy, woda różana i wielki pustynny księżyc nad żaglem felucca na Nilu!

Potem Kate wyciągnęła plik fotografii młodego człowieka, sprawiającego wrażenie dosyć złowieszcze. Na żadnym z tych zdjęć się nie uśmiechał i na wszystkich wyglądał tak, jakby właśnie miał złożyć bardzo doniosłe oświadczenie.

- Wygląda cudownie - powiedziała grzecznie Poganka. Zastanowiła się, dlaczego Kate trzymała Roberta w takiej tajemnicy, to przecież pompatyczny bubek, nie warto go dostać nawet za darmo, chociaż przystojny jak Cary Grant.

Kate warowała przy telefonie od szóstej wieczorem do drugiej nad ranem, o której to godzinie Robert się dodzwonił. Z sąsiedniego pokoju Poganka wyraźnie słyszała tę rozmowę.

- Tak, ja też cię kocham, och, Robercie, kochanie, tak, tak... - Trwało to około dwudziestu minut. Dobrze, że jego ojciec jest bankierem, myślała Poganka. Potem zrobiło się cicho.

Wchodząc tam, zastała Kate we łzach.

- Głowa do góry! Pierwsza z naszej paczki wyjdiesz za męża, to nie powód, żeby płakać. Te piramidy i księżyc nad Nilem, nie pamiętasz? Kiedy ślub?

- Nie wcześniej niż w lecie przyszłego roku. Robert niedawno zaczął pracować w banku ojca, więc nie może wyjechać w podróż poślubną tak od razu na początku. Mówi, że to byłby zły przykład. Ale nie możemy czekać całych dziewięciu miesięcy. On chce, żebym tam przyjechała. Powiedział, żebym może przyjechała z mamą, ale szczerze mówiąc, uważam, że to by raczej zepsuło przyjemność i mama by się męczyła.

Żadna z nich nie mogła sobie wyobrazić matki Kate na piramidach pod pustynnym księżycem czy w felucca na Nilu.

- A ty byś nie pojechała ze mną, Poganko? - zapytała Kate. - Jeżeli tatuś wybuli na twoją podróż.

- No, z pewnością nie puści ciebie do Kairu samej.

Nieomal bredząc z radości, po nie przespanej nocy Kate o siódmej rano zatelefonowała do rodziców.

- Tak sobie myślałem, że coś się święci - powiedział ojciec. - Od tylu tygodni nie byłeś w domu.

Kate zdecydowała, że polecą do Kairu zaraz po Bożym Narodzeniu. Któregoś dnia przed odlotem, gdy wróciła z wyprawy do sklepów, Poganka leżała na podłodze wyczerpana powstrzymywaniem się od płaczu. Kate wiedziała, o co chodzi, zobaczyła nagłówki w wieczornych gazetach.

ABDULLAH i MARYLIN Miłość Gwiazdy Filmowej do Księcia Pobierzemy się, mówi Marylin.

- Czy to prawda, Poganko?

- To cholerne „pobieranie się”, nie wiem. Ale wiem od pewnego czasu o tej miłości. - Poganka kopnęła podnózek przed kominkiem. - Myślałam, że z nią będzie tak jak z całą resztą, rozumiesz. To znaczy zawsze gdzieś w tle była jakaś piersiasta dziwka. Tyle, że Marylin sławniejsza niż reszta. -Urwała. Nie cierpiała przyznawać się do upokorzeń. - Wiem, że on jest w Dorchester. Szczęśliwą parę sfotografowali przy tej cholernej hotelowej fontannie. Więc dzwoniłam tam przez całe popołudnie... Wzywałam go naszym umówionym szyfrem... ale on nie chciał przyjąć telefonu. Piekło.

- Poganko, bądź rozsądna. Może robił coś innego... zamawiał kontrtor-pedowiec albo był na podwieczorku w Pałacu Buckingham.

- Nie, Kate. Ja znam głos jego sekretarza... ten wredny śliski ton. Znam ten absolutnie bez litości sposób zbywania każdego, kto jest na czarnej liście.

- Westchnęła. - Abdiemu łatwiej nie rozmawiać ze mną, więc nie rozmawiał. Wściekle wygodnie być królewską wysokością.

Potem całymi dniami Poganka siedziała w mieszkaniu matki, patrzyła za okno na liście wierzchołków drzew, ale ich nie widziała. Nie płakała, nie chciała się z nikim spotykać, nie chciała wyjechać do Konwalii, nie chciała wyjść z sypialni. Abdullah swoim postępowaniem pozbawił ją pewności siebie i to było tak, jak gdyby odcięto jedną z lin

utrzymujących ją w równowadze. Z rozmysłem przerwał łączącą ich więź poufałości i zaufania, najwyraźniej uważał, że ich przyjaźń - dla Poganki cenna - się skończyła.

Poganka otrząsnęła się ze swego letargu dopiero wtedy, gdy trzeba było się pakować przed podróżą do Egiptu.

Robert czekał na kairskim lotnisku. Kate rzuciła mu się w objęcia. Gdy we troje wsiedli do Cadillaca, Poganka szybko z ukosa przyjrzała się ukochanemu Kate. Z pewnością jest przystojny, ale chyba trochę nudny.

Kair jednak nie był nudny. W upale, w tumanach beżowego kurzu panował miejski zgiełk. Przy samochodach i rozkołysanych tramwajach klusowały osły zaprzężone do wozów i wielbłądy. Poganka zobaczyła nie opodal nowoczesnego bloku mieszkalnego kępę palm i namiot. Na chodnikach tłoczyli się chudzi, brązowi mężczyźni w czarnych myckach, w ubraniach wyglądających jak pomięta pizama albo białych, niejako biblijnych szatach. Grubsi paradowali obleczeni od stóp do głów w białe prześcieradła. Kobiety, zasłonięte aż po oczy, przemykały się patrząc w ziemię. Żebracy siedzieli zgarbieni i nawet nie oganiali się od much, sprzedawcy słodczy leniwie machali packami na muchy nad swoim towarem, gazeciarze wykrzykiwali piskliwie. Niektóre sklepy przyciągały wzrok neonowymi szyldami, inne raziły brudem luszczącej się, wyblakłej farby. I wszędzie na murach były plakaty, z których patrzył generał Naguib, nowy gubernator wojskowy Egiptu.

Mieszkanie owdowiałego ojca Roberta znajdowało się powyżej miasta. Wysokie, chłodne, białe pokoje prowadziły do innych wysokich chłodnych pokoi. Służący, wszyscy płci męskiej, w białych liberiach i czerwonych fezach, pracowali u Salterów od lat. Z ogrodu na dachu Kate i Poganka mogły patrzeć na opieszale wody Nilu wijącego się przez pustynię w drodze do morza. Z drugiego brzegu rzeki dolatywały odgłosy Kairu: skomlenie i wycie ruchu na jezdniach, wrzaski klaksonów, głosy muezinów, którzy przez megafony zainstalowane na dachach meczetów nawoływali wiernych do modlitwy. A w górę, ponad bloki mieszkalne, meczety, kopuły, grobowce, pałace i slumsy zakurzonego miasta wzbijały się czarne latawce.

Wkrótce Kate miała na palcu zaręczynową brylantową markizę i błyskała tym pierścieniem tak często, jak tylko mogła. Wariowała na punkcie Roberta, powtarzała wszystko, co powiedział, towarzyszyła mu jak wierny spaniel, bała się być jego partnerką

w brydżu, bo mogłaby nie licytować jak trzeba. Poganka uważała, że to fatalnie demoralizujące dla Roberta, i tak już dostatecznie zadowolonego z siebie.

Co noc Kate przemykała się korytarzem do jego pokoju, gdzie, ku jej żalowi, działo się niewiele. Robert kończył, prawie zanim zaczynał. I nawet zanim zdążyła poczuć rozczarowanie. Więc udawała.

Niezależnie od tego ujemnego aspektu, spokojne, swobodne życie w Kairze ogromnie jej się podobało. Po południu obie z Poganką grały w tenisa w klubie, w którym zbierali się wszyscy Brytyjczycy, pływały w basenie, a potem aż do kolacji grały w brydża na nieduże pieniądze. Niemal co wieczór były na jakiejś zabawie tanecznej albo przyjęciu. Raz były na balu w ambasadzie brytyjskiej, otoczone tłumem tradycyjnych Anglików z rodzaju tych, którzy wyglądają jak statyści na balu w filmie: kostyczni starzy pułkownicy, łysiejący dyplomaci, bogate wdowy spowite w czarną taftę.

Czasami jeździły na zachodnią pustynię na piknik.

Naturalnie, gdy tylko mogły, obejrzały piramidy i zostały sfotografowane przepisowo na wielbłądach. Poganka po odkryciu, że są konie do wynajęcia, natychmiast dosiadła jednej z przygnębionych szkap i ku jej wielkiemu zdumieniu pogalopowała po pustynnych piaskach. Potem Robert, wściekły, zapowiedział, że już nigdy, nigdy nie będą mogły wypuszczać się same. Gdy je zabierał na bazar, nie wolno im było oddalać się od niego. Wdychały tam zapachy kóz, garbowanej skóry, tytoniu, herbaty z mięty, tanich perfum jaśminowych i oleju, i paczuli.

Wszystkie te kręte, wąskie zaułki wyglądały jednakowo, tak jak ulice, od których biegły. Robert szedł pierwszy, szofer zamykał tyły. Pomimo to Kate i Pogankę wciąż podszcypywano i poszturchiwano w drodze między rzędami i rzędami kramów i sklepików mniejszych niż europejska łazienka. Gdy wchodzili do sklepików, one tylko słuchały arabskiej gadaniny, gapiły się na perskie dywany, misterne rzeźby w drewnie, piękne szkatułki z drewna tekowego inkrustowane kością słoniową i macicą perłową, wysoko spiętrzone, jaskrawe różnokolorowe bele gazy. Z początku bardzo je żenowało to, że Robert, kupując coś zawsze się targuje.

Robert nie mówił o pieniądzach, ale dużo o nich myślał. Był maszyną kalkulacyjną w ludzkim ciele: wszystko, co robił i wydawał, było z góry zbilansowane z ewentualnym zwrotem. Kate nie wiedziała, że on w małym notesie zapisuje każdy grosz, który wydaje

na nią - poczynając od tamtego pierwszego drzewka pomarańczowego, wiązanek róż, hojnych napiwków w Savoyu.

Poganka miała mnóstwo adoratorów. Z determinacją czyniła wysiłki, żeby nie myśleć o Abdullahu, czyli nie dawać sobie czasu na myślenie. W jednym z frenetycznych przyływów energii uznała, że powinna uczyć się z Kate arabskiego, i wyciągnęła stosowny samouczek.

- Wystarczy osiemnaście lekcji i już się zna ten język - wyjaśniła - konwersację możemy mieć z kamerdynerem. Jeżeli wrócimy późno, szepniemy mu Kulli szaii faj Ud Allah (wszystko jest w ręku Boga)... hej, posłuchaj tego: Ma tekefasz, ena esekir inkelajzi, to znaczy: nie bój się, jesteśmy brytyjscy żołnierze. I zaraz potem idzie ekhed el-kall ti-addilek bih tosl... to znaczy: wezmę wszystko i dam ci pokwitowanie. Nic dziwnego, że Imperium Brytyjskie się skruszyło. Och, to mogłoby się przydać: me kantisz ezannek redził gejbih kajd. To znaczy: nie myślałam, że jesteś tak niegodny zaufania. Ojej...

Poganka starała się być zajęta od rana do nocy, chociaż często się zdarzało, że leżała na wznak i lży jej ciekły z kącików oczu na coraz wilgotniejszą poduszkę. W samotności nie mogła ani siedzieć, ani stać spokojnie. Więc gdy Robert i Kate wychodzili gdzieś bez niej, od razu zaczynała telefonować i organizowała improwizowane przyjęcia na tarasie. Powracających narzeczonych witał brzęk kieliszków i śmiech, bo ona właśnie wykonywała taniec brzucha albo kręciła się po tym ogrodzie na dachu prezentując satyrycznie szkocki reel. Szybko stała się jedną z najbardziej obleganych dziewcząt w Kairze i było jasne, że ojcu Roberta, sardonicznemu panu o oczach jak małe czarne kamyki, podoba się jej kipiąca żywotność. W przeciwieństwie do większości ospałych, paplających o niczym kobiet kairskich Poganka szaleńczo grała w tenisa, szaleńczo grała w brydża, śmiała się i tańczyła przez całą noc i nigdy jej z nikim nie widziano na mrocznym balkonie. Ona ma więcej stylu niż wszystkie inne razem wzięte, stwierdził ojciec Roberta, patrząc jak długonoga Poganka chodzi po tarasie swym zamaszystym krokiem niecierpliwym, jak gdyby rzucającym się do przodu.

Ostatecznie wziął syna na bok i bez żadnych wstępów powiedział:

- Wywiedziałem się w Anglii i nie wiem, czy zdajesz sobie z tego sprawę, ale Poganka byłaby dla ciebie o wiele odpowiedniejszą żoną niż Kate. Jest o wiele lepiej skoligacona i chociaż bez grosza, ma wiejski dwór w Konwalii.

Robert się zdziwił.

- To przecież jej matki. Ta farma zdrowia?

- Nie, to własność Poganki. Spadek po dziadku. Matka płaci symboliczny czynsz. Jest także sporo ziemi. Biedna Kate, chyba nie błyszczy w towarzystwie tak, jak powinna błyszczeć twoja żona. Zastanów się nad tym.

Mówiąc „zastanów się nad tym” ojciec wydał rozkaz, co Robert dobrze zrozumiał. Żaden z jego rówieśników w Cambridge nie zniósłby takiego rodzicielskiego wtrącania się w sprawy sercowe, ale on nie poczuł ani zdumienia, ani urazy. Jeżeli ojciec uważa, że interwencja jest konieczna, to prawdopodobnie się nie myli. Zdziwiająco Robert zgadzał się z ojcem. Zresztą, od ojca zależała jego przyszłość.

W kilka dni później wieczorem pod palmami w ogrodzie na dachu porozmawiali o tym znowu.

- Zastanowiłem się, tato, nad tym, co powiedziałaś, i widzę, że może masz rację. - Robert wolno popijał whisky, wpatrując się w zamgloną kurzem cytadelę z dwunastego wieku, górską twierdzę na horyzoncie. - Może byłem nieroztropny.

Ojciec okazał zadowolenie. Nie będzie musiał wstrzymać Robertowi apanaży, nie będzie musiał odesłać obu dziewczyn do Anglii.

- No, oczywiście, to cię stawia w trochę niezręcznej sytuacji - powiedział - ale ja mam plan.

Na następny weekend Kate i Poganka zostały zaproszone do Aleksandrii przez pewną bogatą lewantyńską wdowę, cieszącą się ogromnym uznaniem jako pani domu. W ostatniej chwili Robert oznajmił, że nie może z nimi pojechać.

- Po zwyczajnie w tym tygodniu - wyjaśnił - mam mnóstwo pracy do nadgonienia. - I napomknął, że wolałby, żeby Kate też z tej wizyty zrezygnowała, więc w rezultacie Poganka pojechała do Aleksandrii sama.

W tenże wieczór Robert zawiózł Kate na kolację do Auberge des Pyramides. Patrzyli tam, jak tancerki brzucha ze swoją dziwną determinacją kręcą się w takt pobrzękiwania i szcęknięcia złotych i srebrnych monet na sznurkach owiązanych wokół ich rozedrganych zadków. Potem Robert zaproponował, żeby popatrzyli z kolei na piramidy skąpane w księżycowej poświacie, jak to czynią kochankowie, odkąd tylko ukazały się pierwsze prospekty biur podróży.

Gdy samochód podjechał pod te słynne, teraz już swojskie grobowce, nie było księżycy. Kate siedziała w samochodzie wyczekująco, pewna, że Robert porwie ją w

objęcia. Robert uznał, że można by sprawę załatwić właśnie teraz. Przybrał zboląły wyraz twarzy i powiedział:

- Kochanie... hm... wiele o nas myślałem i... kochanie, mam nadzieję, że nie będzie ci strasznie przykro... ale nie sądzę, żeby to był zbyt dobry pomysł.

Kate nie pojęła, o czym mówi.

- Co nie jest zbyt dobrym pomysłem?

- Nasze małżeństwo. Jesteś tu już dwa miesiące, a ja poczułem... prawie zaraz po twoim przyjeździe... poczułem, że to pomyłka. Chociaż z początku myślałem, że powinienem to przezwyciężyć. - Spojrzał na nią z ukosa.

Była oszołomiona.

- Mówisz, żeby jeszcze poczekać? To znaczy, że ślubem? Powoli, stanowczo Robert potrząsnął głową.

- To znaczy, wycofajmy się z tego, kochanie. Kate się zmieszała, nie wierzyła.

- Co ja zrobiłam? Co się zmieniło? Co się stało?

- Kochanie, nie chodzi o to, co ty zrobiłaś, czy ja zrobiłem. Po prostu... no... nie ma doboru chemicznego. - Patrzył na nią z dosyć teatralnym żalem, z odrobiną wyrzutu nieomal.

Była nie tylko oszołomiona. Była też upokorzona, pełna wstydu. Nie wiedziała, jak się zachować, co powiedzieć.

- Rozmawiałem już o tym z ojcem - ciągnął Robert gładko i smutno. - Ojciec mi radził poczekać, nabrać pewności, zanim ci powiem. Ja wiem, to ciężki cios dla dziewczyny, kiedy mężczyzna zmienia decyzję, ale i tak dobrze, że to teraz, a nie po ślubie. Tata dołoży wszelkich starań, żeby pomóc. Bardzo przyzwoicie odnosi się do tego, z wielką rozważą. Powiedział, że może będzie ci głupio zostać w Kairze, kiedy wszyscy się dowiedzą, że my już... no, że my oboje... że ja... nie chcę... żebyśmy... - Nie musiał dokończyć.

- Chcę wrócić do domu - wyszeptała Kate. - Chcę wrócić jak najprędzej. - Nagle zatęskniła do matki, zapragnęła być z kimś prostym, serdecznym, nie wymagającym. Czowała się zbrukana, odrzucona.

Nazajutrz rano Robert przyszedł do sypialni Kate. Błada, leżała bezwładnie na zaścielonym łóżku. Stał nad nią, spokojny, ale zafrasowany, jak gdyby miała gripę. Nie przypuszczał, że to pójdzie tak łatwo. Jeszcze raz tata miał rację.

- Tata zdołał ci załatwić miejsce w samolocie na dzisiaj, jeżeli rzeczywiście chcesz wyjechać - powiedział. - Ale tylko jedno miejsce, więc może niech Poganka zostanie tu do końca tygodnia. Ostatecznie, to nie jej wina...

Och, on wie, że ja udawałam, pomyślała Kate, wie, że jestem zimna.

- Zresztą dziwnie by wyglądało, gdybyście raptem obie zniknęły. Nie chcemy, żeby ludzie gadali. Poganka będzie mogła pożegnać się ze wszystkimi i wytłumaczyć, że ciebie niespodziewanie wezwano w jakiejś osobistej sprawie.

Do domu. O Boże! Kate złękła się, bo przecież będzie musiała powiedzieć ojcu. Już sobie wyobrażała, co od ojca usłyszy: „Więc to sfuszerowałaś?

Dałaś z siebie zrobić cholerną idiotkę! Pojechałaś tak daleko tylko po to, żeby on z ciebie zrobił cholerną idiotkę! Chyba wiesz, że wszyscy będą cię mieć za cholerną idiotkę!”

W czasie długiego lotu do Anglii mogła myśleć tylko o rozmowie, jaka ją czeka z ojcem. Strach przed jego reakcją przeważał nawet nad rozpaczą i wstydem wobec postępowania Roberta. I miała rację.

Na lotnisku rodzice czekali na nią przy barierce, matka wyraźnie smutna, ojciec nasrożony. Prawie się nie odzywał, dopóki nie wsiedli do Rollsa. Dopiero gdy już zatrzasnął szybę oddzielającą ich od szofera, powiedział:

- Mam nadzieję, Kate, że zdajesz sobie sprawę, jaką cholerną zrobiłaś z siebie idiotkę!

Ale tym razem wyjątkowo matka stawiała ojcu czoło. Prawie podniosła głos.

- Nie waż się już ani słowa powiedzieć tej biedaczce!

I wtedy Kate po raz pierwszy, odkąd Robert ją odprawił, wybuchnęła płaczem.

Rozdział dwudziesty czwarty

Ku swemu zdumieniu Poganka wracając z Aleksandrii dowiedziała się, że Kate nie tylko zniknęła, ale nie zostawiła żadnej wiadomości dla niej. Robert był wyraźnie niepokieszony.

- Rzuciła mnie - powiedział. Otworzył pięść, w której trzymał brylantową markizę. - Nawet musiałem na jej naleganie przyjąć z powrotem ten pierścionek.

Poganka aż się zachłysnęła.

- Nie mogę w to uwierzyć. Przecież ją znam. Niemożliwe, żeby była tak pochopna i bez serca. Pokłóciliście się?

- Nie, dla mnie to był grom z jasnego nieba. Po prostu chłodno mi powiedziała przy whisky, że uważa nasze zaręczyny za pomyłkę i chce natychmiast wyjechać.

- I nie zostawiła listu dla mnie?

- Nie. - Westchnienie. - Chociaż jestem do głębi zraniony, myślę, że jeśli ona jest taka, jednak lepiej, że zrobiła to teraz, kiedy jeszcze nie było ślubu.

W istocie Kate zostawiła list dla Poganki, ale Robert otworzył go i przeczytał pełną bólu, żalostną a dokładną relację z tego, co się stało. Podarł list.

- I nie chciała, żebyśmy ja z nią wróciła do Londynu?

- Nie. Powiedziała, że mnie niestety musiała zrobić przykrość, ale tobie nie chce psuć pobytu w Egipcie. Powiedziała, że specjalnie odkładała tę rozmowę ze mną do czasu, kiedy ciebie tu nie będzie. - Robert ukrył twarz w dłoniach i ramiona mu się zatrzęśły.

Poganka szalenie zakłopotana odeszła na drugi koniec tarasu. Nie mogła znieść widoku płaczącego mężczyzny.

Ojciec Roberta powiedział Pogance, że chyba taktowniej będzie nie telefonować do Anglii. Kate sama zatelefonuje do niej, jeżeli zechce. Lepiej uszanować jej życzenie, dać jej spokój. Jego zdaniem, Poganka powinna poczekać na list od Kate, zanim do niej napisze. Więc Poganka czekała, ale żadnego listu nie było.

Po tygodniu Poganka napisała do Kate taktownie, jak tylko się dało, że Robert cierpi i że może by Kate rozważyła swoją decyzję. Robert ofiarował się wysłać ten list z banku. Potem Poganka napisała do Kate jeszcze parę razy i raz nabazgrała, zmartwiona, liścik do pani Ryan, ale odpowiedzi nie dostała, bo Robert, oczywiście, te listy po prostu darł na strzępy. Pogance nie przyszło do głowy, że on podejmując się wysłać jej korespondencję ze swego biura -co oznaczało, że specjalną drogą służbową dojdą o wiele szybciej - zapewnia sobie możliwość sprawdzania, co ona pisze; i z pewnością nie podejrzewała, że każdy jej list zostaje zniszczony. Z takim samym bezlitosnym spokojem Robert przechwytywał listy Kate do Poganki i też je darł; w tym celu wystarczyło wstać wcześniej niż Poganka, której podawano śniadanie do łóżka.

Z początku Poganka biedziła się, dlaczego Kate jej nie odpisuje, nie przyśle bodaj pocztówki z potwierdzeniem, że dostała te listy nabazgrane jej dużym, szczodrym, z długimi zakrętami charakterem pisma. Potem była urażona tym, że Kate tak ją

lekceważy i - w końcu - zaniepokojona. Bo Poganka, z gruntu szcera i uczciwa, pojęcia przecież nie miała, że Robert mógłby osnuwać ją taką pajęczyną kłamstw. Gdy znów go zapytała, czy nie powinna zatelefonować, dowiedzieć się, co z Kate, popatrzył na nią zboląły i zapytał, czy ona nie sądzi, że Kate się wstydzi? Inaczej na pewno by odpisała, przynajmniej na jeden z jej listów.

Po pozbyciu się Kate Robert, chytrze wspomagany przez ojca, konsekwentnie czynił wszelkie wysiłki, żeby oczarować Pogankę. Gdziekolwiek z nią się pokazał, kłaniano im się w pas, mieli najlepszą obsługę, najlepsze miejsca, Poganka wciąż dostawała kwiaty, wszystko, czego chciała. Doceniała tę uwagę i na spokojnej fali ciągłych przyjemności usiłowała zapomnieć o Abdullahu. Kair był tak odurzająco romantyczny jak kwitnące magnolie, a ją rozkosznie rozpieszczano. Nie widziała nic, co by jej nakazywało spieszyć się do Anglii; poza zgola nie nęcącą perspektywą posady ekspedientki w domu towarowym Jonesa. Poganka nie miała wyższego wykształcenia ani żadnego przygotowania zawodowego. Na stewardesę była za wysoka, na modelkę nie dość szczupła.

Nie tylko czarowały ją luksusy kairskiego życia, ale i Robert-w-Kairze przedstawiał się o wiele korzystniej niż Robert-w-Londynie, gdzie takich jak on spotykało się wielu. W Kairze brakowało młodych nieżonatych Europejczyków do wzięcia, toteż o tych nielicznych w mieście panie eleganckich domów walczyły zazarcie i wprost bezwstydnie im pochlebiały. Kobiety nieomal spijały słowa z ust Roberta, na każdy jego dowcip reagowały perlistym śmiechem. Poganka zaczęła patrzeć na niego z trochę większym uznaniem.

Robert zwlekał aż do nocy po gwiazdkowym balu w Semiramis. Kremowy księżyc jak lotos wisiał na niebie, Robert pilnował, żeby kieliszek Poganki raz po raz był pełny szampana, więc dziewczyna wróciła z nim do domu rozchichotana. Chwiała się lekko, gdy szli do windy i gdy stała przy nim czekając. Opiekuńczo objął ją ramieniem.

- Wesołej nocy! Radosnej nocy! Wesołych świąt! - Śmiała się głośno i wydawało jej się rzeczą zupełnie naturalną pocałować go na dobranoc. W swoim pokoju zrzuciła z siebie wszystko na podłogę, klapnęła na łóżko i od razu zasnęła.

Na drugim końcu korytarza Robert w swoim pokoju przebrał się w japońskie kimono służące mu, wytwornemu playboyowi, za szlafrok, starannie zawiązał szarfę i ruszył zdecydowanie do pokoju Poganki.

Nazajutrz rano Poganka obudziła się, zastanawiając: co ja zrobiłam? Jak wiele innych przed nią.

Potem Robert z całą energią przystąpił do klasycznych galopujących zalotów, podczas gdy na drugim planie życzliwie uśmiechał się ojciec dobrodziej. Poganka dostawała urocze prezenty: złote kolczyki, jak rozhuśtane dzwoneczki, pierścionek z fioletowym kwadratowym ametystem dużym jak jej kciuk, przemiłą małą w szkarłatnym żakieciku, który natychmiast z tego stworzenia zdjęła.

W dwa miesiące później, nieco ku swojemu zdumieniu, Poganka została żoną Roberta. Ślub odbył się w Ambasadzie Brytyjskiej, teść dał jej w prezencie ślubnym bladoniebieskiego Rolls-Royce'a.

Prawie natychmiast po weselu to małżeństwo zaczęło trzaskać w szwach.

Poganka nigdy nie interesowała się namiętnie seksem. Z początku więc myślała, że Robert tylko potrzebuje trochę praktyki. Myliła się. W dwa miesiące po ślubie ostrożnie zapytała:

- Czy nie mógłbyś jednak poczekać na mnie?

Zesztywniał i powiedział, że nie wie, o co jej chodzi, a później zarzucił jej, że jest zimna. Dobrodusznie zgodziła się, że możliwe.

- Bo ja po prostu nie nadążam - dodała.

Robert sfiolował z wściekłości. Cytując Raport Kinseya powiedział, że przeciętny mężczyzna potrzebuje, żeby osiągnąć punkt kulminacyjny, dwie i pół minuty, co znaczy, że ona i tak ma o trzydzieści sekund więcej, niżby miała przeciętnie.

Poganka pragnęła z kimś o tym porozmawiać, ale nie miała z kim. Strasznie żałowała, że nie może zapytać Kate, czy z nią było tak samo. W swojej depresji nie czułaby się wobec Kate skrepowana. Nie wątpiła, że gdyby wyznała, w jakiej jest udreće, Kate też bez skrepowania by się zwierzyła. Cóż, kiedy Kate nie odpisywała na listy.

W rzeczywistości Kate spontanicznie napisała do Poganki, gdy dowiedziała się, że jej przyjaciółka wyszła za Roberta. Ale Robert wypatrzył jej charakter pisma i zwędził ten list ze srebrnej tacy w hallu. Rozdarł kopertę palcem i prychnął na widok pięciu stroniczek, pełnych wyrzutu i cierpienia, zapisanych schludnym drobnym pismem Kate - każda litera wyraźna, oddzielona, bez żadnych pętli i zakrętasów. Włożył ten list do wewnętrznej kieszeni marynarki, a potem podarł go w biurze.

Wieczorem z miną zboloną powiedział Pogance, że dostał krótki liścik od Kate, która wyraża nadzieję, że on może jej wybaczyć i zapomnieć, bo co było, to już minęło, i że kocha teraz Jocelyna Rickettsa z 12. Pułku Lansjerów i spodziewa się wkrótce zostać oficerską żoną. Poganka przejęta poprosiła, żeby pokazał jej ten list. Poszukał w wewnętrznej kieszeni marynarki i powiedział, że, do licha, najwidoczniej zostawił w biurze, ale jutro przyniesie. Nazajutrz wieczorem powiedział, że zapomniał, do diabła, i że chyba ona zdaje sobie sprawę, o ile ważniejsze miał sprawy na głowie niż bazgroły kobiety, która zraniła go tak głęboko.

Poganka już o list Kate nie prosiła, ale w kilka dni później, gdy tylko Robert odjechał do banku, zamknęła się w swojej jasnoniebieskiej łazience i wbrew jego wyraźnemu zakazowi - zamówiła rozmowę z Walton Street. Po czterech godzinach w końcu ją połączono, ale na Walton Street nikt telefonu nie odbierał. Słyszała tylko cichą spokojną czkawkę tego staroświeckiego, ciężkiego aparatu w suterenie Kate odległej o tysiące mil od Kairu. Natychmiast zamówiła następne połączenie i znów czekała cztery godziny, i znów bez skutku. Trzeciej rozmowy nie odważyła się zamówić, bo Robert miał wkrótce wrócić z banku, ale zatelefonowała znowu nazajutrz rano.

I znów telefon na Walton Street dzwonił daremnie.

Trzeciego dnia zamówiła połączenie z domem rodziców Kate. Tym razem czekanie trwało tylko dwie godziny i po czwartym dzwonku telefon odebrała matka Kate. Dziwnie oziębła i ceremonialna, powiedziała, że Kate jest u przyjaciół w Szkocji. Tak, czuje się zupełnie dobrze. Tak, ona sama i mąż też czują się zupełnie dobrze, dziękuję.

- Czy mogłaby pani zawiadomić Kate, że proszę ją o list albo telefon? -zapytała Poganka.

Zrobiło się cicho. Potem coś na linii zatrzeszczało. A potem pani Ryan powiedziała pospiesznie:

- Kate chyba nie chce mieć żadnych wiadomości od ciebie. Ani od Roberta. Dajcie jej łaskawie spokój.

Po czym pani Ryan starannie położyła słuchawkę na widelki, nie mając zamiaru denerwować swojej Kate wiadomością, że Poganka dzwoniła z prośbą o przebaczenie. Ale czelność ma ta dziewczyna!

Jeszcze przed pierwszą rocznicą ślubu Raport Kinsleya był cytowany tyle razy, że Poganka uznała za wskazane sprawdzić, czy rzeczywiście jest zimna. Sprawdzianem był

romans z instruktorem tenisa, wesołym Włochem mającym świetne nogi, delikatne ręce i szalony apetyt. Romans bez miłości, więc z początku żenowała ją dziwna bezosobowość tego związku. Alfonso jednak okazał się kochankiem bardzo dobrym, po prostu uwielbiał kobiety.

Nie wiadomo dlaczego Alfonso nigdy nie miał czasu dla Poganki w porze sjeisty (gdy na grę w tenisa było za gorąco), ale po trzech miesiącach Poganka odkryła, że jest powód istotnie dość ważny - mianowicie pewna bogata armeńska wdowa, jedna z owych za bardzo wyperfumowanych, pulchnych ospałych kairskich dam, które nosiły obcisłe suknie z Paryża i bijącą w oczy biżuterię i do których co dzień rano przychodził fryzjer. Otóż Alfonso pokonał fryzjera tej wdowy, poprosił ją o rękę i został przyjęty. Choć zaproponował Pogance kontynuację ich związku, niezależnie od swojego mariażu, wydawało się to zbyt skomplikowane, jakkolwiek ekscytujące.

Następnie Poganka miała dwóch młodych dyplomatów z Ambasady Brytyjskiej, cóż kiedy oni niczym nie przypominali tego tenisisty - byli spięci, wyszukanie grzeczni, zgoła nieprzytulni i właściwie niewiele różnili się od Roberta.

Robert teraz zaczął jej zarzucać, że jest nie tylko zimna, ale wprost wyjałowiona. Zważywszy jego wrogość, Pogankę zdumiewało to, że on jeszcze chce się z nią kochać.

- No, dziobniemy? - pytał z uprzejmym warknięciem.

A potem biedna Poganka znużona myślała, że byłoby lepiej, gdyby nie dotykał jej brodawek tak, jakby nastawiał radio.

Po naleganiach Roberta, który chciał mieć szereg małych Robertów, w końcu poszła do doktora, nie tyle, żeby sprawdzić, czy jajowody ma w porządku, ile dlatego, że zawsze po stosunku z Robertem czuła tępy nabrzmiewający ból w krzyżu, jak gdyby miała rzeczywiście bolesną menstruację. Nieraz ten ból trwał godzinami i wtedy była napięta, bliska płaczu, upuszczała szklanki, przewracała filiżanki i popielniczki; zaczynała też cierpieć na bezsenność. Nie wiedząc, że są to klasyczne objawy kobiecego niezaspokojenia seksualnego, ostatecznie wstawała o czwartej rano i wypijała na sen błogo zwalającą z nóg szklankę nie rozcieńczonej wódki.

Doktor potwierdził, że nie ma powodu, dla którego nie mogłaby począć. „Nie ustawać w ćwiczeniach” zalecił żartobliwie, a tamte fizyczne jej dolegliwości uznał za psychosomatyczny skutek zdenerwowania faktem, że nie zachodzi w ciążę. Robert, gdy

mu napomknęła, że jego potencję należałoby sprawdzić, nadał się jak rozgniewany gołąb i stanowczo nie zgodził się na test spermy. To niegodne, powiedział.

Pozornie Poganka była dokładnie taką żoną jakiej Robert potrzebował. Kobieta o wspaniałej prezencji, czarująca pani domu, czyli atut na polu interesów. Ale gdy już miała szafę pełną kosztownych toalet, gdy już знаła wszystkich z kairskiej elity i u wszystkich już bawiła się na przyjęciach, zatęskniła nagle do lasów, do drzew, do urwisk i szarego morza Konwalii. I coraz bardziej czuła się zgnębiona złotym pyłem lotosu, bogatym bezcelowym życiem Kairu, bogatym bezcelowym życiem własnym, bogatym bezcelowym małżeństwem. Nie mogła znieść czołobitności Roberta okazywanej na każdym kroku ojcu, który jakoś przestał dbać o nią. Wiedziała, że Robert ma jej za złe brak dzieci, ale nie orientowała się, że oni obaj, Robert i jego ojciec, mają jej za złe brak pieniędzy. niesprawiedliwie ojciec miał za złe Robertowi zdecydowanie się na kiepską lokatę ku swojej wygodzie, zapominając, że sam wpadł na pomysł takiego ożenku syna.

- Coraz więcej kłopotów z tą twoją cholerną posiadłością - warknął Robert w pewien wieczór po powrocie z banku. Skinieniem głowy przyjął whisky z wodą sodową, gdy Mohamed milcząco podsunął mu srebrną tacę. - Ojciec już wydał na to tysiące dolarów, a ci adwokaci wciąż jeszcze nie mogą pozbawić twojej matki tego cholernego powiernictwa!

Podszedł wielkimi krokami do Poganki, która siedziała na obitej kwiecistym kretonem kanapie na balkonie, i splunął.

- Staruszka jest twarda jak gwóźdź. Ta posiadłość należy do ciebie, ona ją dostała psim swędem.

Poganka ziewnęła, po czym powiedziała bez zastanowienia:

- No, to raczej nieważne, kochanie. - Wyciągnęła obie ręce i przesunęła się na kanapie, żeby być bezpośrednio w podmuchach wentylatora. - Ostatecznie, na razie nie chcemy tam mieszkać, a mama przynajmniej ma coś do roboty i zarabia na siebie, więc nie musisz jej utrzymywać.

- Typowe dla ciebie! - wrzasnął Robert. - Akurat tak, jak ojciec mówi. Jesteś z gruntu lekkomyślna, jeśli chodzi o pieniądze!

- A ty jesteś z gruntu pod pantoflem swojego cholernego ojca...

- ...Przynajmniej mój ojciec mnie nie wykorzystuje...

Tak więc zaczęła się jeszcze jedna kłótnia. Poganka już zdawała sobie sprawę, że Robert jej nie kocha. Z przykrego doświadczenia wiedziała też, że on potrafi znęcać się słowem. Raz po raz próbował zmiażdżyć ją swymi krytycznymi uwagami.

Robert kończył dzieło, które rozpoczął Abdullah - dzieło złamania Poganki na duchu. Nie tylko jej nie kochał, ale rzeczywiście się nią nie interesował; zależało mu jedynie na przedstawianiu się światu jako człowiek mądry i sprawiedliwy, a w tym celu nieskończenie blagował. Nigdy niczemu nie był winny; w przekonaniu Roberta, Robert nie mógłby postąpić źle. Jeżeli fakty świadczyły wprost przeciwnie, to musiał fakty przeinaczyć. Na pewno Robert nigdy nie był dość uczciwy, żeby sam przed sobą przyznać, że jest parszywym kochankiem i blagierem, myślała Poganka.

Którejś nocy, gdy dopełnił swego obowiązku małżeńskiego w ciągu zwykłych trzech minut, powiedziała mu to. Zapalił nocną lampkę i usiadł patrząc na nią spode łba.

- Chcesz przez to powiedzieć, że jestem nieuczciwy?

Zrozumiała, że mu podsunęła doskonały pretekst do kłótni, ale nagle było jej wszystko jedno.

- Chcę przez to powiedzieć, że nie tylko jesteś samolubnym kochankiem, ale udajesz, że nie jesteś. To oszustwo i nieuczciwość, kiedy przewracasz się na bok i zasypiasz, chociaż wiesz, że ja się cała gotuję, a udajesz, że nie wiesz. Kochałam cię po ślubie, nie chciałam mówić nic, co by cię uraziło, i naprawdę myślałam, że potrzeba ci troszeczkę praktyki. Naprawdę myślałam, że prawdopodobnie obojgu nam tego potrzeba. Gdybyś był nadal taki sam, jak byłeś, nie wspominałabym o tym, ale to się pogorszyło.

Robert poczerwieniał jeszcze bardziej.

- Z początku myślałam, Robercie, że jesteś zanadto zmęczony. Myślałam, że to wyczerpanie po nerwowej pracy. Ale potem zrozumiałam, że to po prostu staroświeckie lenistwo i egoizm. I coś paskudniejszego. Ty nigdy nie chciałeś zająć się mną. Gdybyś mógł nacisnąć jakiś guzik, żebym zniknęła, kiedy ty już skończyłeś, z pewnością byś naciskał.

Robert sfioletował.

- Jesteś jedyną kobietą, która kiedykolwiek się uskarżała... to dlatego, że jesteś niemożliwie wymagająca!

Poganka głęboko wciągnęła powietrze i powiedziała to, co już od miesiący zamierzała powiedzieć.

- Robercie, ja mogę sama się doprowadzić do orgazmu w pięć minut. Sprawdzałam to z kuchennym czasomierzem. Potrzebuję pięciu minut, jeżeli nie jestem zdenerwowana czy pod presją. A więc niewiele więcej niż ty. Ale ty nie zadajesz sobie fadygi, żeby zbadać, kiedy ja kończę. Od dawna o tym napomykałam i teraz cieszę się, że to mówię bez ogródek i że już nie będziesz mógł udawać, że nie wiesz.

- Ty dziwko, kastratoroko.

- Nie, ja nie kastruję. Ja tylko nie jestem uległą Betty Gracie czy jakimś innym twoim damskim urojeniem, które trzymasz w ramionach. To jestem tylko ja. Ty wolisz się wyżyć z urojoną Betty Gracie niż ze mną prawdziwą, bo ona reaguje akurat tak, jak tobie to odpowiada, i nie sprawia żadnych kłopotów. Dobra Betty znika za naciśnięciem guzika, kiedy już ci jest niepotrzebna, prawda? Nie mogę konkurować z mitem, z niewidzialną uległą dziewczyną z fotosu. Ja chcę konkretności i uczciwości. Chcę mieć konkretną więź z konkretnym mężczyzną.

- Mówisz jak plugawa dziwka.

- A ty myślisz jak plugawy sztubak. Przypuszczam, że pokolenie mojej matki sformułowałyby to bardziej elegancko... one by powiedziały, że jesteś nieczuły albo że nie rozumiesz pragnień kobiety czy coś w tym rodzaju... ale ja, Robercie, raz wyjątkowo mówię wyraźnie, bo nie chcę, żeby były jakiegokolwiek wątpliwości, nie chcę, żebyś przekreślił to, co mówię, w coś, co tobie odpowiada. Mówię, że nie chcę być tylko używana. Ja chcę być kochana. Chcę intymności, zmysłowości, wzajemnego troszczenia się o siebie. A nie „dziobnięcia”, dziękuję!

Myślała, że Robert ją uderzy, ale on tylko popatrzył na nią groźnie, zerwał się i poszedł spać do jednego z pokoi gościnnych. Przez trzy dni obnosił minę sprawiedliwego i nie rozmawiał z żoną, po trzech dniach wrócił do jej łóżka i zachowywał się, jak gdyby nigdy nic.

Poganka płakała. Miała nadzieję, że on jednak, gdy wykipi, weźmie pod uwagę to, co mu powiedziała. Ale tak się nie stało.

Nigdy już nie ponowiła tej próby.

Rozdział dwudziesty piąty

Wszystkie szklane drzwi wspaniale urządzonego cieplarnianego apartamentu w hotelu Dorchester otworzono na oścież. Dzień, jeden z pierwszych dni czerwca, był ciepły jak na Londyn.

W niebieskawoszarej sypialni leżał nago na pomiętej ogromnej koronkowej kapie dwudziestotrzyletni Abdullah. Leżał w poprzek na pół ubranej blondynki. Wsunął dłoń pod jej zgniecioną bluzkę z białego jedwabiu i delikatnie wyciągnął jej drugą pierś. Różany pączek zadrgał i naprężył się w jego ustach, gdy wargi wsysały się coraz mocniej w czułą, wrażliwą, delikatną skórę. Raptownie Abdullah przerwał pocałunek.

- Nie, proszę, jeszcze!

Lekko, szybko przesunął czubkiem języka po tym małym sterczącym szpicu tam i z powrotem, brodawka znów drgała, a on teraz zataczał wokół niej językiem krąg, aż wziął ją do ust i znów zaczął ssać wciągając w usta ciemnoczerwoną jej obwódkę. Raptownie znów to przerwał. Cichy okrzyk, wdech. Z pomrukiem ocierał swe czarne jedwabiste rzęsy o brodawkę śliską od jego śliny; z cichym powarkiwaniem muskał ją.

- Och, to nie do zniesienia, nie przerywaj, kochany.

Skubał ją zębami, odsunął głowę i zaraz znów przytulił zagarniając wargami ten malinowy już pąk. I znów zataczał kręgi językiem, i znów wciągał brodawkę najpierw powoli, potem coraz gwałtowniej w wilgotne wargi, naciągając tę kremową ciężką pierś, ściskając ją obiema brązowymi rękami, ssąc coraz mocniej, zachłannie, uporczywie.

- Kochanie, nie wytrzymam. Lada chwila już...

Raptownie przerwał, odsunął się cały. Nagi, połyskliwie brązowy, uniósł się nad blondynką i przytrzymał przeguby jej rąk na łóżku, gdy wiła się bezradnie, usiłując go dosięgnąć.

- Nie możesz mnie dotknąć - powiedział cicho. - Widzisz mnie, widzisz to, czego chcesz, ale nie wolno ci tego dotknąć, nie możesz tego mieć... dopóki ja nie pozwolę.

Położył się obok niej i jedną ręką przycisnął jej nadgarstki do poduszki nad głową. Drugą ręką powiódł po niej, po jej nogach i zawrócił pod zgniecioną spódnicę tam, gdzie kończyła się pończocha, natrafił na ciepłe udo. I dalej w rozedrgane ciepło wewnętrznej strony uda i głaskał miękką skórę zsuniętych ud, lekko przyciskając kciuk do wilgotnych, jedwabistych włosków. A ona wiła się w upojeniu pod tymi pieścotami, świadoma tylko jego rąk i ust.

- Teraz cię rozbiore - mruknął - powolutku.

Abdullah zawsze mówił do swoich kobiet, zawsze cicho im zapowiadał, co zrobi, zanim to robił. Czasami łatwiej było nie rozbierać do naga kobiety, z którą kochał się po raz pierwszy. Wtedy ona nie miała czasu na przypominanie sobie o mężu, na poczucie winy, a poza tym lubił czasami ocierać się obnażony o zmysłowo śliską satynę czy jedwab, miąć w palcach wątlą koronkę albo, gdy ogarniał go nastrój bardziej tygrysi, rozdzierać cienką bieliznę.

Ona znów jęknęła.

- Jak możesz... dlaczego ty nie... jak ty możesz wytrzymać?

Ale Abdullaha nauczono seksualnych obyczajów Wschodu i poznając owe szczególne subtelności dowiedział się, że mężczyzna, który już nie jest chłopcem, nie zazna zadowolenia bez imsak, panowania nad swoją gwałtowną namiętnością.

Na krótką chwilę księżę Abdullah cofnął się myślą o siedem lat wstecz do roku 1947. Chłodny wewnętrzny dziedziniec domu starego doktora w Kairze otaczała biała, łukowata kolumnada i pośrodku w kręgu drzew cytrynowych tryskała fontanna. Tam, leżąc na ogromnej, zarzuconej poduszkami jedwabnej tachcie, Abdullah uczył się sztuk pięknych miłości i specjalnych, wyszukanych sposobów Arabii. Wspominał teraz miękkość pulchnych brązowych ud swojej pierwszej dziewczyny, jedwabistość krągłego kolana pod stuloną dłonią, urzekające wciąż i wciąż falowanie zdobnego w dołeczki zadka, to jej ciało pod nim i ten jej konspiracyjny chichot, gdy już nie zdołał się opanować i wbił się w nią rozszalały i kulminował z ochrypłym okrzykiem triumfu.

Tylko raz mógł sobie na to pozwolić, przedstawiony dziewczynie, która przez pierwszy tydzień miała być jego partnerką, mentorką, dręczycielką, informatorką i sędzią. Z powagą nad naparstkiem czarnej kawy stary hakim wyjaśnił, że regularne stosunki seksualne są niezbędne dla zdrowia i dobrej formy mężczyzny, ale akt płciowy może być albo prostym aktem rozmnażania się - nie bardziej skomplikowanym niż pokrycie krowy na łące - albo subtelnym aktem miłości, dyscypliną, której trzeba się nauczyć i którą trzeba ćwiczyć po to, by otrzymać i ocenić najwznieślijszy dar Allana.

Abdullah pamiętał atmosferę w tych chłodnych pokojach, naładowaną obietnicami seksu, i cichy, żalony lament arabskich pieśni miłosnych przy akompaniamencie fletów. Pamiętał duszną mieszaninę zapachów cynamonu i korzeni, kef i kawy, ciepłych czarnych włosów i kobiecego piżma, i róż, i jaśminu, z czym łączyła się woń wanilii,

bijąca od oleandrów w cebrzykach, które stały na turkusowych wzorzystych taflach środkowego dziedzińca.

Pierwszy tydzień był tygodniem skwapliwości i rozjątrzenia. Abdullah musiał ćwiczyć imsak, co znaczy mniej więcej „zatrzymywanie”. Uczył się, że jego jedynym celem powinno być niedopuszczenie do utraty panowania nad swoim ciałem, a najlepszy i najprzyjemniejszy sposób osiągnięcia tego celu to skupić uwagę wyłącznie na kobiecie. Obiektywnie badając i przedłużając rozkosz partnerki, kochanek może się kontrolować i hamować własny przyływ, dopóki jej nie doprowadzi do szczytu roznamiętnienia, już oszołomionej i bezpamiętliwej. Tylko raz dziennie temu szesnastoletniemu chłopcu wolno było mieć orgazm. W końcu pierwszego tygodnia był cały posiniaczony, tak szczypała go pulchna mała Fatima, ilekroć uznała to za konieczne, ale sądząc z jej dąsów, żalu w jej wesołych oczach, chytrych spojrzeń spod wspaniałych rzęs, wiedział, jak jej przykro, że w drugim tygodniu już zajmują się nim starsze, bardziej doświadczone kobiety. One teraz pouczały go swymi miękkimi, pulchnymi rękami i w razie potrzeby upominały lekkim drapaniem paznokci jak zaostrzone migdały. Zawsze po wieczornej kąpieli, gdy eunuchowie wlewali mu ze srebrnych wiader wonną ciepłą wodę pomiędzy uda, masażystka w białej szacie pochylała się nad jego jedwabistym posłaniem, żeby go głaskać i masować, koić, odświeżać i jeszcze raz pobudzić każdy mrowiący mięsień w jego ciele.

I teraz, tylko dzięki tamtym tygodniom bezlitosnej, umiejętnej nauki, Abdullah mógł prowadzić tę blondynkę na szczyty rozkoszy, jakiej ona prawdopodobnie nigdy by nie zaznała w miłości z Europejczykiem. Mało która Europejka jest przedmiotem takich względów, jakie potrafił, stopniując nastrój, okazywać Abdullah, delikatny, namiętny, gwałtownie żywiołowy i... znów od początku.

Abdullah szalenie lubił pierwotne, piżmowe zapachy kobiet, znał ich ciała, ich potrzeby jak siebie samego; wprost niesamowicie odgadywał ich myśli, wiedział dokładnie, czego pragną w danym momencie - do czego kiedykolwiek potajemnie wzdychały - i język jego tańczył jak Niżyński. Abdullah był z natury całkowicie niepohamowany, toteż jego kobiety zatracały przy nim wszelką powściągliwość i na ogół na tym właśnie polegała różnica pomiędzy ich samopoczuciem przy sztywnych brytyjskich mężach i swobodą wobec zapierającej dech zmysłowości Abdullaha, który

wywoływał takie reakcje erotyczne nie tylko swym ciałem, ale i słowami szeptanymi im do ucha. On dobrze wiedział, że słowa są ważną częścią uwodzenia.

Książę Abdullah bez trudu posługiwał się Europejkami jako narzędziem zemsty na Europejczykach. Kochał kobiety nie inaczej niż niektórzy mężczyźni kochają konie. W prawie każdej znajdował coś godnego podziwu i pożądania; kochał łagodność kobiet, nieuchwytność, śmiech. Kochał małe dziewczyny i te zmysłowe duże, smukłe i tłuściutkie, pucołowate; kochał ciemne włosy jak jedwabna przędza i krótkie kędziorki blond; kochał piersi jędrne, małe, wysoko osadzone i piersi ciężkie, pełne jak melony; kochał cienkie talie, ale też kochał te pulchniejsze, i duże krągłe pośladki, i uda jak miękkie poduszki. Kochał podniecenie, które wzniecał w przepysznych, ciepłych, lubieżnych ciałach, i widok tych piękności na jego rozkaz wijących się bez opamiętania, rozszalałych pod jego lekkim, pewnym dotknięciem, podczas gdy on wprost przeciwnie - pozostawał całkowicie panem siebie i mógł tak nad sobą panować przez długie godziny. Wiele kobiet obdarzał romantycznym szczęściem, o jakim marzyły w swoich pensjonarskich czasach; a kilka taką nieokiełznaną namiętnością, o jakiej nigdy nie śmiały marzyć. Ujmował kobiety swym srogim, dumnym obliczem, szczupły, wysportowany, otoczony aurą seksualizmu dzikiego jak seksualizm ogiera. W dodatku po ukończeniu Sandhurst miał postawę i savoir-vivre mężczyzny znacznie starszego niż był, a także ową niewidoczną pewność siebie, którą dają pieniądze i władza. Nie zawsze jednak, jeśli się było kochaną przez Abdullaha, kroczyło się drogą usłaną różami, chociaż wielkie wiązanki róż rzeczywiście przysyłał trzy razy dziennie aktualnej damie serca. Abdullah niezmiennie stawiał sprawę jasno - teraz jestem na każde twoje skinienie, ale nie może być dla ciebie przyszłości w moim życiu. Szeptał to z żalem, z bezbrzeżnym smutkiem, jak gdyby naprawdę ciężko mu było mówić o tym, ale będąc człowiekiem honoru wyjaśnić to musiał, zanim znów się pochyli nad śnieżnymi piersiami. Żadna więc kobieta nie mogła powiedzieć, że ją w jakikolwiek sposób zawiódł, chociaż niejedną łatwo mógł rozjątrzyć, zranić czy rozgniewać swym nagłym zniknięciem. Żadna nie mogła powiedzieć, że ją oszukał, czy porzucił, czy zerwał z nią, czy zostawił na lodzie, bo rzeczywiście tak nie było. Nie cierpiał pożegnań. Lubił czuć się z kobietą nadal połączony niewidzialną jedwabną nicią, którą mógłby w razie konieczności pociągnąć. Żadna z kobiet kochanych przez Abdullaha nigdy nie wspominała go z gniewem czy z wyrzutami sumienia. Każda z nich myślała o nim tęsknie, z lekkim uśmiechem czy westchnieniem

wspominając oczarowanie. Zupełnie tak, jakby on pewnej nocy zjawił się na krótko - i raptem już znowu go nie było i nocne czary stały się prześnionym snem.

Ale tych wspomnień nic by nie zatarło, choćby tylko dlatego, że te przeżycia raczej nie miały się powtórzyć. Kojący szept Abdullaha, pochlebstwa, czułe słowa sprawiały, że większość jego kobiet, ku własnemu zdumieniu, nabierała lubieżnej zwinności, gdy je błyskawicznie porywał na karkołomne tory erotyzmu aż do mety, gdzie natrafiały na jego zmysłowy opór. Najśmielszym zawodniczkom Abdullah jedwabnymi sznurami przywiązywał nadgarstki do oparcia łóżka, po czym swą złocistą rękę - jak on cały, niezbyt ciemną, tylko jak gdyby opaloną na złoty brąz - zanurzał w akwarium, które chyba zawsze stało przy jego łóżku. Wyląwiał jedną ze złotych rybek i wijącą się szybko wsuwał w dziewczynę. Ona w tym momencie zwykle z okrzykiem zaskoczenia drętwiała, ale rzucał się na nią, przytrzymywał jej ręce, dopóki się nie uspokoiła, zdolna już do doznawania dziwnych wrażeń erotycznych, gdy to stworzonko poruszało się w jej ciele. Ledwie zaczynała jęczeć z rozkoszy, Abdullah osuwał się do jej stóp i bardzo sprawnie, bardzo wolno wysysał z niej złotą rybkę.

Teraz, gdy ta obecna blondynka skręcała się pod Abdullahem i ochryple pokrzykiwała coraz głośniejsze, zza ozdobnych drzwi apartamentu w hotelu Dorchester zawołał adiutant:

- Wasza Wysokość? Telefon! To premier, Wasza Wysokość! Abdullah podniósł głowę i warknął. Suliman miał pilnować, żeby żadnymi

telefonami mu nie przeszkadzano, zwłaszcza pod wieczór.

- Rozmowa błyskawiczna, Wasza Wysokość.

Szybkim, kocim ruchem Abdullah zerwał się z łóżka i odruchowo chwycił pistolet, zanim blondynka pojęła, co się dzieje. Podparła się łokciami, gdy on tyłem podszedł do telefonu, ostrożnie podniósł słuchawkę i przeprowadził krótką rozmowę w gardłowym języku arabskim.

Położył słuchawkę na widełki. W półmroku zmierzchu wydawał się czujny, ostrożny i bardzo zdenerwowany. Nagle blondynka zdała sobie sprawę, że on wprawdzie patrzy na nią dziwnie srogo, ale zupełnie zapomniał o jej obecności.

- Wasza Wysokość - powiedziała niepewnie. Nazywać go po imieniu jakoś w tej chwili nie wypadało.

Zamrugnął w zadumie.

- Nie Wasza Wysokość - powiedział - Wasza Królewska Mość. -I ruszył nago do drzwi.

Niech to diabli, pomyślała rozczarowana blondynka. Niech to diabli, diabli, diabli!

Rozdział dwudziesty szósty

Poganka siedziała w łóżku i piła swój poranny sok mango, gdy Robert rzucił w nią gazetą i powiedział:

- Ten twój przyjaciel czarnuch jest teraz na świeczniku!

Przeczytała nagłówek: „Młody król wojowników wstępuje na tron”. Nic nie powiedziała. Poczekala, aż Robert wyjdzie, i wtedy wzięła z barku butelkę wódki, z którą wróciła do łóżka. W roku 1954, po trzech latach małżeństwa, czuła do męża tylko grzeczną, zimną nienawiść, w pełni odwzajemnianą. Już nie była takim świetnym atutem w interesach. Rzeczywiście, aż nazbyt często lekkomyślnie się upijała.

Nazajutrz rano budząc się zobaczyła, że Robert z głową podpartą na dłoni patrzy na nią z sąsiedniej poduszki tak jadowicie, że się złękła. Nagle sobie uświadomiła, że zawsze trochę się go boi. Spojrzała w oczy prawdzie - popełniła straszną pomyłkę: wyszła za imponującego na pozór, pompatycznego osła. Rozdęty swoją ważnością Robert jest wewnątrz pusty jak balon w wesołym miasteczku.

- Oczywiście, myślisz o tym czarnym skurwysynie? - Z zimną furią Robert odrzucił kołdrę i jeszcze patrząc na nią nienawistnie szarpnął ramiączko jej nocnej koszuli z topazowego jedwabiu. Gdy się zdrygnęła, syknął dziwnie, zerwał jedwab z jej piersi i zgwałcił ją.

Z krzykiem usiłowała go odepchnąć, ale tym mocniej wbijały się w jej piersi te brutalne palce. Później zobaczyła na jego twarzy wyraz zadowolenia władczy i pełny okrucieństwa. Zrozumiała, że jemu sprawia przyjemność zadawanie jej bólu i że będzie to robił znowu. Już stał się jej intymnym wrogiem.

Gdy wyszedł z pokoju krokiem spacerowym, żeby na tarasie zasiąść do nienagannie podanego śniadania, Poganka zataczając się weszła do łazienki. Zwisaly z niej strzępy jedwabiu i w lustrze widziała ślady palców na piersiach. Rozdygotana napuściła ciepłą wodę do wanny. Z kąpieli mokrą ręką ostrożnie sięgnęła po aparat telefoniczny. Zadzwoiła na lotnisko.

Zostawiając swego bladoniebieskiego Rolls-Royce'a - czego potem bardzo żałowała ze względu na jego wartość wymienną - Poganka odleciała pierwszym samolotem do Londynu.

Matka Poganki była przyjazdem córki przerażona, ale nie zaskoczona. Poprzedniego dnia doręczono jej telegram dla Poganki, który przeczytała myśląc, że jest w Egipcie.

ZAMIERZAM NATYCHMIAST WZIĄĆ ROZWÓD STOP PODSTAWA
PORZUCENIE STOP ALIMENTY WYKLUCZONE TWÓJ HANIEBNY POSTĘPEK STOP
PROSZĘ POTWIERDZIĆ ODBIÓR ROBERT SALTER

Poganka czytała ten telegram ze zmarszczonymi brwiami.

- Tak to ujął, jak gdyby mnie wylał z pracy za nieudolność.

- Nie zechcesz mi wyjaśnić, co się stało?

- Mamo kochana, może byśmy się przedtem napiły? Osiem godzin byłam w pociągu, wiesz. - Matka pociągnęła nosem, podeszła o krok i znów pociągnęła nosem. - Tak, wiem. Wypiłam w pociągu parę kieliszków. To leczy. I pociesza. Tak zimno tutaj po Kairze. I trochę byłam rozczarowana, że nie przyjechałaś po mnie na lotnisko. Nie dostałaś mojego telegramu?

- Dostałam, kotku, ale raczej nie mogłam tak po prostu zniknąć, zostawić Selmę samą na dwa dni. Przecież ma się swoje obowiązki. I ostatecznie nie jesteś dzieckiem, musiałaś tylko wziąć taksówkę z lotniska na dworzec Paddington. Na długo przyjechałaś?

- Kochanie, wróciłam do domu. Trelawney to mój dom. Zamieszkałam tutaj w szczęśliwej Konwalii.

Zaległo milczenie. Matka podeszła do zawieszzonego w kącie narożnego barku.

- Chyba obie musimy się napić. - Naląła do dwóch kieliszków sherry Amontillado. - Mamy teraz komplet - powiedziała po chwili. - Wszystkie pokoje gościnne są zajęte. Ale jeden ze służbowych jest wolny. Na poddaszu wschodniego skrzydła.

- Na tym piekielnie ponurym strychu?

- No, kotku, musisz przyznać, że przyjechałaś niespodziewanie. Nie wiedziałyśmy, że przyjedziesz, a zamówienia dostajemy na trzy miesiące z góry. Zupełnie dobrze nam to idzie, odkąd zainstalowano nowy zbiornik do hydroterapii. Boże, ty już wypilaś, kotku? Czy jesteś pewna, że następny ci nie zaszkodzi?

Poganka zaintrygowana patrzyła na zmianę, jaka zaszła w matce. One obie, pani Trelawney i Selma, chodziły w nakrochmalonych białych uniformach i nazywały się Dyrektorka i Dietetyczka. Rozmawiały ze sobą cichym, kojącym szeptem nawet wtedy, gdy były same. Pani Trelawney nie malowała się, nosiła wielkie okulary w szylkretowej oprawie i zaczęła ćwiczyć jogę.

Przez cztery noce Poganka spała w małym pokoiku służbowym. Piątego dnia pani Trelawney powiedziała:

- Omówiłam wszystko z Selmą. Jesteśmy gotowe dać ci któryś z pokoi dla gości. Ale musisz zachowywać się przyzwoicie. Wiesz, o czym mówię. Żadnych trunków, kotku. Ani jednej ukrytej maleńkiej buteleczki. Wiesz, że ja nie mogę ryzykować.

Poganka już nie chciała mieszkać we dworze Trelawney, gdzie obcy ludzie w szlafrokach dryfowali po przegrzanych korytarzach albo pili słabą herbatę w cieplarni. Zdecydowała się wprowadzić do odległej o milę opuszczonej leśniczówki. Ten domek stał w leśnej kotlinie, otoczony złocistymi krzewami azalii. Pani Trelawney, która zamierzała urządzić tam dodatkowy luksusowy apartament dla znamienitszych gości, wysunęła sprzeciw.

- Niestety, to niemożliwe, kotku.

- Kotku - powiedziała Poganka patrząc na nią chłodno. - Proszę, nie zapominaj, że Trelawney należy do mnie.

Stary kamienny domek umeblowano odrzutami z dużego domu i raz na tydzień pani Hocken przychodziła posprzątać.

- Panience trzeba trochę towarzystwa, panienko Poganko - zauważyła w pewien poranek i podparła się szczotką do zamiatania. - Miłego kota czy psa. Pani Tregerick mi mówiła, że odkąd jej Jim oczy zamknął, nie ma kto zajmować się ich psem, owczarek to jest. Co panience szkodzi go zobaczyć?

Hultaj był czarno-biały, kudłaty i wielkości fotela. We dwoje utrzymywali w domku stały bałagan - wciąż tam pachniało mokrym psem. Codziennie Hultaj zabierał Pogankę na spacer, przy czym omal nie wrywał jej ręki, tak napręzał smycz. Dzięki niemu Poganka nie spędzała całego dnia sama w domku, wyciągnięta na wraku obitej kretonem kanapy, której obwisłe sprężyny skrzypiały, ilekroć sięgała po butelkę z wódką.

Była rozgoryczona i przestraszona - poniosła klęskę. Kiedy i jak zbłądziła? Czy z jakąś inną kobietą Robert mógłby być szczęśliwy? Czy nie powinna była starać się

bardziej i dłużej? Brakowało jej energii, żeby to sobie jeszcze raz przemyśleć - i zresztą po co? Tak czy owak, skończyłoby się to niedobrze. Lepiej wyrzucić tę zabagnioną niemilość z pamięci, spokojnie siedzieć w domu z kochanym Hultajem i wódką.

Któregoś dnia rano pani Trelawney przysłała do domku. Poganka siedziała na kuchennej podłodze w gumowych butach, starych bryczesach i niczym więcej, jedząc z psiej miski pieczony bób podlany wódką, ale prawie nie mogła podnieść łyżki do ust. Rzuciła łyżką w matkę.

- Poganko, opanuj się!

- Ludzie mówią to tylko wtedy, kiedy nie można się opanować.

Matka poradziła, żeby porozmawiała z lekarzem farmy zdrowia, który potrafi pomagać osobom mającym problemy z nieszczęsnym nałogiem.

- Trochę za późno, do cholery, zaczynasz się mną interesować! - wrzasnęła Poganka.

Wracając do Anglii, Poganka miała tylko sto pięćdziesiąt sześć funtów gotówką, czyli to, co jeszcze zostało na jej koncie w banku Ottoman. Po dwóch miesiącach w Anglii majątek ten się zmniejszył do siedemnastu szylingów i czterech pensów, postanowiła więc poruszyć sprawę pieniędzy z matką. Dopiero wieczorem poszła do Trelawney; po godzinie szóstej nie było żadnego powodu, żeby matka ją zbyła szybkim, znamionym prychnięciem. Pani Trelawney przy biurku w gabinecie sprawdzała jadłospisy.

- Za pięć minut, kotku - mruknęła zerkając sponad okularów w szylkretowej oprawie. - Poczęstuj się... - Ale Poganka już sobie nalewała dzin i tonik. - Kotku, czy ty wcale nie masz sukienek? Odkąd przyjechałaś, widuję cię tylko w tych gumowych butach i dzinsach.

- Ach, mammo, to taka boska odmiana po Kairze. Tam strojenie się było właściwie pracą na pełnym etacie. Piekielnie nudną. Tak czy owak, nie mam pieniędzy na ubranie i właśnie o tym chcę z tobą porozmawiać.

- To znaczy, spodziewasz się, że ja będę cię utrzymywała?

- Nie wiem, jak inaczej mogę się utrzymać, na razie.

- Szkoda, że nie wzięłaś tego pod uwagę, zanim rzuciłaś męża.

- Mammo, czy rzeczywiście nie chcesz wiedzieć, dlaczego wyjechałam stamtąd tak nagle?

- To sprawa osobista, twoja i Roberta.

- Ale czy chcesz wiedzieć?

- Nie. - Pani Trelawney nie chciała się angażować, nigdy nie chciała.

- Ale ja muszę z czegoś żyć, a posiadam tylko Trelawney.

- Nie musisz mi tego wymawiać, kotku. Gdyby nie Selma, musiałybyśmy Trelawney sprzedać.

- Ale teraz dobrze ci się powodzi, chyba więc mogłabyś dawać mi niedużą pensję. Ostatecznie musiałabyś płacić czynsz komuś innemu, gdybyś przeniosła tę farmę zdrowia. Chcę pracować, jeżeli znajdę kogoś, kto mnie do pracy przyjmie, ale co ja umiem? Nie mam uzdolnień dających się sprzedać. Nie szkoliałś mnie do zarabiania na życie. Jestem do niczego.

- Sądzę, że już nie powinnaś pić, kotku. Gdybyś tylko przestała, mogłybyśmy chyba dać ci pracę w dziale hydroterapii.

- Celowanie wężem w starych grubasów?

- Potrafisz być czasem niewiarygodnie wulgarna.

- Jaka właściwie jest sytuacja tej posiadłości... czy mam zapytać radcę prawnego w St Austell?

- Oczywiście, zrób to, ale ja ci mogę sama powiedzieć. Jako twój zarząd powierniczy wydzierżawiłam Trelawney klinice zdrowia na pięćdziesiąt lat za czynsz w wysokości rocznego oprocentowania pożyczek, których zabezpieczeniem jest ta posiadłość. To już zostało wyjaśnione adwokatom twojego męża. Miesiącami po twoim ślubie zatruwali mi życie.

- Co? Czy mogłabyś powiedzieć to jeszcze raz... - Matka powtórzyła. - Czy to znaczy, że kiedy ukończę sześćdziesiąt osiem lat, nadal będzie mi wisiał dług dziadka u szyi, chociaż ty przez pół stulecia będziesz ciągnęła zyski?

Matka patrzyła w płomienie na palenisku kominka.

- Selma i ja spisałyśmy identyczne testamenty. Posiadamy po pięćdziesiąt procent udziałów w farmie zdrowia i po śmierci którejś z nas ta, która przeżyje, będzie mogła kupić jej akcje po cenie ich wartości (par value). Nie widziałam powodu, żeby nadmienić o tym adwokatom Roberta... byli niemile agresywni, ale przypuszczam, że ty powinnaś teraz o tym wiedzieć.

- To znaczy, że gdybyś umarła, Selma dostałaby dzierżawę Trelawney?

- Kotku, ja też nie zostałam przeszkolona do zarabiania na życie. Kiedy dziadek umarł, musiałam przyjąć propozycję handlową Selmy. Oczywiście teraz, po pięciu latach

doświadczenia, mogłabym prowadzić tę farmę zdrowia sama, ale czy pamiętasz, jaka wtedy byłam rozbita? I to jest dzierżawa z pełnym remontem. Dostaniesz swoją posiadłość z powrotem w doskonałym stanie, to powiększy jej wartość.

- Nie wydaje mi się to premią. Dziadek zawsze się starał, żeby była w doskonałym stanie.

- Bardzo cię proszę, nie podnoś głosu, pacjenci mogliby usłyszeć. Szczerze mówiąc, już omawiałam z resztą zarządu możliwość wypłacania ci niedużej pensji.

- Kto to jest reszta zarządu?

- Selma i jej księgowy. Nasz księgowy.

- I co oni powiedzieli?

- Pan Hittshaw uznał, że może dałoby się wyłożyć trzy funty tygodniowo.

- Cztery. Plus koszty bieżące i utrzymanie leśniczówki.

- Z pewnością nie koszty bieżące.

- No, to ja jutro pojadę do St Austell.

- Och, dobrze więc. Ale bez rachunków za telefon.

- Bez rachunków za telefon, kotku.

Rozdział dwudziesty siódmy

Obaj pocili się w gorącej kabinie helikoptera. Tysiąc stóp poniżej cień skakał przed nimi po pustyni na południu Sydonii. Z tej wysokości widać było na północy wąską zieloną równinę, którą przecinała kręta srebrna wstęga rzeki płynącej na zachód do Morza Czerwonego ze swego źródła wśród szczytów wspaniałych gór na wschodzie. Za górami, jeszcze dalej na wschód, nieubłaganą beżową jednostajność pustyni przerywały dachy Fenzy.

Abdullah podniósł helikopter trochę wyżej. Zawsze czuł się w powietrzu szczęśliwy i nieskrępowany, wolny od lęku, jak nigdy na ziemi. Razem z Sulimanem nauczył się latać, gdy byli w Sandhurst, a później zdał egzamin na pilota helikoptera. Helikopter był idealnym środkiem lokomocji, pozwalającym mu poruszać się po swoim kraju stosunkowo potajemnie.

Lecieli na południe od Semiry, stolicy jego królestwa. To stare miasto leżało na północnym brzegu rzeki u stóp wzniesienia, z którego królewski pałac panował nad zagęszczeniem olśniewająco białych kopuł i wąskich uliczek z małym souk pośrodku. Od tygodnia wyczuwało się na souk coś niedobrego; targowisko było nienormalnie przyciszone, pełne posepnych zatroskanych twarzy i nagłych szczekliwych kłótni. Znów działali podżegacze głosząc swoje zwykłe hasła. Abdullah zastanawiał się nad tą drugą stroną medalu wysyłania młodych ludzi za granicę, żeby byli wykształceni; przecież oni wracają z niepraktycznymi radykalnymi poglądami, określanymi z grubsza jako „postępowe”, i mówią o utworzeniu tak zwanej ludowej republiki, w której nikt już nigdy nie będzie się bał ani klepał biedy, ani pracował.

Poprzedniego dnia wieczorem król udzielił audiencji ambasadorowi Stanów Zjednoczonych na jego usilne żądanie. We dwóch spacerowali po alejkach

wśród grządek ziół, w wielkiej oplecionej dzikim winem altanie, gdzie z pewnością nie było podsłuchu.

Ambasador ostrzegł króla, iż należy w ciągu najbliższych dwóch dni spodziewać się jeszcze jednego zamachu na jego życie w wyniku spisku na bardzo wysokim szczeblu. Tak król jak ambasador mówili o tym bez zdumienia. W ubiegłym roku młody władca Sydonii nie ukrywał, że zamierza wprowadzić wiele zmian, wykorzenić cyniczne przekupstwo i obudzić kraj z letargu, w jakim trwa od wieków. Niestety starsi politycy nie chcieli, by cokolwiek się zmieniło, a wykształceni na Zachodzie studenci domagali się zmian radykalnych łącznie z obaleniem króla. W powietrzu wisiały zamieszki.

Oficjalnie helikopter leciał na południe nad brzegiem roziskrzonego lazurowego morza w stronę granicy południowej do nadmorskiego pałacu Dinada, budowli ze stali i szkła zaprojektowanej przez Philipa Jonesa dla ojca Abdullaha. Nagle jednak opadł i zboczył z kursu o siedemdziesiąt stopni na wschód, kierując się w głąb nad pustynię, która stanowiła prawie trzy czwarte obszaru Sydonii.

Po dziesięciu minutach wypatrzyli niski namiot z czarnej kozłej skóry i stadko spętanych wielbłądów. Helikopter wylądował w odległości stu jardów od tych zwierząt, żeby zanadto ich nie niepokoić.

Trzej oficerowie: jeden z Patrołu Pustynnego, dwaj z Pierwszego Pułku Pancernego, podbiegli do helikoptera i stanęli, salutując, poza obwodem wielkich łopat śmigła. Z

pistoletem dobytym Suliman zaczekał, aż śmigło przestanie się kręcić, po czym zeskoczył na piasek.

- Salem Alejkum.

- Alejkum e Salem.

Po tym tradycyjnym powitaniu oficerowie uklonili się swojemu królowi, który wszedł do niskiego namiotu, szybko usiadł po turecku i skinął, żeby też usiedli. Nastąpiła chwila milczenia, a potem zwykła wymiana przesadnych uprzejmości i zapewnień o przywiązaniu. Suliman, znający dwóch z tych oficerów od dziecka, zachęcił ich ruchem głowy i wtedy jeden z nich przystąpił do rzeczy.

- Wasza Królewska Mość, wiadomo nam, że życie Waszej Uświęconej Królewskiej Mości jest w niebezpieczeństwie. A wiadomo nam stąd, że kogoś spośród nas zagadnął pewien wyższy oficer i obiecał awans, jeżeli on przysięgnie, że będzie przez najbliższych kilka dni posłuszny bez żadnych zastrzeżeń. - Umilkł i popatrzył na swoich dwóch kolegów, jak gdyby prosząc o potwierdzenie. - Ogromne łapówki - podjął - wprost fortuny proponuje się armii, to również wiemy.

Tamci oficerowie przytaknęli, czarne ich oczy były ponure nad zakrzywionymi nosami.

- I uprzedzono nas, że Pierwszy Pułk Pancerny wkrótce zostanie odkomenderowany na długi marsz, jakieś tajne nocne manewry. - Znow zaległo milczenie i znow ten oficer rozejrzał się, jak gdyby szukał poparcia, zanim powiedział: - Wasza Królewska Mość, obawiamy się, że dostaniemy rozkaz otoczenia stolicy i zamknięcia wszystkich wyjść. Gdyby się do czegoś takiego dopuściło, w Sydonii może by wybuchła wojna domowa albo jakieś siły z zewnątrz takie, jak te psy Saudyjczycy, mogłyby szybko zająć Semirę, a więc opanować radiostację i w ten sposób cały kraj. - Na zakończenie wciągnął głęboki oddech. - Podejrzewamy, że wszędzie w armii są zdrajcy. Wątpimy nawet w lojalność naszych dowódców, pragniemy więc być pod rozkazami bezpośrednio Waszej Królewskiej Mości.

Poza tym, że jęczał ostry wiatr pustynny, zrobiło się zupełnie cicho, gdy ci czterej czekali na to, co król powie. Świadom, jak dalece oni ryzykowali nawiązując kontakt z Sulimanem, żeby doszło do tego spotkania, Abdullah wysoko podniósł głowę. Nawet w mundurze polowym, przycupnięty, z nogami skrzyżowanymi, prezentował się wspaniale i emanował brutalną energią. Powiedział stanowczo:

- Pamiętajcie bracia moi, że Allah mnie wyznaczył, abym wam przewodził. Nasz cały naród będzie oklaskiwać wasz postępek, kiedy się o nim dowie. - Złożył ręce na torsie i nieco głośniejszym głosem dodał: - Sprawiedliwość jest po naszej stronie! Teraz zaczniemy posuwać się szybko, żeby zmieść to niebezpieczeństwo z powierzchni naszej ziemi!

Znów zaległa cisza, po czym oficerowie potwierdzili, że pozostaną wierni. Zaczęli omawiać możliwe spiski, podejrzanych spiskowców i daty ich stracenia.

Zostało postanowione, że każdy z tych trzech oficerów przyjmie wszelkie propozycje spiskowców i postara się osobiście czy przez telefon ostrzec Sulimana.

Całe to spotkanie trwało niespełna kwadrans.

W mroku małe fale uderzały o kadłub statku wycieczkowego na kotwicy, w odległości trzech mil na północ od portu Semira. Wychylając się z mostka i nasłuchując kapitan, Grek, ledwie dosłyszał plusk wiosł dwóch gumowych czółen. Potem, gdy one jedno za drugim odpłynęły od sznurowej drabiny, która z głównego pokładu zwisała do wody, migwały mu od czasu do czasu fosforyzujące błyski, srebrzysta jak śledź pienista smuga za nimi. Nawet tak daleko na morzu zbyt ryzykowne byłoby włączenie ich zewnętrznych silników. Na szczęście, noc zapadła ciemna, bez księżyca. Pod osłoną ciemności niewidocznie i cicho oba czółna powinny dopłynąć do portu i wsunąć się między łodzie rybackie, szeregiem tańczące na wodzie przy północnym molo. Powinny zdążyć przed brzaskiem.

Kapitan mrużąc oczy, popatrzył przez nocną lornetkę na miasto. Wydawało się, że panuje tam cisza i spokój. W porcie paliły się światła, ale nieliczne

o tej późnej porze. W czółnach było dość materiałów wybuchowych, żeby wysadzić ten port w powietrze. Dzięki Bogu, pomyślał kapitan, wreszcie się ich pozbyłem. Chyba nic nowego nie wydarzyło się od wczorajszego popołudnia, kiedy to z nadmorskiego pałacu Dinada dostał rozkaz odpłynięcia za dwadzieścia minut. Jego Królewska Mość wpadł na pokład ze swoim gorylem i kazał mu wziąć kurs na północny zachód - port przeznaczenia Kair.

Ale gdy tylko odpłynęli dostatecznie daleko od wybrzeża i zmrok zapadł, zgasili światła, popływali trochę w kółko, a potem, kierując się kompasem, wzięli w ciemnościach kurs na północ od Semiry.

Teraz w pierwszym czólnie było ośmiu uzbrojonych gwardzistów Abdullaha. Najlepsi z żołnierzy płynęli z Jego Królewską Mością drugim czólnem. Nikt nie wiedział, kto i ilu, jeśli w ogóle ktoś, ma na nich czekać w porcie.

Poprzedniego dnia po południu jeden z oficerów kontaktowych Sulimana w Pierwszym Pułku Pancernym zatelefonował do niego do pałacu Dinada

1 zaproponował mu polowanie na kuropatwy na pustyni; zaofiarował się, że natychmiast przyśle po niego do Dinady samochód z kilkoma przyjaciółmi. Suliman miał gotową odpowiedź. Właśnie wybiera się na ryby. Spotka się z przyjacielem przed świtem w porcie Semira pomiędzy komorą celną i biurem komendanta portu.

- Niemożliwe. Ja już się umówiłem na polowanie.

- Więc niech jadą bez ciebie. Ty przywieź innych na spotkanie z moimi rybakami.

Po tej rozmowie Suliman zameldował Abdallahowi, że jak się zdaje, kolumna samochodów pancernych ma wyruszyć z koszar semirskich do pałacu Dinada. Królowi grozi śmierć.

Ani król Abdullah, ani Suliman w żaden sposób nie mogli wiedzieć, czy ten młody oficer zdąży zmontować „wyprawę na ryby” i czy oddział żołnierzy lojalistów będzie na nich czekał w porcie, obaj jednak wiedzieli, że po ucieczce z Dinady nigdy już tego oficera nie zobaczą. Jego telefon z koszar do pałacu na pewno został zapisany w książce, więc automatycznie go zabiją, podejrzewając, że jest szpiclem.

Już zbliżali się do brzegu; tylko dwieście jardów dzieliło pierwsze czółno od wejścia do tego niedużego portu. Czuli teraz portowe zapachy oleju dieslowskiego, lin, płócien żaglowych, smoły, zepsutych ryb, moczu, jodyny.

Na cichy gwizd w ciemnościach ich wiosła się podniosły. Siłą rozpędu czółna wsunęły się do czarnej jak melasa przystani, skręciły w lewo i po cichu wsunęły się między łodzie rybackie. Gdy dokowały, dwaj boski marynarze wciągnęli się z nich na kamienne molo i przywiązali cumy do metalowych pachółków. Jeszcze jeden cichy gwizd: marynarze pomogli wygramolić się z czółen żołnierzom, po czym oni wszyscy z ciężarami, które dźwigali, wtopili się w czerń nocy.

Za ciemną masą szop komory celnej stały dwa samochody pancerne, w każdym z nich siedzieli kierowca i oficer. Cicho żołnierze stoczyli się w samochodach, pozostawiając jednego na straży tych dodatkowych karabinów i amunicji, które w samochodach się nie zmieściły.

- Do koszar - rozkazał Abdullah.

W napięciu, w milczeniu, z bronią odbezpieczoną ta ponura gromada powoli pojechała z portu przez płataninę nie oświetlonych krętych ulic do północnej bramy. Masywne, obite żelazem płyty drewniane wysokości dziesięciu stóp były osadzone w grubym na sześć stóp murze, otaczającym stare miasto. Jak zwykle nocą, stał tam wartownik. Gdy podjechali, podniósł karabin i zapytał o hasło.

Z samochodu wychylił się oficer.

- Otworzyć bramę i przepuścić. Jego Królewska Mość Abdullah.

- Dziś w nocy mamy rozkaz nie otwierać - powiedział wartownik niepewnie.

- Żołnierzu - powiedział Abdullah. - To ja, twój król. Podejdź, żeby zobaczyć, że to naprawdę król chce przejechać.

Wartownik podszedł powoli, jeszcze niepewny i zajrzał do samochodu. Natychmiast sprężył się i zasalutował rozpoznając niewzruszoną twarz Abdullaha, czarne oczy przeszywające go na wskroś. Podbiegł do bramy, żeby ją otworzyć, zawołał do wartownika z drugiej strony, żeby otworzył swoje skrzydło.

Gdy już dopchnęli te ciężkie skrzydła bramy do muru, dwaj żołnierze Abdullaha wyskoczyli, żeby stanąć na warcie, a ich niemo skierowali do drugiego samochodu. Oba samochody ruszyły w kierunku koszar Semiry.

Świtało, gdy dojeżdżały do głównej bramy tych niskich murowanych koszar. Ciężarówka już wytaczała się powoli z ogromnego wewnętrznego placu trzema łukowatymi wylotami. Samochody Abdullaha zatrzymały się raptownie przy pierwszej bramie. Drzwiczki otworzyły się na oścież i wszyscy, z wyjątkiem Abdullaha i jego kierowcy, wyskoczyli z karabinami w pogotowiu. Obaj oficerowie, podchodząc żwawo do zdumionych wartowników, zatrzymali strumień ciężarówek, żeby samochód króla mógł wjechać na dziedziniec.

Samochód zatrzymał się wewnątrz pod murem i od razu otoczyła go eskorta Abdullaha. Król wskoczył na dach samochodu. W imponującym szkarłatnym kaffiyeh Gwardii Pałacowej wyglądał na dzielnego, groźnego wojownika, oznajmiając, że on, prawowity król, przyjechał, by poprowadzić swoich żołnierzy przeciw wszystkim zdrajcom.

Rozległy się owacje. Śniadzi żołnierze zaczęli tłoczyć się wokół samochodu. Srogie, czarnobrode o orlich nosach twarze wznosili ku obliczu króla, zachwyceni, krzyczeli

wniebogłosy, wymachiwali bułatami. Minęło co najmniej pięć minut, zanim Abdullah zdołał uciszyć te ryki.

- Cała armia ma słuchać tylko moich rozkazów, wydawanych przeze mnie samego, a nie za pośrednictwem oficerów i podoficerów! - wrzasnął. - Nikomu nie wolno opuszczać koszar do czasu aresztowania zdrajców! Wprowadzam teraz stan wyjątkowy, żeby moja armia... pod moim przewodem... przejęła całkowitą kontrolę nad krajem.

Po dalszych okrzykach poparcia ciągnął:

- Parlament zostanie rozwiązany, konstytucja zawieszona, dopóki w kraju nie zapanuje porządek! Zakazuję wszelkich zebrań politycznych i od dzisiaj obowiązuje w całym kraju godzina policyjna od zmierzchu do świtu. Aż do odwołania nie wolno wygłaszać żadnych politycznych przemówień przez radio. - I po następnych wrzaskach aprobaty ryknął: - Jakiegokolwiek zgromadzenie buntownicze natychmiast rozpędzą żołnierze na koniach gazem łzawiącym i każdy, kto będzie wznosić barykady albo obrzucać moich żołnierzy kamieniami, z miejsca poniesie karę śmierci.

W pół godziny po wjeździe do koszar Abdullah wydał rozkaz, żeby cała armia czekała w koszarach czy obozach na wizytację króla, i mógł już odbyć konferencję sztabową. Prawie wszyscy spiskowcy byli wyższymi oficerami; podoficerów i szeregowców należało do spisku bardzo niewiele. Ku nieprzemijającemu rozgoryczeniu Abdullaha organizatorem był naczelny wódz armii, któremu w tym pomagało nie tylko dwóch innych generałów, ale i trzech członków Przybocznej Rady Pięciu, łącznie z nowym premierem. Tak wielkiego ciosu Abdullah się nie spodziewał.

Tamtego dnia po południu w królewskim pałacu w Semirze król zwołał zebranie pozostałych dwóch członków Rady Przybocznej i wszystkich oficerów powyżej stopnia majora. Szmer głosów w chłodnej, przestronnej sali ucichł, gdy na zewnątrz dały się słyszeć bębny.

Nagle w łukowatych drzwiach ukazał się król Abdullah - postać zupełnie inna niż groźny żołnierz-przywódca w szkarłatnej pelerynie, który na dachu samochodu rankiem stał rozstawiając nogi, wywijając bułatem odbijającym pierwsze promienie słońca. Teraz w niepokalanie białym, ze złotymi epoletami mundurze galowym Abdullah wkroczył powoli - monarcha bardziej niż przywódca.

Na najwyższym pałacowym tarasie, skąd rozciągał się widok na białe szczyty dachów Sydonii, stali dwaj mężczyźni. Słońce, krwista kula, osuwało się za horyzont. Niebo nad

ciemnym morzem było prążkowane żółto i pomarańczowo. Suliman zaryzykował pełny szacunku, ale szeroki od ucha do ucha uśmiech.

- Poszło dobrze, miłościwy panie.

- Tak, raczej na to liczyłem. Zechciej, proszę, załatwić, żeby były premier został stracony najpóźniej za trzy dni, a także wszyscy ci zdrajcy, którzy jeszcze nie uciekli do Syrii, gdzie niewątpliwie będzie się dalej spiskować przeciwko mnie.

- Roztropnie jest podjąć wszelkie możliwe środki ostrożności, miłościwy panie.

Abdullah patrzył, jak słońce znika i niebo przygasa. Podjął decyzję.

- Przypomniałeś mi. Proszę, zaprosz tu jak najprędzej El Gawalego. W sprawie małżeństwa. Już nie mogę tego dłużej odkładać. Muszę mieć synów.

Rozdział dwudziesty, ósmy

Cholera, co za łomot! Ani mi się śni otworzyć!

Poganka postanowiła nie słyszeć kołatania do drzwi, ów ktoś przecież wreszcie odejdzie. Już miała wsunąć głowę pod poduszkę, gdy usłyszała kobiecy śpiew.

- Żyj nam, żyj nam sto lat! - Kołatka uderzała w drzwi w rytmie tej urodzinowej piosenki.

Cholera, moja głowa... przecież... czy mógłby to być głos Kate?

Poganka otworzyła oczy, usiadła, zamknęła oczy znowu, chwiejnie wstała z łóżka, otworzyła oczy, chwyciła z podłogi szlafrok, spróbowała go włożyć, ale nie trafiała rękami w rękawy, więc odrzuciła go, owinęła się kołdrą i ostrożnie macając zeszła po schodach z pięterka. Odemknęła drzwi. Nad bukietem słonecznych żółtych narcyzów zobaczyła uśmiechniętą twarz Kate.

Kate przestała się uśmiechać na widok czerwonych podpuchniętych oczu Poganki, jej rozczochranych włosów. Przystąpiła próg i uściskała ją, jak tylko mogła najmocniej. Boże, ten cuchnący oddech...

- Wejdz szybko, zimno leci. Dlaczego śpiewałaś?

- Dlatego, że są prawie twoje urodziny.

- Naprawdę? - obojętnie zapytała Poganka. - Kiedy jest dwudziesty siódmy? Boże święty, ukończę trzydzieści lat... chyba trzydzieści. Jeżeli to rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty drugi, to na pewno trzydzieści. - Wprowadziła Kate po kamiennych płytach sionki do saloniku. - To znaczy, mieszkam tutaj już osiem lat. A wydaje się, że zamieszkałam wczoraj... Dziękuję, włożę je do wazonu... Skąd wiedziałaś, że tu jestem? - Nie była pewna, czy chce widzieć Kate, elegancką w komplecie od Mary Quant: spodniach i marynarce z samodziału khaki.

Kate zdjęła marynarkę, zerknęła na kanapę pokrytą psimi kłakami i usiadła na drewnianym krześle Windsor.

- Spotkałam w zeszłym tygodniu tę Phillippe, pamiętasz ją? Taka duża, panosząca się, z rudym materacem na głowie. Grałyśmy z nią w Kairze w brydża. Opowiedziała mi o twoim rozwodzie, więc od razu zadzwoniłam do twojej matki.

Przez lata całe Kate miała pretensję do Poganki o zabranie jej narzeczonego. Ale Phillipa myśląc, że Kate też jest poinformowana, powtórzyła plotkę od lat znaną kairskiej socjocie - o tym bizantyńskim podstępie, którym Robert rozdzielił dwie przyjaciółki. To Robert się sprzeniewierzył, a nie Poganka. Kate, teraz szczęśliwie zamężna, natychmiast ze skruchą poczuła się winna - dała się napuścić na zerwanie przyjaźni łączącej ją z Poganką od dzieciństwa.

- Phillippe spotkałam mniej więcej tydzień temu, przyjechałam, jak tylko mogłam. Chciałam zrobić ci niespodziankę. Miałas rację, że rozwiodłaś się z Robertem. W moim pojęciu to stuprocentowy gówniarz.

- Trzeba było mnie oświecić.

Po chwili niezręcznego milczenia Kate się rozplakała.

- Przykro mi patrzeć na ciebie w takim stanie.

- Nie zaczynaj - powiedziała Poganka. - Jestem zupełnie szczęśliwa... Ja nie podlewam domu łzami tak jak ty i Maxine... pamiętasz, zawsze był albo chichot, albo płacz. Nie pojmuję, dlaczego kobiety tak często pochlipują... Zobaczę, czy jest herbata.

Poszła do kuchni, pociągnęła z butelki łyk wódki i w końcu przyniosła do saloniku tacę z dobraną z resztek różnych serwisów porcelaną stertę starych herbatników imbirowych i marmoladę.

Gawędziły o byle czym przez dziesięć minut, a potem Kate zapytała łagodnie:

- Dlaczego tak się ukrywasz, Poganko? Dlaczego nikt z twoich dawnych znajomych w Londynie nie wie, że tu jesteś?

- Dlatego, kochanie, że ich nie zawiadomiłam. Po prostu nikogo nie chciałam widzieć po tej nieskończonej serii trzech przyjęć na dobę w Kairze. -Roześmiała się smutno. - Tak mi było wstyd i mama oczywiście też wstydziła się za mnie... Żadna z naszej szkoły nie jest rozwódką. - Nalała herbatę z niebieskiego blaszanego czajnika. - Po prostu wolałam ukrywać się przed ludźmi. Kilku kumpli skontaktowało się z mamą albo pisali do mnie, że chcą mnie odwiedzić, ale nigdy nie odpisywałam... Faktem jest, że nie wiem, jak na kogo bym reagowała. - Westchnęła. - Na zewnątrz wydawałam się normalna, ale w środku kipiałam. Jeżeli ktoś mówił do mnie łagodnie, byłam bliska załamania i płaczu. Idiotyczne, prawda?... Miałam kulę w gardle, nie mogłam odpowiedzieć. Więc unikałam rozmów, czyli unikałam ludzi.

Odzywałam się tylko do tutejszych chłopców, kiedy musiałam. Dzwonek roweru listonosza wystarczał... pędziłam na górę, byleby mu się nie pokazać.

- Dygoczącą ręką dolała mleka do herbaty.

Kate była oszołomiona. Jakże to możliwe, że ta pewna siebie, rozświetlona życiem Poganka zmieniła się w takie rozstrojone, nerwowe stworzenie? I mówi chaotycznie, bez związku.

- Z nikim się nie widzisz? - zapytała. Poganka wzruszyła ramionami.

- Stałam się raczej pustelnicą, tylko od czasu do czasu widuję się z mamą... Kiedyś usłyszałam, jak mama tłumaczy komuś z pacjentów, że jestem odludkiem i dlatego rozmawiam sama ze sobą. To mnie rozśmieszyło.

- Podala Kate wyszczerbioną różową filizankę. - Właściwie nigdy nie rozumiałam, co z tego jest w tym, że się rozmawia ze sobą... mówi się dowcip, jest śmiech... w kłótni ma się ostatnie słowo... to świadczy o wysokim stopniu akceptowania samej siebie. - Popiła herbatę z glinianego kubka.

- Nie musisz dokończyć tego herbatnika, ma co najmniej pół roku... Nie myśl, że byłam nieszczęśliwa. Hultaj dotrzymywał mi towarzystwa i co dzień przez pierwsze sześć miesięcy budziłam się i... och, ta szalona błogość, że nie ma Roberta na sąsiedniej poduszce. Jest mi tu dosyć wygodnie, słucham radia, czytam. Niestety w tej chwili niezbyt idealny tu porządek, pani Hocken złamała nogę w kostce, potknęła się o szczeniaka, więc nie sprząta już od dwóch miesięcy.

- Nie jeździsz konno?

- No, wciąż myślę o kupieniu konia, ale zawsze odkładam to do poniedziałku... jak wszystko. Mama sprzedała konie, w stajniach są teraz kabiny do masażu i sala gimnastyczna... Jeszcze herbaty?

Wyciągnęła rękę z następnym herbatnikiem dla Hultaja, ale herbatnik wypadł jej z palców. Po długiej chwili milczenia powiedziała:

- Ojej, dlaczego nie przychodzimy na ten świat z podręcznikiem, jak mamy postępować? Ze mną kłopot polega na tym, że nie uczę się na błędach. I nie tylko powtarzam moje błędy, jeszcze popełniam nowe... Kiedy tak patrzę wstecz, chyba życie zaczęło mi iść krzywo w Szwajcarii. Od tamtych czasów wszystko, w co się pakuję, wygląda z początku cudownie, a kończy się katastrofą... Teraz jestem po prostu stale zmęczona. Zmęczona wszystkim. Zmęczona niepowodzeniem. Zmęczona życiem. Więc... wycofałam się.

Splotła ręce za głową i zapatrzyła się w sufit. Kate szybko wsunęła swój imbirowy herbatnik do torebki. I znów obie milczały.

- Ale dość już o mnie - powiedziała nagle Poganka. - Już wiesz, co ja tutaj robię od ośmiu lat. Nic... Nie tak, jak nasza stara Maxine. Nieraz widuję jej fotografie w gazetach... co nie znaczy, że często czytam gazety, ja tylko słucham dziennika radiowego o dziewiątej i dzięki Bogu, o mnie w radiu nie mówią... Zdumiewające, jak ta nasza Maxine raptem frrr!... i wylądowała jako superkociak. Jedna z tych wstrząsających, pełnych inicjatywy... A gdyby tak resztę nas określić: wstrząśnięte, ale nadal wstrząsające. - Przeciągnęła się i ziewnęła. - Ale zaraz... co z tobą się działo przez te dziesięć lat?

- Rozpaczalam po Robercie - powiedziała Kate, popijając herbatę - chociaż teraz mnie to śmieszy. Ostatecznie zaczęłam bywać w świecie z każdym, kto mnie o to poprosił... wszystko, byle tylko nie siedzieć w domu. Były przyjęcia, przyjęcia, przyjęcia, dopóki nie zjawił się kochany Toby. Potem, kiedyśmy się pobrali, prowadziliśmy znacznie spokojniejsze życie. - Znów łyknęła trochę z filiżanki. - Ale dzisiaj nie mówmy o mnie. - Dopija resztkę tej ciepłej herbaty i postawiła filiżankę. - Może byśmy się przeszły do Trelawney? Dzień taki śliczny. W lesie jest mnóstwo dzwonek.

- Nie ma co się tak spieszyć - Poganka zebrała podwieczorkową zastawę na tacę. - Jeżeli z umyciem samochodu zaczekasz dostatecznie długo, zawsze umyje go deszcz.

Stare arabskie przysłowie. - Wzięła tacę i ruszyła do kuchni, do butelki z wódką schowanej szybko pod pikowaną pokrywę czajnika. Kimkolwiek jest mąż Kate, w każdym razie najwidoczniej go stać na jej pantofle od Gucciego i torebkę z firmy Hermes, zauważyła to.

Gdy Poganka z łoskotem krzątała się w kuchni, Kate rozejrzała się po saloniku - sterty książek na podłodze, sterty gazet na krzesłach, filiżanki z niedopitą herbatą, blat stołu poznaczony obwódkami mokrych naczyń i śladami wypalonymi przez papierosy, popielniczki przepełnione niedopałkami i wszędzie psia sierść. Najpierw pomyślała, że trzeba doprowadzić do porządku Pogankę i następnie ten domek, mogłoby to być urocze mieszkanie. Ale drugą jej myślą było, że przed podjęciem jakiegokolwiek akcji trzeba porozmawiać z matką Poganki. Dlaczego pani Trelawney nic nie zrobiła? Ta piekielna kobieta podobno specjalizuje się w leczeniu pijaków.

Poszły ścieżką przez las, podziwiając leśne dzwonki. Minęły gęstwinę ciemnozielonych rododendronów i za stalową kratą, jakoby zatrzymującą sarny przed wychodzeniem na główną drogę, zwolniły kroku. Na przełaj błotnistą łąką żółtą od jaskrów doszły pod górę do strzyżonego trawnika i pięknego kamiennego domu. Niedaleko oranżerii stał krągły, przezroczysty, plastikowy namiot wysokości dziesięciu stóp.

- Nowy ogrzewany basen pływacki - wyjaśniła Poganka.

Weszły przez oranżerię, teraz pełną połyskliwego chromu - rowerów i ogromnych mechanicznych pasów gumowych do masowania pośladków. Obok szeregów różowolitych gości, którzy pedałowali donikąd, przemaszerowały do hallu i po szerokich, wyłożonych fioletowym chodnikiem schodach do gabinetu matki Poganki.

Pani Trelawney, siedząc przy biurku, spojrzała sponad okularów w szylkretowej oprawie.

- Miło cię widzieć, Kate - powiedziała, jak gdyby ostatnio ją widziała nie dawniej niż wczoraj. - Ani trochę się nie zmieniłaś. - Wprawdzie zdjęła okulary, złożyła je i wsunęła do futerału z krokodylowej skóry. Powitała Kate uściskiem ręki mającej temperaturę marmuru - akurat taką, jak to powitanie. Zadzwoiła na pokojówkę i wypily czarną chińską herbatę podaną w filiżankach Minton w różyczki. Następnie Kate została oprowadzona po Trelawney.

Gdy wracały, Kate zwolniła kroku, by porozmawiać z matką Poganki.

- Mogłam tu przyjechać tylko na tydzień - powiedziała głosem zniżonym, w którym jednak dała się słyszeć jej furia. - Chcę doprowadzić Pogankę i domek do porządku możliwie jak najszybciej. Z pewnością użyczy mi pani jutro dwie ze swoich sprzątaczek. Chciałabym też przejść wszystkie kuracje, jakie pani tu oferuje, i żeby Poganka przeszła je razem ze mną. Może mi pani wystawić rachunek za nas obie.

- Bardzo jesteś uprzejma - powiedziała pani Trelawney tonem szczególnie grzecznym, jak gdyby komentowała publicznie. - Ale proszę, z tych maszyn korzystaj bezpłatnie. Co do kuracji, to niestety byłoby trochę trudniej, książkę zamówień mam już całą zapisaną.

- Więc niech pani dwa zamówienia skreśli - rzuciła Kate ozięble i dogoniła Pogankę nad pływackim basenem.

Pojechała z nią do St Austell swoim srebrzystym Karmannem Ghia. Najpierw kupiła jedzenie: mięso, sery, owoce, herbatniki Bath Oliver, marynowane cebule, dwie puszkę pdte de fois gras, pudło domowych placuszków, plaster miodu, gęstą śmietanę, czamy dżem wiśniowy, gruboziarnisty chleb, napój miętowy Bendicks Bittermints i słoik fiołków w cukrze (bo były takie ładne). Kupiła też komplet rondli i patelni, prześcieradła w kwiaty, kilka żółtych jak jaskry ręczników i pachnące mydła do łazienki.

Poganka protestowała, lecz Kate powiedziała stanowczo:

- Prezenty na urodziny. - I wypisała jeszcze jeden czek na dwa leżaki w żółte pasy.

W końcu zabrała ją do Jaegera, gdzie kupiła jej kaszmirowy sweter w kolorze lawendy i do tego spódnicę z samodziału z bardzo dużym zakładem; potem wybrała jeszcze jeden sweter i spódnicę, szafiwozielone.

Poganka od godziny pół do dwunastej, o której otwierano lokale z wyszynkiem, była niespokojna, ale Kate nie spuszczała jej z oka. Zdecydowała, że zamiast obiadu w knajpie czy w restauracji hotelowej, lepiej żeby zjadły coś w samochodzie. Kupiła więc dwa parujące pierogi komwalijskie z mięsem i cebulą. Poganka, otrzepując okruchy ze spódnicy, trzęsła się zziębnięta.

- Dlaczego nie włożyłaś cieplejszego płaszcza, tylko ten nieprzemakalny?- zapytała Kate. - Przecież wiesz, jak szybko pogoda tu się robi paskudna... Chyba masz jakiś ciepły płaszcz?

- No, miałam - odpowiedziała Poganka - ale gdzieś go zostawiłam. W Kairze grube płaszcze nie były potrzebne.

- Twoja mama wyszła dziś rano w kurtce z norek.

- Hmm... gdyby mi dała coś takiego, na pewno by mi zginęło. Wiesz, jaka jestem nieporządna. - Nie brzmiało to przekonywająco.

Nagle Kate sobie przypomniała.

- Co się stało z peleryną Abdulla?h?

- Boże, ręczę, że jeszcze jest na strychu. Mama nigdy mi nie pozwalała jej wkładać. - Poganka się rozchmurzyła. - W obawie o moją reputację! -Ryknęła śmiechem i poweselała.

Wróciły do Trelawney.

- Jeżeli jeszcze tam jest - powiedziała wymijająco matka Poganki - to prawdopodobnie w którejś z tekturowych pak na strychu wschodniego skrzydła. Zobaczycie tam około czterdziestu pak z nalepkami „ubranie”.

Po przejrzeniu połowy zakurzonych pudeł z tektury Poganka z okrzykiem triumfu wyciągnęła połyskliwe czarne fałdy perskich karakułów.

- O Boże, mole!

I rzeczywiście to piękne, miękkie, czarne futro gdzieś wyłysiało.

- Ale nosić można - orzekła Kate. - Jest ciepłe i latem dam je do kuśnierza, żeby przerobił. Mój prezent na następne urodziny.

W tenże wieczór leżały na dywanie w blasku ognia z kominka tak jak dawniej za szkolnych czasów i rozmawiały.

- Teraz - dumiała Kate - nie mogę pojąć, co ty i ja widziałyśmy w Robercie. Taki zarozumiały głupiec w tej masce młodego Cary Granta. Straszny, twarde wypiek z formy szkoły prywatnej... jak ci wszyscy jego pokroju, ci buńczuczni kawalerowie, którzy bali się wysunąć stopę z szeregu. To znaczy, trudno sobie wyobrazić, żeby Robert powiedział publicznie „odwal się”, prawda?

Poganka przytaknęła.

- Nie mogę pojąć, jak tyś się w nim zakochała, Kate. Ja rzeczywiście zakochałam się w Egipcie, nie w Robercie. Było tak ciepło, tak starożytnie i tajemniczo. Wiesz, właściwie nie lubię przyjąć, ale szalenie lubiłam być przedmiotem uwagi, być królową Kairu, to tak koło po tym bólu... no, sprawiło, że przestałam myśleć o Abdim.

- Pod jednym względem Robert miał coś z Abdiego - powiedziała Kate zamyślona. - W przeciwieństwie do tych „buńczucznych”, Robert wspaniale dawał wszystko, czego

chciałam... nawet to, o czym nie wiedziałam, że chcę. I akurat, kiedy zaczynałam się przyzwyczajać... do tej codziennej Gwiazdki... on wyjeżdżał do Kairu i takie nagłe zastopowanie sprawiało, że brak tego było okropnie. - Urwała, a potem dorzuciła: - I jeszcze jedno. Robert nie usiłował wciągać mnie do łóżka jak ci wszyscy inni podrywacze. I nigdy nie posuwał się dalej, niż chciałam.

- Nie bez konkretnego powodu! - palnęła Poganka i rozchichotały się aż do bólu, po raz pierwszy od czasów szkolnych.

- Co z seksem? - zapytała Kate, zaciekawiona. - Jak sobie z tym radziłaś w ostatnich latach?

Poganka westchnęła.

- Kiedyś się zdecydowałam na wyskok z jednym z pacjentów... Byłam u mamy i kiedy wracałam, on przyszedł za mną tu do leśniczówki. Przez dwa dni bawiliśmy się nie najgorzej. Poszedł z powrotem, zalany w pestkę... Mama się wściekała, w życiu nie widziałam jej tak rozwścieczonej. Mam nie zagrażać jej pacjentom i reputacji, czyli zarabianiu na chleb z masłem! Bardzo deprymujące.

W dwa miesiące później importowałam autostopowicza, jednego z tych imigrantów zza Żelaznej Kurtyny, blondynów, którym nie można się oprzeć. To trwało cztery dni mniej więcej, a potem, kiedy myślał, że poszłam na spacer, przyłapałam go, jak dobierał się do szuflad biurka. Miałam wrażenie, że szukał pieniędzy, ale ja zawsze trzymam gotówkę w czubkach zapasowej pary gumowych butów, więc spokojnie na palcach odeszłam i po chwili wróciłam głośno z trzaskaniem drzwiami. Powiedziałam mu, że matka przyjedzie do mnie na kilka dni, wobec czego on musi się wynieść. Poprosił o pieniądze na pociąg do Londynu i był dosyć wredny, kiedy nie chciałam mu dać... W każdym razie przyszło mi na myśl, że następny poderwany udusi mnie, pokroi porządnie nożem do chleba, zapakuje w walizkę i odda do przechowalni bagażu na dworcu St Austell, i nikt przez wiele dni nie zauważy, że mnie nie ma. Więc postanowiłam obywać się bez tych przyjemności. Wiesz, seks nigdy nie był dla mnie naprawdę taki ważny. Zawsze może być masturbacja, ale szybko dałam sobie spokój. Jakoś nie było mi to potrzebne.

Nazajutrz rano, ledwie zjawiły się dwie krzepkie panie sprzątaczkę, Kate wygoniła Pogankę na spacer z Hultajem. Po czterech godzinach w domku było czysto, porządnie, wiktuały poukładane w szafkach, na palenisku kominka w saloniku rozpalony ogień.

Kate wyczerpana zamierzała otworzyć którąś z puszek pasztetu, gdy tylko Poganka wróci.

Ale Poganka już dawno wróciła. Kate po odejściu sprzątaczek zastała ją w szopie, wchodząc tam, by przynieść jeszcze trochę drewna do kominka. Z pustą piersiówką w ręce i dwiema butelkami piwa Guinness u boku, Poganka spała na podłodze. Złodowaciała ze zgrozy Kate obudziła ją.

- Kochanie, kochanie, na śmierć się zaziębisz tutaj. Chodź do domu, weź gorącą kąpiel.

Pomogła jej, zataczając się, przejść do kuchni, potem napuściła wody do wanny.

Poganka miała oczy na pół zamknięte i promieniała, gdy Kate myła jej twarz.

- Nianiu, nianiu, uważaj, żeby mydło mnie nie scypało w ocy - gaworzyła osuwając się pod wodę.

Była pijana sympatycznie, chociaż na umór. W końcu została wytarta i zapakowana do łóżka z butelką gorącej wody pod kołdrą z latek. Kate, zmordowana i bardzo zmartwiona, musiała jednak coś zjeść. O szóstej wieczorem zanosła do sypialni Poganki filiżankę czarnej kawy.

- Dlaczego ty się upijasz? - wybuchnęła gniewem. - Kiedy to się zaczęło? Poganka spojrzała na nią spode łba; czuła się wyprana z wszelkiej energii

i zainteresowania, głowę miała ciężką, zbierało jej się na mdłości. Niemniej wiedziała, że teraz albo nigdy. Dotychczas nie przyznawała się przed sobą czy kimkolwiek innym, że jest pijaczką. Teraz się przyznała.

- W Kairze. Wtedy to się zaczęło. Parę kieliszków sprawiało, że te nie kończące się rozmowy z nudnymi ludźmi trochę łatwiej było znosić. I alkohol zacierał rzeczywistość, to, że później muszę wrócić z Robertem do domu. A rano Robert rozpoczynał dzień od kłótni, tak lubił się kłócić, jak niektórzy lubią grać w tenisa czy kanastę. Cokolwiek zrobiłam, to zawsze dlatego, że jestem leniwa, nieudolna, głupia. Był bardzo przekonujący. - Westchnęła ze znużeniem. - Zwykle leżałam w łóżku; dopóki nie wyszedł do banku... a potem topiłam robaka, świeży sok mango wzmacniałam wódką. - Sięgnęła po rękę Kate. - Kiedy piłam, nigdy nie miałam zamiaru się upić. Nadal tak jest. Nigdy nie czuję potrzeby alkoholu, tylko myślę sobie „czemuż by nie?” Piję trochę, potem jeszcze trochę i jeszcze, i jeszcze, aż nie pamiętam, ile wypiłam. - Trzymała rękę Kate mocno. - W Kairze nigdy o tym się nie mówiło, ale wiedziałam, że Robert wie.

Kiedyś napomknął, że jeśli wymiotuję w nocy, to mogłabym przynajmniej zamknąć potem pokrywę sedesu, więc na pewno wiedział. - Zadygotała. - To znaczy, normalne żony nie wymiotują w nocy, prawda? Oczywiście on chciał mieć żonę, która wymiotuje rano, cóż kiedy miał mnie z etykietką „zimna” i „bezpłodna”. Na taki szczególny stan nie ma to jak zaprawiony sok mango i wiedziałam, dlaczego Robert nie chce mówić o tej gorzale. Strasznie nie chciał czuć się temu winny.

- Ale już osiem lat minęło, odkąd rzuciłaś Roberta!

- Więc moje poczucie niemożności sprostaną życia ma już osiem lat... Myślałam, że będę czuła się lepiej, kiedy tylko od niego odejdę, że otrząsnę się z tego przygnębienia, kiedy tylko wrócę do Anglii. Ale tak się nie stało. -

Umilkła, zaczęła skubać kołdrę. - Ledwie wyleciałam z Kairu, ogarnął mnie nastrój czarny i ponury, bo wiedziałam, że spaliłam za sobą mosty. Głupio spodziewałam się zobaczyć czekającą mamę, kiedy przejdę przez cło na londyńskim lotnisku... Nie widziałam jej dwa lata, ale pisałam do niej co tydzień i nadałam telegram, że wracam. - Znów umilkła i tym razem starannie kołdrę wygładziła. - Ale mamy tam nie było. - Kate ze współczuciem uściśnęła jej rękę. - Więc czekałam i czekałam, a potem nagle, kiedy stałam tam pośrodku poczekalni, zupełnie straciłam odwagę. To trudno wytłumaczyć: straciłam pewność czegokolwiek. Chyba nigdy przedtem nie czułam się tak niepewna, niezdolna do niczego. I wtedy nagle opadł mnie strach, bałam się być zdana sama na siebie.

Poganka przełknęła. Dopiero po chwili powiedziała: . - Dziwne, bo przecież nigdy nie byłam zżyta z mamą, więc dlaczego świat się nagle zawalił, kiedy ona nie czekała na mnie na lotnisku? - Kate jeszcze mocniej ścisnęła jej rękę, niemo współczując. - Przypuszczam, że po raz pierwszy zdałam sobie sprawę, że jestem w życiu zupełnie sama, i to był moment absolutnej grozy. Nie udałam się jako żona, byłam córką niewartą tego, by wyjechać po mnie na lotnisko, i jako matka rzeczywiście okazałam się niewypałem, o czym nam wiadomo... Kochanie, ręka mi zsinieje, jeżeli będziesz ją tak ścisnąć.

Nastąpiło dłuższe milczenie.

- Potem stwierdziłam, że jestem prawie bez grosza i że ta dziwka Selma ma całkowitą władzę nad mamą. Mama rzeczywiście wielbi tę starą krowę. To boli. - Przez chwilę Kate myślała, że Poganka się rozplacze. - Miałam tylko uczucie daremności i pustki, jakieś zdechłe wrażenie, że nic... nic mnie nie czeka. Z czasem to uczucie się przechyliło,

stawało się coraz bardziej strome, aż czułam się tak, jakbym szybko zbiegała z góry i nie mogła się zatrzymać. A w dole ziała czarna plama. Było coraz gorzej i gorzej. Wpadałam w panikę i w panice piłam. Nie potrzebowałam pretekstu, żeby umrzeć. Potrzebny był mi pretekst, żeby żyć, a pretekstów prawie zabrakło. Kiedy budziłam się w nocy, myślałam o samobójstwie, ale jeśli piłam, nie budziłam się w nocy. Więc piłam. Alkohol usuwał przygnębienie, sprawiał, że czułam się kimś prawdziwym, osobą, którą jestem i którą mogłabym być. Kiedy byłam pijana, nie czułam się jak życiowy bankrut.

- Wolniej, wolniej - powiedziała Kate zaniepokojona tym nagłym wzburzeniem.

Poganka nie zwróciła na to uwagi. Ciągnęła tak, jakby mówiła do siebie.

- W dzieciństwie chowałam się przed nianią, uciekałam w świat fantazji, gdzie mieszkali moi prawdziwi przyjaciele, zwierzęta, które chodziły w fartuszkach i w kapciach i miały czajniki. Życie właśnie stało się trochę takie. Rzeczywistość była straszna, więc ją wymazywałam. Kiedyś tak się upiłam, że wpadłam do wanny i straciłam przytomność. Ocknęłam się w wannie, ubrana, ręka mnie bolała jak diabli. Na szczęście nie było wody, bo pewnie bym utonęła.

- Och, Poganko - powiedziała Kate - mogę być u ciebie tylko parę dni. Kochanie, proszę cię, proszę, spróbuj. Leż przez cały czas w łóżku, ja będę koło ciebie chodziła. To, że mieszkasz tu sama, mogło być bardzo niebezpieczne.

- Tak - przyznała Poganka. - Kiedyś zemdlałam na kanapie z papierosem w ręce i książka się zapaliła, zwęgliła. Na szczęście nic poza tym. Ale rzeczywiście zdołałam rzucić palenie i nie prowadzę samochodu. Nawet kiedy jestem zalana, na rowerze nic mi szczególnie nie grozi.

- Poganko, przecież musi być ktoś. Czy nie ma nikogo, kto może ci pomóc? Miejscowy lekarz? Proboszcz? Oczywiście wszyscy wiedzą, że jesteś alk... że pijesz.

- Nikt nie wie. Jestem bardzo ostrożna. Butelki zakopuję. Bardzo uważam we wsi... Och, masz rację. Kate, kogo ja mogę oszukać? Ale alkoholiczką nie jestem. Alkoholicy to starzy wykolejeni włóczędzy, którzy nocują w wielkomiejskich bramach. Ja lubię się upijać. Jest różnica.

- Poganko, jak możesz być taka głupia? Czy ważne, jak ty to nazywasz? Rujnujesz sobie życie. Nie możesz pojechać do jakiegoś doktora do Londynu?

- Powiem ci, Kate, co zrobię. Dopóki tu będziesz, naprawdę postaram się nie pić. I jeżeli skłamię czy cię nabiorę, później ci powiem. Więcej nie mogę obiecać.

Do końca tego wieczora Poganka była niespokojna i rozdygotana, piła niezliczone filiżanki herbaty i prawie nie tknęła omletu z serem usmażonego przez Kate. Nazajutrz poszły do Trelawney, gdzie Poganka dała sobie nie tylko zrobić masaż ciała i twarzy i manicure, ale i uczesać się, i wyskubać brwi.

Wieczorem ręce zaczęły jej się trząść, zęby dzwoniły, miała dreszcze. Kate znów ją położyła do łóżka, nakarmiła łyżką po łyżce rosółem z kury i nuciła jej jak małemu dziecku.

- Na miłość boską - mamrotała Poganka słabo - przestań mnie tak niańczyć.

Otulona kołdrą Kate spędziła tę noc w fotelu w sypialni Poganki. Niewiele spały. Kate chciała porozmawiać z lekarzem, ale Poganka wymogła od niej przyrzeczenie, że tego nie zrobi.

- Wszyscy tutaj znali dziadka. Wiem, że jestem zakałą rodziny Trelawneyów, ale nie chcę, żeby ktokolwiek inny o tym wiedział.

Nazajutrz rano Kate poszła do matki Poganki. Nie marnowała słów.

- Pani na pewno wie, że Poganka jest pijaczką. Dlaczego nie zabrała jej pani do lekarza specjalisty czy do jakiegoś szpitala, czy instytucji, gdzie mogliby jej pomóc?

- Nie sądzę, by stan Poganki był twoją sprawą, Kate. Albo moją - powiedziała pani Trelawney swym głosem niedostępnej, szlachetnie urodzonej damy. - Poganka jest dorosła. Ma trzydzieści lat. W istocie, kiedy jej zaproponowałam wizytę u terapeuty, zapytała, dlaczego mówię terapeuta, a nie ten rapeuta.

- Czemu pani nie nalegała?

- Bo jej nic nie jest. Ona tylko pije za dużo. Z głową wszystko w porządku. Tylko brak dyscypliny. Psychiatrzy są dla psychicznie chorych, a w naszej rodzinie nie ma żadnych chorób psychicznych.

- Czy to znaczy, że pani nie dopuszcza do siebie myśli o możliwości choroby psychicznej w rodzinie?

- Gdybym mogła coś zrobić, na pewno bym zrobiła, bo szczerze mówiąc to fatalna reklama dla naszej farmy zdrowia. Już nieraz rozmawiałam o niej z naszym doktorem i ona go widuje, ale faktem jest, że przejawia wyraźne skłonności samobójcze, a ja nie mogę sprawić, żeby wzięła się w garść. Nigdy nie miałam na nią wpływu.

- Nigdy pani nie próbowała - powiedziała Kate.

Po drugiej bezsennej nocy znów Pogance zęby dzwoniły i cała się trzęsła. Kate uznała, że Poganka zaśnie, kiedy jej organizm będzie potrzebował snu. Do tego czasu nieistotne, czy ona śpi czy nie śpi. Nie ma przecież żadnych ważnych zobowiązań.

Przez trzy doby Poganka się trzęsła i nie mogła zasnąć. Nie mogła też chodzić ani stać bez podpierania. Czwartej nocy nadal nie mogła zasnąć i okropnie wymiotowała, ale o świcie nagle się uspokoiła i zapadła w sen.

Jestem z Ciebie dumna - powiedziała łagodnie Kate maczając kawałki chleba w jajku ugotowanym na miękko i karmiąc nimi Pogankę w łóżku.

- Och, kochanie. Nie, już więcej nie przełknę. Nigdy nie przypuszczałam, że przestać to coś tak strasznie ponurego. Pojęcia nie miałam, że jestem tak uzależniona od tej choleralnej gorzały.

Kate obawiała się, że Poganka po jej wyjeździe do Londynu znów zacznie pić. Poganka się nie obawiała.

- Rozumiesz, Kate, ja po raz pierwszy rzeczywiście chcę przestać. Ostatecznie, jaka jest alternatywa? Mam żłopać kseres przez następne dwadzieścia lat?

- Założymy telefon i będę dzwoniła do Ciebie codziennie. I przynajmniej ty będziesz mogła zadzwonić do mnie, kiedy ogarnie Cię panika. Jedno mi przyrzeknij. Że bez wstydu powiesz mi, że... jeżeli nie zdołasz się powstrzymać.

- Tak. Przecież już Ci powiedziałam, że jeżeli skłamię, przyznam się później - przypomniała Poganka.

Kate wyjechała z niewielką jednak nadzieją. Dopóki nie zainstalowano telefonu, co dzień wysyłała do Poganki telegram albo krótki list. Zatelefonowała do Towarzystwa Anonimowych Alkoholików, ale usłyszała tylko, że nic nie da się zrobić, jeżeli Poganka nie zgłosi się tam osobiście i z własnej woli.

Rozdział dwudziesty dziewiąty

Chociaż Poganka nadal była bardzo osłabiona, wygody w schludnym teraz domku podnosiły ją na duchu. Pani Hocken przychodziła, żeby posprzątać dwa razy na tydzień. Poganka, żeby mieć zajęcie na świeżym powietrzu, zaczęła doprowadzać do porządku zapuszczony ogród. Codziennie rano szła na długi spacer, dopóki nie nabrała dosyć sił, by móc jeździć konno. Uzgodniła z Kate, że gdy tylko poczuje się pewnie na koniu,

spróbuje poszukać jakiejś pracy związanej z końmi, sprawiającej jej przyjemność, choćby nawet źle płatnej.

Otulona po kostki karakułową peleryną, Poganka wędrowała z Hultajem do pociemniałej od deszczów drewnianej ławki na urwisku. Siadała tam w blasku słońca, czerpała spokój z plusku fal.

Ale w pewien poranek, gdy wiosenny wiatr szarpał karakułami i utrudniał jej wchodzenie pod górę, zobaczyła, że ktoś już na tej ławce siedzi. Zbliżając się widziała, że to mężczyzna - czarna zgarbiona sylwetka na tle popielatego nieba.

Weszła na urwisko. Mruknęła szorstko „dzień dobry”, usiadła na drugim końcu ławki, obciągnęła pelerynę. Ostry wiatr smagał ją po twarzy. Morze było na horyzoncie popielate i popielate u stóp urwiska, ale wszędzie indziej czarne.

- Często pani tu przychodzi? - zapytał nieznajomy uprzejmie.

- Tak - odrzekła krótko.

Znów milczeli przez dziesięć minut. Wiatr grzmocił falami o skały w dole, aż Poganka czuła pod stopami drżenie. Szare niebo było teraz jak osznurowane, całe lawendowe, rzeczywiście zbierało się na sztorm.

- Ładny dzień - powiedział nieznajomy.

Odwróciła się i spojrzała na niego.

- Dziś są moje urodziny.

- Złożyć pani życzenia?

- Nie.

- No, proszę przyjąć namiastkę. - Wyciągnął z kieszeni papierową torbę i poczęstował ją lepkiem miętowym cukierkiem. Nigdy dotąd tego człowieka nie widziała. Nie był miejscowy i z torbą cukierków przecież nie mógł być pacjentem z farmy zdrowia.

- Pozwoli pani, że zaproponuję dla uczczenia kieliszek szampana?

Nastąpiła długa cisza. Po czym Poganka uległa.

- To znaczy, ma pan butelkę tutaj?

- Nie, ale mieszkam pod Złotym Lwem w wiosce. Tam chyba mają. Pani też zatrzymała się w wiosce?

- Właściwie nie. - Poganka zawahała się, nie chcąc mu powiedzieć, że wtargnął na jej ziemię.

Poszli przez las do Gospody Pod Złotym Lwem.

- Dzień dobry, panno Poganko - powiedział gospodarz. - Nieczęsto panią tu widzimy.

W niskiej pustej sali pachniało wczorajszym piwem i papierosami. Za kontuarem lśnił szereg butelek zwieszonych szyjkami w dół, czekających na jedno tylko słowo Poganki. Gospodarz przyniósł jedyną swoją butelkę szampana z piwnicy. Szampan był bardzo stary, o wiele za słodki, ale gdy go pili na prostej dębowej ławie przy kominku, Poganka czuła miłe odprężenie.

Nieznajomy nazywał się Christopher Swann i zatrzymał się Pod Żółtym Lwem, żeby dokończyć pisanie książki.

- To nie jest książka z rodzaju tych, które każdy kupi sobie na weekend. Jestem biochemikiem i wirusologiem. Ta książka to podsumowanie pewnej pracy eksperymentalnej. Nasz zespół usiłuje zapobiec zachorowaniom na raka; usiłujemy wynaleźć należyte szczepienia. Moje laboratorium pracuje nad szczepionką przeciwko zapaleniu wątroby, które ściśle się łączy z rakiem wątroby.

- Szczepienie? Tak jak ospy?

- To było najważniejsze szczepienie ze wszystkich.

- Wynalazł je jakiś biochemik?

- Nie, wiejski lekarz, Edward Jenner. W roku mniej więcej tysiąc siedemset dziewięćdziesiątym szóstym zauważył, że dójki nie zarażają się ospą, ale niejedna z nich zaraża się krowianką, infekcją stosunkowo łagodną. Przyszło więc Jennerowi na myśl, że może gdyby wszyscy przechodzili łagodny atak krowianki, to później nikt by nie chorował na ospę. Żeby sprawdzić swoją teorię przeciwiał, zaszczepił w przedramię ośmioletniemu chłopcu ropę z zakażonej krosty jednej z dójek chorych na krowiankę.

W połowie drugiego kieliszka szampana Poganka po urzekającej, prawie godzinnej rozmowie z tym człowiekiem zaprosiła go na kolację.

- To nie będzie kolacja wystawna - uprzedziła pamiętając, że nie ma w kuchennych szafkach nic oprócz jednej puszki pate de foie gras i słoika fiołków w cukrze. Chciał ją odprowadzić do domu, ale się nie zgodziła. - Spotkamy się tutaj dziś o szóstej i zabiorę pana do siebie.

Nagle pełna energii i nadziei pobiegła do pani Hocken.

- Pani Hocken, kochana, czy może mi pani pomóc? Sprzątniemy u mnie dzisiaj, a nie dopiero w piątek? Będę miała gościa!

Po wyjeździe Kate Poganka niewiele gotowała, w lodówce miała tylko pół stoika majonezu i sporą flaszeczkę tabletek witaminowych. Pojechała teraz na rowerze do wsi, kupiła kilka grubych kotletów cielęcych, kartofle, żeby je upiec w mundurkach, sałatę i świeży ser Cheddar. Kupiła też dwie butelki wina.

Przy gościu była bardzo ostrożna: sobie nalewała tylko odrobinę, czekała, aż jego kieliszek będzie pusty, zanim znów odrobinę naląła sobie, i nie otworzyła drugiej butelki, ponieważ on wyraźnie nie chciał pić więcej.

Ale gdy wyszedł, natychmiast wypila tę pozostałą butelkę. Obudziła się o czwartej rano w fotelu, zmarznięta i z bólem głowy. Wybuchnęła płaczem, cisnęła butelkę w kominek, gdzie szkło rozprysło się w ciepłym popiele.

Przez cały poranek strasznie cierpiała gardząc sobą, ale myślała jasno. W kąpielni rozważała, co zrobić z butelkami, które ukryła przed Kate w głębi szopy. Postanowiła zrzucić je z urwiska. Postanowiła wypić strzemiennego na urwisku.

Ubrała się, włożyła butelki do wielkiego słomianego koszyka na zakupy, zataszczyła koszyk do lasu i zakopała butelki pod kępą paproci. Potem wróciła do domu i w encyklopedii poszukała hasła „biochemia”.

Christopher pracował wczesnym rankiem i po południu. Przez trzy następne przedpołudnia Poganka spotykała się z nim przy ławce na urwisku. Wędrowali po lesie i po plaży, chodzili na granitowe skały tuż nad morzem poniżej urwisk. Owiewał ich oboje słony wodny pył, ochlapywały fale, wdzierające się na piasek dalej, niż się spodziewali, utrudniała im kroki śliskość mułu

i wodorostów. Potem szli Pod Złotego Lwa i jedli gorące komwalijskie paszteciki, popijając ćwiartką gorzkiego piwa.

Co wieczór Christopher jadł kolację w domku. Pani Hocken przekupywana, obsypywana pochlebstwami i miłymi słówkami, pełniła funkcję nadwornej kucharki Poganki. Dostarczała zupy, potrawki, pasztety i raz nawet był pieróg ze stekiem i cynaderkami, na którym widniały przypieczone złotobrazowe inicjały Christophera.

Co wieczór Poganka rozpalala buzujący ogień, nastawiała płyty z muzyką klasyczną, a potem rozmawiali długo w noc. Ku swemu zdumieniu stwierdziła, że fascynuje ją to, co Christopher mówi o swojej pracy, chociaż nie wszystko z tego jest dla niej zrozumiałe. Patrząc, jak blaski ognia igrają na jego twarzy, kiedyś nawet zapomniała, zaprzątnięta

jego obecnością, o tym, że dzieło pani Hocken podgrzewa się w piecyku. Spaliło się na węgiel.

Starła się pić rano tylko jeden kufel piwa, a wieczorem poprzestawała na jednym kieliszku wina, przy czym, żeby opróżnić butelkę, raz po raz napełniała kieliszek Christophera.

- Chce mnie pani upić, a potem wykorzystać - powiedział na pół żartem w ich czwarty wieczór.

- Nie lubię pić za dużo - mruknęła.

Ale nazajutrz rano, zanim się zastanowiła, już grzebała rozpaczliwie w mokrej kępie paproci, usiłując sobie przypomnieć, gdzie zakopała butelki. Nie mogła ich znaleźć, rozplakała się. Jeszcze poszukała i, o radości, odzyskała swój skarb, odkorkowała butelkę i nic więcej nie pamiętała, gdy po kilku godzinach obudziła się zdrtwiała i przemoknięta. Nie po raz pierwszy straciła tak przytomność, ale po raz pierwszy bardzo się tym przejęła. Miała tylko czternaście dni przed powrotem Christophera do Londynu.

Zataczając się, wróciła do domku, wzięła lodowaty prysznic i poszła na farmę zdrowia, żeby załatwić dwa telefony. Najpierw zadzwoniła do Gospody Pod Złotym Lwem z wiadomością dla Christophera, że tego dnia nie mogła się z nim spotkać przed południem, ale spodziewa się go na kolacji jak zwykle. Potem zadzwoniła do Kate i przyznała się.

- Czy nie możesz się z nim spotykać bez picia? - zapytała Kate. - Wielu ludzi tak się spotyka.

- Ale ja nie mogę. Nie mogę nie pić. To takie zawstydzające. Musiałabym mu wytłumaczyć... Nie mogę, nie mogę... - Poganka płakała żałośnie. - Dalej przysyłaj mi telegramy, a ja będę dalej starała się pić możliwie jak najmniej. Ale nie mogę przestać, to by mu się wydawało dziwne.

- Mogłoby się wydawać dziwniejsze, jeżeli nie przestaniesz - powiedziała Kate.

W siódmy wieczór Poganka i Christopher zmokli, gdy w drodze przez las do domku złapał ich nagły szkwał. Poganka przypuszczała, że wygląda wspaniale z mokrymi włosami przylepionymi do głowy, krocząc w tej ulewie.

Przypomniała sobie, jak dawniej właśnie dlatego lubiła proponować spacer w deszczu. Poza tym fizyczną przyjemność sprawiało jej moknięcie.

W kuchni oboje ściągnęli z nóg mokre buty i skarpetki, zdjęli przemoczone kurtki z samodziału. Ogień w saloniku wygasł. Christopher pochylił się, żeby rozpałić na nowo, gdy Poganka rozcierała sobie fioletowe ręce.

- Mogę się rozgrzać tylko kąpielą. - Pobieгла na górę, odkręciła kran, niebacznie wlała do wanny o wiele za dużo olejku hiacyntowego z jednego z flakonów Kate.

Woń hiacyntów napełniła łazienkę.

- Potrzebny nam jest skaut! - zawołał Christopher stojąc u stóp schodów. - Nie potrafię podsycić tego ognia!

Poganka wychyliła głowę zza drzwi.

- Drewno jest wilgotne. Niech pan spróbuje zapalnikami. Są w szafce na prawo od kominka.

Właśnie zanurzyła się błogo w gorącej wodzie, gdy znów wrzasnął z dołu.

- Nie ma ani jednego w pudełku!

- No, jest nowe pudełko w kuchni, jest na... nie pamiętam... Chwileczkę, znajdę je! - Zerwała z włosów czepek kąpielowy, otuliła się nowym żółtym szlafrokiem i boso zeszła ze stromych schodów. Pudełko zapalników znalazła pod zlewem. - Mogę ja to zrobić, skoro już tu jestem. Znam humory ognia.

Przykłęka, żeby wetknąć zapalnik pod drewno na palenisku, i pochyliła się, zapalając zapalkę. Przy tym ruchu szlafrok się rozsunał. Christopher sięgnął i nakrył stuloną dłonią jej nagą, spiczastą pierś.

Znieruchomiała. Słychać było tylko szelest zapalającego się papieru. Odwróciła głowę, krople wody kapnęły jej z włosów, żółty jak jaskry szlafrok spadł z ramion. I już miała na ustach jego usta. I już leżeli na mszyście zielonym dywanie.

Czuła, jak jego ręka przesuwa się szybko na drugą pierś. Czuła jego ciało, gdy szarpnął i rozwarł szlafrok i szukał między śliskimi, mokrymi udami. Badał ją delikatnie, a jej się wydawało, że całą sobą skacze ku niemu opadającemu na nią.

Wsunął się twardo, aż jęknęła i oboje zaczęli się poruszać w rytmie jego mocnych pchnięć. Trzymał ją za piersi. Poddana jego natarczywej sile, miała wrażenie, że wzlatuje. Mewy krążyły jej w głowie, huśtały ją przyplływające i odpływające fale, wciągała głębina morza w błogą topiel spełnienia.

Później oboje na tym dywanie nie chcieli ani oderwać się od siebie, ani mówić. W końcu Christopher szepnął:

- Ogień znów wygasł. Może się wykąpiemy?

Pozostawiając jej mokry szlafrok i jego ubranie rozrzucone w saloniku,

wolno weszli na górę po wąskich schodach na zewnątrz kuchni. Postawił ją w ciepłej wannie i namydlił całą obiema rękami badawczo ślizgającymi się za mydłem. Potem opłukał prysznicem. Ciepłe żądla wody też były pieśczętą. Czują się tak, jakby wstąpiło w nią nowe życie.

Christopher wskoczył do wanny i kołysali się razem ospale w ciepłej, wonnej kąpeli. Położył się na wznak, ona usiadła na nim. Podniósł ręce do jej piersi, do różowych sprężonych brodawek. Był w niej wysoko po sam rdzeń jaźni. Chciała, żeby tak został na zawsze z nią połączony. I nagle poczuła w sobie jego zamkniętą energię. Przyciągnął ją tak, że upadła na niego. Fala ciepłej wody rozlała się po podłodze łazienki, w przesyconej zapachem hiacyntów mgłę pary oboje wybuchnęli śmiechem.

Wytarł ją przy kominku w sypialni czule, tkliwie, miękkimi żółtymi ręcznikami Kate. W półmroku wziął ją zgłodniałe w ramiona. Potem wolno pchnął na kołdrę z łątek i delikatnie rozłożył jej ręce i nogi.

- Chcę ciebie znać - powiedział cicho. Ukłękł przy łóżku i zaczął głaskać jej lewą stopę. Lekko, drażniąco całował palce, wsuwał język w zagłębienia między nimi, brał każdy palec do ust, jednocześnie gładząc lekko nieomal muskając jej łydki. Zapadła w dziwny stan półświadomości, uzmysławiała sobie tylko rozkosz.

- Prawa stopa też chce - szepnęła. - Zaraz rozpocznie marsz protestacyjny.

- Powiedz tej swojej stopie, że mamy czas do rana. - Christopher zajął się łaskotaniem jej pod kolanem. Czubki jego palców lekkie jak piórko przebiegły spod kolana na wewnętrzną stronę uda. Powstrzymała jego rękę.

- Nie. Jestem okropnie gruba w tym miejscu, kochanie. To mnie żenuje. Nie dotykaj.

- Każda kobieta uważa, że ma uda za grube. Powiedzieć ci coś? Mężczyźni przepadają za pulchnymi udami. Nie lubią tu chłopięcych włóknistych mięśni. - Zębami skubnął jej skórę. - Dla większości mężczyzn nie ma nic bardziej erotycznego niż wsuwanie ręki za podwiązkę nad naciągniętą nylonową pończochą niż dotykanie tej ciepłej atlasowej skóry, niż ta ukryta obietnica. Koronkowa bielizna wydaje się ostra, drapiąca w porównaniu ze zmysłową miękkością wewnętrznej strony kobiecego uda. No, sprawdź sama. - Ujął czubki jej palców i pogłaskał ją nimi po udzie i dalej po nodze od wewnętrznej strony. - Czujesz? Miękkość niemowlęcia. - Zalecał się tak do jednej nogi i

drugiej, i do jej rąk. Gdy spróbowała przyciągnąć go do siebie, popchnął ją stanowczo z powrotem na kołdrę. - Później - powiedział.

Jeszcze zanim dosięgnął ustami jej pępka, uświadamiała sobie tylko reakcję swego ciała na jego wprawne dotknięcia. Wydawała ciche świerkliwe westchnienia, prawie tej rozkoszy nie wytrzymując. Wyciągnęła rękę, znów spróbowała przyciągnąć go do siebie i znów on stanowczo pchnął ją z powrotem na łóżko. Zaczęła głaskać go po siwych włosach na piersiach, ale delikatnie położył jej rękę przy boku.

- Proszę, nie przeszkadzaj - wymamrotał liżąc ją pod pachą. Omal nie mdlała.

A później znowu był w niej i wydawało jej się, że to mosiężne łóżko powoli wiruje w górę. Wzbijała się upojnie do lotu w przestworzach. On się nie spieszył, dopóki nie wydała okrzyku jak wizg mewy wzlatującej ku niebu. Wtedy poczuła jego natężenie, wbijał się w nią zaciekle, aż z ochrypłym jękiem skończył.

Bez ruchu, bez słowa leżeli oboje rozgrzani sobą w tej niedużej sypialni.

Rozdział trzydziesty

Matka Poganki nie wierzyła własnym uszom.

- Co to znaczy? Wychodzisz na męża? Za kogo? - Patrzyła na swoją ożywioną, radosną córkę, jaśniejącą owym blaskiem, jakiego może przydać kobiecie tylko fizyczna namiętność.

Jeszcze większe zdumienie ogarnęło panią Trelawney, gdy usłyszała, że będzie teściową sir Christophera Swanna, znakomitego dyrektora Anglo-Amerykańskiego Instytutu Onkologicznego.

Kate nie była tak olśniona.

- Powiesz mu czy nie? - zapytała Pogankę w szatni La Popote, restauracyjki na Walton Street, gdzie jadły kolację.

- Jeszcze nie - odpowiedziała Poganka.

- Czy to uczciwie?

- Nieważne dla mnie.

- On jest o tyle starszy od ciebie - Kate żywiła wątpliwości. -I Poganko, jest taki duży i łysy. Do licha! To starzec. Jak możesz wybierać się za męża za starca!

- Kochanie, on ma czterdzieści dziewięć lat, starzec to dziewięćdziesiąt. I mówił mi, że kiedy miał trzydzieści lat, już był łysy. To ma swoje działanie seksualne, taka lśniąca łysina. Jeżeli pomyślisz, jak ci jest, kiedy cię głaszczą po karku, no to właśnie takie uczucie jest przy głaskaniu łysej głowy. - Pochyliła się, żeby przed lustrem umalować usta. - I on jest duży, a nie gruby, słowo ci daję, kochanie, widuję go przecież tak, jak go Pan Bóg stworzył. Same mięśnie i kości. - Wkręciła pomadkę w oprawkę. - Podoba ci się ten nowy bladoróżowy kolor?... Mnie także. Chcesz się nią umalować? Muszę przyznać, że on wygląda trochę jak Peter Lawford, pomijając włosy, to znaczy. I nie lubię tego rozbawienia, jakie ma w oczach, jak gdyby czytał moje najskrytsze myśli! Kolana mi się wtedy trzęsą jak galareta.

- Wyraźnie jesteś w nim zakochana - powiedziała Kate decydując, że z bladoróżową pomadką na ustach nie jest jej do twarzy. - Więc naprawdę nieistotne są braki, które widzą w nim inni.

- I jeszcze coś. Jest najcudowniejszym kochankiem. Może dlatego, że robi to już od tak dawna, może to jedna z dobrych stron podeszłego wieku. Ale mogę tylko powiedzieć, że przez te ostatnie dwa tygodnie prawie nie wychodziliśmy z łóżka. Nie mam kiedy pomyśleć o wódzie. On wie teraz o mnie mnóstwo, potrafi doprowadzać do tego, że wychodzę z siebie całymi godzinami.

To już Kate zaimponowało. Zawsze chciała wiedzieć, jak postępuje wspaniały kochanek.

- Christopher mówi, że nigdy nie spotkał dwóch jednakowych kobiet. Mówi, że każda z nas lubi inne rzeczy, że każda... och... reaguje inaczej i że najważniejsza rzecz dla mężczyzny, to sprawić, żeby kobieta mu powiedziała, co lubi i czego chce.

- Ja bym umarła z zażenowania. Kiedy Toby mnie pyta, co lubię najbardziej, zawsze odpowiadam, że wszystko.

- Christopher mówi, że większość kobiet odpowiada, że wszystko, ale że to jest tylko strasznie taktowne. Mówi, że prawie zawsze trudno jest kobiety skłonić do szczerości, bo albo szalenie się wstydzą powiedzieć, czego chcą albo boją się, że to jest od-rrra-żające, jakby powiedziała Maxine.

Poganka zaczęła się czesać.

- Jest cudownie. Nie dlatego, że przybieramy siedemset dziewięć różnych pozycji, czy że on może całymi godzinami. To dlatego, że jest tak intymnie. Z chwilą kiedy

przeskoczyłam te płotki fałszywej skromności i z oczami zamkniętymi, z rumieńcem, po ciemku zdołałam się zdobyć na szczerość, poczułam taką ulgę! Przez lata kłamałam, bo myślałam, że jestem dziwadłem, że ta czarodziejska różdżka pozostawia mnie zimną jak lód, a teraz Christopher udowodnił, że wcale nie! Powiem ci, co on robi.

- Uważaj, ktoś może usłyszeć. Nie można takich brudów wylewać przy obcych.

- Powiem ci po powrocie z podróży poślubnej, tylko żeby cię oświecić, pamiętaj. Nasz ślub będzie za trzy tygodnie w kaplicy Trelawney. Przyjdiesz, prawda? Nigdy byś się nie domyśliła, dokąd mnie zabierze w podróż poślubną. Do Indianapolis! Ma tam odczyt w czymś, co się nazywa St Vincent's. Mówi, że będę mogła leżeć w łóżku i odpoczywać, kiedy będzie zarabiał na nasze utrzymanie. Potem, chwała Bogu, pojedziemy do Kalifornii, a potem znów do Nowego Jorku. Przekażę ci wszystkie brudne szczegóły przez telefon, kiedy wrócimy pod koniec czerwca.

- No, tylko uważaj w hotelach, co zamawiasz do pokoju - powiedziała Kate.

- Będę się trzymała piwa. Nic tylko piwo i to po troszeczku w małych kieliszkach. Ale po powrocie stanowczo przestanę pić.

Tylko Kate i pani Trelawney były na ślubie w szesnastowiecznej kaplicy w kotlinie poniżej lasu pełnego leśnych dzwonek. Poganka miała na sobie różowy wełniany kostium Chanel z łańcuszkową złotą inkrustacją i złotymi guzikami, zdobnymi w wygrawerowane lwie łby. Do tego miała granatową jedwabną bluzkę z kokardą i granatowy słomkowy kapelusz z dużym podgiętym rondem oraz granatowe czółenka z odkrytymi piętami. Wydaje się naelektryzowana szczęściem, wydaje się zniecierpliwiona tym, że na czas ślubu musiała wyjść z łóżka, pomyślała Kate, gdy Poganka trzymając męża pod rękę, szła od ołtarza przy dźwiękach triumfalnego marsza Mendelssohna, wydudnianego dosyć nerwowo na organach przez siostrę pani Hocken.

Ale minął wrzesień, a Kate wciąż jeszcze nie wiedziała, co się dzieje z Poganką.

Dopiero w połowie października Poganka zatelefonowała.

- Długa była ta podróż poślubna - zauważyła Kate.

- No, coś się stało, coś rzeczywiście straszno. W pierwszą noc w Nowym Jorku obudziło mnie jakieś dziwne rżenie. Zapaliłam światło. Christopher był fioletowy, oczy miał nieprzytomne, młócił rękami. Złapałam za telefon. Doktor przyszedł tak szybko, jak gdyby czekał w dyżurce hotelowego personelu. Dał mu koński zastrzyk w pierś, a mnie

wyrzucił z pokoju. Zabrali Christophera karetką do szpitala. To był zawał. Trzymali go w szpitalu trzy miesiące... Bogu dzięki, mieliśmy ubezpieczenie.

- Wprost nie mogę uwierzyć. - Kate się zachłystywała. - Skąd ty dzwonisz?

- Z mieszkania Christophera... to znaczy, z naszego mieszkania. W Onslow Gardens. Czy możesz tu przyjechać, kochanie? Wróciliśmy do kraju wczoraj wieczorem. Ledwie rozpakowałam rzeczy. Jestem tak bardzo przybita. Christopher leży w łóżku, muszę być przez cały czas cholernie pogodna. To marazm.

Kate odwołała umówione spotkanie w restauracji i pojechała prosto do Onslow Gardens. Salonik Poganki był właściwie biblioteką, utrzymaną w zielonkawych tonach awokado, ze ścianami od podłogi do sufitu niewidocznymi za mnóstwem książek. Były perskie kilimy, kanapy obite brunatną skórą, mosiężne lampy z abażurami z niebieskozielonego szkła i wielkie okno wykuszowe, za którym złociły się i czerwieniły jesienne wiązy w ogrodzie.

- Długo Christopher będzie wracał do zdrowia? - zapytała niepewnie Kate.

- No, lekarze nie patrzą na to w ten sposób. - Poganka popijała kawę z dużego kubka.

- Leczą zawał wyrównywaniem dopływu i zapotrzebowania krwi i usuwaniem nagromadzającego się nadmiaru płynów w organizmie chorego.

- Do czego to się sprowadza? - zapytała Kate, nic nie rozumiejąc.

- Do tego, że Christopher musi często wypoczywać umysłowo i fizycznie. Nie wolno mu pracować za długo. Musi przestrzegać diety, bo nadwaga oznacza za duży wysiłek dla systemu kardionaczyniowego. I to jest dieta bez soli, żeby płyny się nie zatrzymywały. I musi zażywać tabletki moczopędne, po których wciąż siusia. Do kio i z kio, tam i z powrotem przez cały dzień. No i musiał także rzucić palenie. Ale naprawdę straszne jest to, że koniec z seksem.

- Na jak długo?

- Na zawsze.

- Straszne! Ale chyba on może... okazywać ci względy.

- Nie... boby się podniecał.

- Ależ ci doktorzy chyba nie mówią poważnie! Jak on się do tego odnosi?

- Dosyć samolubnie. Nie chce umrzeć. W istocie mnie też zależy tylko na tym, żeby nie umarł.

Już nigdy się nie dowiem, jak postępuje naprawdę wspaniały kochanek, pomyślała Kate. Okrucieństwem byłoby zapytać. Och, do diabła! Kate natychmiast zdała sobie sprawę, czym grozi przygnębienie Poganki.

- Jeżeli trzeba się nim opiekować, ty po prostu musisz przestać pić. Nawet piwo w małych kieliszkach. No bo gdyby on dostał ataku, kiedy będziesz zalana?

- Myślę o tym - powiedziała Poganka apatycznie. - Wiem, że muszę przestać, i wiem, że to niełatwe. Mieszkałam tutaj z Christopherem przez miesiąc, zanim się pobraliśmy, i nie potrafię ci powiedzieć, jak niemożliwie szybko znów mnie złapało. Walczyłam z tą tęsknotą ale pokonała mnie w ciągu paru dni. - Westchnęła głośno. - Kiedy tylko Christopher wychodził do laboratorium, nastawiałam budzik na godzinę czwartą i piłam kuchenny kseres aż do torsji albo utraty przytomności. Budzik zawsze mnie przywoływał do życia, miałam co najmniej dwie godziny, żeby otrzeźwieć pod zimnym prysznicem, wziąć aspirynę, skropić się wodą kolońską. To było upiorne. Ale robiłam to wtedy, gdy zostawałam sama, nigdy podczas weekendów. No, może wymykałam się do kuchni na jedno żłopnięcie od czasu do czasu, ale jakoś w soboty i niedziele nie cięło mnie aż tak okropnie. Słuchaj, chcę cię znów prosić o ten adres, zginął mi gdzieś. Ten spis ośrodków AA.

- To się na nic nie zda, dopóki nie powiesz Christopherowi. Chcesz może, żebym ja mu powiedziała za ciebie?

- Nie. Powiem mu, kiedy tylko wypocznie po podróży. I już załatwmy ten cholerny telefon.

W następnny czwartek Poganka, zostawiając Kate z Christopherem i dwiema stronicami napisanych na maszynie zaleceń, poszła po raz pierwszy na zebranie Anonimowych Alkoholików.

- Było ponuro - powiedziała jej później. - Twardo. Bez przelewania z pustego w próżne. Czulo się, że wszyscy są rozpaczliwie poważni, wszyscy są tam celowo. I łączył nas ten fatalny wspólny interes. Spotkaliśmy się w krypcie St Martin-in-the-Fields, znasz ten kościół na Trafalgar Square. Siedzieliśmy tam, piliśmy herbatę, jedliśmy herbatniki. Palili mnóstwo, po dwóch godzinach ten dym był jak morska mgła. Mężczyzn było o wiele więcej niż kobiet i dwaj byli wynędzniali... jak gdyby właśnie wyszli z więzienia, czy czegoś takiego.

- Ale co się działo? - zapytała Kate.

- Ktoś na początek powiedział, że siła woli leczy alkoholizm akurat tak jak raka! Jeżeli organizm toleruje alkohol etylowy, no to alkohol może sprawić nieszkodliwą przyjemność, tak jak na przykład w twoim przypadku, Kate. Ale ktoś, kto tak jak ja nie toleruje, stopniowo się od alkoholu uzależnia. Mówię ci, poczułam się dziwnie podniesiona na duchu, kiedy się dowiedziałam, że jestem tylko nałogowa, a nie rozpijaczona.

Rozparta na dywaniku przed kominkiem, Poganka tuliła do siebie Hultaja, który po spacerze w deszczu pachniał jak mokra derka.

- Zdumiewające - powiedziała - że rząd pozwala reklamować alkohol w telewizji, chociaż wie, że to paskudztwo jest na trzecim miejscu jako przyczyna umieralności w tym kraju.

- Czy ktoś z tobą rozmawiał?

- Nikt mnie o nic nie pytał. Tylko siedziałam, patrzyłam i słuchałam. Jednej rzeczy się nauczyłam: nie należy się powstrzymywać od picia przez jeden dzień od czasu do czasu. - Umilkła na chwilę. Po raz pierwszy miała nadzieję, nie czuła się beznadziejnie bezwolna. - I z tego nigdy nie można się wyleczyć. Jeśli się jest alkoholikiem, to będzie się alkoholikiem zawsze, tak jak diabetyk będzie zawsze diabetykiem, chociaż nad swoją chorobą panuje dzięki insulinie. - Uskrzydlała ją nadzieja.

- Poganko, do licha! Zanadto się entuzjazmujesz - powiedziała Kate. - Martwisz mnie. Nie rozmawiaj o tym z Christopherem, dopóki nie wyparujesz. Inaczej on nie uwierzy, że podchodzisz do tego poważnie.

Ale Christopher uwierzył.

- Och, domyślałem się tego przed ślubem - powiedział. - Bo jakież inny mógłby być powód wyziewów płynu do płukania ust co wieczór, kiedy wracałem? Zacząłem znaczyć butelki... nie te w barku, wiedziałem, że jesteś za sprytna, by z nich popijać. Znaczyłem wino do potraw w kuchni. Czekałem, aż mi powiesz. Miałem nadzieję, że będę mógł ci pomóc.

Christopher, gdy lekarze już pozwolili mu wrócić do pracy, zabrał Pogankę do laboratorium, żeby poznała jego asystentów.

- Powiedziałem im, że mają ci tłumaczyć wszystko najprostszymi słowami - szepnęła całując Pogankę w ucho, zanim wysiedli z samochodu.

Oprowadzano ją po budynku, jak gdyby była kimś z rodziny królewskiej, ale ci naukowcy mogli równie dobrze mówić do niej w języku suahili, akurat tyle zrozumiała w ciągu dwugodzinnego zwiedzania. Gapiała się na aparaturę, na komputery, na półki ze szklanymi pojemnikami, w których ludzkie komórki rakowe rosły w tkance, żeby posłużyć do przygotowania szczepionki przeciwrakowej. Potem zaprosiła najmniej onieśmielającego z laborantów na obiad w niedzielę, bo niezłomnie sobie postanowiła zrozumieć pracę Christophera, o ile to jest dla niej możliwe. Niech ten czarnobrody Peter jej wyjaśni.

W samochodzie, wracając z nią do domu, Christopher powiedział:

- Słuchaj, Poganko, jeżeli rzeczywiście to cię interesuje, może byś nam pomagała zbierać pieniądze? Myślę, że byłabyś w tym dobra. I może Kate mogłaby ci pomóc.

- Kate nie. - Poganka się zastanowiła. - Ale Judy by mogła.

W kilka miesięcy potem Christopher miał odczyt w Sloan-Kettering Institute. Poganka pojechała z nim do Nowego Jorku i po raz pierwszy od trzynastu lat zobaczyła się z Judy. Podbiegły do siebie, żeby się uściskać w mrocznym, wykładanym dębową boazerią hallu hotelu Algonquin.

- Ależ, Poganko, wcale się nie zmieniłaś poza tym, że już nie nosisz okularów. Szklą kontaktowe?

- Tak. Ty wyglądasz inaczej, kochanie. Zawsze wyglądałaś jak dziecko, a teraz wyglądasz jak bogate dziecko. - Poganka przyjrzała się tym włosom z pasemkami blond, geometrycznie podciętymi w uczesaniu Vidal Sassoon, opadającym na jedno oko, kostiumowi safari z surowego jedwabiu i pistacjowym zamszowym czółenkom.

- To jeden z moich przyodziewków roboczych. Od Guya oczywiście. Trzeba reprezentować sukces, jeżeli chce się odnosić sukcesy. Poganko, dobrze to sobie zapamiętaj, zanim cię wezmę na skondensowane przeszkolenie w branży reklamowo-informacyjnej, tak jak rozmawialiśmy przez telefon.

- Prosiłam Kate, żeby napisała tobie i Maxine prawdę o tym, co się ze mną działo. Już jest w porządku, nie musisz zamawiać dla siebie coca-coli tylko dlatego, że ja tu jestem... Kate uratowała mi życie. I Maxine, kiedy tylko dowiedziała się od Kate, gdzie jestem, uparła się, żebym przyjechała do niej z Christopherem. Była po prostu fantastyczna. Zupełnie tak, jakbyśmy widziały się przed tygodniem. Teraz ty się

ofiarowałaś pokazać mi, jak mam pomagać w reklamowaniu tego instytutu. Wszystkie jesteście cudownymi przyjaciółkami... a ja po prostu na to nie zasługuję; po tylu latach nieodzywania się do was. Jeszcze bardziej mi wstyd.

- Posłuchaj - powiedziała Judy - poczucie winy to zgoła zbyteczny bagaż. Nie potrzebujesz zaśmieczać sobie tym głowy. To nic nie daje poza wisielczym humorem. - Poczęstowała Pogankę oliwką i uśmiechnęła się. - Prawdziwi przyjaciele to nie ci, z którymi się żartuje i pije. Z prawdziwymi przyjaciółmi można się nie widywać, wystarczy wiedzieć, że są w razie potrzeby. Stworzyliśmy nasz mały system pomocy, pamiętasz? Tam w Gstaad. W chorobie i w grzechu, jak mawiała Maxine. - Mocno splotła palce. - O tak jesteśmy połączone, stanowimy naszą własną najlepszą sieć ratunkową, o tym nie zapominaj. A teraz nadstaw uszu, przygotuj się do szkolenia.

Jak zwykle Judy kipiała pomysłami. Poganka notowała z nadzieją, że zdoła je później posortować. W głowie jej się kręciło.

Po powrocie do Londynu Poganka zaczęła działać. Z początku tak ją krępowało telefonowanie do obcych ludzi, że musiała się zamykać w sypialni i czerwień się, wykręcając numery. Ale problem i fakty, które przedstawiała, były czymś nowym i interesującym, a jej determinacja ogromna. Odnawiając dawne znajomości stwierdziła, że zna kilka osób bogatych i sporo osób ustosunkowanych. Każda znajomość prowadziła do następnej. Szybko też dały się odkryć uroki i korzyści tej pracy. Co dwa tygodnie Poganka wysyłała sprawozdanie do Judy i otrzymywała od niej dwie ciasno napisane na maszynie stronicie krytycznych uwag i porad.

Najpierw napisała artykuł do swego magazynu szkolnego, prosząc o pieniądze i pomoc. Pociła się nad tym artykułem przez cztery dni, a później przez parę tygodni denerwowała się, czy go zamieszczą, ale rezultat ją uradował. Uzbierały się prawie 44 funty i pozyskała dwie dorywcze pomocnice. Ponieważ ważne było zarówno reklamowanie instytutu, jak zbieranie funduszków na badania, wystosowała list łańcuchowy: „Proszę przysłać mi 2 funty i odpisy niniejszego listu przekazać swoim dwóm znajomym. Nie przerywajcie łańcucha ratunkowego”. Przyniosło to 4068 funtów - znacznie więcej, niż się spodziewała.

W kilka miesięcy później Poganka stała w jednej z mniejszych sal bankietowych hotelu Savoy, mając nadzieję, że jej popielata aksamitna garsonka ze srebrnym lisem przy rękawach nie jest strojem zbyt uroczystym na przyjęcie dla fourchette, które wydała dla dwudziestu wpływowych osób z prasy. Kosztowny początek, ale nie chciała oszczędzać na swych pierwszych kontaktach towarzyskich mających tak wielkie znaczenie. Nie mogła się nie denerwować. Wolałaby udzielać właściwych informacji każdemu z tych dziennikarzy osobno, zamiast poinformować ogólnikowo wszystkich razem. Zapraszając ich, pominęła prasę medyczną bo tam już sprawę dobrze znali. Dobrała gości z zespołów redakcyjnych gazet i czasopism masowego czytelnika.

Ku jej uldze dziennikarki nie były szorstkie, nie były agresywne. Przeważnie znały się i gawędziły ze sobą spokojnie, dopóki Christopher nie zabrał głosu. Wtedy zaczęły bazgrać w notatnikach i zadawać bezlitośnie rzeczowe pytania.

- Moja żona specjalnie mnie prosiła, żebym to ujął jak najprościej - zaczął Christopher - bo kiedy pierwszy raz jej wyjaśniłem, na czym polega moja praca, nie zrozumiała z tego ani słowa. Mam nadzieję, że jednak nie będę zanadto upraszczał. Potem chętnie służę wyjaśnieniami profesjonalnymi, jeżeli ktoś sobie życzy. Teraz podam wam kilka faktów, ale chciałbym też możliwie szybko odpowiadać na wasze pytania. Zebraliśmy się tutaj, żebym opowiedział o naszej pracy w Anglo-Amerykańskim Instytucie Onkologicznym, a także żebym przekonał was o konieczności zbierania pieniędzy na kontynuowanie naszych badań. Już jedna na trzy ofiary raka wraca do zdrowia, chcemy powiększyć tę liczbę.

Jego małe audytorium słuchało grzecznie zainteresowane. Kończąc swe krótkie przemówienie, oznajmił:

- W naszym laboratorium w południowym Londynie wytwarzamy bardzo jeszcze prymitywną szczepionkę, którą będę nazywał szczepionką X. Przykro mi, że to brzmi trochę jak nazwa proszku do prania. Nie możemy mieć pewności, dopóki naszych odkryć całkowicie nie sprawdzimy, ale szczepionka X prawdopodobnie pobudza obronne siły organizmu do zaatakowania i odrzucenia intruza, wirusa i zapobiega tworzeniu się owych szczególnych komórek rakowych. Wszyscy teraz siedzieli prosto i uważali.

- Niedawno przeprowadziliśmy doświadczenie na dwóch grupach myszy. Jednej grupie wstrzyknęliśmy szczepionkę X. Następnie zaszczepiliśmy obu grupom komórki guza skojarzone z tym wirusem. Po dwóch miesiącach guzy w myszach, którym

zaaplikowaliśmy szczepionkę X, nie niknęły wprawdzie, ale się nie powiększyły, natomiast druga partia myszy miała guzy niepomiarowo większe.

Podniósł się zgłębienie pytań, notesy szeleściły. Poganka czuła, że wystartowała dobrze.

CZEŚĆ SZÓSTA

Rozdział trzydziesty pierwszy

Lili wpatrywała się tęsknie w czerwoną na tle nieba pożogę Atlanty i w Vivien Leigh strzelającą do żołnierza, wyraźnie gotowego ją zgwałcić, i w Olivie de Havilland w krynolinie, i w te wszystkie inne kolorowe afisze przed kinem. Chociaż miała już trzynaście lat, była w kinie tylko dwa razy. Przygryzła dolną wargę, wepchnęła rękę głębiej w kieszenie nieprzemakalnego płaszczyka, dumając, jak by się dostać do kina.

- Widziałas ten film?

Odwróciła się. Młody człowiek uśmiechał się do niej. Raczej jasnowłosy, wysoki, co najmniej dwudziestoczteroletni.

- Nie, ale prawda, że chyba jest cudowny? Pan był na tym?

- Nie - skłamał podrywacz. - Słuchaj, może chodźmy tam razem? Jestem w Paryżu zupełnie sam.

Lili się zawahała. Nie powinna teraz być na Polach Elizejskich, ale madame Sardeau wyjechała w coroczne odwiedziny do swojej matki w Normandii, a monsieur Sardeau będzie myślał, że ona, jak mu skłamała, ma w szkole dodatkową lekcję matmy, czy też raczej nic nie będzie myślał, bo o tej porze jest jeszcze w biurze. Monsieur Sardeau był nudnym małym pedagogiem, już dawno jednak przestał pouczać, poprawiać i karcić Lili - i co więcej, w ogóle zwracać na nią uwagę - ponieważ jej kształtne piersi i ciętłeco

rozłożące się, długie nogi wywoływały w nim fizyczną reakcję i nieraz bał się, że żona mogłaby to spostrzec. Kiedyś wysapał głośno imię Lili, wyobrażając sobie, jak leży pomiędzy tymi smukłymi, mocnymi udami, gdy rzeczywiście wił się na kościstym ciele i wpijał palce w obwisłe piersi madame Sardeau. Jakkolwiek zdołał wtedy żonie wmówić, że nic nie powiedział, tylko krzyknął z rozkoszy, to przecież nie mógł ryzykować tak blisko domowego ogniska. Świadom niebezpieczeństwa, roztropnie unikał Lili, gdy tylko to było możliwe.

Lili przyjrzała się młodemu podrywaczowi. Był trochę podobny do Leslie Howarda patrzącego na nią z fotosu. Też jakiś wodniście przezroczysty. I też wydawał się zagraniczny.

Może drugi raz taka okazja się nie zdarzy.

- Tak, proszę - odpowiedziała i stwierdziła, że to zupełnie łatwe. Przeszli od kasy w ciemność, w poprzednie stulecie, w zamęt Wojny Secesyjnej.

Gdy nastąpiła przerwa i światła się zapaliły, Lili była jeszcze w stanie romantycznego upojenia.

- Prawda, że Scarlett jest piękna?

- Nie piękniejsza niż ty - powiedział podrywacz.

Lili miała twarz już nie dziecinną, poniżej masy ciemnych włosów zaczesanych do tyłu, ujętych aksamitną opaską. Miała ogromne piwne oczy promieniujące, zdawałoby się, bardzo dojrzałą zmysłowością. Ale najwięcej powabu przydawał jej twarzy wytworny, trochę orli mały nos nad ustami tak pięknie zmysłowymi, jak gdyby wyczelował je Michał Anioł. W wieku trzynastu lat figurę miała także już nie dziecięcą - nogi jeszcze trochę za chude, ale kształty krągłe, piersi dobrze - może nieco za dobrze - rozwinięte. Czasami Lili doznawała wrażenia, że monsieur Sardeau ukradkiem patrzy na nią i gdy w niedzielę wychodzą z kościoła, niepotrzebnie chwyta ją za przedramię i przyciska knykcie do jej piersi.

Nowy przyjaciel zafundował jej lody. Powiedział, że ma na imię Alistair i mieszka w Nowym Jorku. Najwidoczniej uznał ją za dorosłą, bo nie traktował jej jak dzieciaka ze szkoły.

Światła znów zgasły. Alistair dotknął czubków jej palców. Dłoń miał ciepłą, mocną i przejmującą prawie nieznośnym mrowieniem, nie taką jak ukradkowa dłoń monsieur Sardeau, która ją przerażała. Zabrakło jej tchu i wydawało się w podnieceniu, że puszek

na ręce jeży jej się jak sierść na kocie. Zapraęnęła sennie, żeby ten obcy głaskał ją nie tylko po wnętrzu dłoni i nadgarstku.

Gdy szli z szurającym, rozkołysanym ciemnym tłumem do wyjścia, Alistair zapytał:

- Chciałabyś coś zjeść?

Lili potrząsnęła włosami, zebrała w sobie odwagę i odpowiedziała, że tak. Moką ulicą w mżawce poszli do restauracji. Przy jedzeniu Alistair dowiedział się o Lili sporo, ona nie dowiedziała się o nim niczego. Pod koniec tej kolacji

nagle się zaniepokoiła. Dochodzi jedenasta - wyjaśniła - nigdy dotąd nie wracała tak późno.

Bez słowa Alistair pstryknął palcami na kelnera i zapłacił rachunek. W rozchlapującej błoto taksówce ujął Lili za podbródek i delikatnie odwrócił do siebie jej ochoczą, niespokojną twarzączkę. I zupełnie jak Rett Butler przechylił się, pocałował ją w usta. Z uczuciem dziwnego mrowienia, drżąca, spragniona miłości i ciepła, zarzuciła mu ręce na szyję, podniosła głowę. Zanim taksówka zatrzymała się z chluśnięciem, Lili była zakochana.

Skradając się po schodach na górę drżała jednak już z innego powodu. Bała się przyjęcia, jakie ją spotka, no bo jak dojść do swego pokoju niezauważenie? Ale pan Sardeau jeszcze nie wrócił; nie miał zamiaru siedzieć w domu, gdy zdarzała mu się taka nieczęsta gratka jak dwutygodniowa nieobecność żony.

Lili wstawała teraz o piątej rano, żeby usiąść do szycia, które powinno jej zajmować letnie popołudnie. Jej czas po południu należał do Alistaira. Nigdy już nie odważyła się wrócić do domu późno wieczorem, on jednak najwyraźniej mógł dysponować sobą w godzinach pracy, więc spotykali się w połowie dnia, jedli obiad w restauracji, a potem, trzymając się za ręce, chodzili pod drzewami w Lasku Bulońskim, spacerowali wśród ślicznie ubranych dzieci w Pare Monceau, pływali bateau mouche po Sekwanie albo oglądali wystawy sklepowe.

- Dlaczego nie chcesz, żebym ci kupił przyzwoitą sukienkę? Odkąd się znamy, widuję cię wciąż w tym samym swetrze i w tej samej bluzce, wciąż w tej granatowej spódnicy.

- Och, nic bym nie mogła od ciebie przyjąć. Madame by zobaczyła.

- No, a te czerwone zamszowe pantofelki?

- Nie, nie mogłabym ich ukryć, zaraz by chcieli wiedzieć, skąd miałam na nie pieniądze.

Ale pod kamiennymi arkadami na nie de Rivoli Alistair kupił jej medalion w kształcie serca na cienkim złotym łańcuszku, który mogła ukrywać pod materacem. Jeszcze nigdy nie spotkał tak ufnej, czulej i nie wymagającej dziewczyny; nawet tym najmłodszym zawsze o coś chodziło, szczególnie, gdy wiedziały, kim on jest. Zawsze były żądne biżuterii, pieniędzy, czasem nawet małżeństwa. Załatwiał je Skinner, adwokat jego matki, jeżeli sprawa stawała się trudna, a już zwłaszcza jeżeli ojciec się złościł. Lili odpowiadała mu zadziwiająco i jak dotąd niewiele osób znało go w Paryżu.

W taksówce Lili zarzuciła mu rękę na szyję i dziękowała za medalionik, serdeczna jak szczeniak. Ale gdy wysiedli w cieniu wieży Eiffla, podniosła na niego wzrok i zapytała ze zdumieniem:

- Dokąd idziemy?

- Napić się czegoś, kociaczku, tu w tym hotelu. Ja często tu przychodzę. Za kontuarem znudzona gruba konsjerżka robiła na drutach szarą rurę,

która może miała być skarpetką, a może rękawem. Alistair dał jej banknot, a ona rzuciła na kontuar klucz.

- Numer dziewiętnaście. Pierwsze piętro. Trzeba zapłacić dodatkowo, jeżeli się jest dłużej niż dwie godziny.

Lili poszła za Alistairem po schodach; zwykle zabierał ją do lokali o wiele elegantszych.

- Czy to jakiś kabaret? Dlaczego musiałeś już zapłacić? - zapytała. Numer 19 był mrocznym pokojem z zamkniętymi okiennicami, w którym

stało łóżko nakryte kołdrą w wyblakły deseń - różowe pasterki - i stał składany blaszany bidet obok umywalni. Lili wyraźnie poczuła się nieswojo.

- Chciałem być z tobą sam, kociaczku.

- Ale jest łóżko.

- Trudno znaleźć pokój hotelowy bez łóżka, kociaczku. No pozwól, że ci włożę na szyję twój nowy medalion. - Podniósł jej włosy i pocałował ją w kark. Przesunął rękę pod jej pachy i na piersi, po czym wolno rozpiął małe różowe guziki cienkiej bluzki.

Niewinność, świeżo zbudzona, wzbierająca namiętność i tęsknota do miłości sprawiły, że Lili raczej nie stawiała oporu. Po chwili ku swemu zdumieniu leżała nago wśród różowych pasterek, odrętwiała pod szybkimi wprawnymi rękami Alistaira.

Swobodny, spokojny, pewny siebie głaskał ją po rozedrganym brzuchu, wicherzył jedwabiste włoski łonowe i szeptał:

- No kociaczk, ile ty naprawdę masz lat, hmm? Udawajmy, że masz dopiero dziesięć, a ja jestem nauczycielem z twojej szkoły, więc musisz być posłuszna.

Pochylił głowę i lekko ugryzł ją w brodawkę.

- Bo jeżeli nie będziesz, zostaniesz ukarana. Będę musiał zatelefonować do madame Sardeau i powiedzieć jej, jaka jesteś niegrzeczna, a tego byś nie chciała, co?

Lili zeszywniała, przerażona.

- Nie bój się, ja tylko żartowałem, kociaczk - powiedział. - Leż wygodnie, czeka cię cudowna przyjemność.

Wsunął rękę między jej uda i wyciągnął się obok niej na łóżku. Jego palce płąsały, badały, gmerały uporczywie między jej nogami. Pocałował ją mocno,

twardo w usta. I nagle wbił palce w jej ciało i gdy szarpnęła się z bólu, wzdrygnął się w ekstazie.

- Cicho bądź, idiotko, nie bez. - I zagrał atutem zachowywanym na takie okazje. - To dlatego, że ja cię kocham, Lili. To jest miłość dorosłych, kociaczk.

- Boli - kwiliła.

- Scałuję ból. - Delikatnie zaczął całować jej piersi i twarz, jednocześnie się rozbierając.

Potem osunął się na nią i w nią. To się stało tak szybko, że oszołomiona sprzecznością swoich doznań, prawie nie wiedziała, co się dzieje. Tylko czuła znowu ból i zaraz ból nie do wytrzymania, gdy on rozkraczony na jej małych bioderkach zadrzał w orgazmie, a potem stoczył się z niej i leżał wyczerpany.

- To było cudowne, kociaczk. Następnym razem musisz być w szkolnym mundurku - wymamrotał.

Później zaczął głaskać jej piersi, ją całą, dopóki nie przestała się trząść. Cicho mówił słowa miłości. Ona przecież chce, żeby ją kochał, prawda? Powoli, cierpliwie - z myślą o następnym popołudniu - odzyskał jej ufność, ukoił ją głaskaniem, uspokoił czuлыми słowami, zahipnotyzował swoją pewnością siebie, nastraszył utajoną groźbą że jego miłość może się skończyć, że on może zatelefonować do madame Sardeau.

Potem ulżył sobie przy umywalni, ubrał się i wyszedł z pokoju, a Lili podmyła się w bidencie. Pomyślała, że gdyby ją kochał, to by jej tu nie przyprowadził. Ale gdyby jej nie kochał, to przecież by nie chciał tego. Zrobił to, bo ją kocha.

Po kilku minutach Alistair wrócił i usiadł na krawędzi łóżka. Wziął ją na kolana i wyciągnął z kieszeni tekturowe pudełeczko.

- Chcę, żebyś zażywała co dzień jedną tabletkę. Przepis jest na pudełku, rozumiesz?

- Po co?

- Żebyś nie miała dziecka. To są nowe tabletki. Daj mi słowo, że będziesz je zażywać.

- Nie możemy się pobrać i mieć dzieci?

- Nie, bo jesteś za młoda, kociaczku. Jeżeli będziesz grzeczna, to za jakiś czas, kiedy dostaniesz maturę, zobaczymy.

Odtąd nie było już przejażdżek po rzece ani spacerów pod drzewami. Prawie co dzień z wyjątkiem sobót i niedziel tego upalnego lata od godziny trzeciej do piątej przestraszona, nieśmiała Lili była z Alistairem w hotelu. Gdy madame Sardeau wróciła, Lili wyjaśniła jej, że w te upały zabierała po południu swój koszyk z szyciem do parku, gdzie w cieniu jest chłodniej.

Chemises de nuit były uszyte znakomicie, a dziewczynka rzeczywiście wyglądała mizernie, więc madame uznała, że to dobry pomysł; tylko niech wraca z tego parku na czas, żeby przygotować kolację.

Słońce wczesnego września dotarło na przeciwległą stronę podwórza, gdy Lili wymiotowała w piąty poranek pod rząd. W panice przekradła się z łazienki z powrotem do łóżka. Nie miała żadnych wiadomości z dziedziny ginekologii, ale wiedziała, co oznaczają poranne mdłości. Zbyt wyczerpana i zmartwiona, żeby wstać, a cóż dopiero zabrać się do szycia, usłyszała, jak madame Sardeau woła:

- Lili, Lili, gdzież jest ta smarkata? Dlaczego woda na kawę jeszcze nie nastawiona? No tak! Siódma godzina, a ona jeszcze w łóżku!

Ale dziewczynka kiepsko wyglądała, prawie nie mogła podnieść głowy, miała czarne cienie pod oczami. Może trzeba by wezwać doktora, zastanowiła się madame Sardeau, tylko że oczywiście doktor policzy sobie za wizytę. Może dać jej poleżeć jeden dzień i jutro będzie dobrze. Nie ma sensu płacić lekarzom, jeżeli nie jest rzeczywiście chora.

Fale mdłości minęły i w południe Lili już się czuła normalnie. Tabletki Alistaira zażywała tylko przez trzy dni, bo robiło jej się po nich niedobrze, ale nie powiedziała mu tego. Bała się jego gniewu.

Musiała wstać z łóżka. Alistair umówił się z nią w Pam-Pam-Cafe. Na szczęście madame Sardeau miała w to popołudnie brydża.

Gdy zwierzyła się Alistairowi ze swoich obaw, jego twarz zwykle rozmarzona, dziwnie stwardniała. Nagle nie wyglądał jak Leslie Howard.

- Mogłem przewidzieć. Wy głupie małe dziwki, wszystkie takie same! Jesteś pewna?

- Nie byłam u doktora, ale choruję rano już prawie tydzień.

- No, to twoja cholerna wina! Mnie nie będziesz przypisywać niczego. Nie wiesz, gdzie mieszkam, nikt nie widział nas razem i o ile ja mogę coś o tobie wiedzieć, sypiasz z połową mężczyzn w Paryżu... O Boże, nie płacz mi tutaj! - Namyslał się przez chwilę: lepiej jej nie przerażać. Diabli wiedzą, w jakim ona jest wieku, ale nieletnia to na pewno. Tego Skinner może by nie zdołał załatwić z policją francuską. Chociaż Francuzi zasadniczo patrzą na takie sprawy przez palce...

- Nie możemy pójść do hotelu!

- Nie, nie możemy. Na litość boską, przestań chlipać, daj mi się zastanowić. - Bogu dziękował, że nie zna jego nazwiska. Chyba zmysły postradał, zgłupiał kompletnie, kiedy ją poderwał. No, ale jeszcze nie jest za późno. Jeszcze czas się z tego wypłatać, zanim ktokolwiek zdąży go oskarżyć. Oczywiście jest ta baba w recepcji hotelu, ale taka będzie milczała za parę tysięcy franków. Wpadł na pomysł. Sięgnął do kieszeni spodni i wyciągnął pięćdziesiąt tysięcy franków. Niedużo to, mniej więcej sto osiemdziesiąt dolarów, nie miał jednak więcej gotówki przy sobie.

- Na Boga, Liii, już nie płacz, bo ja zaraz stąd wyjdę. Powiem ci, co masz zrobić. Weź te pieniądze i idź do jakiegoś doktora, żeby wiedzieć na pewno, czy rzeczywiście jesteś w ciąży... nie mam pojęcia, ile on ci zaśpiewa, ale to powinno wystarczyć. Jeżeli nie jesteś w ciąży, no, okaże się, że robisz wiele hałasu o nic. Jeżeli jesteś, idź od razu do tej konsjerżki w hotelu, a już ona się postara, żebyś zobaczyła się z kimś, kto ci to załatwi. Ja pokryję rachunek. Zrób to jak najprędzej... i nie mów nikomu. - Rzucił na stolik banknot dla kelnerki i wstał.

- Nie odchodź, Alistair, błagam, nie zostawiaj mnie, kiedy ja cię tak kocham.

- Jeżeli mnie kochasz, zrobisz wszystko to, co powiedziałem. Bądź posłuszna, bo inaczej już nigdy mnie nie zobaczysz.

- Kiedy się spotkamy? Kiedy? - Teraz zanadto się bała, żeby płakać.

- Tutaj za dwa tygodnie. - Poklepał ją po ramieniu. - Głowa do góry! Jeżeli będziesz grzeczna i usłuchasz, zapomnimy o całej tej nieprzyjemności. Przyrzekasz, że zrobisz to, co powiedziałem?

- Och, przyrzekam, ale przyjdiesz tu, prawda?

- Naturalnie, kociaczk. - Pochylił się, żeby uspokajająco pocałować ją w mokry od łez policzek. Nie miał zamiaru kiedykolwiek się z nią zobaczyć ponownie.

Odszedł, zanim Lili przyszło na myśl zapytać, do jakiego doktora ma pójść. Siedziała przez chwilę wpatrzona w plik banknotów, potem wsunęła je w kieszeń nieprzemakalnego płaszczyka i poszła do hotelu. Przez jakiś czas zwlekała przed wejściem, ale ostatecznie zbliżyła się do tych grubych palców dziergających na drutach za kontuarem.

- Pani może mi pomóc?

- Długo?

- Nie wiem.

- Kiedy powinnaś mieć?

- Trzy tygodnie temu. Ale jeszcze nie byłam u doktora.

- Usiądź tu na krześle i poczekaj. - Bose stopy wsunęły się w kapcie. Konsjerżka poczłapała do kabiny telefonicznej w głębi hallu. Przyczłapała z powrotem i zapytała: - Dał ci jakieś pieniądze?

- Tak. - Lili wyjęła z kieszeni garść banknotów i położyła na kontuarze. Grubymi palcami konsjerżka przetrzepała je licząc.

- Daleko z tym nie zajdziesz. Trzeba jeszcze sto tysięcy, powiedz mu.

- Ale to już wszystko, co mi dał. Więcej nie mam. Powiedział, że pokryje rachunek.

- Każdy z nich tak mówi, a fakt jest faktem, że za taki interes płaci się gotówką z góry. Rodzina nie może ci dać? - I widząc, że przerażenie na twarzy Liii zmieniło się w grozę, konsjerżka dodała: - No, a jakaś koleżanka nie pożyczy?

Żadna z koleżanek Liii nawet nie widziała stu tysięcy franków, już nie mówiąc o tym, że mogłaby je mieć czy dostać. Dziewczynka wolno potrząsnęła głową.

- Wiesz, co - powiedziała konsjerżka niepewnie. - Znam jednego fotografa, on chyba ci zapłaci za pozowanie. Trzy tysiące franków godzina i z tego dla mnie prowizja. To by ci pasowało?

Lili przytaknęła z nadzieją. Zgodziłaby się na wszystko. Ta stara znów poczłapała do telefonu w kabinie i gdy wróciła, nabazgrała w bloczku na kontuarze jakiś adres. Wydarła tę kartkę z bloczka.

- Serge zaraz cię przyjmie. Tu masz jego adres. Niedaleko na tej ulicy, na poddaszu.

Rozdział trzydziesty drugi

Serge, swego czasu słynny fotograf, utył, znudził się, rozleniwił i postarzał kolejno w takim właśnie porządku. Kiedyś świetnie prosperował w tradycyjnym świecie haute couture, teraz nie rozumiał niekonwencjonalnej, swobodnej mody lat sześćdziesiątych. Modne magazyny przestały korzystać z jego usług, potem zamówienia reklamowe gwałtownie się zmniejszyły i nie miał już prawie pracy, zanim zaczął sprzedawać fotografie aktów. Pozowały mu modelki już nie takie jak przedtem, rzecz jasna. Nigdy żadna Bettina czy Ali, czy Fiona, czy Suzy nie zniży się do czegoś takiego. Większość z tamtych modelek do niedawna nie dałaby się sfotografować nawet w bieliźnie i kiedyś płaciło się rzeczywiście straszne pieniądze za ich pozowanie w kostiumach kąpielowych, ale te nowe niechlujne dziewczyny nie miały tak samo wstydu jak stylu. On oczywiście i przedtem fotografował kobiety nago, to była jedna z jego przyjemności, przez myśl mu jednak nie przeszło te fotografie sprzedawać, dopóki pewna kurewka ubiegając się o rolę w filmie, nie załączyła do zdjęć zbliżenia swojej piersi. Wtedy jego fotografie kobiecych aktów stały się modne. Rzadko dawało się na pierwszy rzut oka pojąć, jaką część ciała przedstawiają, efekt jednak był oryginalny i niepokojąco erotyczny. W każdym razie te fotografie kupowano. Patrząc na Lili, Serge niepewnie przymrużył oczy, po czym z wolna się uśmiechnął.

- Wejdz - powiedział. - Nie przejmuj się moim strojem judo. Zawsze go noszę w pracowni. Kieliszek wina? Nie, no... tam jest przebieralnia.

- Co zdjąć?

- Wszystko. Jak inaczej mogłabyś u mnie zarobić trzy tysiące franków przez godzinę? I sądząc z tego, co słyszałem, to nie twój pierwszy raz, mała, ale nie przejmuj się, ja widziałem już te rzeczy nieraz. Patrz, oto dowód.

Machnął kluchowatą ręką w stronę ogromnej czarnej tablicy z filcu, do której były przypięte fotografie aktów - bardzo dobre, bo Serge kochał kobiety i fotografem był doskonałym.

Lili ruszyła lawirując wśród szerokich na dziesięć stóp rolek różowego, niebieskiego i zielonego papieru do scenicznego tła. Minęła rozwieszony dwa prześcieradła: jedno ogromne białe i drugie jeszcze większe czarne, a potem dwie kępy czegoś, co wyglądało jak otwarte srebrne parasolki na kijach, i przeszła przez gaj lamp. W małej garderobie był kontuar do charakteryzacji i stały na nim najróżniejsze kolorowe słoiki kremów, leżały gąbki w kolorze terakoty, zmięte chusteczki Kleenex, zakurzone pędzelki, przezroczyste szaliki z szyfonu i karbówki do włosów. Nad kontuarem jaśniał rząd nie osłoniętych żarówek.

Lili stanęła tam i trwała tak drętwo, bez ruchu, bez myśli może z pięć minut.

- Ja nie mam na to całego dnia, cherubinku - usłyszała głos wesoły, a przecież podszyty groźbą. Szybko się rozebrała.

Portiery garderoby się rozchyliły. Serge zajrzał.

- Dobrze, jesteś gotowa. Przyjdź tutaj, proszę.

Już przygotował aparat i światła przed czarnym prześcieradłem.

- Ostatnio nie zawracam sobie głowy asystentami, chyba że mam duże zamówienie. No, cherubinku, stań prosto, plecami do aparatu. - Pstryk! - Teraz bokiem. - Pstryk! - Podbródek trochę wyżej - Pstryk! Pstryk! - Teraz cała odwróć się do mnie, otóż to właśnie. - Pstryk! Pstryk! Pstryk! - No i już po wszystkim, nie było tak źle, prawda? Wywołam je i jutro ci powiem, czy mi się nadajesz.

Lili poczuła ulgę. To było akurat tak przerażające i erotyczne jak zrobienie sobie fotografii do szkolnej legitymacji. A Serge pomyślał, że dawno nie widział takiej ładnej dupinki. Oczywiście, powiedział sobie, trzeba w nią włożyć trochę pracy, ale głowę dam, że będzie wyglądała jeszcze lepiej. Na razie nie miał zamiaru jej przerażać. Jeśli się z nią zagra ostrożnie, ona może mu przynieść majątek.

Lili zaczęła pozować Serge'owi i szybko się zorientowała, że chodzi tu o coś więcej niż tylko o to, by się rozebrała i stała nago. Już po pierwszym pozowaniu Serge wyraźnie

zobaczył w niej możliwości. Przyglądając się odbitkom kontaktowym przez lupę, zaznaczając czerwonym flamastrem te, które chciał powiększyć, pojął, że ta dziewczynka jest jeszcze lepsza, niż przypuszczał. Ona ma w sobie rzadko spotykaną naiwność w połączeniu z zapierającym dech erotyzmem, o którym najwidoczniej wcale nie wie. I niewinnej ufności, malującej się na tej twarzy, nie dałoby się udawać, a przecież usta przejawiają prawie dobitnie zmysłowość. Lili to dziewczyna z marzeń.

Serge wiedział, że pozyskiwać ją musi ostrożnie. Dobrocią, ojcowską dobrocią uspokoić to małe stworzenie, po czym dodać odrobinę autorytetu. Wprowadzić ją bardzo delikatnie, dawać jej coś do roboty w czasie pierwszych zdjęć, nie zostawiać czasu na refleksje. I zapłacić jej trochę z góry, brać za to pokwitowanie, żeby w razie potrzeby mieć jej czym zagrozić. Trzeba uważać na te żebra i cielęce długie nogi - wolałby pulchniejsze uda ściskające ten ciemny krzaczek - ale piersi są doskonałe. Ona jest ryzykiem, które pachnie więzieniem, ale jest też pieniędzmi w banku.

Gdy Lili przyszła na drugie pozowanie. Serge czekał w tradycyjnym roboczym ubraniu fotografów, to znaczy, w czarnym swetrze i dżinsach z szerokim skórzanym paskiem, mniej więcej splaszczającym mu brzuch. Kupił dla Lili mrożony torcik czekoladowy, sobie napełnił kufel czerwonym winem i gdy ona jadła, popijał, jak gdyby wcale mu się nie spieszyło do roboty.

W końcu wziął aparat.

- Coś ci powiem, cherubinku, chciałbym na początek pstryknąć parę zdjęć na chybił trafił. Tak, jak jesteś w tej kretonowej sukience i siedzisz w tym starym pluszowym fotelu.

Ustawił światła jeszcze przed jej przyjściem, teraz tylko włączył cichą, nastrojową i rytmiczną muzykę taneczną.

- Ukrój sobie następny kawałek, mała. Cały ten tort jest dla ciebie... Stop... Wolno odwracaj głowę do aparatu... Nie, tylko głowę, cherubinku... Uśmiechnij się... Wspaniale, dziecko. Widzę, że będziesz dobra. Teraz może spróbujemy odpiąć dwa guziki... Nie masz nic przeciwko temu?... Fantastycznie... Dalej patrz na aparat... Jeszcze dwa guziki... Przechyl się w lewo i zjedz duży kęs.

Lili starannie przechyliła się w lewo, ale kawałek tortu, zanim ugryzła, rozleciał jej się w ręce. Parsknęła śmiechem, odwracając głowę do Serge'a i... Pstryk!

Serge fotografował dwoma aparatami. Potem zniknął z nimi w ciemni, by zmienić rolki filmu i wyszedł stamtąd rzeński, bezosobowy jak dentysta.

- Teraz sfotografujemy cię w bikini. Znajdziesz takie kostiumy w najwyższej szufladzie komody w garderobie. Wybierz sobie, który chcesz.

Lili od dawna marzyła o bikini, więc nie trzeba było jej do tego namawiać. W końcu ukazała się w białych koronkach, aż Serge'owi zaparło dech, gdy włączył wentylator.

- No, kwiatku, stań na nogach rozstawionych, niech ci włosy szarpie do tyłu mój wiatr w pracowni i przyłóż tę butelkę z wodą sodową do ust, trzymaj ją, uśmiechaj się... Tak właśnie, jesteś naprawdę ponętna. W pół godziny później Lili już się nie denerwowała.

- Spróbujmy teraz tylko w majteczkach - powiedział Serge niedbale, przebierając palcami po światłomierzu.

Spojrzała niespokojnie.

- Czy muszę?

- No, musisz, kwiatku... jeżeli chcesz tych pieniędzy. Zresztą, nikt oprócz nas nie będzie wiedział.

- Ale do czego są te fotografie? Do jakiegoś pisma?

- Nie można wciąż myśleć w ten sposób. To jest sztuka, artyzm. Zdejmij stanik, dziecko.

Lili nadal powątpiewała, ale nie chciała się spierać o swoje nie sformułowane niespokojne podejrzenia, które Serge tak gładko wymazywał z jej podświadomości. Rozpięła stanik i stała tam, skrępowana, zakrywając piersi dłońmi.

- Wyśmienicie, kwiatku. Nie, nie uśmiechaj się, jest w porządku. - Pstryk! Herb Alpert dalej grał na drugim planie wesoło, uspokajająco. - No, teraz na krześle, kolana obejmij, podciągnij pod...

- Fantastycznie, pączuszk... Uklęknij, ręce spleć za głową. A teraz włożysz pończochy. - Wyciągnął parę grubych czarnych pończoch i pensjonarskie półbuciki. Lili pomyślała, że wyglądają nie bardzo artystycznie, ale włożyła je posłusznie. Te szkolne dziecięce nogi i białe majteczki z koronki podkreślające jej wątłość i młodocianą bezbronność, stanowiły kontrast z dojrzałością pełnych piersi o różowych brodawkach.

Nazajutrz Serge zabrał Lili na dach i fotografował ją w kretonowej sukience na tle kominów Paryża, aż mu zaufała. Tę rolę filmu zamierzał wyrzucić, niewarte jego fatygi byłoby wywoływanie. Potem rzucił Lili wykwintny negliz z brzoskwiniowego szyfonu.

- Spróbujmy teraz w tym.

Gdy się przebrała, przechylił głowę na bok, nieco zmarszczył brwi i stanowczo powiedział z dezaprobatą:

- Te majtki psują nastrój. Ściągnij je, kwiatku. Otóż to. - Odwrócił się, coś poprawił przy aparacie, po czym znów spojrzął na nią. - Ściągnij je, powiedziałem. - Ton groźby w jego głosie był lekki, ale oczywisty.

Trochę drząc w słabym blasku wrześniego słońca, Lili usłuchała. Serge zrobił kilka cudownych zdjęć tych dużych, chociaż jeszcze pokwitających piersi i niezdarne młodzieńcze ciała pod przezroczystą brzoskwiniową szatką która chwilami się rozchyłała bez wiedzy Lili, na tle paryskiej linii horyzontu - dachów łukowych, kominów i gołębi. Był zadowolony.

- Jutro będziemy się fotografować w pewnym zakątku w Lasku Bulońskim - powiedział. - Następną serię pstrykniemy wśród drzew na trawie.

Lili nie chciała pozować. Zaraz po pożegnaniu z uspokajającym Serge'em, czuła wstyd. Biegła do domu, rumieniąc się i pojękując. Postanawiała, że nigdy więcej do tej pracowni nie pójdzie.

Ale co dzień rano, gdy się budziła, miała zawrót głowy i mdłości i już na korytarzu w drodze do łazienki wiedziała, że musi dalej zarabiać. Serge, żeby ją jeszcze bardziej przekonać, dał jej kilka odbitek z pierwszego pozwania. Ukryła je pod materacem tam, gdzie był złoty medalionik. Chciała je podrzeć, ale też chciała je zatrzymać. Rzeczywiście bardzo ładnie na nich wyszła.

Madame Sardeau od czasu do czasu krzyczała na nią.

- Musisz skończyć moje zimowe nocne koszule, zanim zacznie się rok szkolny! - Ale się nią nie interesowała i miała większe zmartwienie niż swoje nocne koszule. Ostatnio mąż często pracował w biurze do późnej nocy. Czasami, gdy odbierała telefon, nikt się nie odzywał. I on zachowywał się jakoś dziwnie, ani razu odkąd wróciła z Normandii, nie przeszkadzał jej spać w nocy. To było zastanawiające.

Lili nie widziała pieniędzy za swoją pracę. Serge dawał je bezpośrednio konsjerżce, przy czym trzeba mu przyznać, że płacił uczciwie, co do grosza. Ale konsjerżka

zapowiedziała, że nie załatwi zabiegu, dopóki nie zbierze się na to cała suma, więc Lili dalej pozowała, aż nadszedł trzeci miesiąc jej ciąży.

Lili siedziała w małej mglistej od dymu papierosów kawiarni. Nie chciała wstać i pójść dalej. Nogi miała słabe, ciało zranione, obolałe jak jej myśli. Do czasu przygotowania kolacji kawiarnia była domem pogodnego, normalnego życia w połowie drogi pomiędzy tym koszmarem po południu i przygnębieniem, które jak zawsze miało ogarnąć Lili przed ciemnymi frontowymi drzwiami mieszkania Sardeau.

Lili nie mogła zapomnieć upokarzającego bólu operacji, na domiar nieszczęścia po bolesnym upokorzeniu, jakim było dla niej zniknięcie Alistaira. Przecież myślała, że on ją kocha. Czy to takie straszne, że nie zażywała tych tabletek? Czy tak strasznie jest mieć dziecko zamiast przerwania ciąży?

Dowlokła się po schodach na szóste piętro i nacisnęła dzwonek - klucza nigdy jej nie dawali. Drzwi się otworzyły. Stała w nich madame Sardeau jak rycząca czarna krowa. W ręce miała złoty medalionik i kontaktowe odbitki znalezione pod materacem.

- Co to za plugastwo? Więc to robiłaś, kiedy myślałam, że jesteś w parku! To wyprawiasz, ledwie się odwróć! W taki sposób okazujesz wdzięczność, ty wycieruchu!

Lili przestraszona cofnęła się ku schodom. Madame Sardeau w furii wrzeszczała dalej. Z niższego piętra ktoś zawołał:

- Ciszej tam!

Lili cofając się potknęła i spadłaby ze schodów, gdyby nie chwyciła się poręczy.

- Ty plugawa mała suko, od razu widać, skąd pochodzisz!... Z rynsztoka! Tak jak przypuszczaliśmy, ty dziwko lubieżna! Po tym wszystkim, cośmy dla ciebie zrobili...

Lili odwróciła się i uciekła od tych okropnych słów do pracowni Serge'a. Z płaczem wtuliła się w jego pulchną pierś.

- Hmm... więc ta stara klempa się dowiedziała - powiedział spokojnie. -No, zdziwiony nie jestem, ale to szkoda, kwiatku.

Nie był zdziwiony, bo zatelefonował do madame Sardeau i nie przedstawiając się, poradził, żeby zajrzała pod materac Lili... Nie miał zamiaru jej utracić, gdy ta aborcja stała się faktem dokonany. Okrył ją pledem, położył na kanapie, zagrzał dla niej trochę mleka.

- To było dzisiaj, prawda? - zapytał. Skulona pod pledem Lili szlochając przytaknęła.

- No, powinnaś leżeć, dopóki nie poczujesz się lepiej, więc leż, a potem zdecydujemy, co robić. - Głaskał ją po splątanych czarnych włosach, aż usnęła.

Z paplaniny Lili wiedział sporo o monsieur i madame Sardeau. Ona do nich nie wróci. On już ja ma! Już jej nie utraci, gdy dowiedzieli się tak raptownie. I Lili przecież nie będzie pierwszą nastolatką, która uciekła i zniknęła w Paryżu. Mało prawdopodobne, żeby powstał szum, jeżeli jej nie znajdą. Mogłaby się zaszyć u niego, ukrywać się przez jakiś czas - w tej chwili nie mieszka z nim żadna dziewczyna, która by skomplikowała sprawę. Lili ma prawie czternaście lat, umalowana chyba wyglądałaby na osiemnaście. Zgarnąć jej z czoła tę grzywkę, dać pomadkę do ust, jakieś nowe łaszki i wysokie obcasy i wcale nie będzie przypominała swoich fotografii, które może dostanie policja. I gdyby ją jednak znaleźli, no on przecież jej nie napastował, prawda?

Serge właśnie wrócił z pewnej agencji reklamowej. Jego nowa teczka zawierała tylko zdjęcia Lili - Lili leżącej, na pół przykrytej koronkowym szalem, zarumienionej i sennej na skotłowanej pościeli, Lili z warkoczami, biegającej nago po wysokiej trawie; Lili w słomkowym kapeluszu i króciutkich szortach, prowadzącej rower leśną ścieżką; Lili siedzącej, tych bioderek z tyłu, gdy ona wplata jaśmin we włosy przed lustrem, w którym widać jej zmysłowe piersi.

Redaktor działu graficznego, wytrącony ze swojej nudy, podsunął na czoło okulary w czarnej grubej oprawie i sięgnął po telefon.

- Przepraszam, że ci przeszkadzam, T.J. - powiedział - ale wiesz... ten kalendarz reklamujący opony, o którym myślimy na Boże Narodzenie? Chyba mam tutaj coś odpowiedniego.

Główny księgowy w znakomicie dopasowanym ubraniu przyszedł natychmiast, milcząc przerzucił fotografie w teczce i już uważniej obejrzał je po raz drugi.

- Dobrze - zaopiniował. - Ale to tylko jedna dziewczyna.

- No, oczywiście mamy inne, ja jednak starałem się uchwycić nastrój, coś innego niż te zwykłe cycki i zadki, uchwycić tę niewinność, to wrażenie, że lato trwa wiecznie, tę nostalgię i ten kontrapunkt kipiącej joie de vivre.

- Tak, tak, z pewnością są sexy. Dobrze, on może fotografować tę modelkę. Ale to ma być prędko i chcemy jeszcze co najmniej dwie dziewczyny. I jedna musi być blondynką.

Serge nakrył Lili jeszcze jednym pledem i cicho przeszedł z pracowni do sąsiedniego pokoju, w którym mieszkał, jadał i prowadził życie seksualne. Wziął swój czarny notes z adresami, rzucił się na nie zasłane łóżko i zatelefonował.

- To ty, Teresa? Mam dla ciebie dobrą pracę, kwiatku.

Do końca tego tygodnia Lili ukrywała się na poddaszu Serge'a, odzyskując siły i animusz. Serge wyszedł po zakupy i przyniósł naręczę róż, dwie płyty Beatlesów, koronkową koszulę nocną w stylu wiktoriańskim, czepek z organdy skrojony na kształt kwiatnych płatków i z drugimi połyskliwie białymi wstążkami, bardzo ażurową kamizelkę ze sznurka, kilka befsztyków i torbę plastikową pełną cukierków i innych słodyczy. Po paru dniach Lili przestała drżeć na myśl o madame i monsieur Sardeau i Serge stanowczo jej poradził, żeby uznała ten rozdział swojego życia za skończony. Przecież uciekła, jest rozsądnym stworzeniem. Teraz będzie traktowana jak dorosła i czekają ją same przyjemności.

- W przyszłym tygodniu Teresa zabierze cię do sklepów, kupi ci ładne rzeczy - obiecał Serge.

Gdy Lili odpoczywała, ciężko pracował z Teresą, dwudziestoletnią modelką, która zaplatała swe jasne włosy w warkocze i usiłowała wyglądać na czternastolatkę. W ciągu dnia pozowała do reklam zup i margaryny, a wieczorami lubiła bywać w drogich restauracjach ze starymi mężczyznami. Młodzi ją nudzili; wołała bogatych panów w podeszłym wieku, przy których mogła robić z siebie dziecko.

Teresa była wysokiej klasy dziewczyną na wezwanie telefoniczne.

Odbyła się wyprawa do Galerie Lafayette i Lili miała teraz tweedowe pumpy Jules-and-Jim z pasującą do nich białą czapką golfową a la Jackie Coogan, broderie anglaise pelerynę trzy czwarte, złożoną z warstw falbanek; trzy sukienki koloru migdałów w cukrze i do każdej odpowiednie czółenka na wysokich obcasach; pierwszą w życiu torebkę i płaszcz z białych królików. Zmieniła uczesanie: włosy zgarnięte z czoła tapirowała w stylu Bardotki, co było bardzo sexy. Wszelkie myśli o powrocie do szkoły, wszelkie myśli o państwie Sardeau, wszelkie myśli o przeszłości i przyszłości uleciały jej z głowy - żyła tylko zmysłową terażniejszością. Jej nowi przyjaciele śmiali się i gawędzili z nią przymilnie, żeby pozowała nago w tym futrze z królików, a potem na łóżku z Teresą, gdy obie były tylko w koronkowych majtkach

i niczym więcej.

Czasami wychodziła wieczorem z Teresą i jej przyjacielem, który miał składnicę złomu, i Teresa wtedy szczebiotała jak dziecko, zamiast „ja” mówiła w trzeciej osobie:

- Teresa chce iść do Fouqueta. -I dąsała się: - Albert jest okropny, jeżeli nie weźmie Teresy gdzieś, gdzie będzie ładnie. Teresa słowem się do niego nie odezwie.

Zawsze stawiała na swoim i od razu kończyły się te dąsy.

- Och, Albert jest taki dobry dla Tereski; Tereska usiądzie mu na kolanach i będzie kochać go przez całą noc.

Gdy pracowała z Lili, nie była opryskliwa ani infantylna. Była życzliwa, bystra, chętna do przekazywania mądrości pokoju hotelowego.

- Lili, nigdy nie spotykaj się z mężczyzną w knajpie. Zawsze w barze hotelowym albo restauracji. - Posłusznie pozowała Serge'owi, siedząc na kuchennym stole. Jedną nogę podniosła na stół, spódnicę miała zadartą tak, że widać było nagość. - Zawsze miej przy sobie dosyć pieniędzy, żeby zapłacić za siebie, jeżeli on się nie pokaże. Wtedy po prostu zamów sobie jeszcze coś do picia albo posiłek. Omlet w żadnej restauracji nie kosztuje drogo.

Na polecenie Serge'a położyła się na wznak na stole, gdy Lili pochylając się nad nią miała odpinać jej bluzkę.

- Tak jest dobrze, Serge? Jeżeli on się nie pokaże, nie czuj się upokorzona, a jeżeli tylko się spóźnia, no... zachowuj się, jak gdybyś nic tylko wciąż bywała w najdroższych lokalach. Uuuch, Lili, to cholernie boli, zęby trzymaj przy sobie.

Z kolei nastąpiło pozowanie z kuchennym krzesłem. Teresa stała, a Lili klęczała na krześle i wielbiąco wczepiała się w jej rozchylone kimono.

- Zawsze staraj się chodzić do restauracji, w których już byłaś - radziła dalej Teresa - więc cię tam znają. I zawsze dawaj duże napiwki w toalecie.

Serge'owi nie podobała się ta poza. Odeszły od krzesła. Wróciły do stołu. Znow noga wysoko, ale tym razem zdjęcie z przodu.

- ...i kiedy wychodzisz wieczorem, nigdy nie bierz więcej pieniędzy, niż trzeba na jedną kolację i dojazd do domu. Wtedy nie będziesz mogła nikomu pożyczać.

Na polecenie Serge'a stanęły jedna przed drugą.

- Bliżej... bliżej... tak, żebyście się dotykały. -I kazał Lili zrzucić kimono.

- Kiedy jesteś w St Tropez - ciągnęła Teresa - nigdy nie udawaj, że się zatrzymałaś w drogim hotelu, bo oni szybko wykryją, że to nieprawda. Zawsze staraj się umawiać u

Senequiera i jeżeli ktoś zapyta, gdzie mieszkasz, mów, że w małym hoteliku, spokojnym i tanim. Bogaci zawsze to szanują i wcale nie muszą wiedzieć, że gnieźdźdź się w jednym pokoju z czterema dziewczynami.

- Przestańcie gadać, zabierzcie się poważnie do pracy. Teraz Lili niech ci szczotkuje włosy od tyłu, a ty się rozpieraj w tym trzciniowym fotelu. To ci podniesie trochę wyżej te twoje stare cycki, Tereso.

Już pewny, że Lili nie poszukuje policja, Serge zrobił następny krok, a mianowicie zwabił ją do swego łóżka.

Kiedyś wieczorem, po drugiej serii zdjęć w nocnej koszuli na łóżku w pracowni, Serge schylił się nad Lili, żeby lekko, po ojcowsku ucałować ją w czoło, co zwykle znaczyło, że praca tego dnia już się skończyła. Ale tym razem ułożył się przy niej i wymamrotał:

- Serge chce się przytulić.

Nagle ostrożna, Lili zeszytywniała. Wkrótce jednak usłyszała jego ciężki oddech i ostatecznie sama zasnęła. Serge wtedy podniósł głowę, szybko się rozebrał i wsunął pod kołdrę. W środku nocy Lili obudziły palce powoli, miarowo głaszczące jej wilgotną lechtaczkę. Senna, przeciągała się ospale, dopóki nie zaczęła drzeć. Odrywając swą małą miednicę od łóżka, wygięła się w dreszczu pierwszego orgazmu.

Potem leżała zdyszana, zdumiona, pełna lęku i poczucia winy, ogłupiała, gdy Serge dźwignął się i zaczął lizać jej powieki. Ujął jej drobną rękę, przyłożył do owłosionego torsu i skierował niżej.

Młoda i niedoświadczona Lili pojęcia nie miała, jak chytrze jest wykorzystywana. Teresa i Serge wydawali się tacy pewni siebie, tacy światowi. Teresa stwierdziła, że dziwnie polubiła dziewczynkę wprost wzruszającą okazywaniem jej zbożnego podziwu. Nawet chciała to Lili wyperswadować.

- Ale ja nigdy dotąd nie miałam prawdziwej przyjaciółki - powiedziała jej Lili poważnie - żadnej takiej, która naprawdę chciała się ze mną przyjaźnić. W szkole w Szwajcarii koleżanki mówiły, że zadzieram nosa, bo miałam dodatkowe lekcje, i ich mamy nie pozwalały im bawić się ze mną, bo nie miałam taty. A w szkole w Neuilly nie było kiedy poznać koleżanek, bo madame Sardeau nie pozwalała mi się z nimi widywać poza szkołą, mówiła, że to by mi przeszkadzało pracować... Nie, nie odrabiać lekcje, jej

chodziło o sprzątanie w domu, gotowanie i szycie... Więc widzisz, to cudownie mieć prawdziwą dorosłą przyjaciółkę.

Teresa poczuła się nieswojo.

- Niedługo będziesz miała mnóstwo przyjaciół, mężczyzn. Tylu ogląda się za tobą na ulicy.

- Wiem, ale nie rozumiem, dlaczego tak patrzą na mnie.

- Masz coś w oczach - wyjaśniła Teresa niechętnie.

Tego dnia wieczorem Lili zamknęła się w łazience i przez dwie godziny z całą powagą patrzyła sobie w oczy w lustrze, usiłując coś w nich zobaczyć. Ale widziała tylko oczy. Owszem, rzęsy trafiły jej się szczęśliwie, mnóstwo jednak osób ma oczy duże i ciemne, rzęsy długie, połyskliwe, a przecież nie wywołują takiego nadzwyczajnego wrażenia. Nie, to nie mogą być oczy. Postanowiła jeszcze sprawdzić.

Gdy wyszła na spacer w wiśniowym aksamitnym kostiumie z talią jak osa, spojrzała prosto w oczy pierwszemu lepszemu mężczyźnie, mrugnęła niejasno i z wolna, lekko się uśmiechnęła. Natychmiast zobaczyła, jak jego pospolita pożądlivość zmienia się w bezradne urzeczenie. Więc to oczy, pomyślała uradowana. Nie wiadomo dlaczego, ale chyba rzucają jakiś urok.

Serge rozpieszczał i hipnotyzował Lili, wylewny i czarujący, gdy Lili była posłuszna, ostry i groźny, gdy nie robiła tego, co jej kazał.

- Chcesz, żeby policja dowiedziała się, gdzie jesteś? Chcesz, żeby wiedzieli, że miałaś niedozwolony zabieg? Chcesz pójść do więzienia? Chcesz wrócić do tych Sardeau? - warknął w pewne wiosenne popołudnie wkrótce po ukończeniu zdjęć do kalendarza.

- Och, nie, Serge. Błagam, nie. Nigdy więcej.

- Więc kładź się z Teresą na tym łóżku, mała, i żeby mi tu nie było grymasów.

Teraz Lili nie czuła wstydu i upokorzenia, pozując nago. Ci dwoje podchodzili do tego tak rzeczowo i różne dziewczyny, które od czasu do czasu pozowały Serge'owi, także. Dla nich rozebranie się do naga znaczyło tyle, co zrzucenie pantofli z nóg. I one wszystkie sypiały z mężczyznami. Jak powiedziała Teresa, to świadczy, że się już nie jest szkolną smarkatą.

Ale ta sprawa była czymś innym. Kręcili film. Sprowadzono kamerę filmową i przyszli do pracowni mężczyźni, których Lili nie знаła. Patrząc spode łba, zdjęła

wiśniowy bawełniany szlafrok i wskoczyła na podwójne łóżko ustawione pośrodku pracowni, otoczone światłami. Serge włączył nastrojową muzykę, po czym wdrapał się na wywindowaną platformę kamery i z wysoka zaczął dyrygować Lili. Słuchała drętwa i niezdarna. W końcu powiedział:

- Dobrze, zrobmy przerwę. - Podszedł do łóżka, do Lili skulonej, obejmującej rękami kolana.

- Kwiatku, jesteś zanadto spięta. Wiesz co, włóż szlafrok, a ja ci zagrzeję mleko i doleję rumu. To cię odpręży, pączuszk.

W brudnej kuchni zgniótł trzy tabletki uspokajające Mandrax i dosypał je do gorącego mleka, zanim dołał osłodzony rum. Z promiennym uśmiechem dobrego wujaszka przyniósł ten koktajl i podał Lili.

- Jeżeli po tym nie poczujesz się lepiej, kwiatku, to przestaniemy kręcić - powiedział.

Lili wypięła i prawie zaraz stała się senna i bierna.

- Szczyp ją Teresa, nie dawaj jej spać. No, zaczynajcie akcję. Dobrze, Teresa, bierz się za jej cycki.

Lili leżała bezwładnie na łóżku. Teresa lekko szarpnęła na niej czerwoną szarfę szlafroka i obnażyła ją. Zaczęła głaskać jej piersi. Mgliście świadoma, Lili skrzyła się i spróbowała Teresę odepchnąć, ale ręce jej nagle zwiotczały i opadły. Teresa przytrzymując jej dłonie na łóżku, przychyliła usta do lewej piersi.

- Wspaniale. Teraz ty wchodzisz, Carl.

Krzepki mężczyzna, który do tej chwili opierał się o ścianę, zdjął skórzany pasek, wojskową kurtę polową z brezentu i dzinsy. Ruszył do łóżka.

- Wolnego, Carl, wolnego. Chcę, żeby to było prawie jak w zwolnionym tempie. Wsuń się na łóżko za Teresę i myśli miej robaczywe, żeby nam to jak najszybciej stwardniało. Dobrze, teraz możesz pogłaskać ją po zadku.

Serge pocił się, nie przypuszczał, że kręcenie tego filmu może być tak podniecające. Do cholery, gdyby nie ta cała ekipa, która kosztuje diabli wiedzą ile, byłby teraz tam na łóżku, miałby swój udział.

- Żywsza akcja. Teresa, oderwij usta od krzaczka Lili, ustąp miejsca Carlowi. Nie, nie odchodź, Teresa, zaraz przyjdzie na ciebie kolej, mamy jeszcze dwadzieścia rozkosznych minut tego filmu. Możesz tymczasem obrócić się, podsunąć Carlowi głowę. Carl, nie odważ się skończyć, mów sobie alfabet od z do a, czy bo ja wiem co. Teraz usiądź powoli.

Ręce na głowę Teresy. Ładnie, bardzo ładnie, zostań tak. Ciągnij, Teresa, zobaczmy, czy on jest z kamienia. Och, bardzo ładnie. Carl, odwróć się teraz... nie za prędko i ciach! w Lili, pokaż, ile jesteś wart.

Lili wrzasnęła, wyraz paniki na jej zamroczonej twarzy uchwyciła kamera.

- Ładnie, bardzo ładnie, dzinsy im to będzie zabielać - mruzczał Serge, zadowolony.

Po tym filmie dawał się zauważyć na zdjęciach Lili jakiś cień znużenia, świadomość zła, zmęczona ugodowość.

Ostatecznie, dokąd ona mogła pójść? Co innego mogła robić? Serge w nieskończoność jej przypominał, że jest niewykwalifikowana, nadaje się tylko na prostytutkę albo na ekspedientkę, ale żeby dostać pracę w sklepie, trzeba mieć referencje i doświadczenie z poprzedniej posady. Przygryzała palce wiedząc, że Serge ma rację. Serge zmuszał ją do robienia tych upokarzających rzeczy, poza tym jednak był dobry, dawał jej wszystko, czego chciała - cukierki, czasopisma filmowe, płyty, pantofle na wysokich obcasach, stroje. Zabierał ją do kina, do restauracji i na przyjęcia, chociaż przyjęć raczej nie lubiła. Nie podobały jej się pełne zainteresowania, nieco pogardliwe spojrzenia z ukosa, jakie rzucali na nią mężczyźni. Ku jej uldze, Serge nie zostawiał jej samej. Nawet pilnował, żeby ani na chwilę nie odchodziła od niego; oczywiście nie traktował jej źle i przynajmniej nie musiała wstawać o piątej rano, żeby szyć cudze nocne koszule.

Lili nigdy nie myślała o przeszłości, ciesząc się nieznanymi jej przedtem luksusami czasu teraźniejszego - nigdy też nie próbowała wybiegać myślą w przyszłość. Teraz była rada, że vraie maman w żaden sposób nie zdoła jej odnaleźć. Gdy odzywało się w jej świadomości tamto dawne szczególne marzenie albo gdy przyłapywała się na wspomnieniu Angeliny czy Felixa, musiała uznać fakt, że wstydzi się swego obecnego życia. Ale jak inaczej mogłaby żyć?

Zaczęła się opancerzać, udawać, że jest jej obojętne kręcenie tych obrzydliwych, haniebnych filmów. Tylko dzięki temu wytrzymywała leżąc na prześcieradłach z satyny nago w objęciach kopulujących obcych mężczyzn czy martwościcznych kobiet w różnym wieku i o różnym kolorze skóry, gdy inni obcy patrzyli spoza planu. Wydawało się, że apatycznie godzi się na każde poniżenie, chociaż kiedyś - ni stąd, ni zowąd - wpadła w histerię, ledwie Serge wprowadził do studia alzackiego owczarka.

Powróciło wspomnienie: wędrówka w zimnej mgle, po śniegu i błocie i to straszne ujadanie, warknięcia i jeden cienki krzyk, który zmienił się w bulgot.

- Nie! Nie! Felix, Felix, ratuj! - cała się trzęsła, zęby jej dzwoniły i do końca dnia nie mieli z niej żadnego pożytku.

Z żalem Serge ostatecznie zrezygnował z urozmaicania filmów wprowadzaniem zwierząt. Musiał się zadowolić takimi efektami, jak Lili przykuta łańcuchem do ściany lodu zgoła niedoskonale zrobionego z papier mache, Lili biczowana przez łysych, umięśnionych bokserów, czy krępowana sznurem przez karykaturalnych, niby to dowcipnie, Anglików w monoklach, Lili na klęczkach liżąca każdego, kogo Serge wybrał.

Nie był wcale o nią zazdrosny ani się nad nią nie litował. Patrzył na nią jak na sprytną tresowaną małpkę - robiła wyuczone sztuczki, więc zapewniał jej wygodne życie. Skłonił ją do podpisania kontraktu na pięć lat z Produkcją Sergio - nie, żeby to miało moc prawną, rzecz jasna, bo ona była małoletnia, ale o tej nielegalności przecież nie wiedziała. Produkcja Sergio sprzedawała swoje zręcznie, fachowo zrobione filmy porno po zawrotnych cenach, Lili jednak nigdy nie widziała tych pieniędzy. Na liście płacy Produkcji Sergio miała 400 000 franków rocznie, mniej więcej tyle, ile zarabia sekretarka, ale Serge potrącał z tego 15 procent na honorarium swego agenta, 30 procent na honorarium reżyserskie dla siebie i drugie 30 procent na utrzymanie, mieszkanie i ubranie, niewiele więc zostawało dla niej.

W ciemnoaksamitnej głębi klubowego kina niedaleko Pól Elizejskich jeden z mężczyzn szepnął do drugiego:

- Co to za jedna, ta brunetka? Jakaś nowa, prawda? Dziewczyna Serge'a? Za dobra jest dla takiego gnoja. Zasluguje na coś lepszego. Zadzwoń do Serge'a jutro.

W następnym tygodniu Serge wezwał Teresę do dużej sutereny, gdzie teraz miał studio. Więcej starania niż zwykle włożono w proste urządzenie planu. Punktem ogniskowym była głęboka staroświecka wanna biało emaliowana, stojąca na nóżkach jak szpony wśród palm w donicach. Z węża płynęła do wanny ciepła woda, obficie zaprawiona płynnym detergentem, aż na boku zwisały stalaktyty kapiącej piany. Światła w coraz wyższych szeregach już się paliły.

- Cisz - powiedział Serge. - Kręcimy!

Lili robiła to co zawsze. Udoskonaliła sztukę odłączania się od swojego ciała. Siłą woli sprawiała, że jej własna skóra stawała się dla niej tak nieistotna, jak stary kombinezon, i dlatego eksponowanie nagości nie mogło być gorsze niż eksponowanie starego kombinezonu. Ta prawdziwa Lili wznosiła się i ulatywała od brudnych obcych rąk dotykających jej skóry. Patrzyła na tę scenę z wyżyny, daleka, nie mająca nic wspólnego z tymi obrzydlistwami, albo przewycięzała upokorzenie, chroniła wątłe uczucie szacunku dla samej siebie, po prostu sobie wyobrażając, że jest zupełnie gdzie indziej.

Po takiej pracy Lili była obojętna, zgaszona, prawie się nie odzywała, dopóki po powrocie do mieszkania nie wymoczyła się porządnie w wannie pełnej ciepłej wody w zaciemnionej łazience, aż z wolna jej ciało i dusza łączyły się na nowo. Zawsze niezłomnie wierzyła w przyszłość, pewna, że ostatecznie nastąpi happy end, bo naczytała się wielu romantycznych bzdur w magazynach, kupowanych przez madame Sardeau co tydzień. Stąd знаła tradycyjne zakończenia takich opowieści. Jest sierotą, no nie? Jest wykorzystywana, no nie? Miała ciężkie przejścia, tak jak te wszystkie bohaterki, prawda? To znaczy, doszła do czwartego rozdziału swojego życia i jeszcze sześć rozdziałów dzieli ją od wymarzonego mężczyzny i szczęścia na zawsze. Tymczasem musi się pogodzić z tą niedolą prosto z melodramatu w odcinkach.

- Kręcimy! - powtórzył Serge niecierpliwie.

Lili wysunęła się ze swego futra z białych królików i naga weszła w pianę. Starannie namydliła piersi, wolno przesuwając palce po śliskiej skórze. Na plan wystąpiła Teresa w wąskiej koszuli rozpiętej do pasa. Stała przy wannie za plecami Lili, pochyliła się i zaczęła ją namydlać przeciągle, zmysłowo.

- Dobrze, Teresa, usiądź za nią na krawędzi wanny, nogi z obu jej stron. Lili, głębiej w wodę, chlapnij! Tak żeby koszula Teresy się zmoczyła, i przylgnęła, niech brodawki jej sterczą. Teresa, wsuń się do wanny za nią. Szlag to trafił, wszędzie woda na tej cholernej podłodze. No, kochasie, chcę normalnej akcji... tak, ładnie, och bardzo, bardzo ładnie. Lili... Lili! Okazuj, że jest przyjemnie, będziemy kręcić i kręcić, dopóki nie okazesz, no, tak już lepiej. Ben, wchodzisz. Siadasz z tyłu na krawędzi, nogi w wodzie i niech ci stoi na baczność.

Połykując sinoczamymi mięśniami, Ben wystąpił zza palm.

- Wyjdź z wanny, Teresa, i stań za Benem. Ben, schyl się, weź Lili pod pachy, powoli, powoli, rozkoszujesz się myślą o tym, co zaraz zrobisz, teraz odwróć ją. Chcę tu zbliżenie twoich rąk na jej zadku i w szczelinie. Lili, bądź łaskawa okazać więcej zainteresowania. Wij się trochę, bo jak będziesz taka drętwa, to cholernie tego pożałujesz! Ładnie, bardzo ładnie... Teraz, Lili, uklęknij w wodzie. Ben wstaje. Zbliżamy się kamerą Ściągnij te różane usta, Lili bierz w nie. Na litość, dziwko, nie taka mina, masz się delektować tym cukierkiem na patyku. No, już lepiej. Teraz podnieś ją z kłeczek, Ben... usiądź na tylnej krawędzi wanny i użyj go... z fantazją, Ben, wolniej, ty czarny skurwysynie.

Serge kręcił tę scenę trzy razy, zanim członek Bena zastrajkował. Nie był już tak jędrny, ale to nie kolidowało z zamierzeniem Serge'a. Całą uwagę skierował raczej na Lili, niż na akcję. Nie chciał ujęć zbyt sprośnych, chciał mieć ujęcia ładne. Wszystko szło ściśle w myśl jego oczekiwania tak, jakby nakręcał zwykłe reklamy whisky czy soli do kąpieli, tyle że nie było tam miejsca na wyobraźnię czy podświadomą interpretację.

Wiedział, że nie potrafi nakręcić należytego filmowego tekstu, ale założyłby się o swego nowego Mercedesa, że to zainteresuje grube ryby, zwłaszcza po tym telefonie Zimmera. Mierzył wysoko - wysoko ponad tę pornografię. Miał zamiar zrobić z Lili gwiazdę. Vadim dokonał tego z Bardotką więc Serge kręcił teraz swój najlepszy porno, żeby Lili została odkryta. Już załatwił dla niej statystowanie w filmie science fiction z Christopherem Lee, w scenach kręconych w Wersalu; ona będzie tylko statystką jedną z załogi statku kosmicznego, ale to ją przygotuje do wielkiej szansy; jeżeli taka się nadarzy.

Nie jeżeli, powiedział sobie, gdy!

Wkrótce po swoich piętnastych urodzinach Lili po raz pierwszy legalnie ukazała się na celuloidzie, pokryta zieloną tłustą emulsją Leichnera, z włosami niewidocznymi pod srebrnym tekturowym hełmem.

Autobus zabrał ją o piątej rano. Zatłoczony był milczącymi sennymi ludźmi, skulonymi, w płaszczach. Wyjechali z Paryża przez Wersal do lasu. Autobus zboczył z szosy i po leśnym trakcie poślubionym koleinami dohuśtał się na duża polanę, gdzie stało kilka ciężarówek i przyczep. Pasażerowie wysiedli i w ciszy sztywno ruszyli w stronę najbliższej ciężarówki. Gdy Lili jeszcze wahała się na schodkach autobusu, jakiś młody człowiek w czapce żeglarskiej powiedział:

- Lepiej napić się kawy, dopóki można.
- Gdzie jest kawa?

- Twój pierwszy dzień? Chodź ze mną. - Wepchnął ręce w kieszenie swej marynarskiej kurtki z grubego sukna i po mokrej trawie poszli do tej ciężarówki. Tylne jej drzwi właśnie się otworzyły, zaczęto wydawać kawę i croissants. - To cię powinno rozbudzić. - Podał jej papierowy kubek.

- Z jakiegoś tajemniczego powodu ta kawa jest zawsze dobra. Statystujesz? W załodze kosmicznej? Ja jestem jednym z Cyganów, którzy zobaczą, jak wasz statek spada na polanę. Masz jakieś kwestie?

- Nie.

- Ja mam trzy. Rola! Moja pierwsza, stąd ten dobry humor. - Promieniał.

- Poza tym miło czuć się rześko, kiedy wszyscy tacy zaspani tłoczą się przy kawie, więc w lesie nie ma nikogo, a słońce wschodzi, ptaki śpiewają.

- Ja nie cierpię wcześnie wstawać. Dlaczego musieliśmy wstać tak wcześnie, kiedy zdjęcia zaczną się dopiero o pół do dziesiątej?

- Wszyscy filmowcy wcześnie wstają. O pół do dziewiątej każdy musi być gotów, a wierzysz mi, czy nie wierzysz, przygotowanie może trwać trzy godziny.

- Chyba nie jesteś Francuzem.

- Nie jestem. Moja matka była z Los Angeles, ale oni oboje, moi rodzice, zginęli w wypadku samochodowym, kiedy miałem pięć lat. Wychowywała mnie moja francuska babcia. Nazywam się Simon Pont.

- Ja jestem Lili i utraciłam rodziców, kiedy miałam siedem lat.

- Ciężki los, prawda? Lili i co?

- Lili i nic. Po prostu Lili. - Nie wyjaśniła mu, że ledwie ukończyła siedem lat, miała już cztery nazwiska, więc zdecydowała się nazywać w przyszłości tylko „Lili”. - Ale gdzie są te gwiazdy? Gdzie Christopher Lee i mademoiselle Collins? - zapytała z nadzieją, dojadając postrzępiony rożek croissanta, gdy szli do tablicy z rozkładem dnia.

- Gwiazdy pozostają w swoich przyczepach, uświęconych. Bez upoważnienia nikomu tam nie wolno wejść. Są przyczepy dla reżysera i dla gwiazd, garderoba i charakteryzacja. Wszyscy inni muszą sobie radzić jak kto może.

- Gdzie jest reżyser?

- W swojej przyczepie, dopóki nie będziemy gotowi. Scenarzysta, scenograf i agent prasowy nie pokażą się wcześniej niż o pół do dziesiątej, szczęściarze.

- Teraz, kiedy już wiem wszystko, muszę coś wiedzieć o planie.

- Wiesz wszystko z wyjątkiem jednego drobiazgu: gdzie jest ciężarówka charakteryzacji, w której teraz powinnaś być. Patrz, jest twoje imię na tablicy charakteryzacji - szósta trzydzieści. Pospiesz się. Powiem ci, że charakteryzatorki bywają wredne. Chyba nie chcesz mieć świńskich oczek i worków pod nimi, co?

Zobaczyła Simona znów w czasie przerwy obiadowej, gdy przyniósł z przyczepy kanapki. Rozłożył chustkę na trawie i usiedli we dwoje. Zaczął gryźć twardą bułkę. Zęby miał niezwykle białe, małe i daleko od siebie, jak zęby dziecka.

- Patrz, co za idiota prowadzi Mercedesa tak szybko po tych wybojach.

- To Serge, mój menedżer... żyję z nim.

- No cóż, to ja się zmywam. - Nie wydawał się ani zdumiony, ani rozczarowany.

W następnym miesiącu ukazał się kalendarz reklamujący opony samochodowe. Sam ten kalendarz był co rok wydarzeniem, zawsze kosztownie wydany ze zdjęciami słynnych fotografów, doskonale opracowany graficznie - poszczególne jego wydania znajdowały się później w antykwariatach jak białe kruki. Ale wydanie na rok 1964, w którym gwiazdą była Lili, z dnia na dzień stało się sensacją. W ciągu dwóch tygodni sprzedano cały nakład, egzemplarze przechodziły z rąk do rąk osiągając cenę ośmiokrotnie wyższą niż pierwotna. Dodrukowano jeszcze następny nakład i dwieście pięćdziesiąt tysięcy egzemplarzy rozeszło się też błyskawicznie.

I Lili prawie z dnia na dzień stała się tak sławna, jak osławiona. Wszędzie w Paryżu ludzie ją rozpoznawali.

Stwierdziła, że niedostateczność szacunku dla samej siebie ma swoje plusy. Nie było jej trudno nie przejmować się swoją coraz głośniejszą reputacją zmysłowej, twardej kurewki.

Serge nauczył ją mówić dziennikarzom szeptem, że jest sierotą. Sieroctwo to duża wartość reklamowa, powiedział. Sieroty są smutne, ujmujące. Niech Lili skończy z tą wariacką bzdurą o tajemniczej „mamie”, bo to mu tylko przeszkadza zachwalać towar, a poza tym nie chce mieć na karku stu zbzikowanych bab, które będą się podawać za jej matkę, żeby capnąć połowę jej dochodów.

Większość pierwszych fotografii Lili odsprzedawano i jej filmy porno krążyły po takich cenach, że Serge wprost nie wiedział, gdzie lokować pieniądze. Głowa przy głowie, omawiał z adwokatami i księgowymi podatkowe dobre strony Andory, Jersey czy

Monaco; przedsięwzięcie w rejonie wysp Kajmanów czy Bahama; założenie spółki w Panamie czy w Meksyku, wpłacenie gotówki adwokatowi holenderskiemu, żeby otworzyli numerowane konta w Szwajcarii, albo adwokatowi szwajcarskiemu do ulokowania w jakimś towarzystwie akcyjnym, będącym fasadą dla wielkich gwiazd filmowych.

O tych planach, o „za i przeciw” i o procentach nikt nie mówił Lili, bo ona nie miała ani grosza na własność. Związana kontraktem z Produkcją Sergio była własnością Serge'a. Wynagrodzeniem za jej pracę były tylko chytre spojrzenia, lubieżne uśmiešky i plotki. Nie potrafiła się z tym uporać, więc tylko witała każdego podejrzliwym spojrzeniem.

Cóż innego mogła zrobić?

Rozdział trzydziesty trzeci

Wkrótce po trzeciej rocznicy swego ślubu, któregoś ciepłego dnia wiosny 1965 roku Poganka i Kate zabawiały się dziecięcą grą w karty w ogrodzie.

- Hultaj nie bardzo lubi Londyn - powiedziała Poganka tasując karty. - Wciąż jeszcze tęskni do Komwalii, biedaczek. Ja też, jeżeli już o tym mowa. - Zaczęły grać. - Czy ja ci mówiłam, że Christopher zrobił się przykry dla mamy? Siedzieli oboje w bibliotece i rozmawiali cicho, grzecznie, jadownicie... Świnka! Do licha, aleś ty szybka... i wynik był taki, że wszyscy troje pojechaliśmy do tej kancelarii w St Austell... Świnka! Niech cię Gebo... Christopher mu powiedział, że on w żadnym razie nie powinien być pozwolić mojej opiekunce, żeby wydzierżawiła moją posiadłość sobie samej. Chociaż ja ani przez chwilę nie przypuszczałam, że mama tak to przedstawiła temu nieszczęsnemu staruszkowi. On chyba myślał, że mama prowadzi tę farmę zdrowia na moją rzecz, i nawet nie wiedział o... Świnka! Och, no wiesz, o jej testamencie. Sporządził go jej jakiś cwaniak, kanciarz w Londynie... Świnka! Za szybko dla mnie!... Więc ja za dziesięć funtów kupiłam opcję... Świnka! Och ty krowo... na zakup udziałów mamy w tej farmie zdrowia al pan po jej śmierci i za następne dziesięć funtów... Świnka! Hultaj!... kupiłam opcję na zakup udziałów Selmy w tej farmie zdrowia za aktualną równowartość po jej śmierci. Znów przegapiłam, do licha. Rozumiesz? To znaczy, że Selma... Świnka! Dziękuję! ...nie może położyć łapy na Trelawney, jeżeli mama wykituje, i że dostanę

wszystko z powrotem... Świnka! ...w końcu, jeżeli je obie przeżyję. I farmę zdrowia na dodatek.

- To miło... Świnka! - wrzasnęła Kate. - Dzięki, wspaniała sterta kierów i kar.

- Och, ty krowo, wygrałaś! - powiedziała Poganka. - No, mam nadzieję, że to cię wprawiło w dobry humor, bo chcę, żebyś mi pomogła w pewnej delikatnej sprawie.

- O co chodzi tym razem? - zapytała Kate.

- Przemyślałam dwie rzeczy - wyjaśniła Poganka. - Pierwsza: kocham Christophera bardziej niż gorzałę. Druga: kocham go tak bardzo, że nie zniosłabym życia, gdyby umarł. A ty wiesz, że on mógłby w każdej chwili i nic by z niego nie zostało. Nic by nie zostało z Christophera. Więc chcę mieć z nim dziecko. Nawet jeżeli to go zabije, chcę mieć z nim dziecko.

- Czy nie możesz poddać się... hm... sztucznemu zapłodnieniu?

- W żadnym razie! Wzdrygam się na myśl o czymś tak nienaturalnym. Chcę, żeby nasze dziecko poczęło się w akcie miłości, choćby to miał być nasz ostatni.

Kate była przerażona bezwzględnością rozumowania Poganki.

- Wbrew temu, co doktor powiedział?

- Wbrew, kochanie. Więc chcę, żebyś mi pomogła uwieść Christophera, bo wiem, że on się nigdy nie zgodzi. - Kate zaniemówiła ze zdumienia.

- Podasz mi przeciwieństwo kontroli urodzeń, dobrze? To znaczy wyliczysz mój niebezpieczny czas... okres niepewny. I sprawdzimy moje wyliczenie, bo w arytmetyce jestem do niczego, a wiem, że będę miała tylko jedną szansę.

- A jeżeli jedna szansa nie wystarczy?

- Kiedyś już tak było, nie pamiętasz? Jeden raz w Szwajcarii wystarczył, żeby wydać na świat to kochane maleństwo.

- Nie mówmy o tym, bo się rozplączę. - Obie westchnęły.

- Byłam w poradni planowania rodziny - ciągnęła Poganka. - Dostałam wykres i specjalny termometr i będę mierzyć sobie temperaturę co dzień rano, ale chcę, żeby wykres był u ciebie, bo Christopher mógłby go przypadkiem znaleźć. Na pewno bym go w końcu zawieruszyła na parapecie kominka. Kiedy temperatura lekko mi spadnie, to będzie znaczyło, że jestem przed owulacją. Po owulacji podniesie się o kilka kresek i tak zostanie aż do menstruacji. Więc kiedy temperatura mi spadnie, czas będzie działać! W

poradni powiedzieli, że powinnam sprawdzać mój wykres co dzień rano przez parę miesięcy, zanim rozpocznę intensywne nocne życie.

Chociaż Kate była tym pomysłem zgorzonna, Poganka ostatecznie namówiła ją do pomocy. Co dzień rano po odjeździe Christophera do laboratorium podawała jej przez telefon swoją temperaturę. Przez pierwsze dwa miesiące wydawało się, że nie ma różnicy, ale w trzecim nie ulegało wątpliwości

- temperatura spadła.

Odpowiedniego dnia w czwartym miesiącu, gdy księżyc był we właściwej fazie, a termometr wyraźnie chwiejny, Poganka, wyrachowana i stateczna jak tygrysica, zabrała się do uwiedzenia swego ślubnego małżonka. Nazajutrz rano zameldowała przyjaciółce:

- Kate, wybiegłam do Fortnuma, kupiłam wędzonego łososia, pasztet z dziczyzny, wiejskie jeżyny! Włączyłam ogrzewanie i kiedy on wrócił, siedziałam w tej różowej arabskiej koszuli z gazy bez niczego pod spodem. Otworzyłam zawczasu butelkę Haut Brion pięćdziesiąt dziewięć i kiedy tylko usiadł, podałam mu ogromną whisky z cukrem, lodem i świeżą miętą. Czystą, kukurydzianą z posiekaną miętą, z przetopionym cukrem. Och, pachniała bosko! „Myślisz, że jest dosyć mocna? - zapytałam go - bo wiesz, ja nie mogę spróbować". Kate kochana, to było sześć pełnych kieliszków do jajek, nie rozcieńczonej whisky, tylko ten miętowy cukier zabijał jej smak. Reszta poszła gładko. Wiesz, to nastąpiło zbyt szybko, żebym miała przyjemność, i nie potrafię ci powiedzieć, jaki on był siny, ale uważał, żeby zanadto się nie wściekać, boby mu ciśnienie podskoczyło.

Zdumiewające, ale zaszła w ciążę. Christopher był bardzo zadowolony, gdy już furia mu minęła i oswoił się z tą rewelacją. Oświadczyła, że chce mieć córkę.

- Najmilszą dziewczyneczkę o piwnych oczach - powiedziała zwijając się na jego kolanach, chociaż była na to o wiele za duża.

Roześmiał się.

- No takiej, kochanie, nie będziesz miała.

- Dlaczego?

- Bo oboje mamy niebieskie oczy, a jest genetycznie niemożliwe, żeby rodzice o oczach zdecydowanie niebieskich mieli dziecko piwnookie.

- Co to znaczy, genetycznie niemożliwe?

Przyciągnął ją do siebie i zaczął głaskać po mahoniowych włosach.

- W jądrze każdej ludzkiej komórki są dwa komplety genów... po jednym na rodzica... i w embrionie składają się na projekt, który określa odziedziczone cechy dziecka. - Powiódł palcem po jej zarysowanej jak skrzydełko brązowej brwi. - A teraz, co do koloru oczu. Dziecko może mieć oczy tylko niebieskie, jeżeli geny obojga rodziców są takie. Gen oczu niebieskich jest tak zwany „recesyjny”, to znaczy osoba mająca jeden gen piwnych oczu i jeden gen niebieskich zawsze będzie miała oczy piwne, a nie niebieskie. I to również znaczy, że rodzicom o zdecydowanie niebieskich oczach może się urodzić tylko niebieskookie dziecko. Niemożliwością jest, żeby ich dziecko miało oczy piwne.

- A orzechowe?

- Oczywiście są stopnie koloru oczu. Można mieć zielonkawoniebieskie albo orzechowopiwne i istnieje znikoma możliwość atawizmu odziedziczenia

koloru po jakimś piwnookim przodku, ale to mało prawdopodobne. Nigdy jednak tak się nie zdarza, jeżeli oboje rodzice mają kolor oczu taki sam, wyraźnie określony. - Rozciągnął i pocałował jej drugą brązową brew jak skrzydełko. - Nie można się spodziewać, że dwoje osobników o czysto niebieskich oczach sprokuruje latorośl o oczach czysto piwnych, bo to jest genetycznie niemożliwe. - Poganka przymknęła oczy i przytuliła się do jego piersi. - Więc ponieważ oboje mamy niebieskie oczy, możemy tylko niebieskie geny dać naszemu dziecku. Urodzi nam się dziecko niebieskookie, kochanie moje. I mam nadzieję, że ona będzie bardzo podobna do ciebie.

Dziecko, Sophia, przyszła na świat w lecie 1966 roku. I, o dziwo, Poganka okazała się idealną matką. Z dnia na dzień przestała być lekkomyślna i niechlujna. To zdumiewało Kate, dopóki nie zobaczyła pewnego dnia, jak Poganka bawi się z Sophią na dywanie w koci-koci-łapki. Zrozumiała, że Poganka traktuje córeczkę tak, jak traktuje swoje zwierzęta - bardziej troszcząc się o nie niż o dorosłych ludzi.

Naturalnie Kate została wybrana na matkę chrzestną.

- Posłuchaj, kochanie - powiedziała Poganka - to poważna sprawa. Nie chcę już więcej nieszczęść w moim życiu. Chcę, żebyś była taką chrzestną matką, do której ona będzie mogła uciec. Chcę, żeby zawsze widziała w tobie sprzymierzeńca, kogoś, kto zawsze jest po jej stronie, czy będzie na to zasługiwała, czy nie. Szczerze mówiąc, kochanie, chcę dla niej tego, czego ja nie miałam, kiedy mi to było potrzebne.

Kate z powagą skinęła głową.

Dała Sophii sznur mieniących się barokowych pereł. Jak było do przewidzenia, Poganka powiedziała:

- Powinnam je nosić, stracą połysk, jeżeli długo nie będą noszone na ciepłej skórze. Nie ma sensu trzymać ich w banku.

Chociaż jej alkoholizm wydawał się teraz jakimś nieprawdopodobnym snem, nadal bywała prawie co tydzień na zebraniach AA. Już zdawała sobie sprawę, że lepiej, by one pozostały częścią jej życia - jeżeli chce uniknąć następnych fatalnych błędów.

CZĘŚĆ SIÓDMA

Rozdział trzydziesty czwarty

Wiosną 1956 roku minęły cztery lata, odkąd Kate przyleciała z Kairu. Pierwszy tydzień po powrocie przepłakała. Chociaż ojciec mówił niewiele, odczuwała jego rozczarowanie, jego wściekłe oburzenie. Doszła do wniosku, że musi uciec od niego, uciec z domu. Potrzebowała jednak pretekstu, żeby mieszkać na Walton Street. Nie chciała być związana pracą na pełnym etacie, więc zdecydowała się na wolny zawód tłumaczki. Jej francuski nie był dostatecznie dobry - ani ona, ani Poganka, ani żadna inna pensjonarka nie nauczyły się dużo w L'Hirondelle - toteż zapisała się na przyspieszone kursy w Szkole Berlitz na Oxford Street i uciekła z zasobnych pseudogregoriańskich murów Greenways z powrotem do swego dawnego mieszkania w autentycznie gregoriańskim domku na Walton Street.

Stwierdziła, że ta praca nie sprawia jej trudności. Tłumaczyła szybko i dokładnie, więc dostawała tyle zleceń, ile tylko mogła wykonać, od agenta literatury francuskiej na

Motcomb Street. Pracowała w takich godzinach, w jakich chciała, dowolnie ustalała sobie tryb życia. Ojciec wypłacał jej pensję, ale już po sześciu miesiącach pracy doskonale mogła się obyć bez ojcowskich pieniędzy.

Usiłowała wymazać Roberta z pamięci. Znow zaczęła się widywać z dawnymi znajomymi i szybko się przekonała, że kiedy jest przygnębiona, nie powinna siedzieć sama w domu. Więc chodziła na spacer, włóczyła się po Londynie, na co w dzieciństwie nigdy jej nie pozwalano. Mieszła się z gromadami niechlujnych młodych cudzoziemców, którzy się kręcili wokół pomnika na Piccadilly Circus. Lubiła siedzieć wśród kamiennych lwów i fontann na Trafalgar Square, a potem wchodzić do National Gallery i godzinami napawać się spokojem w sali z Liliami Wodnymi Moneta.

Odkąd wyjechała z Kairu, czuła, że utraciła część siebie, że coś zostało odcięte. Trochę dlatego, że nie miała rodzeństwa, trochę wskutek gwałtownych reprimend ojca zawsze była lękliwa, niepewna, samotna, ale teraz doszło to poczucie utraty, którego nie rozumiała.

Co ona utraciła? Przecież nie dziewictwo; pożegnała się z dziewictwem na długo przed poznaniem Roberta - wcale tego nie uważając za melodramatyczne wydarzenie takiej rangi, jaką przyjęło się temu nadawać. I już nie płakała z powodu Roberta, jakkolwiek bolała ją wiadomość, że ożenił się z Poganką.

Ale to była sprawa zamknięta - dawno już - i przecież nie brakowało innych mężczyzn gotowych ją zabawić. Kate miała wielu miłych znajomych i właściwie zawsze się w którymś kochała - dwa tygodnie tu, pół godziny tam, pięciominutowe namiętne zainteresowanie jakimś obcym na piętunku autobusu. Wiedziała, że jest zmysłowa, wiedziała, że szalenie lubi dotykać mężczyzn i szalenie lubi uczucie, kiedy mężczyzna dotyka jej. Prawie w każdym znajdowała coś, o czym mogła marzyć później. Nie wiedziała tylko, a tak bardzo chciała wiedzieć, dlaczego ci dwaj jedyni, na których rzeczywiście jej zależało, wyrzucili ją ze swego życia.

Dlaczego?

Mówiła sobie, że przecież była posłuszna, wierna, lojalna, ufna i prawdomówna. No, prawie zawsze. Więc co z nią jest nie tak, jak trzeba? Dlaczego dostała te kopniaki?

- Dlaczego? - zapytała rozmawiając o tym z Maxine, która przyjechała do Londynu po zakupy. Siedziały na fioletowym szmacianym dywaniku i piły kakao przed lawendowymi płomykami gazu.

- Może oddajesz się za szybko? - podsunęła Maxine. - Nie, oczywiście nie ciałem, ty głupia. Psychicznie. Może za gorąco pragniesz uczucia... za szybko Igniesz... stajesz się zbyt serdeczna, za bardzo osaczasz. - Dmuchnęła w kakao, żeby trochę wystygło. - Już ja najlepiej wiem, Kate, jak ty potrzebujesz miłości. To widać. Więc kiedy wydaje ci się, że miłość znalazłaś, obskakujesz tego mężczyznę jak szczeniaka. - Wsunęła czubek języka w kakao i natychmiast wycofała. - Może powinnaś być raczej powściągliwa, raczej nieuchwytna. Mężczyźni cenią to, co trudno zdobyć. A ty, pamiętam, kiedy zjawił się Francois, rzuciłaś się na niego, rzuciłaś mu się pod stopy, byłaś słomianką z napisem „witaj”. No to on, jak my mówimy we Francji, wytarł sobie buty na tej słomiance.

- Ale w miłości byłam uczciwa.

- I słono zapłaciłaś za przyjemność folgowania sobie i za brak dyscypliny - z galijskim cynizmem zauważyła Maxine. - Jeżeli trudno kobietę emablować, jeżeli trudności sprawiają, że mężczyzna o tej kobiecie myśli i denerwuje się,

i poświęca na nią mnóstwo czasu, no to on... oczywiście... żeby uzasadnić swoje wysiłki, uzna, że jest ich warta, godna pożądania, nadzwyczajna.

- Przywiązywanie do siebie kogoś rozmyślnym robieniem mu przykrości to paskudny wyzysk psychiczny - powiedziała Kate - i fałsz.

Maxine wzruszyła ramionami.

- Więc nazywaj to jakoś inaczej. - Znów podmuchała na gorące kakao. -I zdaje mi się, że brak ci rozeznania. Widuję cię z naprawdę mętnymi typami.

- To nadal nie tłumaczy, dlaczego mam uczucie, że coś utraciłam. Prawie nigdy nie myślę o tych dwóch draniach, którzy mnie rzucili. Bogu dzięki nie chcę żadnego z nich. Ale chcę zrozumieć to uczucie utraty. Nie chodzi mi o nich, więc o co?

Maxine ostrożnie pociągnęła łyk.

- Kate, możesz się śmiać, ja jednak myślę, że utraciłaś swoją ufność. Ty rzeczywiście już nie ufasz ludziom. Nie, mnie przecież ufasz. Może nie ufasz tylko mężczyznom?

Kate została zaprogramowana do kochania drani. Nie pojmując tego, nie wiedząc, podwajała w swym dorosłym życiu taki układ, jaki sobie przyswoiła na kolanach taty. Dla Kate przynętą było odtrącenie. Jeżeli mężczyzna zaczynał ją krytykować, natychmiast wpadała zakochując się w nim. I gdy już się zakochała, wpadała jeszcze głębiej, idąc z nim do łóżka. I gdy była z nim już w łóżku, nigdy nie miała orgazmu. I nigdy nie odważyła się do tego przyznać. Tak więc Kate oszukiwała.

Zawsze jednak dręczył ją strach, że mężczyzna się zorientuje. Bała się, że odszedłby od niej - gdyby stwierdził, że jest zimna. I w tym strachu nigdy nie odnosiła się do kochanka uczciwie. Nieufna, nerwowa, niepewna, obsesyjnie poszukująca nie tyle księcia, ile potwora z bajki, gdy tylko się dopatrzyła najmniejszej choćby możliwości, że on ją porzuci, natychmiast sama odchodziła od niego, usuwała go ze swego życia.

Ale jej skrupowanie, czujność, gotowość do obrony przejawiały się wyłącznie w intymnym zbliżeniu. Kate ubrana, wytwarzała aurę utajonego, przemożnego seksu, co przyciągało hordy wielbicieli. Nie uważała się za kobietę ponętą. Skoro nie była ponętna dla tych, których pokochała, nabrała ostatecznie pewności, że nigdy żaden wartościowy mężczyzna nie mógłby jej pokochać naprawdę.

Musiała jednak sprawdzić.

Klasyczny „mężczyzna jednej nocy” chce się zaangażować tylko wtedy, gdy mu się zdaje, że jego partnerka nie chce. Klasyczna „kobieta jednej nocy” z nadzieją ale bez powodzenia szuka księcia i zawsze czuje się z tego powodu winna. Wiele kobiet wyobraża sobie, że swoboda płciowa oznacza podboje i przyjemności. Tak może być dla mężczyzny - jeżeli to typ, który chce skosztować każdego herbatnika z puszki - natomiast kobiety w przeciwieństwie do mężczyzn rzadko bywają łatwe, jeżeli mają cudowną miłość w domu. Łatwy mężczyzna obawia się, że mogłoby go coś ominąć. Łatwa kobieta szuka czegoś i - niestety - tego nie znajduje.

To właśnie dałoby się powiedzieć o Kate, klasycznym przypadku potencjalnej nimfomanii, aż do Sylwestra 1956 roku, gdy na Balu Sztuk Pięknych w Chelsea wśród balonów i serpentyn, wśród malarzy prawdziwych i nieprawdziwych Kate poznała swojego pierwszego Projektanta. Toby miał dwadzieścia osiem lat, był architektem specjalizującym się w projektowaniu szpitali i właśnie został najmłodszym wspólnikiem biura projektów. Wprowadził Kate w środowisko, w którym się obracał, i jego przyjaciele byli dla niej odświeżającą odmianą po oficerach z Brygady Obrony Kraju i nieopierzonych maklerach. W istocie projektanci ją fascynowali. Byli tacy zblazowani, gardzili wszystkim, co nie miało idealnych proporcji albo co nie było ich własnym pomysłem. Przy koktajlach, zanim zaczynali pić, mrużąc oczy oglądali kształt szklanek, talerzyki uznawali tylko z białej, nieozdobnej porcelany.

- Tej pierwszej nocy z Tobym - Kate radośnie opowiadała Maxine (która oczywiście słyszała podobne jej zwierzenia przedtem) - wziął trzy czarne bawełniane poduszki

kanapowe z pomarańczowego bawełnianego materaca... na podłodze pomalowanej na czarno... i rzucił je na krzesło z prętów i czarnej skóry. - Siedząc przed kominkiem Kate podciągnęła kolana i objęła je rękami. - Poza tym żadnych mebli nie było w tym pokoju - mówiła dalej już rozmarzona. - Potem poszedł za kuchenny barek, stanął na stołku i wyjął z szafy na ścianie dwie kołdry, potem zszedł ze stołka, schylił się i spod zlewu wyjął dwie duże czarne poduszki i rzucał tę stertę na materac. - Przeciagle, zmysłowo westchnęła. - Potem zdjął dzinsy, położył się tam i zaczął czytać Design przy świetle jednej z tych chromowanych gąsienic, które tak się wiją ze ściany, jak gdyby chciały ci zaglądać do książki czy gazety zza ramienia. Potem podniósł wzrok i skrytykował moje majtki.

- Wspaniale - powiedziała Maxine, ale pomyślała: ojej, jeszcze jeden drań. Kate beznadziejnie poddała się Toby'emu, który mówił jej, jak ma się

ubierać, wyglądać, myśleć, czuć i zachowywać. Gdy potępił ją przy Maxine za to, że jest nieporządna, niezdarna, nieudolna, Kate nie tylko mu wierzyła, ale, ku oburzeniu Maxine, rzeczywiście przyrzekała, że dołoży wszelkich starań, by się poprawić. Kate wielbiła pewność siebie Toby'ego i podzielała jego wysokie mniemanie o sobie. I znów stała się szczęśliwą słomianką, myślała Maxine, jednak musiała przyznać, że Toby, chociaż nieszczególnie przystojny, jest bystry

i zabawny. Wyraźnie inteligentny Toby entuzjasmował się swoją pracą.

Nawet nie żałował fady, żeby o tym, co robi, opowiedzieć Maxine, gdy siedzieli na jasnej bukowej podłodze i słuchali delikatnej, koronkowo misternej toccaty na klawesyn.

- Projektowanie szpitala ma ten minus, że często jest frustrujące - powiedział mieszając campari w zwyczajnej prostej szklance. - Ty masz jednego klienta... a tu jest cała ich gromada. Lekarze, którym się nie chce należycie przestudiować planów, naczelnice pielęgniarki, zarządy szpitali rejonowych i ministerstwo zdrowia. - Podniósł szklankę z tym czerwonym płynem pod światło - Cudowny kolor! Te zarządy i ministerstwa są staroświeckie; trzymają się swoich odwiecznych pomysłów, nie chcą słyszeć o żadnych nowych. Każą mi „oszczędzać”, a potem rzeczywiście dają do zrozumienia, że projektuję za ciasne sale.

- To jest chyba szalenie skomplikowane - powiedziała Maxine grzecznie. Wreszcie jakaś znajoma Kate z olejem w głowie, pomyślał Toby.

Kate przysłuchiwała się wielbiąco. Ogromnie lubiła słuchać, jak Toby mówi o swojej pracy, ogromnie lubiła odwiedzać go w spokojnym, białym biurze z pochyłymi pulpitemi i wielkimi planami. W przeciwieństwie do lekarzy szybko się nauczyła te plany odczytywać.

Ale Kate nie odważyła się pozwolić, żeby Toby zamieszkał na Walton Street - ojciec przecież szalałby z wściekłości.

- Więc pewnie będziemy musieli się pobrać - powiedział Toby nieładnie, a jej jeszcze raz oczy się roziskrzyły.

Kate Harrington, pani Harrington, pani Harringtonowa.

Tym razem nie było brylantowej markizy. W istocie Kate ledwie zdołała wyprosić ślubną obrączkę, bo Toby uważał, że to jest mieszczańskim, jeśli nie prymitywnym symbolem posiadania. Jednakże dał się niechętnie przekonać i kupił używaną złotą obrączkę ze startymi wygrawerowanymi wokół serduszkami. Poprzednia właścicielka musiała mieć dużo zmartwień - serduszka zanikły z prawej strony, gdy obrączkę nerwowo skręcała na palcu.

Na ślub przyjechała z Essex owdowiała matka Toby'ego. Wdowa po majorze Hartley-Harringtonie, duża i szorstka, miała muskularne łydki i długi nos, wzdłuż którego patrzyła z góry. Chociaż ubrała się w granatowy jedwab, można było wyczuć, że duchem jest w samodziłach i martwi się, czy psy radzą sobie bez niej. Mówiła niezwykle mało, w czasie okropnej ceremonii w urzędzie stanu cywilnego wciąż prychała i podsuwała na ramionach etolę, wyraźnie się nie łudząc, że los jej zsyła córkę.

Trochę zmiękła przy obiedzie w restauracji Connaught, ale sprawiło to raczej wino niż uczucie do świeżo uzyskanej synowej. Przy końcu pierwszego dania ojciec Kate, który od pół godziny usiłował porozmawiać z teściową córki i znał się na orzechach twardych do zgryzienia, stuknął nożem w kieliszek i powiedział, że nie jest krasomówcą, że życie młodych to ich własny interes, że jak mu wiadomo, teraz wszystko się robi inaczej - co nie znaczy, żeby lepiej - ale dwoje ludzi naprawdę nie może mieszkać w jakiejś ciemnej norze, więc on kupił ten cały dom na Walton Street dla nich w ślubnym prezencie.

Kate zarzuciła ojcu ręce na szyję i rozplakała się z radości.

Po tym oświadczeniu towarzystwo weselne się rozkrochmało i z rzeczywiście radosnym śmiechem pożegnano państwa młodych odlatujących w podróż poślubną do

Mediolanu, gdzie odbywało się Biennale. Toby mógł tam krytykować do woli wszystkie nagrodzone międzynarodowe projekty, które niezupełnie dorastały do jego kryteriów.

Z początku byli szczęśliwi.

Dawne mieszkanie Kate w suterenie zostało wypatroszone, pomalowane na biało, obwieszane tablicami z korka i przeobrażone w biuro projektów Toby'ego. Zawsze pełno było tam jego przyjaciół; napływali często bez uprzedzenia, żeby się najeść i przed posiłkiem, w czasie posiłku i po posiłku rozmawiać o swojej pracy.

Kate szalenie to lubiła.

Parter tego niedużego domu na Walton Street też został wypatroszony. Wszystkie ściany, sufity i framugi zostały pomalowane na kolor ciemnoczekoladowy, podłogi pokryte kafelkami z białego winylu - kłopotliwie, bo brudziło się je każdym krokiem - balustrada schodów usunięta i uświetniły to wszystko blaski reflektorów szczelinowych. Z jednej strony „części mieszkalnej” ciągnął się szereg urządzeń kuchennych, ukryty za długim na dziesięć stóp parawanem z ukośnych deszczulek sosnowych tak odsuwającym, że trzeba było się z nim mocować, chcąc sięgnąć po łyżeczkę do herbaty. Ścianę naprzeciwko tej jednostki kuchennej zasłaniały półki z książkami, z trunkami, z kwiatami możliwymi do przyjęcia wizualnie (takimi, jak bukietek stokrotek w słoiku od dżemu albo jedna róża w aptekarskiej zlewce) oraz z kolekcją sfatygowanych zabawek wiktoriańskich Toby'ego. Sam Toby zaprojektował metalowe krzesła. Niektóre wyglądały jak siodełka traktora, niektóre były ze skrzyżowanych drutów.

- Dupopułapki - mamrotał ojciec Kate ubolewając w myśli, że cholernie gołe jest to wnętrze. Na czas wizyt rodziców Kate ukrywała rzeźby afrykańskie symbolizujące płodność i odbite prywatnie sztychy Aubreya Beardsleya.

Wieczorami Kate, szczęśliwa, chociaż zapracowana pani domu, podejmowała klientów Toby'ego, jego użytecznych znajomych, dziennikarzy z prasy architektonicznej i współpracujących z nim projektantów. Z przyjemnością uczyła się gotować dla nich. Po dwóch pierwszych przyjęciach szablonowo katastrofalnych, jak przystało na młodą żonę (zapiekanka spalona na węgiel, solona szynka, którą zapomniała moczyć przez noc, zanim ugotowała), odkryła książki kucharskie Elizabeth David i odtąd tylko jajka na miękko na śniadanie podawała bez czosnku. Poprosiła Toby'ego, żeby jej dał na Gwiazdkę ręczny młynek do pieprzu i słoik confut d'oise od Fortnuma. Rodziców w drugi

dzień świąt Bożego Narodzenia uraczyła gęsią. Strasznie tłusta gęś, pomyślała matka, ale ten szal gotowania jej minie, kiedy będzie miała dziecko.

Ojciec całując Kate na progu, dzielnie powiedział:

- Zwykle mi nie smakuje takie cudzoziemskie paskudztwo, ale muszę przyznać, dziewczyno, że to było bardzo dobre.

Takie były ostatnie słowa, które Kate od niego usłyszała.

Rozdział trzydziesty piąty

Nazajutrz ojciec Kate zaaplikował sobie lekki wstrząs elektryczny, zmieniając żarówkę w loggii. Spadł z drabiny do tyłu na kamienne płyty i skręcił kark. Nie żył, gdy matka Kate go znalazła.

Kate płakała przez cały tydzień. Nie mogła zrozumieć dlaczego, bo przecież tyle zawsze urazy budziły w niej jego wybuchy wściekłości i tyrania. Nigdy nie miała zapomnieć, jak w dzieciństwie drżała i gryzła paznokcie ze strachu przed nim.

Po pogrzebie była milcząca i spięta, dopóki pod koniec miesiąca, ku uldze Toby'ego, nie przyjechała Maxine. Kate naląła sobie campari, usiadła po turecku na kudłatym zielono-niebieskim kilimie z Finlandii i rozplakała się rzewnie.

- To ostatnia rzecz, Maxie, jakiej bym się spodziewała... to, że będę tak rozbita po odejściu tego starego tyrana. Ale wprost powala mnie zmęczenie i zupełnie straciłam pewność siebie. Jak gdybym znów była szkolnym dzieckiem! - Wypiła łyk campari. - Jego śmierć to taka okropna mieszanina farsy i tragedii. Kiedy przyjechałam do Greenways, leżał na kanapie w hallu, jak gdyby drzemał, nieboszczyk w pizamie w niebieskie paski i z kalia w rękach. Ktoś zrobił mu makijaż, policzki brzoskwiniowe, i chustką do nosa podwiązali mu podbródek, żeby szczęki nie opadły, zanim zastygną w rigor mortis.

Jeszcze łyknęła sporo i spojrzała na campari z obrzydzeniem. Wstała, naląła sobie whisky. Potrzebny jej był „mocny głębszy”, jak powiedziałby ojciec.

- Gdyby on mógł siebie widzieć, umarłby ze wstydu, tak wtedy pomyślałam i raptem pojęłam, że on umarł. To był jedyny moment, kiedy matka omal się nie załamała. Poza tym cholernie panowała nad sobą, cudowna, rześka i wesoła na pogrzebie akurat tak, jak

on by chciał, żeby się zachowywała na jego pożegnalnej gali. Zasmarkala się, smutna i oszołomiona.

- Mamusia wciąż mówiła, że gdyby bomba go zabiła w czasie nalotu, chciałby, żebyśmy były szczęśliwe, kiedy będziemy myśleć o nim.

Znowu chlipnęła.

- Oczywiście nie przypuszczała, że umrze mając pięćdziesiąt pięć lat. W jego papierach był taki bałagan, że przez cały dzień szukałam jego książki zdrowia.

- Biedactwo - Maxine uściskała ją serdecznie. - Wkrótce poczujesz się lepiej.

Ale zamiast poczuć się lepiej, Kate następnego dnia pokłóciła się z radcą prawnym ojca.

- Pamiętaj, mamusiu - przestrzegła matkę, gdy wchodziły do kancelarii - nie daj się zastraszyć, na litość boską.

Wprowadzono je do małego pokoju w Gray's Inn pełnego półek z książkami prawniczymi w czerwonych skórzanych oprawach i Kate, zwykle taka lękliwa, teraz wściekła w imieniu swego zmarłego ojca, rzeczowo, ku zdumieniu matki, rozpatrzyła sytuację.

- W zeszłym miesiącu, panie Stiggins, na drugi dzień po śmierci mojego ojca, jakoś bardzo niewiele wiedział pan o jego aktywach. Oświadczył pan mojej matce, że przez jakiś czas nie będzie mogła dysponować żadnymi pieniędzmi.

Stiggins przytaknął.

- Na razie nie ma powodu, żeby panie się niepokoiły. Jak wiedzą panie z testamentu, cały majątek świętej pamięci pana Ryana pozostawiony jest w funduszu powierniczym wdowie po nim i po jej śmierci przechodzi na jej jedyne dziecko, panią Harrington. Teraz już tylko trzeba poczekać na urzędowe zatwierdzenie testamentu. Kilka miesięcy... Może rok.

Stuknął czubkami palców jednej ręki w czubki palców drugiej.

- Pan Ryan świętej pamięci mianował mnie osobiście powiernikiem. Drugim powiernikiem jest jego były wspólnik, pan Jellaby... który, jak panie wiedzą, dostał wylewu i od dwóch miesięcy przebywa w szpitalu. - I ciągnął złowieszczo: - W rezultacie obecnie ja jestem odpowiedzialny za lokaty świętej pamięci pana Ryana i po głębokim namyśle oraz debacie z maklerem naszej firmy zdecydowałem się sprzedać wszystkie

akcje. Po uiszczeniu należnych opłat pozostałe pieniądze zostaną ulokowane w Funduszu Wdów Brytyjskich, godnym zaufania towarzystwie powierniczym.

- Co to jest towarzystwo powiernicze? - zapytała Kate, przerażona tym, że najwidoczniej można podejmować takie decyzje finansowe bez porozumienia ze spadkobierczynią.

- Towarzystwo, które z pomocą biegłych konsultantów lokuje swoje kapitały na rynku akcji. Jest to, mógłbym tu dodać, towarzystwo bardzo ostrożne. Naturalnie nie mogę pozwolić na ryzykowanie...

Kate niewiele zrozumiała z jego wywodów, postanowiła jednak dowiedzieć się bliższych szczegółów o rynku akcji.

Pierwszym szczegółem, jakiego się dowiedziała, było to, że Wdowy Brytyjskie są godne zaufania, bo płacą minimalny procent.

- Nie mogę się oprzeć wrażeniu, że Stiggins gdzieś coś sobie odtrąca -mruczała do siebie, stanowczo zamierzając sprawdzić Wdowy Brytyjskie.

Kupiła szkolny zeszyt i zaczęła przepisywać notowania giełdowe.

Owa miesiące później Kate miała już inne zainteresowania. Była w ciąży.

Szalała z radości. Kupiła łóżeczko z łożyny, staroświeckie łóżko mosiężne, kilka dziewiętnastowiecznych dziecinnych sztychów Randolpha Caldecotta i duży tradycyjny wózek niemowlęcy taki jak te, które popychają nianie rodziny królewskiej. Toby'emu strasznie ten wózek się nie podobał, tym bardziej, że tarasował przejście w wąskiej sieni.

Matka Kate z wyprawy na Bond Street przyniosła stertę maleńkich koronkowych kaftaników uszytych ręcznie przez francuskie zakonnice. Pogodnie sobie żyła z rosnącego stale niedoboru na rachunku, za co bank, zważywszy brak zabezpieczenia tej pożyczki doliczał sobie dwa procent do normalnego oprocentowania. Zdecydowała się sprzedać Greenways, dom teraz dla niej za duży. Chciała kupić wiejski domek w Gotswolds i zamieszkać tam ze swoją siostrą.

Kate wciąż jeszcze bardzo interesowała się pracą Toby'ego, urzeczona jego teoriami i misjonarską gorliwością. Maxine, która znów przyjechała do Londynu, ze zdumieniem patrzyła, jak ona tłucze coś tłuczkiem w staroświeckim marmurowym moździerzu, gdy we troje siedzieli w „sektorze kuchennym części mieszkalnej”. Tego dnia rano przez dwie godziny po przyjeździe słuchała zwierzeń Kate o jej nadziejach, o jej szczęściu. Kate wydawała się teraz inną osobą, osobą mającą swoje zdanie, osobą dosyć ważną. Już nie

była cicha i zafrasowana. Uśmiechała się spokojnie pewna siebie, w kanarkowym kitlu na ciężę uszytym z płótna tapicerskiego, które kupiła w dziale mebli u Harrodsa - chociaż do tego nie przyznała się Toby'emu, bo Harrods był strasznie niewizualny.

Potem Maxine podziwiała każdą ręcznie uszytą, namarszczoną i przystrojoną koronkami sztukę wyprawki niemowlęcej, a potem słuchała planów Kate, siedząc z nią na pomarańczowym linoleum w świeżo urządzonym wizualnym pokoju dzieciennym i patrząc na zwisające z sufitu ozdoby rozchwiane w lekkich powiewach wiatru z otwartego okna. Gdy Kate paplała, Maxine nagle pojęła, że ona pragnie kochać i być kochana miłością niczym niezmaconą. Sama wiedziała, na czym polega urok macierzyństwa: matka się opiekuje, matka jest szefem, matka rządzi. Wreszcie.

Przez następne sześć godzin Kate nieprzerwanie wypytywała Maxine o ciążę, bo i teraz Maxine jak zwykle (wyprzedzająca o jeden krok) była autorytetem. Bez końca rozstrząsały, jak bardzo to boli, czy to się nazywają bóle czy skurcze i jakie to naprawdę uczucie.

- Jak gdyby się wydalalo futbolówkę - powiedziała Maxine po francusku bardzo wulgarnie, ale też z wielkim przejęciem. Wszystkie matki, które znała, gdy była w ciąży, określały ten aspekt delikatnie, co wciąż ją gniewało.

Rozstrząsały, czy Kate powinna chodzić na prowadzone od niedawna kursy porodowe na Seymour Street; czy dużo większe stają się piersi, czy obwisają później i po jakim czasie będą takie, jakie były przedtem, i czy tam ma się nadal ten sam obwód i co zrobić ze zwiotczeniem skóry po takim naciągnięciu.

Wtedy właśnie Toby wrócił do domu i zaproponował, żeby się napili. Gdy ostrożnie schodzili ze schodów bez poręczy, Maxine pomyślała, że jak żadna z brzemiennych kobiet, które spotykała, Kate potrzebuje dziecka. Toby nie interesował się tym dzieckiem szczególnie i ilekroć Kate wspominała o szpitalach (miała już miejsce zapewnione w szpitalu St George), natychmiast zaczynał mówić o infekcji krzyżowej i Florence Nightingale. Toby był gorącym zwolennikiem teorii Florence, tej słynnej pielęgniarce z dziewiętnastego wieku; miał w swoim biurze przedstawiający ją dagerotyp i tak o niej mówił, jakby ta słynna pani z lampą nadal żyła.

- Ona mówi bardzo sensownie - powiedział dając tym do zrozumienia, że podziela jej poglądy. - Mówi, że szpital powinien przede wszystkim troszczyć się o pacjentów, chociaż każdy cholerny szpital przede wszystkim troszczy się o swoją cholerną lekarską

procedurę. Budzą chorego, żeby mu dać tabletkę na sen, kładą go spać w porze podwieczorku, bo to się akurat zgadza z rozkładem dyżurów pielęgniarek. - Nalał sobie campari tak uważnie, jakby rozszczepiał atom. - Medycy chyba nie zdają sobie sprawy, że pacjent nie jest eksperymentalnym manekinem ani zwłokami do sekcji. Chyba nie zdają sobie sprawy, że pacjent to przerażona istota ludzka.

- Baczość teraz! On wjeżdża na temat wielkości sal szpitalnych - powiedziała Kate. - Gdzie ja zostawiłam te ziarna sosnowe? Och, ty już je zjadasz? Dawaj je! - Machnęła swymi długimi, wąskimi, spiczastymi rękami do Toby'ego.

Kate mówiąc często gestykulowała. Trzepotała jedną ręką jak wachlarzem albo wdzięcznie, szeroko poruszała obiema rękami, wyciągając je od łokci przyciśniętych do talii. Teraz machnęła tłuczkiem, niby to zamierzyła się na Toby'ego, a on niby z przerażeniem się uchylił, ale mówił dalej nie stropiony.

- No, sale szpitalne mają większy wpływ na chorobę, niż chorzy zdają sobie z tego sprawę. Oczywiście pielęgniarki lubią sale otwarte... jeżeli same nie są chore i w nich nie leżą... bo wydaje im się, że w nich mają nadzór nad wszystkim.

- Toby, Maxine przyszła tu na kolację, a nie na wykład.

Kate przycisnęła guzik i przez parę minut rozmowę zagłuszał warkot miksera. Potem skosztowała mieszaninę, dodała jeszcze soli i pieprzu.

- Tsatsiki, zimna grecka zupa dla odmiany. Spróbuj, skarbie. Wyciągnęła do Toby'ego łyżkę z tą zupą ale odmówił gestem. Nie

przestawał wyklądać Maxine, która łyżkę przyjęła i przytaknęła z aprobatą (za dużo czosnku, pomyślała) słuchając osłupiała jego monotonnego dudnienia.

Gdy Kate była w siódmym miesiącu ciąży, współnik jej ojca zmarł, więc Stiggins został powiernikiem upoważnionym do zawiadywania spadkiem. Kate sięgnęła po swój zeszyt z notowaniami giełdowymi i stwierdziła, że w ciągu ostatnich sześciu miesięcy Wdowy Brytyjskie spadły o osiem i pół procenta, czyli niżej niż wszystkie inne akcje. Z kancelarii adwokackiej przysłano ogromny rachunek za załatwianie spraw ojca. Zatelefonowała do Stowarzyszenia Prawników i dowiedziała się, że w żaden sposób nie da się wydostać ulokowanych pieniędzy Ryana od Wdów Brytyjskich, jeżeli jej matka nie zechce formalnie oskarżyć tego radcy prawnego, zawiadującego jej spadkiem, o jaskrawe

niedbalstwo. Oskarżenie musiałaby wysunąć za pośrednictwem innego adwokata, a może byłoby trudno znaleźć chętnego do wzięcia sprawy, która oznacza pozwanie kolegi.

- Och, w żadnym razie nie zmieniałabym adwokata, kotusiu - powiedziała matka Kate przerażona. - Już bym nigdy nie mogła adwokatowi ojca spojrzeć w oczy.

Tamtej nocy Kate obudziła się z niedobrymi bolesnymi skurczami. Leżała na prześcieradle mokrym i zakrwawionym. Toby pospiesznie zawiózł ją do szpitala St George, gdzie po czterech godzinach powiedziano mu, że utraciła dziecko.

Potem siedział przy łóżku żony i pocieszał ją długo, trzymając za rękę, gdy leżała słaba, oniemiała. Przyniósł jej niebieskie hiacynty i usłyszał od doktora szeptem udzieloną radę: powinien jak najszybciej postarać się, żeby znów zaszła w ciążę.

Uśluchał tej rady.

I znów Kate utraciła swoje dziecko.

W trzy lata później, 6 maja 1960 roku, gdy Anthony Armstrong Jones brał ślub z Jej Królewską Wysokością księżniczką Małgorzatą, Toby był w katedrze Opactwa Westminster, widział, jak królewska oblubienica w rozfalowanej sukni z białego atlasu od Normana Hartnella z powagą kroczy środkowym przejściem, i był też w Pałacu Buckingham, gdzie jej powaga zmieniła się w radosną wylewność.

Kate tam nie było, chociaż ona również знаła Tony'ego. Znów leżała w szpitalu odzyskując zdrowie po trzecim poronieniu.

Maxine odwiedziła ją w drodze przez Londyn do Nowego Jorku. Zastała Kate samotną, w bardzo małej, bardzo wysokiej separacie. Po ścianach wiała się płatanina rur jak węże.

- Biedna dziecinko. - Rzuciła w nią naręczce narcyzów i widząc, że ona się rumieni, poniewczasie ugryzła się w język. - Co się stało, kochanie?

Kate westchnęła i przez chwilę tylko mruzczał wodociąg.

- Te pierwsze dwa to były poronienia w dwudziestym ósmym i dwudziestym siódmym tygodniu, ale tym razem był już trzydziesty drugi tydzień i ono urodziło się martwe. - Twarz jej zmiękała. - Nie potrafię powiedzieć, jakie to ciężkie, jakie przygniatające. Ma się skurcze i to piekielnie boli, i uczucie jest takie, jakby się rodziło, a jednak przez cały ten czas się wie, że to będzie w końcu tylko biedne, maleńkie nieżywe ciało.

- Ale czy nie ma jakiegoś ostrzeżenia? Nie mogłaś się położyć i powstrzymać tego?

- Za pierwszym razem zaczęłam krwawić, kiedy spałam, a potem złapały mnie bóle i utraciłam to dziecko. W szpitalu wesoło przytaczali dane statystyczne, jak gdyby mówili o wynikach meczów krykieta. „Głowa do góry, na każde sześć cięż jedna kończy się poronieniem, niech pani jeszcze raz spróbuje”. Ale ja wiedziałam, że oni kłamią z dobroci serca. Wiedziałam, że prawie wszystkie poronienia zdarzają się przed czternastym tygodniem...

Powąchała te cierpko pachnące wiosną kwiaty.

- Chyba nie ma już żadnego wolnego wazonu, kochanie. Prosiłam dzisiaj rano. Nigdy nie ma wazonów w tych cholernych szpitalach.

- Do licha, zapomniałam. Powinnam była przynieść ci coś w doniczce. -Maxine włożyła kwiaty do umywalni.

- Drugim razem - ciągnęła Kate - było gorzej. Nawet nie zdążyłam dojechać do szpitala. Czy wiesz, że jeżeli się poroni, należy zachować płód i łożysko w czystej misce albo plastikowej torbie i zanieść do szpitala, żeby zbadali w laboratorium i powiedzieli, dlaczego się poroniło? Ja też nie wiedziałam. Miałam szczęście, że doktor nie dostał mnie w swoje ręce za późno.

- Tak, ale dlaczego poroniłaś?

- Nie myśl, że o to nie pytałam. Pierwszym razem mi powiedzieli, że płód oderwał się od łożyska, drugim razem, że mam słabą szyjkę maciczną, bo rozszerza się za wcześnie. Więc zaordynowali mi leczenie. Ale tym razem kłopot był zupełnie taki sam. Teraz dadzą mi D-and-C, żeby całkowicie oczyścić macicę.

Po chwili milczenia dodała:

- Ci doktorzy zupełnie miło dają mi do zrozumienia, że nie powinniśmy zadawać sobie fatygi próbowaniem znowu.

Leżała z rękami zwiotczalymi na prześcieradle i mówiła prawie obojętnie, ale rzeczywiście bardzo się tym przejęła - bardziej niż większość kobiet, powiedzieli doktorzy, którzy radzili Toby'emu pomyśleć o adopcji, na co ona wpadła w histerię i oświadczyła, że nie wolno mu już nigdy, nigdy nawet napomknąć o czymś takim.

- Nie przesadzaj - próbował uspokoić ją Toby. - Mówisz tak, bo jeszcze nie zastanowiłaś się nad adoptowaniem.

- Zastanawiałam się, owszem, Boże, zastanawiałam się. - Kate coraz bardziej się gorączkowała, dopóki pielęgniarka szeleszcząc wykrochmalonym kitlem nie przybiegła ze strzykawką i nie wypchnęła Toby'ego z separatki.

Kate wróciła do domu słaba, wyczerpana i niewysłowienie smutna. Toby nie mógł zrozumieć, dlaczego ona tak głęboko odczuwa utratę, dlaczego jest taka nieszczęśliwa. Przecież nawet przez chwilę nie trzymała tego dziecka, które utraciła. Ale Kate nie chciała z nikim rozmawiać, chciała być sama i całymi dniami płakała. Toby ją pocieszał, mało jednak przebywał w domu, bo kończył wielką pracę pod Swindon - jak na ironię, sanatorium dla dzieci.

Smuciło ją to, że piersi jej się znów zmniejszyły i że brzuch wiotczeje, już nie jest taki twardy i jędrny. Czuła się znowu tak, jak na pogrzebie ojca - dziwnie zagubiona i oszołomiona.

Co zrobiła źle?

Bo najwidoczniej coś źle robiła. Jakież byłby inny powód tych ciągłych rozczarowań, kiedy chodzi jej tylko o normalne ludzkie zadowolenie? Inni to mają. Za co los tak ją karze? Dlaczego ona nie może bodaj przez krótką chwilę czuć się w pełni kobietą?

Od swojej pustki Kate odrywała się z determinacją, podejmując raz po raz gości z kręgu interesów Toby'ego albo obracając się w atmosferze scenerii Chelsea. Z jej niedużego domu szło się tylko pięć minut na King's Road, więc co najmniej trzy razy w tygodniu wieczorem wpadała z Tobym do Markham Arms, wymyślnej edwardiańskiej piwiarni niedaleko sklepiku Mary Quant, nazwanego Bazaar.

Bazaar stanowił coś w rodzaju nieprzerwanego, z trunkami za darmo, koktajlowego przyjęcia i najładniejsze dziewczyny Londynu przywlekały tam swoich mężów i swoich kochanków. Ponieważ była tylko jedna maleńka przebieralnia, musiały przymierzać kreacje Mary Quant pośrodku sklepu, gdzie wszyscy przechodnie mogli je przez szybę wystawową widzieć i podziwiać.

Nagle Chelsea najwyraźniej stała się modna jako brytyjskie San Francisco czy Lewy Brzeg. Ta mała londyńska dzielnica już nie była tylko jednym z obrazów jednego miasta, gdy jej piwnice, bary kawowe, dyskoteki, konfekcja i „bajeczne” dziewczyny zdobywały sobie renomę międzynarodową, teraz to był synonim pewnego stylu życia, pewnego stylu ubierania. Kate ogromnie lubiła podniecenie; które z arterii King's Road tętniąc

przenikało w modę, rysunek i przemysł rozrywkowy; wprost wielbiąc te nowe modele, nosiła szare flanelowe tuniki z wysoką talią, białe podkolanówki na szkarłatnych rajstopach i szkarłatne buty do pół łydki. Nosiła śliwkowe i imbirowe kostiumiki, zawadiackie płaszcze z czarnej skóry i futrzane czapy nie mniejsze niż te wartowników przed Pałacem Buckingham. Wyglądała jak dziewczyny z Chelsea, szalone dzierlatki w butach z cholewami, w czarnych pończochach, wyzywające i pewne siebie, awangarda nawały młodości, owego trzęsienia ziemi, z którego miał się wyłonić fakt, że druga połowa dwudziestego wieku należy do tych młodych (czy też im się tak zdawało), skoro już poważnie zabierają się do ustalania tendencji.

Mary Quant budziła w Kate raczej zbożną cześć, mała, ruda, na ogół straszliwie milcząca. Wydawało się, że ona i wszystkie inne są druzgocąco wyrafinowane i mają to. Przy nich Kate czuła się beznadziejnie szarą miernotą. Och, być w Akademii Sztuk Pięknych! Och, móc tak jak Mary nie tylko wymyślać, ale obnosić z całym spokojem Wygląd Chwili czy to będzie wygląd Lolity czy Pensjonarki, czy Skórzany czy Deszczowy (ten ostatni z kapeluszem rybackim i spódniczką z żółtego plastiku).

Kate usiłowała. Kazała sobie utlenić włosy, ściąć je i skrócić w płataninę kędziorków a la kociak-sexy. Obrysowywała oczy czarnym ołówkiem, usta malowała na kolor blad różowy (na białym podkładzie) i nadal czuła się gruntownie samotna, bez miejsca na świecie. Myślała o zapisaniu się do Akademii, o tym, żeby zostać malarką. Bojaźliwie zwierzyła się Toby'emu kiedyś wieczorem, gdy pędzili w siąpiącym deszczu do Markham Arms. Toby głębiej wsunął ręce w kieszenie swego włochatego sukienego płaszcza, pod którym nosił czarne wąskie spodnie i pulower (ubierał się tak jak Audrey Hepburn), zmarszczył brwi, patrząc na czubki swoich butów z beżowego zamszu i powiedział dosyć dobrotliwie, że naprawdę nie sądzi, by Kate miała po temu dane.

Potem Kate się dowiedziała, że Poganka wróciła do Anglii, i to już dawno. Obie, Kate i Maxine, słyszały, że małżeństwo Poganki się rozpadło. Obie pisały do niej do Kairu, a także na adres Trelawney i żadna nie dostała odpowiedzi. Kate słyszała też, że Poganka mieszka w Bejrucie, i nawet wyobrażała sobie ją niejasno w workowatych różowych szarawarach, na stercie jedwabnych poduszek jedzącą rachatlukum. Maxine była o wiele za bardzo pochłonięta swoim małżeństwem i swoimi interesami, żeby próbować ją odnaleźć, zwłaszcza że ona najwyraźniej nie chciała nawiązać kontaktu. Jeżeli Poganka w końcu zechce zobaczyć Maxine, no to przecież wie, dokąd się zwrócić.

Aż tu nagle w pewien wieczór na wernisażu Kate spotkała - i od razu sobie przypomniała - Phillipę, z długim nosem i fryzurą koloru imbirowego, brydżystkę, której nie widziała od czasów kairskich. Phillippa należała do osób sumiennie podtrzymujących każdą znajomość, nigdy nie pozwalających znajomym uniknąć życzeń gwiazdkowych na karcie Narodów Zjednoczonych. Powiedziała teraz Kate, że Robert rozwiódł się z Poganką przed wiekami i że Poganka wróciła do Anglii, żywcem pogrzebała się gdzieś na głuchej wsi.

- Nikogo nie zaskoczył fakt, że się rozeszli - dodała. - Robert zawsze był niemożliwy... Tamten paskudny numer, jaki zrobił tobie i jej, to tylko normalna próbka jego postępowania.

- Jaki paskudny numer? - zapytała Kate.

- No przecież wiesz...? - Zdumienie Kate zmieniło się w oburzenie, a potem w furję, gdy Phillippa jej opowiadała, jak Robert z rozmysłem rozdzielił ją i Pogankę przed laty... i jak cały Kair o tym wiedział, no bo trudno utrzymać cokolwiek w sekrecie przed służącymi na wschód od Gibraltaru.

Natychmiast Kate domyśliła się, że Poganka jest w Trelawney, i zapragnęła ją zobaczyć. Zatekniła do swobodnego, nie mającego w sobie nic z rywalizacji towarzystwa Poganki. Przycupnięta na nadymanym fotelu z przezroczystego

plastiku, jednym z tych, które dla galerii sztuki zaprojektował Toby, pomyślała, że to taka właśnie tęsknota jak do wygodnego starego fotela zamiast tego zmaltretowanego balona. Postanowiła zatelefonować do Trelawney nazajutrz.

Kate wróciła z wizyty w domku Poganki kochająca i opiekuńcza - już miała na czym zogniskować swoje udaremnione instynkty macierzyńskie. Zaczęła wydawać majątek na telegramy i w czasie zawrotnie krótkich zalotów Poganki przejmowała się jak niespokojna o córkę matka. Gdy Poganka po ślubie zamieszkała w Londynie, Kate z ulgą i radością przekonała się, że ich przyjaźni nie nadwątyły lata rozłąki i rozgoryczenia. Od razu zaczęły się znów ich dawne, dziwne, skrótowe, bez czasowników, złożone z pojedynczych słów i niedomówień rozmowy niezrozumiałe dla ich mężów i dla nikogo innego spośród tych, którzy ich nie znali przed dwudziestu laty.

Rozdział trzydziesty szósty

Telefon zadzwonił o trzeciej rano. Judy sennie, po omacku sięgnęła po słuchawkę.

- Obudziłem panią? - zapytał czarująco troskliwy męski głos.

- Tak.

- To dobrze! Bo panią trzeba obudzić. Mówi Tom Schwartz z wytwórni Empire. Miała pani czelność wypowiedzieć się publicznie o jednym z naszych nowych filmowych nabytków na rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty trzeci, nie racząc się porozumieć z Empire? Tak, mówię o kontrakcie z Joe Savrym. Nie przyszło pani na myśl, że większe wytwórnie mogłyby chcieć same podawać o sobie wiadomości? Czy może spodziewała się pani podziękowań za oszczędzenie nam tej fatygi? Czy może ja nie doceniam pani wpływu? Walter Winchell zawsze zasięga najpierw rady u pani?

- Słuchaj, pyskaczu - powiedziała Judy zaspana - chcesz się kłócić, proszę bardzo. Żadne zakończenie kłótni tak nie doprowadza do szału jak rzucenie słuchawki, a właśnie to ja zaraz zrobię. I ponieważ to z pewnością niegrzecznie z mojej strony, przyjdę do ciebie koło dziesiątej i pozwolę, żebyś na mnie wrzeszczał przez siedemnaście i pół minuty. Będę w worku pokutnym, popiół ty przygotuj!

Cisnęła słuchawkę na widełki, wyłączyła telefon i po chwili znów spała.

Panie Schwartz, czy ja bym chciała specjalnie zdenerwować kogoś tak ważnego jak pan?

Od siedemnastu minut z coraz większym upodobaniem wrzeszczeli na siebie w wytwornym gabinecie Toma.

- Jak już wykazałem, guzik mnie to obchodzi. Ale jeśli pani rzeczywiście chce mi dać zadośćuczynienie, niechże pani z powrotem wsadzi na nos te swoje okulary, żeby przynajmniej zobaczyć blat mojego biurka. Widziałem panią na zdjęciach z tym Francuzikiem i na wszystkich była pani w okularach. Kobieta, która w okularach się fotografuje, nic bez nich nie widzi.

Judy wyłowiła z torebki swe ogromne jak gogle okulary w czarnej oprawie, włożyła je, wyprostowała się w fotelu i rzuciła panu Schwartzowi ufny uśmiech. Gdy udawała bezbronną, ludzie na ogół jej wybaczały. Ale on przywykł do umizgów wschodzących gwiazd i gwiazdorów doprawdy szalowych.

- Dość tego - powiedział - już nie traćmy czasu.

Po dwóch miesiącach współpracy Tom zabrał ją na obiad do Côte Basque i oświadczył:

- Jesteś dobra.

- Wiem.

- I ja jestem dobry.

- Wiem. Razem tworzylibyśmy wspaniałą parę.

- Więc czemuż by nie? - Tom pochylił się nad stolikiem i nakrył dłonią jej dłoń.

- Więc ręce precz ode mnie. Jeżeli nie żartujesz, to wiedz, że jesteś tym jedynym, z którym nigdy nie pójdę do łóżka.

- Daleko wybiegasz myślą - zauważył cierpko. - Czy mówisz to każdemu, kto zaprasza cię do restauracji?

- Och, tak. I zawsze wyjaśniam, że to nie dlatego, bym nie czuła wdzięczności za hamburgera. Jestem szczerą, ale dobrze wychowaną.

- W takim razie pozwól, że zrezygnuję i powiem ci, co możemy zrobić we dwoje. Chcę rzucić posadę, pracować z tobą i rozwinąć twoje biuro w małe, tylko od wybrzeża do wybrzeża, przedsiębiorstwo informacyjne.

- Powiedziałaś małe?

- Tak. Centrala w Nowym Jorku, powiązane z innymi firmami reklamowymi i informacyjnymi we wszystkich większych miastach.

- Co te firmy by z tego miały?

- Pieniądze. Przyłączone biuro w Nowym Jorku. Najlepsze lata życia spędziłem w Europie na lansowaniu humorzastych gwiazd filmowych, więc umiem to robić. Co znaczy, że taka miejscowa firma będzie prezentowała ciekawe osobowości, dla odmiany, zamiast środków piorących. - Tom dał znak, żeby kelner podał jeszcze jedną butelkę wody Perrier. - Chcę wziąć kierunek zarówno na dorywczą, jak na stałą klientelę. Chcę, żeby ludzie zwracali się do nas, kiedy ich agencja reklamowa jest przeciążona pracą albo kiedy jakąś gwiazdą szczególnie trzeba się zająć. Empire na pewno by mogła zawrzeć z nami subkontrakt, jeżeli oni tam za bardzo się nie rozzłoszczą, kiedy odejdę.

- Czemu gwiazdy miałyby się zgadzać, żebyśmy my je reklamowali?

- Załatwienie sobie tournée z Nowego Jorku to przeważnie zmarnowany wysiłek, bo niemożliwością dla jednej agencji jest utrzymywanie łączności z tym, co się dzieje w

środkach masowego przekazu całej Ameryki. Natomiast agencje miejscowe zawsze są zorientowane na bieżąco. Wiedzą, który facet w mieście ma najwięcej do powiedzenia.

- Dlaczego ja?

- Szukałem kogoś. Możesz to robić ty.

- Musiałabym porzucić moich obecnych klientów?

- Nie. Oni będą naszą podwaliną.

- Mam włożyć w to jakieś pieniądze?

- Trochę, oczywiście. Potrzebujemy pieniędzy na przyzwoite biura i personel.

- A więc odpowiadam: nie. Bo jestem bez grosza.

- Chyba mógłbym ci poręczyć pożyczkę w banku. Widocznie jest coś uczciwego w mojej twarzy, pomyślała Judy.

- Skąd ty byś wziął pieniądze?

- Od czasu kiedy skończyłem dziewiętnaście lat, lokuję dziesięć procent moich dochodów w akcjach.

- Chyba nadal muszę odpowiedzieć: nie. Dopiero co spłaciłam kredyt i raczej lubię spać w nocy spokojnie.

Trzy lata prowadzenia własnego przedsiębiorstwa oznaczały dla Judy trzy lata nieustannych trosk materialnych. Naturalnie umiała zajmować się reklamą, ale poza prostą księgowością u Guya nigdy nie miała do czynienia ze światem biznesu. Była bardzo wstrząśnięta stwierdzając, że są na tym świecie ludzie, którzy nie mogą czy nie chcą czy też od początku wcale nie mieli zamiaru płacić. Dwa razy została eksmitowana ze swego mieszkania-pracowni, bo zalegała z komornym. Pierwszym razem tę należność zapłaciła jej dawna szefowa, Pat Rogers, nadal niezłomnie życzliwa. Drugim razem Pat się uparła, żeby ona zaangażowała nowego księgowego, po czym jej poręczyła sporą pożyczkę w banku i dyskretnie podsunęła dwa nieduże zlecenia - reklamowanie pasty do podłogi oraz młodego pieśniarza z aspiracjami, niejakiego Joe Savry'ego.

- Nikt mnie nie zwolni za nielojalność - zapewniła - bo właśnie dostałam posadę w redakcji „Harper's”. Z szybkością dźwięku wracam do dziennikarstwa.

Judy przypominając sobie, jak się borykała, żeby spłacić pożyczkę Pat, potrząsnęła głową i powiedziała:

- Nie, Tom, nie mogę się do ciebie przyłączyć. Po prostu brak kapitału.

- Słuchaj, jeżeli tak wolisz, sam pożyczę ci te pieniądze, Judy.

- Dlaczego musiałabym wpłacić połowę pieniędzy, kiedy ja mam klientów, a ty nie masz? - Szafirowe oczy błysnęły bezczelnie patrząc na Toma. - Nie możesz po prostu kupić mojej reputacji za, powiedzmy, dwadzieścia tysięcy dolarów?

- Żartujesz, oczywiście. - Rozparł się na krześle, już prawie pewny jej zgody.

Targowali się, jedząc Vichy ssoise i potem solę z rusztu, aż w końcu nad mussem miodowym doszli do porozumienia. Tom kupi reputację Judy za siedem tysięcy dolarów i dalsze cztery tysiące włoży w nową firmę.

- Ale nie możemy jej prowadzić tylko pod twoim nazwiskiem - powiedział.

- Jak chcesz ją nazwać?

- Kariera, Organizacja Reklamy Otwierającej Nowym Kluczem Amerykę.

- Nazwa trochę przydługa...

- Nie, jeżeli będą tylko pierwsze litery.

- K-O-R-O-N-K-A. Ładnie.

Jeszcze zanim zorganizowali sieć krajową, KORONKA zaczęła przynosić zyski.

- Ale nie rozumiem dlaczego! - poskarżyła się Judy któregoś wieczora w biurze, przeglądając z Tomem bilans poprzedniego miesiąca. Właśnie wróciła z trzynastotygodniowej podróży po kraju, w czasie której ostatecznie wybrała odpowiednie agencje reklamowe i uzgodniła z nimi warunki współpracy. Teraz rozmyślała ogryzając paznokieć kciuka. - Mam nadal klientelę tę samą, bieżące wydatki większe niż przedtem i nagle to wszystko się opłaca. Dlaczego?

- To wynika z logiki i moich dwunastu lat rozwijania drapieżności w przemyśle filmowym. - Tom ziewnął. - Dochodzi dziesiąta. Zabierajmy się już do domu.

- Zapewne swoje oszczędności za młodu lokowałeś w akcjach Bella - powiedziała Judy biorąc ze sterty papierów rachunek telefoniczny i przytrzymując go przed oczami na długość ręki. - To by się okazało logiczne.

Znowu ziewnął.

- Nikt nie opiera się na logice, a już szczególnie kobieta. Logika to dla niej tylko możliwość uzasadnienia tego, co i tak w każdym przypadku robi.

- A dla mężczyzny?

- Mężczyzna też nie jest istotą racjonalną. Mężczyznę nieracjonalnie rządzi lęk.

- Czy dlatego nam się powodzi? Dlatego, że ty przerażasz ludzi?

- Dlatego, że jestem gotów być bezlitosny, to na pewno. Jeżeli ludzie takiej gotowości w kontrahencie nie widzą, wykorzystują go. Ty im ustępowałaś, ja na ustępstwa nie pozwalałam. W tym tkwi cała różnica.

- I twój nowy system budżetowy skutkuje.

Tom uparł się przy wystawianiu rachunków z góry płatnych w ciągu trzydziestu dni. Nie podnosili słuchawki telefonu, dopóki kontrakt nie został podpisany i pieniądze nie wpłynęły na ich konto. Nigdy też nie pracowali nawet przez dwie minuty po wygaśnięciu kontraktu.

Zadaniem Toma było pilnowanie, żeby interesy się opłacały, prowadzenie biura i opieka nad stałymi klientami. Judy starała się o zamówienia, prowadziła większe kampanie jednorazowe i nadzorowała agencje w terenie. Judy też zajmowała się twórczą stroną reklamy, planowała, pracowała z literatami i projektantami, co lubiła najbardziej. Po rozplanowaniu ogólnej kampanii i przystąpieniu do projektowania szczegółów wysyłała plan dyrektorom agencji lokalnych, którzy następnie prowadzili daną kampanię na swoich odcinkach. Mnóstwo rozmów telefonicznych odbywało się nieustannie między KORONKĄ i dyrektorami rejonowymi - objazd dwudziestu pięciu miast wymagał sześciuset telefonów, zanim się skończył. Ale klient telefonował tylko raz - do KORONKI.

To był pomysł śmiesznie prosty. I właśnie dlatego sprawdzał się znakomicie.

Rozdział trzydziesty siódmy

Kate nadal udawała. Nie zawsze, bo przy odrobinie fatygi mogła mieć orgazm, jeżeli leżała na wierzchu dostatecznie długo i wkręcała się w odpowiednią pozycję, ale gdy się tak nie składało i trudno jej było zasnąć, wymykała się do łazienki i szybko sama się zaspokajała.

Jednakże po sześciu latach jej małżeństwa z Tobym stało się coś okropnego, co potem przez pewien czas się powtarzało.

W upalną noc sierpniową Kate leżąc w łóżku czytała gazetę, szczegóły smutnej, tandetnej śmierci Marylin Monroe.

- Ojej, była taka urocza i zabawna. - Łzy współczucia zawisły Kate na rzęsach.
- I piękna w dodatku. - Toby zobaczył te łzy. - Jakie długie masz rzęsy, Kate.
- Długie, Tobo, ale jasne. Bez tuszu ich nie widać.

- Czy moje rzęsy byłyby dłuższe, gdybym je przyciemniał tuszem?

- Chyba tak... kochanie, on tu pisze, że ta biedna Marylin miała brudne nogi i szkarłatną emalię na paznokciach zniszczoną. Och, jakież to smutne.

Toby zniknął w łazience i wrócił dopiero po dziesięciu minutach. Przypadkiem Kate podniosła wzrok, po czym ze zgrozą spojrzała jeszcze raz.

- Toby! - Bo Toby miał na twarzy napaćkany kompletny makijaż, z którym wyglądał jak uróżowana mętnooka matrona. - Och! - powiedziała. - Toby, zmyjże to!

Ale Toby uśmiechnął się dziwnie, wpatrzył się jej w oczy i powiedział niepokojącym, wysokim, szczekliwym głosem (trochę jak głos matki Poganki):

- Nie, chcę się kochać tak umalowany.

Więc się kochali.

Nazajutrz nie wspomniała o tym, ale wieczorem Toby wypił raczej sporo brandy po quiche aux epinards i powiedział sarkastycznie:

- Nie sądzę, żeby omlet ze szpinakiem był twoją mocną stroną, kochanie - i zaraz poszedł na górę.

Gdy z jakimś nie dającym się określić lękiem w sercu przysła do sypialni, leżał na łóżku, na kapie od Astrid Sampe w turkusowe pasy i uśmiechał się kokieteryjnie patrząc w sufit. Był umalowany i w jej nocnej koszuli z cienkiej białej koronki.

- No nie, Toby. Dosyć mam tego. Proszę, skończ z tym. Proszę, dość! - wykrzyknęła Kate.

Ale Toby usiadł, wydał usta i zaszczębiotał dziwnie głosikiem małej dziewczynki:

- Dlaczego Toby nie może mieć ładnych rzeczy tak jak ty? - Pociągnął ją na łóżko. - Toby strasznie lubi ładnie wyglądać - szepnął. - Toby strasznie lubi tak się ubierać, tylko daj słowo, że to sekret między nami, przyjaciółkami. Bardzo ważny sekret.

Nie potrzebował dużo czasu. W dziesięć minut było już po wszystkim, ale minęły dwadzieścia cztery godziny, zanim Kate doszła do siebie.

I potem znów to się zdarzyło, i Kate znów była roztrzęsiona przez całą dobę. Nieubłaganie noc w noc Toby, jak to nazywał, „stroił się”.

Po dwóch tygodniach Kate była blada i spięta ze zdenerwowania i braku snu, a Toby wprost rozkwitał. W trzecią środę kupił sobie u Harrodsa przezroczyisty czarny negliż rozmiar 48, obszyty ląbedzim puszką, i do kompletu wydekoltowaną nocną koszulę.

- Skłamałem ekspedientce, że to dla mojej matki - powiedział wygładzając negliż na swych smukłych biodrach.

W noc z piątku na sobotę wbił się w kupione na Shaftesbury Avenue czarne podwiązki, siatkowe pończochy i czamy wypchany biustonosz z falbanką. W sobotę wieczorem paradował w czerwonym atłasowym gorsecie tak zasznurowanym, że miał talię jak osa, w różowych klapkach z pomponami i na wysokich obcasach. („Nie mieli u Harrodsa mojego numeru, więc kupiłem te bez pięt, ale i tak są za małe”).

Dla Kate ta sytuacja była makabryczna i nierealna jak pogrzeb ojca. Uróżowane policzki, starannie wycieniowany kolor brzoskwini, jakoś symbolizowały śmierć. I powróciło tamto oszołomienie. Kate nie mogła pojąć raptowności zmiany, jaka zaszła w Tobym. On przecież nigdy przez te wszystkie lata nie zdradzał się przed nią z czymś takim, zawsze był surowo praktyczny. Nigdy nie nosił nawet męskich wieczorowych koszul z falbankami; nigdy w żadnej formie nie dawał do zrozumienia, że lubi przysłańać jądra koronką. Żadne jego słowa ani poczynania nigdy nie świadczyły, że nie jest normalnie heteroseksualny. Ani przez chwilę Kate nie podejrzewała, że Toby'emu w łóżku rzeczywiście chodzi tylko o taką okropną farsę. W jednym tygodniu miała męża, a już w następnym takiego potwora.

Nie mogła zgłębić, co on myśli, nie rozumiała jego dziwnego transu, gdy miał na sobie damskie łąszki. Jeszcze bardziej dezorientujące było to, że on ubierał się w dwóch kobiecych stylach, chyba chcąc udawać dwa różne typy kobiet. Biedna Kate z nocy na noc nigdy nie wiedziała, czy w łóżku znajdzie się z lubieżną wyrafinowaną światową kobietą z lat tysiąc dziewięćset trzydziestych, obleczoną w czarną satynę, czy ze wstydliwą dziewiczą pensjonarką w białych majtkach. Gdy Toby był w pończochach i pantoflach na wysokich obcasach, jego muskularne, żylaste łydki jakoś poniżej kolan odstawały na zewnątrz, dziwnie koślawe nie jak nogi kobiece, chociaż... owszem jak nogi pewnej kobiety. Tamtej nocy Kate doznała koszmarnego wrażenia, że leży na niej i dyszy jej teściowa, wdowa po majorze Hastley-Harringtonie.

Toby nie chciał omawiać tej sytuacji i w ciągu dnia był zupełnie innym człowiekiem - to znaczy, normalnym sobą. Ale wieczorem spieszył się na górę, ciągnął Kate za nadgarstki, ściskając je palcami jak okowy ze stali. Oczy mu dziwnie migotały w masce grubego makijażu. Kate uznała, że on wygląda jak czarny charakter z krótkich powieści w magazynach. Za często czytasz Barbarę Cartland, upomniała siebie. Inaczej jednak nie

potrafiła określić tego nieprzejednania, podniecenia aż do utraty tchu, jakie malowało się na szkliskiej twarzy Toby'ego. Nie rozumiała, co się dzieje, i nie wiedziała, co zrobić.

Czym zasłużyła sobie na to? Dlaczego tak nagle spotkała ją ta okropność? Czy Toby jest homoseksualistą? Jeżeli jest, dlaczego ma stosunki z nią? I jeżeli zmienia się w homoseksualistę, dlaczego ona tak się go boi? O wielu znajomych przecież wiadomo, że są homoseksualistami i żaden z nich tak jej nie przeraża, jak Toby teraz. Straszne to było dla Kate - nawet nie ten makijaż czy wypchany koronkowy stanik, potworny czerwony gorset czy to spętanie jąder pomiędzy nogami (nie dziwnego, że on na wysokich obcasach chodził tak dziwnie) - nie, krew mroziło jej w żyłach najwyraźniej szczere naśladowanie afektowanego mizdrzącego się stworzenia, za jakie Toby - w głębi duszy - uważał kobietę. To była trawestacja, zniewaga dla jej płci, i to właśnie wywoływało w niej, która nigdy nie słyszała słowa „transwestyta”, tak wielki wstrząs.

Wywołała awanturę i Toby zagroził, że odejdzie.

Ustąpiła.

Zrobiła jeszcze jedną awanturę. Toby łagodnie przypomniał, że ona jest trzydziestoletnią bezpłodną dziwką, więc żeby zamknęła gębę.

- Och, psieplasiem, kiciuniu, nie płakaj. Pocałujmy się i pogódźmy, hmmm? Tylko jeden malusieńki całusek - powiedział po chwili. Pochylił się nad nią i podniósł jej podbródek do swych grubo umalowanych ust. Każdy por na jego twarzy wydawał się powiększony, tak jak kiedyś biały przedziałek w sztywnych czarnych włosach na głowie pani Trelawney w tamten okropny wieczór w łazience, gdy jeszcze chodziła do szkoły. Teraz w taki sam sposób ohydnie, wyraziście szczegółowo widziała tłusty amarant szminki w zmarszczkach na wargach Toby'ego i zakrzepłe grudki tego tłuszczu na szczecinie zarostu nad górną wargą. Wciąż jeszcze nie umiał malować ust należycie.

Pełna wstydu, coraz bardziej udręczona Kate, przecież co wieczór miała nadzieję, że tej nocy to nie nastąpi, że obsesyjne szaleństwo Toby'ego przejdzie tak nagle, jak się ujawniło. Pragnęła zwierzyć się komuś, kto by jej to wyjaśnił i uspokoił ją pragnęła usłyszeć, że wszyscy to robią że takie rzeczy to etap w normalnej fazie rozwoju mężczyzny. Ale wiedziała, że tak nie jest i że nie ma takiego kogoś, komu by zdołała opowiedzieć swoją żenującą historię.

Poradziła Toby'emu, żeby porozmawiał z ich domowym lekarzem. Toby zbladł, spojrzął na nią groźnie, zacisnął amarantowe usta. Przyskoczył do niej i wykręcił jej rękę na plecy, aż się złękła, że wyłamie kość. Potem gwałtownie zepchnął ją z niskiej kondygnacji schodów, prowadzących z sypialni do łazienki. Rozciągnięta na zimnych taflach, gdy on z oczami pałającymi, trzymając się pod boki, siedział na niej okrakiem w swych czarnych siatkowych pończochach, przyrzekła, że nie powie doktorowi ani nikomu innemu. Zresztą kto by mi uwierzył? pomyślała beznadziejnie, patrząc na tę cudaczną lubieżność w akcji.

- Jeżeli powiesz - oświadczył Toby chłodno swym normalnym męskim głosem - ja po prostu zaprzeczę. Nie ma dowodu na to, że ubieram się w te rzeczy. Ostatecznie są w twojej bielizniarce. - Z zadowoleniem pociągnął czarną koronkę swego gorsetu. Jemu potrzebny jest psychiatra, pomyślała Kate, ale wiedziała, że nigdy nie odważy się tego zasugerować.

Kate również wiedziała, że nie wytrzyma, że musi wyjechać daleko od Londynu, daleko od Toby'ego. Coraz większą czuła do niego odrazę, oszołomiona i przygnębiona. Nie mówiła o tym Pogance w jej leśniczówce, bo Poganka oczywiście miała zbyt dużo własnych problemów, z którymi musiała się uporać. Ale gdy Poganka wróciła z podróży poślubnej ze wspaniałymi opowieściami o Nowym Jorku (choć jej mąż dostał tam zawału, więc pobyt nie był szczęśliwy) i z zaproszeniem od Judy, Kate zdecydowała się pojechać do Stanów na miesiąc. Chciała uciec, móc o swojej niedoli nie myśleć bodaj przez parę tygodni.

W czasie wojny w poranek Bożego Narodzenia siedmioletnia wówczas

Kate znalazła w pończosze pomarańczę, gdy nikt, jak Brytania długa i szeroka, nie widział tych owoców już od lat. Ojciec za bajońską sumę kupił taki prezent dla niej od jakiegoś marynarza w knajpie. Prawie nie pamiętała, co to jest; pomarańcze tak jak banany i lody już w wojennym świecie nie istniały. Ostrożnie powąchała, wbiła paznokcie w skórkę i obrała od razu za jednym zamachem; ale później jadła ten specjał przez cały dzień wysysając każdą cząstkę starannie, rozkoszując się wonnym sokiem, który tryskał jej w usta. Potem skubała powolutku skórkę przez cały tydzień.

Więc dla Kate Nowy Jork nie był Wielkim Jabłkiem, był Cudowną Pomarańczą. Znała Londyn, Paryż, Kair i spodziewała się, że Nowy Jork to jeszcze jedna podobna

metropolia. A tymczasem Nowy Jork okazał się zupełnie inny niż kiedykolwiek sobie wyobrażała. Z okna sypialni posyłała temu miastu całusy jak dziecko.

Judy czyniła wokół niej wiele szumu, wydała przyjęcie na jej cześć, psuła ją, mówiła wszystkim, jaka Kate jest cudowna, i nagle znów zaczęło się życie. Roziskrzone podniecenie Nowego Jorku jednocześnie koilo ją i radowało. Jak ten zastrzyk w rękę, który dostawała w szpitalu, budziło w niej uczucie, że potrafi zrobić wszystko - i chęć, żeby zrobić coś.

Wieczorem w przeddzień odlotu do Londynu zdecydowała się powiedzieć Judy o przebierankach Toby'ego. Opowiedziała tę historię i zakończyła wrzaskiem.

- Już tego nie zniosę, więc jakie mam wyjście? - I po chwili ciszy rozplakała się.

- Jeszcze to potrafisz? Jeszcze wciąż płaczesz? - zapytała Judy z roztargnieniem, bo nad czymś usilnie rozmyślała.

- To f... f... forma uzewnętrznienia. L... 1... lubię płakać. Płaczem się wypowiadam, to pomaga mi czuć się lepiej.

- No mała, więc dopłacz się do końca, a potem się skup. Bo, moim zdaniem, powinnaś zaraz po powrocie do Londynu pójść prosto do jakiegoś psychoterapeuty.

- Myślisz, że coś ze mną jest nie w porządku?

- Nie, uspokój się! Tylko myślę, że powinnaś o tej sytuacji porozmawiać z kimś, kto wie, o czym mówi. Bo ty nie wiesz, i ja nie wiem, i chyba Toby też nie wie.

Po powrocie z Nowego Jorku Kate poszła do psychiatry na Harley Street. On siedział, podpierając rękami podbródek, w wolterowskim pluszowym fotelu z jednej strony kominka, ona siedziała z drugiej strony i było tak dwa razy na tydzień. Ten doktor najpierw ustalił, że Kate rzeczywiście powiedziała wyraźnie Toby'emu, jak nie cierpi jego strojenia się, a potem poradził, żeby zrobiła to jeszcze raz. I jeszcze raz Kate wylądowała na podłodze łazienki.

Wobec tego doktor napisał do Toby'ego, prosząc, by się z nim zobaczył „w sprawie, która poważnie niepokoi pana żonę”. Toby wpadł we wściekłość, ledwie otworzył ten list.

- Wygadałaś mu nasz sekret. Wiem, że tak. Myślałem, że to uzgodniliśmy... że to będzie sekret.

- Sekret nie mój... tylko twój! - wrzasnęła Kate.

Ostatecznie Toby ustąpił i odwiedził psychiatrę, który potem zameldował Kate:

- Naturalnie nie mogę pani powiedzieć, o czym mąż pani i ja rozmawialiśmy, ale on się buntuje. Moja prognoza nie jest optymistyczna, w istocie jest pesymistyczna.

- To znaczy?

- Przypuszczam, że będzie dalej trzymał się tego układu i że będzie coraz bardziej ryzykował. Wkrótce może zacznie nosić damskie rzeczy poza domem, zabierać biustonosz w teczce do biura, wkładać damską bieliznę pod spodnie.

- Co robią inne takie żony?

- Większość nie chce się z tym pogodzić, więc mężowie chodzą ze swoim ekwipunkiem transwestyckim do prostytutek. Po to między innymi one są. - Po jeszcze jednej chwili milczenia powiedział bardzo łagodnie: - Chyba będzie pani musiała podjąć decyzję. Akceptować go albo od niego odejść.

Minął następny tydzień nocnych kłótni i nocnego poddawania się umięśnionej, szklistookiej dziewczycy albo barczystej, niesamowicie powypychanej kokocie, zanim Kate uznała stanowczo, że „strojenia się” nie wytrzyma do końca życia. Nawet gdyby Toby tego nie robił, przecież by wiedziała, że naprawdę właśnie tylko tego on chce.

Tak więc po bitwie o dom - zapisany na Kate - Toby się wyprowadził biorąc srebra, rzeźbę czcicieli fallusa, druciane fotele oraz cenniejsze stare instrumenty naukowe z mosiądzu. Gdy Kate jak zbity pies poszła do adwokata prowadzącego sprawę rozwodową, dowiedziała się, ku swemu zdumieniu, że nie jest prawdopodobne, by dostała rozwód na tak oczywistej podstawie.

- Mówi pani, że on nie paradował w tych strojach przed nikim oprócz pani?

- O ile wiem, to nie. No chyba tego nie robił.

- W takim razie, niestety, nie mamy dowodu na jego ubolewania godne postępowanie. Gdybyśmy mieli, to by się podciągnęło pod okrucieństwo psychiczne, ale bardzo trudno to udowodnić. Nie doradzam tego. Myślę, że trzeba go poprosić, by dostarczył dowód cudzołóstwa.

- Ale chyba cudzołóstwa nie popełnił.

- Te rzeczy można zaaranżować.

Toby zgodził się dostarczyć dowód cudzołóstwa pod warunkiem, że Kate zobowiąże się prawomocnie nie wystąpić o alimenty.

- W istocie, wątpię, czy moglibyśmy wystąpić o alimenty dla pani - powiedział jej adwokat, po czym westchnął: - To taki skomplikowany przypadek.

- Co w tym jest skomplikowanego?

- No, pani posiada dom: większość kobiet nie posiada nic. Opowiadając Pogance, Kate dodała:

- Siedem szylingów i sześć pensów kosztuje pozwolenie, żeby związać ten węzeł, a tysiące funtów pozwolenie, żeby go rozwiązać. Nie sądzisz, że małżeństwo to wynalazek adwokatów?

Po rozejściu się z Tobym Kate gwałtownie zareagowała na czystość linii i naturalną budowę przedmiotu. Postarała się o bawełniane zasłony w różową kratkę z falbanami, meble obite kwiecistym kretonem i sztychy przedstawiające ptaki. Przerobiła parter z powrotem na mieszkanie i wynajęła je, pobierając komorne, które pokrywało zasadniczy koszt utrzymania domu. Ale nagle została bez żadnych dochodów, więc postanowiła znów zająć się tłumaczeniami i dała w „Timesie” odpowiednie ogłoszenie.

Wszyscy „wizualni” znajomi byli zdumieni tym, że Kate i Toby się rozwodzą. Toby nie jest łatwy, ale, do diabła, kto jest? Ma doskonałe wyczucie proporcji i z pewnością będzie odnosił wielkie sukcesy, właśnie po raz pierwszy zasiada w Komitecie... Kate nie mogła im powiedzieć, na czym polega kłopot. Z ciężkim sercem, z oburzeniem przelewała swoje myśli na papier i wysyłała do Judy. Między wierszami tych listów Judy odczytywała depresję. Napisała do Kate, że wolny zawód tłumaczki pracującej w domu chyba nie jest na razie fortunny, kiedy ona powinna bywać wśród ludzi, zawierać nowe znajomości.

„Może byś dla odmiany spróbowała pisać sama - radziła Judy. - Już od lat przekładasz książki i artykuły. Oboje z Tobym znacie mnóstwo osób z prasy, więc może poproś kogoś, żeby ci pomógł? Napisz parę artykułów o projektowaniu, o projektantach i niech je ktoś przejrzy. Odetchnij głęboko i podzwoń do tych wszystkich redaktorów na Fleet Street. Przecież cię nie zjedzą najwyżej cię odprawią”.

Więc Kate podzwoniła. Wszyscy redaktorzy pytali:

- Ma pani jakiś pomysł?

- Na kiedy?

- Na już.

- Och.

- Proszę napisać parę prospektów. Damy pani odpowiedź.

Więc napisała, tylko że nikt tych pomysłów nie chciał. Potem na przyjęciu poznała redaktora z „House Beautiful” i zaczęła pisać artykułiki do tego magazynu. Płacono jej bardzo mało, ale cieszyła się z możliwości pisania profesjonalnego. Po sześciu miesiącach przedstawiła jeszcze kilka pomysłów na Fleet Street i dwa z nich chwyciły. Napisała zamówiony artykuł „Pop-art w mieszkaniu” i drugi o pewnej nowej firmie, która wynalazła nowy sposób reprodukcji bardzo przekonujących „antycznych” posągów z imitacji kamienia nawet z plamami grzyba. Potem już orientowała się, co to jest nowość. Nowością nie będzie nic z tego - choćby najbardziej ciekawego - co ktokolwiek już czytał. Zrobiła dwa wywiady z projektantami w ich domach i znów to wydrukowano. Więc przedłożyła następne pomysły, każdy w trzech linijkach na oddzielnym arkuszu papieru z jej nazwiskiem na górze.

A potem któregoś wieczora zatelefonowała Judy z Nowego Jorku. Załatwiła dla Kate wywiad z jedną ze swoich klientek, była słynną primabaleriną właśnie wyjeżdżającą do Londynu.

- Co? - pisnęła Kate przerażona. - Nie odważyłaś się chyba?!

- Czemuż by nie spróbować? - Nowy Jork słyhać było słabo z odległości tysięcy mil. Po chwili transatlantyckiego syku Judy wrzasnęła: - Zabiję cię, jeżeli tam nie pójdziesz, kiedy już cię umówiłam!

- Zabiję cię, jeżeli mnie zabijesz! - ryknęła Kate. - A ona zabije nas obie!

- Nie, na pewno nie. Pamiętaj, że Joujou nic nie wie o Londynie i o nikim w Londynie. Ani w ogóle o niczym. I w gruncie rzeczy jest dosyć draczna.

- No, ale jak ja to zrobię? Jak się do tego zabiorę?

- Tylko zadzwoń do Ritza i zamów się u sekretarki. Mówiłam jej, że pracujesz dla „Globe”.

- Ale to nieprawda!

- Więc sama nie kłam. Ale one spodziewają się twojego telefonu, więc na litość, miej zimną krew. Niech Joujou się nie zorientuje, że to twój pierwszy wywiad. Ona myśli, że jesteś czołową dziennikarką z supermagazynu, a ja już się napatrzyłam na czołowe dziennikarki, więc wiem, że mogłabyś za taką uchodzić.

- Ale nie mogę!

- Gdzie twoja brytyjska odwaga? Gdzie duch Dunkierki? Gdzie ta część anatomiczna, którą my tu w Ameryce nazywamy waszym kośćcem? Przestań, Kate, dygotać i po prostu to zrób. Nawet jeżeli się nie uda, nic strasznego. Co nie znaczy, że tobie się nie uda, Kate.

Szczekanie Judy dolatywało coraz słabiej, ale Kate dosłyszała, że spotkać się z Joujou będzie dla niej nieskończenie bezpieczniej, niż spotkać się później „ze mną”, jeżeli się z Joujou nie spotka. Po jeszcze jednej kosztownej chwili milczenia Kate skapitulowała.

W bladuróżowej mini, tunice a la kosmonautka od Courteges i w połyskliwych białych butach z cholewami z winylu Kate siedziała na krawędzi łóżka Joujou, trzymając otwarty notes. Brakowało jej tchu, w głowie się kręciło, szarpał ją niepokój. Joujou, bardziej teraz gwiazda telewizji niż primabalerina, miała włosy blond z pięknie ciemniejszymi pasemkami i bardzo ładną cerę; od dwudziestu lat wyglądała na lat trzydzieści pięć. Jak gdyby symbolizowała domowe zacisze, siedziała w fotelu brokatowym o barwie pomidora i z okularami na czubku nosa delikatnie grzebała w koszyku zawierającym jej przybory do robótek ręcznych. Właśnie nawlekała korale, których sznur rozerwał się w czasie bójkki poprzedniej nocy.

Łóżko było usiane brylantami i opatrzonymi stemplem daty fotografiami biżuterii.

- Muszę mieć fotografie, bo w Stanach, w myśl przepisu, trzeba udowodnić, że się je wywiozło, kiedy się je przywozi z powrotem - wyjaśniła Joujou. Wysunęła się do łazienki, wróciła już nie w kitlu, tylko owinięta ręcznikiem, zmiotła Kate, brylanty i fotografie z łóżka i położyła się. Masażystka zaczęła atakować jej prawą łydkę, a ona bez pytania wyjaśniła, że sekret życia polega na tym, żeby nie wyglądać zbyt eterycznie i zbyt młodo, i żeby nigdy nie gderać.

- Mężczyźni, którzy chcą się ze mną ożenić, zwykle mówią; „Joujou, kiedyś kochałem moją żonę, ale ona tak na mnie gdera, że po całym dniu w biurze już nie mogę tego znieść”. A druga rzecz, którą mężczyźni kochają, to przyjemność jedzenia, więc nie znoszą pod ich nosem kobiet na diecie. Poza tym kobieta nie może być za chuda, jeżeli chce mieć dobrą twarz, musi wybierać: albo, albo. Ja się najadam, tyle że ostrożnie.

Potem Joujou przypominała sobie różne uroczystości, zresztą tylko dzięki sukniom, w jakich na nich była.

- Poznała pani generała de Gaulle'a.

- Och tak, byłam w brązowej koronkowej.

- Jak pani lubi spędzać dzień?

- Na kupowaniu. Zawsze. Ja i nowe ciuchy to romans. Przywiozłam ze sobą czterdzieści osiem stóp - powiedziała zeskakując z łóżka. Przetoczyła Kate jak wagon do swojej garderoby. Na dwóch drążkach długości dwudziestu czterech stóp każdy, wisiły wieszaki ze znakomitymi sukniami, kostiumami i płaszczami.

- Niewiele tego, kiedy podróżuję. Wolę być szykowna niż okazała -wyjaśniła. - Wszystko kupuję u Christiana Diora, mojego ulubionego krawca. Jaki mam rozmiar? Osiem, moja droga. No, może dziewięć... nie, jeżeli mam być szczerą, to dziesięć. - Przytrzymała przed rącznikiem, którym była owinięta, niezrównane popielate szynszyle. - Mam najpiękniejsze ciuchy na świecie. Właśnie dlatego pracuję... żeby je kupować. Tylko że z powodu pracy brak mi czasu na kupowanie. Brak mi czasu na przymierzanie, pani rozumie. - Popatrzyła na Kate z namysłem. - Niech pani nigdy nie chodzi kupować sama. Wmówią pani wszystko, co niedobre na duży tyłek... ja właśnie mam duży tyłek i pani też, gołombeczko, ale nie szkodzi, mężczyźni za tym przepadają.

Jeszcze jedno pełne namysłu spojrzenie, po czym Joujou powiedziała niedbale:

- Ma pani szczęście, mój rozmiar. Kate się zdumiała.

- Ale ja jestem dwunastka, i to z trudem - powiedziała. Joujou przyjrzała się jej uważnie.

- No niech pani przymierzy coś z moich rzeczy. Nie myliła się. Kate miała ten sam rozmiar.

- No to teraz możemy kupić jeszcze trochę dla mnie, a przymierzać może pani - wyjaśniła Joujou.

Natychmiast zatelefonowała do butik Christiana Diora i kazała przysłać dobór „kreatywy wyjściowych”. Kate wkładała je i zdejmowała w dusznym cieple tej sypialni, podczas gdy Joujou leżała na wznak na łóżku i poklepywana przez masażystkę, kupowała jedną po drugiej.

Telefon zadzwonił. Joujou podniosła słuchawkę. Milczała słuchając przez chwilę, a potem ozięble powiedziała w mikrofon:

- Nigdy nie miałam operacji plastycznej. Zaczęłam występować przeciwko tej dziennikarce Suzy o milion dolarów, bo oczywiście nie miałam żadnej operacji

plastycznej nigdy, ale kto, do diabła, ma czas na procesy sądowe? - Cisnęła słuchawką, prychnęła głośno.

Kate instynktownie rozpoznała właściwy moment zakończenia tej wizyty i zamknęła notes. Pamiętała przestrożę Judy, że lepiej nie zostawać za długo. Machnięciem ręki podziękowała Joujou, zygzakiem ominęła dwie jej fryzjerki i wyszła na Piccadilly. Londyn, ryczący swym ulicznym ruchem, był spokojny w porównaniu z sypialnią Joujou.

Rozdział trzydziesty osmy

Lili leżała bezwładnie na śliskich, pokrytych wodorostami kamieniach. Nogi i ręce jej krwawiły, mokre włosy ociekały na ramiona, resztki różowej sukienki bardzo skąpo przysłaniały dojrzałe siedemnastoletnie ciało. Na tle błękitu Morza Egejskiego wydawała się wyczerpana, ale niedostatecznie.

- Cięcie - powiedział Zimmer. -I uważaj na to oko, Lili. - Bo Lili ilekroć była zmęczona, trochę zezowała lewym okiem.

- Chciałbym spróbować jeszcze jedno ujęcie, dopóki słońce zaudto nie grzeje. Proszę - powiedział Zimmer. - Pamiętaj, że jesteś ledwie żywa, prawie nie możesz się poruszać, tyle że przeżyłaś rozbitcie statku.

Proszę. To podsumowuje różnicę pomiędzy Serge'em i Zimmerem, pomyślała. Zimmer nie traktuje dziewczyny, jakby była kawałkiem mięsa. Jest zawsze grzeczny, dodaje otuchy, okazuje względy, cokolwiek na planie idzie nie tak jak trzeba - a oczywiście zawsze coś idzie nie tak jak trzeba. Gdyby Zimmer przerwał, żeby dociekać czyja to wina, kłótnia trwałaby w nieskończoność i nigdy by nie ruszyli z miejsca, więc on tylko się uśmiecha półgębkiem, czym sygnalizuje niebezpieczeństwo, a potem lekko kiwa głową, jak gdyby modlił się w duchu „Boże, daj mi siłę do uporania się z tą sytuacją”.

Troskliwa grzeczność Zimmera była starannie wyrobionym jego nawykiem roboczym, przydatnym szczególnie, gdy pracował z kobietami. Znał bardzo niewielu mężczyzn odnoszących się do kobiet rzeczywiście życzliwie, jeżeli to nie było konieczne w ich pracy. A przecież, żeby uzyskać od kobiety maksimum tego, na co ją stać, czy to w kuchni, czy w sypialni, czy na filmowym planie, wystarczy autorytatywnie chwalić ją i rozpraszać jej wątpliwości.

Pamiętał też, że aktorka, choćby wyglądała najbardziej szalowo, prawdopodobnie nie wierzy w siebie, trzeba więc sprawić, żeby uwierzyła. Inaczej mówiąc, poświęcać jej możliwie jak najwięcej uwagi. Przeciętna kobieta potrzebuje tego przez dwadzieścia pięć godzin na dobę, a i to byłoby dla niej za mało. W zamian za maksimum uwagi uzyskuje się maksimum możliwości przeciętnej kobiety.

Praca reżysera z kobietami jest czymś zupełnie innym niż jego praca z mężczyznami. Kobiety bardziej się starają. Zimmer widywał je osowiałe i wyczerpane, na nogach od godziny piątej rano i raptem o ósmej wieczorem ożywione i rozkwitające przed kamerą. I one mogą tak się ożywiać za każdym razem, bo chociaż nie są wytrzymałe fizycznie jak mężczyźni, mają ogromne zapasy determinacji. Aktorki, które odnoszą sukcesy, to właśnie te, które wobec braku szczęścia muszą odkręcać kurki swojej dodatkowej determinacji, tylko że nie wierzą w siebie, biedne krowy, wszystkie potrzebują upewnienia. Zimmer wątpił, czy istnieje na świecie bodaj jedna aktorka naprawdę szczęśliwa. Każda ma za dużo obowiązków i ciężko pracuje fizycznie. Gdy stają się gwiazdami, ogarnia je strach przed utratą urody; osiągając szczyt i zdając sobie sprawę z niepewności jutra, nigdy nie uznają że im się udało. Zawsze czują się - i słusznie - tak, jakby tańczyły na linie.

Lili jest zdeterminowana i pracowita, i piękna, ale skończy nie inaczej niż one wszystkie. Tyle Zimmer wiedział.

- Cięcie. Dobrze, wywołać to. Robimy przerwę do trzeciej, dzieci. Lili, kiedy się odświeżysz, zechciej przyjść do mojej przyczepy, bardzo proszę. Omówimy scenę na plaży.

Już dwa tygodnie bez mała aktorzy i personel techniczny stacjonowali w odległości siedmiu mil od Aten. Lili miała jeszcze zagrać jedną scenę ubrana przyzwoicie. Nadal to była odmiana po występowaniu nago. Zawijając szarfę na niebieskim bawełnianym kimonie, Lili z mokrymi włosami, lepiącymi się do pleców, usiadła na leżaku w cieniu srebrnoszarej oliwki. Spojrzała w dół na małą piaszczystą plażę. Woda koloru akwamaryny pluskała na głazach, które obrzeżały zatoczkę. Za plażą tam gdzie piasek znikał w zaroślach, zebrało się przy samochodach i przyczepach może pięćdziesiąt osób. W miękkich bawełnianych kapeluszach, w ciemnych okularach, ze skórą połyskującą od olejku do opalania, trzymali scenopisy i notatniki i każdy nie spiesząc się, robił swoje.

Lili zobaczyła, jak Stan Valance sprzecza się o coś z Zimmerem. Ten podstarzały aktor amerykański miał twarz nieomal jak czaszka - nigdy dotąd nie spotkała nikogo przestrzegającego tak ścisłej diety - on nie jadł nic z wyjątkiem białony, cienkich skrawków surowej wołowiny, które specjalnie sprowadzał z Afryki Południowej. Żuł te skrawki jak prymkę.

Zachowywał się wyniośle i nie marnował ani atomu energii na rozmowę z kimkolwiek oprócz Zimmera.

O godzinie trzeciej nakręcili scenę na plaży. Lili grała bogatą rozpieszczoną pasażerkę parostatku wycieczkowego na przełomie dwudziestego wieku, Stan Valance grał palacza z kotłowni i po rozbiciu statku właśnie wyciągnął ją na ląd.

- Ręce precz ode mnie! - splunęła na niego, gdy z trudem włókł ją trzymając pod pachy. Wyrwała mokre ręce z jego mocnego uścisku i leżała wyczerpana w morskiej pianie. - Pływam doskonale - dyszała. - Mogłabym sama się uratować!

Spróbowała wstać. Zdumienie malowało się na jej twarzy, bo stwierdziła, że nie zdoła się podeprzeć drżącymi rękami. Głowa jej opadła z powrotem na piasek. Bez słowa, bez tchu, Stan chwycił ją za ręce i znów spróbował wyciągnąć z wody. Mozolnie podniosła głowę i przez zaciśnięte zęby syknęła:

- Nie waż się mnie tknąć!

Ton jej mówił wyraźnie, że Stan to służący i mężczyzna, i że ona jest tylko w strzępach nocnej koszuli. Tymi pięcioma słowami Lili potrafiła wyrazić jednocześnie swoje wyczerpanie, nieposkromioną pełną werwy butę i zgorzenie dziewiczej skromności. Wyglądała przy tym szalenie sexy.

- Cięcie!

Później w ciemnościach Zimmer i Stan Valance oglądali pierwszą kopię. Nagle Stan pochylił się do przodu.

- Niech to szlag - powiedział - ta dupa potrafi grać!

Nazajutrz rano Valance zaczekał, aż Serge zniknie z horyzontu, i spokojnie podszedł do leżaka Lili w cieniu oliwki. Nie marnował słów.

- Mała, znałem Marylin i pracowałem z nimi wszystkimi, Joan Crawford, Vivien, Liz, którą tylko zechcesz wymienić, i mówię ci... nie sprzedawaj się zawczasu. Masz to, czego trzeba... jak ja kiedyś.

- Naprawdę tak pan myśli? - Patrzyła skwapliwie, oczami roziskrzonymi.

- Z pewnością. Cokolwiek robisz, to wychodzi. Więc nie dopuść, żeby ktoś to zmienił. Nie zadawaj się z gnojem.

To znaczy z Serge'em, pomyślała Lili, gdy Valance spacerowym krokiem odszedł. Serge, jeśli nie była na planie, nigdy nie zostawiał jej samej. Ku jej zadowoleniu, bo potrzebowała Serge'a. Potrzebowała go, bo stała się znana i reagowała na to, że jest znana. Sukces sprawił, że czuła się tylko rzeczą, z której każdy może korzystać i szydzić. Sukces sprawił, że czuła się upokorzona. Już nie mogła schronić się w bezimiennosc. Nieraz doznawała wrażenia, że wszyscy widzieli ten słynny kalendarz i te okropne filmy. Ludzie patrzyli na nią nerwowo - kobiety z nie ukrywaną zawiścią, mężczyźni zawzięcie, szacująco. Coraz częściej miewała urojenia. Już nie mogła kupić kwiatów od ulicznego sprzedawcy, nie zastanawiając się, czy on widział kalendarz, czy wie, jak ona wygląda nago, czy ją rozpoznaje, czy miał ją w jakimś lubieżnym śnie.

W końcu zaczęła unikać takich przelotnych zetknięć z ludźmi, rzadko kiedy wychodziła na ulicę. Jeśli czegoś chciała, zamawiała to przez telefon albo prosiła o to nową sekretarkę Serge'a. Pod bezczelną pewnością siebie tylko ukrywała swoją niepewność. Wobec nieznanym zachowywała się szorstko, niezręcznie, niegrzecznie. Nieraz palnęła coś głupiego, po czym zaraz tego żałując i próbując pokryć zakłopotanie, mówiła jeszcze większe głupstwa.

Jej absurdalne wypowiedzi wesoło sobie powtarzano w Paryżu i skwapliwie przytaczano w brukowcach - często niedokładnie - co potęgowało jej lęk przed ludźmi. Nie może ufać nikomu, bo raz po raz się zawodzi. Ludzie są dla niej mili, bo zawsze czegoś od niej chcą - i teraz nagle chcą od niej czegoś całe tłumy! Autograf, fotografię, numer jej telefonu, guzik od jej płaszcza, kosmyk włosów, wywiady... Obcy ludzie jej szepczą, że mają dla niej cudowny pomysł; dobrze ubrane, urocze kobiety zapraszają ją, żeby na piśmie aprobować swetry, dezodoranty czy nawet wibrator. Wygadani, pozornie godni zaufania mężczyźni namawiają ją, żeby podpisywała jakieś papiery, albo usiłują zwabić ją do łóżka, nie wątpiąc, że ona się zgodzi. („No, kochanie, jakąż różnicę zrobi ci jeszcze jeden kontakcik?”)

Serge swobodnie pewny siebie, uważał, że łatwo Lili wykorzystywać, i naturalnie robił wszystko, co mógł, żeby powiększać w niej brak tożsamości i tym samym uzależnienie od niego.

Nowa sekretarka Serge'a otwierała listy, które przychodziły do Lili, i odbierała telefony. Lili przez cały dzień siedziała w eleganckim biało-szklanym mieszkaniu, które Serge kupił na rue Francois I. Była tam samotna. Serge cierpiąc na katar sienny, nie pozwolił jej nawet mieć kota. Nosił teraz ubrania od Cerruttiego i wciąż gdzieś wychodził, zbyt zajęty, żeby być z nią, albo przyjmował agentów reklamy czy biznesmenów, czy reżyserów, czy adwokatów - zimnookich mężczyzn w ciemnych garniturach i z teczkami, którzy patrząc na nią, uśmiechali się sztucznie, ostrożnie, bez wyrazu. Ona dla nich nie była osobą. Była transakcją do zawarcia, aktywami do rozważnego wykorzystania, „żywcem”, jak wyraził się pewien agent. Handlowanie nią było poważną pracą.

Serge już Lili nie pobrażał. Bezpiecznie ją obwarował, więc nie musiał zawracać sobie głowy jej potrzebami i problemami; jego sekretarka kupowała wszystko, czego Lili potrzebowała, w granicach określonego budżetu (Serge nie chciał, żeby wydawała majątek na kreacje Yvesa Saint Laurenta). Jeśli miał być szczery, to Lili go teraz nudziła. Prawie osiemnastoletnia, kurewka bez wykształcenia - całe szczęście, że nie dopadli go inspektorzy z kuratorium i gdyby nie te pieniądze, dawno by jej dał kopniaka. Człowiek może mieć dosyć nawet najśłodszych cycków, zwłaszcza gdy to cycki niedouczonej, prymitywnej małej dziwki, ciągle skomlącej jak dzieciak, żeby zwracać na nią uwagę.

Z wolna Lili wyczuła, że Serge interesuje się nią coraz mniej. Nie rozumiała - nie chciała zrozumieć - dlaczego, ale było oczywiste, że go irytuje, że on nie chce jej mieć w pobliżu. Z drugiej jednak strony nie pozwalał, żeby wychodziła za próg drzwi frontowych bez niego.

Lili była zdenerwowana i niespokojna. Jeżeli nie należy do Serge'a, to nie ma żadnej przynależności, nie ma swojego miejsca na świecie. Przez pięć prawie lat Serge jej mówił, co robić, w co się ubrać, jak się zachowywać. Bała się, że on mógłby ją - jak czasami napomykał, gdy nakłaniał ją do posłuszeństwa - po prostu wyrzucić.

- I tylko pamiętaj, że byłaś niczym - warczał pstrykając jej palcami przed nosem - niczym, zanim ja cię znalazłem. I beze mnie znów byłabyś niczym!

Premiera Q odbyła się w Paryżu przed osiemnastymi urodzinami Lili i ten film, chociaż wyprodukowany tanio, reklamowany też niewielkim kosztem, okazał się ogromnym sukcesem. Na premierze Lili uśmiechała się triumfalnie do fleszów, głowę

podnosiła wysoko, pozując w kremowym smokingu, kremowych spodniach i przezroczystej koszuli z kremowego woalu, czyli w stroju świadczącym, że osiągnęła status gwiazdy, i bynajmniej nie ukrywającym powodów tego osiągnięcia.

Po przedarciu się przez tłum z powrotem do wynajętych limuzyn czołówka obsady filmu, reżyser, producent, sponsorzy i agent prasowy pojechali do Chez Lipp, gdzie w myśl obyczaju teatralnego mieli wśród rytowanych luster, złocen i czerwonych pluszów czekać na pierwsze poranne wydania gazet - i na recenzje.

Ponieważ w budżecie nie przewidziano dodatkowej bajońskiej sumy, której Stan Valance zażądał za swoją obecność na premierze, główną sensacją była Lili. Uśmiechała się, gdy Zimmer ze zwykłym ponurym półuśmiechem prowadził ją, a policjanci tworzyli kordon, dopóki nie wgramoliła się do limuzyny.

- Musisz ćwiczyć powolne wsiadanie do samochodu i wysiadanie - zauważył Zimmer.
- Publicznie zawsze poruszaj się powoli. Żeby być wielką gwiazdą, trzeba mieć nie tylko urodę i talent, trzeba mieć styl i klasę. Publicznie zawsze powinnaś wyglądać tak, jakby pomagano ci wysiąść z Rolls-Royce'a, a nie tak, jakbyś pędziła do autobusu.

Gdy limuzyna wyjechała z tłumy, Zimmer odwrócił do Lili twarz. Patrzyli na siebie w świetle mijanych latami.

- Lili, chcę ci powiedzieć dwie rzeczy, przy czym jedna z nich to nie moja sprawa. Ze zdumieniem przekonałem się, że jesteś rzeczywiście dobra. Masz wrodzone wycucie kamery. Reagujesz na kamerę, jak gdybyś była w niej zakochana. I słuchasz wskazówek, rzeczywiście słuchasz tego, co mówię. Nie czekasz, aż skończę, i nie zaczynasz opowiadać, jak trzeba scenę zagrać twoim zdaniem. Masz zadatki na świetną aktorkę, Lili. Pod warunkiem, że będziesz pracować z dobrymi reżyserami.

Umilkł kładąc lewą rękę na oparciu siedzenia.

- Nie mogę się nie zastanawiać - podjął po chwili - czy biedny Serge odróżnia dobrych reżyserów od drugorzędnych. Drugorzędny reżyser uwydatni wszystko to, co jest w tobie oczywiste, ale prawdopodobnie przegapi tę rzewność, ten urok wątkości, tę pełną nadziei ufność, jaką emanujesz. A to właśnie dzięki tym czarownym cechom zostaniesz gwiazdą, Lili.

Gdy limuzyna wjechała na Pont de la Concorde, Zimmer westchnął.

- A teraz ta druga część, czyli nie mój zakichany interes - powiedział. - Staram się nie wtrącać do cudzego życia, więc Bóg raczy wiedzieć, dlaczego ci to mówię, ale czy ty wiesz,

że zapłaciliśmy ci dwadzieścia tysięcy dolarów na konto w banku w Zurychu? Oczywiście musieliśmy zapłacić o wiele więcej, żeby ściągnąć Valance'a, ale potrzebny nam był ktoś ze sławą międzynarodową. Otóż nie mogę się nie zastanawiać, ile ty z tej swojej gaży zobaczysz pieniędzy? Lili, do cholery, nie możesz uciec od niego? Niepotrzebny ci ten drań do szczęścia.

- Owszem, potrzebny - powiedziała Lili. - Boję się bez niego. Dlatego mi jest potrzebny. On jest... jedyną moją rodziną, innej nie mam.

- Dlatego łgniesz do niego... żeby mieć poczucie bezpieczeństwa. Ale Serge nigdy bezpieczeństwa ci nie zapewni - oświadczył Zimmer. - Słuchaj, to naturalne, że się boisz. Jesteś jeszcze nastolatką. Życie miałaś ciężkie. Ale nigdy nic z ciebie nie będzie, jeżeli od niego nie uciekniesz. On chce utrzymywać twoją zależność. Tak, żebyś bała się odejść. - Poklepał Lili po ramieniu i znów westchnął. Podjechali przed brasserie Lippa.

Błyskało jeszcze więcej fleszów, było jeszcze więcej fotoreporterów i goście w sali spontanicznie bili brawo, gdy Zimmer i Lili powoli szli do stolika, na którym czekał szampan w srebrnym kubelku i ogromny bukiet lilii obłożony telegramami.

Z ukłonem Zimmer wręczył Lili bukiet mówiąc:

- Od dzisiaj, Lili, będziesz sławna w świecie.

- Wolałabym być sławna w sobie - powiedziała żałośnie, przytulając lilie. - W sobie jestem tylko zdenerwowana.

- To zrozumiałe po takim napięciu - wyjaśnił czule Zimmer. - I denerwujesz się, jakie będą recenzje w gazetach. Wkrótce ci to minie. Pamiętaj, będziesz gwiazdą. Nie muszę czytać tych recenzji, żeby to wiedzieć. Ty nie słyszałaś o Elizabeth Bemer, ale ona miała ten urok kruchości, ten rozrzewniający wdzięk. Ze ściśniętym gardłem, z zapartym tchem oglądało się to bezbronne, wrażliwe, bezpańskie dziecko na ekranie, tę smutną słodycz płatka róży, który opadł na ziemię. W tobie jest ta sama subtelność, Lili.

- Nie jestem płatkiem róży - powiedziała Lili.

Od trzech miesięcy Lili bardzo uważnie słuchała tego, co mówił Zimmer. W istocie zaczęła mu ufać. Więc po premierowym przyjęciu rozważyła jego radę. Dwadzieścia tysięcy dolarów to majątek - mogłaby kupić sobie dom i nawet mały samochód. I poszłaby na kurs i dostałaby prawo jazdy. Serge nie pozwala jej prowadzić jego nowego Mercedesa.

W zimnej szarości świtu, gdy się rozbierali, zapytała Serge'a niby obojętnie:

- Ile zapłacili za to, że grałam w Q1.

- Rany boskie, co za pytanie o tej godzinie! Po tych recenzjach już dzisiaj Paryż pił twoje zdrowie, a ty potrafisz myśleć tylko o pieniądzach!

- Tak, ale ile?

- To zależy, czy się mówi o sumie netto czy brutto, a ty nawet nie wiesz, co te cholerne określenia znaczą.

- Chciałabym tylko wiedzieć, ile ogółem Zimmer ci zapłacił. To znaczy brutto, prawda?

- Rany boskie, Lili, jest szósta rano! Czy ja nie dosyć robię dla ciebie? Czy mi nawet spać nie wolno? Jazda do łóżka, bo tak cię spiorę, że się nie pozbierasz. Jutro wieczorem lecimy do Londynu, pojutrze zaczynasz zdjęcia, więc wyśpij się, póki możesz. Ty zajmuj się swoją stroną interesu, a ja będę się zajmował moją!

- Serge, chcę wiedzieć. Czy zapłacili dwadzieścia tysięcy dolarów?

Na odlew uderzył ją w bok głowy. Metodycznie bił ją tak, żeby nie było sińców, ale się nie powstrzymywał. W każde uderzenie wkładał całą swoją niemałą siłę.

Lili osunęła się na kolana. Widząc ją na czworakach, szlochającą ze strachu, upokorzoną, Serge nie mógł się oprzeć pokusie, żeby ją kopnąć w żebra. Kopiąc zawarczał:

- Wszystko, co masz przed sobą, to ja. Stracisz mnie, jesteś nikim.

Gdy otworzyła oczy, leżała w łóżku i było prawie południe. Głowę wprost rozsadał jej ból. Z drugiej strony korytarza słyszała, jak Serge gawędzi z sekretarką. To daremne, nic nie mogła zrobić. Bała się teraz życia z Serge'em tak samo, jak bała się życia bez niego. Wydawało się, że jest tylko jedno wyjście. Chwiejnie wstała z łóżka i podeszła do roztrzepotanych koronkowych firanek w otwartym oknie.

Rozdział trzydziesty dziewiąty

Żartobliwy wywiad z Joujou był pierwszą pozycją Kate na łamach „Globe”. Przydzielono mu pół stronicy i natychmiast poproszono Kate o następne artykuły. Tak więc odtąd „z wolnej stopy” pisywała dla „Globe” wiedząc, że gdy Scotty, redaktor działu reportaży, zatelefonuje ze zleceniem, ona musi rzucić wszystko, cokolwiek robi, i pędzić, i gdy Scotty prosi ją o pomysły, to w ciągu pół godziny trzeba przedstawić sześć dobrych,

po czym rozwinięcie wybranego spośród nich oznacza pracę przez całą noc, ale szło jej to nie najgorzej.

Z początku uważała, że atmosfera ogromnego, pomalowanego na kremowo, bezokiennego piętra redakcyjnego „Globe” jest szorstka i nieprzyjazna, okazało się jednak, że panuje tam wspaniały nastrój skupienia pomimo nieprzerwanego ognia maszyn do pisania, klekotu teleksu, pogawędek przez telefon i naporu terminów nieprzekraczalnych.

Ponieważ nie miała przeszkolenia ani doświadczenia, życie na Fleet Street było dla niej trudne. Wszyscy pracowali w pośpiechu, brakowało czasu, żeby udzielać wyjaśnień początkującym. Kto się nie nadaje, ten wylatuje, a zresztą Fleet Street to nie miejsce dla nowicjuszy. Kate nauczyła się właściwej tonacji rozmów telefonicznych, słuchając, jak rozmawiają przy sąsiednich biurkach. Nauczyła się mieć notatnik zawsze w zasięgu ręki, nigdy nie zmieniać cytatów i wciąż sprawdzać, sprawdzać i sprawdzać.

Scotty był niezwykle uprzejmy, a przy tym szybki, zabawny i śmiertelnie poważny. Kate okazywała mu oddanie. Kiedyś, gdy przepisywała artykuł po raz dziewiąty, poklepał ją po ramieniu i powiedział:

- Niczyj tekst nie jest dosłjonały. Tylko postaraj się, żeby był tak dobry, jak to jest możliwe w danych okolicznościach, i dawaj dalej. Pamiętaj, że to nie jest twój tekst... to produkt pracy zespołowej, a ty jesteś tylko początkiem łańcucha. -I znów zaczął ogryzać okropnie już ogryziony ołówek.

Kate wiedziała, że ma szczęście. W pierwszym roku na Fleet Street często pracowała od ósmej rano do jedenastej w nocy, bo jeszcze nie odkryła drogi na przełaj. Ogromnie lubiła ten spokojny, chociaż pełen pośpiechu świat gazet codziennych, kochała to podniecenie, te napięte terminy i lubiła pracować dla Scotty'ego, który był szefem ujmującym, pociesznym, chronił ją, zachęcał, poganiał i bezlitośnie skracał jej maszynopisy.

W pewien wiosenny poranek roku 1966 Kate została wezwana do wykładanego boazerią gabinetu Scotty'ego. Pod ścianą z prawej strony stała na wysokości piersi długa na dziesięć stóp, pochyła półka, na której można było rozkładać plany gazety. Scotty nigdy nie siedział przy swym okazałym mahoniowym biurku, zawsze kręcił się przy tej desce i coś tam bazgrał albo opierał się o nią niedbale, rozmawiając. Strumień jego

podwładnych z szuraniem napływał i odpływał i nieraz nawet ustawiano się przed jego gabinetem w ogonku.

W tamten poranek ukazał się w „Globe” wywiad Kate z izraelskim dowódcą czołgów, generałem Nakte Nirem. Wypytyjąc tego bohatera w hallu skromnego hotelu, w którym się zatrzymał w Londynie, Kate szybko pojęła, że najwidoczniej ktoś podał jej nazwisko nie na tej co trzeba liście dziennikarzy. Niemniej wywiad wypadł dobrze - ona szybko czyniła postępy.

- Usiądź na chwilę, Kate - powiedział Scotty. - Naczelnemu podobał się dzisiaj twój tekst. - Spojrzał na nią dziwnie. - Czy mdlejesz na widok krwi? Czy zdarzyło ci się spać pod gołym niebem? Czy mogłabyś wyjechać z domu na cały miesiąc? Czy chcesz w „Globe” mieć etat? Myślimy o wysłaniu cię do Sydonii.

- Ale tam jest wojna.

- Bystra dziewczyna, bardzo spostrzegawcza. Już mamy tam dwóch reporterów, ale chcemy czegoś innego niż to, co nadają nam telegraficznie. Chcemy kilku niezwykłych reportaży literackich.

- Ale ja nigdy... Tak, Scotty, oczywiście. Kiedy?

- Jest samolot dziś wieczorem. Trzeba być w Heathrow o piątej po południu. Przesiadka w Rzymie. Nie bierz za dużo rzeczy, nie objuczaj się, tylko pióro i notatnik. Nie chodzi nam o korespondencję dla kobiet. Naczelną wysłała ciebie, bo chcemy mieć materiał z drugiego planu wojny od kogoś ze świeżym okiem. I nie zapomnij wypełnić formularza wydatków należycie - dodał. - Mam po dziurki w nosie wypełniania go za ciebie na nowo.

Kate pospieszyła do Gamage'a w Holbom. Kupiła trampki, impregnowane prześcieradło, plecak i manierkę do przywieszania przy pasku. Nie miała czasu na kupowanie czegokolwiek innego, w istocie, ledwie zdążyła zatelefonować do matki i poprosić ją o opiekę nad domem. Nastąpiło rozjątrające czekanie na wizę w konsulacie Sydonii w South Kensington. Na szczęście, było stamtąd tylko pięć minut drogi do domu, gdzie musiała się spakować w ciągu dziesięciu minut przed złapaniem taksówki, żeby pojechać na lotnisko.

Gdy samolot wylądował, jeszcze dwie godziny pozostały do świtu. Sześć godzin trwała jazda małym autobusem z lotniska do Fenzy, do hotelu, w którym „Globe” zarezerwował pokój dla Kate. W tym niezbyt czystym pokoju nie było ciepłej wody. Kate

jednak zaraz padła na twarde łóżko i spała do południa. Po południu zasięgnęła informacji u portiera i wyruszyła do ośrodka prasowego w barze przeobrażonego hotelu Majestic.

Po raz pierwszy widziała miasto ogarnięte wojną, nie licząc bombardowanego Londynu, ale nigdy przecież nie była w londyńskim śródmieściu w czasie wielkich nalotów bombowych. Miasto Fenza, niedaleko linii frontu, wyglądało tak, jakby już serce z niego wydarto. Ziało pustką, prawie wyludnione, bo wszyscy, którzy mogli uciec, uciekli, a plądrujących patrole wojskowe zabijały na miejscu. Jazdę samochodem uniemożliwiał gruz tarasujący jezdnie, na pieszych mógł lada chwila runąć jakiś mur.

Kate pędziła przez to miasto szerniałe i wyczerpane. Wyzywając prawo ciążenia, rozbite budynki chyliły się jak pijane nad żalonym rumowiskiem ulic. Z pięter jakiegoś domu bez fasady zwisało łóżko z nedorzecznie pasiastym materacem, na rozbitych ścianach strzępiła się tapeta w kwiatki.

Powietrze przesycił zapach spalonego drewna belek i okiennych framug, gdy Kate lawirowała wśród worków z piaskiem, stert potłuczonej cegły i gipsu, gdy mijała rower z połamanymi szprychami leżący na jezdni między szczątkami mebli i wypalony samochód, i w końcu ciężarówkę wypatroszoną, wywróconą czarnym brzuchem ku niebu przed na pół opuszczonym hotelem Majestic.

Nazajutrz wstała o czwartej rano, bo autobus odjeżdżał o piątej. Ku jej zdumieniu, podstawiono duże autobusy, żeby korpus prasowy mógł pojechać na front zupełnie jak na kościelną wycieczkę. Pod bezchmurnym błękitem nieba dzień nastawał upalny, gdy trzęśli się na nierównościach beżowej pustyni. Piasek przenikał wszędzie. Kate czuła go w głowie, we włosach i w oczach, pod powiekami, za stanikiem i nawet w pachwinach; swędziło. Jej sąsiad w tym cuchnącym papierosami, zakurzonym autobusie powiedział:

- To, co dzieje się tutaj, nie jest po prostu walką Arabów z Arabami. Rzeczywiście to Amerykanie zagrywają Sydonię przeciwko Rosjanom, którzy zagrywają Arabią Saudyjską. Wszelkie wyposażenie, które Sydonia zagarnęła, jest produkcji rosyjskiej.

Wyraźnie znużony człowiek w dresie, siedzący z drugiej strony Kate, wyjaśnił:

- Sydonia to tylko mały kraik, ale ma pola naftowe na południu i w tym właśnie rzecz. Każdy pretekst, żeby tam wkroczyć, jest dobry. Oficjalnie Moskwa nie wtrąca się do bitwy o pola naftowe dlatego, że Kreml nie chce dostarczyć pretekstu Ameryce.

Dziennikarz siedzący przed Kate wyraźnie był zdania, że redakcja „Globe” zwariowała, skoro przysłała ją tutaj.

- Dobrze przynajmniej, że nie przysłali z panią kogoś od mody i od uprawiania ogródka - warczał. - Wojna to nie taka zabawa, jak oni myślą... paf, paf, padasz trupem, a potem wstajesz i jest podwieczorek w dzieciennym pokoju. - Odwrócił się do Kate. - Wojna jest brudna, cholernie obrzydliwa. Popatrzył na nią z chłodną dezaprobatą. - Ktoś powinien pani powiedzieć, że Sydończycy nie puszczają swoich kobiet na wojnę, bo grozi im gwałt, okaleczenie... chyba nie chce pani mieć granatu ręcznego wepchniętego w pani... albo piersi ni stąd, ni zowąd odciętych. I jeżeli się jest korespondentem, nie ma się żadnej ochrony. Korespondent nigdy nie nosi pistoletu.

Potem trzęśli się na wybojach w milczeniu.

Daleki grzmot zmienił się w nieprzerwane przeraźliwe huki, gdy autobus zbliżał się do linii frontu przez odrażające, olbrzymie pustkowie pyłu i spłowiątych szarozielonkawych krzaków. Po ciężkich walkach zostały na pustyni uszkodzone czołgi, powykręcane wraki dżipów, wypalone ciężarówki tkwiące w wysokich wydmach. Hałas kanonady rozdzierał uszy.

Wysiedli z autobusu. Bomba właśnie trafiła w jedno z sydońskich dział, inna bomba w ciężarówkę, która najwidoczniej z ładunkiem amunicji, sama wybuchła rojem huczących gwiazd. Samoloty błyskały w górze, ziemia się trzęsła od wybuchów. Wokoło osuwały się z nieba iskrzące w ogniu artylerii, zwieszane na odwrót, pomarańczowe żyrandole.

Linia frontu się rozwlekała, ukrywała i urywała. Szereg zakurzonych grupiek w khaki sunął naprzód, inne grupki starały się je zatrzymać, gdy ci żołnierze pędzili zgięci we dwoje albo się czołgali od krzaka do krzaka, jard po jardzie. Trupy znaczyły piasek, leżąc tak, jakby to żywi ludzie opalali się, ubrani, w blasku słońca. Cuchnęło gnijące mięso - Sydończycy co wieczór usuwali swoich poległych, ale zwłoki nieprzyjaciela zostawiali.

Ostry kwaśny odór kordytu gryzł w nozdrza i gardło. Piekielne wrzaski waliły w uszy, płomienie porażały oczy. Trudno było coś zobaczyć. Kate szła na czworakach we mgle koloru pieprzu, wyteżając wzrok ku gęstej ochrowej chmurze mgliście pręgowanej pióropuszcami czarnego dymu z palących się czołgów i ciężarówek. Umierała ze strachu.

W ciągu dwóch tygodni Kate się zmieniła. Minęło zdenerwowanie, gorączkowe napięcie - była po prostu zbyt zajęta, żeby się bać i denerwować. Po raz pierwszy w życiu zdana wyłącznie na siebie, nie miała nikogo, kto by nią kierował, nikogo, kto by krytykował albo aprobował jej poczynania. Sama musiała decydować, co i jak zrobić, przy czym od jej decyzji zależało nie tylko to, czy odniesie sukces, ale czy w ogóle przetrwa.

Raptem stwierdziła, że ta sytuacja dziwnie ją rozwesela. Ukończyła właśnie trzydzieści cztery lata, czuła się jak kobieta pięćdziesięcioletnia, a przecież skupienie konieczne w jej pracy sprawiało, że wszelkie odczucia, nawet ciągłe wyczerpanie, wydawały się nieważne. Rozumiała teraz fotoreporterów podejmujących tak zwane przez cywilów „wariackie ryzyko”. Oni prawdopodobnie żadnego ryzyka nie dostrzegają nie mają na to czasu.

Korpus prasowy okazał się zupełnie inny, niż Kate przedtem sobie wyobrażała. W barze hotelu Majestic panował nastrój powagi i zmęczenia, żaden z tych dziennikarzy się nie upijał. Na to po prostu też nie było czasu. Żaden do niej się nie zalecał. Wszyscy byli zbyt zaprzątnięci, zbyt znużeni. Podobnie jak oni, Kate stała się ostrożna, skryta i nieufna, strzegąc ewentualnych „tematów”, jakby to była mapa Wyspy Skarbów. I podobnie jak oni, nie przestawała ani na chwilę myśleć, snuć domysłów, planować, przeprowadzać wywiadów, robić tłumaczeń, pisać i wysyłać tego, co napisała. Wstawiała o świecie, nigdy nie wiedząc, czy będzie miała materiał, i uważała, że doprawdy los jej sprzyja, gdy wieczorem o dziesiątej nadawała korespondencję.

Skoncentrowała się na relacjonowaniu, jak wojna odbija się na ludziach, czy to w zbombardowanym miasteczku, czy na polu bitwy. Jej tłumacz -dwunastoletni Ali, który chodził przed wojną do szkoły misyjnej i udawał, że jest znacznie starszy, niż był, i że wie o wiele więcej, niż wiedział - deptał za nią białą kropką w krok jak wierny pies.

- Ali, gdzie jest król? - zapytała go ostro w pewien wieczór, gdy stali przed hotelem Majestic. - Dużo, dużo pieniędzy Ali dostanie, jeżeli pani zobaczy króla. - Kate nade wszystko chciała przeprowadzić wywiad z Abdullahem. Nie zdawała sobie sprawy z nieosiągalności tego, bo nikt jej nie powiedział, że król żadnych wywiadów nie udziela i tylko od czasu do czasu zgadza się na konferencję prasową.

Od dwóch dni panowała w tym teatrze wojny chwilowa cisza. Armia Sydońska, początkowo zaskoczona, jednak wyparła Saudyjczyków z powrotem na wschód ku

wspólnej granicy. Armia Saudyjska wycofała się za niskie wzgórza pomiędzy linią frontu, teraz odległa o dwadzieścia mil na wschód od Fenzy, i granicą odległą od tego miasta o następne czterdzieści. Przez te dwa dni nikt nie wiedział, gdzie jest król Abdullah. Przedtem był na froncie dowodząc swoim wojskiem, teraz gdzieś zniknął.

- Król jest na wschodnich wzgórzach u plemienia Hakim. - Ali się rozpromienił. - Już proszę pieniądze, pani.

- Przecież wschodnie wzgórza są na linii frontu.

- Tak, pani, ale wróg jeszcze jest w Sydonii.

- Skąd wiesz? Nie zapłacę ci, dopóki nie będę wiedziała, że to prawda. - Kate słyszała tę krążącą pogłoskę, nie miała zamiaru za pogłoski płacić.

- Ja zabiorę panią tam - ofiarował się Ali.

- Jak mnie zabierzesz? Nie mamy swojego samochodu, a dżipem można dojechać tylko do frontu, bo Saudyjczycy natychmiast zaczną go ostrzeliwać.

- Dżipem na front jak ostatnim razem, a potem wynajmę wielbłądy od mojego krewniaka - powiedział Ali niefrasobliwie.

Wielbłądy! pomyślała Kate. Przecież nie będą strzelać do kobiety i chłopca na dwóch wielbłądach... He to będzie kosztować? pomyślała i zaczęła się targować z Alim o koszty tej całej wyprawy.

Nazajutrz dwie godziny trwała jazda na front w pełnym much, brzęczącym, migotliwym upale, szlakiem wytyczonym na piaskach pustyni kanistrami, koło których skandalicznie kosztowny dżip przejeżdżał szarpiąc, objając się i podskakując. Kate z lornetką boleśnie uderzającą ją w piersi uczepliła się kierownicy obiema rękami. Od dnia przybycia do Sydonii miała dolegliwości żołądkowe, teraz zbierało jej się w dodatku na wymioty, gdy przejeżdżali obok spalonych, szerniałych trupów, skręconych jak zanadto uwędzone śledzie. Minęli z łomotem baraki-kostnice, a potem szpital polowy. Przed szpitalem lekarz i dwóch sanitariuszy klęczało przy rannym żołnierzu, muchy wisiały czamą jak pieprz chmurą nad innymi rannymi, którzy leżeli cicho, prawie martwi albo wrzeszczeli w udęce. W obrzydliwym zaduchu ciał i krwi dżip pokołysał się dalej.

Wreszcie Ali wskazał stertę gruzów z kilkoma ziejącymi lejami. Siady kul na brudnych białych resztkach ścian niedużej chyba chaty świadczyły o walce. Zielone strzępy flagi sydońskiej jeszcze zwisały z muru.

- Tutaj? - zapytała Kate z niedowierzaniem. - Pani nie widzi tu wielbłądów.

- Tutaj czekamy na krewniaka - powiedział Ali stanowczo.

Więc Kate zatrzymała dżipa. Przez chwilę się nie poruszyła, tak wielką czuła ulgę po szarpaninie tej jazdy. Potem wysiadła i poszła w stronę chaty z Alim depczącym jej po piętach. Dwaj sydońscy żołnierze paląc papierosy opierali się o rozbite drzwi wejściowe. Pomachała do nich ręką a oni uśmiechnęli się do siebie. Przeszła po gruzach i zobaczyła trzeciego wartownika, który leżał na brzuchu i patrzył przez dziurę w ścianie.

Nagle kiszki jej znów zaburczały, musiała prędko wybiec z tych ruin. Och, jakież upokorzenie! To tutejsza woda, mówili reporterzy, ale przecież nie mogła płukać zębów piwem. Cała spocona, nie przejmowała się tym, że Ali drepcze za nią gdy z trudem weszła za niewysokie rumowisko i osłonięta przykucnęła, żeby się wypróżnić. I nagle, wprost w to nie wierząc, zobaczyła, jak wokół niej piasek tryska, gorące poszarpane odłamki szrapnela lecą w powietrze. Coś walnęło w jej hełm, aż się wzdrygnęła, aż chciała rzucić się na gruzy, kryć się. Oburącz przytrzymała hełm, przykucnęła jeszcze niżej i jęknęła.

Nagle ruiny chaty przed nią powoli przechyliły się w lewo. Szarpnięciem podciągnęła na sobie dżinsy, zapięła zamek błyskawiczny i biegiem wróciła tam, gdzie było to, co pozostało z ruin chaty.

Ci trzej weseli żołnierze, do których przedtem pomachała ręką byli teraz tylko pustymi ciałami. Jeden leżał rozparty na wznak, patrzył na nią obojętnymi oczami, a z brzucha wypełzały mu połyskliwe czerwone węże.

Zdrętwiała ze zgrozy, usłyszała hałas i wrzaski za ruinami. Strach ją obezwładniał, a przecież zdołała instynktownie skulić się i sięgnąć po karabin jednego z tych trupów. Musiała wyciągnąć kolbę spod zwiotczalej pachy. Tylko mieć ten karabin i z głową schyloną poczołgać się po gruzach, pomyślała. Boże, mam nadzieję, że resztki tych ścian się nie zawałą. Uważnie sprawdziła, czy karabin jest odbezpieczony.

Usłyszała odgłos wdrapywania się z drugiej strony rumowiska i nagle poczuła się z tyłu naga, bezbronna. O Boże, a jeśli ktoś z tamtej strony strzeli jej w pośladki!

Ale teraz dolatywało sapanie, pochrząkiwanie, gdy ktoś wdrapywał się na gruzy przed nią. Po chwili, jak jajko w kolorze khaki, z wolna ukazał się krągły czubek hełmu. Ułamek po ułamku podnosił się, aż nad strzaskanymi cegłami zobaczyła brudne brązowe czoło. I zaraz potem dwoje zdumionych młodych czarnych oczu pod ciężkimi brwiami. Delikatnie nacisnęła spust karabinu.

Ta twarz eksplodowała, stała się karminową dziurą po czym zniknęła. Kate usłyszała odgłosy na gruzach. Boże wielki, czy ich jest więcej, zastanowiła się, czy może to tylko ten jeden, którego zastrzeliłam?.Czekała w napięciu, zawzięta, gotowa strzelić znowu.

Ale nieprzyjaciel nie spodziewał się w tych ruinach zastać nikogo żywego, więc dwaj pozostali żołnierze szybko wycofali się z powrotem na swoją linię.

Kate już nie słyszała nic. Czekała, nie odrywając oczu od szczytu rumowiska, nie zdając sobie sprawy, że leży na miękkich, ciepłych strzępach ludzkiego ciała. Potem gdzieś spoza niej doleciało ciche, skandowane wołanie Alego.

- Pani, pani! Żli wszyscy uciekli! - Ali potykając się wspinał do niej. Trzęsa się. Oczy tamtego. Patrzył jej prosto w oczy, a ona go zastrzeliła.

Przez dziewięć miesięcy matka nosiła go w łonie, przez lata całe dbała o niego, kochała go, a teraz w ciągu dziesięciu sekund ona, Kate, go zgładziła - czyjegoś syna. Te zdumione oczy patrzyły w jej oczy, a ona tylko przycisnęła spust. Niewątpliwie on by ją zastrzelił, gdyby miał możliwość, ale wiedziała, że kogoś pozbawiła życia, i to było straszne. Siedziała zapatrzona w rumowisko, udręczona, wstydząc się tego, co zrobiła, i zarazem surowo się upominając: bądź rozsądna, to była kwestia: albo on, albo ty, i płacząc, bo pomyślała o jego rodzinie, a potem o Nicku.

Ali wiercił się za nią, nie rozumiejąc, dlaczego jest zdenerwowana.

- Pani dobra, pani zabiła saudyjskiego żołnierza.

W dwie godziny później, ku sporemu zdumieniu Kate, zobaczyli na południowym horyzoncie trzy plamki, które we właściwym czasie okazały się bardzo starym człowiekiem jadącym na parszywym wielbłądzie i prowadzącym jeszcze dwa wielbłądy. Z ręki do ręki przeszło dużo pieniędzy - trzysta dwadzieścia dinarów, w zasadzie dosyć, żeby kupić dwa wielbłądy, a nie wynająć je tylko. I jeszcze więcej pieniędzy przeszłoby z ręki do ręki, ale ten staruszek nie chciał im towarzyszyć. Syknął na wielbłądy i gdy się położyły, pomógł Kate usiąść w nakrytym derką skórzanym siodle. Znow syknął, wielbłądy wstały. Dał wtedy Alemu kolczasty kij, skinął głową, wsiadł z powrotem na swojego wielbłąda i kołysząc się na nim, ruszył na południe tam, skąd przybył.

- Co mówił? - zapytała Kate Alego.

- Mówił, wielbłądy na jeden dzień albo pani zapłaci droższe pieniądze. Mówił, maszyny Europy niedobre w pustyni, wielbłądy jeszcze najlepsze. Wielbłądy mało jedzą, piją tylko raz na pięć dni, noszą duże ładunki.

- Czy na pewno wiesz, Ali, dokąd jedziemy?

- Tak, tak, na wzgórze, pani.

Kołysząc się, jechali pod rozżarzoną słońcem. Z początku Kate myślała, że zmoże ją choroba morska, przecież w żaden sposób nie wytrzyma tego straszego falowania, ale po dziesięciu minutach jazda na wielbłądzie zaczęła działać kojąco: przypominała kołysanie się w fotelu na biegunach.

Upał był coraz większy, gdy jechali niespiesznie po piasku i zwiędłej raczej trawie wśród kolczastych krzaków, kierując się do smugi niskich wzgórz już widocznej na horyzoncie.

O zmierzchu dotarli do podnóża wzgórz i rozkołysani, wkrótce potem sunęli przez usiany głazami mały wąwóz.

- Pani, już wschodnie wzgórze. - Ali promieniał. - Teraz pani znajdzie króla.

- Nie. Ali panią do króla poprowadzi - powiedziała Kate ostro.

Ali przestał promiennie się uśmiechać i patrzył na nią dosyć lekliwie.

- Król na wzgórzach, wszyscy wiedzą. Ali nie wie, gdzie na wzgórzach.

- Ali, przecież powiedziałeś, że zabierzesz mnie do obozu króla!

- Nie, nie. Ali powiedział, na wschodnim wzgórzu.

Kate się przeraziła. Nie przypuszczała, że ta wycieczka będzie taka długa, zrobiło się za późno, żeby zawrócić. Ali najwyraźniej nie ma pojęcia, gdzie jesteśmy, ale to już za linią nieprzyjaciela.

- Niech mój wielbłąd przysiadzie, każ mu, Ali, proszę. Zatrzymamy się tutaj do rana. Jest tak ciemno, że ledwie cię widzę.

Ali syknął na wielbłąda Kate, ale wielbłąd nie zwracając na niego uwagi, kołysząc się dalej szedł po kamienistym dnie wąwozu. .

- Ali, zatrzymaj to cholerne zwierzę!

Nagle coś się przesunęło, pstryknęło, z mroków wyskoczyły ciemne postacie. Jedna z nich wyrwała z rąk Kate lejce. Przed sobą Kate zobaczyła wylot lufy lekkiego karabinu maszynowego.

Ali szlochając odpowiadał po arabsku na pytania wyszczekiwane do niego z ciemności. Ręce miał związane na plecach tym samym sznurem, którym oni związali ręce Kate. Poszeptali ze sobą chwilę, po czym brutalnie zaczęli pchać Kate i Alego przez

wawóz i dalej wąską ścieżką pod górę i jeszcze dalej w dół, aż Kate zupełnie zatraciła poczucie kierunku.

Nagle skręcili na zboczu wzgórza i zeszli teraz do płytkiej jak okrągła niecka kotliny, w której stały niskie czarne namioty z kozłej skóry. Znów nastąpiła dyskusja prowadzona szeptem przed jednym z namiotów, po czym Kate i Ali zostali szorstko wepchnięci do środka. Kate rzucona na klęczki znalazła się, ku swemu zdumieniu, w obliczu kogoś, kogo znała. Chociaż nigdy dotąd nie widziała go w białej szacie pustynnej, natychmiast sobie przypomniała jego hardą szczupłą twarz.

- Suliman Hakem - powiedziała zdumiona.

Przede wszystkim poczuła ulgę, stwierdzając, że nie są w rękach nieprzyjaciela, i zaraz szybko pomyślała, że Suliman przecież nigdy nie był dalej niż o dwa kroki od Abdullaha.

- Co pani tu robi? - zapytał Suliman ostro po angielsku. On też mnie poznał, pomyślała Kate.

- Jestem korespondentką pewnej gazety. Szukam króla Abdullaha, bo... mam dla niego osobistą wiadomość.

- Skąd możemy wiedzieć, że nie jesteście szpiegami?

- Jeżeli ktoś mi rozwiąże ręce, wyciągnę z kieszeni legitymację prasową. Ręk jej nie rozwiązano. Żołnierz opróżnił jej kieszenie. Suliman Hakem obejrzał legitymację prasową nieufnie.

- Skąd mogę wiedzieć, że nie jest podrobiona.

- Gdybyście tylko kupili „Globe”, to w nim jest artykuł podpisany moim nazwiskiem i moja fotografia - powiedziała Kate. Mało jednak prawdopodobne, pomyślała, żeby kiosk z gazetami był gdzieś w pobliżu.

Suliman wyszczał gardłowo kilka słów. Ręce Kate i Alemu wreszcie rozwiązano i postawiono ich na nogi.

- Wróci pani do Fenzy o świcie pod eskortą - powiedział Suliman krótko. - Wielbłędami i chłopcem się zajmiemy. Ma pani szczęście, że wartownicy pani nie zastrzelili.

Gdy w powłóczystej szacie wychodził z namiotu, Kate prawie nie mogła uwierzyć, że ten człowiek ukończył szkołę dla chłopców, jedną z najbardziej ekskluzywnych na świecie, i akademię wojskową w Sandhurst.

Po chwili Suliman zamaszycie wrócił.

- Przez cały czas w obozie będzie pani pod strażą. Teraz może pani umyć się i zjeść.

Samą Kate poprowadzono do małego, wyłożonego dywanem namiotu, przed którego klapą stanął żołnierz. Dostała miskę z wodą i kawał płótna, a potem chłopiec w białej szacie przyniósł jej wodę do picia w blaszanym dzbanku i blaszaną tacę załadowaną ryżem i kawałkami pieczonego jagnięcia. Nagle sobie uprzytomniła, że jest bardzo głodna. Usiadła po turecku na dywanie i zaczęła jeść palcami. Przez szparę widziała księżyc rzucający czarne cienie na srebrzysty piasek i dalej, za płomieniami ogniska, szyje i chwiejne łby stada wielbłądów - ich kontury na tle nieba.

Gdy skończyła jeść, weszli inni dwaj ze straży w białych powłóczystych szatach i czerwonych z czarnymi opaskami nakryciach głowy; każdy z nich miał karabin w ręce, zakrzywioną szablę u boku. Nic nie powiedzieli, tylko wskazali Kate klapę namiotu. Wstała i poszła za nimi w mrok nocy, mijając żółte kręgi ognisk, wokół których siedzieli kudłaci chudzi mężczyźni.

Doszli tak do namiotu długości trzydziestu stóp. W namiocie na piasku pustyni leżały wspaniałe wzorzyste dywany i sterty poduszek z chwastami. Na poduszkach, czujny, wyprostowany siedział król Abdullah. Machnął ręką do strażników. Wycofali się, pozostawiając go samego z Kate.

Pewny siebie jak zwykle, rozejrzał się czujnie, ostrożnie a butnie. Jego brunatna skóra napinała się na kościach twarzy, czarne brwi jak skrzydełka unosiły się znad nosa zagiętego niczym dziób sokoła ponad szerokimi ustami. Popatrzył na Kate i zapytał swym niskim głosem:

- Kate, skąd tyś, do diabła, tu się wzięła?

Wyjaśniła mu tak pokrótce, jak zdołała, zauważając w duchu, że on wygląda starzej, jakoś szaro i jest wyraźnie zmęczony, co zresztą nie było dziwne.

- Masz wielkie szczęście - zwięźle skomentował, gdy skończyła. - I ja też, prawdę mówiąc. Ci cholerni Saudyjczycy nie ruszają się od paru dni, więc my tylko czekamy na nich, a to nudna sprawa. Niespodziewany gość jest bardzo mile widziany... chociaż niezupełnie sprawiasz wrażenie tak zadbanej, jak normalnie, Kate. - Uśmiechnął się, ogarniając wzrokiem jej rozczochrane włosy, brudną kurtkę khaki, brudne spodnie i jeszcze brudniejsze trampki. - Zdajesz sobie sprawę, oczywiście, że jesteś z prywatną osobistą wizytą - ciągnął. - Nie mogę rozmawiać o wojnie i o polityce, bo miałbym

kłopoty z korpusem prasowym. Możesz opisać to miejsce z grubsza, dodać, że jestem niezłomnie pewny zwycięstwa. I oczywiście, sprawdzimy, co napisałaś. - Po chwili spojrział gdzieś w mrok i niedbale zapytał: - Co słyhać u Poganki?

Opowiedziała mu wszystko, nie wyłączając tego, że Poganka spodziewa się za kilka miesięcy dziecka. Uśmiechnął się dziwnie ponuro.

- Tak, wiedziałem o tym. Zaległo niezręczne milczenie. W końcu Kate zapytała:

- Ile lat mają twoje dzieci?

- Mustafa ma cztery lata, wygląda jak ja, kiedy byłem w jego wieku. Niegrzeczne półdiable, rozrabia niegodziwie... odważny. - Znów umilkł. - Rzecz jasna, żałuję, że nie mam więcej synów. - Poprawił się: - Synów z prawego łoża. Ostatecznie jestem żonaty od dziesięciu lat. Ale to szczęście, że mam Mustafę. Moja żona poroniła wkrótce po naszym ślubie. W następnym roku urodziła martwą córeczkę. A potem w roku tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym siódmym przedwcześnie wydała na świat syna, który umarł w dwa tygodnie po urodzeniu. - Zasepił się. Kate mogła tylko patrzeć na niego, przypominając sobie swoje poronienia.

- Potem przez cztery lata nic się nie działo. Rzeczywiście myślałem o wzięciu drugiej żony... jestem muzułmaninem, wiesz, wolno mi mieć cztery. Rozumiem, że na Zachodzie uznano by to za barbarzyńskie, wasi mężczyźni wolą mieć kilka żon kolejno zamiast jednocześnie, jak my na Wschodzie możemy. Tak czy owak, ostatecznie zawiozłem żonę do kliniki w Lozannie, gdzie stwierdzono nieprawidłowość funkcjonowania jajowodów. W piętnaście miesięcy po operacji dała mi syna, następcę tronu.

Powróciło do Abdullaaha wspomnienie, jak zdrowo wrzasnął ten noworodek w jego objęciach i jak ciepło mu się wtedy zrobiło w sercu, jak wzruszenie ścisnęło mu gardło. Instynktownie w tamtej chwili wiedział, że uczyni wszystko dla tego władczego, maleńkiego stworzonka. Zmięta twarzyczka z białej stała się od płaczu różowa, a potem dziwnie lawendowa. On wtedy ryknął śmiechem, przytulił to stworzonko mocno, musnął ustami miękkiego czarnego puszek na czubku wątlej główki i po raz pierwszy w życiu poczuł miłość.

- Teraz modlę się do Allaha, żeby mi zesłał jeszcze synów - ciągnął Abdullah. - Odwiedzam Serah regularnie w jej apartamentach. Ona jeździ do tej kliniki na badania kontrolne i nie widzą tam powodu, żeby nie mogła mieć następnych dzieci. Ale nie ma... No, ale przestańmy rozmawiać jak dwie akuszerki.

Więc Mustafa jest jedyną istotą na świecie, którą Abdullah rzeczywiście kocha, pomyślała Kate.

- Właściwie co robisz tutaj, Abdullah? - zapytała.

- Powinnaś napisać, że to jedna z moich zwykłych wizyt w plemienu Hakem - odrzekł. - Nie powiem ci nic, co by miało wartość dla nieprzyjaciela. Ale regularnie odwiedzam znaczniejszych szejków. Naszych najtwardszych żołnierzy werbujemy z plemion pustynnych, a nie z miast. - Wskazał ręką kłapę namiotu. - Dzisiaj ci ludzie będą spać na piasku, mając tylko opończe. Beduini są twardzi, gardzą wygodą, to coś poniżej ich godności. Żywią tylko pogardę do świata na zewnątrz i jego cudów techniki.

- Z wyjątkiem pistoletów, karabinów i tranzystorów - dorzuciła Kate.

- Zgadzam się, ale lubią ograniczać swój stan posiadania do minimum. Rodzinie wystarczą dwa wielbłądy, ewentualnie kilka kóz, namiot, derka, noże, skórzane wiadra i sznur. To wszystko, czego chcą. - Chrząknął. - Daję słowo, Kate, często żałuję, że nie mogę całego życia spędzić wśród prostych ludzi, takich jak ci tutaj, na pustyni. - Popatrzył na nią i uśmiechnął się. - Lepiej już wróć do swojego namiotu. Wiesz, jaką straszną mam reputację, a poza tym czeka cię jutro ciężki dzień.

Kate zdała sobie sprawę, że dokonała rzeczy niemożliwej - co obejmowało również jazdę na wielbłądzie przez pole minowe - dopiero nazajutrz wieczorem, gdy wróciła dziupem do Fenzy. W barze hotelu Majestic dziennikarze z powagą powitali ją oklaskami. Nikt mi nie mówił, że to jest niemożliwe, pomyślała, i bardzo dobrze, bo przecież bym nie próbowała tego dokonać.

Zaczęła swój reportaż Jeden dzień wojny od opisu opuszczonego pola bitwy.

„Morze białych papierów faluje nad piaskiem żółtym jak ochra. Jeszcze zanim zdążyły zlecieć się sępy, czyściciele arabscy ograbili trupy, zdarli z rąk zegarki, poszarпали portfele w poszukiwaniu pieniędzy. Książeczki bankowe i inne dokumenty rozrzucali na piasku. I listy miłosne jeszcze wczoraj tak cenne, fotografie dziewczyn, żon, dzieci, rodziców uśmiechających się do nikogo”.

Scotty był jej korespondencją zachwycony.

- Powiedziałem, że od niej dostaniemy coś innego, i proszę, ona ma patent na tego cholernego króla! - Odwrócił się do swojej sekretarki. - Natychmiast telegram do niej: Gratuluję wyłączności Abdullaha wielki całus Scotty, Globe. - Dalej czytał korespondencję Kate. - Boże! Nie polecałem jej kogokolwiek zabijać! Lepiej dać to w

trzeciej osobie. Korespondenci wojenni nie powinni nosić broni. Może należałoby ją odwołać, zanim wpakuje się w kłopoty.

Ta korespondencja ukazała się w gazetach na całym świecie. Mówiła wrażliwym czytelnikom zupełnie po prostu, że na wojnie zabija się ludzi.

Rozdział czterdziesty

Po powrocie do Anglii Kate czuła się czymś w rodzaju osobliwości, jeśli nie osobą dosyć sławną. Boże, schudła, że coś strasznego, stwierdził Scotty i dał jej dwa tygodnie urlopu. Zdecydowała się spędzić ten urlop z Judy w Nowym Jorku.

Judy, lansując modę, zaczęła też lansować książki i osobistości i od dwóch lat wyraźnie dobrze jej się powodziło. Kate rozglądała się po przestronnym saloniku w nowym mieszkaniu Judy, zawieszonym wysoko nad Wschodnią Pięćdziesiątą Siódmą Ulicą. Ten kilim Bokhara z pewnością szarpnął ją na dobrych siedem tysięcy dolarów, pomyślała. Judy z rękami za głową rozpierała się w zielonkawo-brązowym, wyściełanym fotelu z drewna inkrustowanego kością słoniową o poręczach wygiętych jak węże.

- Teraz, Kate, musisz napisać książkę - powiedziała. - Masz poniekąd sławę, ale to nie potrwa długo, jeżeli będziesz stać w miejscu. Książka zawsze przydaje prestiżu, nawet jeśli nie zawsze powiększa konto bankowe. Czy w czasie tej wojny pisałaś dziennik? Zachowałaś te wszystkie notatki? No więc zrób z tego książkę... nie za grubą. Nie wstawaj jutro z łóżka, dopóki nie napiszesz konspektu, a ja przejrzę go, kiedy wrócę wieczorem... Oczywiście potrafisz napisać konspekt! Usiądź zaraz i napisz w trzech zdaniach, o czym ta książka będzie.

Po chwili namysłu Kate wyłowiła ze swej brązowej jak cygaro torby od Gucciego notatnik, napisała coś, wydarła tę stronicę i dała ją Judy. Judy się rozpromieniła.

- Wspaniale. Tylko rozwiń te trzy zdania w konspekt i podziel na rozdziały. Będę brała cię do restauracji, żebyś ćwiczyła rolę słynnej autorki.

Kate ma talent, i owszem, pomyślała Judy, ale jakoś nie potrafi sama nadać mu kierunku. Potrzebny jej ktoś, kto ją podepchnie w górę, zamiast spychać na dół, jak to, zdaje się, robili mężczyźni jej życia. Chociaż - Judy musiała przyznać - ona aż się prosi, żeby ją kopnąć w zęby. Niemniej, sprawia wrażenie o wiele pewniejszej siebie, niż była w czasie swojej poprzedniej wizyty.

Nazajutrz wieczorem Judy posiedziała nad konspektem Kate, zmieniła trochę numerację stron, po czym powiedziała:

- Świetnie. To mogę lansować. Damy tytuł: „Wojna w oczach kobiety”. -Wyciągnęła z torebki małą łaciną paczuszkę i rzuciła ją Kate. - Prezent.

Kate złapała jedną ręką i otworzyła to pudełeczko od Tiffany'ego. Zobaczyła dwucalowy, kwadratowy futerał z szafirowej skóry, w którym był mały, złoty z szafirową emalią budzik.

- Żebyś mogła zabrać się do pisania książki wczesnym rankiem, kiedy wrócisz do Londynu.

- Ale ja nie mam czasu - zaprotestowała Kate. - Moja praca wymaga całej mojej energii.

- Nastawiaj to na piątą rano, pij Nescę i stukaj na maszynie przez dwie godziny przed pójściem do redakcji dzień w dzień... Nie, wieczorami nie, bo po pracy będziesz wyprana... Dobrze, dobrze, niedziele możesz mieć wolne. Ale jeżeli napiszesz dziennie trzy strony, zrobisz to wszystko łącznie z poprawianiem w ciągu czterech miesięcy.

Początek tego pisania nie był łatwy, bo gdy Kate wróciła do Anglii, Scotty dawał jej mnóstwo zleceń. Wezwana w pewien poranek zobaczyła, że on, stojąc przy półce planów, sięga z groźną miną po swe okulary w grubej czarnej oprawie. Scotty nigdy nie nakładał okularów do czytania ani do pisania, ale bez okularów na nosie po prostu nie umiał myśleć. W momentach intensywnej pracy mózgu miał zwyczaj je przecierać. Jeśli więc zrywał okulary z nosa, wygrzebywał z kieszeni brudną chustkę i zaczynał przecierać szkła, wiadomo było, że zaraz powie coś wstrząsającego.

- Chcę, żebyś przestała kąpać się w tej cholernej sławie i wzięła się znów do wywiadów. Dość już matryc o battledressach. Porozmawiaj z tą kobietą, którą uznano za niewinną zamordowania męża transwestyty. Siedemset słów.

Ze zgrozą Kate patrzyła na Scotty'ego.

- Nie mogę.

- Czemu? - Scotty zwrócił całą uwagę na stronicę gazety przed sobą. Kate się zastanowiła: właściwie dlaczego miałyby nie przeprowadzić tego wywiadu. To nawet mogłoby jej pomóc w oderwaniu się od rutyny.

Książka Kate ukazała się w księgarniach w lipcu 1967 roku. Jednocześnie wydano ją w Wielkiej Brytanii i w Stanach Zjednoczonych, gdzie reklamą miała się zająć Judy.

Kate pojawiła się w nowojorskim mieszkaniu Judy późnym wieczorem. Od razu poszła do wanny i zniknęła w ciepłej mgle Chamade.

- Te świnię na lotnisku! - prychnęła. - Kiedy im powiedziałam, że zginęła mi moja specjalna garderoba telewizyjna, tylko dali mi formularz do wypełnienia, a potem w prezencie szczotkę do zębów i dwie pary papierowych majtek. To naprawdę nie wystarczy, żebym wystąpiła w programie „Dzisiaj”.

- Och, nie wiem. - Judy wyciągnęła notatnik z kieszeni spodni swego fioletowego kompletu Coutreges, gdy Kate zatonąła i tylko jakieś lubieżne bulgotanie dolatywało z wanny. Ledwie ociekająca wodą głowa wynurzyła się znowu, Judy zaczęła bazgrać spis. - W czasie kiedy będziemy zatruwać życie tym niedołączom na lotnisku Kennedy'ego, kupimy ci trochę rzeczy na drogę. Załatwimy to jutro i pamiętaj, im mniej się kupi, tym lepiej. Dwie lekkie sukienki: jedna na ciepłe dni południa, druga na wieczory. Jeden dobry kostium i minimum siedem bluzek, bo nie będziesz miała czasu prac co chwila, i te bluzki muszą być ze sztuczniaka, nie z prawdziwego jedwabiu, żebyś mogła zrobić przepierkę w hotelowej umywalni i nie prasować. I trzeba dobrać sztuczną biżuterię i szaliki. Margot Fonteyn jeździ na tournée prawie bez bagażu, ma tylko jeden czarny kostium. W przerwach między wywiadami siada w limuzynie, podnosi kołnierzyk albo opuszcza, odpina parę guzików, wyciąga z torby podróźnej sznur pereł albo szalik i” w ten sposób jej się udaje pokazywać sześć razy dziennie wyglądając za każdym razem inaczej.

Z wanny doleciał głośny jęk.

- Chcesz mnie wprawić w kompleks niższości, zanim wyruszę? Ja nie jestem primabaleriną. Mam mówić o wojnie. Ludzie nie będą ode mnie wymagać, żebym wyglądała jak potrawka z ostatnich krzyków mody.

- Owszem, będą - powiedziała Judy zupełnie serio. - Wszystkie kobiety zapamiętają, co miałaś na sobie. Jeżeli nie potrafisz dobrze się umalować i ubrać, to niby dlaczego miałyby słuchać twoich wrażeń? - Wytrząsnęła do wanny jeszcze sporo Chamade. - A skoro mowa o kompleksie niższości, poczekaj, aż pojedziesz na zachód... do tych pięknych figur w elastycznych pasach, do tych idealnie nałożonych uśmiechów i włosów

układających się nienagannie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę. Chyba nie chcemy, żeby nam pewność siebie na tym etapie stopniała?

Kate spojrzała spode łba, zgarnęła mokre włosy do tyłu i sięgnęła po szampon. Judy przyjrzała jej się przymrużonymi oczami.

- Jeszcze raz odgarnij tak włosy. Przynajmniej kiedy są mokre, widać jak wyglądasz. Kenneth może jutro ci je obciąć. Powiesz mu, że mają ci nie opadać na twarz, nie zasłaniać tych zielonych tygrysy ślepi. - Uchyliła się przed ciśniętą moką gąbką. - O rany, zupełnie jak dawniej w szkole. I powinnaś też zabrać jedną parę wygodnych czółenek na niskich obcasach i dwa pudełka plastrów opatrunkowych. Na objeździe trzeba dbać o stopy, jakby się było żołnierzem piechoty.

- I co jeszcze?

- Witaminy, krople do oczu, jeżeli się nie chce mieć oczu nabiegłych krwią po długim locie i męski dezodorant. W tych studiach można się rzeczywiście pocić.

- No, w takim razie nie musimy zawracać sobie głowy sprowadzaniem mojej walizki z Mombassy czy skądś tam, dokąd poleciała. - Kate wygramoliła się z wanny. - W niej nic takiego nie ma. Wiozłam raczej okazałe stroje w stylu jej królewska wysokość z wizytą. Cieszę się, że mi zginęły.

- Zrozum - ciągnęła Judy podając jej ręcznik - że musisz ciągle dokładać starań, żeby wyglądać dobrze w każdej cholernej minucie tego objazdu. - I wrzasnęła, gdy Kate znów spojrzała spode łba. - Co najmniej dwieście dolarów dziennie kosztuje twoje utrzymanie w drodze, więc powinnaś wyglądać, jakbyś miała milion dolarów!

Piątego czerwca Kate wyruszyła na tournée. Judy w domu nagle przestała parzyć poranną kawę i nastawiła radio głośniej.

- „Błyskawiczny atak Izraela spowodował duże straty wśród Arabów. Zajęte zostały znacznie obszary głównie Egiptu i Jordanii”.

Był to pierwszy radiowy meldunek o tym, co się okazało sześciodniową Wojną Egipsko-Izraelską.

Natychmiast Judy sobie uprzytomniła, że Wojna w oczach kobiety będzie bestsellerem.

Tylko, żeby cię ściągnąć z powrotem na ziemię - powiedział kwaśno Scotty, gdy Kate wróciła do Londynu - zobaczymy, jak sobie poradzisz z materiałem cycki-i-tyłek. - I tak

to Kate została wysłana na rozmowę z pewną gwiazdą, nastolatką z Kontynentu, która grała w filmie produkcji brytyjskiej, nowoczesnej bajce kręconej teraz w New Forest w Hampshire.

O świcie Kate, ubrana ciepło, czekała na planie, w zimnej wilgotnej leśnej porębie, gdzie pachniało jeszcze mokrymi liśćmi. Pod drzewami stała zaparkowana żółta przyczepa. I nagle w drzwiach tej przyczepy ukazało się małe stworzenie - czegoś tak zachwycającego Kate nigdy dotąd nie widziała.

Lili trzymała ręce głęboko w kieszeniach ciemnego futra z podniesionym kołnierzem, narzuconego na malownicze łachmany starannie porozdzierane, tak żeby odsłaniały jej nagość na tyle, na ile to było możliwe.

Kate zaniemówiła - Lili rzeczywiście jest nadzwyczajna. Ma nieskazitelną oliwkową cerę, oczy ciemne, ogromne, profil prawie doskonały. Nawet jej widok z tyłu urzeka, myślała. Lili gotowa do akcji zrzuciła z siebie ten futrzany płaszcz, czarne jedwabiste włosy opadły jej na żebra tuż ponad cieniutką talię. Pod śmiesznymi łachmanami uwydatniały się znakomicie kształtne pośladki i migwały atlasowe uda, gdy szła na porębę. Emanowała z niej jakaś niewinność sarenki, jak gdyby lada chwila miała się wtopić w zamglony las wokół.

Na planie Kate nie spodziewała się żadnych wrażeń poza tym, że zmarznie, a przecież poczuła niemal zbożną cześć wobec niewysłowionego czaru, który zdawał się bić od Lili, idącej boso, z wdziękiem przez las.

Prawie już ukończono zdjęcia do tego filmu, przekraczając zarówno terminy, jak budżet. Wszyscy z wyjątkiem Lili byli wyraźnie spięci, w złych humorach i pełni żalów. Reżyser mówił do kamerzysty tylko za pośrednictwem swego asystenta. Większość personelu w ogóle się nie odzywała. W przerwach między zdjęciami garderobiana przybiegała z miednicą gorącej wody i Lili moczyła zziębnięte nogi, dopóki wszystko nie zostało przygotowane do następnego ujęcia.

Później w przyczepie Kate zrobiła wywiad z Lili, która dobrze mówiła po angielsku. Serge pilnował, żeby nauczyła się mówić po angielsku płynnie i jeździć konno - jedno i drugie ważne, mówił, w karierze filmowej. Lili opanowana i spokojna odpowiadała na pytania dotyczące jej pracy.

- Najpierw tłumaczysz sobie rolę? - zaczęła Kate.

- Och, ja nie myślę o tym w ten sposób, wcale nie. Tylko czytam rolę raz po raz, aż w końcu wiem, jakbym się zachowywała, gdybym była tą osobą. Hmm... zastanawiam się... aż staje się jasne, jak ta osoba się zachowuje, a potem nagle mi się wydaje, że nią jestem, i ona wtedy jest dla mnie bardziej prawdziwa niż ja sama naprawdę. Zawsze bawiłam się w takie „na niby”, kiedy byłam mała, więc teraz mi nietrudno.

Ostrożniej Lili odpowiedziała na pytanie o popularność i czy przyjemnie być tak na pokaz.

- Pewnie, że nie, ale to należy do mojej pracy, więc jestem na pokaz. -Mówiła poprawnie, z wyraźnym jednak akcentem francuskim. - Nie cierpię tych niemiłych rzeczy, jakie piszą o mnie w gazetach. Nie mogę znieść, kiedy piszą, że zawsze jestem w łóżku z tym czy z tamtym. To kłamstwa po prostu. Przecież nigdy bym nie miała ani odrobiny snu, gdybym spała z tymi wszystkimi, z którymi podobno śpię.

- To znaczy, że twoja sława nie sprawia ci przyjemności? - zapytała Kate.

- Nie jest ci przyjemnie, kiedy w restauracji głowy się odwracają, na lotnisku ludzie cię poznają, dzieci proszą cię o autograf i tak dalej?

- Jeżeli pani myśli, że to jest przyjemne, to tylko dlatego, że pani tego nie doświadczyła - powiedziała Lili z powagą.

Była trochę poruszona, gdy Kate zaczęła wnikać w jej życie prywatne i pytać o pierwsze występy przed kamerą. Kate miała przy sobie zabraną z biblioteki „Globe” kopertę z wycinkami prasowymi i w końcu wyciągnęła dawne fotografie Lili w osławionej przezroczystej sukience do Pierwszej Komunii.

- Kiedy się robi takie rzeczy, raczej nie można się spodziewać dobrej reklamy.

- Te fotografie były zrobione, kiedy miałam trzynaście lat. Robiłam to, co mi kazano. Pani chyba też kiedyś miała trzynaście lat.

- Ale dlaczego twoi rodzice na to pozwolili?

- Jestem sierotą. Uciekłam od moich przybranych rodziców, bo... mnie bili

- powiedziała Lili tak, jak Serge ją nauczył. Ale potem nagle dodała: -Właściwie to zostałam zmuszona... -I po raz pierwszy, zanim się spostrzegła, już opowiadała o tym pozowaniu do fotografii, dawno temu, w paryskim studiu Serge'a.

Gdy Lili mówiła, Kate rozumiała to bezradne dziecko, rozumiała, jak łatwe musiało być wykorzystywanie jej lękliwej bezbronności. Wyczuła, że Lili, zdawałoby się otoczona opieką i względami, rzeczywiście jest zdana tylko na ludzi, którzy robią na niej pieniądze.

- Nie masz żadnych przyjaciół?

- Ja nie, brak mi czasu. - W głosie Lili zabrzmiała rezygnacja. - Ale Serge zna mnóstwo ludzi.

W żadnym razie Kate się nie spodziewała, że jakaś lekkiego prowadzenia gwiazdka wzbudzi w niej serdeczną sympatię i litość.

Pospiesz się, chcę mieć ten wywiad o piątej - powiedział Scotty. Kate usiadła, wystukała maszynopis i dała Scotty'emu o pół do piątej. Szybko czytając jęknął, rozjątrzony.

- Jest miejsce na trzeciej stronie, ale tego przecież nie dam. Takie trele-morele, to nie gazeta, którą się sprzedaje. - Przeczytał głośno:

- „Dziwnie niepewna, bez wiary w siebie... drżąca jak sama gotowa pomknąć z powrotem do lasu”. Na miłość boską, Kate! Pokaż mi swoje notatki.

Pokazała. Chrząknął.

- Idź z nimi do Bruce'a. On jeszcze zdąży coś z nich sklecić. Potrafi przerabiać nawet we śnie!

Wywiad zaczynał się od nagłówka: „Zawsze jestem w łóżku z tym albo z tamtym - powiedziała Panna Cipcia znana w branży porno jako Lili”. Był ostrym atakiem pełnym pogardy, chociaż poza początkowym zdaniem został odtworzony mniej więcej dokładnie. Niestety pod nazwiskiem Kate.

- Ładnie - powiedział Scotty. - Rzeczywiście cymes. Kate szalała z wściekłości.

- Dlaczego to poszło pod moim nazwiskiem? Scotty wzruszył ramionami.

- W codziennej gazecie czasem to się zdarza.

No i proszę, co się dzieje, kiedy udzielasz wywiadu beze mnie! - szydził gniewnie Serge. - Ta angielska dziwa miała cię jak na patelni! Nic, do cholery jasnej, nie umiesz zrobić sama: czy to wywiad, czy samobójczy skok z okna!

- Nie wyskoczyłam!

- Właśnie. Ale pewnie byś wyskoczyła wtedy w Paryżu, gdybym nie wszedł i nie złapał cię za tyłek.

Serge rzucił gazetę na podłogę hotelowej sypialni i nalał sobie jeszcze whisky.

- Nie mogą dać pełnego kubelka z lodem? Nawet w tym cholernym Dorchester!

Stanął patrząc przez okno na wierzchołki drzew w Hyde Parku i niżej na samochody, wolno sunące po mokrej jezdni w blasku światła, upiorne za lekką londyńską mgłą.

- Zdajesz sobie sprawę, Lili, jaki mam kłopot z tobą? Jesteś beznadziejnie, zakichanie głupia. Nawet nie wiesz, kim jesteś, jeżeli mnie nie ma obok, żebym ci przypomniał.

- Nie wiem - przyznała Lili ze smutkiem, myśląc o vraie maman. - Nie wiem, kim jestem.

- No, nigdy nie będziesz mogła stać na własnych nogach, jeżeli się nie dowiesz, a dopóki się nie dowiesz, potrzebujesz mnie, mała! Tymczasem tylko pamiętaj, że jesteś teraz aktorką wysokiej klasy, więc masz odpowiednio się zachowywać! - Podniósł z podłogi zgnieciony „Globe”. - Na pewno to powiedziałaś, jakbym cię słyszał, „zawsze jestem w łóżku z tym albo z tamtym”. Do diabła, ty głupia suko!

- Ona część opuściła. Wcale nie tak powiedziałam. Rozmawialiśmy ponad godzinę wieczorem i to było dla mnie takie męczące, przez cały czas po angielsku.

- Ale ta historia o przezroczywej sukience do komunii! Sprawiałaś wrażenie, że jesteś wywłoką z rynsztoka, małą prymitywną dziwką.

- No, a nie jestem? - zapytała Lili już w rozjątrzeniu.

- I po co zatrzymywać się w najlepszych hotelach, kupować ci najlepsze ciuchy, nastawiać reklamę na twoje aktorstwo, jeżeli dopuszczasz do tego, by pierwsza lepsza baba z gazety pisała, że Lili to tylko tania para cycków. - Popatrzył na nią z obrzydzeniem i dopił swoją whisky. - Pomimo, że tak jest - powiedział - to fatalnie psuje interesy.

W roku 1968 „Swingujący Londyn” swingował aż miło. Moda stała się nagle jedną wielką maskaradą. Spódniczki mmi już urzeczywistniły lubieżne marzenia szarego świata pracy. Teraz kobiety przebierały się za obszarpane Cyganki, indiańskie squaw z opaskami skórzanymi na kędzierzawych włosach zsuniętymi na czoło, fantastycznych kowbojów płci żeńskiej w spodniach z kozłej skóry z frędzlami, osadniczki prosto z wozów jadących na Zachód, przyodziane w suknie z latek, czy też dójki w kwiecistych spódnicach i słomkowych kapeluszach. Laura Ashley zbijała majątek. Carnaby Street była krainą fantazji, gdzie stateczni kiedyś biznesmeni kupowali sobie obcisłe portki, trzyczęściowe garnitury z aksamitu, koszule w kwiatki, tęczowe pulowery, buty na wysokich obcasach, naszyjniki i nawet torebki.

Miasto Londyn rozkwitło, na giełdzie akcje szły w górę. Kate ostatecznie przekonała adwokata matki, żeby zmienił maklerów, które to przekonywanie polegało na tym, że przedstawiła mu zestawienie notowań z ubiegłych dziesięciu lat i zagroziła zaskarżeniem go do sądu o pospolite niedbalstwo. Z konieczności studiując te liczby, sama zainteresowała się giełdą i doszła do wniosku, że właściwie mogłaby grać na giełdzie na własną rękę. Pod zastaw domu zaciągnęła pożyczkę w banku, dała szybkiego szczęśliwego nurka w australijski rynek niklu oraz w Kopalnie Zachodnie, po czym w ciągu miesiąca zarobiła na czysto sumę równą jej poborom za dwa lata.

Nie miała jednak czasu na nic poza pracą, bo Scotty zlecił jej coś nowego. Teoretycznie nikt nie robi dużo w niedzielę, toteż wiadomości w poniedziałek

bywa też niedużo - co oznacza, że poniedziałkowa gazeta jest nudna. Otóż Scotty zlecił Kate redagowanie nowego działu „Życie + Styl”, mającego się zajmować wydarzeniami w nowym, gorączkowym świecie mody i ludźmi, którzy ten świat tworzą. Kate niewiele wiedziała o kierowaniu redakcją, ale pracowała u Scotty'ego już od pięciu lat, więc uczyła się szybko, ślęcząc do późnej nocy, wyklócając się ze Scottym o dobór treści, o fotografie, o artykuły. Już nie mogła wychodzić z redakcji w godzinach pracy. Siedziała w małej bezokiennej klitce z dużym biurkiem i pięcioma aparatami telefonicznymi. Jej sekretarka i troje asystentów pracowało w dalszych takich klitkach przy tym samym korytarzu. Planowała, argumentowała, słuchała i udzielała instrukcji, skracała maszynopisy, łagodziła przesilenia, rozwiązywała problemy.

„Życie + Styl” było sukcesem od pierwszego dnia, w którym się ukazało. Zleceniodawcy ogłoszeń i reklam czekali w ogonku, podobne działy powstały w gazetach współzawodniczących z „Globe”, listy od kobiet napływały do „Ż + S” całymi ławicami.

- Trafiaś w dziesiątkę - powiedział jej Scotty w pewien wieczór. - Już chyba czas, żebyś spędziła noc na zabawie. Ja też. - Sięgnął do wewnętrznej kieszeni marynarki. - Hunter Baggs kupił ogromny dom na Campden Hill i wydaje dziś przyjęcie. Nie mogę znaleźć tego zaproszenia, ale zapowiada fantastyczne obławanie czy coś w tym rodzaju. Może bym cię tam zabrał?

Zjedli więc kolację w San Freddiano i przyjechali na przyjęcie około jedenastej tego wieczora. Jasność biła z nie zasłoniętych okien, przed portykiem z filarami roilo się od samochodów, hałas przypominał Kate pole bitwy.

Weszli i Kate zamruwała. To nie było fantastyczne przyjęcie, to była maskarada - ale cudaczna. Kilka modelek miało warkoczyki, krótkie koszulki gimnastyczne, majtki z falbankami, czarne pończochy i podwiązki. Zakonnica w czarnym długim habicie z rozcięciem do uda, ukazującym siatkowe pończochy i podwiązki z czerwonej satyny tańczyła z młodzieńcem w bardzo skąpych złocistych slipach i niczym więcej poza aureolą wokół spryskanej żelem złocistej, kędzierzawej głowy. Gospodarz, ubrany jak hrabia Dracula w nienaganny smoking i pelerynę z czerwoną podszewką, szczerząc zęby wampira, częstował gości zabójczym szampanem z wielkiej srebrnej michy. Powiedział:

- Witajcie, cześć, kochani.

- Hunter, co to jest? - zapytał Scotty.

- Nie czytałeś, kochany, zaproszenia? - zapytał Baggs mile. - Tam było „strój jak w twoich marzeniach seksualnych”. I widzisz, wszyscy się tak wystroili. - Machnięciem ręki wskazał gości w hallu.

Kate rozglądała się. Dwie esesmanki tańczyły ze sobą w czarnych czapkach z daszkami, czarnych koszulach, czarnych trykotach i czarnych butach z cholewami powyżej kolan. Wydawało się, że gdzie okiem sięgnąć jest mnóstwo czarnej skóry, płaszczów przeciwdeszczowych z przezroczystego plastiku i wymachiwania dziwnymi sztucznymi fallusami. Kilku mężczyzn było w starych nieprzemakalnych płaszczach, w butach bez skarpetek i rzucało ukradkowe spojrzenia. Dwóch diabłów tańczyło z dwoma czarnymi królikami w kostiumach kąpielowych z satyny, wysoko wyciętych na udach i zdobnych w królicze białe ogonki.

- Może pójdziecie na górę? - zaproponował Baggs. - Jest pokój pokera, pokój ruletki i bakarata, i pokój filmów porno z łóżkiem wodnym.

Ktoś wysoki, znajomy, płasał przebrany za pensjonarkę. Czując lekkie mdłości, Kate zobaczyła, że to jej były mąż. Toby.

- Ja chyba to sobie daruję i pójdę wcześniej spać - powiedziała Scotty'emu. Idąc do wyjścia, omal nie zderzyła się z piękną dziewczyną w białej

koronce, która gniewnie mówiła do swego towarzysza:

- Nie, niestety... muszę godzić się z tym w pracy, ale niech mnie diabli, jeżeli rozumiem, dlaczego mam się z tym godzić po pracy! - I potrząsnęła swymi bujnymi ciemnymi włosami, opadającymi jej do talii spod stylowo skromnego czepka z białej koronki z atłasową kokardą pod podbródkiem.

- To Lili! - zaszumiały szepty w ogromnym hallu. - To Lili, to Lili. Dziewczyna w bieli wyszła w nocny mrok.

CZĘŚC OSMA

Rozdział czterdziesty pierwszy

Zdumiewające dla mnie, jeśli w ogóle ci się udało zwabić tutaj mężczyznę! - Maxine prychała - i jeśli któremukolwiek mężczyźnie udaje się trafić do wyjścia w tym bałaganie. Chomikujesz, Judy! Nigdy nie umiałaś niczego wyrzucić. Jesteś trzydziestopięcioletnim tym waszym szczurem amerykańskim, który wszystko, co popadnie, zbiera w norze. Otóż to!

- No to chyba dlatego, że tak długo nie miałam czego wyrzucać! I proszę cię, nie zapominaj, że moja sypialnia jest również moją pracownią. Tutaj czytam, zastanawiam się, planuję, nie tylko śpię. Tutaj zarabiam pieniądze, Maxine!

- Ty zawsze, Judy, zdawałaś sobie sprawę, że pieniądze są ważne! My trzy musiałyśmy się tego nauczyć.

Maxine wstała i otworzyła dwie wielkie przechodnie szafy pomiędzy sypialnią i salonikiem. Jedna była pełna pantofli, wyglądała jak wnętrze szkatułki z biżuterią.

- Prawdziwa ochrona to nie mężczyzna - powiedziała Judy - to pieniądze. Mając pieniądze, można czynić dobro, można być złą, można odejść.

Maxine przypatrywała się półkom z pantoflami, wyłożonym karmazynową morą.

- Większość kobiet woli o pieniądzach nie myśleć - powiedziała. - Uważa, że zajmowanie się pieniędzmi jest nudne.

- Nie nudniejsze, niż zajmowanie się brakiem pieniędzy, i na pewno wcale nie nudne, jeżeli się nimi umie obracać - stwierdziła Judy ostro.

- Wszystkie powinnyśmy się nauczyć, jak się pieniądze zarabia, jak się je robi, jak się je pomnaża i jak się je zachowuje! Ale kobiety uczą się tylko je wydawać! I w razie potrzeby niewiele kobiet ma bodaj centa, to zauważyłam.

Maxine przyznała jej rację.

- Kiedy małżeństwo się rozchodzi, kobieta dostaje w posiadanie dzieci, ale pieniądze dostaje w posiadanie mężczyzna. Oczywiście dopiero wtedy kobieta zdaje sobie sprawę z ważności pieniędzy. - Dalej oglądała karmazynowe półki: posegregowane czółenka na niskich obcasach, czółenka na wysokich obcasach, lekkie sandały, buty z cholewami na niskich obcasach, buty z cholewami na wysokich obcasach, różnobarwne zamszowe, miękkie jak rękawiczki.

- Mieć pieniądze to ważne, ale nie mieć pieniędzy to sprawa zasadnicza -dodała Judy.

- Ty wiesz może mnóstwo o pieniądzach, ma chere, ale bardzo mało o rekwizytach bogactwa. - Maxine znów rozejrzała się po pokoju. W sypialni Judy nikomu nie wolno było sprzątać, więc panował tam stale chaos. Na obu stolikach przy łóżku wznosiły się sterty magazynów, żółknących gazet i bloczków formularzy. Każdą inną płaską powierzchnię, łącznie z parapetem okiennym, zapełniały blaszane naczynia, pamiątkowe popielniczki, obrazy bez ram, zeszloroczne pocztówki z krzykliwym powitaniem Nowego Roku 1968 i wyblakłe papierowe kwiaty.

- Moi goście na ogół nigdy nie wychylają nosa z saloniku - usprawiedliwiała się Judy. Maxine prychnęła, wzięła jeden z bloczków i usiadła na krawędzi łóżka.

- Trzeba to trochę uporządkować, ma chere. Nie, daję ci słowo, że niczego nie wyrzucę, tylko rozłożymy wszystko w różnych miejscach. Aż trzy pokoje gościnne przecież nie są ci potrzebne, prawda?

- Owszem, są. To właśnie jeden z powodów, dla których Tom chciał, żebym wynajęła większe mieszkanie; tutaj jest nasza baza; sprowadzamy mnóstwo ludzi spoza miasta... naszych dyrektorów rejonowych... czasami kilku naraz.

- Więc może spróbuj mieć dwa pokoje gościnne i gabinet z kanapą, na której można spać? Zrobię teraz spis zakupów i pójdziemy jutro do Bloomingdale'a, zanim wyjadę na tournee. Dobrze przynajmniej, że w szafach masz porządek i garderobę należycie zadbaną.

- Właśnie. Francetta nie bardzo dba o podłogi, ale wspaniała z niej panna służąca. Większe sprzątanie robi jej mąż w swoje dni wolne od pracy.

Maxine podniosła jedwabne czółenko koloru lawendy z jednym piórkiem wijącym się na podbiciu.

- Ręcznie wykonane we Florencji, widzę. Najwyraźniej interesy idą ci tak dobrze jak nam. Czyż to nie cudowne spać spokojnie nocą? Rocznik sześćdziesiąt sześć był jeszcze lepszy niż rocznik sześćdziesiąt cztery... a to właśnie rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty czwarty rzeczywiście postawił nas na nogi.

- Och, te pieniądze są nie tylko z KORONKI, to rezultat spekulacji Toma. Miewam okropne ataki niepokoju, co z tego będzie, w istocie ja nie mogę spać nocą. Tom patrzy na to inaczej... potrafi być obiektywny, ja nie. Staralam się i starałam przejść nad tym do porządku - ciągnęła Judy - bo Tom chyba ma duszę spekulanta, potrzebuje tych dreszczów i niepewności, podobnie jak niektórzy ludzie potrzebują karkołomnych zjazdów na nartach czy karkołomnej wspinaczki w górach. Mówi, że musi ładować się adrenaliną.

- Boże święty, jest hazardzistą.

- Ja twierdzę, że tak, on uważa, że nie. Mówi, że każde posunięcie w interesach to wykalkulowane ryzyko, ale hazard jest dla idiotów, którzy wierzą w szczęśliwy traf. Och, on hazardzistów potępia.

- Więc skąd te jego niebezpieczne spekulacje! Zawsze to robił?

- Nie, bo jego żona nie mogła tego znieść. Do diabła, Maxine, mnóstwo ludzi lokuje pieniądze na Wall Street, może to nie jest tak bardzo niebezpieczne. Po prostu nie wiem. Ale to, co on robi, jest zaprzeczeniem zasad, w jakich zostałam wychowana. Nie popadać w długi, zawsze trochę odłożyć... Dla mojej matki dwa słowa najsprośniejsze w całym języku angielskim to „karta kredytowa”.

- Bez karty kredytowej nie mogłabym jeździć po Europie.

- Moja matka nie jeździ po Europie. - Judy podeszła do okna i spojrzała w dół na park. - Prawdę mówiąc, te spekulacje przerażają mnie śmiertelnie.

Pamiętasz, co Renoiry przyniosły Edwardowi G. Robinsonowi? - zapytał Tom w cichym biurze poprzedniego wieczora. - Nie, ja nie kupuję obrazów impresjonistów, bo już na to za późno. Ale rzecz w tym, że jeśli się kupuje coś najlepszego, zawsze znajdzie

się ktoś, kto to kupi, kiedy będą potrzebne pieniądze. Tego, co najlepsze, zawsze jest bardzo mało... W każdym razie mam taką nadzieję, bo właśnie nabyliśmy konia T'ang. A jakże, chińska ceramika z ósmego wieku, koń wysokości osiemnastu cali, koloru ziemi... Nie, nie możesz go zobaczyć, jest w bankowym skarbcu... Stanowi część zastawu ubocznego, pod który wzięłem pożyczkę, żeby go kupić. Na Boga, czym w zasadzie różni się kupno tego konia od oddania w zastaw hipoteczny budynek biurowy czy ziemi w pobliżu Houston, poza tym, że konia T'ang nie możemy wydzierżawiać na pastwisko dla bydła?

Z punktu widzenia Judy KORONKA była zagrożoną wątłą podstawą, na której opierały się te wszystkie pożyczki, i jakkolwiek Tom często uderzał palcem wskazującym w zestawienie bilansowe, Judy nie mogła przeszkolenia odebranego w dzieciństwie zapomnieć do tego stopnia, żeby ujrzeć realność ich wzrastającego bogactwa. KORONKA jest konkretnym przedsięwzięciem, reszta to tylko liczby na papierze. Pamiętała swoją kłótnię z Tomem, gdy zadłużenie KORONKI w banku przekroczyło pół miliona dolarów, a Tom najspokojniej w świecie powiedział: „Judy, bądźże dorosła, obecnie żadne przedsiębiorstwo, żadna fortuna nie może powstać bez zaciągnięcia długów... i to tylko pierwsze pięćdziesiąt tysięcy trudno pożyczyć”.

Ale najbardziej denerwowały Judy spekulacje Toma towarami. W ciągu ubiegłych kilku lat postawił ich ciężko zapracowane zyski najpierw na kakao, potem na cukier, podczas gdy ona w bezsenne noce zastanawiała się, czy nie splajtują beznadziejnie z masami tego towaru na składzie. Faktycznie Tom od czasu do czasu też spędzał noc bezsenne, bo zaczął kupować z marżą, a to było coś zupełnie innego niż jego ostrożniejsze lokaty w akcjach. Ale miał szczęście i ceny podskoczyły - kakao o dwaście, cukier o dziewiętnaście procent - w ciągu miesiąca po jego zakupach. Z tym zyskiem następnie stracił na bawelnie, znów kupił kakao i osiągnął zysk i jeszcze raz kupił kakao, stracił, po czym kupił znów bawelnę i zarobił duże pieniądze. Dając nura w soję, już niewiele zwracał uwagi na „irracjonalne obawy” Judy. W ciągu półtora miesiąca po zakupieniu soi miał trzysta procent zysku. Potem kupował i sprzedawał głównie kakao i cukier, w sumie z wielkim powodzeniem.

Judy wyjaśniła to wszystko Maxine i dodała:

- Z początku nie był taki. Parę razy w pierwszym roku naszej spółki nie było czym zapłacić, wtedy szedł do właściciela biurowca nie z pieniędzmi, tylko ze swoim

wyliczeniem, i nigdy nie był wypraszany za drzwi tak jak ja. To mogłam zrozumieć, ale pod koniec naszego drugiego roku... kiedy kupił z marżą kakao i mu się opłaciło... wiesz, co zrobił? Kupił cały biurowiec za zyski na kakao. Od tamtego momentu czuję się tak, jakby to zadłużenie było pętlą na naszych szyjach. - Judy westchnęła. - I co najgorsze, nie mogę z nikim o tym rozmawiać. Maxine, musisz pamiętać, że to sekret.

- Kiedy mówi się komuś sekret, to już sekretem nie jest - zauważyła Maxine. - Czy komome za to mieszkanie płacicie pieniędzmi?

- Tak. Uparłam się, żeby tak było, i o dziwo, Tom się nie sprzeciwił. Prychnął tylko i powiedział, że moja zbyteczna etyka drogo kosztuje. Nie mogę zrozumieć, jak taki idealnie rozsądny człowiek, cudowny w pracy, którą rozumiem, może mieć takiego bzika na punkcie pieniędzy. Ani dlaczego on się tak rozjątrza, kiedy mu to mówię, zwłaszcza jeżeli traci na jakimś interesie z dnia na dzień tysiące dolarów.

Z namysłem Maxine pogłaskała lawendowe jedwabne czółenko.

- Masz trzydzieści pięć lat - powiedziała - eleganckie mieszkanie i opłacającą się, przyjemną pracę. Ja bym na twoim miejscu o wszystkim innym zapomniała i pozwalała Tomowi robić, co mu się podoba.

Więc Judy umilkła, ale nie przestała się denerwować.

W trzy tygodnie później Maxine wróciła ze swej podróży reklamowej po Stanach.

- Moja prawdziwa przyjaciółka to taka, która przyznaje, że waży więcej niż ja - powiedziała Judy, patrząc jak Maxine staje na wadze w łazience dla gości.

Maxine przytaknęła:

- Szczególnie wtedy, gdy waży mniej. Czy to możliwe, żeby mi przez trzy tygodnie tego objazdu przybyło osiem funtów?

- Na objazdach mnóstwo albo ubywa, albo przybywa. Włóż szlafrok i chodźmy do saloniku. Przyniosłam z biura wycinki prasowe o tobie.

Weszły do pokoju o podwójnej kubaturze i kremowych ścianach. Ozdobnie rzeźbione niskie ciemne łóżka do palenia opium otaczały z trzech stron wielki marmurowy stół sang de boeuf. Skóry zebr leżały na ciemnej posadzce, na skos jednego z kątów stał zygzakiem antyczny czerwono-czarny malowany perski parawan. Po obu stronach marmurowego kominka wisiały lustra w kunsztownych połączonych ramach

Ludwik XV i na przeciwległej ścianie rysunki Steinberga, których kolekcja wciąż się powiększała.

Maxine podbiegła do różowej aktówki leżącej na jednym z łóżek. Wyciągając się na malwowych i niebieskich jedwabnych poduszkach zaczęła przeglądać wycinki prasowe. Czytała to dopiero teraz, bo wyjeżdżała z każdego miasta, zanim ukazywały się przeprowadzone z nią wywiady.

- Nieźle, nieźle. Ta kolumna w „Timesie” z małą fotografią jest pyszna. Ładnie, Judy, że dzwoniłaś do mnie co noc. To zawsze denerwujące nie wiedzieć, czy jest dobrze czy źle, a poza tym czułam się samotna, prawie żałowałam, że nie wzięłam mojej sekretarki.

- Kiedy skończysz napawać się swoją prasą, zobacz, jak przez tych parę tygodni zmieniłam sypialnię. Kazałam dekoratorowi wewnątrz zrobić wszystko dokładnie tak, jak mówiłaś.

Sypialnia Judy była teraz luksusowa, pełna spokoju. Ścianę z oknem zasłoniły jedwabne draperie. Na brązowym pluszowym łóżku leżała wspiana narzuta z rudych skór lisich. Przy łóżku była tablica rozdzielcza telewizji, stereo, radia, telefonów i zasłon. Z obu stron łóżka stały niskie komody z różanego drzewa, na których mieścił się cały warsztat pracy Judy. Obraz w tym pokoju był tylko jeden, zawieszony na ścianie naprzeciw tego ogromnego łóżka siedemnastowieczne chińskie malowidło na jedwabiu, przedstawiające arystokratę Manczu, prawdopodobnie wielkości naturalnej. Poza łóżkiem z komodami był tylko jeden mebel, szeslong obity czerwonym kretonem. Ten sam kreton pokrywał kanapy w sąsiednim pokoju, przerobionym teraz na gabinet. W gabinecie każdą ze ścian koloru ciemnomalinowego zasłaniały półki, przeważnie z książkami. Zbiorowisko różnych przedmiotów teraz wyeksponowane na półkach okazało się kolekcją staroświeckich zabawek i innych tajemniczych memorabiliów. Przy oknie stało wiktoriańskie drewniane biurko z żaluzjowym zamknięciem.

- Szalenie lubię tę ciemną czerwień - powiedziała Judy.

- Zastosowałam ją w nowych biurach Guya. Ma teraz większą konkurencję, odkąd St Laurent otworzył własny salon. Dlatego reorganizacja.

Wróciły obie do sypialni i zaczęły szybko przebierać się na wieczór.

- Guy nie musi martwić się konkurencją. Nikt mu nie dorówna, jeżeli chodzi o kombinezony - mówiła Judy rozpinając pociągnięciem błyskawicznego zamka swój

znakomicie skrojony szkarłatny kombinezon i występując z niego. - Ja w tym chodzę prawie bez przerwy od paru tygodni. Kiedy ostatnio widziałaś się z Guyem?

- Och, nie widuję się z nim miesiącami, ale to przecież nic nie zmienia w naszej przyjaźni. Tak samo jest z Poganką i Kate, wcale do siebie nie pisujemy, a kiedy spotykamy się po miesiącach, od razu rozmowa robi się taka, jakbyśmy ją przerwały wczoraj.

- Przyjaźń się rozszerza, żeby wypełnić luki. - Judy wciągnęła cielistą, elastyczną kombinację.

- Poniękad tak. Przyjaźń może mieć fazy jak księżyc, zniknąć... a potem być znowu w pełni. - Maxine splótła ręce nad głową. - Mówię o prawdziwej przyjaźni.

- Prawdziwą przyjaciółką w moim pojęciu była twoja ciocia Hortense. - Judy zapięła ramiączka kombinacji. - Nie wyobrażam sobie jej w tych obecnie modnych rzeczach, a ty?

- Wprost przeciwnie. W spodniach wyglądałaby cudownie. Ojej, ostatnim razem, kiedy ją widziałam, zanim dostała wylewu, bawiła się pod bukiem z Alexandre'em... miał chyba dwa lata tamtego lata... była w zielonej szyfonowej bluzce. On jakoś rozpiął jej dwa guziki i z całą powagą wpychał w rowek między piersiami stokrotki. Wydawała się niezwykle niechlujna i niezwykle szczęśliwa. Właśnie taką lubię ją wspominać.

Milczały obie, gdy Judy wkręcała się w krótką do połowy ud, skąpą, czarną szydełkową sukienkę.

- Ma chere, wyglądasz tak, jakbyś nic nie miała pod spodem. Ta nowa moda sprawia, że wszystkie wyglądamy jak chórzystki w mini i wysokich butach. Nic dziwnego, że mężczyznom to się podoba. Czy jest ktoś specjalny, dla kogo chcesz wyglądać jak bez bielizny?

- Nie, nikt specjalny. - Judy przypięła do uszu małe słońca z brylantów. - Jemy dziś kolację z Tomem i jednym z redaktorów z „Newsweek”... Wiesz, że nigdy nie zakochuję się jak inne kobiety.

Pospiesz się! - wrzasnął Tom z saloniku w dwa dni później. - Prędeż, Judy! - Zza drzwi wsunął głowę do sypialni. - Nie możesz się spóźnić na przyjęcie, które wydajesz, zwłaszcza że honorowymi gośćmi są Nixonowie.

- Przepraszam. Maxine ugrzęzła, samolot do Tokio wystartował z opóźnieniem. - Energicznie wycierając włosy ręcznikiem Judy zaciągnęła na siebie ekler czarnej, obcisłej aksamitnej sukienki, po czym szybko wyszczotkowała włosy.

- Dlaczego ty nigdy się nie malujesz? - Tom z rękami w kieszeniach wszedł do sypialni.

- Dlatego, że umalowaną, nawet po lekcji makijażu u Way Bandy, można mnie wziąć za kłowna albo za wypacykowaną dwunastolatkę. Jak wyglądam?

- Jak sam grzech. Ale powiedz, dlaczego ci od walki z rakiem wybrali salę w Carlyle?

- Nie oni, to ja wybrałam. Znakomicie zapewnione bezpieczeństwo, personel bardzo dokładnie przesiewany. Już utraciliśmy w tym roku Martina Luthera Kinga i Bobby'ego Kennedy'ego. Skoro mają być Nixonowie, strasznie się denerwuję.

- Oczywiście. W dodatku to jest nowy zakres i twoja przyjaciółka Poganka z tym się do nas zwróciła. Ale wszyscy wiedzą, że jesteś taka dobra, kochanie, więc nie denerwuj się.

Jednak przez cały wieczór Judy była niespokojna, szczególnie gdy czuła na sobie wzrok jakiegoś wysokiego bruneta. Oparty o ścianę, z rękami w kieszeniach, powiedział, gdy przebiegała obok:

- Wygląda pani niebezpiecznie cudownie.

- To tak jak Mount Everest - uśmiechnęła się krzywo. Z pewnością nie należał do obstawy.

Potem do końca wieczoru udawała, że go nie widzi. Tylko raz, czując jego wzrok na plecach, odruchowo odwróciła się i natychmiast on spokojnie spod ciężkich powiek już patrzył jej w oczy. Ku swemu zdumieniu zarumieniła się. Prędko spojrzała wokoło, spojrzała na podłogę. Potem z wysiłkiem podniosła drżące, a przecież odporne powieki. On dalej patrzył nieruchomo, patrzył tak, jakby stała przed nim naga. Policzki ją paliły, brakowało jej tchu. Bezradna, wściekła na siebie, odwróciła się wreszcie z trudem i odeszła... Było coś znajomego w jego twarzy, chociaż z nikim go sobie nie kojarzyła. To guzowate czoło, lekkie zmarszczenie brwi, szerokie usta i ładne podgięte zęby, ten opieszawy uśmiech... Teraz widziała z daleka, jak on rozmawia, gestykuluje szybko, niecierpliwie, podrzuca głową, bo ciemne włosy opadają mu na oczy, celuje palcem. No przecież!

Griffin Lowe z Wydawnictwa Orbita. Nie był w spisie zaproszonych, najwidoczniej przyprowadził go ktoś z wysoko postawionych. Ruszyła do niego żywo.

- Pan Lowe, prawda? Może pana komuś przedstawić?

- Nie, dziękuję. Przyszedłem z państwem Javits, ale chyba nie zostanę. Drugi dzień noszę szkła kontaktowe, przeszkadzają. Nie możemy urwać się stąd na kolację?

- Nie, bo pracuję.

- Nie musi pani pracować, wystarczy moje słowo.

- Przykro mi, ale nie. - Judy odeszła, trochę niegrzecznie. Nie potrzebowała takich popisów władczego bogacza i wcale jej się to nie podobało.

Wyszła z przyjęcia ostatnia. Po uzgodnieniu szczegółów rachunku z Luigim stanęła pod markizą i już miała poprosić o taksówkę, gdy podjechał kasztanowaty Rolls-Royce. Tylne drzwiczki się otworzyły.

- Propozycja nie do odrzucenia. Odwiezienie do domu bez zobowiązań. Adres znamy.

Roześmiała się i wsiadła. Wnętrze Rolls-Royce'a było jak mały salonik i pachniało dyskretnie prawdziwą skórą.

Nie zaprosiła go do mieszkania, ani on się nie napraszał. Rolls-Royce po prostu odjechał w ciemność nocy. Idąc do gorącej kąpieli, raczej żałowała, że nie miała sposobności jeszcze raz odtrącić Griffina Lowe...

Rozdział czterdziesty drugi

Przez sześć tygodni nie dawał znaku życia, a potem zatelefonował w poniedziałek rano o godzinie pół do ósmej proponując kolację, kiedy i gdzie ona zechce. Powiedziała:

- Pan chyba zwariował! Chodzi o interes? Bo przecież nie o przyjemność!

- Och, wiem, że pani wstaje wcześniej. A o co chodzi, niech pani wybiera. Oczywiście skorzystam z usług agencji reklamowych.

Nie była zdumiona, stwierdzając, że Griffin Lowe jest interesującym i zabawnym towarzyszem. Naturalnie kazała sobie przysłać do gabinetu teczkę jego wycinków prasowych, ale Griffina Lowe znali wszyscy w świecie środków masowego przekazu. Jego imperium wydawnicze obejmowało sporo brukowców, ale też i parę z najlepszych amerykańskich magazynów. Wszyscy wiedzieli, że Griffin to sprytny zimny drań, który

gwiżdże na to, co ludzie o nim myślą no i bardzo dobrze, bo wszyscy też wiedzieli, że potrafi robić w interesach szczęśliwe i wspaniałe, zaskakujące posunięcia. Wiedzieli, że ma poczucie swoistej brutalnej sprawiedliwości i że jest czterdziestopięcioletnim obecnie, renomowanym kobieciarzem. Och tak - i że jest żonaty, dochował się trojga dzieci... czy może czworga?

Griffin Lowe siedział na pluszowej sofce na wprost Judy i jedli krem z homara, pieczone jagnię z rzeżuchą pomarańcze w cukrze. Przy kawie delikatnie pod stolikiem ujął ją za rękę, a ona wprost zamarła, wstrząśnięta. Bo czyż to nie rok tysiąc dziewięćset sześćdziesiąty ósmy, moda na utarte już zagajenie „cześć, masz ochotę wskoczyć ze mną do łóżka”? I w wieku lat trzydziestu pięciu przecież nie jest pączkiem rozkwitającej kobiecości, jest silna, bezpośrednia i dojrzała.

Więc czy naprawdę czuje ten dawny, swojski ucisk w dołku, jak gdyby była znów w szkole?

Tak.

Siedzieli ponad godzinę trzymając się za ręce, nie mówiąc nic. Potem Judy nie wyszła z tej restauracji, Judy ulatywała. Gdy szofer pomógł jej wsiąść do czekającego samochodu, Griffin szepnął:

- Pewnie pani się zastanawia, czy zawsze tak się zalecam. Po prostu radowało mnie trzymanie pani za rękę, więc tego nie przerywałem. A teraz chce pani, czy pani nie chce, żeby to się posunęło dalej?

- No, może do łokcia.

Pochylił się i wziął ją w objęcia. Przycisnął usta do jej ust. Czowała jego oddech na policzku, jego palce we włosach.

Nie wiedziała, jak wysiadła z samochodu, jak weszła do mieszkania. Wiedziała tylko, że drży, gdy Griffin rozpiął ekler jej czarnej aksamitnej sukienki spadającej na podłogę saloniku. Przyciągnął ją do siebie i znów czowała na ustach jego usta, czowała jego stanowcze kwadratowe dłonie na plecach, na krzyżu. Przyciskały, aż kolana uginały się pod nią. Delikatnie zdjął jej rajstopy i jeszcze rozdygotaną położył na ustępliwych, miękkich poduszkach kanapy.

Z dreszczem rozkoszy poddawała się jego dotknięciom, palcom, ustom. Potem on także był nagi, czowała jego zapach i ciepło.

Podniósł ją. Przeniósł do sypialni na jedwabne prześcieradło łóżka. I zaczęli kochać się powoli, zmysłowo przedłużając doznanie każdej chwili.

Lizał ją. Spróbował lizać ją w ucho. Szarpnęła głową - nie mogła znieść tej ciepłej, niechlujnej wilgoci. Ale oczywiście seks jest niechlujny, więc poddała się rozkoszy. Badał, gdzie jeszcze lizanie sprawia jej przyjemność, i stwierdzili oboje, że prawie wszędzie. Potem nagle stał się gwałtowny, ona też i trochę się mocowali, kto silniejszy, zanim pozwolił jej wygrać. Ale jakoś stoczyli się przy tym z łóżka na kapę z rudych lisów. Poczula w sobie jego palce. Uczynił z niej puchar i spijał ją z krawędzi tego pucharu dosyć głośno, ale niechlujstwo ciepłej wilgoci wcale jej nie raziło. Potem się wykręciła, znalazła się na nim, bezsilnym, czy też udającym bezsilność, żeby było jeszcze przyjemniej. Ocierała się o niego, tak doprowadzając go do szału, jak on ją dziesięć minut przedtem. I nagle pchnęła go do tyłu, na cynamonowe jedwabne poduszki, chwyciła za kostki. Zamknięta między jego włochatymi twardymi udami, czuła w sobie jego siłę.

Obudziła się wcześniej, szczęśliwa i spokojna. Nagle przypominając sobie tę noc, odwróciła głowę i zobaczyła jego czarne brwi. Wezbrało jej w sercu dziwne nowe uczucie. Nie chce go obudzić. Bo on wstanie i natychmiast wyjdzie. Podejrzliwie odniosła się do swojej nowej wrażliwości. I czemu taka zaborczość? Przypominając sobie, że ten mężczyzna jest renomowanym kobieciarzem, wysunęła się z łóżka, włożyła szlafrok i przygotowała śniadanie.

Griffin Lowe otworzył jedno oko; podniósł jedną rękę i pociągnął Judy za różową koronkową nocną koszulę na łóżko. Szepnął, że chce zacząć dzień nie od śniadania. Znowu więc wśliznęła się na niego i jeszcze raz się ze sobą stopili, ona drobna i lekka, on silny, pełen tężyzny.

W końcu powiedział delikatnie:

- Kazałem Carterowi podjechać o ósmej, niedługo będę musiał wyjść. Ale wrócę.

Wziął prysznic i nagle już go nie było. Judy została, z trudem nabierając tchu, niezdolna do zastanowienia się, niezdolna do pracy, niezdolna do niczego poza rozpamiętywaniem każdej minuty z nim spędzonej.

I przyszło jej raptem na myśl, że to nowe doznanie nie ogranicza się do żądry i namiętności. Po raz pierwszy w trzydziestopięcioletnim życiu podejrzewała - zupełnie słusznie - że jest zakochana.

Nie wzywany Griffin wlatywał w orbitę jej myśli wtedy, gdy najmniej się tego spodziewała, zaskakując ją na zebraniach czy konferencjach. Marnowała mnóstwo czasu, zapatrzona gdzieś w rozmarzeniu, myślała o jego skórze, o linii jego karku i szerokich barów, o miękkich włosach na jego rękach, o kształcie rąk i o bliźnie na lewej dłoni (skąd ta blizna? tyłu rzeczy muszę się od niego dowiedzieć), o ciepłe jego ciała. Griffin umie nawet rozbierać się erotycznie - powoli rozluźnia krawat, patrząc w oczy, zdejmując najpierw skarpetki i dopiero potem spodnie tak, że nie ma tego śmiesznego wodewilowego widoku owłosionych nóg pomiędzy skarpetkami i skrajem koszuli.

W szufladzie komody z różanego drzewa przy łóżku Judy przechowywała bladoniebieską koszulę, którą on wkładał. Gdy go nie było, wtulała w tę koszulę twarz, wdychała jego piżmowy zapach.

Griffin od razu zaangażował KORONKĘ do reklamowania jednej ze swych nowych firm, wykazując, że dzięki temu będą często się widywali. Tak rzeczywiście było. Zdumiewał Judy swobodą w prowadzeniu interesu. Nie tracił energii na to, by sprawiać wrażenie dynamicznego; czasami wydawał się nieomal gnuśny. Siedział na zebraniu grzecznie, prawie przepaszając, palcem lewej ręki pocierał sobie skrzydełko nosa, kwestionując, komentując, pytając i zachęcając swoich rozmówców, wgłębiając się w każdy szczegół. Potem całe zebranie podsumowywał w ciągu trzech minut. Gdy Griffin Lowe zjawiał się na zebraniu urzędowym w wykładanej szarym zamszem sali konferencyjnej, czy też gdy Griffin Lowe prowadził od niechcienia rozmowę trzymając nogi na biurku w swoim gabinecie, ludzie jakoś zawsze myśleli o piętnaście procent szybciej i sprawniej. To była jedna ze wspólnych cech jego i Judy.

Spotykali się prywatnie trzy razy na tydzień. Z początku zachowywali dyskrecję, ale z biegiem czasu stawali się coraz bardziej lekkomyślni. Jego żona chyba musi wiedzieć, rozumowała Judy i tak samo rozumował Griffin.

- Ona nic nie powie, nigdy nie mówi - oświadczył i mrugnął do Judy. A Judy nie cierpiała uważać się za jeden z jego romansów.

Długo panowało milczenie.

- Bardzo parszywie to powiedziałeś. - Tylko na pół zażartowała. Chciała go zranić tak, jak ją zraniły i upokorzyły te trzy jego słowa: nigdy nie mów.

Już zjedli obiad w jej mieszkaniu - wędzonego pstrąga, do którego wypili pół butelki Pouilly Fumee stojącej przy łóżku, już Griffin wziął prysznic, ubrał się i był gotów wyjść.

- Bardzo parszywie - powtórzyła Judy odwracając się do niego z niegodziwym błyskiem niebieskich oczu. - Więc ja cię ukarzę, żebyś nigdy więcej nie ranił mnie i nie poniżał.

Griffin zgodził się z tym - dałby sobie kopniaka za palnięcie tych trzech słów - gdy poprowadziła go za rękę do łóżka i pchnęła na zmietoszone prześcieradło. Usiłując się śmiać - był już spóźniony na następne spotkanie - podniósł leniwie rękę, by przyciągnąć ją do piersi, ale złapała go za nadgarstki.

- Przywiążę cię do łóżka - powiedziała - i wtedy będzie z tobą tak, jak ja zechcę. Ukarzę cię, żebyś nigdy więcej nie był wobec mnie parszywy i bezmyślny.

Ugryzła go w palec mocno, aż się poderwał z bólu i zdumienia. Szarfą od swego szlafroka z kasztanowego jedwabiu szybko przywiązała jego prawą rękę do oparcia łóżka.

Spróbował żartobliwie protestować, dostosowując się do tej zabawy.

Wiedział, że pod jej dokuczliwym tonem kryje się prawdziwy żal, i wiedział, że na to następne umówione spotkanie nie zdąży. Gdy sięgnęła po jego drugi nadgarstek i lewą rękę przywiązała mu czerwonym szalikiem, zapytał, zrezygnowany:

- Nie rozbierzesz mnie przedtem?

- Zdejmę ci buty. - Ściągnęła mu z nóg ręcznie wykonane włoskie mokasy i jego beżowymi jedwabnymi skarpetkami przywiązała mu do łóżka nogi w kostkach tak, że leżał rozpostarty.

- Och nie - powiedział cienkim falsetem - Nie, nie, nie! Tylko nie takie prostowanie w stylu gestapo, nie bat... nie tortury, nie nabijany guzami pas z tą okrutną mosiężną klamrą i te diabelskie obcasy jak sztylety i opaska ze swastyką! - Jęcząc i śmiejąc się, nie miał nic przeciwko zabawianiu się raz dla odmiany w masochistę.

- Coś gorszego - powiedziała Judy.

Poszła do kuchni i wróciła naga z nożycami w ręce. Gdy zbliżała się do łóżka, Griffin upomniał ją nerwowo:

- Dobrze, Judy. Przepraszam cię. Przestańmy się wygłupiać. Ta śmieszna draka posunęła się dostatecznie daleko i już jestem spóźniony.

- Och, tylko, że ja jeszcze nie zaczęłam, więc nie przestanę. - Nadal miała w oczach ten niedobry błysk. I zanim Griffin pojął, co ona robi, rozcięła na nim marynarkę uszytego na zamówienie garnituru.

- Judy? - Chciał się zerwać z łóżka, ale ku swemu zdumieniu rzeczywiście nie mógł się ruszyć. Zaczęła rozcinać na nim koszulę importowaną w poprzednim miesiącu z Jermyn Street.

- Judy! W co ty się bawisz? Sama dałaś mi tę koszulę wczoraj. Nie pamiętasz?

- Błąd - powiedziała ze spokojem. Ostrożnie wbiła nożyce w dolną część nogawki spodni, po czym rozcinając ją już brutalnie od dołu do pachwiny, wyjaśniła: - Rzeczywiście mnie uraziłeś, więc niestety muszę tak ci zatruć życie, jak ty mnie zatruwasz.

Griffin zaczął kipieć. Nie przejmowałby się, gdyby to była sobota, ale czekało go pełne różnych spraw popołudnie i ostatecznie oni dopiero co...

- Miałaś orgazm, prawda?

- Zamknij się. W istocie chyba się postaram, żebyś nie mógł mówić. Odłożyła nożyce, wzięła swoje rajstopy, wepchnęła mu je do ust i owiązała jego brunatnym jedwabnym krawatem. Potem pocięła drugą nogawkę i szarpnięciem oderwała strzępy szarej flaneli. Przez sekundę Griffin się denerwował, gdy nożyce zapląsały w powietrzu i opadły na jego krótkie kalesony. Spróbował tłumionym jękiem prosić o łaskę. Wydawało mu się, że tak należy reagować, w cokolwiek ona się bawi.

- Ukarzę cię dostatecznie, żebyś raz na zawsze się opamiętał - powiedziała Judy łagodnie. - Będziesz żałował! Będziesz cierpiał! Prawo zabrania tego, co rzeczywiście chciałabym ci w tej chwili zrobić!

Pochyliła się nad jego członkiem. Ku swemu zakłopotaniu poczuł, że sztywnieje. Czubkiem ruchliwego, giętkiego języka zaczęła muskać go po skórze. Gdy jęknął z rozkoszy, przestała. Zgramoliła się z łóżka, znów poszła do kuchni i wróciła tym razem z butelką oliwy. Tak jakby prowadziła z nim pogawędkę, powiedziała:

- Powinieneś bardziej uważać na to, co mówisz, Griffin. - I klękając na łóżku, przechyliła nad nim butelkę.

Oliwa ściekała z Griffina na pościel. Judy przesunęła się w nogi łóżka i zaczęła starannie masować mu lewą stopę, najpierw duży palec, przy czym mocno ugniatała od spodu podbicie, a potem lepkiem od oliwy, mocnym klepaniem kostkę, łydkę, kolano, udo... Będzie ssać, pomyślał, do tego zmierza. Ale tak nie było. Prawie tuż, tuż zatrzymała się raptownie. Przystąpiła do masowania jego prawej stopy i dalej z wielką wprawą masowała go całego, aż doszła do dużych mięśni z obu stron jego nogi, przy których ugniataniu ocierała się od czasu do czasu o jego pierś czubkami brodawek. Miarowo jej kciuki posuwały się ku jego uszom.

- Teraz powinieneś być rozluźniony i spokojny - powiedziała w zamyśleniu.

Przycupnęła przy nim naoliwionym, śliskim. Czubkiem języka lizała go, jak kot liże śmietankę. Potem uklękła na nim okrakiem i głaskała go sobą, zwracając uwagę tylko na to, co głaszcze, jak gdyby on był przedmiotem seksualnym umożliwiającym jej doprowadzenie się do orgazmu. Griffin leżał na łóżku rozpostarty, ona siedziała na nim i niewiele mógł z tym zrobić. Zduszone stęknienie dobyło mu się z ust. Twarz miał już raczej purpurową i był ogromnie podniecony, gdy Judy bardzo uważnie przesunęła się na klęczkach do jego biodra, trafiając opadła na niego lekko i od razu się podniosła. Po kilku minutach takiego drażnienia, raptem przycisnęła się do niego, przyjęła go w siebie i tak samo raptownie z niego zeskoczyła.

Usłyszała stłumiony wrzask furii Griffina.

- Nie! Należę sobie dużą whisky z lodem.

Odeszła bosą, cicho, pozostawiając Griffina szarpającego się w więzach. Wróciła z wysoką szklanką szkockiej z lodem. Pociągnęła łyk i przytrzymała w ustach, jak gdyby je płukała. Potem usiadła obok Griffina, wzięła w usta dwa sześcianki lodu i znów się pochyliła. Wydał zduszony skowyt, bo to parzące zimno było czymś zupełnie innym niż normalne wnętrze cudzych ust. Zamiast ciepła, miękkości, wilgoci mroźnie i niebezpiecznie chropowato.

Judy nie wstawiała, dopóki lód się nie rozpuścił. Griffin zwiotczał. Wsunęła w niego wygięty palec, którym trochę pokręciła szukając jego gruczołu krokowego. Znalazła i nacisnęła. Griffin prawie zaraz szarpnął się w orgazmie.

Wstała i resztę whisky ze szklanki wylała mu na głowę - łóżko było teraz zaszargane obrzydliwą mieszaniną oliwy i topniejącego lodu. Odeszła szybko. W kuchni sięgnęła do lodówki, mówiąc:

- To zawsze wygląda tak śmiesznie w filmie.

I wróciła niosąc dużą bezę z kremem cytrynowym. Usiadła i starannie rozgniotła ją na twarzy Griffina, wyrzuciła podstawkę z cynfolii, wstała i popatrzyła.

- Boże, co za bałagan! - powiedziała z dezaprobatą odwróciła się na pięcie i poszła do łazienki.

Po dziesięciu minutach zjawiała się, schludna, niepokalana w krótkiej, żółtej jak jaskier płóciennej sukience bez rękawów i w płóciennych czółenkach.

- Mam spotkanie, Griffin, więc muszę już wyjść - powiedziała układnie. Podniosła z podłogi nożyce i położyła je na łóżku w odległości może stopy od głowy Griffina. Szamotał się wściekle, usiłował, oburzony, wrzasnąć na nią ale spod rajstop w jego ustach dolatywały tylko zduszone kwiki. - Byłeś skautem, Griffin, jakoś sobie poradź. - I wyszła z mieszkania.

Griffin nie mógł w to uwierzyć. Nie mógł uwierzyć, że ona rzeczywiście tak go zostawiła. Nie mógł uwierzyć, że nie może się uwolnić. Szarpał się i wysilał w swoich śmiesznych jedwabnych pętach, coraz bardziej zziębnięty na nieprzyjemnie lepkim, mokrym łóżku, cuchnącym szkocką whisky.

W końcu wpadł na pomysł, że kręcąc ostrożnie prawą ręką mógłby w końcu dosięgnąć palcami supła szarfę od szlafroka Judy. Zabrało mu to pół godziny, ale potem od razu był wolny i zatelefonował do Cartera, żeby mu przywiózł ubranie.

Kipiał wściekłością

A jednak Judy mu zaimponowała. On - Griffin Lowe, potentat, kochanek, który odchodził, który trzymał swoje kobiety porządnie poukładane w osobistej kartotece emocjonalnej poza godzinami urzędowania i jak najdalej od spokoju domowego - został postawiony w sytuacji, z jakiej pomimo swoich sił, wdzięku i savoir-faire nie mógł wybrnąć. Judy robiąc to, co zrobiła, była rzeczywiście w furii - i nie osłabła. Ponadto zademonstrowała władzę fizyczną nad nim. Znała jego ciało tak dobrze, że trzymała go na granicy orgazmu przez półtorej godziny drażniąc go do żywego, ponad wszelką wytrzymałość nieomal.

Upokorzyła go, jeśli nie zdeptała w proch.

Odtąd układ się zmienił. Griffin odnosił się do Judy ze znacznie większą dbałością i szacunkiem, nie dlatego, żeby się jej bał, tylko dlatego, że zrobiła dokładnie to, co zapowiedziała - ukarała go!

Ale Griffin wiedział, że musi jeszcze raz zadać jej ból i tym samym narazić się na jej wściekłość. Wiedział, że musi postawić jasno sprawę ich przyszłości - inaczej nie byłby w porządku. Pewnego wieczora, w tydzień potem jak go związała i pocięła na nim ubranie, leżeli oboje na jej łóżku w łagodnych ostatnich promieniach zachodzącego słońca, nadzy, rozkosznie zmęczeni miłością i on właściwie nie chciał mówić o tym, ale wiedział, że musi. Mocno ścisnął jej rękę, wiedząc, że ją to zrani. Ostatecznie powiedział po prostu:

- Delia wie, że ja bym nigdy nie zostawił jej i dzieci. Zbyt ciężko walczyłem o to, co mam, żeby rzucić moją rodzinę czy też ją skrzywdzić.

Nastąpiło długie milczenie. Czuł się nieswojo. Judy wydawała się taka obwarowana i daleka, że wstał z łóżka, bosy poszedł do kuchni i wrócił z butelką Dom Perignon.

- Nie pojmuję, dlaczego ona ciebie znosi - powiedziała Judy.

- Wie, że jakąś dziwną pewnością jutra daje mężczyzna, który zakochuje się raz po raz.

Od Judy bił gniew. Griffin odgiął drut i kciukami odkorkował butelkę. Musiał być szczery.

- Fakt numer jeden, Judy... spotykam mnóstwo pięknych kobiet i cieszę się nimi. Fakt numer dwa... mam przy tym rodzinę. Dla mnie są to dwa zupełnie odrębne obszary zainteresowania. Ufam, że zdajesz sobie z tego sprawę.

Podniosła rękę spod skłębionej cynamonowej jedwabnej kołdry i przyjęła od niego kieliszek szampana.

- Judy, podkreślam to. Nie chcę ci zrobić przykrości, tylko chcę, żebyś zrozumiała: ja nigdy, nigdy nie odejdę od mojej żony. Za bardzo by ją to bolało, nie mógłbym do końca życia sobie wybaczyć.

Długo panowała cisza.

- Właśnie to mówią wszyscy. - Judy starannie wylała mu zawartość swojego kieliszka na głowę. - I w każdym razie kto cię pytał? Już dawno zdecydowałam, że nie wyjdę za mąż. Bo po co składać nierealistyczne przysięgi, nie mając pewności, że się ich dotrzyma.

Griffin postawił butelkę i ruszył do łazienki. Dobrze przynajmniej, że mu na głowie nie rozbiła kieliszka. No i już w końcu jasno powiedział jej to.

Judy mówiła dalej w zamyśleniu:

- Wciąż sobie powtarzam, że nie powinnam chcieć wyjść za ciebie, i myślę, że naprawdę nie chcę. Tylko cierpię na myśl o tym, że jesteś mężem innej. - Podniosła głos

tak, żeby mógł ją słyszeć w łazience. - Nie chcę, żeby moje szczęście zależało od innej kobiety, a właśnie tak to odczuwam.

Griffin wrócił i gdy wycierając ręcznikiem włosy, stanął w drzwiach, pomyślała, że jest bardzo przystojny. Uśmiechnął się do niej próbnie.

- Niech to diabli, Griffin, proszę cię, słuchaj. Zawsze ceniłam swoją samodzielność, ale teraz pragnę aż do bólu wszystko ci powiedzieć, każdy sekret mojego życia. - Spojrzała w sufit. - Wiem, że ty wobec mnie nie masz takich zrywów, ale mężczyźni nigdy nie mają. Ja nagle chcę być wciąż przy tobie. Chociaż rozum mi mówi, że nie chcę. - Walnęła w łóżko swymi małymi pięściami.

Po krótkiej chwili milczenia usiadła i Griffin nie mógł nie patrzeć na jej piersi. Rzucił ręcznik na podłogę, podszedł i pochylił się, ale go odepchnęła.

- Griffin, chcę zachować moje życie prywatne. Jeżeli będziesz się z tego śmiał, zabiję cię. Naprawdę chcę być sama dosyć często. - Położyła się z powrotem, podciągnęła kołdrę aż po szyję.

Usiadł na brzegu łóżka i zapytał poważnie:

- Dlaczego chcesz być często sama?

- Tyle ludzi boi się samotności, zamiast ją cenić. Ja też się bałam... kiedyś i nie chcę już nigdy jej się bać. - Powoli znów usiadła, oparta o poduszki. - Sama to zupełnie coś innego niż samotna. - Patrzył na nią sceptycznie. Zawahała się i dodała: - Oczywiście czasami kiedy wracam po ciężkim dniu pracy do ciemnego pustego mieszkania, odczuwam samotność. Wolę jednak mieć od czasu do czasu chandrę, niż być przykuta do kogoś, z kim w gruncie rzeczy nie chcę przebywać. - I gdy się nachmurzył, powiedziała: - Ani też nie chcę, żeby mężczyzna czuł się przykuty do mnie. - Splotła ręce nad głową, piersi jej znów sterczały. - Czy ty słuchasz mnie, Griffin? Dawno temu, kiedy mężczyzna mi mówił, że jest samotny, topniałam ze współczucia. Ale daleko od tego odbiegłam.

- Czyli chcesz mieć tylko swoją porcję tortu, żeby ją zjeść.

- Trafnie ujęte, z punktu widzenia tortu. Ze śmiechem rzucił się na nią.

Maxine, w czasie swej następnej bytności w Nowym Jorku zachwycała się Griffinem.

- Wreszcie nam wszystkim ułożyło się życie - powiedziała stojąc w kuchni

Judy i wkładając do wazonu kamelie i różowe róże, których naręcze przyniosła. - Nie, dziękuję, Francetto, lubię układać kwiaty. Poganka i ja, szczęśliwe mężatki z dziećmi

i z ciekawą pracą. Kate szczęśliwie rozwiedziona, wzięta literatka. No i ty, wreszcie zakochana. - Zamyśliła się, wachając krągły, blady pąk róży. - Miałyśmy nadzieję, że to będzie Nick, potem miałyśmy nadzieję, że to będzie ktoś miły. - Ułożyła kwiaty i odsunęła się, żeby podziwiać swoje dzieło. - A potem już zrobiło się nam wszystko jedno kto, bylebyś była z tym kimś szczęśliwa. Kochanie, co znaczy tyle tego Dom Perignon w twojej lodówce?... No, powiedz Griffinowi, że wolisz naszego szampana. A teraz posłuchaj, mam dla ciebie małą niespodziankę.

Rozdział czterdziesty trzeci

W życiu Londynu i londyńskim ruchu ulicznym nastąpiło rozprężenie, którego powodem były między innymi Poganka i Judy. Przed bramą Pałacu Buckingham stał szereg bardzo eleganckich kobiet w dużych, przybranych kwiatami, miękkich kapeluszach i mężczyzn w popielatych cylindrach, w czarnych garniturach. To byli goście honorowi Jej Królewskiej Mości na dorocznym królewskim ogrodowym przyjęciu. Poganka zobaczyła Kate, ostatnio mianowaną przez Związek Kobiet Pracujących Zawodowo kobietą roku. Pomachała do niej zaproszeniem w grubej kremowej kopercie z ciemnoczerwonymi klejnotami koronnymi na odwrocie. W zaproszeniu podano czas przyjęcia od czwartej do szóstej po południu, ale wpuszczano w tę czarowną bramę już od trzeciej piętnaście i najwyraźniej wiele osób chciało z tego skorzystać. Kate na taką uroczystość włożyła model Tuffin i Foale, garsonkę z baskinką z kremowej krepy. Poganka była w jedwabnej sukience od Jean Muir w deseń różowo-szary art nouveau, poszerzanej na udach i z szerokimi, zwężającymi się rękawami. Judy wyglądała niezwykle poważnie w cytrynowym płóciennym kostiumie z letniej kolekcji Guya, trochę ciemniejszych pantoflach i słomkowym kapeluszu z dużym rondem.

Najlepszą częścią tej przyjemności było przejście obok wartowników w czerwonych kurtkach za barierę, która zatrzymywała turystów. Już z drugiej strony bramy ruszyły we trzy po żwirze pod łuk spokojnie wytwornej, popielatej fasady pałacu. Znalazły się na dziedzińcu wewnętrznym i po szerokich schodach przykrytych czerwonym dywanem doszły do progów królowej.

- To była naprawdę niespodzianka. Wciąż jeszcze nie wierzę, że jestem

rzeczywiście w Pałacu Buckingham - powiedziała Judy. - I nadal nie rozumiem, Poganko, jak tyś to załatwiła.

- Pałacu Buckingham nikt nie może załatwić - powiedziała Poganka. - Christopher rok temu mówił, że mogłabyś tu być mile widziana za tyle wspaniałej ochotniczej pracy wkładanej w propagowanie badań nad rakiem.

Maxine, będącą gościem ambasadora Francji, zastały w głównym salonie, tak jak hall wejściowy szkarłatnym i złotym, z ekspozycją bezcennej porcelany w serwantkach ustawionych rzędem pod każdą ścianą. Maxine mrugnęła i podeszła. Strojna w jasnozielony szyfon wyglądała w każdym calu na paryżankę. Przywitały się w tym królewskim salonie niezwykle powściągliwie.

- Wyjdźmy na słońce - zaproponowała Kate.

Wysunęły się na otoczony balustradą taras, który biegnie wzdłuż tyłów pałacu. Zobaczyły ogromny trawnik, za trawnikiem jezioro, za jeziorem las. Trudno im było uwierzyć, że w samym środku Londynu jest taki ukryty ogród, zupełnie jak gdzieś na wsi. Na okrągłym podium orkiestra Królewskiej Piechoty Morskiej dudniła wiązanek melodii z Oklahomy nie inaczej, niż na każdym innym z tych corocznych przyjęć już od dwudziestu lat. Na lewo od tarasu stał podwieczorkowy, pasiasty, zielono-biały namiot-markiza. Kelnerki w czarnych jedwabnych sukienkach, zapinanych na guziki z pereł, już się mijały przy okrągłych stolikach kolorowych od tortów i filiżanek do herbaty. Na prawo stał nieduży podwieczorkowy namiot królewski, w którym na czerwonym dywanie jaśniały krzesła w stylu Regencji i stół ze złocistym samowarem.

Wszyscy wydawali się zadowoleni, spacerując po trawniku. Nastrój był jak na weselu ulubionej kuzynki, ale bez żadnych pijanych wujaszków. Połowa kobiet była ubrana jak królowa, druga połowa jak księżniczka Anna. Tylko jedna z zaproszonych paradowała w ogromnych czarnych okularach i gorsząco różowej obcisłej szatce topless. Wśród białych giemzowych rękawiczek i słomkowych kapeluszy przybranych różami wyróżniała się tak, jakby przyleciała z innej planety. Zważywszy, że w roku 1969 panowała moda maskaradowa, jakoś dziwnie było nie widzieć tu dzieci-kwiatów ani bogatych Cyganek, ani spowitych w skandaliczne hafty Afganek czy Indianek w jelenich skórkach z frędzlami czy innych dziwów etnicznych, chociaż doprawdy nie brakowało kosztownie wyglądających dójek w suto marszczonych kreacjach Laury Ashley.

Koło godziny czwartej goście nagle ruszyli w stronę tarasu, orkiestra zagrała hymn narodowy, wszyscy zastygli w postawach na baczność. Turkusowa drobna postać wystąpiła z gromadki, która ukazała się na tarasie, i zdumiewająco żwawo przystąpili do akcji halabardnicy, usuwając wszystko z królewskiej drogi.

Okazało się, że ta turkusowa to tylko dama dworu. Jej Królewska Mość była w sukni z czerwonego jedwabiu na kremowej halce widocznej dosyć często, gdy dmuchał wiatr. Jedyne ona i Poganka miały pantofle na niskich obcasach, z tym że to był jej trawnik. Pod dużym rondem kapelusza z czerwonej słomki uśmiechała się blada, dyskretnie umalowana, ożywiona, rozmawiając z gośćmi, których woźni przywoływali skinieniem na chybił trafił, gdy szła do swojego namiotu. Potem lokaje w czerwonej liberii i białych pończochach usługiwali przy stole w czasie pogawędki Jej Królewskiej Mości z korpusem dyplomatycznym.

To był doskonały podwieczorek edwardiański: tort biało lukrowany, tort jasnopomarańczowy, tort czekoladowy, patery pełne kromek chleba z masłem, cieniutkich jak welin, plastrów ogórka posmarowanych twarożkiem z posiekanymi korniszonami. Żadnego alkoholu nie podawano, ale było mnóstwo mrożonej kawy, herbaty i soku ze świeżych pomarańczy.

- Szykowne miejsce na nasze spotkanie - zauważyła Judy. - Żadna z nas dwadzieścia lat temu czegoś takiego się nie spodziewała. - Machnięciem ręki wskazała tę przepyszną scenerię.

Usiadły we cztery przy stoliku.

- Żadna z nas nie spodziewała się wcale tego, co ją czekało. - Kate wygładziła kołnierz z kremowej koronki. - A to, czego się spodziewaliśmy, nie przyszło. Królewicz z bajki, na przykład!

Mówiły nieprzerwanie, chichocząc zaraźliwie raz po raz, o dzieciach, mężach, kochankach, domach, przyjaciółach, wrogach i wszystkich rekwizytach bytowania. Potem z większym zastanowieniem przerzuciły się w dorosłą wersję swoich dawnych rozmów przy księżycu, gdy na pensji światła już zgasły. Teraz mogły już wiedzieć, czego należało je za młodu uczyć.

- Zarabiać na życie - oświadczyła stanowczo Poganka.

- Załatwiać sprawy finansowe - Kate pomyślała, jak niedobrze zostały wykorzystane nieruchomości jej ojca.

- Zdawać sobie sprawę, że będziemy popadać w tarapaty - powiedziała Maxine zadumana. - Nie można się łudzić, że się przejdzie przez życie, zachowując mentalność królowej na ziarnku grochu i przekonanie, że pod prześcieradłem w łóżku nie znajdzie się kanciastych brył. Łóżko zawsze jest bryłowate.

- Ja wolałabym - powiedziała Judy - żebyśmy nie nabrały przekonania, że bez mężczyzny będzie się niczym, bo tylko mężczyzna daje kobiecie pozycję i ochronę.

- Nie tylko ojcowie to w nas wpoili - wykazała Kate. - Matki nas wychowały na istoty zależne i leniwe pod najważniejszym względem... ruszania głową.

- Chyba jednak nie możemy mieć naszym rodzicom za złe, że nie uczyli nas tego, czego sami nie umieli - wysunęła argument Maxine. - Starali się, jak tylko mogli.

- W tym właśnie sęk. Jakoś się utarło, że kobieta zależna jest kobieca, a kobieta niezależna nie jest, i że to niekobiece ponosić za siebie odpowiedzialność - powiedziała Judy.

Kate przyznała jej rację.

- Mogłabym uniknąć wielu kłopotów, gdybym tylko miała dość wiary w siebie, żeby sama myśleć, zamiast polegać na cudzym zdaniu.

Wstały od stolika i ruszyły przez trawnik w stronę jeziora, za którym był ogród różany. Kate mówiła dalej:

- Od urodzenia byłyśmy owinięte w ciepłe szale i koronki, i to bardzo kuszące nie wrywać się z takich szali, wtulać się w tę koronkę i niech sobie naszym światem zawiaduje ktoś inny. Tylko, że te szale to pajęczyny fałszywej pewności jutra...

- ...która jest gorsza niż brak pewności - dokończyła Maxine - bo kiedy przeznaczenie nagle zerwie z ciebie ten koronkowy szal, zostajesz zdana na pastwę wszystkiego, naga i bezbronna.

Judy przytaknęła, myśląc, że byłoby miło zerwać różę u angielskiej królowej i posłać matce. Ale to był bardzo mały ogród różany.

Rozdział czterdziesty czwarty

Wkrótce po powrocie Judy z Londynu Tom wsunął głowę zza drzwi jej gabinetu.

- Lansujemy nasz pierwszy porno. Wytwórnia Empire kupiła ten francuski Q. Tytuł jest dwuznaczny, pamiętasz? Po francusku znaczy De. Rolę główną gra Lili, będziemy ją

obwozić. Musimy wymyślić coś specjalnego, bo jej angielszczyzna nie jest zbyt świetna. Zgadzasz się tym zająć?

- Oczywiście. Możemy to połączyć z Rokiem Lansowania Szmaragdów Federacji Jubilerów. Czy nie podobałoby się Lili występowanie w szmaragdach wartych dwa miliony dolarów? To coś dosyć specjalnego!

Judy zaplanowała tournée na początek stycznia, czyli martwego zwykle sezonu; kiedy niewiele się dzieje, wszyscy siedzą przed telewizorami w domach. Zdecydowała się jeździć razem z Lili, bo ta gwiazdka była osobą rzeczywiście trudną, a szmaragdy mogłyby spowodować kłopoty.

Po długim zwlekaniu wskutek protestów Legii Przyzwoitości i niezliczonych organizacji biblijnych, ostatecznie film Q zatwierdzono do wyświetlania w kinach. Lili po Bożym Narodzeniu przyleciała do Stanów, żeby go reklamować. Serge przyleciał wcześniej. Chciał porozmawiać z kilkoma ludźmi na Wybrzeżu. O dziwo nie czekał na lotnisku, gdy wylądowała. Był tam tylko agent prasowy, który jej powiedział, że Serge źle się czuje, spotka się z nią nad hotelowym basenem. Lili okazała agentowi swoje niezadowolenie. Prawdopodobna historyjka, pomyślała, na pewno to po prostu kac. Czy może jakaś dziewczyna? W każdym razie fatalnie. Przeleciała pół świata, żeby się z nim spotkać, a jemu się nie chciało nawet przyjechać po nią na lotnisko.

Dąsała się, dopóki nie dojechali na Beverly Hills.

Serge spoczywał na żółtym leżaku po słonecznej stronie prostokąta wody niebieskiej jak akwamaryna. Naprzeciw niego ciągnął się rząd brezentowych kabin. Kilkoro dzieci skakało z trampoliny na końcu basenu, ale poza tym nikt nie pływał - żadna z obcych kobiet nie miała włosów, które by mogła zmoczyć, wszystkie uczesane były nienagannie w myśl mody sprzed dwudziestu lat i niejedna iskrzyła się brylantową biżuterią, jak gdyby kostium kąpielowy uważała za godną brylantów suknię balową. Serge spojrzął na Lili i opieszale machnął ręką.

- Boże - jęknął - czuję się strasznie.

Lili zmusiła się do udawania zaniepokojonej i troskliwej. Pochylając się, pocałowała go w policzek.

- Co ci dolega, Serge?

Znów jęknął burkliwie, podrapał się po owłosionym brzuchu, podniósł na nią swe ciemne okulary i powiedział:

- Wątroba. Lekarz hotelowy każe mi leżeć. Rany boskie, nie do opisania strasznie się czuję.

- Więc dlaczego nie leżysz w łóżku? - Jeszcze mu nie wierzyła, nie wierzyła nawet, że zwrócił się do lekarza: po prostu cholernie wygodnie mu wylegiwać się tutaj w blasku słońca, patrzeć na chwiejne liście palm za wysokim różowym murem. On tu ma jakąś ukrytą cizję. - Co ty pijesz?

- Zakichany sok pomarańczowy bez niczego. Doktor zaleca.

- Pozwolisz? - Wypiła łyk z jego szklanki. To był rzeczywiście czysty sok pomarańczowy. Więc może on naprawdę jest chory? pomyślała.

- Chcesz jakiś sok, Lili?

- Nie, nie, dziękuję, ale chyba bym coś zjadła. Czy ten doktor przepisał ci lekarstwa? Długo będziesz chorował? Mamy zacząć w czwartek, wiesz?

- Tak, martwię się tym.

Serge dźwignąwszy się z leżaka zaczął wkładać cytrynowy płaszcz kąpielowy, a Lili jeszcze raz rozejrzała się wokół. Niemłodzi mężczyźni w okularach przeciwsłonecznych czytali „Variety”. Dwaj opaleni na ciemny brąz starszaki w grubych złotych naszyjnikach, paląc cygara, grali w tryktraka i równocześnie rozmawiali przez telefon.

- Nie spodziewałam się, że Hollywood tak wygląda. Ci ludzie są tacy zwyczajni, zupełnie jak byle rodziny na lotnisku. - Jakież hotel Serge wybrał? Gdzie te hollywoodzkie gwiazdy? Lili była rozczarowana.

Gdy Serge ruszył wolnym krokiem w stronę stolików nad drugim końcem basenu, z hotelu zeszła po schodach jakaś blada, znakomita istota ze złocistymi lokami sięgającymi do talii. Miała jednoczęściowy kostium kąpielowy koloru burgunda, także sandały na wysokich obcasach i także pokryte emalią paznokcie nóg. Tak delikatnie i ostrożnie, jak gdyby zajmowała się chorym dzieckiem, posmarowała olejkiem do opalania pierś swojemu towarzyszowi, maleńkiemu gnomowi o powykręcanych kończynach, mającemu głowę jak brązowo nakrapiane jajko.

- To nie jest gwiazda. To kurwa - powiedział Serge czytając w myślach Lili. - Oni tu mają cudowne kicie. Ta widziała więcej pokoi hotelowych niż facet, który rozprowadza Biblie Gideona. No chodź, jeżeli chcesz zjeść obiad.

Usiedli przy stoliku i zamówili sałatki Caesar. Serge ponuro skubał swoją porcję.

- Faktem jest, Lili, że doktor zabronił mi pojechać z tobą. Muszę tu zostać, może nawet przenieść się do kliniki na badania...

- Nie wierzę ci! - Lili cisnęła widelec na stół i pochyliła się do Serge'a, mówiąc z wściekłością, ale głosem zniżonym, żeby kelner nie słyszał. Po wywiadzie Kate, zamieszczonym w „Globe”, Lili bała się rozmawiać z dziennikarzami bez Serge'a. - Sama pójde do tego doktora. - Tylko, że nie ma po co, pomyślała. Serge na pewno to z nim załatwił. Od razu zgadłam, znalazł sobie jakąś dziwkę. Jej aksamitnie brązowe oczy pałały. - Masz tu gdzieś dziewczynę! - Powiedziała cicho, szybko, gniewnie. Serge wiedział, że to zwiastuje wybuch. - Tylko tego mi trzeba! Sama bez żadnej opieki na tournee, bo mój tak zwany menedżer wałkoni się w Hollywood, w tym rzeczywiście dobrze znanym uzdrowisku! - Patrzyła na niego spode łba.

- Wypycha mnie samą na tournee, żeby przelatywać jakąś inną dziwkę w luksusach za moje pieniądze.

- Na litość, Lili, czy musimy już się awanturować, kiedy jesteś ze mną od niecałych pięciu minut? Nawet jeżeli tu nie znają francuskiego, przecież słyszą, że to kłótnia. Nie podnoś, do cholery jasnej, głosu, tylko popracuj trochę swoją zakichaną mózgownicą.

Trzej młodzi ludzie usiedli naprzeciw nich i zamówili trzy czarne kawy i telefon.

- Zastanów się - nie ustawał Serge. - Nigdy nie pozwalałem ci rozmawiać z żadnym cholernym reporterem na własną rękę po tym, jak cię zniesławiła ta angielska dziwka, no nie? Więc czy jest możliwe, żebym nagle wysłał cię w taką cholernie ważną i kosztowną czterotygodniową podróż samą? Przecież chodzi tak samo o moją przyszłość materialną, jak o twoją.

- To prawda. - Ale jakoś wydawało jej się to podejrzane. - Nie mówisz mi wszystkiego. Coś jest nie tak. Wykręcasz się, ja wyczuwam.

- Lili, kochanie, kiedy będziemy sami w naszym różowym bungalowie, wybije ci te cholerne zęby, jeżeli nie zamkniesz jadaczki - powiedział Serge. - Czuję się fatalnie. Faktycznie może umieram, a ty musisz zaczynać awanturę. - Był w swoim przekonaniu uczciwy, bo raz wyjątkowo się myliła.

- Nie mam tu żadnego kociaka... a nawet gdybym miał i tak niewiele mógłbym zrobić. Jestem taki chory, że prawie nie mogę podnieść tej mojej cholernej głowy, a cóż dopiero mówić o czymś innym. - Odepchnął talerz z sałatką. - Porozmawiaj sama z doktorem, kiedy przyjdzie jutro. Nawiasem mówiąc, poprosiłem go, żeby ciebie też

szybko zbadał... uznałem, że lepiej sprawdzić, czy jesteś w formie, zanim zaczniesz tournée. I nie martw się, nie będziesz jeździć sama. Prezeska tej firmy reklamowej będzie jeździła z tobą, a ja będę telefonował co wieczór... No, czy mogę prosić o trochę współczucia?

Z pewnością nie wyglądał dobrze. Wyglądał strasznie. Lili, skruszona, pochyliła się i poklepała go po ręce.

Serge był chory. Rzeczywiście miał syfilis. Parę dni przedtem zauważył dwa spuchnięte guzy w pachwinie, a potem znalazł mały pęcherz pod napletkiem. Zatelefonował do lekarza, bo z tym nie ma żartów, to może stoczyć mózg, sparaliżować, zezreć nos, a nawet zabić.

Doktor jak zwykle w takich przypadkach polecił ostrzec wszystkie osoby zainteresowane (co Serge zignorował) i przepisał natychmiastową serię zastrzyków penicyliny, co spowodowało, że Serge musiał zrezygnować z podróży co dzień-inne-miasto i zostać na miejscu.

Bogu dzięki, myślał Serge, od dawna nie dotykałem Lili. Doktor jednak powiedział, że trzeba ją zbadać. Będzie zdumiona, kiedy się dowie, jakie to badanie, ale tym niech doktor się martwi, zapłaciłem wystarczająco dużo za dyskrecję.

Jeżeli Lili jest zdrowa, nie ma powodu, żeby wiedziała. Serge nie chciał jej zdenerwować przed tournée. A przecież bardzo się trapił. Wolałby nie puszczać tak samopas swojego bankowego konta.

Lili więc wylądowała sama na lotnisku Kennedy'ego, okutana po kostki płaszczem z czarnych lisów, z masą czarnych włosów wokół bladej kociej twarzy. Zmęczona nocnym lotem, prawie nie odzywała się do Judy, gdyjechały do hotelu Pierre, gdzie czekali na nią dwaj goryle i detektyw z Federacji Jubilerów. Wszyscy razem poszli do gabinetu dyrektora i po zamknięciu drzwi na klucz otworzono sejf. Z sejfu wyjęto dużą płaską skórzaną szkatułę, postawiono ją na biurku i otworzono jej zamek. Wszyscy spojrzeli na Lili. Podeszła, powoli podniosła pokrywę. Wszystkim zapało dech.

Na ciemnozielonym aksamicie, rzucając blaski ku uczczeniu Roku Szmaragdów, leżały szmaragdowe klejnoty: wspaniała bransoleta ze szmaragdów inkrustowanych brylantami, szmaragdowo-brylantowa brosza, para zielonych kolczyków-guziczków, para ciężkich kolczyków-żyrandoli i dwa jednakowe pierścionki z kwadratowymi

szmaragdami w oprawie z brylantów. Ale piece de resistance był przepiękny szmaragdowy naszyjnik.

Powoli, oburącz Lili wzięła naszyjnik i przyłożyła do białej szyi. Zmęczenie minęło, gdy zobaczyła w lustrze zielone ognie błyskające na jej białym dekolcie.

- Z tym są różne sztuczki - powiedziała Judy. - Pokażę pani. - Wzięła srebrny diadem i nasunęła na jego pałki naszyjnik zmieniając go w koronę. Delikatnie włożyła tę koronę na głowę Lili. Wydawało się, że Lili nagle urosła o sześć cali, królewska jak Królowa Śnieżka.

- To się nadaje - orzekła Judy. - Tak panią sfotografujemy, kiedy już się pani odświeży. Przepraszam za ten pośpiech, ale zdjęcia są nam potrzebne natychmiast dla prasy. Fryzjer czeka na panią w apartamencie.

O piątej po południu wielka sala recepcyjna pełna była dymu papierosów i szumu. Dziennikarze ucichli, gdy Judy stanęła na podium, żeby im przedstawić gwiazdę, i wyczekująco patrzyła w stronę drzwi, za którymi Lili liczyła powoli do dziesięciu przed swym efektownym wkroczeniem.

I nagle pokazała się, z głową podniesioną, cudownie zgrabna w wieczorowej sukni z białego atłasu, stanowiącej idealne tło dla szmaragdów, które lśniły na jej włosach, szyi, przy uszach i na rękach.

Uśmiechnęła się lekko, powolutku, zanim podeszła do Judy jaśniejąc zielonymi ognikami, w tym atłasie świetlistym jak promień księżyca. To wprost księżniczka, pomyślała Judy z zadowoleniem, a nie striptizerka za ćwierć dolara, jakiej się spodziewaliśmy. Co za kontrast z tymi jej mokrymi łachmanami w filmie. No, ale nic dziwnego, myślała. No, bo czyż nie u Guya Saint Simon zamówiono dla niej całą garderobę na tournée?

Wszędzie w Stanach czekali na nich hotelowi detektywi i policja w pogotowiu. Po programie „Dzisiaj” i innych programach telewizyjnych oraz kilku wywiadach prasowych w Nowym Jorku polecili do Seattle, potem do Houston, Dallas i Atlanty, potem znów na północ do Filadelfii, Bostonu, Cleveland, Baltimore i Detroit, i następnie do Los Angeles, Cincinnati i Pittsburgha, gdzie tłumy tak oblegały Lili na lotnisku, że szybko zdecydowali się dla zmylenia śladów pojechać do swojego hotelu, zatrzymując się po drodze w innym. Dla Lili te miasta były oszalamiającą mgławicą apartamentów

hotelowych, samochodów pod czujną obstawą, samolotów, magnetofonów, kamer i pytań. Musiała się skupiać, żeby zrozumieć pytania, często zadawane bardzo szybko z nieznanym jej akcentem. Własne odpowiedzi nieraz ją rozjątrzały, nieraz szukała słów, ale prasa okazywała życzliwość, omówienia w gazetach zamieszczano fantastyczne.

Merv Griffin był uprzejmy. Phil Donahue był miły, Mike Douglas ułatwił

Lili zadanie, pytając, jak się czuje biedna sierota nosząc szmaragdy wartości dwóch milionów dolarów; swój wywiad zakończyła żartobliwym komentarzem, że szmaragdy są prawie niewygodą dla każdej normalnej szczęśliwej kobiety - za duży kłopot, za duża odpowiedzialność. Johnny Carson natychmiast Lili polubił i zdołał opisać jej dzieje wiernie, ale ze współczuciem, jak gdyby brudy wcale nie wydają się straszne, były torem przeszkód, które Lili dzielnie brała w biegu do swego prawdziwego przeznaczenia - blasku sławy i błysku zielonego ognia tych szmaragdów.

Niemniej Lili czuła, że zbyt często się powtarza, gdy usiłowała zająkliwie udzielać różnych odpowiedzi na wciąż te same pytania, zadawane raz po raz przez coraz to innych ludzi przed coraz to innymi mikrofonami. Rzadko wychodziła z hotelu, kolację jadła w swoim apartamencie. Czasami nastawiała telewizor, ale patrząc przeważnie zasypiała.

Pomimo luksusów i opieki, jaką ją otaczano, w poniedziałek czwartego tygodnia była przygnębiona, wyczerpana, oczy miała czerwone i kichała w zimnych podmuchach styczniowego wiatru Chicago.

- Głowa do góry, to twój ostami tydzień - pocieszała ją Judy. Dotychczas nie miała z nią żadnych kłopotów. Spokojna jest ta mała, apatyczna nieomal, chociaż cudownie się ożywia, gdy tylko zobaczy kamerę. - Spisujesz się bardzo dobrze. Każdy jest wyczerpany i zdezorientowany po trzech tygodniach w takiej drodze. Wszędzie wszyscy mówią ci przecież jedno i to samo. Wiesz co, jeżeli rzeczywiście nie czujesz się na siłach, odwołam nasze spotkania na dziś po południu. Jedyne naprawdę ważne jest Soapy Finnegan dziś wieczorem. Potem zapakujemy cię do łóżka, damy ci dwie aspiryny i święty spokój.

Soapy Finnegan był uśmiechniętym zarozumiałym Irlandczykiem z podwójną porcją miodu w ustach i potrójnym przydziałem wdzięku, którym starannie promieniał dla swojej publiczności - szacownych podmiejskich starszych pań. Soapy znał ich reakcję na każde jego słowo, każdą jego znaczącą minę i gest. Prawie widział, jak one siedzą opierając nogi wysoko, popijając kawę i patrzą na Soapy'ego, swojego przyjaciela, kogoś, kto uznaje te same wartości, co one, ma te same zapatrywania, i kochają go za to, że tak

jak one ceni sobie spokojne życie bez problemów, pełne prostych przyjemności rodzinnych. Nie mogły wiedzieć, że Soapy Finnegan nosi pod ubraniem pas elastyczny, że niedawno poddał się operacyjnemu usunięciu zmarszczek i że jest zbzikowany na punkcie środków przeczyszczających, zwłaszcza lewatywy aplikowanej przez młodych pielęgniarki.

Czekając na sygnał inspicjenta, Lili całą siłą woli powstrzymała się, żeby nie usiąść na podsunętym jej krześle. Bo jeżeli usiądzie, to już nie wstanie. Jeszcze tylko ten krótki występ, a potem łóżko i wezwą do niej lekarza. Czoło ją paliło, w głowie tętniło, w uszach szumiało przygłuszając wszystko. Z pewnością jutro nie będzie mogła jechać dalej.

Później miała żałować, że nie walczyła w ten wieczór, gdy Soapy Finnegan bezlitośnie zarzynał ją na ołtarzu szacowności. Przedtem w zielonym pokoju czarująco okazywał jej troskliwość, więc nie była przygotowana na to, że on przypuści atak. Soapy Finnegan nagle podniósł głos w szybkim sędziowskim monologu i wziął Lili w krzyżowy ogień pytań, sam odpowiadając na nie, zanim zdążyła się odezwać. Po jednej ze swych długich tyrad raptownie odwrócił się od kamery do oszołomionej dziewczyny.

- Właściwie, czym pani jest w swoim pojęciu?

- No, aktorką.

- A nie kobietą, która ledwie wyszła ze szkoły, zaczęła się obnażać przed każdym panem gotowym zapłacić za tę wątpliwą przyjemność? - zapytał jeszcze głośniejszym i szybciej.

W kabinie kierownika produkcji Judy zerwała się z krzesła. Widziała, co się święci. Faryzejski głos dalej oskarżał Lili.

- Popisuje się pani swoim ciałem za sznurek szmaragdów.

Judy już biegła korytarzem prowadzącym do studia. Lili przecież nie zdołała dać sobie z tym rady sama.

Ale Lili zdołała. Oszołomiona głośnym potokiem oskarżeń, usiłując odpowiedzieć, szukając angielskich słów, w pierwszej chwili bała się, że wybuchnie płaczem. Dostyc jednak się napłakała na osobności. Publicznie dotychczas jakoś ukrywała swoje prawdziwe uczucia tylko w ten sposób mogła się bronić, tylko z tego mogła być dumna. Więc z jakiej racji łzy przez takiego drania? Prawie bezwiednie pokryła rozżalenie gniewem i działaniem. Skoczyła na równe nogi i zerwała z uszu szmaragdowe kolczyki.

- To nie są moje szmaragdy - powiedziała cicho. - Mam dosyć pana i dosyć ich. Wiedziałam, że przynoszą nieszczęście. Szmaragdy zawsze przynoszą nieszczęście.

Ściągnęła z ręki bransoletę, potem oburącz szarpnęła naszyjnik tak, że zameczek pękł i przeorał jej kark.

- Pan niech je ma! - krzyknęła. Rzuciła te klejnoty na pulchny podolek zdumionego Finnegana. - Zobacz pan, jak to jest paradować niczym zwierzę w cyrku. - I prawie nieprzytomna, wiedząc tylko, że musi uciec, wybiegła z zasięgu kamery, minęła swoich goryli w drzwiach studia i wpadła prosto na Judy nadbiegającą korytarzem w jej kierunku.

- Proszę cię, Lili, wróc tam, pójdziemy razem. Proszę cię, proszę. Lili odepchnęła Judy, nasrożona.

- Lili, jestem po twojej stronie. Nie można sobie pozwalać na wpadanie w złość.

Lili nadal patrzyła na nią spode łba. Judy sama wpadła w złość..

- Niby dlaczego ludzie mają być zawsze dla ciebie mili? Powinnaś była milczeć i uśmiechać się albo mieć godną minę, na litość boską, wtedy byś może pozyskała sobie trochę współczucia widzów. A tyś się zachowała jak głupia mała ulicznica, czyli właśnie taka, jaką on z ciebie zrobił. I powiedziałaś, że szmaragdy przynoszą nieszczęście! Dwa razy! Za parę godzin cała Ameryka o tym się dowie. - Skinęła na krążących w pobliżu goryli. - Wracajmy do twojej garderoby, Lili. Jezu, nie wiem, czy mam zadzwonić do Federacji Jubilerów i przeproszać, czy poderżnąć sobie gardło.

Albo tobie, pomyślała, popędzając Lili, machaniem rąk odganiając ludzi, jeszcze mamrocząc.

- Wprost nie mogę uwierzyć, że poddałaś mu się tak łatwo. Tak cholernie nieprofesjonalnie, Lili. Pomyśl, czy Jane Fonda, czy Liza Minelli tak by postąpiły? Czy jakkolwiek inna szanująca się aktorka? O Boże, gdzie ja znajdę jubilera o tej godzinie, żeby naprawił naszyjnik przed naszym wyjazdem jutro.

- Ja wyjeżdżam teraz! - palnęła Lili, gdy weszły do garderoby. - Koniec tournée.

- Nie możesz się wycofać w połowie drogi. - Judy się przeraziła.

- Owszem, owszem, mogę. Och, zapomniałam o tym. - Ściągnęła z palców pierścionki, starannie położyła je na toalecie, chwyciła swoje futro i wyszła.

Wróciła do hotelu. Wepchnęła trochę rzeczy do walizki i zamówiła rozmowę z Serge'em. Nie było go w bungalowie.

Zatelefonowała znowu po przybyciu na lotnisko, i nadal telefonu nikt nie odbierał.

Więc z głową rozrzuconą usiadła i czekała przez dwie godziny na samolot do Los Angeles i do spokoju.

Serge zdumiał się, widząc zmokniętą zabłoconą Lili, wkraczającą do jego pokoju w środku nocy. Usiadł na łóżku. Był sam. Oboje to sobie uświadomili.

- Co się dzieje, do diabła? Masz być w objeździe jeszcze cały tydzień. - Mrużył zaspane oczy w raptownie zapalonym świetle. - Gdzie jest ta z agencji reklamowej? Przestań płakać, cherubinku, chodź do taty.

Lili rzuciła się w jego objęcia. Serge ją przerażał, Serge ją przygnębiał. Serge nią pomiatał, a jednak w gruncie rzeczy czuła się przy nim bezpieczna.

- Ona je... je... jest jeszcze w Chicago. Telefonowałam do ciebie i ho... ho... hotelu, potem znów telefonowałam z lo... lo... lotniska, szukali cię, ale cie... cie... bie nie było, więc czekałam na lotnisku i przy... przyleciałam pierwszym samolotem do L.A. - i znów się rozszlochała.

- No już, cherubinku, uspokój się. Cokolwiek się stało. Serge to załatwi. - Głaskał ją po włosach, dopóki szloch nie zmieniły się w pochlipywanie, potem odwrócił ją i pocałował. - Teraz opowiedz wszystko Serge'owi, cherubinku.

Po dłuższej chwili milczenia powiedziała:

- Pierwsza część była świetna. Przyjęcie w Nowym Jorku było świetne. Bardzo mi ułatwiali. - Znów na chwilę umilkła. - Ta Judy z agencji była miła i życzliwa. Ale miałyśmy tyle tych występów codziennie i mój angielski po prostu nie wystarczał. - Kichnęła. - To taka ulga znów mówić z tobą po francusku. I mówić bez pilnowania się. - Zakaszlała okropnie. - Przez cały czas po angielsku, rozumiesz, i to bardzo szybko. Aż złapałam wirus, więc doktor... w Michigan chyba... dał mi tabletki, ale byłam po nich śpiąca i ogłupiała. Głowę miałam jak balon napchany watą.

Wzięła jeszcze jedną papierową chusteczkę, znów zaczęła kichać.

- Wczoraj wieczorem też mi w głowie tętniło, więc zażyłam jakieś inne tabletki, inaczej słowo daję, chybabym nie mogła się ruszyć.

Zdjęła pantofle, rozebrała się, rzucając rzeczy jedną po drugiej na podłogę przy łóżku.

- I po tym wszystkim ten wstrętny wieprz mówił mi takie obrzydliwości na oczach tysięcy ludzi... jaka ze mnie plugawa dziwka, gorszący przykład dla młodzieży amerykańskiej...

Serge pomyślał, że ona nawet zasmarkana, nawet zupełnie rozkojarzona wygląda nago przepięknie. I ku niemałemu swemu zdumieniu stwierdził, że mu jej brakowało. Odczuwa się brak psa, którego się kopie.

- Zupełnie jakbym była na przesłuchaniu, oskarżona o morderstwo.

- No, no, kwiatuszku - Serge pocieszająco objął ją ramieniem. Zatelefonował do Judy do Chicago i ze smutkiem wyjaśnił, że Lili ma gorączkę, 102 stopnie Fahrenheita i doktor zaleca jej spokój. Jest nadzieja, że jej stan ulegnie poprawie za parę dni. Może nie powinien był puszczać jej na tournee, biednej małej. Miała taki pracowity rok, rzeczywiście była zanadto zmęczona, a teraz jeszcze ta grypa.

Ale stan Lili w ciągu paru dni nie uległ poprawie. Całymi miesiącami pod presją pracowała nieprzerwanie, namawiana, skłaniana, popychana przez Serge'a ponad wszelką jej wytrzymałość. W dwa tygodnie później nadal leżała apatycznie w łóżku. Zdawała się nie słyszeć Serge'a, płakała cicho, ilekroć ktoś mówił coś do niej, nie chciała jeść ani pić, ani czytać, ani oglądać telewizji. Tylko leżała bezwładna jak szmaciana lalka.

- Lepiej przenieść ją do jakiejś prywatnej kliniki - powiedział doktor. - Jej stan można by nazwać wyczerpaniem albo depresją kliniczną... tak się to zwykle określa w przypadku osoby sławnej. Ale obawiam się, że jej grozi poważne załamanie nerwowe.

Zaległo milczenie. Serge był przejęty.

- Kiedy będzie mogła znowu pracować? - zapytał.

Rozdział czterdziesty piaty

Cap Camerat to skalisty przylądek na Riwierze Francuskiej, o pół godziny jazdy samochodem z St Tropez. Biała latarnia morska na końcu skały ostrzega statki, żeby się nie zbliżały. Za latarnią morską przywiera niepewnie do skalistego zbocza kępa willi z gołej cegły, gołego betonu i niezdobionego drewna. Ich wnętrza są urządzone w tak zwanym przez Francuzów „współczesnym” stylu, na który składają się trzcinowe fotelestożki swym wyglądem nie gwarantujące, że mogą utrzymać krągłe ludzkie siedzenia,

stoły o blatach z kafli ceramicznych wykonanych ręcznie i niechlujne pacnięcia jaskrawej farby.

Wiosną roku 1970 Serge wypożyczył jedną z tych willi od pewnego nieżonatego znajomego, żeby Lili wróciła do zdrowia w ciepłym powietrzu nad Morzem Śródziemnym. Z zadowoleniem uznał, że przez miesiąc nie musi się nią opiekować. Była tak osłabiona, tak niewytrzymała, rozplýwała się we łzach, gdy tylko proponował jej trochę pracy.

Od czasu swego nerwowego załamania Lili nie miała ani odrobiny odwagi i wiary w siebie. Dziewczyna dwudziestoletnia bała się być z obcymi, bała się być sama. Serge łatwiej manipulował nią teraz, posłuszną i apatyczną, ale też wiedział, że utraciła tę dziwną żywotność, jaką przedtem przejawiała przed kamerą.

Na razie urok Lili uleciał. Twarz i ciało się nie zmieniły, nie było jednak w nich życia. Lili niewiele miała do czynienia z normalnymi ludźmi. Odnosząc sukces taki, jaki odniosła, nieuniknienie przyciągała gapiów, przestępców i dziwkarzy. Kobiety zawsze zachowywały wobec niej czujność, nie ufały jej, zazdrościły hipnotycznego oddziaływania na mężczyzn. Nie było więc przyjaciółek, które by ją rozruszały. Serge próbował wszystkiego.

Pocieszał tę kurewkę, zabawiał w łóżku jak głupi, pochlebiał jej, straszył, nawet poturbował parę razy. Dwa filmy skreślono z planów - cholerne szczęście, że się zabezpieczył klauzulą na wypadek choroby - i przeszedł mu koło nosa zyskowny kontrakt wykonania afiszów. Od pół roku nie zarobiła dla niego ani grosza, a on tylko ponosi ogromne koszty jej leczenia.

Doktor zalecił Lili mnóstwo słońca i spokojny tryb życia - żadnych przyjęć, zarwanych nocy i nawet... żadnego Serge'a. Więc Serge zaangażował dla niej pielęgniarkę, taką, której mógł zaufać. Przynależał sobie, że przyleci pierwszym lepszym samolotem do Nicei w razie najmniejszych oznak, że tam węszy jakiś mężczyzna. Dla pewności, rzecz by można, biseksualnej wybrał najszeptniejszą z pielęgniarek proponowanych przez agencję i obiecał tej brzyduli wysoką premię za nieustanny nadzór nad Lili.

Lili czuła, że jest wciąż śledzona, ale to nie było istotne. Chciała tylko spokoju. Niemniej poweselała, ledwie wyjechała z pielęgniarką za palmy nicejskiego lotniska w blask śródziemnomorskiego słońca.

Z wnętrza domu prawie nie widziała morza, zasłoniętego masą zielonych pnączy, zwisających z dachu na wszystkie szklane drzwi; światło dzienne, które przenikało, było mgliście zielone. Ale zewnętrzne patio jaśniało pełną słonecznością Prowansji i stojąc tam w dżungli wijącej się zieleni, upstrzonej wytrwałymi różowymi kwiatami geranium, patrzyła, jak białe małe jachty suną wolno po szafirowym morzu pod bladym błękitem nieba. Wyciągała do słońca ramiona. Wreszcie swobodna, nie zmuszana do niczego, w spokoju.

W sąsiednich willach na ogół nie mieszkał nikt tak wczesną wiosną. Lili mogła chodzić po tej osadzie nie rozpoznawana. Co dzień rano opalała się nago na swojej prywatnej plaży, ale woda jeszcze była za zimna, żeby się kąpać.

W któryś poranek, akurat wtedy, gdy miała wstać i pójść pod górę krętą kamienistą ścieżką do domu na obiad, poczuła padający na nią cień. Otworzyła oczy i złękła się, widząc nad sobą postać w ciemnej ceracie.

- Lili! Z daleka poznałem, że to ty! - powiedział Zimmer, który łowił ryby oszczepem.

Ucieszyła się, on też był wyraźnie zadowolony z tego spotkania.

- Zatrzymałem się nad sąsiednią zatoką. Zamknąłem się na miesiąc, żeby napisać scenariusz. Jesteś pierwszą kobietą, którą widzę po tych kilku tygodniach. Wyjeżdżam w poniedziałek, co znaczy, że nie mogę poświęcić ci dużo czasu, bo jutro mam obiad u Fourierów. - Przyjrzał się jej. Słyszał, że jest chora i że musiała zrezygnować z ról w dwóch filmach, ale teraz wydawała się w dobrej formie. - Te przyjęcia są zawsze pierwsza klasa. Może byś pojechała tam ze mną?

- Nie chcę widzieć ludzi.

- Włóż yashmak i tylko ze mną rozmawiaj - powiedział Zimmer. - Serge nie może się sprzeciwiać, jeżeli jesteś ze mną.

Lili nigdzie nie widziała siedziby tak egzotycznej jak dom Fourierów. Monsieur Fourier był bogatym Belgiem z branży transportu. Żeby zrekompensować sobie trudy swojej pracy, otoczył się szalonym zbytkiem, obejmującym również kolekcję dzieł sztuki, przeważnie aktów. Pornografię ukrywał pod szacownością: wszystko to pochodziło rzeczywiście z bardzo dawnych czasów albo z pracowni słynnych rzeźbiarzy i malarzy. Z obu stron dębowych drzwi dwie nagie damy rozpaczliwie przytrzymywały na sobie poniżej bioder draperie z marmuru; na ścianach ogromnego pokoju za tymi drzwiami

wisiały akwarele Rossela Flinta - Cyganki w różnych ponętnych fazach roznegliżowania. Na stole w hallu przy otwartej, oprawnej w kasztanową skórę księżde gości leżał gipsowy odlew madame Fourier zrobiony wkrótce po ślubie - ściśle mówiąc, ręcznie pomalowana replika jej pośladek, które zostały wówczas grubo posmarowane wazeliną przed nałożeniem gipsu.

Kamienne nimfy naturalnej wielkości tworzyły szpaler wzdłuż alejki prowadzącej przez ogród do basenu pływackiego. Przy jednym końcu basenu odbywała się stale szaleńcza kamienna orgia. Za basenem stały trzy greckie świątynie z korynckimi kolumnami, a pod środkowym przyczółkiem bawiło się towarzystwo bardziej już stateczne. Służący Hindusi w turbanach podawali trunki i napoje z pięciu rodzajów świeżo wyciśniętych owoców, jeśli ktoś nie chciał whisky czy szampana, oraz małe „na ząb” gorące muszelki z ciasta napełnione farszem z ryb i skorupiaków morskich.

Gdy między greckimi kolumnami pokazała się Lili w cielistym szyfonowym bikini, rozmowy ucichły na krótką, ale znaczącą chwilę. Lili usadowiła się na pokrytej fioletową bawełną sofie. Hindus w różowym turbanie z ukłonem podał jej kawior z jednej srebrnej tacy oraz homara na zimno i porcję małych krabów z drugiej. Nagle Lili odzyskała apetyt.

Zimmer na sąsiedniej sofie podparł się na łokciu.

- Popatrz, kto przyjechał - szepnął. - Stiarkoz z La Divina, która lubi zjawiać się późno.

Wszystkie oczy skierowały się na nowo przybyłych. Aleją cyprysową powoli szedł nad basen nieduży, srebrnowłosy mężczyzna. Przy nim kroczyła La Divina, ze swą wspaniałą głową odrzuconą do tyłu, wyglądając zupełnie tak samo jak na wszystkich albumach swoich płyt. La Divina potrafiła tuszować to, że ma duży nos, duże usta i dużą głowę. Przede wszystkim widziało się mnóstwo czarnych grubych włosów, nieco ją przytłaczających, i rozmigotane, grubo podkreślone sarnie oczy. Była twardą primadonną i przyjaciółką Stiarkoza od wielu lat - z czego co najmniej czterech, zanim umarła jego żona.

Gdy tak kroczyła powoli, jej sterczące piersi drżały, jakby lada chwila miały się wyrwać z głębokiego dekoltu sukni z gazy zielonej jak modliszka. Już nie śpiewała w operze, ale głos miała nadal wspaniały. Ludzie na całym świecie czekali przez całą noc, żeby dostać się na jej koncerty, a menedżerowie wzdrygali się na myśl o awanturach,

jakie robiła. Pani domu powitała tych ostatnich gości. Hindusi w turbanach podali im świeżego łososia z koprem.

Wkrótce potem madame Fourier klasnęła w ręce i zaproponowała obiad.

- Myślałem, że to już jest obiad - jęknął Zimmer. - Zanadto się najadłem - dodał. - Chcesz poznać Stiarkoza? Jest niewiarygodnie bogaty. Grecki armator, ma cudowną kolekcję dzieł sztuki, naprawdę miły staruszek.

Rozdział czterdziesty szósty

Kołysząc się w hamaku na patio, owiana wonią geranium, Lili usłyszała, jak pielęgniarka klóci się z kimś przy drzwiach frontowych. Po chwili pielęgniarka przysłała niosąc pozłacaną staroświecką klatkę, w której była biała kakadu.

- Nie wiem, gdzie my to postawimy... tylko święci w niebie wiedzą co ona je!

Ten piękny ptak patrzył błyszczącymi topazowymi oczami. Lili zerwała się z hamaka, podciągając tasiemki stanika bikini.

- Nie ma żadnego bileciku?

- Nie ma. 1 posłaniec nie wiedział, kto to przysłał.

W pół godziny później, gdy jeszcze bawiła się z papugą dostarczono drzewko kamelii. Na jednej z liściastych gałązek wisiała mała paczuszka z bładoniebieskiego jedwabiu, owiązana złotym łańcuszkiem.

- Gruby ten łańcuszek - zauważyła pielęgniarka. - Czy możliwe, że to prawdziwe złoto?

W bładoniebieskim jedwabiu była biała morska muszla, a w muszli ogromna kwadratowa akwamaryna na złotym łańcuszku tak cienkim, że prawie niewidzialnym.

- To kolor Morza Egejskiego! - wykrzyknęła Lili biegnąc do lustra w saloniku. Zapięła łańcuszek na szyi. W zielonkawym świetle podziwiała niebieskie błyski tej akwamaryny.

Zadzwonił telefon.

- Cześć, Zimmer. Czy to przypadkiem nie ty przysłałeś mi ptaka w klatce i jeszcze coś dzisiaj?... Poczekaj, znowu dzwonek do drzwi.

Tym razem niebieski plażowy samochodek czekał, żeby podpisała po

kwitowanie odbioru. Na siedzeniu kierowcy leżała gruba kremowa koperta zaadresowana po prostu: „Lili”. W kopercie była karta z równo, na skos napisanym pytaniem: „Czy spotkamy się u Senequiera dziś o ósmej?” Lili biegiem wróciła do telefonu.

- Nie, to nie ja - powiedział Zimmer. - To albo Fourier albo Jo Stiarkoz. Głowę bym dał, że Stiarkoz. Fourier przysłałby ci tylko brylantową broszkę, Stiarkoz ma większą klasę. Ale skoro już o tym myślę, dlaczego Fourier nie przysłał ci czegoś nabijanego brylantami? Najwidoczniej tracisz swój sex appeal, Lili.

- Może myślisz, że ty i ja mamy tu gniazdko. Zimmer zachichotał.

- Ja na pewno nie, o tym wszyscy wiedzą. Zawiozę cię do St Tropez dziś wieczorem, żebyś mogła powiedzieć, że byłaś ze mną, jeżeli Serge się dowie.

Lili zadrżała. Serge zbilby ją bez litości, gdyby podejrzewał, że ona z kimkolwiek flirtuje. Kiedyś rzeczywiście złamał jej zebro. A już szczególnie od czasu amerykańskiej podróży trzyma ją wciąż pod nadzorem.

Wieczorem Zimmer zawiózł ją tym nowym samochodzikiem do St Tropez. Ubrała się niezwykle starannie w biały jedwabny blezer i drobno plisowaną odpowiednią spódniczkę. Poza tym nie miała na sobie nic, żadnej bluzki, żadnej bielizny, żadnej biżuterii z wyjątkiem jaśniejszej akwamaryny pod szyją.

W St Tropez było jak na planie bardzo kosztownego filmu. Tam, gdzie kiedyś kołysały się na kotwicach trawlerzy i żagłówki rybackie, roilo się teraz od luksusowych białych jachtów. Na molo stał zwarty szereg eleganckich butików i barków tak szybkiej, jak drogiej obsługi. Pod słynną pomarańczową markizą Senequiera popijali aperitify piękni ludzie ubrani lepiej niż goście w barze Ritza w Paryżu. Idąc do stolika, który zarezerwował Zimmer, Lili pomyślała, że te kobiety chyba zeszły prosto ze stronic ostatniego numeru „Elle”; ani jedna para białych dżinsów na pewno nie kosztuje mniej niż tysiąc franków, ani jednej z tych kobiet, tak pięknie rozczochranych, ubieranie się nie zabrało mniej niż dwie godziny.

Punktualnie o ósmej Zimmer mrugnął do Lili.

- Miałem rację, Stiarkoz wysiada z Rolls-Royce'a. Ciekawe, jakie sztuczki magiczne wymyślił do koktajlu. Może wyciągnie z ucha sznur pereł.

Wstał i pomachał ręką do Stiarkoza, który uklonił się lekko, ruszając do ich stolika. Stiarkoz był dbającym o siebie mężczyzną sześćdziesięcioletnim o srebrzystych gęstych

brwiach, ciężkich nad czujnymi oczami. Skrzywienie lewego kącika wydatnej dolnej wargi nadawało mu stały wyraz rozbawionej wojowniczości. Był ostrożny. Nigdy nie podpisywał żadnych dokumentów czy to czeków, czy listów miłosnych, bo wolał się nie angażować. Ale decydował się szybko, zwłaszcza jeśli czegoś chciał. A teraz chciał Lili.

Chociaż Lili nie wyczuła, że zainteresowanie Stiarkoza jest poważne, Zimmer w lot się zorientował. Stiarkoz na widok Zimmera ani nie okazał zdziwienia, ani nie próbował się go pozbyć, nie chcąc zaniepokoić Lili. Nie miał zamiaru sięgnąć po nią brutalnie. To było spotkanie badawcze.

Spokojnie jedli kolację w blasku świec. Stiarkoz nie zadawał Lili pytań natury osobistej, pytając ją tylko, jakie ma zdanie o tym, o czym rozmawiali, i uważnie słuchał jej wypowiedzi. Gdy Zimmer opowiadał o pracy nad filmem Q, Lili poczuła się mniej skrępowana i nawet zaczęła się śmiać, ledwie wspomniał, jak kiedyś duży głaz z polistyrenu stoczył się i odbił od jej głowy. Stiarkoz był zadowolony z tego, że oni oboje chwalili sobie pobyt w jego kraju.

- Wszyscy Grecy kochają Grecję - powiedział - szczególnie ci, którzy mieszkają w Londynie, Paryżu, Nowym Jorku i Monte Carlo.

Zimmer miał kręcić następny film też pod Atenami.

- To nie będzie jeszcze jedna zwykła seks-epopeja - wyjaśnił żartobliwie.

- To nowoczesna tragedia epicka rozgrywająca się na tle międzynarodowych przedsiębiorstw okrętowych, walka na śmierć i życie dwóch armatorów

o piękną dziewczynę, córkę trzeciego armatora. Ojciec ją zmusza, żeby wyszła za bogatszego z nich, chociaż ona woli przystojniejszego młodszego, z jednym tylko statkiem towarowym.

- Bydlę - powiedziała Lili.

- Wcale nie - powiedział Stiarkoz. - Wiele greckich małżeństw w tej branży tak się kojarzy. Małżeństwo uważane jest za zbyt poważną sprawę rodzinną, żeby mogła o nim decydować miłość. To samo dotyczy pieniędzy.

- Czy wszyscy wielcy armatorzy to Grecy? - zapytała Lili. - Zawsze wydaje mi się, że to są klany. - Napila się szampana.

Stiarkoz wyciągnął z kieszeni brązową cygarnicę i wybrał jedno z pięciu znajdujących się w niej cygar.

- Grecy rozciągają kontrolę nad większością statków handlowych na świecie. - Powąchał cygaro. - Z ogólnego tonażu bez ładunku, czyli około pięćdziesięciu dwóch milionów ton, Onassis kontroluje cztery miliony, a Niarchos około pięciu, poza tym, że ma stocznie. - Delikatnie zsunął opaskę z tego cygara Monte Cristo Numer 2. - Zostają więc czterdzieści trzy miliony ton, które należą do małej grupy ludzi. O nich nigdy się nie czyta w kronikach towarzyskich. To tacy, jak rodzina Pateras, rodzina Hadjipateras, Colocotronis, i Lenos; zwykle są ze sobą spowinowaceni przez małżeństwa.

- Odchylił się na krześle, wyciągnął z kieszeni mały złoty przycinacz do cygar. I widząc, że Lili patrzy, powiedział: - Kiedyś własność mojego dziadka.

- On był też armatorem?

- W końcu był. Ale zaczął jako bosy marynarz handlujący na greckich wysepkach.

- Prosty marynarz? Stiarkoz się uśmiechnął.

- Potężni greccy armatorzy nigdy nie są prości. Są wysoce skomplikowani: minimalnie komunikatywni, maksymalnie egocentryczni. Dla innych ludzi nie do wytrzymania. - Znów się do niej uśmiechnął.

Dwie kosztownie ubrane dziewczyny podeszły do ich stolika. Jedna z nich, rudowłosa, była w morskozielonym ażurowym kombinezonie z koronki, druga miała na głowie trzy treski blond i na niewielkiej części ciała sukienkę mini w ukośne białoczerwone paski, ledwie zakrywającą jej zadek. Stiarkoz odłożył cygaro, wstał grzecznie i przywitał się z nimi, ale ich nie przedstawił swojemu towarzystwu. Gdy poszły dalej, usiadł i powiedział:

- Maż tej pani w zielonym handluje bronią. Ma miejsce przycumowania w Monte Carlo przy mnie. Uznałem, że niewiele miałibyście z nimi wspólnego.

W tym momencie przybiegł kelner z aparatem telefonicznym. Stiarkoz przeprosił i wziął słuchawkę.

- No, jaka teraz cena boksytu? Nie, nie, na giełdzie w Chicago... Dowiemy się... - Kazał sobie podać inny aparat, wykręcił numer i polecił: - Weź Amsterdam na teleks. Niech sprawdzą cenę boksytu. Zaraz skończę - zwrócił się do Lili przepraszająco. - No, każ im... No, wynajmiemy jeszcze jeden odrzutowiec... Do licha, nie zanudzaj mnie szczegółami, wynajmij dwa... No więc, jak z tym boksytem?... Świetnie, kup sześćset pięćdziesiąt tysięcy z Chicago.

Oba aparaty telefoniczne zostały ze stolika zabrane. Jo Stiarkoz znów uśmiechnął się do Lili.

- Skończmy o tych armatorach - powiedziała. - Co oni robią z tyloma pieniędzmi?

Cały odwrócił się do niej.

- Gdyby pani zapytała tych ludzi, dlaczego oni gromadzą tak wielkie bogactwo i na co zamierzają je obrócić, po prostu nie potrafiliby na to odpowiedzieć. I zdumiałaby się pani, gdyby pani zobaczyła, jak skromnie żyją, zwłaszcza kobiety armatorów.

- A co z miłością? - zapytała.

- Interesują się seksem, oczywiście, ale znów na swoisty sposób. Dla normalnego człowieka seks nie istnieje w próżni. Natomiast grecki armator, jeżeli kobieta poznana przed chwilą mu się podoba, od razu chce ją mieć. Natychmiast! - Wzruszył ramionami.

- Oni nie umieją się z nikim zaprzyjaźnić i tak samo nie umieją zbliżyć się do kobiety. Potem nie wiedzą, co z tą kobietą zrobić. Uważam, że to przerażające.

- Więc są chyba parszywymi kochankami.

- Z pewnością jest wśród nich wiele rozwodów, ale przeważnie dlatego, że kobieta wychodząc za armatora myśli, że będzie miała męża, a okazuje się, że wyszła za przedsiębiorstwo.

- Czy oni zawsze myślą tylko o interesach?

Stiarkoz się zastanowił.

- Po swoich pięćdziesiątych urodzinach może się budzą... ni stąd, ni zowąd i stwierdzają że niewiele czasu im zostało. Właśnie w takim momencie ogarnięci paniką pakują się w te zabagnione sytuacje z kochankami,

w rozwody i powtórne małżeństwa. I właśnie wtedy zaczynają być żałośni. Ich koniec często bywa zdecydowanie tragiczny, bo ostatecznie zdają sobie sprawę, że interesy nie muszą być jedyną treścią życia. I zdają sobie sprawę, co ich ominęło.

Nazajutrz Lili jeździła tam i z powrotem po nadmorskiej szosie swoim plażowym samochodem, a potem w cieniu bawiła się z papugą. Była podniecona, ale ostrożna, bo pielęgniarzka uporczywie wypytywała ją o te anonimowe prezenty i wyraźnie podejrzliwie o wieczorny wypadek z Zimmerem.

Pod wieczór Lili popływała w pobliżu skał, wzięła prysznic, włożyła złociste greckie sandały i na gołe ciało obcisłą suknię z białego jedwabiu, długą do kostek.

O godzinie ósmej podjechał szofer Rolls-Royce'em. Zdumienie pielęgniarki zmieniło się w zdenerwowanie.

- Dokąd jedziesz? Ja muszę wiedzieć, dokąd jedziesz! - Chwyliła Lili za wąty nadgarstek. - Jesteś chora, nie możesz jeździć sama.

Lili szybko wyrwała rękę i wsunęła się na tylne siedzenie samochodu. Pędząc poprzez woń nagranych słońcem soseń, cieszyła się jak posłuszne dziecko, które nagle rzuciło swojej niańce wyzwanie. W powiewach wieczornego wiatru, unosząc ciemne włosy, zaczęła śpiewać Marseillaise.

Tym razem Jo Stiarkoz czekał przy stoliku w dyskretnie przyciemnionej tylnej części kawiarni. Nie pociągał jej fizycznie ten spokojny nieduży Grek, ale napawając się swoim buntem, nie czuła się zagrożona. Stiarkoz oczywiście będzie się do niej zalecał, mało jednak prawdopodobne, żeby był natarczywy, kiedy ona da jasno do zrozumienia, że nie jest zainteresowana.

Ku jej zdumieniu, Stiarkoz nie próbował flirtować ani nie starał się jej zatrzymać, gdy zjedli kolację, chociaż było dopiero parę minut po jedenastej.

- Wiem, że pani chorowała - powiedział - więc nie spodziewam się, żeby pani chciała zarywać noc.

Odwiózł ją do Cap Camerat cichą nadmorską szosą. Wiedział, że już nie jest młody i że nigdy nie był urodziwy. Ale mężczyzna, który ma miliardy, jest na ogół mężczyzną interesującym, o ile mówi o tym, co go interesuje. Jo Stiarkoz chciał, żeby Lili czuła się w jego towarzystwie swobodna. Wiedział, że każdy, kto tylko może, zaleca się do niej, więc sobie to darował. Niech Lili się zastanawia, dlaczego on się nie zaleca.

I niech się zastanawia, jakby to było, gdyby...

Następnego dnia rano Lili zeszła na plażę o dziesiątej i przepłynęła dziesięć jardów do małej motorówki, która czekała, żeby ją zabrać na „Minerwę”. Zatoka nie była dość głęboka, ogromny jacht nie mógł zbliżyć się do brzegu.

Wchodząc z pomocą marynarza na biały pokład, Lili poczuła się wolna jak mewa. Powróciły jej siły. Gdy Stiarkoz oprowadzał ją po jachcie, znów zanim się spostrzegła, nuciła wyzywającą melodię Marseillaise, pieśni będącej hasłem Rewolucji Francuskiej.

Stiarkoz mówił, że to mały jachcik - bez basenu kąpielowego, z jednym tylko helikopterem. Ale „Minerwa” przepłynie Atlantyk, jeżeli Lili zechce. Lili może pływać wszędzie, po całym świecie.

Kazał przygotować kabinę do jej użytku. Był to wykładany boazerią z drzewa różanego pokój nieco większy niż jej sypialnia w willi. Łączyły się z nim dwie morskoniebieskie łazienki z połączoną armaturą w kształcie delfinów i z mnóstwem kosztownych artykułów toaletowych, wśród których zobaczyła perfumy Christiana Diora i kompletny nie otwarty zestaw kosmetyków Ester Lauder. W pokoiku-szafie stały szkarłatne pudła Joy, najbardziej ekskluzywnego sklepu z konfekcją plażową w Monte Carlo, i sześć nowych kostiumów kąpielowych, sześć nowych plażowych strojów, sześć wieczorowych sukien couture wisiało na drążku. Na łóżku stało duże pudło Christian Dior, w którym był neglig z kremowego jedwabiu obszywany koronką, zwiewny i piękny jak starożytna szata do chrztu.

- To na wypadek, gdyby chciała pani przebrać się albo odpocząć - wyjaśnił Stiarkoz z machnięciem ręki.

Leżeli na leżakach na głównym pokładzie pod niebieską markizą i popijali szampana. Nie byli zupełnie sami - sekretarka i dwaj asystenci przechodzili dyskretnie do kabiny na dziobie i z powrotem, zza drzwi dolatywał bezosobowy

klekot teleksu. Dwaj stewardzi usługiwali na pokładzie, a także cichy duży marynarz z pieprzykiem na lewym policzku, chodzący za Stiarkozem wszędzie.

- Socrates, mój goryl - wyjaśnił Stiarkoz.

Cały ten dzień spędzili na morzu, pływając przy jachcie albo leżąc w blasku słońca. Jo nie pytał Lili o jej pochodzenie ani o jej pracę. (W istocie wieczorem po ich spotkaniu jeden z jego sekretarzy na lądzie wręczył mu akta dotyczące jej przeszłości, od których włos się jeżył). Wyczuwając instynktownie jej nastrój, Jo gawędził zrecznie, starał się, żeby pogawędka sprawiła jej przyjemność. W życiu nie widziałem dziewczyny tak rewelacyjnej, myślał. Jest młoda, mogłaby być moją wnuczką. Durnia będę robił z siebie publicznie, pal licha. Boję się tylko, żeby ona ze mnie nie zrobiła durnia. Jeżeli zrobi, nie warto żyć. Jo wiedział, że rozważa go opuścić. Zadawał sobie pytanie, dlaczego tak ryzykuje prywatne życie, ale obecność Lili nie dopuszczała roztropności.

W żonkilowym bikini Lili siedziała na krawędzi krzesła, trzymając jedną nogę na siedzeniu. Z głową odrzuconą do tyłu, podniosła ostami szparag nad ustami, zaczęła ssać

jego czubek. Wydawała się tak naturalna, tak daleka od wszelkiej pozy, jak urocze jakieś zwierzę, nieświadoma niczego poza morzem, słońcem i własnym śmiechem.

Jo patrzył na masło ze szparaga ściekające jej po podbródku. Pomyślał: piękna, zmysłowa, bez żadnego wykształcenia i ogłady, prymitywna dzikuska. Wieczorem mogę po prostu dać jej kolację i powiedzieć ładnie do widzenia, odesłać ją do domu Rolls-Royce'em, nie zobaczyć jej nigdy więcej. Ale powiedział:

- Zjedz jeszcze, Lili.

O zmierzchu jacht wpłynął do rozmigotanego portu Monako. Na skale z lewej strony portu wznosiły się wieże książęcego pałacu. Za pałacem pięło się miasto różowymi i białymi warstwami na tle gór koloru lawendy. Akwamarynowe niebo już stawało się fiołkowe, potem ciemnofioletowe, aż stało się aksamitnie czarne i sznury czarodziejskich świateł rozjaśniły miasto.

Z powodu upału dach baru w Hotel de Paris był otwarty. Jedli przepiórki nadziewane białymi winogronami, po czym zeszli ze wzgórza z powrotem do portu, gdy Rolls dyskretnie jechał za nimi.

Jo zapytał Lili, czy chce przenocować na „Minerwie”.

Natychmiast ostrożna, Lili wyjaśniła, że musi wrócić do willi, bo Serge telefonuje codziennie rano. A więc zostanie odwieziona o jedenastej, powiedział Jo. Nie czynił wysiłków, żeby jej to wyperswadować.

Siedzieli tymczasem na zaciemnionym pokładzie „Minerwy”, z zadowoleniem słuchając walców Straussa ze stereo. Zapach morskich wodorostów niósł się od skał za portem i zaprawiał wonność cygara Jo. Siny dym drżał w spokojnym nocnym powietrzu.

Nagle z końca schodni doleciało szuranie. Lili usłyszała głos znany aż za dobrze, wrzeszczący jej imię. Zerwała się, przestraszona. Stiarkoz wstał powoli: nie zaniepokoił się ani nie zdziwił. Objął ją ramieniem, dotykając jej po raz pierwszy.

- Bać się nie ma potrzeby.

- Lili, Lili, wiem, że tam jesteś, ty dziwko! Widzę cię. - Serge chwiejnie szedł do niej po schodni.

- Nie połam mu palców, Socrates, tylko go zatrzymaj.

Socrates zdumiewająco szybko wysunął się z mroku mola. Od tyłu złapał Serge'a za rękę, wykręcił mu je na plecy. Stiarkoz ruszył ku niemu, paląc cygaro.

- Przyjacielu, ubolewam, że nie jestem gościnnie. Co pana tu sprowadza?

- To, że masz moją kobietę, ty grecki skurwysynu. Zaraz przyleciałem do Nicei, kiedy się dowiedziałem, że jest u ciebie. Zdaje ci się, że co wyprawiasz z tym starym capem, suko głupia? - Wrzasnął Serge do Lili.

Jo odwrócił się do niej.

- Jesteś jego kobietą?

- Tak... Nie... Nie wiem. - Lili się rozplakała.

- No, chcesz być jego kobietą?

- Och, nie, nie, nie! Ale on mnie chroni. Nie mam nikogo oprócz niego. Stiarkoz objął ją ramieniem i zwrócił się do Serge'a.

- Niestety, ona woli starego capa, więc zechce pan wynieść się z mojego statku, zanim każę pana aresztować. - Powiedział coś cicho po grecku.

Socrates usłyszał, Serge wrzasnął.

- Aaach! Ty skurwysynu. Ty obleśny grecki skurwysynu! Aaach! - Socrates już go od tyłu chwycił w pasie, podniósł i taszczył na molo.

- Suples doskonały - mruknął Stiarkoz. Nie patrząc na szamoczącego się Serge'a, ujął Lili pod rękę i poprowadził do salonu. - Chyba spędzimy tę noc na morzu - sięgnął po interkom z kości słoniowej.

Zaraz po północy „Minerwa” wolno wypłynęła z portu. Stojąc na rufie Lili i Jo patrzyli na złociste zarysy Monte Carlo - miliard złotych kropek na czarnym niebie, jak gdyby ponakłuwanych szpilką. W stronę tego coraz dalszego miasta Jo rzucił niedopałek cygara na fosforyzujący kilwater „Minerwy”.

- Nie powinnaś się martwić - powiedział. - Nie powinnaś czuć się zniewolona. Nie chcę, żebyś miała wrażenie, że z jednej klatki przechodzisz do drugiej. Na razie jesteś moim gościem. Później, kiedy uznasz, że masz po temu siły, porozmawiamy o twojej przyszłości. Jeżeli podpisałaś jakieś kontrakty, można je rozpatrzeć na nowo. Od tego są adwokaci. Nie masz czym się martwić - urwał i po chwili dodał: - Jesteś bardzo uroczą dziewczyną i życie jeszcze przed tobą. Możesz zarabiać na swoje utrzymanie, możesz mieszkać sama, możesz robić, co tylko chcesz. Ale zacznij myśleć u tym dopiero jutro rano. - Delikatnie odwrócił jej podbródek i przycisnął usta do jej ust.

Poczuła zapach krochmalu, cygara i czystego ciepłego ciała, gdy oparła się o niego, przyjemnie zdziwiona siłą jego ręki.

Serge jak burza wpadł do Senequiera i wypił tam butelkę brandy, po czym pojechał z karkołomną szybkością do Cap Camerat i udusił białą kakadu.

Rozdział czterdziesty siódmy

Oglądane z tarasu w zapachu jaśminów przeciwległe zbocze doliny wyglądało jak obraz Cezanne'a. Rzędy za rzędami srebrnych oliwek wspinały się coraz wyżej aż do niebieskiej linii, gdzie te góry dotykały nieba południowej Francji. Ciemne cyprysy obrzeżały szosę, wijącą się do Vence pośród willi w kolorze terakoty, otoczonych drzewami pomarańczowymi i cytrynowymi.

- To nie w stylu Jo nie uprzedzić nas, że się spóźni - tłumaczyła Lili Zimmerowi. - Zwykle jego szofer telefonuje z samochodu. Constantine, czy na pewno Jo powiedział, że o pół do czwartej?

- Tak, na pewno Jo powiedział, że o pół do czwartej, ale to nieistotne. Te kontrakty nie muszą być podpisane dzisiaj. - Potężny Constantine Demetrios uśmiechnął się do niej tylko ustami. Jego oczy patrzące spod na pół przymkniętych ciężkich powiek, nigdy nic nie wyrażały. Miał mięsisty orli nos nad bujnym wąsem i brodą. Srebrzyste kędziory długie do ramion nadawały mu wygląd dziwnie patriarchalny, raczej kapłana greckiego niż adwokata.

Za tarasem rozciągała się willa ozdobna jak tort weselny, duża jak pałac. Ten taras z marmuru był wielkości sali balowej, na klasycznej kamiennej balustradzie kwitły w kamiennych urnach gipsówki i geranium.

- No, powiem im, że z podwieczorkiem mają zaczekać jeszcze pół godziny. Któryś z was może zechce przejść się ze mną po ogrodzie? -zapytała Lili. Demetrios potrząsnął głową, ale Zimmer wstał.

- Wygląda to zbyt doskonale, żeby było prawdziwe, Lili. Pójdę sprawdzić, czy te cisy nie są z plastiku. - Wskazał żywopłoty alejki prowadzącej do trzydziestojardowego basenu pływackiego za posągami z marmuru, które stały wokół barokowej fontanny.

Lili wzięła go pod ramię i ruszyli w stronę zakręcających marmurowych schodów.

- Mamy tu swoje własne warzywa i owoce. Wszystko, co jadłeś na obiad, pochodzi z tej posiadłości, codziennie dostarcza to do kuchni główny ogrodnik. Mamy również kury, indyki i świnię. I oliwę z naszych oliwek i nasze vin rose bez etykiety, ale bardzo dobre.

Zimmer śmiał się.

- Istna sielanka, ale to chyba jedna z najwspanialszych posiadłości na Riwierze Francuskiej. Zupełnie inna niż tamta wilgotna willa, w której cię znalazłem trzy lata temu. - Mijając posąg, poklepał jego marmurowe pośladki.

Rzeczywiście nie był zachwycony tym ogromnym domem, chociaż musiał przyznać, że obrazy są cudowne. Nie ma obowiązkowych El Greco ani podejrzanych Rembrandtów, ani drugorzędnych Degasów, ani nawet nieśmiało perfekcyjnych Salvadorow Dali. Z wyjątkiem małego szkicu rzeki Constable'a te obrazy przeważnie zostały namalowane po roku 1850 i wybrane przez konesera najwyraźniej dla własnej przyjemności. Bardzo Zimmerowi podobał się stonowany fioletowawy Seurat - Dziewczyna zrywająca kapustę - a już Moneta Staw z liliami w Giverry wprost zapierał dech.

- Tak, tu jest zupełnie inaczej niż wszędzie, gdzie przedtem mieszkałam - powiedziała Lili, gdy doszli do cisowych żywopłotów. -I w ogóle wszystko wokół mnie się zmieniło, Bogu dzięki. Prowadzimy bardzo spokojne życie. Kiedy nie gram w filmach, przeważnie jestem tutaj. - Milczała przez chwilę, idąc z Zimmerem w stronę akwamarynowego basenu. - Jo zaczął od tego, że wypłatał mnie z kontraktu z Serge'em. Constantine to załatwił... szef biura prawnego Jo i jego stary przyjaciel, więc często się z nim widujemy. Jeżeli w jakimkolwiek układzie może być jakaś furтка, Con natychmiast ją znajdzie. Nigdy nie podpisuje kontraktów, z których nie mógłby się wycofać.

Skręcili w lewo na obniżającym się terenie. Przed nimi na pół widoczny za drzewami stał biały prostokątny budynek. Cała ściana północna była ze szkła.

- Czy ja ci mówiłam, że emerytowany nauczyciel z Vence uczy mnie historii? - zapytała Lili. - A maluję zwykle po południu. Tu jest nasza pracownia.

Nacisnęła guzik i drewniane drzwi się otworzyły ukazując salę mającą dwadzieścia stóp wysokości, z oknami w stropie. Pachniało tam terpentyną, olejem z siemienia lnianego, kurzem i konwaliami czyli Dorissimo, perfumami Lili. Stały cztery duże sztalugi, dwa stołki i dwa stare drewniane stoły, wszystko to zachlapanie farbami.

- Jeszcze nie bardzo umiem, ale szalenie lubię malować. Mam nauczyciela dwa razy w tygodniu, Jo wybrał wymagającego, bo chce, żebym się nauczyła założeń, nie tylko pacykowała.

- Kolekcja Jo jest fantastyczna. Lili zawahała się.

- To nie jest jego kolekcja - powiedziała ostatecznie. - Te wszystkie obrazy są moje. Dał mi je na ostatnie urodziny.

Zimmer rozdziawił usta.

- Wszystkie? Te łany zboża van Gogha i akwarium ze złotymi rybkami Matisse'a.

- Tak, wszystkie, cała kolekcja. Jeszcze nie widziałeś tych na górze. Przypomniała sobie swoje urodziny. Chociaż to był październik, jej

sypialnię wypełniły lilie i róże. Jo poprowadził ją do dużego wykuszowego okna. Na okrągłym marmurowym stoliku zobaczyła dużą antyczną szkatułkę z inkrustowanymi amorkami z kości słoniowej w hebanie. Otworzyła szkatułkę i zamiast biżuterii znalazła plik dokumentów. Jo jej wyjaśnił, że te papiery są świadectwami autentyczności obrazów i dowodem, że jest ich prawowitą właścicielką. W ten sposób stosunkowo szybko i dyskretnie dał jej fortunę. Muzea świata zabiegały zawzięcie o większość tych obrazów. Gdyby chciała kupić sobie dom w Paryżu czy mieszkanie w Nowym Jorku, wystarczyłoby sprzedać jeden obraz. Zimmer gwizdnął.

- A mówi się, że najlepszy przyjaciel dziewczyny to brylanty!

- Och, brylanty mam także i sznury, sznury barokowych pereł. Jo lubi mnie w brylantach i perłach. Mówi, że najładniej mi w bieli z iskrami na rękach, na szyi i na włosach.

Zimmer znowu gwizdnął. Wyraźnie Stiarkoz nadal jest ogłupiały. Wyszli z pracowni i ruszyli po trawie pod górę z powrotem do długiej, niskiej rezydencji.

- Czy tego właśnie chcesz, Lili? To spokojne życie... czy nie za stateczne dla dziewczyny dwudziestoczteroletniej?

- Właściwie pytasz, czy mogę być szczęśliwa z mężczyzną starszym ode mnie prawie o czterdzieści lat, prawda? Ludzie zawsze mnie o to okrężnie pytają. Oczywiście, Jo nie jest młody. Nie skacze, nie gra godzinami w tenisa i prawdopodobnie umrze wcześniej niż ja. Rozmawialiśmy o tym. Ale to jego jedyny minus i niewiele mnie obchodzi. - Lili pochyliła się i zerwała gałązkę z krzewu rozmarynu. - Naprawdę to ja czuję się za nim daleko w tyle, bo jestem taka niedouczona.

- Och, dla niemłodego mężczyzny to ekscytujące - powiedział Zim-, mer - otwierać oczy młodej dziewczynie, wzbudzać w niej cześć, zachwycać ją swoją dobrocią... Dopóki ona nie spotka kogoś, kto jej powie: „Przecież to nie bóg z Olimpu, to bardzo stary człowiek z pieniędzmi”. Lili zmarszczyła brwi.

- Dziwię się, kiedy mężczyźni przypuszczają, że Jo poza pieniędzmi niczym mnie nie pociąga. - Oskarżycielsko machnęła gałązką rozmarynu.

- Jo ma mnóstwo zalet, jakich nie mógłby mieć młody mężczyzna. Sam sobie torował drogę w życiu, wykuwał ją; jest odważny, a to zawsze sprawia, że mężczyzna jest podniecający, bez względu na wiek. Nawet może być bardzo stary, jeżeli jest inteligentny, bo nie musi tylko swymi walorami fizycznymi pociągać kobiety. - Rozgniotła w palcach pręciki rozmarynu i umilkła, żeby wdychać jego wonność. - Szalenie lubię słuchać, jak mówi. - Powąchała znowu. - Oczywiście nie przeczę, że Jo potrafi dawać to, czego kobiety tradycyjnie zawsze szukają w mężczyźnie... ochronę i pewność jutra. - Głos Lili zadrżał, gdy wsuwała gałązkę rozmarynu za dekolt sukienki. Jo reprezentował wszystkich opiekuńczych mężczyzn, jakich jej brakowało, odkąd utraciła Felixa, i właśnie za to go kochała z namiętną wdzięcznością.

- I naprawdę nawet przez myśl mi nie przechodzi, że wiek Jo mógłby być przeszkodą, bo gdyby on nie był w tym wieku, nie miałby tej mądrości i doświadczenia. Trwałość więzi nie opiera się na samym szaleństwie seksualnym i seksualnym podnieceniu non-stop. Opiera się na zrozumieniu i wyrozumiałości.

- A więc szaleństwa seksualnego nie ma?

- Jo nigdy nie zostawił mnie niezaspokojonej, Zimmer. Ani razu. A tego nie mogę powiedzieć o większości mężczyzn w moim życiu.

Prawie doszli już do długiego basenu z wodą o powierzchni szklistej, nie zmaczonej żadnym powiewem wiatru, żadnym liściem.

- Czy się pobierzecie?

- A po co? Nie zależy mi specjalnie na małżeństwie z Jo. Rozumiesz, tyle kobiet usiłowało go do tego zmusić. Ja nie chcę wyjść za mąż. - Zimmer odwrócił się, żeby spojrzeć na nią, i uniósł kpiąco brew. - Nie, Zimmer, ja chcę mieć Jo. Nie proszę o ślub. W ten sposób on wie, że nie jestem... taką jak jego dzieci mówią o mnie... poszukiwaczką złota.

Obeszli niebieski basen. Teraz powierzchnia drżała lekko z powiewem wiatru, gdy Lili dodała:

- W każdym razie Jo nigdy nie proponował mi małżeństwa, chociaż na pewno myśli o tym. Zimmer, czy nie zauważyłeś, że ci bardzo bogaci starsi mężczyźni nigdy się nie

żenią ze swoimi słodkimi młodymi kochaneczkami? Boją się wyglądać jak głupcy, jeżeli małżeństwo będzie niewypałem.

Weszli po startych kamiennych schodkach na taras. Lokaj w białych

rękawiczkach właśnie stawiał na stole srebrną tacę z zastawą do herbaty. Zimmer powiedział:

- Nie moja sprawa. Lili, ale nie wyobrażam sobie, jak to ma trwać. Twoje życie dopiero się zaczyna, a ty się związałaś z człowiekiem, którego życie się kończy. I nadal nie jesteś szczęśliwa... nie zaprzeczaj. Pracuję z tobą więc cię znam. Nadal jesteś zdominowana, tyle że inaczej. Udajesz, że podoba ci się takie bytowanie statecznej matrony w blasku słońca. Jesteś wspaniałą aktorką ale nigdy nie wywindujesz się tam, gdzie powinnaś być, jeżeli będziesz przebywać w półodosobnieniu. Publiczność ma krótką pamięć, trzeba jej się wciąż przypominać. - Wzruszył ramionami. - Twoja osobowość grzęźnie. Stiarkoz musi dominować nad wszystkim, co widzi, nawet nad tobą więc grozi ci niebezpieczeństwo, że znów przestaniesz widzieć sama siebie. Jeżeli odstąpisz od swojej prawdziwej tożsamości, utracisz swoje rzeczywiste ja. Kiedy się żyje w myśl cudzych kryteriów, zdradza się własne. Lili, zamieniasz się w echo Jo!

- Nigdy nie czułam, że mam tożsamość, więc jak mogłabym ją utracić? - powiedziała rozjątrzona.

Zimmer w przejściu przytrzymał gałąź róży jerychońskiej.

- Widzę, że Stiarkoz kupuje ci mnóstwo kosztownych zabawek, ale czy nie zauważyłaś, Lili, że przy całym swoim bogactwie nie próbuje dać ci tego, czego naprawdę chcesz?

- Zamknij się, Zimmer! Skąd możesz wiedzieć, co Jo mi daje? Dzięki niemu czuję się bezpieczna, dał mi godność, kształci mnie i... wymaga w zamian niewiele.

- Ale nie stara się dać ci tego, czego naprawdę chcesz... bo wie, że to niebezpieczne. Może mógłby natrafić na ślad twoich rodziców, odszukać ich dla ciebie! Ale on się boi, że gdybyś odnalazła swoją prawdziwą tożsamość, przestałby mieć władzę nad tobą. A jest bardzo zaborczy, chce, żebyś była od niego zależna, bo gdybyś nie była... może byś od niego odeszła!

- Jak śmiesz mówić o Jo takie rzeczy! - Oczy Lili pałały.

- Lili, jestem jednym z nielicznych mężczyzn, którzy cię cenią ale nie chcą cię posiadać. Od lat wiem, że nie będziesz się czuła, jak ty to mówisz, „prawdziwa”, dopóki

nie nabierzesz rzeczywiście pewności siebie. W tej chwili masz ją tylko wtedy, gdy zrzucasz swoją skórę, żeby się wcielić w urojoną osobę, którą grasz.

W słonecznym blasku Lili nagle wydawała się wyczerpana i opuszczona.

- Zimmer, myślę że powinieneś już się pożegnać.

- Kochanie, właśnie miałem już jechać. Powiedz Jo, że żałuję, że się z nim minąłem.

Poszła z nim do jego szkarłatnego Maserati, zaparkowanego w połowie białej zwirowanej alei wjazdowej, i gdy odjechał, skierowała się z powrotem do domu.

Nagle w otwartych drzwiach frontowych stanął Demetrios. Biegiem ruszył ku niej dziwnie jakoś powoli, ocieęzały w ciemnym, kosztownym garniturze. Ogarnęło ją złe przeczucie.

Demetrios zbliżał się, jak gdyby to był film w zwolnionym tempie, żwir zgrzytał pod jego krokami, różowy jedwabny krawat trzepotał przy marynarce. Dziwny to widok Demetriosa w biegu.

Teraz wiedziała, że coś okropnego spotkało Jo.

Rozdział czterdziesty ósmy

Wypadek, wypadek samochodowy - wysapał Demetrios. - Zabrali Jo i szofera do szpitala w Nicei. Policja zawiadomiła przez telefon. Nie wiadomo nic poza tym, że Rolls w drodze powrotnej z Monte Carlo wyleciał z nicejskiego akweduktu. Po prostu przebił mur i spadł bokiem w dolinę. Zabrali Jo i szofera do szpitala Księżnej Grace.

Nie powiedział, że ten policjant prosił, by ktoś przyjechał do szpitala i zidentyfikował Jo. Obaj, Jo i szofer, już nie żyli - ich zwłoki trzeba było wyciąć ze zgruchotanego Rolls-Royce'a.

Zimna woda ściekała po szyi i plecach. Lili otworzyła oczy. Najwidoczniej zemdląca. Pokojówka, milcząca i przerażona, gąbką muskała jej twarz, klęcząc przy kanapie. Lokaj stał o parę kroków za pokojówką minę miał bezradną przepraszającą, jak gdyby upuścił srebrną tacę z zastawą do herbaty.

Ukazał się znowu Demetrios. Podeszedł do nich po dywanie, pochylił się nad kanapą.

- Lili, moja droga, nie ruszaj się. Doktor już tu jedzie.

Ale to nie był doktor Jamais. Przyjechał mały ziemisty człowieczek w okularach bez oprawy, którego nigdy przedtem Lili nie widziała.

- Gdzie jest doktor Jamais? - szepnęła.

Nie zwrócił na to uwagi. Tylko odciągnął jej powiekę, szepnął coś pokojówce i odszedł do stolika, otworzył swoją torbę i odwrócił się plecami. Po paru minutach zobaczyła, że on podchodzi ze strzykawką w ręce.

- Po co to?

- Szok, madame. Pani jest w lekkim stanie szoku. Nie ma się czym przejmować. - Przysiadł obok kanapy i watą przetrął jej lewe przedramię od wewnętrznej strony. - Tylko lekkie ukłucie. No i już. Prawda, że nie bolało?

- Nie rozumiem. Nie jestem chora. Tylko kręci mi się w głowie. Zemdlałam... nie rozumiem.

Oczy wolno jej się zamknęły, szczęka opadła.

Ktoś trzymał ją za prawą rękę. Leżała w łóżku w nieznanym mrocznym małym pokoju. Odwróciła głowę w prawo i zobaczyła, że za rękę trzyma ją Demetrios. Była zbyt słaba, żeby mówić. Ciche ciężkie łzy spłynęły jej po policzkach, poczuła, że prawe ucho ma mokre. Demetrios pogłaskał jej rękę i delikatnie położył na kocu.

- Jak się czujesz, moja droga?

- Strasznie. Głowa mi pęka. Ale muszę pojechać do szpitala. Muszę zobaczyć się z Jo. Gdzie jest ten szpital?

- To klinika pod Niceą. Myślisz, że możesz się ubrać? Jeżeli tak, poproszę pielęgniarkę, żeby ci pomogła, a potem cię tam zawiozę. Ale najpierw parę formalności. Zechciej mi to podpisać, proszę.

- Nic nie mogę podpisać teraz. Chyba to może poczekać, Con, cokolwiek to jest?

- Niestety nie, moja droga. To upoważnienie dla szpitala, żeby wydano... hm... Jo. Och, moje drogie dziecko, tak mi przykro, że musisz to znieść, ale biurokracja nigdy nie daje nam spokoju, jest taka wyczerpująca.

- Delikatnie wetknął jej pióro w rękę i naprowadził rękę na papier.

- I tu także. - Szelest papieru. - I tu, i tu, i ten już ostami... Och, nie, jest jeszcze jeden.

Poklepał ją po ramieniu, szybko zabrał te dokumenty napisane na maszynie, wziął z podłogi swoją teczkę, z pstryknięciem zamków otworzył, szybko schował dokumenty.

- Teraz wezwę pielęgniarkę i ubierzesz się. - Nacisnął gałkę dzwonka.

- Ale, Con, musisz mi powiedzieć, co się stało.

- To szofer. Atak serca. Miał trzydzieści pięć lat zaledwie i wyglądał tak zdrowo. Policja przypuszcza, że osunął się na kierownicę, całym ciężarem nogi nacisnął akcelerator. Ten samochód był bardzo ciężki. Po prostu skoczył naprzód, rozwalił mur i stoczył się ze zbocza akweduktu.

- Ale, Con, musisz mi powiedzieć, co się stało Jo?

- Jego kremacja była trzy dni temu - powiedział Demetrios spokojnie.

Lili krzyknęła i próbowała usiąść. Pielęgniarka szybko ją przytrzymała. Podnosząc słuchawkę telefonu, wezwała pomoc. Demetrios szepnął:

- Proszę powiedzieć doktorowi, że tej pacjentce potrzebny jest jeszcze jeden zastrzyk. Ona histeryzuje.

Po odzyskaniu przytomności Lili czekała pół godziny, aż w głowie jej się rozjaśni. Spuściła nogi z łóżka. Czuła wielkie osłabienie i ubyło jej chyba z dziesięć funtów. Pokuśtykała do szafy w kącie i znalazła swoje rzeczy. Przeniosła je na łóżko, usiadła i powoli się ubrała. Podeszła do umywalki, przejrzała się w lustrze. Zmizerniała, oczy miała zapadnięte, włosy zmatowiałe, obwisłe. Schlapała twarz zimną wodą i wyjrzała przez okno. Słońce było nad nią.

Drzwi się otworzyły, weszła czyściutka, wykrochmalona mała pielęgniarka.

- Boże święty, pani nie powinna wstawać i chodzić.

Lili odwróciła się ze szklanką z umywalni w ręce - swoją jedyną bronią. Patrzyła na tę miłą zdumioną dziewczynę mniej więcej w jej wieku.

- Lepiej poproszę tu siostrę.

- Nie - powiedziała Lili - teraz nie. Długo tu jestem?

- No, dziesięć dni.

- Ale dlaczego?

- Przywieźli panią nieprzytomną, miała pani bardzo gwałtowną reakcję histeryczną na wstrząs, musieli panią leczyć uspokojeniem. Ojej, trudną pani była pacjentką! Aż doktor się uparł, że sam będzie się panią zajmował.

- No, ja chcę stąd już wyjść. Mogę prosić o sprowadzenie taksówki?

- Ojej, tak nie można się wypisać, madame.

- Więc niech tu przyjdzie doktor.

- Nie ma go w tej chwili. Siostra go zastępuje.

- Więc niech tu przyjdzie siostra, proszę.

Lili wsiadła do taksówki. Dwadzieścia minut zabrało jej przekonywanie naczelniej pielęgniarki, ale w końcu zażądały od niej, żeby podpisała jakiś papier, i wypuściły ją. Oczywiście musiał być prosty powód jej pobytu w klinice. Jo wyjaśni... nie, oczywiście nie wyjaśni, nie może. Gdybyż tylko nie zemdląca, kiedy usłyszała, że Jo nie żyje!

W czterdzieści minut później podjechała pod żelazną bramę posiadłości, ale gdy kierowca trąbił, nikt nie przybiegł, nie otworzył bramy. Więc wysiadła i podeszła do małych bocznych drzwi zawsze otwartych. W portierni nie było na służbie nikogo.

Poszła białą zwirowaną aleją do domu, zadzwoniła do drzwi frontowych. Zadzwoniła energicznie jeszcze raz. I jeszcze. Co oni tam robią, na Boga?

W końcu doleciały kroki z marmurowego hallu. Potem trzask odsuwanej zasuw. Wielkie drzwi się otworzyły. Zobaczyła przed sobą posępną zmiętą twarz Socratesa, goryla Jo.

- Dzień dobry, Socrates - powiedziała. - Gdzie są wszyscy? Krzepki marynarz podrapał się w pieprzyk na policzku.

- Cały personel zwolniony, madame, następnego dnia po pogrzebie. Tylko gospodyni i ja zostaliśmy i mamy surowe polecenie od pana Demetriosa, żeby nikogo tutaj nie wpuszczać. Oczywiście wiemy, że nie mówił o pani, ale ci fotoreporterzy byli dosyć natrętni. To bardzo mądrze, że pani się trzymała z daleka aż do teraz, kiedy jest już po wszystkim.

- Czy pan Demetrios wam powiedział, dlaczego mnie tu nie było?

- No tak, madame.

- Mógłbyś poprosić gospodynię, żeby przyniosła mi kawę do sypialni? Chyba się położy, ale przedtem chcę z nią porozmawiać.

- Ale, madame, wszystkie meble już wywiezione do jakiegoś magazynu na przechowanie. W pokojach pusto. Pan Demetrios kazał. Myśleliśmy, że pani wie, madame.

Lili rozejrzała się po okrągłym kopulastym hallu. Rzeczywiście nie było mebli, portier, dywanów. Gdy wchodziła po wznoszących się spiralą schodach, nogi się pod nią trzęsły. Osłabienie jeszcze nie minęło, a jej sypialnia była na samym szczycie schodów.

Weszła do tego pokoju całkowicie pustego. Rzeczywiście został tylko jej sejf w ścianie, normalnie niewidoczny za zasłoną z niebieskiej tafty. Drzwiczki tego szarego niedużego sejfu były uchylone.

Przecież oprócz niej tylko Jo miał klucz do sejfu! Co nie znaczy, że miała tu najlepszą swoją biżuterię, kosztowności były w skarbcu banku.

Otworzyła drzwiczki szeroko. Coś złotego blado lśniło w głębi. Wyciągnęła ten drobiazdek - amulet od bransoletki, miniaturka Minerwy.

Nie, to jej się nie śni.

Potem sobie uprzytomniła, że zniknęły też wszystkie obrazy. Patrzyła na ściany, na jaśniejszy prostokąt tam, gdzie powinien pedałowac jej cyklista Rousseau w czerwonej pasiastej kamizelce, i na bladą plamę zamiast pięknej akwareli Dufy'ego - krajobrazu z Antibes.

Wbiegła do pokoju szaf. Nawet z jej garderoby nic nie zostało. Podbiegła do okna, otworzyła je na oścież i wyjrzała. Ogród wyglądał jak zwykle w promieniach zachodzącego słońca. Wróciła szybko do sypialni, uklękła przy aparacie telefonicznym z kości słoniowej, stojącym na podłodze, i podniosła słuchawkę. Głucha cisza. Demetrios chyba zmysły postradał.

I raptem sobie przypomniała podpisywanie tych papierów.

Może przez godzinę klęczała nieruchomo przy telefonie. Potem usłyszała ciężkie kroki na schodach, już nie przykrytych chodnikiem. W drzwiach sypialni ukazał się Demetrios.

- Z kliniki do mnie telefonowali, że się wypisałaś. Bardzo głupio z twojej strony, Lili.

Wyglądał nadal tak samo jak dawniej, tylko że teraz zamiast być uspokajająco duży i odpowiedzialny, był duży i złowieszczy. Jego ciemny garnitur wydawał się groźny, jego ciężki nos drapieźny, a ciemnopiwnie oczy były twarde i zimne jak kamyki.

- Gdzie jest moja garderoba, Con?

- Spakowana czeka na twoje dyspozycje.

- Ty wzięłaś kluczyk Jo od tego sejfu, prawda? Czy może policja ci dała? Tak, chyba tak, jesteś jego adwokatem ostatecznie. Gdzie ja będę dzisiaj nocować? Nie mam nawet zmiany bielizny.

- Masz ponad pięćdziesiąt trzy tysiące franków na swoim koncie bankowym.

- Skąd wiesz, ile mam na koncie?

- Wiem, że masz mnóstwo pieniędzy, więc możesz pomieszkać w hotelu. I masz swój samochód, żeby do hotelu dojechać.

- A moje obrazy, Con? Gdzie są moje obrazy?

Demetrios spojrział prosto w gniewne oczy Lili i wolno pogłaskał się po brodzie.

- Jakie obrazy? - zapytał łagodnie.

Jo miał rację. Con był szybki i inteligentny, więc niewątpliwie zapiął sprawę na ostatni guzik. Lili jednak wiedziała, że Jo chciałby, żeby odzyskała obrazy. Zwróciła się do adwokata. Adwokat wysłuchał jej w milczeniu, po czym z żalem powiedział, że nic nie da się zrobić i że zgodnie z ustawodawstwem francuskim Lili nie może rościć sobie prawa do żadnej części majątku pana Stiarkoza. Po chwili dodał:

- Wygląda na to, że pan Demetrios przekupił jakiegoś podejrzanego lekarza, żeby pozostawała pani pod wpływem środków uspokajających, i prawdopodobnie zaproponował interes dzieciom pana Stiarkoza. Być może, ofiarował się zdobyć pani podpisy na wszystkich koniecznych prawnych dokumentach za sumę... och może dziesięciu milionów franków albo i większą. To ułamek tego, co mogłyby być warte te obrazy.

Wiadomo, że ta kolekcja była własnością pana Stiarkoza, nie wiadomo natomiast, że należy do mademoiselle Lili, i ona przecież nie ma dokumentacji, bez której nie można wnieść sprawy do sądu.

Pan Demetrios bez wątpienia zabrał sejf mademoiselle Lili z banku, ale posiada podpisane przez nią upoważnienie na to, a w banku nikt nie wiedział, co jest w sejfie, ani gdy go zabierano, ani gdy go zwrócono. Ostatecznie mademoiselle Lili sama otworzyła swój sejf i znalazła w nim tylko kopie swoich dawnych kontraktów. Nie było biżuterii, nie było dokumentów dotyczących pochodzenia i autentyczności obrazów, nie było ani jednego aktu przekazania na własność mademoiselle Lili któregokolwiek z obrazów. I skoro mademoiselle nie wie, gdzie jest obecnie ta kolekcja i ta biżuteria, u kogo mogłaby się o to upominać?

Lili siedziała milcząc. Pomyślała, że Jo dał jej przecież nie tylko obrazy i biżuterię: dał jej coś jeszcze, i to bardzo cennego - pewność siebie. Nie trzymał jej pod kloszem, nie pozwolił, żeby schroniła się w następnej pozłacanej klatce, tylko zachęcał ją do badania swoich zdolności, do korzystania z nich. Nalegał, by występowała przynajmniej w jednym filmie rocznie, toteż nie zniknęła ludziom z oczu, nie skończyła się.

Postanowiła sprzedać swego Rolls-Royce'a Comiche i kupić mieszkanie w niedrogiej dzielnicy Paryża.

I poprosić Zimmera o zarekomendowanie agenta, i możliwie jak najszybciej wrócić do pracy.

CZĘŚC DZIEWIĄTA

Rozdział czterdziesty dziewiąty

Przez cały rok 1969 „Życie + Styl”, dodatek do gazety redagowany przez Kate, był nadal - jak Kate mawiała - „raczej pianą niż piwem”. Po wielu kłótniach mogła wreszcie prowadzić rubrykę listów i zaangażowała „Kochaną Abby”, która z trudniejszymi problemami czytelniczek raz na tydzień odwiedzała nowego konsultanta, psychiatrę.

Po swych trzydziestych siódmym urodzinach Kate zaczęła pisać drugą książkę Niebezpieczeństwo! Kobiety przy pracy. Opierała się na niezliczonych listach napływających do redakcji, ale też przeprowadzała wywiady z kobietami o ich trudnościach, kiedy nie pracują i kiedy szukają posady. Dla reklamy jej wydawca wspólnie z „Globe” wysłał ją w podróż po całej Anglii, żeby lansowała tę książkę. Z daleka od Londynu jeszcze głębiej sobie uświadamiała, że tak naprawdę nie interesuje jej pusta piana „Życia + Styl”. O wiele bardziej interesujące są rzeczywiste kobiety w rzeczywistych sytuacjach, z rzeczywistymi kłopotami. Ponieważ wydawało się to związane ze świeżo powstałym Ruchem Wyzwolenia Kobiet, chciała się temu ruchowi przyjrzeć. Nie było to łatwe, numeru w książce telefonicznej nie znalazła, w biurze numerów nikt o Ruchu Wyzwolenia Kobiet nie słyszał. Ostatecznie zdobyła jakiś numer, który okazał się telefonem pewnej księgarni na Leicester Square, tylko że został wyłączony z powodu niezapłacenia rachunku. Jak miała odkryć, najbardziej przygnębiające w Wyzwoleniu Kobiet było to, że wyzwalam się kobietom najwyraźniej brak pieniędzy.

Uczestniczyła w trzech zebraniach pewnej grupy Ruchu, ale ją rozczarowały. Wszelkim kobiecym przeżyciom nadawano tam ogromne znaczenie, nawet najnudniejszym. I krytykowano, i pobudzano świadomość, tylko że jakoś się

z tego nie wychodziło. Kobiety siostry, jakoś nigdy nie omawiały względów praktycznych, dyskusja albo dotyczyła dzielenia się doświadczeniami, albo stawała się utopijnym teoretyzowaniem. Kate przygnębiało mętne marksistowskie rozumowanie „...rodzina jest podstawową komórką kapitalizmu... systemu ucisku... Musimy ją zniszczyć... Kobiety są niewolnicami, których funkcją jest służenie pracującym mężczyznom... Przed Rewolucją Przemysłową dom był ośrodkiem wytwórczości, przy czym mąż i żona brali jednakowy udział w pracy i opiece nad dziećmi...”

Kate zaczęła się zastanawiać, co można by zrobić dla kobiet, od których dostawała worki listów tydzień w tydzień. Na ogół jej czytelniczki kochały swoich mężczyzn i liczyły na nich. Jeśli mężczyzn nie miały, pragnęły ich mieć. Świadomość Kate pobudzili już adwokaci po śmierci jej ojca i przed jej rozwodem. Wiedziała, że społeczeństwo jest wobec kobiet niesprawiedliwe. Jednakże tego się nie zmienia z dnia na dzień. Kobiety musiałyby zabrać się do tej niesprawiedliwości powoli, bez nienawiści i bez agresji, tak żeby nie odstraszać innych kobiet. Zastanawiała się, czym można by pomóc w takiej sytuacji. W każdym razie uznała, że właściwie nie ma po co chodzić na dalsze zebrania.

Przez dwa tygodnie Kate dumiała nad pewną koncepcją, zanim zatelefonowała do Judy.

- Judy, chcę wydawać mój własny magazyn dla nowej, wyłaniającej się kobiety. Pomożesz?

- Mało masz kłopotów? - odszczekał zza oceanu głos Judy. - Dla jakiej nowej kobiety?

- Na litość boską, ty jesteś jedną z takich - wykrzyknęła Kate. - To już rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty, królowna Śnieżka się budzi. Ma swoją posadę, swoje pieniądze, może sama ustalać reguły swojej gry i stanowić o swoim życiu. Na razie jeszcze niepewnie bada po omacku drogę, ale wreszcie nie śpi i ma mnóstwo władzy, bo... kolektywnie... jest pierwszym pokoleniem z pieniędzmi.

W słuchawce zaszumiało i ucichło. Kate wrzasnęła:

- Chcę wydawać magazyn, w którym szczególną uwagę będzie się zwracać na psychiczne potrzeby kobiety, magazyn, które pomoże kobiecie zrozumieć własne uczucia! W żadnym magazynie tego się nie uwzględnia! Wyraźna luka na rynku!

- A „Cosmo”? A „MS”?

- Tych magazynów jeszcze nie mamy w Brytanii.

- Powtórz, jakie chcesz mieć czytelniczki? Kate powtórzyła swoją koncepcję.

- Oczywiście nie mogę ci odpowiedzieć tak od razu - powiedziała Judy - porozmawiam o tym z Tomem i zadzwonię do ciebie.

Jesteśmy zainteresowani - oznajmiła Judy. - Może byś przyleciała na parę dni? Chcemy, żebyś tu porozmawiała z ludźmi, których już znasz. Z Griffinem Lowe, moim ulubionym wydawcą, i z Pat Rogers, moją dawną szefową. Ona teraz prowadzi dział literacki w jednym z naszych czołowych magazynów. Zapatruje się podobnie jak ty... ma po dziurki w nosie tej lukrowanej papki, którą karmi się kobiety. Ale my nie myślimy o wystartowaniu w Anglii. Chcemy z tym magazynem wystartować tutaj.

Kate zarezerwowała miejsce w nocnym samolocie i w czwartek wyruszyła na wolny długi weekend. Te cztery dni spędziła w mieszkaniu Judy rozmawiając z nią i z Pat, a raczej słuchając, co one mówią, oraz z Griffinem i Tomem, którzy mówili niewiele i nie robili prawie nic poza bazgraniem od czasu do czasu w swoich notatnikach oprawnych w skórę aligatora. Toma poznała dopiero teraz. Gdy była w Nowym Jorku poprzednim razem, pracował w biurze KORONKI na Zachodnim Wybrzeżu.

Griffin brał Pat i Kate w krzyżowy ogień pytań, dopóki nie dowiedział się o ich przyszłych czytelniczkach wszystkiego z wyjątkiem rozmiarów rajstop. Potem usiadł z Tomem przy końcu stołu w jadalni i obaj znęcali się nad kalkulatorem, podczas gdy one w trójkę nie przestawały rozmawiać, kłócić się, snuć domysłów i przewidywać, pełne nadziei.

Większość reklam w kobiecych magazynach pochodzi z obracającego multimiliardami dolarów przemysłu kosmetycznego. Gdy Kate odleciała z powrotem do Londynu, Griffin i Judy zaprosili na obiad w restauracji Orsiniego panią Lauder, żeby dowiedzieć się jej opinii o koncepcji Kate. Pani Lauder była nieduża, cicha i nadzwyczaj bystra. Obiad dla trojga kosztował trzysta pięćdziesiąt dolarów. Do każdego dania był specjalny sos, ale nic nie jedli, tylko udawali, że jedzą.

Pani Lauder uznała, że ta koncepcja może wydawać się dobra.

Po drugim spotkaniu pani Lauder zgodziła się - jeżeli magazyn będzie taki, jak oni mówią, i jeżeli osiągnie takie nakłady, jak się spodziewają ewentualnie zająć miejsce na reklamy. I przyznała, że owszem na rynku jest luka. Wyrażna, być może.

Jadali obiady z jednym po drugim spośród innych magnatów tego przemysłu. Patrząc na rachunki, Tom zauważył, że chyba powinni przenieść się do branży gastronomicznej. Judy znów zatelefonowała do Kate.

- Rozglądamy się po rynku. Jeżeli będzie wyglądało dobrze, zrobimy to. Nie podobał jej się jednak interes zaproponowany przez Griffina.

- Nie mogę się zgodzić na siedemdziesiąt procent dla Orbity, Griffin.

- ...Judy, przecież muszę uzasadnić sprawę akcjonariuszom. To, co nas łączy, nie jest najlepiej zachowywanym sekretem na świecie.

- ...I chcę, żeby personel miał jakieś udziały.

- Ładnie pomyślane, tylko że nigdy nie słyszałem, żeby z tego coś było. Taka podnieta przestaje działać, kiedy staje się faktem. Lepiej trzymać się premii zależnych od wzrostu zysków. I nie zachęcać do równości w pokojach redakcji, bo niczego się nie wydrukuje.

Judy znów zatelefonowała do Kate.

- Dzwonię, żeby ci zaproponować posadę naczelnego redaktora i powiedzieć, że chcemy ci dać dwa procent obrotu, jeżeli wpłacisz sto siedemdziesiąt tysięcy dolarów. Tom mógłby ci załatwić pożyczkę na pięć lat, jeżeli możesz przedłożyć zastaw w Anglii. To będzie cię kosztowało jeden procent dodatkowych odsetek, ale innego sposobu nie ma, bo przez te wasze idiotyczne przepisy nie można zabrać pieniędzy z Wielkiej Brytanii, żeby je ulokować gdzie indziej.

Kate pospieszyła do banku Barclay. Gdyby sprzedała wszystkie swoje akcje, jeszcze by jej zabrakło około pięciu tysięcy funtów, ale matka zgodziła się dać gwarancję, że przekroczenie konta zostanie pokryte. Więc po następnym szybkim wypadzie do Nowego Jorku Kate oznajmiła Scotty'emu, że chce odejść.

- Ach, ty podła - powiedział Scotty. - Jak mogłaś mi to zrobić po tych naszych ośmiu latach? Co spodziewasz się usłyszeć ode mnie? Oprócz gratulacji. Zejdź mi na kilka dni z drogi. Zbyt jestem wściekły, żeby z tobą rozmawiać.

Kate wydzierżawiła dom na Walton Street na trzy lata jednemu z dyrektorów General Motors, oddała meble na przechowanie i poleciała do Nowego Jorku, gdzie Tom wynajął chwilowo lokal na dziesiątym piętrze biurowca na Pięćdziesiątej Trzeciej Ulicy.

Niezliczone wieczory spędzili w mieszkaniu Judy, debatując, jak nazwać magazyn. Ostatecznie zdecydowali się, że to będzie PRZEBOJEM! Z wykrzyknikiem. Było w tej nazwie coś optymistycznego, była radość życia (a w taki właśnie nastrój chcieli wprawiać czytelniczki), poza tym słowo krótkie, łatwe do zapamiętania.

Magazyn PRZEBOJEM! wydał pierwsze swoje przyjęcie w hotelu Cztery Pory Roku.

Tom, który wyglądał jak gładki, nienagannie ubrany model z żurnala mód w „New Yorker”, wygłosił krótkie przemówienie wstępne. Potem Judy przedstawiła swój zespół i politykę redakcyjną. Prezentacja trwała prawie czterdzieści minut.

Kate czuła się dziwnie oderwana, jak gdyby obserwowała swój występ zwisając z sufitu.

- Klucz do wyrażania siebie to styl i każda kobieta powinna się nauczyć własny styl rozwijać. Każda czytelniczka jest ważna, ponieważ jest indywidualną jednostką i my właśnie indywidualność chcemy w niej ośmielać. Ale też każda czytelniczka stanowi część ogromnie potężnej siły gospodarczej. Kto wydaje w tym kraju ogromne pieniądze? Nie Jackie, nie Zsa Zsa, nie Liz. Zbiorowo masy kobiet amerykańskich stanowią prawdopodobnie największą siłę nabywczą na świecie. PRZEBOJEM! pokaże im nie tylko, jak wydawać pieniądze, ale również jak je zdobywać i pomnażać. Już czas, żeby kobiety więcej myślały o pieniądzach... i więcej ich miały dla siebie. Zamierzamy stawiać tę sprawę bardzo jasno.

Judy miała nadzieję, że nowy magazyn będzie dla swoich czytelniczek taką podporą, jaką ona znalazła w Kate, Maxine i Pogance. Razem we cztery z pewnością wydobyły z siebie nawzajem wszystko co najlepsze. Do czego doszłaby każda z nich bez trzech pozostałych? Kate jedyna miała rzeczywiście talent, ale była cichą myszką zanadto frasośliwą. Bez popychającej ją Judy prowadziłyby prawdopodobnie egzystencję nieszczęśliwej rozwódki zabijając czas sprawunkami ponad stan u Harrodsa. Poganka wychowana w sferze przywilejów, w których nigdy nie czuła się swojsko, przeciw z mgławicy swego skłócenia z życiem, dezorientacji, beznadziejnego pijaństwa nie wyszłaby bez pomocy Kate. A Maxine, chociaż osiągnęła dużo swoją determinacją i

ciężką pracą nie stałaby się sławna na świecie, gdyby Judy jej w świecie nie przedstawiła. I sama Judy, twarda zawodniczka nie otworzyłaby własnego przedsiębiorstwa, gdyby nie popchnęła jej do tego Maxine. Każda z nich pozostawiona samotnie mogła ulec raz na zawsze swoim słabościom. Razem miały siłę rozmachu i styl - i właśnie po to, by usilnie propagować taki sposób na życie, powstał magazyn PRZEBOJEM!

Rozdział pięćdziesiąty

Chcecie wiedzieć, co kobietę pociąga w mężczyźnie? - zapytała Kate. -Dostałam wyniki ankiety. - Rozejrzała się po uważnych twarzach wokół biurka na tej przedpołudniowej konferencji. Trzynastą tygodni już minęło od przyjęcia w Czterech Porach Roku i pierwszy numer PRZEBOJEM! miał ukazać się za trzy tygodnie. - Odpowiedzi kobiet różnią się diametralnie od odpowiedzi mężczyzn. Dwadzieścia dwa procent mężczyzn przyznaje, że ich zdaniem kobietę najbardziej pociąga duża wypukłość w ciasnych spodniach, ale taką odpowiedź daje tylko trzy procent kobiet.

Wszystkie zachichotały. PRZEBOJEM! zatrudniał na początek czternaście osób z maleńkim kapitałem na pełnych etatach w redakcji oraz współpracowników, literatów i redaktorów na mieście. Większość z tych czternastu pracowała jednocześnie nad trzema co najmniej artykułami w różnych fazach powstawania. Redaktorka działu mody miała przystąpić do pracy za dwa tygodnie - tymczasem korzystało się z bardzo kosztownej pomocy wielkich projektantów.

- Smukłość męskiej sylwetki, zdaniem mężczyzn, nie ma dla kobiet znaczenia, natomiast zdaniem większości kobiet, to sprawa zasadnicza - ciągnęła Kate. - Tylko dwa procent mężczyzn uważa, że ważne są męskie pośladki, a właśnie one dla czterdziestu dwóch procent kobiet stanowią główną atrakcję.

Kate rozpoczęła od sprawozdania z pracy nad układem drugiego numeru. Na szesnaście tygodni przed jego wydaniem omawiały, jaki ma być. Ostateczny termin oddania do druku był za dziesięć tygodni. Następne sześć tygodni miało być pełną pośpiechu bitwą pomiędzy redaktorami, asystentkami, działem graficznym i drukarnią.

Życie to przyjemność, pomyślała Kate po konferencji. Ale nie było to takim przyjemnym życiem, jakie sobie wyobrażają czytelniczki kobiecych magazynów - tym życiem światowym z szampanem i rewiami mody. Wydawanie PRZEBOJEM! było

absorbującą pracą. Czyli największą ze wszystkich możliwych przyjemności. Siedząc przed sześcioma telefonami, które ujadły, i przed paroma osobami stojącymi pod ścianą tuż przy drzwiach, Kate pomyślała, że większość jej czytelniczek prawdopodobnie by tej pracy nie cierpiała, ona jednak chętnie by nawet dopłacała, żeby móc tak właśnie pracować. PRZEBOJEM! to najciekawsza rzecz, jaką kiedykolwiek robiła. Chociaż nieraz czuła się wyczerpana, z przykrością odchodziła od pracy wieczorem.

Jedna tylko drobnostka psuła tę przyjemność. Niełatwo było Kate pracować z Tomem. Wychowany na Zachodnim Wybrzeżu, przed założeniem spółki z Judy pracował tylko w przemyśle filmowym, co nieuchronnie zabarwiło jego stosunek do kobiet. Po prostu nie mógł nie dzielić kobiet na dwie kategorie: kobieta-matka i kobieta-dziwka takiego czy innego rodzaju. Niektóre kobiety uważał też za ruchome mienie, a z ruchomym mieniem trzeba się obchodzić ostrożnie jak z kociakiem gepardem. Judy była dla Toma mieniem bardzo cennym. Ale Kate - no jeszcze nie wykazała swojej wartości. Tom zamierzał wydawać magazyn w opakowaniu trochę takim jak reklamy Virginii Slims.

- ...Z daleka przyjechałaś, dziecko...

Kate jednak nie odpowiadało podobieństwo do wspianiałości tak samo Virginii Slims, jak ciężkiego „MS”. Tom nie potrafił jej zakwalifikować. Oczywiście napisała książkę, jest poniekąd sławna, ale to nie znaczy, że będzie zarabiała dla niego pieniądze. Więc Tom i Kate wciąż się kłócili, dopóki Judy nie uznała, że musi udobruchać Kate.

- Zrozum, Kate, wszyscy protektorzy są trudni. Tom umie im dogadzać między innymi dlatego, że myśli tak samo, jak oni. Podejmujemy wielkie, wielkie ryzyko i bez Toma z pewnością to byłoby dla nas niemożliwe. Jego wady osobiste są zaletami w prowadzeniu interesów. On się zajmuje całą brudną robotą tak, że my spokojnie możemy posuwać pracę naprzód. - Ujęła Kate za ramiona. - Pamiętaj, że twój obowiązek to wydawać magazyn w granicach jego budżetu. Jego obowiązkiem jest wyciąganie zysków, co robi bardzo, bardzo dobrze, a mógłby się do tego nie nadawać, gdyby był pokroju tych wyzwolonych facetów, jakich ty aprobujesz.

W miarę jak zbliżał się dzień wydania pierwszego numeru, warczenie Toma rozbrzmiewało coraz głośniejsze w całej redakcji.

- Czy nie zdajesz sobie sprawy, jakie to cholerne koszty?... Czy nikt w graficznym nie pojmuje, że ta mała ramka wokół zdjęcia na stronie dziewięćdziesiąt dwa podnosi koszt tej strony o czternaście procent?

Kate zawsze bała się przemocy zarówno w słowach, jak w czynach. Gdy była małą dziewczynką, nigdy nie odważyła się okazać gniewu, zawsze drżała ze strachu przed wściekłością ojca. Będąc dorosłą, nadal truchlała, ilekroć ktoś podniósł głos. Ale nie zdarzyło jej się wybaczyć ani zapomnieć. Kapitulowała i pamiętała. Zamiast wyładować gniew w głośnej awanturze, chowała urazę wciąż wzrastającą aż do dnia, w którym wybuchała.

Goniec przebiegł między biurkami redakcji. Była godzina dziesiąta wieczorem i panowała cisza poza tym, że od czasu do czasu jak karabin maszynowy klekotała maszyna do pisania. Tylko trzy osoby jeszcze siedziały przy biurkach. Kate i kierowniczka działu graficznego dumaly nad stronicami korekty, gdy goniec dobiegł do nich i podał im dużą kopertę. W kopercie był świeży, prosto spod prasy, niewyrównany egzemplarz pierwszego numeru. Promieniejąc ufnością, Lauren Hutton szeroko się uśmiechnęła.

Kate chwyciła egzemplarz i pobiegła do gabinetu Judy.

- Patrz! - wołała. - Jesteśmy na rynku!

Rozdział pięćdziesiąty pierwszy

Przyjęcie inauguracyjne magazynu PRZEBOJEM! uświetnili swoją obecnością wszyscy, którzy się liczyli. Było mnóstwo sławnych ludzi, kilku prezesów agencji reklamowych i wielu ich potężnych klientów - w sumie około pięciuset osób. Byli tam czołowi felietoniści, dziennikarze z prasy codziennej i branżowej i dwóch reporterów z „Time” i „Newsweek”. Nie szło to w telewizji - ale chyba tym lepiej, bo kable i światła zmąciłyby nastrój zabawy, a i tak Kate i Pat już tego dnia wystąpiły w telewizji śniadaniowej.

Panował gwar, brzękały kieliszki, dym cygar łączył się z zapachami drogich perfum, szampan płynął strumieniem. A jednak to przyjęcie, wyczekiwane od miesięcy, wydawało się Kate przygnębiającym powrotem z obłoków na ziemię. Wolałyby, żeby te

wszystkie pieniądze wzbogaciły magazyn. Wyglądała mizernie, tak nieszczęsna i zboląa, że Tom podszedł do niej.

- Rozchmurz się - powiedział - zrobiliśmy dobry początek, a ty teraz reagujesz w sposób normalny i zrozumiały. Opadła cię ta chandra, zwykły skutek wyczerpania po ogromnym wysiłku nagle już owocnym. Prawdopodobnie tak się czuł Szekspir, kiedy skończył pisać Hamleta.

Kate się roześmiała.

- Wiem, że tobie to wszystko tutaj wydaje się blade - dodał Tom. - Przez bite trzy miesiące nie myślałaś o niczym innym. Niektórzy z tych tu facetów sprawiają wrażenie znudzonych, ale kiedy słucha się bardzo uważnie, zawsze ma się twarz bez wyrazu. To po prostu świadczy, że człowiek koncentruje się na tym, co się do niego mówi. Każdy z tych dzisiejszych gości został przedtem wysondowany, wszyscy mogą zrobić wiele i niejeden już się zgodził nas popierać. Ty, Kate, jesteś teraz właścicielką prawdziwego, wydawanego magazynu. Oczy Kate napełniły się łzami.

- To tylko dlatego, że jestem zmęczona i tęsknię do kraju, i nagle poczułam się samotna. Tęsknię za Walton Street, za Londynem i za Scottym najbardziej.

- Tak, no cóż, ciężko jest być ważniaczką. Lepiej, żeby cię odwiózł do domu.

Pojechali taksówką do mieszkania Kate. Tom powiedział:

- Pozwolisz, że sobie naleję coś mocnego. Nie znoszę tego musującego paskudztwa. Idź do łóżka. Kiedy będziesz wygodnie leżała, zamówię przez telefon jakąś kolację.

- Nic bym teraz nie przełknęła, dziękuję, Tom. Ale jest trochę zimnego jedzenia w lodówce.

Gdy znużona oparła się o poduszki, Tom przyszedł z tacą: kawą, kilkoma czerstwymi pączkami, zwiotczonym selerem i talerzem zupy.

- Przyrzekam, że spiszę się lepiej następnym razem - popijając whisky powiedział z głębiny pokrytego niebieskim kretonem fotela. Kate zabrała się do jedzenia, a on nie wiedział, jak ją rozweselić.

- Masz pojęcie, Kate, że w ciągu tych ostatnich trzech miesięcy spędziliśmy ze sobą więcej czasu niż przeciętna para małżeńska? - Pochylił się w fotelu, oparł łokcie na kolanach i dodał poważnie: - I jeszcze z czegoś prawdopodobnie nie zdajesz sobie sprawy. Sprawiałaś, że niejeden mój dawny pomysł wydaje mi się teraz dosyć zwietrzały. Nie jestem pewny, czy to stosowna chwila, ale chcę przeprosić. Nie doceniałem ciebie...

twoich pomysłów, twojej oryginalności, twojego doświadczenia. Uważałem cię po prostu za angielską kumpelkę Judy i nie widziałem powodu, żebyś była nam tu potrzebna. Teraz, kiedy już zobaczyłem cię w akcji, imponujesz mi. Żałuję, że nieraz byłem taki porywczy i szorstki i... no taki brutalny drań.

- Lubię brutalnych drani. To właśnie jeden z moich kłopotów.

- Hm... jednym z moich kłopotów jest to, że nie osiągnę niczego, jeżeli nie będę brutalnym draniem.

Przez chwilę Kate już myślała, że on zacznie się do niej zalecać. Sprawy seksu nie istniały dla niej przez tych kilka miesięcy, a i przedtem nie były zbyt ważne. Prawie już zrezygnowała z nadziei, że kiedyś spotka mężczyznę, z którym bez wysiłku zazna spełnienia, prawdziwego spełnienia w miłości i całkowitym oddaniu.

Żaden tego nie sprawił.

Nazajutrz rano, otwierając oczy, czuła się znacznie lepiej. Właśnie wstawała z łóżka, gdy zadzwonił domofon.

- Ktoś przyniósł kwiaty dla pani - zameldował portier.

- Proszę go przysłać tu na górę - powiedziała. Myślała, że to będzie goniec.

Ku jej zaskoczeniu, w drzwiach ukazał się Tom za pienistym naręczem żółtej mimozy. Ponadto przyniósł poranne gazety i torbę papierową, w której były obwarzanki, świeża kawa, łośoś wędzony i twaróg.

- Cześć. Śniadanie. Wracaj do łóżka. - Dał jej gazety. We wszystkich były wiadomości o nowym magazynie PRZEBOJEM! Natychmiast poczuła się jeszcze lepiej.

- Wstyd mi z powodu wczorajszego wieczora. Kiedy jestem zmęczona, mam skłonność do płaczu.

- Nie myśl o tym - powiedział Tom. - Intrygujesz mnie... jesteś takim dziwnym połączeniem siły i wrażliwości. Jesteś twarda, chociaż wcale nie męska, pracujesz ciężko jak Judy, a to nie byle co, ale zarazem jesteś na pewnych odcinkach bardzo krucha. Chociaż się do tego nie przyznajesz, potrzebujesz opieki.

- Jestem pod opieką. - Kate uśmiechnęła się. - Całe szczęście, że dziś sobota.

- Będę musiał wkrótce pojechać do biura.

- Ja też.

Blada, ale zadowolona z siebie w białym koronkowym negliżu, oparła się o różowe poduszki. Tom patrząc na nią na tym różowym tle, nagle sobie uprzytomnił, że będzie ją miał. Taca z trzaskiem spadła na podłogę, obwarzanki rozleciały się po pokoju.

Po krótkiej chwili zdumienia Kate czuła na sobie jego ręce i na ustach jego jędrne usta, czuła zapach świeżo wypranej bawełny i ciepło męskiej skóry. Nie zdążyła nawet poczuć się skrepowana, gdy jego dłonie już sunęły po koronce.

- Myślę, że to niedobry pomysł - wykrztusiła.

- Ja myślę, że doskonały. - Szepnął jej we włosy.

- Zdawało mi się, że jesteś przeciwnikiem igraszek z personelem...

- Tak, istne wariactwo - zgodził się wesoło, prawie już dotykając jej piersi. - Sama to zdejmiesz, czy mam to z ciebie zerwać?

Kate jednym skrzętem ciała wyzwoliła się z negliżu. Tom zaczął ją głaskać z zabobczą czułością. Ust nie odrywał od jej ust, rozpinając koszulę, ściągając krawat. Teraz, gdy jego twardy tors przywarł do jej miękkich piersi, poczuła erotyczny, przypominający świeżą słomę zapach jego potu. Wtuliła głowę w jego pachę, w ten jedwabisty puch, jedyne miękkie włosy na jego ciele, i wdychała. Potem oboje leżeli nadzy, zdumiewając się wzajemnie swoim ciepłem, dotykając się, badając powoli każde wygięcie ręki i nogi.

Bardzo wolno Tom wsunął się na nią i teraz miała jego ciepło w sobie. Poruszał się lekko, stopniowo z coraz większą siłą, twardymi nogami ścisnął jej miękkie uda, wargami rozgniatał jej wargi, szerokimi dłońmi nakrywał jej piersi, nacierał małe beżowe brodawki jędrniejące pod jego dotknięciem.

Kate była podniecona i dziwnie spokojna. Oczywiście została stworzona dla Toma, tego czulego brutalnego mężczyzny, który jest jej miłością. Miłością?

Zaalarmowały ją dzwonki niepokoju. Zachłysnęła się i znieruchomiała.

- Co jest? - szepnął Tom.

- No, nie chcę się angażować.

- Oczywiście, że nie - szepnął, gdy drżała pod nim, i łagodnie pogłaskał ją po piersiach.

Z wolna dała się wciągnąć znowu w miękkie ciepło, w erotyczne oddechy. Fale namiętności wzbierały, Tom oddychał w jej ucho, napierał na nią twardo, ale raptem ona się znalazła gdzieś wysoko, gdzieś na suficie i dziwnie beznamiętna patrzyła w dół na

siebie i na niego w łóżku. Utraciła tę chwilę, gdy Tom ze zwierzęcym warknięciem miał orgazm.

Leżeli przytuleni. Słaby migdałowy zapach spermy niósł się ze skłębionych prześcieradeł.

- Mmm mmmmm, mmmmm - mrucał Tom. - Szkoda, że tyś nie skończyła.

- Skończyłam.

- Nie, kochanie. Wolno ci nie mieć orgazmu, ale nie wolno ci udawać, że miałaś. Do czego to cię prowadzi? Jaki jest cel?

Delikatnie całował ją i głaskał po ramionach. Wolno zsunął ręce w ciemny, mały trójkątny las i zaczął pieścić ją miarowo, lekko, czule i cierpliwie, aż się rozluźniła i nagle wygięła się w upojeniu i opadła, wtopiła się w jego umięśnione, mocne objęcia.

Obudził ją wargami, językiem muskającym jej sekretną bladoperłową różowość, ciepłem wtulonej w jej uda twarzy. Różowość na różowości, miękkość, wir, bezpamiętność, spadanie w topiel pieśczoły.

- Co za cudowne przebudzenie - wymamrotała, znów zasypiając. Później wyłączyli telefon, wzięli prysznic we dwoje, zaczęli się kochać pod prysznicem i zdecydowali, że właściwie nie jest wygodnie w śliskiej wannie, w deszczu. Z powrotem wsunęli się do skotłowanego łóżka.

Jeszcze później, wciąż nadzy, zasłali łóżko, ale Tom pchnął Kate na ledwie wygładzoną staroświecką kapę z latek i znów sięgnął po jej piersi. Pociągnęła go. Wykręcając mu się z rąk, zsunęła się i zwinęła między jego nogami. Najpierw głaskała go lekko, jakby muskała piórkiem, a potem wzięła w stulone dłonie- Czuł na swojej męskości miękkie dotknięcie i po chwili już jej wargi jedwabiste niczym morski anemon ssały coraz natarczywiej. Czuł, jak język szuka, sięga, sunie, ślizga się, aż był świadom tylko paznokci rozdrapujących mu uda, i tych ust pewnych, natarczywych, i coraz mocniejszych, coraz szybszego naporu warg... Jęknął, jego prężna siła się rozprężyła.

Kate, która nigdy nie wiedziała, czy połknąć czy wypluwać, czy niech samo ścieka, chłoneła ten dziwnie ostry, gorzkomigdałowy zapach.

- Jakie to uczucie? - zapytała później Toma. Cisza. Po chwili odpowiedział.

- Naturalnie nie mogę mówić za nas wszystkich, ale ja na takich szczytach rozkoszy ani nie wiem, ani nie chcę wiedzieć.

Była godzina szósta w perłowej szarości wstającego poniedziałku.

- Jesteś nie byle jaka - powiedział Tom. - Nie chcę żadnej innej, nie chcę nic innego. Ale zachowajmy to z dala od redakcji, dobrze?

Naturalnie nie dało się. Kate taka dziś roziskrzona, pomyślała w poniedziałek Judy, zupełnie nie jak ta mizerna Kate w piątek. Toma nie mogła osiągnąć przez cały weekend, a miała dla niego mnóstwo wiadomości, coraz bardziej zła na jego telefoniczną automatyczną sekretarkę. Oboje byli nieuchwytni. Po prostu zaszyli się gdzieś razem - doszła Judy do wniosku.

Zanim poniedziałek się skończył, Kate mimochodem zapytała Judy, jaka jest żona Toma.

- Zwykła, typowa amerykańska dziewczyna - odpowiedziała Judy. - Dwadzieścia trzy lata, złociste loki, w talii jak osa, promienna jak jutrzienka, coś w tym guście... Nie, żartuję. Naprawdę ma dziewięćdziesiąt pięć lat, jednooka biedaczka i bez zębów, i te ich trzynaścioro dzieci wciąż woła jeść... Ulitowała się. - Faktycznie oni się rozeszli, zanim Tom i ja połączyliśmy swoje siły. Ta jego eks jest owszem, owszem, nic jej nie brakuje, tyle że to rozpieszczona żydowska księżniczka i straszna gaduła, po same uszy w odżywianiu makrobiotycznym i szalenie ważnych kółkach dyskusyjnych. Ale synkowie są mili. Tom o nich nie mówi, ale często się z nimi widuje.

Ilekróć byli razem, Kate doznawała uczucia, że kocha Toma miłością nie do pokonania i chyba nieodwracalną. To było coś innego niż jej dziewczęce pragnienie poślubienia Roberta. Coś innego niż czołobitne durzenie się w Tobym, jej byłym mężu. Teraz z dnia na dzień coraz serdeczniej po prostu kochała. Nie czuła się ograniczona, szara, podrzędna pod jakimkolwiek względem. Nie chciała padać na kolana i wielbić. Zdawała sobie sprawę, że nie udaje, nie zmienia się, żeby Tomowi się podobać.

I w rozmarzeniu nie ćwiczyła podpisu: Kate Schwartz, pani Tomowa Schwartz czy nawet Kate Ryan-Schwartz. Po prostu chciała być z Tomem, kiedy tylko to jest możliwe, a przyszłość... niech diabli porwą. Nagle przestała nosić swe schludne granatowe kostiumy. Zjawiała się w płóciennym kostiumie ametystowym Yves Saint Laurent bez żadnej bluzki. Było jej w tym tak ładnie, że szybko kupiła drugi taki sam, ale jaskraworóżowy. Wkrótce potem zaprezentowała w redakcji pomarańczowy kombinezon z dżerseju. Nikomu nie trzeba było mówić, że Kate jest zakochana.

Tom również nagle się zmienił. Stał się bardziej przystępny, dobroduszny, czasem nawet uśmiechał się w godzinach pracy i stąpił ostrze swego sarkazmu. Wobec Kate był

zdumiewająco czuły, delikatny, szczodroblivy. Wiedząc, że uważany jest w redakcji za dusigrosza, aż przesadnie starał się tę reputację poprawić. Kate kochała go za to.

Ale nie chciała brylantów, nie potrzebowała szmaragdów - pragnęła tylko Toma.

Okładka pierwszego numeru PRZEBOJEM! była dobra, ale niedobrze wydrukowana. Koszty przekroczyły budżet, reklam zamieszczono niewiele. A jednak one wszystkie miały w głębi ducha chwile radości, widząc, jak kobiety w autobusie czytają PRZEBOJEM! albo jak ktoś rzeczywiście kupuje PRZEBOJEM! w kiosku.

Drugi numer zawierał lepsze teksty, lepsze zdjęcia i cudowne porady kosmetyczne, ale znów był źle wydrukowany. Znów reklam było mało i ukazał się w kioskach z jednodniowym opóźnieniem.

Trzeci numer to zawsze sprawdzian, gdyż już początkowa ciekawość osłabnie. Do trzeciego numeru musiały dołożyć specjalnych starań. Pat gorączkowo zmobilizowała swoją siatkę „omnibusów” - dziennikarzy z innych redakcji, którzy byli gotowi zarobić dodatkowe pieniądze nieoficjalną, nie podpisaną dodatkową pracą. Trzeci numer też nie obfitował w reklamy, bo agencje wolały nie kupować miejsca w początkowych numerach magazynu już tracącego swoją wartość nowości, a jeszcze nie mającego utrwalonej pozycji. Czekano więc, żeby zobaczyć, czy PRZEBOJEM! szybko nie splajtuje.

Ale na okładce tego trzeciego numeru było stanowiące wyłączną własność PRZEBOJEM! zdjęcie Jane Fonda i na pierwszym miejscu wywiad; który dało się uzupełnić rozprawką Jak się cieszyć swoim mężczyzną w łóżku? oraz powiązać z odpowiedziami na ankietę dotyczącą spraw seksu.

Do czwartego numeru zaczęły napływać reklamy. Magazyn PRZEBOJEM! wystartował.

Kate była przerażona swoim nowym szczęściem. Wszystko szło za dobrze; bała się pozwolić sobie na dawną wrażliwość. Już wiedziała, że w jej przypadku miłość wywołuje nędzną, upokarzającą potrzebę aprobaty i doprowadza do szorstkiej odprawy. Wiedziała, że gdy tylko jest zakochana, pada plackiem, wprost się prosi o kopniaka w zęby. Wiedziała, że w żadnym razie nie powinna wiązać się z jeszcze jednym mężczyzną, przy którym czułaby się niegodna jego miłości.

Więc bała się sama przed sobą przyznać, że kocha. Wolałaby się nie angażować. Żeby sprawdzić siłę swego uczucia do Toma, zaczęła spotykać się z innymi mężczyznami, tak jak niejedna kobieta przed nosem swego męża flirtuje z kimś, kto wcale jej nie

interesuje. Nie było trudno znaleźć tych mężczyzn, ponieważ sukces to silnie działający lubczyk. Zresztą Kate trzydziestodziewięcioletnia miała taki sam wyraźny, chociaż niewidoczny powab seksualny, jak wówczas, gdy była siedemnastolatką. W ciągu następnych kilku miesięcy często w małym hallu recepcyjnym redakcji PRZEBOJEM! czekały na nią sobowtóry brutalnego Burta Reynoldsa. W ostatniej chwili odwoływała spotkania z Tomem, a gdy on zostawał u niej na noc, natrętnie rzucały mu się w oczy cudze koszule i przybory do golenia.

Tom podrapał się w głowę i postanowił nie widzieć dziwnego postępowania Kate. Był chyba pierwszym mężczyzną (z wyjątkiem może Scotty'ego), który rzeczywiście lubił Kate. Niezależnie od tego, że nieodparcie pociągała go fizycznie. Lubił ją czy kochał taką, jaka była, i nie wymagał, żeby darzyła go tym, czym, jak rozumiał, jeszcze go darzyć nie mogła - zaufaniem. Ignorował więc - chociaż niełatwo mu to przychodziło - jej rozjątrzące posunięcia, ignorował umiejętnionych drągali w hallu i inne nieciekawe małe pułapki, jakie zastawiała, żeby wypróbować jego miłość. Rozumiał jej niepewność lepiej niż ona sama, a to dlatego, że kiedyś podobnie cierpiał.

W którąś sobotę po południu, gdy zaczęła go wypytywać o rodzinę, splótł ręce za głowę i powiedział jej, przytulonej do jego nagiej piersi. - Poniekąd mogę zrozumieć to, co czułaś do swojego ojca, bo ja w moim życiu miałem taki uraz wobec matki. Była bardzo apodyktyczna, typowa ukraińska matka-szef. Kiedy prosiłem o coś ojca, zawsze mówił, poproś matkę. Był ogromnym, silnym mężczyzną, zawodowym bokserem, więc nie tknąłby nawet jednym palcem ani jej, ani mnie, bo bał się, że mógłby nam rzeczywiście zrobić krzywdę. Matka o tym wiedziała, to jej dawało całkowitą władzę nad domem. Ojciec rozstrzygał, czy Roosevelt słusznie mianował Eisenhowera naczelnym wodzem w Europie, ale nie wolno mu było decydować, czy trzeba kupić mi nowe buty... wszystkie takie decyzje podejmowała matka. Oburzała mnie jej władza, oburzał mnie sposób, w jaki zaznaczała swoją władzę nade mną. Oni się kłócili, wojowali ze sobą dzień w dzień przez trzydzieści siedem lat, dopóki nie umarła. Z urazą jeszcze dziś wspominam te kłótnie. I tak samo to, że ona zawsze krytykowała wszystko, co robiłem. Nic nie było dla niej dostatecznie dobre. Czułem się winny, bo nie mogłem sprostać jej wymaganiom, i winny, bo wciąż miałem urazę.

- To tak jak ja. I co z tym zrobisz teraz?

- Czekaj, pokażę ci. - Delikatnie ją odsunął, wyskoczył z łóżka i po chwili wrócił z portfelem w ręce. - Patrzę na to - wyciągnął biały bilet wizytowy, na którym było nabazgrane drukowanymi literami: KICHAĆ NA POCZUCIE WINY.

- Nauczyłem się swoje winy akceptować i zapominać o nich. Czasami muszę powiedzieć: przepraszam, i czasami muszę wynagrodzić różne moje świństwa. Ale potem po prostu żyję dalej i tylko gdzieś tam w księgowości niebios zapewne jakiś anioł dopisuje to na zestawieniu moich zysków i strat. Nie wątpię, że skończę wykazując się czystym zyskiem.

Na odwrocie biletu było napisane: KICHAĆ NA NICH WSZYSTKICH.

- To mi pomaga mieć zimną krew - wyjaśnił - powstrzymuje mnie od zwracania zbyt dużej uwagi na cudze zdanie, kiedy powinienem polegać na własnym.

Kate przytuliła się do niego.

- Jeszcze o czymś musimy porozmawiać - powiedział spokojnie. - Będę ci wdzięczny, jeżeli już nigdy nie będziesz udawać orgazmu. Zachowaj to dla tych włochatych drągali, którzy zostawiają tutaj koszule.

Po chwili ciszy Kate powiedziała posepnie:

- Nie zawsze udaję.

- Wiem. - Przyciągnął ją do piersi i głaskał po głowie, mówiąc to, co od dawna zamierzał powiedzieć. - Kate, kochanie, seks jest najściślejszym ze wszystkich możliwych porozumień między dwojgiem ludzi, a udawanie jest kłamstwem. - Westchnął z irytacją. - Nie pojmuję, dlaczego kobiety to robią.

- Przez grzeczność albo kiedy im się chce spać, albo kiedy mają kompleks niższości. - Kate była w defensywie. - Jeśli chodzi o mnie, to chyba ze strachu, że nie odpowiadam normie; nie nadążam w dziesięć i dziewięć sekundy, czy jakie tam ma być to tempo.

- Ale po co? Co ci to daje? Nie możesz mi pomóc w tym, żebyś razem ze mną czuła się cudownie? Udawanie nie pomaga, sabotujesz siebie i nasz związek, kiedy dopuszczasz do głosu tę cholerną wstydlivość zamiast mówić mi, czego chcesz, ty skromnisiu. - Skubnął ją zębami w płatek lewego ucha. - Masz prawo do orgazmu na równi z mężczyzną, a co cię do tego doprowadza, sama wiesz najlepiej. Więc dopóki istnieje tak zwana percepcja pozazmysłowa, twoją sprawą jest mi to przekazać, bo inaczej skąd, do diabła, mam wiedzieć?

Więc Kate trochę mu powiedziała. Później powiedziała mu jeszcze trochę.

Tom ruszył do akcji, roztoczył cały swój repertuar. Najpierw on był na niej, potem ona na nim, potem próbowali na stole w kuchni, ale strącili dzbanek z mlekiem, wobec czego przenieśli się do saloniku. Zastosowali na dywanie pozycję sześćdziesiąt dziewięć, następnie złączeni, zataczali się po całym pokoju i przez cały czas zadawali sobie rzeczowe pytania - czy dobrze tak, czy mocniej, czy delikatniej, czy szybciej czy wolniej? - aż w końcu Tom sięgnął po jakąś maleńką paczuszkę i powiedział: „Tylko na litość boską, nie kichnij”, i na szklany blat niskiego stolika wysypał kolejno trzy rządki i dał Kate swoje złote pudełeczko od Tiffany'ego z pokrywką jak tarcza telefoniczna, a ona ulegle powiedziała, że to jest cudowne - zgodnie z prawdą, tylko że pozostawiło jej to lekką zgagę w przelyku i w sercu. Mniej skuteczna niż zawrotne podniecenie, w które wprawiał ją Tom, ta kokaina niezupełnie podziałała. Scena miała być miłosna, a jakoś stała się sceną zdobywania punktów.

- Jak u ciebie tym razem? - zapytał Tom czule, więc Kate spróbowała powiedzieć, że niebiańsko, ale nagle usłyszała swoje słowa:

- Kochanie, prawdę mówiąc... dla mnie to było naciągnięte i sztuczne. Cię ślepej paniki przemknął po jego twarzy i zmienił się w wyraz obronnej agresji, co znaczyło, że on jest gotów zranić ją możliwie najboleśniej, bo zaatakowała go, kiedy zburzył swoje fortyfikacje i ofiarował jej wszystko, co ma. Otworzył usta, już chciał porozdzierać ją na strzępy tak, by nigdy nie mogła się pozbierać. Jednak zawahał się i zastanowił. Po chwili z wyraźną ulgą powiedział:

- Wiem, o co ci chodzi. Przyznała niepewnie.

- Chyba za bardzo cię lubię, żeby to było potrzebne.

- Chyba oboje za bardzo się lubimy, żeby prowadzić ze sobą grę - powiedział.

I nagle Kate już się nie bała, że Tom mógłby nią gardzić czy odejść od niej, jeżeli nie zadowoli jego ambicji. Już nie czuła, że musi sprawiać na nim wrażenie, zabiegać o jego aprobatę.

- To nie znaczy, że ja nie lubię dostosowania się w seksie, ja tylko nie lubię tego według seksualnych podręczników - wyznała. - Jestem konformistką, jak najbardziej, ale nie mogę się spełniać, kiedy ktoś dominujący w łóżku chce mnie do tego doprowadzić za wszelką cenę albo kiedy mi się wydaje, że jakiś niewidzialny seksuolog obserwuje z sufitu moje wysiłki i mądrze im przytakuje.

Położyła się nagim brzuchem na renklodowozielonym dywanie i podparła głowę rękami.

- To, co w seksie rzeczywiście lubię - powiedziała zadumana - jest banalnie bzdurne. Blaski świec i przezroczysty szyfon, i mocne męskie objęcia, i ciepło męskiej piersi, i szum, szum morza w uszach, i żeby fale były w usuwającą się plażę, kiedy ja się zapadam, a on szepcze mi ochryple do ucha... Boże, kochanie, wcale nie wiedziałam, ale to jest możliwe.

- Odwróciła się do Toma, też nagiego na tym zielonym dywanie, i dodała:

- Wyświechtana bzdura, to właśnie to, w czym rzeczywiście mogę wyżyć się seksualnie.

- Gdybym zaczął raptem szafować erotyczną prozą, tylko byś się śmiała

- powiedział Tom z przekonaniem - i co ważniejsze czułbym się idiotą. Więc nie wiem, jak poprowadzę dialog, ale przyrzekam ci, że następny weekend będzie krainą wyświechtanej bzdury...

- Nad morzem?

- W Connecticut - obiecał Tom. - Pełne przeżycie. Piaszczysta plaża, bijący pył wodny, homar na kolację i galopujące białe konie. Tam się zabawimy w banał całkowity.

W następny piątek wieczorem pojechali do nadmorskiego domku, będącego własnością kogoś ze znajomych Toma. W sobotę biegali po plaży, wspinali się na szare skały w podmuchach wiatru, smagających im włosy, zlizywali sobie z ust nawzajem morską sól i bosy w podwiniętych dżinsach chodzili po koronkowym skraju szarego oceanu. W niedzielę Tom próbował bez powodzenia wejść na sosnę, a potem przejechali się konno. (Ponad godzinę zabrało przedtem Tomowi w Nowym Jorku załatwienie tego, że po śniadaniu czekały na nich przed drzwiami domu dwa wierzchowce). Tom tylko raz w życiu dotychczas jeździł konno, gdy mając kilkanaście lat spędzał weekend na ranczo ze stajnią koni pod wierzch dla turystów, Kate rozbawiła go powściągliwym angielskim kłusowaniem, a potem wprawiła w zdumienie, zmuszając swojego gniadosza, by przeskoczył pień zwalonego drzewa. On miał ze swoją kasztanką kłopoty - nie chciała się ruszyć, ignorując człowieka

na grzbiecie, schyliła łeb i skubała trawę tak zawzięcie, jakby zamierzała ogołocić cały stan Connecticut.

- Podnieś wodze i użyj nóg - poradziła Kate. - Ściśnij ją mocno udami. Tom usłuchał, na co klacz ruszyła z kopyta, jak gdyby ktoś podpalił jej ogon. Cudem Tom się na niej utrzymał, dopóki Kate go nie dogoniła wołając:

- Odchyl się do tyłu, lekko ściągnij wodze!

Kasztanka zatrzymała się raptownie, jak gdyby ktoś ją wyłączył, a Tom fiknął przez jej łeb na ziemię.

W tamten wieczór, po przepisowej kolacji z homarem i popijaniu białego wina w blasku ognia na palenisku kominka, Tom zaniósł Kate po otwartych schodach z czerwonej sekwoi do sypialni. Za trójkątym oknem widać było spomiędzy ciemnych sosen ocean w poświacie gwiazd i latarnię morską, wokół domu pogwizdywał wiatr, deszcz tłukł o szybę, gdy tulili się do siebie pod kwiecistą kołdrą. Tom zaczął pieścić Kate.

- Za bardzo zmęczona - mruknęła - za bardzo mi się chce spać. - Ale on trzymając ją i głaszcząc łagodnie, wsunął się w nią.

I ni stąd, ni zowąd, we mgle senności Kate uzmysłowiła sobie, że to się stanie. To było dokładnie takie uczucie, o jakim czytała w książkach. Raczej fale łagodne, nieustanne, niż podniecająco gwałtowny bezpośredni orgazm. To było niezaprzeczalnie coś innego i niewątpliwie to następowało. Kate czuła się płodna, nieopisanie żeńska, czuła się matką ziemią. I była szczęśliwa, była wreszcie kobietą. Przez całą wieczność chwili napawała się tą chwałą, a potem objęła Toma, przywarła do niego, trzymała go mocno w ramionach, żeby nigdy, nigdy nie dać mu odejść.

- Doprowadziłam się! - wykrzyknęła.

- Nie, ja cię doprowadziłem.

- No, myśmy się doprowadzili.

Z niemałą satysfakcją Tom powiedział:

- Wiedziałem, że to się stanie, kiedy w końcu się odprężysz.

Rozdział pięćdziesiąty drugi

Kate i Judy czekały na Toma, coraz bardziej zirytowane. Już były spóźnione na pierwszy akt Cyganerii, w którym jest najwięcej najlepszych arii.

- Do licha, dlaczego on nie dzwoni? Ostatecznie to ma być mała uroczystość w twoje czterdzieste urodziny, Kate... i przecież nie co drugi tydzień w Metropolitan występuje La Scala - utyskiwała Judy.

- On cieszył się na to tak samo jak my, ale nie wiedział, jak długo potrwa ta konferencja lekarzy, i wiesz, że chciał jeszcze porozmawiać potem z kilkoma. Ostatecznie tyś podniosła gwałt, ty chciałaś, żeby sprzedał akcje Hoffmann-La Roche. - Kate wtuliła się w zamszowe oparcie, patrząc na Judy poprzez mgłę żółtych kwiatów w wazonie na zadymionym, lustrzanym blacie niskiego stolika.

Siedziały na obitej beżowym zamszem kanapie w spokojnym, ogromnym saloniku Kate. Tę kanapę, ciągnącą się na długości trzydziestu stóp w głąb pokoju, zdobiły poduszki ze skór lamparcich i tygrysi. Nad kanapą wisiały sztychy, kilka prymitywnych obrazów olejnych, i jeden uroczy rysunek dziecięcy, przy czym wszystkie przedstawiały tygrysy albo lamparty. Tygrysy na sztychu Stubbsa były tak złowieszcze, że włos się jeżył.

Cała przeciwległa ściana składała się z płyt jak blat stolika z zadymionego lustra, za którymi kryły się butelki z trunkami, rozmaite gry towarzyskie, telewizor stereo, aparat projekcyjny i różne inne cenne rzeczy. Jedna ściana przestronnego pokoju była rozsuwana, cała z taflowego szkła: tędy wychodziło się na zielony od liściastych roślin taras ze wspaniałym widokiem wierzchołków drzew Central Parku. Ścianę naprzeciw tego ogromnego okna zasłaniały od podłogi do sufitu lakowane półki. Zajmowały je nie tylko książki: na jednej pyszniła się kolekcja staroświeckich tabakierek, na innej wotywnych greckich posążków z terakoty i na jeszcze innych stały najrozmaitsze piękne, małe przedmioty - z siedemnastego wieku rzeźba w brązie, człowiek walczący z bykiem Gamiera, maleńkie, żółte z meissenowskiej porcelany puzderko do pieprzyków, ongiś własność madame de Pompadour.

Światła były przygaszone. Zamiast lamp Kate kazała zainstalować skomplikowany system reflektorów szczelinowych, wytwarzających odpowiedni nastrój - jeden tylko promień księżycy, gdy razem z Tomem słuchała muzyki Sibeliusa, szereg cienkich promyków w czasie przyjęć, oświetlenie kolekcji sztuki meksykańskiej. Nadal czekając z Kate na Toma, Judy nagle poczuła ostry paskudny ból, jak gdyby ktoś dźgnął ją w głowę - i ku swemu zdumieniu od razu rozpoznała, że to jest zazdrość. Oto ona zazdrości Kate. Jej, Judy, mieszkanie jest tak samo luksusowe i powodzi jej się tak samo wspaniale i jest kobietą nie mniej ponętną niż Kate, chociaż w inny sposób, i kocha swojego mężczyznę tak samo, jak Kate kocha swojego - i też jest namiętnie w zamian kochana. Ale Kate żyje z Tomem, kładą się razem spać i nie zawsze w łóżku się kochają, a potem rano ziewają

razem. Kate wie, jakie humory ma Tom chory na grypę, a Tom wie, jak dbać o Kate, która ciężko przechodzi menstruację. Judy pragnęła takiej właśnie intymności z Griffinem. Kate ma swojego mężczyznę, Maxine jest szczęśliwą mężatką, Poganka także

- teraz właśnie lekarze uznali, że zawałowców należy zachęcać do stosunków płciowych - a ona, Judy, wciąż nie ma tego, czego większość kobiet wymaga od życia i gdy już to ma, uważa za rzecz przesądzoną. Judy wstydziła się, że zazdrości Kate, ale nic nie mogła na to poradzić.

- Kiedy Tom kupił akcje Hoffmann-La Roche, nikt nie zdawał sobie sprawy, jak szkodliwe mogą być środki uspokajające - mówiła Kate.

- Wydawały się idealnym lekarstwem na tym świecie pełnym kłopotów i napięć, a bez dostatecznej liczby psychoterapeutów i szpitali dla nerwowo chorych. - Podniosła ze stolika małe pudełeczko do pigułek z osiemnastego wieku i uważnie popatrzyła na nie, wcale go nie widząc. - Wiesz, Tom uważa, że w stosowaniu środków uspokajających nie ma nic niemoralnego. Uważa, że są przepisywane i stosowane zawsze ostrożnie. - Zatrzasnęła pudełeczko. - Kupił z pięćdziesięcioprocentowa marżą dwadzieścia udziałów po szesnaście tysięcy dolarów i one teraz są warte czterdzieści osiem tysięcy dolarów każdy. Dziś rano mówił, że to zysk brutto osiemset tysięcy dolarów i ty chyba też wyszłaś dobrze na tym, że frank szwajcarski podskoczył w ciągu tysiąc dziewięćset siedemdziesiątego drugiego roku, bo to przynosi prawie milion dolarów zysku z jednej transakcji. - Patrzyła prosto w oczy Judy. - Jego zdaniem jesteś niewdzięczna, jeżeli się uskarżasz. Ostatecznie jemu nie zawsze interesy się udają, więc chce się zatrzymać.

- Ale to nie jest tak, jakby to był jego jedyny interes - powiedziała Judy. - Tkwimy po same uszy w jakichś bałamutnych spółkach inżynieryjnych i komputerowych, nie tylko farmaceutycznych. - Westchnęła, popatrzyła na stojący przy niej niski stolik cedrowy. Wzięła ze stolika emaliowanego rosyjskiego niedźwiadka. - Macie takie piękne rzeczy, takie piękne mieszkanie, a Tom najwyraźniej widzi taką brzydką przyszłość. „Amerykanie na froncie energii obłądzeni, wpędzeni w treningi wojskowe, ostrzeliwani środkami usypiającymi, kiedy na kieszonkowych swych kalkulatorach wyliczają odsetki...”

Drzwi trzasnęły, wbiegł Tom, ucałował je obie i popędził do sypialni, żeby się przebrać w smoking.

- Wiecie, jak żałuję, że się spóźniłem! - zawołał. Stał w drzwiach sypialni. - Kate, proszę, zawiąż mi tę muszkę. Dobrze, Judy, sprzedaję akcje Hoffmann-La Roche nie dlatego, żebym zmienił zdanie, ale nie zaszkodzi, jeżeli będziemy mieli zysk, i myślę, że zostawię to wszystko we frankach szwajcarskich, bo nie widzę powodu, dla którego ta tendencja zwykła nie miałaby trwać. Gdzie moje spinki do mankietów, Kate? Gdzie jest Griffin?

- Nie mógł. Ta jego cholerna żona i jej cholerna impreza dobroczynna. - Judy marzyła, żeby Griffin wołał ją do zapinania koszuli czy szukania spinek. Łaknęła takiej intymności w pośpiechu, gdy Kate stojąc za Tomem cmoknęła go w kark, zanim mu zawiązała muszkę.

Griffin i Judy byli ze sobą już od czterech lat. Dwa razy w tym czasie pokłócili się zażarcie i rozeszli. Najpierw w pierwszym roku, gdy ona zrobiła mu awanturę, rozgniewana jego zaborczością. Drugim razem po dwóch latach, gdy jego żona, Delia, w końcu zajęła stanowisko i zażądała, by zrezygnował z Judy. Modelkami w jego życiu zbytnio się nie przejmowała, ale jawny związek z kobietą szeroko znaną, odnoszącą sukcesy w interesach, sprawiał, że czuła się upokorzona. Ze względu na rodzinę i lata wspólnego życia chciała, by spróbował w pełni się z nią pojednać i znowu żyć tylko z nią. Wciągnęła do tego dzieci. Starszy syn był zawzięty i pogardliwy, starsza córka była tak pełna zrozumienia, że załamała się i płakała.

Griffin i jego żona bardzo się starali, ale oboje wiedzieli, że to jest jak rozniecanie ognia z zimnych popiołów. Potem Griffin poprosił Delię o rozwód, obiecując spełnić wszelkie warunki, jakie mu postawi. Ostatecznie zgodziła się dać mu pełną swobodę ruchów, ale zażądała, żeby nadal mieszkał w ich domu dla dobra dzieci: cokolwiek się dzieje, nie można rozbijać rodziny. Gdy zwrócił jej uwagę, że najmłodszy syn ma piętnaście lat i wkrótce opuści dom, zagroziła samobójstwem. Nastąpił rozejm, na zasadzie którego w separacji od łoża mieszkali pod wspólnym dachem.

Czy w separacji od łoża? Judy nieraz się zastanawiała. Mężczyźni zawsze mówią, że nigdy nie kochają się ze swoimi żonami, chociaż zawsze się z nimi kochają. Cóż innego mogą powiedzieć?

Kurtyna opadła po raz ostatni i Judy poczuła, jak wraca ten sam dawny smutek, ten ból, który stanowczo nazywała czułościowością, to pragnienie, żeby z Griffinem dzielić

życie, zamiast często się z nim widywać. Jak zwykle, gdy walczyła z przygnębieniem, stała się trochę okrutna.

Tom był zirytowany słabą reakcją na jego poranną wiadomość, że są bogatsi prawie o milion dolarów, i na wiadomość wieczorną, że postąpił tak, jak Judy chciała. Gdy usiadł z nią i z Kate przy swoim stoliku w Czterech Porach Roku, wzruszył ramionami i powiedział nie zwracając się do żadnej z nich w szczególności:

- Naturalnie nie spodziewałem się podziękowania.

- Dziękuję za pewne rzeczy i nie dziękuję za inne - Judy siedziała wpatrzona w zasłony z łańcuchów lśniących jak wodospady. Żałowała, że nie wybrali się do weselszego lokalu, naprawdę lubiła Cztery Pory Roku tylko w porze obiadowej. - Oczywiście, cieszę się, że już nie jestem biedna, ale prowadzimy naszą działalność od dziesięciu lat, a ty teraz wcale się nie interesujesz ani KORONKĄ, ani PRZEBOJEM!. Ty interesujesz się tylko robieniem pieniędzy. Ja interesuję się wypłacalnością, więc mnie snu z powiek nie spędzają długi.

- Od dziesięciu lat ci powtarzam, że twoje staromodne cnoty prowadzą do ubóstwa.

- Tom przybrał monotony, bezmyślny ton kobiety: - Zaoszczędź na cenę kupna, zanim coś kupisz. Nigdy nie pożyczaj pieniędzy, nie kupuj nieruchomości, bo lepiej ją wynająć, i jeżeli chcesz zachować pieniądze, trzymaj je w obligacjach rządowych. Ja się staram, żebyś była bogata, a ty tylko skomlisz. Gdzie twoja odwaga?

- Nieważna moja odwaga. Wiem, gdzie jest twoje serce. W tym zlepku kas pancernych zwanym Wall Street.

- To smutne patrzeć, jak niepewna swego jutra biedna dziewczyna zmienia się w bogaczkę dalej niepewną swego jutra. Pierwotnie celowałaś wysoko, nie pamiętasz? Nie bój się tylko dlatego, że trafiłaś powyżej celu.

Zamówili opiekane ostrygi, a potem pieczonego bązanta. Tom ciągnął niechętnie, gniewnie:

- Jeżeli rzeczywiście chcesz się oddzielić, sprzedam ci moje udziały w KORONCE, a ty możesz mi sprzedać twoje udziały w PRZEBOJEM!. Albo vice versa.

- Judy nie chce z niczego zrezygnować, ty także nie chcesz, Tom -wtrąciła się Kate. - Może Judy byłaby trochę bardziej zadowolona, gdyby była mniej bogata. A ty, Tom... kocham twoją żylkę do spekulacji, bo sama ją mam, ale ty już zaczynasz być chodzącą i mówiącą spółką inwestycyjną.

Umilkła, gdy kelner im podawał ostrygi, a potem mówiła dalej.

- Uważasz, że Judy jest niewdzięczna, ale ona jest ci wdzięczna nawet bardzo za to, co dla niej robisz, tylko że są pewnego rodzaju napięcia, które ona lubi, i są takie, których po prostu nie może znieść. Chyba po tym ostatnim przyplywie gotówki możesz zrobić porządek w portfelu KORONKI, oddzielić przedsiębiorstwo inwestycyjne od całej reszty tej spółki? - Umilkła, westchnęła i po chwili powiedziała kwaśno: - Nie wiem, co cię ugryzło w ten wieczór, ale wolałabym, żebyś przestał się kłócić o pieniądze i powiedział Judy naszą nowinę.

Tom bawiąc się kieliszkiem, uniósł brwi, otworzył usta, zamknął je i w końcu powiedział:

- Uch, nie wiem, jak to ująć, ale Kate i ja weźmiemy ślub. Pełne zaangażowanie.

Judy rzuciła się ku niemu, pocałowała go w ucho.

- Tom, ty kochany staromodny facecie! No to przecież cudownie! - Uśmiechnęła się całą twarzą, jak gdyby włożyła ten uśmiech jak maskę. - Już wiem, co wam dam w prezencie ślubnym. Kate będzie to kochała, a ty będziesz się wzdragał, bo to prezent pod warunkiem. - Szczęśliwi narzeczeni patrzyli pytająco. - Pod warunkiem, że to postawicie w saloniku. Daję wam połowę konia T'ang.

Kate pisnęła zdumiona i uradowana. Tom wydawał się nieswój.

- No to cudownie, Judy, ale...

- Chyba jeszcze mamy tego konia?

- Mamy, ale to wykluczone, żeby go trzymać w mieszkaniu, gdzie mógłby się stłuc, to eksponat muzealny, zbyt cenny...

- Raczej wątpię, czy twórca tego konia zrobił go z myślą o stajni w bankowym skarbcu. Chyba nic by nie miał przeciwko temu, żeby miała go Kate.

Tom popatrzył na Kate, na jej ożywienie.

- Tak - zgodził się - chyba nic.

Nad grejpfrutem w czasie śniadania w pewien ciepły poranek październikowy roku 1978 żona Griffina nagle uwolniła męża z macek poczucia winy i powinności, które się na nim zaciskały. Jedli śniadanie przy orzechowym stole w jadalni, dość dużym dla czterdziestu osób, i jak zwykle Griffin jedząc przerzucał poranne gazety. Nagle Delia oznajmiła z triumfem:

- Griffin, to już ostatni cholerny raz muszę tu siedzieć i słuchać, jak jesz grejpfruta.

Griffin odłożył łyżeczkę, wymamrotał: przepraszam, przeczytał jeszcze kawałtka „Wallstreet Journal”, po czym coś do niego dotarło. Szarpnął głową.

- Jak to ostatni raz?

- Odchodzę, tak to! - promieniała radością. - Tego przecież chcesz, prawda? No więc właśnie to dostaniesz na Gwiazdkę. Już od dwóch lat, Griffin, jest inny mężczyzna, a tyś nawet nie zauważył...

Szybko poszukał w pamięci; nie, nie zauważył... chyba że...

- Ten, od którego mam szkła kontaktowe? Greenburg, Granheim, coś takiego... Ten optyk.

- Greenheimer, racja. Racja jak zwykle!

Griffin już milczał, ale nad pierwszą stronicą „Journal” ona jeszcze raz wdarła się w jego uwagę.

- Wyjeżdżamy razem do Izraela, zaczniemy tam nowe życie w kibucu, dopóki nie jest za późno.

Griffin odłożył gazetę i spojrzał na żonę ostrożnie. Nie wyobrażał sobie Delii pracującej na polu, jadającej zupy ze wspólnego kotła. Podejrzewał jakąś sztuczkę.

- A co z dziećmi?

- Fred to już raczej nie dziecko. Kiedy przyjeżdża z internatu, prawie nigdy nie ma go w domu... wciąż gdzieś z tą dziewczyną. Myślę, że on w końcu się do niej przeprowadzi. Będzie potrzebował trochę pomocy materialnej od ciebie i ja także. Ale wiem, że na tobie mogę pod tym względem polegać. W istocie już rozmawiałam o tym z Marvinem.

Griffin rzucił gazetę, wstał i ryknął.

- Byłaś u adwokata, zanim raczyłaś bodaj napomknąć mężowi, że chcesz się z nim rozwieść?!

- Myślisz, że jestem głupia?

Tego dnia wieczorem Judy, wchodząc do mieszkania, zobaczyła Griffina, który w saloniku popijał swoim zwyczajem przed kolacją imbirowe piwo. Ledwie wyciągnęła klucz z zamka, podszedł do niej. Nie pocałował jej na powitanie, tylko chwycił ją za obie ręce. Jak gdyby już nie mógł trzymać tego przy sobie, jak gdyby jeszcze nie wierzył, że to prawda, palnął wielką nowinę.

Judy rozdziawiła usta.

- To znaczy ona chce rozwodu? Rzeczywiście chce? Wierzysz w to? To nie jest dalej jej zabawa w kotka i myszkę?

- Nie, tym razem wierzę. Ona nigdy dotąd nie była taka... upojona, triumfalna, nieomal mściwa.

- Griffin, mówiąc uczciwie, ja jej nie potępiam.

- To wszystko nie ma absolutnie nic wspólnego z tobą, Judy. Między Delią i mną po prostu się nie układało, a ona rozwodu nie chciała. Więc nastąpiło przegrupowanie. - Lekko potrząsnął jej nadgarstkiem. - Posłuchaj, przyszedłem nie po to, by znów roztrząsać winy i odpowiedzialność. Przyszedłem zapytać cię, czy teraz, kiedy to jest możliwe... wyjdiesz za mnie, kochanie?

Słyszając te słowa, wymarzone, wyczekiwane od lat dziesięciu, Judy ku swemu zdumieniu nie zdołała powiedzieć, że tak. Po prostu nie wiedziała.

CZEŚĆ DZIESIĄTA

Rozdział pięćdziesiąty trzeci

Za krzewami pomarańczowymi i klombami nagietków przy końcu ogrodów pałacowych czekał na betonie szkarłatny helikopter Kiowa. Chorągiewka wskazująca kierunek wiatru zwisała. Dwaj uzbrojeni gwardziści w mundurach roboczych stanęli szykownie na baczność, gdy nadeszło królewskie towarzystwo.

Chociaż w roku 1972 wiele wykształconych kobiet Wschodu ubierało się w domu jak kobiety Zachodu, królowa Serah zawsze chodziła w tradycyjnych szatach sydońskich.

Teraz podniosła długą białą burkę, gdy jej pomagano wsiąść na przód helikoptera. Popiskując z zadowolenia wobec perspektywy lotu, dziesięcioletni książę Mustafa wspiał się ze swoim biało umundurowanym służącym na tył tej przezroczystej bańki, gdzie były trzy siedzenia. Abdullah, pedant, obszedł helikopter, sprawdzając, czy wszystkie drzwi są zamknięte, klamki dokręcone. Zakończył obchód przy drzwiach z prawej strony, wsiadł i usadowił się na siedzeniu pilota obok żony w luksusowej, zbudowanej na zamówienie kabynie. Podróż z pałacu Dinada do pałacyku myśliwskiego w górach wschodnich zabrałaby osiem godzin, a ten pięcioosobowy helikopter z odrzutową turbiną dolatywał tam w dwadzieścia minut.

Piaski migotały w upale, gdy Abdullah zapiął na sobie pasy. Uruchomił procedurę startowania i w gwałtownym podmuchu wiatru, smagającym piaskiem, helikopter ryknął, aż kości i zęby pasażerów zagrzechotały. Abdullah włożył słuchawki, włączył radio pokładowe i nastawił na częstotliwość wschodnich gór. Wskazówka na tarczy natychmiast wskazała kierunek, który miał wziąć. Gdy odsuwał od siebie ręcznie zakręcany dławik, wydawało się, że te ogłuszające ryki wpychają im w uszy świder pneumatyczny. Jeszcze powiódł wzrokiem po wskaźnikach na tablicy kontrolnej, sprawdził stabilność ciśnienia i temperatury i gładko oderwał helikopter od ziemi.

W przestworzach hałas nie ogłuszał, był raczej jak miarowe pulsowanie łodzi podwodnej. Patrząc przez tylne okno, mały książę pomachał ręką kurczącemu się pałacowi Dinada. Helikopter, czarodziejska ważka, wzniósł się, skręcił na wschód, po czym leciał już prosto przed siebie. W dole na obwodzie betonowej płyty mała gromadka gwardzistów i dworzan jeszcze salutowała i miała tak stać, dopóki helikopter nie zniknie za horyzontem.

Abdullah, zwracając chwilowo uwagę na podmuch chwilowego zaburzenia, nie zauważył, że wskazówka ciśnienia oleju najpierw drga, a potem sunie do zera. Na wysokości 900 stóp nad pustynią wyrównał. Był rad, że czeka go kilka spokojnych, niczym nie przerywanych dni, które spędzi z synem.

Poprzedniego dnia po południu mechanik podejrzewał, że jedno z łożysk przewodu olejowego jest pęknięte, więc je wymienił. W hangarze było prawie nie do wytrzymania gorąco i akurat, gdy zaczął dokręcać przednie zakończenie przewodu, w uszach mu zaszumiało wskutek tego upału, kolana się pod nim ugięły. Chwycił się rękami, nagle słabymi, boku helikoptera, zsunął się z drabiny i ryknął wodę z manierki, którą miał przy

pasku. Później, czując się już lepiej, wrócił na drabinę, sprawdził połączenia i podpisał zdolność maszyny do lotu. Ale zapomniał, że to połączenie przewodu olejowego jest niezupełnie dokręcone.

Raptownie z tablicy w górze dobyło się wycie. Abdullah się skoncentrował. Szybko sprawdził tablicę przed sobą. Adrenalina już krążyła mu we krwi, był spięty jak szybkiebiegacz czekający na wystrzał startera. To nieprawdopodobne, logicznie niemożliwe, a jednak...

Zabrzmiał alarm uszkodzenia silnika. Wszystkie trzy wskazówki silnika szybko przekreślały się na zero. Ciągły głośny alarm spadku prędkości' oznaczał, że łopaty śmigła zwalnają. Abdullahowi wszystko to, dziejąc się tak błyskawicznie, wydawało się jakimś złym snem w zwolnionym tempie, ale długie godziny lotów szkoleniowych sprawiły, że reagował szybko, machinalnie.

Nie miał czasu na przerażenie, zresztą nie było czego się bać. Gdy silnik zawodzi, helikopter nie spada jak kamień, tylko sunie w dół na ziemię jak szybowiec. Abdullah za pomocą regulatora z lewej strony zwolnił obroty śmigła, tak że helikopter przeszedł w lot ślizgowy. Śmigło stabilnie obracało się samo, dzięki czemu, jak było mu po tylu godzinach praktyki wiadomo, wylądował bezpiecznie.

Helikopter opadał, przez chwilę w stanie nieważkości.

Zabawki księcia uderzyły w strop kabiny, pluszowy miś odbił się mocno od głowy królowej, pasażerów tylko pasy utrzymały na miejscach. Służący zaczął krzyczeć ze strachu.

Gdy helikopter opadał, królowa odruchowo chwyciła się tablicy przed sobą i krzyknęła.

- Nie rób sztuczek, przerażasz dziecko! - odwróciła się i spojrzała na męża. Miał twarz jak maska, ruchy idealnie skoordynowane, walczył

o odzyskanie kontroli nad helikopterem. Takiego nigdy dotąd go nie widziała. Wpadła w popłoch. - Nie wolno ci tak nas narażać. Mustafa się przestraszy! - wrzasnęła i pociągnęła go za ramię. - Przestań, mówię! Abdullah, przestań!

Ale Abdullah nie słyszał ani jej, ani krzyków służącego. Całą siłę woli zogniskował na maszynie. Z ulgą stwierdził, że ma kontrolę nad śmigłem i że lot ślizgowy odbywa się zupełnie tak, jak ćwiczył to przed laty z siedzącym obok niego instruktorem.

Znów pewny siebie, szybko rozpatrzył w myśli ewentualne niebezpieczeństwo. Nie wiadomo, gdzie helikopter wyląduje na rozległych przed nim piaskach.

- Przestań! Natychmiast zatrzymaj tę maszynę! - Wrzasnęła histerycznie królowa. Po raz pierwszy ośmieliła się podnieść głos na męża. Pięciami okładała jego przedramię i nagle z wrzaskiem rzuciła się na czarny drążek sterowy między jego kolanami.

Helikopter zatrzęsł się i zaczął spadać.

Znów rzuciła się na Abdullaha. Z całej siły walnęła ją bokiem lewej pięści, rozrywając górną wargę; dwa zęby wbiły się w głąb ust. Osunęła się na swoje siedzenie, przycisnęła do krwawiących ust obie dłonie i piszczała w panicznej trwodze, gdy on zajął się znów zespołem sterowania.

Prędkość zmniejszyła się do dwudziestu mil na godzinę i zmniejszała się nadal. Żeby uniknąć katastrofy, konieczna była prędkość co najmniej sześćdziesięciu mil. Abdullah pchnął drążek do przodu, chcąc zwiększyć prędkość nurkowaniem. Nagle ogarnęło go przerażenie, pot zalewał mu oczy.

Znów helikopter opadł gwałtownie, tym razem należycie, ale wskazówka nie przesunęła się dość szybko. Na wysokości pięćdziesięciu stóp nad ziemią Abdullah już wiedział, że musi zaraz lądować byle jak. Zasygnalizował światłami, przyciągając drążek sterowniczy z powrotem do siebie, żeby maszyna się zatrzymała, zanim dotknie ziemi.

Helikopter zwolnił posłusznie i zaczął spadać. Prawdopodobnie uderzy

lekko, Abdullah nie pierwszy raz to przeżywał. Przygotował się, by zrównoważyć helikopter nad samą ziemią popchnięciem drążka do przodu.

I właśnie w tym momencie przed dotknięciem ziemi królowa z twarzą zakrwawioną znów rzuciła się na Abdullaha i znów bijąc go pięściami szaleńczo, wrzeszczała.

- Moje dziecko! Moje dziecko! Ciebie nie obchodzi moje dziecko!

- Przypadła do niego, oburącz szarpnęła drążek sterowniczy i ciągnęła do siebie, zdumiewająco silna, nieomal położyła się na drążku. Helikopter posłusznie obrócił się poziomo w lewo.

Nastąpił potężny, zawrotny wstrząs, gdy obracająca się łopata śmigła z tyłu helikoptera walnęła w piasek, zaryła się głęboko i znieruchomiła.

Złączenia utrzymujące łopaty na swoich miejscach całkowicie się pozrywały, ale ogromny, bardzo kosztowny trzpień śmigła, przymocowany do helikoptera, pozostał nie uszkodzony. Czubek łopaty, ważący 150 funtów, jeszcze sunąc w kierunku przeciwnym

niż wskazówki zegara, i to prawie z szybkością dźwięku, wyrznął w przód kabiny, przekroił tablicę kontrolną w stropie, co uciszyło jazgoczące alarmy, i spadł na królową tak, że odchlastał jej głowę.

Odciętą głowę, ociekającą krwią, rzuciło w tył na kolana synka. Mały Mustafa wrzasnął, zepchnął tę krwawą okropność z gołych kolan między zabawki na podłodze kabiny, gdy łopata z ostatnim straszliwym podrzutem w końcu uderzyła w ziemię. Helikopter szarpnął się i zatrzymał.

Krew tryskała z odciętego kłębu zmiażdżonych kości i strzępów mięsa, który był ciałem królowej. Lepka szkarłatna fontanna lała się na Abdullaha, zmoczyła mu ubranie, ręce, włosy, twarz. Próbował ścierać krew z oczu, ale palce miał mokre, czerwien z nich kapła.

Przez kilka sekund fizycznie i psychicznie był bezwładny. A przecież wystarczyło jedno spojrzenie w lewo na to zmasakrowane ciało. Umysł świetnie przeszkolonego pilota zarejestrował, że pomoc nie jest potrzebna - przede wszystkim trzeba z wraka helikoptera wyciągnąć dziecko i rozwrzeszczanego sługę, i to jak najszybciej, bo do odoru krwi i wymiotów z tylnych siedzeń dołączają się dwa wyraźne zapachy: palących się przewodów elektrycznych w rozbitej górnej tablicy i oparów z siedemdziesięciu galonów ulatniającego się ze zbiornika pod tylnymi siedzeniami paliwa odrzutowego.

Błyskawicznie Abdullah przystąpił do działania, zerwał z siebie pasy, zrzucił słuchawki, dźwignął się i wyprostował szyję i ramiona nad rozbitą wygiętą przednią szybą. I nagle, w niecałe sześćdziesiąt sekund od uderzenia helikoptera w ziemię, rozległ się ryk. Jakaś ogromna ręka podniosła Abdullaha w powietrze i cisnęła daleko nad piaskiem pustyni.

Upadł na brzuch, na skręcone nogi, krztusząc się i zachłystując bez tchu. Nie był w panice, nie czuł bólu, chociaż rzeczywiście doznał wstrząsu mózgu i poza skomplikowanym złamaniem nogi, połamania żeber. Przez chwilę leżał oszołomiony, a potem z ogromnym wysiłkiem skoncentrował się, zmobilizował siłę woli i podniósł głowę.

Powoli, miarowo, obrzydliwie horyzont przechylił się pod kątem czterdziestu pięciu stopni w lewo. Rozdygotany z wysiłku Abdullah we krwi, tężejącej w galarete, dźwignął się na rękach i zobaczył helikopter. To już była kula ryczącego ognia. Bezsilnie zapatrzył się w tę płomienną masę szczątków. Potem z ponurą zawziętością zaczął się czołgać, wlec

na rękach w tamtą stronę, zanim uderzył twarzą w piasek, tracąc przytomność. Pozaczasowa, bezosobowa cisza panowała na pustyni, tyle że ryczały trawiące płomienie.

Rozdział pięćdziesiąty czwarty

W słońcu późnego czerwca szkarłatny Jaguar Lili pędził autostradą na wschód od Paryża. Trzy mile od Epernay Lili zjechała z N 51 w kierunku Le Mesnil-sur-Oger. Z prawej strony przesuwały się łąki pełne jaskrawożółtej gorczycy na przemian z łanami złocistego zboża upstrzonego szkarłatem maków, szafirem bławatków, bielą rumianków. Na lewo ciągnął się ciemnozielony bukszpanowy żywopłot, ogradzający posiadłość La Chazalle.

Lili skręciła w lewo przez otwartą bramę całą z czarnych żelaznych zakrętaków. Żywopłoty i drzewa wyglądały nadzwyczaj schludnie, trawa była świeżo skoszona. W odległości pół mili od bramy, na końcu prostej żwirowanej alei wjazdowej, stał osiemnastowieczny francuski chateau, doskonale proporcjonalna budowla z kamienia z rzędami wysokich okien migotliwych w słonecznym blasku.

Zimmer miał rację. Czas, żeby zaczęła bywać wśród ludzi. Chroniła się, a raczej ukrywała pod jego skrzydłami od ośmiu miesięcy.

Przez te wszystkie miesiące Lili mieszkała sama i opłakiwała Stiarkoza, nie chcąc o nim mówić nawet z Zimmerem, z którym rozmowy ograniczała do swojej pracy. Aż w końcu pewnego dnia Zimmer wszedł do garderoby, gdzie siedziała w kwiecistym szlafroku mauve przed rześcicie oświetlonym lustrem i zmywała z twarzy makijaż. Bez pytania wypchnął za drzwi garderobianą i drzwi zamknął na klucz. Potem stanął za Lili, położył jej ręce na ramionach i patrząc na nią w lustrze, powiedział:

- Lili, próbowałem dać to do zrozumienia, ale ty nie chciałaś słuchać, więc teraz mówię ci bez ogródek: zamykanie się przed światem i przed ludźmi odbija się na twoim aktorstwie. Moja droga, Jo nie żyje, a ty żyjesz. Powinnaś świadomie starać się zainteresować na nowo tym wszystkim, czym się zajmowałaś przy Jo... i powinnaś też zdobyć się na wysiłek, żeby mieć nowe znajomości, trochę rozrywek. Rozrywki to dobre lekarstwo; przygnębienie to folgowanie sobie.

Lili w lustrze patrzyła spode łba na Zimmera, ale wiedziała, że odosobnienie naprawdę odbija się na jej aktorstwie. Dlatego przyjęła zaproszenie madame La Chazalle.

Zatrzymała teraz czerwonego Jaguara przed imponującym portykiem. Wsiadła, zadzwoniła do drzwi. Nic się nie działo.

Spodziewała się, że wybiegną co najmniej dwaj lokaje w liberii i wezmą z samochodu jej bagaż. Zajrzała przez szybki w drzwiach. Zobaczyła wielki hall z podłogą z płyt kamiennych i po bokach filary, między którymi wisiały na ścianach portrety w złotych ramach. Nadal było cicho.

Zdezorientowana Lili zadzwoniła jeszcze raz.

- Najwidoczniej znowu jakieś przesilenie w kuchni - usłyszała za sobą męski głos. - Pani pozwoli, że ja wezmę pani rzeczy.

Odwróciła się. To był bardzo wysoki młody człowiek w granatowym golfie i džinsach tak obcisłych, jak gdyby na jego długie nogi zostały natryskane. Włosy koloru krówki śmietankowej opadały mu kosmykami na orzechowe oczy i opaloną szczupłą twarz. Za duże usta powoli się rozciągnęły w powitalnym uśmiechu.

- Nie muszę pytać, kim pani jest. - Mając dwadzieścia cztery lata, Lili cieszyła się światową sławą. Wziął jej granatowe skórzane walizki, kopnięciem otworzył drzwi i odsunął się, by weszła pierwsza. Gdy wchodzili na zakręt szerokich schodów, spotkali schodzącą Maxine.

Przez dziesięć sekund Lili miała wrażenie, że to jest osoba straszna, ale potem Maxine się uśmiechnęła.

- Więc już pani poznała Alexandres, mojego najmłodszego syna. Miło mi znów panią widzieć. Wenty na cele dobroczynne są często, ale nie często spotykam na nich kogoś tak czarującego na podium. Byłam tam tylko dla reklamy, zawarcie takiej znajomości to dla mnie premia. - Zawrócili z nią na dół. Nie przestawała gawędzić. - Jak napisałam w liście, ten weekend to obławanie naszej rocznicy. Minęło osiemnaście lat, odkąd otworzyliśmy zamek dla publiczności.

- Maman, gdzie są wszyscy?

- Cały personel jest na tarasie. Przygotowują fajerwerki. Tyś powinien im pomagać, Alexandre. - Poczochnęła jasne włosy syna.

Ale on nie miał zamiaru odejść od Lili, pobiegł na górę, zostawił walizki na szczycie schodów, wrócił i wszedł za nimi dwiema do salonu. Przed tarasem srebrzył się prostokąt wody, pluskały fontanny. W białym ogromnym salonie migotały odbłaski tego stawu, powielane przez antyczne lustra na jednej ze ścian. Małe szklane stoliki były ekspozycją bibelotów z siedemnastego i osiemnastego wieku. Stały na lawendowych i szarych dywanach Aubusson. Szary krótkowłose kłapouchy weimarczyk usiłował wygryźć dziurę w poręczy jednej z obitych brokatem kanap.

- Przynajmniej z Sabą ten pokój wygląda na zamieszkały - zauważyła Maxine. - Wciąż słyszę, że jestem przesadnie porządna. Cały ten dom wyglądałby jak muzeum, gdyby nie moi synowie i moje psy.

- Nasz cały dom jest muzeum - wyjaśnił Lili młody Alexandre - ale nie nudnym i nie zakurzonym. Maman postarała się, żeby tu było urzekająco. Zobaczysz pani tę część dla publiczności. Zdalne zmiany oświetlenia, wszędzie pełno kwiatów, a w pokoju, w którym nocował Diagilew, co dzień rozpyła się Mitsouko, bo to były jego ulubione perfumy.

Okna apartamentu Lili wychodziły na park. Ściany sypialni były pokryte bladożółtym jedwabiem, tak samo jak kanapa przed ręcznie rzeźbionym marmurowym kominkiem. Ogromne łóżko stało w alkowie z draperiami z ciemnotopazowego aksamitu. Po obu stronach łóżka były półki. Na jednej z nich, przy stercie najświeższych bestsellerów, leżała historia zamku pod tytułem Chateau de Chazalle - Miejsce zawierania przyjaźni. Były też notatniki z poślacanymi ołówkami, lichtarz mosiężny na świecę, aparat telefoniczny koloru kości słoniowej, aksamitne pudełko z bibułkami, antyczna złota szkatułka zawierająca herbatniki i kilka miseczek porcelanowych z różowymi migdałami w cukrze i cukierkami miętowymi. Na srebrnej tacy „do poduszki” stały butelki drogiej wody źródlanej oraz karafki ze rżniętego szkła z whisky i brandy. Przy aparacie telefonicznym leżał spis gości, numerów ich pokoi i telefonu wewnętrznego.

Lili wzięła tę grubą kremową kartę ze sztychowanym zielono herbem de Chazalle - stojący dęba lew z różą w łapie. Pod datą: 21 czerwca 1974 roku figurowali goście: dwóch ambasadorów, producent i jego żona, gwiazda baletu, reżyser filmowy z Hollywood, grecki armator, którego ona знаła, bo bywał u Stiarkoza, trzej inni wielcy potentaci, światowej sławy zwycięzca wyścigów samochodowych i jego piękna żona, nowojorska rudowłosa projektantka dzinsów z szóstym mężem, włoski książę, angielski lord i - Andi

Chemo z „Paris Match”. Więc będzie fotoreportaż, nic dziwnego, że lista jest taka okazała.

Lili zrobiła w myśli przegląd swojej garderoby. Pokojówka, Portugalka, już rozpakowała jej rzeczy i rozwiesiła w ubieralni obstawionej szafami, w których po otwarciu automatycznie zapalało się światło. Przygotowała też kąpiel, powiedziała, żeby zadzwonić, jeżeli Lili życzy sobie pomocy przy ubieraniu czy czesaniu, i zniknęła.

W piątkowe wieczory Maxine dawała kolację d la fourchette, co wytwarzało swobodny nastrój ułatwiający gościom przełamanie pierwszych lodów. Chociaż lokajów w zielonej liberii ze złotem było dostatecznie dużo, sam Charles de Chazalle krążył po srebrnym salonie częstując swoim firmowym szampanem. Monsieur le Comte nie potrafił tak jak jego zręczna żona wśliznąć się w ożywioną rozmowę na dziesięć minut, po czym wyśliznąć się i z wdziękiem przejść do innej gromadki gości. Jemu musiała służyć butelka za kartę wstępu i za pretekst do odejścia. Podchodził z pytaniem: „Czy wszyscy mają co pić?” i odchodził ze słowami „no, powinienem iść dalej”, lekko salutując butelką na dowód, że wzywają go obowiązki pana domu.

Bardzo wysoki i szczupły, garbił się trochę, jak gdyby wiało mu na kark. Jego jasne włosy już siwiały i zaczynał się starzeć, ale to mu tylko przydawało dystynkcji. Wyraz twarzy miał uprzejmy i wciąż jeszcze nieco zdziwiony wobec zmiany, jaką żona wprowadziła w jego życie. Osobiście wolalby mieć dom taki jak dawniej, chociaż w jego chłopięcych czasach była to siedziba dosyć odrapana. Z drugiej strony, gdyby nie ten cały jarmark cudów, przecież nie mogliby mieszkać tutaj, a nie wiedział, czy zniósłby utratę La Chazalle. Więc te wszystkie migotliwe uroczystości ze sławnymi ludźmi, te tłumy, ten aplauz i szeregi fotografów uważał za pewnego rodzaju pokutę, którą musi odbyć, zanim będzie mógł schronić się do biblioteki.

Kobiety na przyjęciach zawsze przypuszczały, że Lili rzuci się na ich mężów, więc ona z reguły zaczynała rozmawiać najpierw z kobietami. Linda, rudowłosa projektantka dzinsów, okazała się zdumiewająco urocza i zabawna, gdy mówiły o powszechnych trudnościach, jakie sprawia dopięcie zamka błyskawicznego w tych czasach, kiedy się nosi rzeczy o numer za małe.

- No, ale dzinsy to nowoczesny odpowiednik gorsetu: wbijasz się w dzinsy i one cię wtłaczają w przepisowe kształty - powiedziała Linda. - Scarlett O'Hara, gdyby żyła teraz,

nie kazałyby na sobie sznurować gorsetu. Wiłaby się po podłodze, żeby dopiąć zamek dzinsów.

Andi Chernow skierował na nie swoje szkła kontaktowe. Obie natychmiast przerwały rozmowę, przybierając takie pozy, jak gdyby dalej rozmawiały. Obie, często fotografowane, wiedziały, że jeśli się rozmawia naprawdę, na zdjęciu będzie się miało oczy zamknięte, usta rozdziawione nad trzema podbródkami.

- Ecco belle! - zawołał uśmiechnięty Andi i poprosił, żeby stanęły przy oknie z hollywoodzkim reżyserem i greckim armatorem, któremu w oczach błysnęła nadzieja, gdy Lili ruszyła ku niemu.

- Cześć, Steni. Ostatnim razem widzieliśmy się na pokładzie „Creole”.

- Tak, potem trzeba było dwóch tygodni dla mojego nosa, żeby przestał się łuszczyć i dziesięć tygodni dla mojej wątroby, żeby się uspokoiła.

Maxine ciężko pracowała organizując przyjęcia tak, jakby nikogo nie kosztowały ani trochę wysiłku. Tego dnia od szóstej rano przeglądała swoje spisy, odfajkowała pozycje, konferowała z głównym ogrodnikiem, z kucharzem, z kamerdynerem. Sprawdziła ognie sztuczne przygotowane na tarasie i na drugim brzegu stawu, a potem skontrolowała jadłospis i win dokonała inspekcji sali balowej i szatni, ambulatorium i toalet dla orkiestr i personelu disco. O dziesiątej rano dołączyła do mademoiselle Janinę, która już usuwała z pokoi dostępnych dla publiczności wszystkie cenne, a nieduże przedmioty.

Do godziny jedenastej Maxine chodziła po zamku, pracując nieprzerwanie aż wreszcie znalazła się w swojej łazience, zadowolona, że jej dom jest gotowy godnie uraczyć czterysta osób zaproszonych na wieczorny bal. Nie cierpiała ceremonii tradycyjnego podejmowania weekendowych gości w dworach wiejskich. Zawsze swoim chwilowym domownikom podsuwała rozrywki, ale też wyjaśniała im, że jeśli wolą siedzieć w pokojach albo włączyć się po tej zalesionej posiadłości samotnie, proszę bardzo. Dzisiaj zorganizowała przejeżdżki konne, golfa i tenisa dla Amerykanów. Tylko że mężczyźni będą prawdopodobnie wylegiwać się nad basenem pływackim, a kobiety odpoczywać przed balem, poddawać głowy zabiegom dwóch fryzjerów sprowadzonych z Paryża.

Istotnie nikt się nie pokazał, dopóki nie nadeszła pora obiadowa. Obiad podano na stolikach na tarasie. Słońce świeciło, fontanny były jak miękkie srebrzyste pióropusze,

lód podzwaniał w szklankach i chrząścił w kubekach, szczękały srebrne sztucce, śmiech przeplatał rozmowy.

Alexandre przyszedł na taras przed wszystkimi innymi i przełożył bileciki z nazwiskami, żeby siedzieć obok Lili. Oczu nie mógł od niej oderwać, co z irytacją zauważyła jego matka. Nigdy Maxine nie pozwalała synom na żadne spoufalanie się z gośćmi. Nie wolno im było rozmawiać z prasą ani fotografować się ze znakomitościami, ani prosić kogokolwiek o autograf,. Postanowiła wezwać Alexandres do swojej ubieralni wieczorem i przypomnieć smarkaczowi, jak ma się zachowywać.

Lili była w białej taftowej sukni z bardzo głębokim dekoltem, którą dała jej w prezencie na dwudzieste czwarte urodziny Zandra Rhodes. Ogromne bufiaste rękawy i bardzo szeroki pasek podkreślały jej cieką talię nad wirującymi fałdami taftowej spódnicy. Włożyła roziskrzona, długie brylantowe kolczyki, jedyną pozostałość z kolekcji klejnotów, które dostała od Stiarkoza (oddane do naprawy, były u von Kleefa w Monte Carlo tamtego dnia, gdy Jo umarł).

Schodząc wolno z marmurowych schodów, Lili wyglądała jak delikatna hiszpańska księżniczka z osiemnastego wieku, woń jaśminu i nagrzanej trawy zza okien łączyła się z bardziej wymyślną wonią bijącą od jej nagich, jedwabistych ramion. Stonowany gwar rozmów przerywały od czasu do czasu wybuchy śmiechu. W długiej sali balowej pod żyrandolami orkiestra grała Zobaczmy się znów. Za rzędem otwartych szklanych drzwi, prowadzących na taras, rozsnuwał się nad stawem ciepły, przesycony zapachem siana zmierzch.

W salonie przy sali balowej czekał na gości wytworny bufet, un repas rose. Obwieszona gałązkami ciemnozielonego wawrzynu leżały na stołach różowe obrusy. Za półmiskami stały kryształowe wazon z pękami blad różowych róż. Kucharze w białych czapkach kroili płaty szynki i cienkie jak papier płaty ciemnoczerwonego prosciutto. Były sterty przezroczystych różowych ślimaczków, sauce aurore w srebrnych sosjerkach, wielkie ciemnoczerwone żyłkowane homary, kruche langusty, delikatny blad różowy łosoś z wody i morska sałatka z mątwy i ośmiornicy. Jeden długi stół był cały zastawiony sałatkami, które pachniały jak ogród wczesnym rankiem; na innym różowym płóciennym obrusie, ułożone w piramidy, wznosiły się różowe bezy Chantilly wśród

srebrnych pater z truskawkami Romanow i głębokich kryształowych miseczek z malinami w śmietanie. I naturalnie był różowy szampan.

Maxine wiedziała, że siostry Charlesa uznają to za pomysł niesłychanie wulgarny, ale że prasie będzie się to szalenie podobało.

W przeciwieństwie do wytworności sali balowej, duże piwnice win w drugiej części zamku zmieniono w przyćmioną, oświetloną za pomocą tuby kolorowymi błyskami dyskotekę, gdzie nawet butelki w barze tętniły w takt rozbuchanego dudnienia i pulsowania muzyki rockowej.

Dopiero o szóstej rano ostatni samochód zniknął w czerwcowej mgiele u wylotu zwirowanej alei. Lili spała już od trzech godzin. Wsunęła się do ciepłego łóżka myśląc, że ten bal był naprawdę doskonały. Zachowywała się najlepiej jak potrafiła, tańczyła ze wszystkimi mężczyznami z grupy gości zaproszonych na cały weekend i bez końca pozowała do fotografii. Jak zwykle, była przez mężczyzn oblegana, nawet poflirtowała trochę z dwoma, ale uważała, żeby nie tańczyć z nikim więcej niż jeden raz. Wciąż jeszcze nie pogodziła się z tym, że nie ma Jo.

Nikogo z gości nie było widać aż do obiadu, który został spożyty cicho i sennie. Po obiedzie Alexandre, przynosząc Lili kawę, zapytał, czy może pokazać jej las i jezioro, w którym zwykle pływa z braćmi. Przez te dwa dni się zastanawiał, jak odciągnąć ją od reszty gości.

Lili nie była niezadowolona z tej młodzieńczej adoracji. Po kawie poszli spacerkiem przez gąbczasty, upstrzony jaskrami i stokrotkami trawnik do lasu.

Alexandre nie wierzył swemu szczęściu. Gdybyż tylko koledzy z klasy mogli go teraz zobaczyć. Niefrasobliwy jak jego psy, podskakiwał od czasu do czasu na ścieżce i chwycił rozpostarte w górze gałęzie. Lili idąc za nim, czuła się swobodnie, dziwnie młodo. Jego naturalność, bezpośredniość i bujna chłopięca energia stanowiły takie przeciwieństwo wyrafinowanego, oschłego towarzystwa w zamku.

Gdy ścieżka zaczęła wić się w zaroślach, Alexandre przytrzymał gałęzie leszczyny, żeby nie podarły białej woalowej sukienki Lili.

Jezioro było płytkim, kamienistym wybrzuszeniem rzeki. Wokoło rosnęły wysokie zielone trzciny i sitowie. Wierzby pochylały się, żeby pieścić wodę gałęzmi, wlokącymi po niej miękkie, szare liście poplamione blaskiem słońca. Alexandre i Lili zdjęli pantofle,

siadając na brzegu, zwiesili nogi i patrzyli, jak ta rozedrgana czysta woda zniekształca ich blade, białe stopy.

Nagle Alexandre już nie mógł wytrzymać. Musiał dotknąć Lili. Zdeterminowany, niezdarnie, powoli podniósł jej rękę z trawy i z ceremonialną powagą ucałował mały palec. Ale usta przyciśnięte do różowego paznokcia drżąc się rozchyliły, czubek palca wsunął się pomiędzy wargi i stopniowo dalej tak się wsuwał, aż cały był w drżących szerokich ustach. Chłopiec dyszał, trzymał teraz palec delikatnie między zębami, przetaczał po nim mokry język, wciągał go lekko, a uporczywie, badał smak jedwabistej skóry.

Lili spodziewała się czegoś w tym rodzaju, na pewno jednak nie spodziewała się gwałtowności swojej reakcji. Przemknęło jej przez myśl, że powinna delikatnie odepchnąć tego chłopca od siebie. On jest za młody. A przecież plecy jej się wyginały, w dołku ścisnęło, brodawki ćmiły, jak gdyby były dwiema niewidzialnymi nitkami połączone z jej kroczem. Zachłysnęła się, przez chwilę nieruchoma, ale jej ciało drżeniem domagało się, by zareagowała. Już nie panując nad sobą, przeczesła drżącymi palcami jego gęste słomiane włosy i zaczęła głaskać opalony chłopięcy kark. Żadne z nich nie powiedziało ani słowa, gdy on spojrzał jej w oczy. Powolutku rozchyliła wargi, patrząc na złociste puszek na jego policzkach, na arystokratyczny nos.

W orzechowych oczach chłopca było dziwne oszołomienie, gdy przypadł do niej. Szerokie usta musnęły jej policzek i raptem przycisnęły się do jej ust.

Wolno osunęli się na trawę. Alexandre na pół leżał na Lili, przymykał zamglone oczy, wsysając jej wargi. A Lili z tym ścisaniem w dołku sztywniała pod jego gładkimi rękami. Nagle sobie przypomniała, że ręce Jo Stiarkoza były jak pomarszczone włoskie orzechy. Poczula się podle nielojalna, wdychając piżmowy zapach Alexandres, erotyczny zapach świeżego młodzieńczego potu. I tę miłą woń jego włosów zmieszana z zielonym zapachem zgniecionej trawy, na której leżeli.

Objęła go swymi smukłymi rękami. A potem wsunęła ręce pod jego trykotową koszulę. Czula, jak grają mięśnie jego pleców, gdy z oczami zamkniętymi wsuwał się bokiem na nią całą, aż ją uwięził pod sobą. Teraz jej ręce, zdawałoby się opętane, podążyły na tył jego dżinsów i pod ten szorstki twardy brezent i na jego jedwabiste jędrne pośladki. Boże, pomyślała, młode, mocne ciało. W jednej ulotnej sekundzie znów

sobie przypomniała z poczuciem winy i wbrew woli, żółwie, trochę obwisłe worki Stiarkoza, zapadanie się skóry jak ciasta pod dotknięciem!

Przywierając do Alexandres, czuła jego jędmność pod pęczniejącym brezentem. Powoli wepchnął rozdygotane dłonie pod jej sukienkę, powoli rozpiął perłowe guziki, nie odrywając warg od jej ust. Ćmiące brodawki stwardniały czekając na jego dłonie. Delikatnie przycisnął miękką biel i natrafił na twarde różane pąki. Po chwili przeciągnął rękami dalej, usta niezdarnie przeniósł na jej piersi i ssał, i ssał najpierw jedną różową brodawkę, potem drugą. Im mocniej ssał, tym głębiej w sobie Lili czuła podobne, łaknące ssanie. Podciągał jej sukienkę i już jego ręka była pod cienką tkaniną. Ciepła ręka na nagim brzuchu, a potem niżej pod skrawkiem białej koronki. Lekko, z wahaniem dotykał, a ona w łuk wyginała się ku niemu, bezradna. Coraz pewniejszy siebie, głaskał ją, wplatał palce w jedwab ciemnych włosów, szarpał je lekko, a potem miarowo, natarczywie głaskał ją znowu, dopóki na pół naga nie wygięła się ku słońcu i jej ostry piskliwy okrzyk nie wzbił się między szeleszczące drzewa.

Długo, kilka minut, nie wiedziała, nie pamiętała, nie myślała nic, gdy słońce z niebieskiego nieba za drzewami lało blask przez sito liści. Potem on szarpiąc, drżącymi rękami rozpiął jej pasek. Pomogła mu, żeby zdjął z niej sukienkę. Wspólnie ściągnęli z niego dżinsy i teraz leżeli w wysokiej trawie nadzy oboje. Z oczami nadal zamkniętymi Alexandre rzucił się na Lili. Znów były te wargi jak skrzydełka ćmy cudowne na jej ustach, ręce na jej piersiach, jędrność nagiego ciała na jej brzuchu. Podniecona nieomal do szału, poszukała go i wprowadziła roztętnionego, czując, jak łomocze jego serce przy jej sercu. Ponad wszystko chciała go tak mieć, tak się zjednoczyć z tym szalonym silnym chłopcem, który ją do głębi jestestwa posiadał. Alexandre jęknął, podniósł głowę ku niebu i zadrżał.

- Lili, Lili, Lili! - zawołał. To imię tylko w myśli wypowiadał raz po raz od trzech dni.

Tulił się do niej. Oczy miał nadal zamknięte, długie rzęsy na opalonej twarzy. W końcu szeptem zapytał:

- Czy... było ci dobrze?

Oplotła go smukłymi, brązowymi rękami.

- Było cudownie - szepnęła. Więc pokochał się z nią jeszcze raz.

Potem nie mógł oderwać od niej ust. Zwinęła się i wtuliła w jego złocisty tors, mruzczała w zagłębieniu jego pach, wachała miękki puch. Podniecona, upajała się

powrotem do życia. Pochyliła głowę tak, że jej ciemne włosy opadły, i zaczęła przeciągać tym czarnym jedwabiem po chłopcu, aż on znów rzucił się na nią.

Nie mógł jej nie dotykać. Głaskał ją, jakby była czymś drogocennym, a bardzo kruchym.

Ześliznęli się nadzy z brzegu i stanęli po pas w wodzie. Lili czuła, jak jej palce nóg rozkosznie grzęzną w miękkim mule, gdy Alexandre śmiejąc się i chlapiąc, wciągał ją w tę czystą wodę. Przez kilka minut szamotali się dla zabawy. Potem podniósł ją, ociekającą, połyskliwą jak satyna, i położył na brzegu, usiadł obok i patrzył na nią. Ukradkiem, jak gdyby łamał zakaz, błędził wzrokiem po jej brązowym ciele. Radował się i napawał. Jak młody wilk był niepohamowany. Pochylił się i znów zaczął całować jej piersi, teraz już mocniej. Lili trzęsa się w ekstazie, gdy ciepły język przetaczał się po jej żebrach, mokry, ciepły koniuszek języka zwilżał jej brzuch i po czułym spotkaniu z pępkiem już nie ustawał w drodze na południe. Czuła jego gorący oddech w swoich ciemnych włosach i ruchliwość języka na rozedrganej skórze, delikatną a tak nieustępliwą, że całkowicie poddała się rozkoszy, jaką ten chłopiec jej dawał.

Później czekali w lesie, dopóki Alexandre nie uznał, że już na pewno wszyscy zebrali się w salonie na koktajle. Po cichu przebiegli spośród drzew przy trawniku do drzwi oranżerii. Alexandre wyglądał jak senny, brunatny zwierzak. Szalenie był zadowolony z siebie i nadal nie mógł trzymać rąk z dala od Lili bardzo potarganej, w sukience pomiętej i poplamionej trawą.

W szklanej oranżerii stały ciemnozielone donice z wonnymi białymi kameliami i cierpko, ostro pachnącym szkarłatnym geranium. Między ławkami z rzeźbionego kamienia ustawionymi w pięciojardowych odstępach rosły drzewa cytrynowe i pomarańczowe.

Na końcowej ławce, wyprostowana, w mandarynkowym atłasie, siedziała Maxine.

Wcześniej po południu mademoiselle Janinę, przyciskając czoło do szyby okiennej w niebieskim salonie, zobaczyła, jak Lili i Alexandre idą przez trawnik do lasu. Nie tylko zauważyła, ona jedna, ich odejście, ale natychmiast podbiegła do stolika z kawą i szeptem zawiadomiła o tym Madame la Comtesse. Maxine, nagle owładnięta gwałtowną zazdrością, odrzuciła wszelką logikę. Jak wszyscy inni, widziała zadurzenie Alexandres, ale raczej nie przypuszczała, że słynna gwiazda zwróci uwagę na piętnastolatka, zwłaszcza gdy ma tutaj tylu odpowiedniejszych adoratorów. Teraz nie zdołała

zignorować tej sytuacji. Kipiała oburzeniem, wściekłym gniewem. Domyślała się, że oni wrócą o zachodzie słońca, i to (jeżeli Alexandre jest choć trochę taki, jak jego bracia i ojciec) niewątpliwie przez oranżerię, ukrytymi niedużymi drzwiami, czyli najbliższą drogą z lasu do zamku.

Przebierając się przed kolacją, poprosiła Charlesa, żeby przez kilka minut sam zajmował się gośćmi. Charles szybko spojrzał na nią, zaniepokojony; zawsze coś się święci, kiedy Maxine mówi takim starannie niedbałym tonem. Uznał jednak, że lepiej nie pytać, tylko zastosować się do jej życzenia.

Drzwi oranżerii cicho się otworzyły i wsunęła się ta parka. Alexandre od razu przyciągnął Lili do siebie, pochylił głowę ku jej szyi, a Lili łagodnie się roześmiała.

- Nie wolno ci nigdy mnie dotykać, kiedy ktoś mógłby zobaczyć.
- Więc mogę przyjść dziś w nocy do twojego pokoju?
- Pójdiesz teraz do swojego pokoju, Alexandre.

To był głos matki. Wysoki chłopak, zaskoczony tak znienacka, zmieszał się jak sześciolatek, którego przyłapano na zwęczeniu cukierków. Wahał się. Lili pchnęła go lekko w stronę korytarza. Uciekł. Maxine patrzyła na Lili ze wstrętem.

- Nie mogła pani zostawić mojego syna w spokoju? Musi pani uwodzić piętnastoletnich chłopców? Żadnemu nie przepuścić?

- Niech pani nie będzie śmieszna. To on mnie uwiódł... Rzeczywiście ma dopiero piętnaście lat?... Myślałam, że osiemnaście... może siedemnaście.

- Cierpię na myśl, że on pani dotykał.
- Ale co w tym takiego strasznego? Najwyraźniej to nie był jego pierwszy raz.
- On powinien kochać dziewczynę w jego wieku i z jego sfery.
- Ja mam tylko dwadzieścia cztery lata.

- Nie obchodzi mnie, ile masz lat! Jesteś nie lepsza niż byle dziwka! Tu Maxine posunęła się za daleko. Lili wpadła w furję.

- Pani mi zazdrości, bo ja go miałam, a pani nie może!

Maxine podeszła i trzepnęła w twarz to stworzenie, które oczarowało jej najukochańszego, najmłodszego syna.

Szybko jak walczący kogut Lili natarła na Maxine tak, że paznokciami, chyba nawet niechcący, przeorała ją po twarzy. Krew popłynęła z policzka Maxine trzema strużkami.

Płacząc z oburzenia, Lili nie ustawała, waliła, młóciła tę starszą i większą od niej kobietę, gdzie popadło, rozwścieczona, spragniona zemsty. Maxine pełna zgrozy, podniosła obronnie ręce i żeby odsunąć Lili, kopnęła ją czubkiem pantofla z mandarynkowego atłasu. Lili, mrużąc oczy, wciągając wargi jednak przyskoczyła z powrotem.

Maxine ogarnął wstyd, żal i niepokój. Nigdy w życiu dotychczas nikogo nie uderzyła, nawet swoich synów, gdy byli dziećmi. A przecież nie pozwoliła sobie zachować się aż tak źle, jak ta szmata. Wyrwała się i w sukni podartej, z włosami rozpuszczonymi z jednej strony, z policzkiem krwawiącym, uciekła do swojej sypialni.

Rzuciła się na nakryte niebieskim jedwabiem łóżko, sięgnęła po biały aparat telefoniczny i połączyła się z gospodynią. Chociaż było to trudne, powiedziała spokojnie:

- Proszę natychmiast spakować rzeczy mademoiselle Lili i niech Antoine podstawi jej samochód pod drzwi frontowe. Ona zaraz wyjeżdża. - Potem zadzwoniła na kamerdynera.

Szybko przebrała się w płaszcz kąpielowy, przyglądała szczotką i upięła włosy, przemyła podrapany policzek, który już nie krwawił, i zaaplikowała Concealstik na draśnięcie. Gdy wszedł kamerdyner, powiedziała po prostu:

- Było małe zamieszanie, Lamartine. Panna Lili wyjeżdża. Dopilnuj, żeby za pół godziny już jej tu nie było. I aha... z kolacją lepiej poczekać, dopóki ona nie wyjedzie. Nie chcę niepokoić gości i nie potrzebujemy tu awantur. Proszę teraz podać im jeszcze szampana.

Lili tymczasem już ciskała swoją garderobę do walizek. Z zamku wyszła z głową podniesioną wysoko, świadoma, że patrzy na nią czujnie, chociaż bez wyrazu, Lamartine w roli jaśniepańskiego wykidajły.

Otulone zmierzchem piękne zamczysko oddalało się w lusterku nad kierownicą, gdy Jaguar pędził aleją wjazdową do bramy. Ledwie znalazła się za bramą, zjechała na pobocze szosy i rozpląkała się rzewnie.

Ale ten epizod jeszcze się nie skończył. W następnym numerze „Paris Match” nie było zdjęć znakomitych gości Maxine na jubileuszowym balu. Była natomiast rozkładana kolorowa wkładka z czołowym nagłówkiem „Chateau de Chazalle - Miejsce zawierania przyjaźni”.

I pod tym pierwsze z idyllicznej serii zdjęć pary młodych kochanków na polance leśnej. W wysokiej trawie leżała niezaprzeczalnie Lili i Alexandre. I było zbliżenie jego ust i ręki na jej piersi. I jeszcze zdjęcie ich obojga splecionych ze sobą, roześmianych za mgłą chlustającej rzecznej wody.

Wszystko to dosyć dyskretne, jak zwykle w takich okolicznościach - bez żadnych drastycznych szczegółów - ale niewątpliwie erotyczne.

Soczewka telefoto Andiego Cherny pstryknęła nową sensację.

Maxine, widząc to, usiadła w łóżku i wybuchnęła płaczem upokorzenia.

Lili tak samo.

I Alexandre też. Już i tak był boleśnie poniżony. Lili wyjechała bez słowa, rodzice okrutnie go ukarali. Niemniej wyczuwał niemy, pełny zdumienia podziw ojca i braci, i to, że zbożną czią darzy go skrycie każdy z kolegów w klasie.

Tylko, że on wolałby mieć Lili.

Rozdział pięćdziesiąty piąty

Zima roku 1975 była niezwykle mroźna w Paryżu. Szkarłatny Jaguar trochę zarzucał, gdy Lili go prowadziła - raczej za szybko - po paryskich kocich łbach.

- Wolniej - doradzał Zimmer. Jaguar właśnie z poślizgu zбочzył w stronę ozdobnego ciemnozielonego pisuaru. Lili dała sobie z tym radę i znów prosto przed siebie jechała nie zmniejszając prędkości. - Nie wiem, co cię opętało Lili, ale wiem, że coś tu nie jest w porządku. Tylko co? Nakręciliśmy razem prawie pół tuzina filmów, w zeszłym roku miałaś dwie cudowne role. Masz zaledwie dwadzieścia pięć lat i już dostałaś wszystkie, jakie są, europejskie nagrody filmowe. Co cię tak zżera?

Lili milczała. Po śmierci Stiarkoza czuła się jak intruz wśród bogaczy. Pogrzebała żalobę w jedynym swoim zainteresowaniu, które nigdy jej nie zawiodło - w pracy. Zaczęła pracować pełna pasji i zdyscyplinowania, jak gdyby od tego zależało jej życie. Rzeczywiście resztą zależało. Nawet Zimmer był zdumiony jej zawziętym skupieniem i wytrwałością. Zawsze wiedział, że ona ma w sobie gwiazdorstwo, ale zduszone brakiem ambicji, brakiem samodyscypliny, brakiem kierunku. Teraz Lili, mając dwadzieścia pięć lat, najwyraźniej wiedziała, czego chce, dokąd zmierza. I już nic nie mogło jej zatrzymać.

A Zimmer był doskonałym równoważnikiem na szalach układu między nimi dwojgiem. Cynicznie znając siebie, rozumiał, że jest w zbyt małym stopniu egotystą nawet na to, by być wielkim reżyserem, nie potrafi dostatecznie twardo stawiać wymagań ani sobie, ani komukolwiek innemu, z Lili jednak pracował znakomicie, tak jak ona z nim. Ufała mu w pełni, wiedziała instynktownie, czego on chce, toteż zawsze wydobywał z niej pierwszorzędne aktorstwo. Dotychczas.

- Czy ta nowa rola jest dla ciebie takim problemem? - Wydawało się, że Zimmer zadaje to pytanie zaintrygowany, ale sam miał na to gotową odpowiedź. - Dostałaś jedną z najlepszych ról kobiecych, jakie kiedykolwiek napisano. - Przekreślił się na siedzeniu, żeby spojrzeć na profil Lili, mały wysunięty podbródek, trochę drapieżny nos. - Pomyśl, kto już grał Sadie... Gloria Swanson, Joan Crawford, Rita Hayworth... to klasyk. A ty po raz pierwszy, odkąd z tobą pracuję. Lili... grasz przesadnie. Po kabotyńsku. Zgrywasz się. Co ci jest?

Lili prychnęła i dodała gazu.

- Potrzebny ci mężczyzna - zauważył Zimmer z irytującym przekonaniem, wiedząc, że to uwaga, która zawsze denerwuje kobiety, szczególnie wtedy, gdy jest zgodna z prawdą. Chciał, żeby zareagowała.

- Może to jest wytłumaczenie dla ciebie, ale nie dla mnie. Więc przestań mnie swatać z Shenkiem!

- W sposób niezbyt wyrafinowany prowadzisz swoje sprawy, Lili. - Zimmer wzruszył ramionami. - Ostatecznie, Shenk w czterdziestu procentach finansuje Deszcz. Czy musiałaś takiemu mocarnemu facetowi odmawiać tak publicznie?

- Musiałam, bo on mi zaproponował tak publicznie! I wyjaśnił, co mogę zyskać. Pomyśl, do czego mnie takie brudy doprowadziły, zanim spotkałam Jo. Już nigdy nie chcę robić rzeczy, których się wstydzę. Te zdjęcia w „Paris Match” były dostatecznie fatalne! - Czerwony mały Jaguar skreślił za róg z przeraźliwym piskiem. Zimmer złapał się deski rozdzielczej.

- Och, moja droga, rozjątrza mnie to twoje niepohamowanie w lekceważeniu Shenka. Jesteś jak krnąbrna mała dziewczynka. Mówi ci się, żebyś nie nadepnęła na skórkę banana, a ty wrzeszczysz, że masz prawo złamać własną nogę.

- Boże! Czy cały świat kręci się tylko wokół seksu i pieniędzy?

- Tak.

- Ja Shenka nie muszę słuchać. To nie jest rozkaz królewski. I co on może zrobić? Zrujnować mi karierę?

- Nie myśl, moja droga, że nie może. - Światło z deski rozdzielczej nadawało napiętej twarzy Zimmera odcień zielony. - Żadna nie dostaje wielkiej roli dlatego, że idzie do łóżka, ale każda może wielką rolę stracić dlatego, że nie idzie. Oczywiście, to by nie było sformułowane tak bez ogródek. Podano by, że jesteś „niechętna do współpracy” albo „nerwowo chora”. - Pokrótce Zimmer wspomniął prezesa pewnej wytwórni w Hollywood i słynną kiedyś gwiazdę, której kariera nagle się rozmyła.

- Słyszałam tę historię od ciebie dziesiątki razy - powiedziała Lili - i to za każdym razem o innej aktorce. Dziwne, że ludzie zawsze uwierzą we wszystko, co jest paskudne. Chyba wiesz, jakie pogłoski krążą o mnie, chociaż z nikim nie spałam od wielu miesięcy.

Zimmer nic na to nie powiedział. Upokarzający epizod w Chateau de Chazalle spowodował, że Lili wycofała się jeszcze głębiej w swoje odosobnienie, które sobie wypracowała po śmierci Stiarkoza. Teraz renoma Lili - poważnej aktorki - została zagrożona, bo te zdjęcia z „Paris Match” wszystkim przypomniały, z czego przedtem była znana.

- Och, co za sens ciężko pracować - wybuchnęła gwałtownie naciskając akcelerator - kiedy każdy mój ruch jest interpretowany tak, żeby to pasowało do brudów powtarzanych o mnie i żeby ludzie mogli mniej się wstydzić tego, co sami robią! Ty wiesz, jak bardzo ja się staram, Zimmer!

Zimmer przytaknął. Wiedział, jaki surowy tryb życia Lili sobie narzuciła w czasie wolnym od pracy. Gimnastyka, lekcje tańca, dykcji i śpiewu, dużo snu, ściśle przestrzegana dieta.

W pewnym momencie Zimmer zląkł się, że mógłby stać się dla Lili namiastką Stiarkoza, ale szybko przestał się lękać. Lili nie chciała opierać się na nikim, chciała stać mocno na własnych nogach. Niezłomnie postanowiła odnieść ostateczny sukces, wykuć sobie drogę do sukcesu jak Jo.

Lili wolała nie myśleć o Jo za dużo - ból utraty był jeszcze zbyt dojmujący. Zamiast o Jo jakoś mimo woli zaczęła dzieciennie myśleć - zwykle przed zaśnięciem - o swojej nieznannej prawdziwej matce. I coraz bardziej ten mglisty cień matczynej postaci stawał się dla niej niewidzialnym aniołem stróżem. Łaknąc takiego ciepła, Lili powróciła do swych dawnych marzeń, zastanawiała się, kim jest jej prawdziwa matka, czy jeszcze żyje.

Szkarłatny Jaguar zboczył niebezpiecznie. Lili przypomniała sobie tamto niedzielne popołudnie, gdy zatelefonował do niej Serge - ten jego władczy ton, jak gdyby ostatnio widzieli się poprzedniego dnia!

- Lili, kochanie, to zupełnie jak zdobywanie numeru telefonu tego zakichanego prezydenta. Stęskniłem się do ciebie, ty niegrzeczna dziewczynko, i tak sobie pomyślałem, czy zechciałabyś zjeść dzisiaj ze mną kolację w imię dawnych czasów...

Starannie, delikatnie Lili położyła słuchawkę na stoliku i odeszła zostawiając Serge'a mówiącego w powietrzu. Samo to wspomnienie tak ją teraz wzburzyło, że zahamowała za późno i Jaguar omal nie wpadł na Renaulta, który zatrzymał się przed nim. Zniecierpliwiona czekała, żeby światła się zmieniły.

- Powiedz mi, o co chodzi - znów nalegał Zimmer - zanim, do diabła, nas oboje zabijesz. -I ponieważ milczała, zdecydował, że on jej powie. - Często aktor, kiedy pracuje nad rolą zbliżoną do jego doświadczeń czy osobowości, nie może widzieć siebie obiektywnie, jest sfrustrowany, wścieka się, że nie ma kontroli nad rolą. Łamie głowę, co z tą rolą zrobić, zamiast pojąć, że ma nie robić nic. - Jaguar prawie otarł się o ciężarówkę, której kierowca zatrąbił. Zimmer ciągnął łagodnie. - Ty przecież znasz uczucie upokorzenia, Lili, znasz uczucie, że jesteś bezwartościowa, rozumiesz dokładnie, co czuje Sadie, więc powinnaś tę rolę grać tak, żeby grała się sama.

- Zamknij się, Zimmer! - To był wybuch gniewu Lili, gdy jej szkarłatny mały samochód znów wpadł w poślizg, obrócił się o sto osiemdziesiąt stopni i uderzył bokiem w słup latarni. Lili i Zimmer zakolysali się do przodu, natychmiast pociągnęci do tyłu pasami bezpieczeństwa, samochód raptownie się zatrzymał. Prawy błotnik wyglądał jak wyrzucona puszką po przecierze pomidorowym.

- No, patrz, co przez ciebie zrobiłam! - wykrzyknęła Lili. - Jeżeli chcesz rozpatrywać moje aktorstwo i mój charakter, powinienesz być wybrać odpowiedniejszą chwilę.

Nieduży tłum zaczął się zbierać koło tego sportowego samochodu. Nie zwracając na to uwagi, Lili powiedziała gniewnie:

- Oczywiście, ja rozumiem Sadie. To w gruncie rzeczy miła, wesoła kurewka, która lubi się bawić, bo wtedy zapomina o bałaganie w swoim prawdziwym życiu, a za mało ma wyobraźni, by sobie uświadomić, że mogłoby być inaczej. Ale ten świętoszek misjonarz wbija jej do głowy, że jest nic nie warta, aż ona w to naprawdę wierzy. Potem

obietuje postarać się dla niej o zbawienie, więc ona zaczyna mieć nadzieję... cóż kiedy ten plugawy drań ją gwałci i to... burzy jej nadzieje, gwałci jej duszę.

Policjant w niebieskiej pelerynie już biegł w stronę Jaguara, ale Lili na niego też nie zwróciła uwagi.

- Ze mną tak nie będzie, Zimmer. Ja nie jestem Sadie... i żaden mężczyzna mi tego nie zrobi! Jestem aktorką, moją duszą jest wyobraźnia... dzięki temu mogłam zostać aktorką. Musiałam wyobraźnię rozwijać, żeby przetrwać te koszmarne lata. To jest wszystko, czym mogę się wykazać. I właśnie dlatego potrafię wczuwać się tak łatwo w inne dziewczyny.

Policjant się zbliżał.

- Och, przecież na planie jestem spokojna i sprawna. Bo dokładnie wiem, co i jak robić. Ale poza planem muszę być sobą, a jak to robić, nie wiem. Nie znam swoich kwestii, nie rozumiem fabuły i pojęcia nie mam, komu mogę ufać.

Zimmer przytakiwał.

- Na planie jestem gwiazdą, poza planem czuję, że wszyscy ze mnie szyczą... a to tak cholernie pełne samotności uczucie. - Zakryła twarz rękami i rozplakała się.

Zimmer otworzył drzwiczki samochodu i zwrócił się do policjanta.

- Mogę coś powiedzieć?

Gdy tylko padło imię Lili, jak za machnięciem czarodziejkiej różdżki twarz policjanta się rozjaśniła, tłum wokoło się podwoił. W ciągu kilku minut sześciu z przechodniów odciągnęło zgnieciony samochód od latarni i Lili, już anielsko uśmiechnięta, nabazgrała im wszystkim autografy. Dała też dodkowy autograf dla matki policjanta, po czym Jaguar powoli ruszył dalej w zaczynającym padać śniegu.

- Całe szczęście, że ten gliniarz cię rozpoznał - utyskiwał Zimmer. Gdyby nie to, bylibyśmy teraz w komisariacie.

- Mogę żyć bez takiej sławy! - powiedziała Lili. Czerwony samochód podskakując przekuśtykał przez ogromną zieloną bramę i wjechał na podwórze. Zimmer i Lili pobiegli wśród wirujących płatków śniegu do drzwi kamienicy. Koronkowe firanki w oknie konsjerazki poruszyły się.

Czekając na staroświecką windę, gdy Lili strząsała śnieg ze swoich srebrnych lisów, Zimmer powiedział:

- Może ci się zdaje, że nie lubisz sławy, ale brak by ci jej było, gdyby nagle minęła. Gapie nie zagrażają, Lili, są tylko ciekawi, jaka jesteś.

- Sama jestem tego ciekawa, Zimmer. - Lili zdjęła pelerynę ze srebrnych lisów i cisnęła na krzesło. - Chcę wiedzieć, kim rzeczywiście jestem. Chcę poznać siebie prawdziwą.

Zrzuciła z nogi kasztanowaty skórzany but i skacząc na jednej nodze zaczęła zsuwać cholewę drugiego. Zimmer zachichotał.

- Ja muszę od lat ukrywać prawdziwego siebie, żeby mnie nie aresztowano. Trzeba pogodzić się z tym, czym się jest w przeciwieństwie do tego, czym by się chciało być. I w końcu nam wszystkim musi wystarczyć to, co mamy, a ty masz dużo, Lili.

- Tak, tylko że wszyscy inni mają... jakichś krewnych. Ja naprawdę nie wiem, kim jestem.

- No to co? Kto naprawdę wie, kim jest? Nie sądzisz, że brak rodziny to dla ciebie wygodny pretekst, którym tłumaczysz wszystko, co w twoim życiu idzie nie tak jak trzeba?

Tego Lili już nie słyszała. Bez butów poszła do jadalni. Nalała w pucharek ze rzuńtego szkła nie rozcieńczoną whisky dla swego gościa i wróciła do saloniku. Zimmer, który podsyczał ogień na kominku, wyprostował się, przyjął od niej whisky i odwracając się od niej, nagle zamrugła zdumiony.

- A cóż to znowu? Na parapecie kominka stała, oparta o połączaną karetkę-zegar, duża biała koperta pokryta egzotycznymi znaczkami. Wziął tę kopertę, popatrzył na ozdobny herb i parsknął śmiechem.

- Ojej. I jak teraz podoba ci się twoja sława?

Podał kopertę Lili. Szybko ją rozrywając wyciągnęła dużą kartę z połączanym brzegiem.

- Z rozkazu Jego Królewskiej Mości Abdullaha... - przeczytała. - No, to zaproszenie do Sydonii na uroczystości w rocznicę jego wstąpienia na tron. Ale ja przecież nie znam tego człowieka!

- Och, ale on zna ciebie! No bo to jest sława! - wykrzyknął Zimmer już obmyślając zadanie dla działu reklamy. - To ci wspaniale przyda rozgłosu! Teraz nie możesz powiedzieć, że na sławę gwizdżesz!

Lili odwróciła się do niego.

- Wiesz, ile to dla mnie znaczy? - Machnęła mu zaproszeniem przed nosem. - Nic! W jednej chwili Serge mi każe potrząsać cyckami przed kamerą, a w następnej jakiś król zaprasza mnie na ubaw gdzieś na końcu świata. Za kogo, do diabła, oni mnie mają? Naprawdę chciałabym wiedzieć. Jakiejś cząstki mnie nie ma i nawet nie wiem, jakiej. Wiem tylko, że czuję w sobie pustkę. Jaśnie oświecone zaproszenia nie są ważne w porównaniu z tym uczuciem.

- Jaśnie oświecone zaproszenia zawsze są ważne, Lili. Zwłaszcza wtedy, gdy przestaje się je otrzymywać! - Zimmer postawił pucharek z whisky na parapecie kominka. Był wyraźnie rozbawiony, co jeszcze bardziej rozzłościło Lili.

- Wiesz, ile to dla mnie znaczy? - powtórzyła. Znów machnęła przed nim kartą po czym rzuciła ją na płonące drwa.

- Och, Lili! - wykrzyknął Zimmer. - Czy nie wiesz, ile to znaczy dla mnie? Gołą ręką sięgnął w ogień i wydobył to zaproszenie.

Rozdział pięćdziesiąty szósty

Rozbrzmiały trąbki i dwuskrzydłowe drzwi w drugim końcu Wielkiej Sali otworzyły się na oścież. Mężczyźni kłaniali się, kobiety dygały, gdy Jego Królewska Mość Abdullah III powoli idąc po karmazynowym dywanie w stronę królewskiego złocistego tronu, zatrzymywał się, by powitać gości. Lili pomyślała, że ten król wydaje się bardziej żywy niż na swoich oficjalnych zdjęciach, fotografowany zawsze w mundurze polowym albo galowym.

Wiedząc, że wiele kobiet będzie w białych balowych sukniach i brylantowych diademach, Lili wybrała na tę uroczystość suknię z szyfonu morsko-zielonego haftowaną w lilie art nouveau, bez pleców i bez rękawów, przytrzymaną tylko naszyjnikiem. Gdy Abdullah zbliżał się do niej, pochyliła głowę - ciemną chmurę skręconych wieczną undulacją kędziorów a la Cyganka - i dygnęła nisko. Podniosła wzrok i spojrzała mu prosto w zmysłowe pod ciężkimi powiekami oczy. Abdullah w jej oczach zobaczył siłę nie mniejszą od jego siły. Zapominając swoich kilku ceremonialnych słów powitania, zatrzymał się i tak stali oboje zapatrzeni w siebie w milczeniu, w elektrycznym napięciu, jakie natychmiast wytworzyło się między nimi.

Abdullah w ciągu tych trzech lat od śmierci żony i syna rzadko pokazywał się publicznie. W udręce rozpacz i poczucia winy z nikim nie mógł rozmawiać o tym, co

czuje. Przez długie tygodnie po katastrofie helikoptera nie odzywał się do nikogo i nikt nie śmiał przemówić do niego. Od czasu do czasu samotnie jeździł konno na pustynię, gdzie cisza piasków koła jego udręczone serce, ale wspomnień wymazać nie zdołał. Wiedział, że będzie miał jeszcze synów, ale żadne dziecko przecież nigdy mu nie zastąpi Mustafy - jedynej istoty, którą kiedykolwiek kochał.

Suliman, widząc jak jego król i pan staje się coraz bardziej nieprzystępny i ponury, wciąż myślał, czym go zająć, na próżno jednak łamał sobie głowę. Wydawało się, że Abdullah nie może się skoncentrować nawet nad ulubionymi dotychczas planami nawodnienia i użyczenia pustyni czy nad planami ponownego zalesienia kraju, którymi tak bardzo się interesował przed katastrofą. Plan wierceń w poszukiwaniu wód podziemnych leżał na jego biurku od wielu tygodni. Król był apatyczny, niezdolny do pracy i roztargniony, uleciała gdzieś jego dawna energia. Raptownie odwołał wszystkie uroczystości w roku 1973, mające się odbyć dla uczczenia dwudziestolecia jego panowania. Zamiast jak dawniej wstawać o świcie, sypiał długo, dni spędzał ospale, wieczorem oglądał stare filmy przed wczesnym udaniem się na spoczynek.

Aż nagle w pewien wieczór wyprostował się w fotelu, zaczął patrzeć na film z uwagą i skupieniem, po czym kazał powtórzyć projekcję.

- Ja chyba już znam tę kobietę - zastanawiał się głośno - chociaż z pewnością nigdy jej nie spotkałem i nigdy dotąd nie widziałem tego filmu Q... Dziwne! - Pochylił się do siedzącego przy nim Sulimana. - Sprowadź mi ją.

- Och, miłościwy panie, to aktorka znana w Europie. Pod jakim pretekstem miałbym ją tu zaprosić? I na jak długo, miłościwy panie?

- Zaproś ją z jakąś małą grupą gości. Nie, z dużą grupą. Och, nie wiem. Po prostu sprowadź ją tu.

Suliman ujrzał swoją szansę.

- Na dwudziestolecie, miłościwy panie? Takie, jakie było w projekcie?

- Och, powiedzmy. Ogranicz te pierwotnie zaplanowane dwa tygodnie do dwóch dni, tylko postaraj się, żeby ta kobieta przyjechała.

- Załatwione, miłościwy panie.

Teraz, gdy Liii dygnęła w morskiej zieleni i podniosła czernią obrzeżone oczy, Abdullah głęboko zaczerpnął powietrza i nagle - wreszcie - poczuł znów, że żyje.

Obdarzył Lili powolnym, niezwykle jak na niego łagodnym uśmiechem, po czym z żalem ruszył do następnego, tym razem w białej satynie, dygnięcia.

Lili uczepliła się ręki swego sąsiada. Długi list z Paryża i oficjalne powitanie na lotnisku okazały się bardziej męczące, niż przypuszczała, tak samo jak jazda w kawalkadzie samochodów do pałacu na wzgórzu. Najwidoczniej zanadto była już wyczerpana podnieceniem i „odrzutową” zmianą czasu.

Złociste trąbki poprowadziły dwieście zaproszonych osób do sali jadalnej. Nakryte białym adamaszkiem stoły ugiwały się pod srebrną zastawą w blasku świec. Tę kolację nadzorował zespół kucharzy sprowadzonych samolotem z Le Grand Vefour z Paryża. Podano kawior z białugi, potem vinaigrette z plasterków świeżych pomarańcz, następnie pieczone kaczki z nadzieniem z mięsa gołębi, z mięsa przepiórek, z ryżu z korzeniami i migdałami. Po sałatkach przyniesiono sorbety z płatków róż, granaty i winogrona.

Abdullah, siedząc wśród najznakomitszych person, był daleko od Lili. Pod koniec kolacji wstał i wygłosił powitalne przemówienie, po którym oznajmił, że teraz jego czcigodni goście dostaną skromne podarki na pamiątkę tej wizyty. Służący w białych szatach postawili przy każdym nakryciu małe szkatułki z ciemnego drewna, inkrustowane geometrycznie macicą perłową. Każdy z mężczyzn znalazł w swojej szkatułce spinki do mankietów zrobione ze złotych monet starożytnego Rzymu. Kobiety dostały, każda inne, kolczyki, które specjalnie zaprojektował Andrew Grima, jubiler najbardziej faworyzowany przez naftowych szejków. Kolczyki Lili były z turkusów wielkości jajek drozda w oprawie z brylancików, szafirów i z grubsza obrobionego złota.

Dał się zaraz słyszeć szmer zachwytu. Przemówienia korpusu dyplomatycznego, przesadnie gratulujące, skończyły się dobrze po północy. Goście wrócili do sali tronowej na bal. Gdy orkiestra zagrała Ach, jaki piękny poranek, Jego Królewska Mość podał ramię ambasadorowej Stanów Zjednoczonych. Lili poprosił do tańca Suliman i po chwili już zataczali kręgi w walcu pod żyrandolami. Gdy walc się skończył, Suliman podprowadził Lili do Abdullaha, który uprzejmie poprosił ją o następny taniec.

Położył ciepłą dłoń na jej nagich plecach, przycisnął ją do swego białego smokingu. Czowała, jak pierś mu się wznosi i opada przy oddychaniu. Podniosła głowę i patrzyła mu w oczy. Zjednoczeni rytmem tańca i swoich oddechów, nie mówili dużo.

Po tym tańcu Abdullah szepnął:

- Niestety muszę teraz zatańczyć z innymi paniami, ale chciałbym, żebyśmy porozmawiali później. Powiedzmy, za pół godziny w ogrodzie jaśminowym. Pułkownik Hakem będzie pani towarzyszył.

Musnął jedwabistym wąsem rękę Lili i odszedł. Natychmiast z ukłonem stanął przed nią Suliman.

- Chyba nie chcę tańczyć - powiedziała. Twarz miała zaróżowioną i jeszcze tętniły jej skronie.

- Więc może posiedzimy w jaśminowym ogrodzie? - Poprowadził ją długimi korytarzami z białego marmuru do niedużego ogrodu, półmrocznego w tę gwiazdzistą noc. Kremowy księżyc unosił się na niebie. Wielkie gałęzie białe od gwiazdek jaśminu zwisały z wysokiego muru, przesycając powietrze odurzającymi perfumami. Pułkownik Hakem dwukrotnie klasnął w ręce. Dwaj służący w bieli przynieśli srebrną tacę z kawą i sorbety.

Lili odwróciła się do pułkownika, ale on rozpląnął się w mroku i na jego miejscu stał Abdullah groźnie urodziwy w księżycowej poświacie. Podniósł jej rękę do ust i ucałował czubki palców. Poczula na paznokciach dotknięcie jego zębów i na dłoni pieśczołę jedwabistych czarnych wąsów.

- Mam uczucie, że już pana znam, że zawsze pana znałam - szepnęła.

- Tak właśnie ja się czuję - mruknął - jak gdybyśmy należeli do siebie. Potem Lili zostały w pamięci tylko błyski poświaty księżyca, aksamitna

noc, jaśmin, baśniowa nierealność cienistego ogrodu i miękkość, gdy wyciągnęła swe białe ręce do Abdullaha.

Dochodziło południe. Lili otworzyła oczy i zobaczyła niezwykle ciemnoniebieski sklepiony sufit i za podwójnymi lukami okien jaskrawoniebieskie niebo. Szybko usiadła w łóżku, okryła się, naga, miękkim prześcieradłem. Była sama.

Ale przedtem nie była sama.

Powoli z powrotem opadła na poduszki, wspominając jego bliskość. Wspomnienie wizualne miała zamglone. W ogrodzie otaczały ich mroki, a później, gdy ją prowadził do jej apartamentu, zapamiętała tylko mglistą postać. Ale nigdy nie miała zapomnieć tego, co się stało wśród kwitnących jaśminów, i już zawsze ten zapach, słodki erotyczny zapach miał czarodziejsko w jednej chwili przenosić ją na odległość tysięcy mil w głąb

czasu do srebrzyście czarnego ogrodu tam, gdzie po raz pierwszy w życiu zawładnęła nią namiętność.

Do pokoju wsunął się kłaniając bosy, w długiej białej szacie, służący. Przyniósł na srebrnej tacy owoce, herbatę i małą szkatułkę z kolczykami, którą zostawiła w jaśminowym ogrodzie. Bez słowa uklonił się znów i wyszedł. Spojrzała na zegarek, sięgnęła po kremową grubą broszurę zawierającą program pobytu gości Abdullaha w Sydonii. Dzięki Bogu, jeszcze prawie godzina została do obiadu dla pań, po którym żona naczelnego wodza zabierze panie na bazar, podczas gdy panowie po obiedzie u Jego Królewskiej Wysokości będą się zaznajamiać z planami użyźniania pustyni i oglądać makiety.

Wczesnym wieczorem goście zebrali się na zewnętrznym dziedzińcu, gdzie czekała flota Land Roverow, żeby szosą nadmorską biegnącą do Dinady zawieźć ich na ucztę wśród piasków pustyni. Mężczyźni byli w wygodnych lekkich ubraniach sportowych, kobiety były w jedwabnych sukienkach i wszyscy dostali w prezencie karmazynowe wełniane burki na wypadek, gdyby w nocy zrobiło się zimno.

Gwardia w szkarłatnych szatach zaprezentowała broń; błysnęły w powietrzu srebrzyste bułaty i zatrzymały się na poziomie groźnych czarnych oczu, gdy

król Abdullah powoli zszedł z niskich marmurowych bleu beige schodów pałacu. Pokazując się publicznie, chodził powoli, prosty jak struna, z głową podniesioną wysoko i zawsze w pewnej odległości od swojej świty, bo tak nakazywała godność najwyższego stanu. Nikomu nawet przez chwilę nie wolno było publicznie traktować Abdullaha jak równego sobie i mało kto był dość głupi, by tego próbować nawet prywatnie.

Teraz, gdy mężczyźni się kłaniali, a kobiety dygały, Abdullah spojrzał na Lili jak gdyby jej nie znał, ale gdy majordomus kierował gości do długiego szeregu Land Roverow, Lili znalazła się w samochodzie u boku króla. Poczowała na lewej ręce dotknięcie lekkie jak muśnięcie motyla, a przecież sprawiające, że puszek na tej ręce jej się zjeżył i włosy na karku też, i zabrakło jej tchu. Poza tym Abdullah zachowywał się wobec niej nie inaczej niż wobec innych gości, aż nie wiedziała, czy przypadkiem nie grą wyobraźni było jego nagie twarde ciało na jedwabistej ciemnej tachcie. Ale w pewnej chwili napotkała jego wzrok, czarne spojrzenie, i przeszył ją dreszcz. To była szalona radość, namiętność i niepewność.

O zmierzchu w żółtej mgiełce wjechali na wyboisty szlak pustynny. W dwadzieścia minut potem, gdy przejeżdżali przez wąwóz między szerniałymi guzowatymi skałami, z wolna nad nie kończącym się srebrzystym piaskiem wzeszedł księżyc.

- Jakim cudem kierowca może widzieć, gdzie jedzie? - wykrzyknęła Lili. Król roześmiał się.

- Pustynia tylko dla ludzi z Zachodu wygląda wszędzie jednakowo. Beduin trafi w to samo miejsce z nie większym trudem, niż wy przechodzicie z Place Vendome na rue de Rivoli.

Nagle na horyzoncie zobaczyli starożytne ruiny ogromnego rzymskiego amfiteatru. Trzy kruszące się, różowo-brązowe koliste warstwy łuków otwierały się ku niebu. W świetle chytrze rozmieszczonych reflektorów każdy łuk jaśniał z daleka czarownie, wydawałoby się, doskonały, jak gdyby ten amfiteatr został zbudowany nie dawniej niż wczoraj. Jedwabiste dywany rozłożono dla gości Abdullaha przed prastarą areną, gdzie ongiś gladiatorzy walczyli na śmierć i życie, gdzie zbiegli i schwytani niewolnicy drżeli na widok pałających zielonych ślepi i otwartych paszcz lwów i lampartów, gdzie tłumy domagały się krwi.

Tamtej nocy Lili biegła znów szerokimi marmurowymi korytarzami w ciche mroczne ciepło jaśminowego ogrodu. Abdullah wyszedł zza liści i wziął ją w ramiona. I znów jego wargi były na jej ciemnych włosach, na jej smukłej szyi i na ustach, gdy bez wysiłku niósł ją w stronę jedwabistej tacht.

Po niecałej godzinie Lili uświadomiła sobie, że drugi raz w życiu kocha mężczyznę, ale tym razem jest to miłość pełna gwałtownej namiętności, całkowitego oddania, miłość, jakiej dotąd nie znała.

Znacznie później, pocierając aksamitny policzek o jej twarz, zapytał:

- Zostaniesz tutaj?

Lili oczywiście nie wiedziała, że Abdullah nigdy jeszcze nie sprowadził Europejki do swego królestwa, że igra z ogniem, że jego namiętne uczucie do niej jest ze względów politycznych niebezpieczne.

Wahała się. Sercem i ciałem mówiła: tak, ale rozsądek i pamięć jej przypominały, że leży w objęciach międzynarodowego playboya. Stanowczo nie chciała stać się w oczach świata tylko tą najnowszą z zastępu kobiet Abdullaha. Po ukończeniu filmu Deszcz czuła coraz większy szacunek dla siebie. Premiery jeszcze nie było, ale wszyscy w branży

wiedzieli, że Lili w roli Sadie Thompson jest wspaniała i że jest to jej osobiste zwycięstwo. Niezłomnie postanowiła sobie, że nic nie zabierze jej tego, na co zapracowała tak ciężko - respektu należącego się poważnej aktorce. Cóż, kiedy życie jest po to, żeby żyć, a ona nigdy dotąd nie czuła tak dojmująco, że żyje, i to z takim spokojem w sercu.

Premiera Deszczu miała się odbyć za pięć tygodni.

Tydzień czy dwa tygodnie w Sydonii można chyba sobie ofiarować?

Rozdział pięćdziesiąty siódmy

W rok później Lili nadal była w Sydonii. Dwanaście tych idyllicznych miesięcy wydawało się trwać bez końca, a przecież przeleciało jak z bicza trząśł. Abdullah namiętnie przywiązał się do Lili. Przy niej zapomniał o swoim nieszczęściu, myślał tylko o terażniejszości. Lili ze zdumieniem stwierdziła, że jej początkowe zawrotne urzeczenie rozwinęło się w niewytłumaczalny błogostan. Miała nadzwyczajny spokój w sercu, gdy była z Abdullahem, coś zupełnie innego niż cisza w jej sercu, którą zawdzięczała Stiarkozowi i mylnie uważała za spokój. Poza tym żywiła nieoczekiwany szacunek dla Abdullaha, widząc, jak bardzo oddany jest swemu narodowi, jak straszna jest jego odpowiedzialność za ten naród i jak całkowita jego władza. Jedno słowo Abdullaha mogło oznaczać śmierć człowieka. Jedno skinienie do Sulimana i już służący w Dinadzie przyłapany w królewskim garażu, gdzie w żadnym razie nie powinien być, wrzeszczał ze strachu, zdając sobie sprawę, co go czeka, i już tego służącego brutalnie wywlekano z pałacu.

- Nie ma żadnego dowodu, żadnej trucizny, bomby, noża! Temu człowiekowi nie wolno było słowa powiedzieć w swojej obronie. Skąd wiesz, że on chciał cię zabić? Jak możesz być tak okrutny? - wybuchnęła Lili, gdy siedzieli na nadmorskim tarasie.

Abdullah z namysłem popatrzył na nią.

- Mylisz się. Nie jestem okrutny. Okrucieństwo to znajdowanie przyjemności w zadawaniu bólu, a mnie to przyjemności nie sprawia. - Spojrzał na niebo i dodał: - Jednak z pewnością jestem bezlitosny. Gdybym nie był, nie dożyłbym szesnastu lat. Niektórzy ludzie po wstrząsie z dnia na dzień siwieją. Po pierwszym zamachu na moje

życie, kiedy miałem czternaście lat, obudziłem się następnego dnia już bezlitosny. Rozumiesz, alternatywą była śmierć.

Lili nauczyła się akceptować brutalną rzeczywistość na tyłach tego życia w zbytku. Zawsze lubiła przebywać w pałacu Dinada. Pałac stał nad zewnętrznym zakrętem osłoniętej zatoki, wbudowany w niską skałę, opadając białymi łukowatymi przęsłami na skalisty brzeg morza. Na każdym z tych tarasów był ogród. Lili widziała teraz w dole, jak ogrodnicy w białych turbanach pracują przy klombach róż, pielęgnują lonicerę i białogwiaździste jaśminy drżące przy pałacowych murach w podmuchach morskiego wiatru.

Pośród jałowców, cyprysów, srebrnolistnych oliwek pałac Dinada był zaciszem, miejscem nieskrępowanego wypoczynku w porównaniu z imponującym starym pałacem w Semirze. To w Semirze Abdullah tonął w papierach, konferował z radą przyboczną i dowódcami wojskowymi, udzielał audiencji zagranicznym dyplomatom i szejkom plemiennym. W Di-nadzie oboje się odprężali, pływali w srebrzystym jak rybia łuska morzu albo w podziemnym, wykutym w skale ogrzewanym basenie. W Dinadzie jeździli konno po białych piaskach plaży, sunęli po falach na nartach wodnych, wędkowali i czasem przyjmowali gości na pokładzie królewskiego jachtu.

Zimmer złożył im wizytę dwa razy i wkrótce miał znów przyjechać na kilka dni, po czym zabrać Lili ze sobą do Paryża. Lili przez cały rok nie grała w żadnym filmie, wreszcie jednak dała się skusić scenariuszem Klejnotów, klasycznej noweli de Maupassanta. Miała grać tę skromną, angielsko cnotliwą żonę urzędnika państwowego, który ją uwielbia, chociaż potępia to, że ona interesuje się teatrem i namiętnie lubi sztuczną biżuterię. „Moja miła, jeżeli kobiety nie stać na kupowanie prawdziwych klejnotów - mówi ten urzędnik surowo - powinna poprzestać na ozdobie, jaką jest jej wdzięk i uroda”.

- Co nie znaczy, żeby którąkolwiek stać było na ograniczanie się wyłącznie do swojej urody, kochanie - mruknął Zimmer kiedyś wieczorem, stojąc z Lili przy balustradzie tarasu i patrząc na morze. - Dziewczyna oprócz urody musi mieć pozycję, zwłaszcza dziewczyna niezamężna, związana z kimś bardzo potężnym. - Odwrócił się i spojrzał Lili prosto w oczy z powagą przeczącą żartobliwości jego tonu. - To pozycja zaskarbia dziewczynie podziw mas. I jej pozycja może od czasu do czasu przypominać temu mężczyźnie, jakim jest szczęściarzem, mając ją... ilu mężczyzn mu jej zazdrości. Innymi

słowy, kochanie, właśnie jej pozycja trzyma go w ryzach, nie pozwala mu błędzić wzrokiem daleko, kiedy jest znudzony.

Lili odrzuciła głowę w tył, zmarszczyła brwi, Zimmer jednak zdecydowanie mówił swoje dalej:

- A nie zaszkodzi ci pamiętać, Lili, że chociaż jesteś jak zawsze porywająca, Jego Królewska Mość niezupełnie słynie z wierności.

Niechętnie Lili teraz przypominała sobie te słowa Zimmera idąc do sypialni, pokoju o długości piętnastu jardów, z trzema ścianami ze szkła i czwartą całą lustrzaną, tak odbijającą morze, że czuła się tutaj zawieszona w lazurowej przestrzeni. Już zaczynała rozważać, co by było, gdyby Abdullah się nią znudził, ale zawsze zbywała to wzruszeniem ramion. Będzie czas myśleć o tym, jeżeli tak się stanie. W jego silnych brązowych objęciach nie wierzyła, że kiedykolwiek może tak się stać - przecież on by nigdy nie chciał zniszczyć ich szczęścia. Ale teraz, gdy była od kilku dni sama, nieraz ogarniał ją nagły strach, szarpiący popłoch.

Zrzuciła z siebie powoli suknię z gazy rozmigotaną złotymi i srebrnymi nićmi, nazywaną prawdziwymi perłami. Nago przeszła do swojej drugiej sypialni, z której korzystała w czasie upałów. Był to pokój takiej samej wielkości, pomalowany na pastelowobrzozkwiniowy odcień jej pudru tak, że miał dokładnie kolor jej cery. Kwadratowe, wielkie łożo wpuszczone w podłogę pokrywały poduszki z morelowego jedwabiu. Poza tym umeblowanie tego pokoju stanowiły tylko: francuski szezlong Empire obity skórą abisyńskiego lamparta, duży marmurowy stół do pisania i biały stojący przed nim obrotowy fotelik Saarinen.

Lili rzuciła się na łóżko i nakazała sobie rozpatrzeć sytuację. Tę bez troskę, ten luksus zbyt łatwo przyjmować, nie myśląc o przyszłości. A ona ma już dwadzieścia sześć lat i o swojej przyszłości musi pomyśleć.

Prosto z otoczonego opieką dzieciństwa los przeniósł ją w przykry reżim mieszkania Sardeau w Paryżu. Przeżyła zdradę swojego pierwszego kochanka. Przeżyła pogardę świata, gdy była gwiazdką filmów porno. Przeżyła nawet wstrząs po śmierci Jo, przekupstwo i złodziejstwo jego adwokata. Stoczyła ze sobą walkę i zaczęła nabierać wiary w siebie, pracując ciężko w swoim zawodzie z nadzieją, że w końcu będzie miała z czego być dumna. Usiłowała pokierować sama własnym życiem, pójść własną drogą, nie

wleczona przez nikogo. A potem nagle odłożyła te wszystkie starania na bok i zatraciła się w miłości.

Wiedziała, że Zimmer ma rację: nie wolno jej pochopnie machnąć ręką na karierę i ciężko zapracowany sukces. To sybaryckie bytowanie, pełne miłości i zbytku, nie może trwać w nieskończoność, zresztą nawet nie była pewna, czy chce tego. Arabki nie rozumiały Lili, gardziły nią w takim samym stopniu, w jakim jej zazdrościły. Ich mężczyźni trzymali je jak najdalej od niej i jej niebezpiecznego pojęcia wolności. Miejsce kobiety jest wśród kobiet, w haremie. Roztropnie ci sami mężczyźni trzymali się od Lili z daleka. Woleli, żeby żadna przypadkowa rozmowa nie została mylnie

zinterpretowana przez króla: niewielu z nich dobrze mówiło po angielsku czy po francusku. Abdullaha całymi dniami zaprzętały sprawy państwowe. Lili nigdy nie mogła przewidzieć, kiedy on wyrwie się do niej bodaj na chwilę, i chociaż noce były nadal ekscytujące, dni mijały jej w samotności. Ciągnęło ją z powrotem do pracy. Ciągnęło, żeby iść znów swoją własną drogą, a nie usłaną różami tą wąską ścieżką metresy króla.

A jednak Abdullah był wciąż dla Lili atrakcją, która nie traciła ani trochę ze swego powabu. Od czasu do czasu brał jej twarz w obie ręce, patrzył w oczy i przesuwiał palcem po brwiach, czole, nosie, jak gdyby zamierzał jej głowę wyrzeźbić czy też jak gdyby chciał jej rysy wrazić sobie w pamięć na zawsze. Uśmiechał się przy tym łagodnie, z tą dziwną nieskończoną słodyczą tak, jak za pierwszym razem, gdy patrzył jej w oczy na balu. I wtedy wiedziała bez cienia wątpliwości, że ją kocha. Ale kiedy indziej, gdy myśli jego krążyły wokół jakichś kwestii politycznych, traktował ją jak natarczywego, denerwującego szczeniaka.

Nigdy nie mówił o swojej żonie i dziecku. Rozumiejąc, jaką okropną stratę poniósł, jak głęboko wciąż jeszcze ta strata go boli i jak bardzo dręczące i osobiste są jego wspomnienia, Lili nigdy nie odważyła się tego poruszyć. Ale też uświadamiała sobie, że nie ma możliwości, by Abdullah się z nią ożenił. Ona jest niewierna. Jego obowiązek wobec narodu to wybrać królową czystej krwi, bo tylko taka może zrodzić pożądanego następcę tronu.

I tu zaczynało się cierpienie, bo Lili pragnęła dać Abdullahowi syna. Pragnęła poczuć ruchy jego dziecka w łonie, poczuć kopanie i wziąć go wtedy za rękę i dumnie położyć sobie jego dłoń na nabrzmiętym brzuchu. Pragnęła patrzeć, jak jej piersi stają się coraz większe i cięższe, gotowe do karmienia jego dziecka. Bardziej niż kiedykolwiek Lili

pragnęła w życiu trwałości, tego, co większość kobiet osiąga najwyraźniej bez trudu - ustatkować się, wyjść za mąż, mieć dziecko, które mogłaby otoczyć całą gromadzoną od dzieciństwa miłością.

Również i z innego powodu Lili nie mogłaby w żadnym razie zostać żoną Abdullaha. W tym kraju, gdzie ojciec może poderżnąć córce gardło, gdy tylko podejrzewa, że spotkała się sam na sam z mężczyzną, uważano Lili za królewską konkubinę i dwór ją uprzejmie lekceważył, co dawało się wyczuć. Była dziwką króla.

I nie koniec na tym. Dochodził jeszcze jeden powód, dla którego Abdullah nie mógłby w żadnym razie dzielić życia z Lili - powód będący zarazem niezbitym dowodem jego miłości do niej. Lili była Europejką, a więc wrogiem.

W poprzednim tygodniu arabscy partyzanci przypuścili atak na Tel Awiw, Abdullah zaabsorbowany, posepny zgodził się udzielić audiencji nadzwyczajnej ambasadorowi Stanów Zjednoczonych.

Po wczesnym śniadaniu Lili w bryczesach i białej koszuli idąc do stajni przez wykładany turkusowymi płytami dziedziniec starego pałacu w Semirze, usłyszała, że ktoś ją woła. Odwracając się, zobaczyła rozpromienioną twarz, którą znała.

- No, Bill Sheridan, cudownie cię widzieć! - zawołała. - Czy Linda jest z tobą?

Tęgi teksaski adwokat wygramolił się ze swej urzędowej limuzyny, doczłapał do Lili i jak niedźwiedź ją uściskał. Serdecznie cmoknęła starego w policzek.

- Oczywiście, Linda jest ze mną... przyzwyczajają się do roli ambasadorowej i przemeblowuje każdy kąt ambasady. Słyszeliśmy, że jesteś tutaj, ale nie spodziewałem się natknąć na ciebie tak od razu. No, kiedy możesz nas odwiedzić? Pamiętasz te zabawy z pieczeniem wołu na rożnie, które Linda urzędowała u nas na rue Monsieur? To jeszcze nic w porównaniu z tym, co planuje tu w Sydonii. Zobaczysz prawdziwą teksaską gościnność! - Wprost pompował jej rękę. - Ale ty nie musisz czekać, aż położą nam wszystkie dywany. Głowę bym dał, że od miesiący nie jadłaś dobrego befsztyka z dodatkami! Sprowadzam polędwicę samolotem z rancza. Kiedy mam przysłać samochód po ciebie, złotko?

Lili zastanowiła się. Abdullah miał pojechać na mansef do południowej Sydonii i być tam co najmniej trzy dni.

- Może w przyszły czwartek?

- Świetnie, świetnie, Lili. Koło szóstej? Będziemy czekać niecierpliwie. No, ale muszę już tam wejść z tą moją teką. - Wskazał głową łukowate główne wejście pałacu i poczłapał po schodach marmurowych, a Lili poszła dalej do stajni.

Gdy wróciła z przejażdżki, służący w białej szacie czekał na nią. Ukłonił się, po czym warknął:

- Król wzywa panią do siebie.

Wbiegła do pałacu, minęła gromadkę obleczonych w biel dworzan stojących przed drzwiami komnaty audiencyjnej Abdullaha. Patrzyli na nią posepnie, z nienawiścią i urazą. Co ja zrobiłam? zastanowiła się.

Abdullah chodził po komnacie jak rozwścieczony tygrys.

- Cóż to ja słyszę o twoich konszachtach z amerykańskim ambasadorem?

- No, Bill Sheridan to stary znajomy. Od lat znam ich dwoje, jego i jego żonę.

- Niekulturalny prawnik milioner, który przypadkiem nieźle się orientuje w przemyśle naftowym, więc naraił dosyć gotówki republikanom, żeby dostać

to stanowisko! Gdyby nie był ambasadorem Stanów Zjednoczonych, do stołu bym z nim nie usiadł. Ty na pewno nie będziesz się widywała ani z nim, ani z jego żoną!

- Ja na pewno będę się widywała z moimi przyjaciółmi, Abdi!

- Nie mogę pozwolić, żebyś jak gdyby nigdy nic miała konszachty z tą ambasadą, żeby cię od niechcienia wypytywał nad hamburgerem ten pies, ten agent CIA, który podaje się za attache kulturalnego! My wiemy, że nigdy nie widzisz ani nie słyszysz nic z tego, co by miało znaczenie strategiczne, ale oni o tym nie wiedzą. I na oczach wszystkich obejmował cię ten... amerykański wieprz!

Lili nagle pojęła.

- To znaczy, że ty każesz mnie śledzić! Abdullah, nie ufasz mi? Odwrócił się od niej, założył ręce na piersi i popatrzył na drzewa pomarańczowe za łukowatym oknem.

- Musisz zrozumieć moją sytuację! Doradcy patrzą krzywym okiem na to, że... zadają się z... Europejką i nie mogę być tak nieostrożny, żeby uważać cię za godną zaufania!

Lili, wyrażając swoją furię tylko spojrzeniem, odwróciła się na pięcie i wybiegła z komnaty znów pod ostrzał pogardy dworzan w bieli, zgromadzonych przed drzwiami. Nigdy nie czuła się aż tak upokorzona! I właściwie, co ona robi na tej kupie piasku, gdzie nie wolno jej nawet wpaść do amerykańskiej ambasady, żeby się spotkać ze starymi znajomymi?!

Pod wieczór uspokoiła się już i gdy jechali samochodem do Dinady, w milczeniu słuchała ataku Abdullaha na politykę Stanów Zjednoczonych wobec Izraela. Ale o zachodzie słońca, gdy bosy, w kaftanach podchlapywanych przez fale, szli brzegiem morza, nagle zapytała:

- Jak długo jeszcze będzie się ciągnęła ta bezsensowna walka? Chyba nie wiecznie. Nie mogą Arabowie pogodzić się z Izraelem?

Abdullah błyskawicznie odwrócił się i chwycił ją za nadgarstek.

- Po raz ostatni, kobieto, powiem ci, dlaczego wojna w Palestynie będzie trwać dalej. W roku tysiąc dziewięćset siedemnastym niewierni Brytyjczycy uznali, że to byłby dobry pomysł dać Palestynę Żydom, żeby była ich krajem. - Prychnął. - Ale najwyraźniej nie zdawali sobie sprawy, że dziewięćdziesiąt trzy procent ludności Palestyny to muzułmanie i chrześcijanie. - Na jego twarzy w dogasającym blasku dnia malowała się zwierzęca wściekłość. Wziął Lili za ramiona i potrząsnął nią brutalnie. - Więc ci Arabowie znaleźli się bez kraju, wyrzucono ich z domów, z ich ziemi... na rzecz siedmiu procent ludności i mnóstwa innych Żydów, którzy nigdy przedtem nie widzieli Palestyny, już nawet nie mówiąc o tym, że nigdy tam nie mieszkali.

Nagle Abdullah zobaczył w Lili tylko Europejkę, swojego wroga. Chciał dominować, posiadać ją. Długo sam przed sobą się nie przyznawał, że jest w tej Europejce bezradnie zakochany. Mógł uważać to jedynie za jakąś swoją słabość być może, wyłom w swoim obwarowaniu. Niepokoiło go natężenie tego uczucia, bał się pokochać jeszcze jedną ludzką istotę tak głęboko jak kochał syna, bał się, że jeśli znów pokocha, znów mógłby miłość utracić. Rozjątrzony walką ze sobą, znów potrząsnął Lili.

Spojrzała bystro na niego na tle krwiście czerwonego morza. Zatoczyła się, brutalnie popchnięta i raptem już leżała na pól w płytkiej ciepłej wodzie, na pól na piasku. Wcisnął ją w piasek swoim ciężarem, mokrymi rękami szybko poszukał pod jej mokrym kaftanem i ze stęknieniem wbił się w nią - brutalny, twardy, ciężki, samczy, bez śladu imsak.

Potem przemoczona, oblepiona piaskiem Lili usiadła i spod zmarszczonych brwi patrzyła na Abdullaha, który zrzucił kaftan z siebie, gotów skoczyć do morza. Tego już było za wiele! Za wiele, jak w tych głupich filmach przed laty - i poniżenie takie samo. Raptem Lili znudziło się być nie tej rasy co trzeba i nie tego wyznania, i nie po tej stronie.

- To nigdy się nie ułoży, prawda? - wykrzyknęła. - Ciągłe mi się podaje powody, dlaczego nie nadaję się dla ciebie, Abdi, ale czy orientujesz się, jaki jest główny powód tego, że ty się nie nadajesz dla mnie? - Walnęła w piasek pięściami. - Żebyśmy nie wiem jak namiętnie byli zjednoczeni w łóżku, ty mi nie możesz dać miłości bez zastrzeżeń. - Głos jej zadrżał. - Oboje wiedzieliśmy, że uniemożliwia to twoja pozycja... ale nie jestem pewna, czy to jedyny powód. - Głęboko zaczerpnęła tchu. - Rzecz w tym, Abdi, że ty nie potrafisz ufać nikomu... nawet mnie... a nie można kogoś kochać, jeżeli się temu komuś nie ufa.

Zaległo milczenie.

- Ufać jest trudno - powiedział Abdullah głosem władczym, niezadowolonym - kiedy człowiek wie, że choćby jak najlepiej wykonywał swoje zadanie, jest wielu ludzi, którzy chcą go zabić po prostu dlatego, że on ma to zadanie.

- Ja mogłabym cię zabić tysiąc razy, gdybym chciała! - wykrzyknęła Lili odgarniając pasmo mokrych włosów z twarzy. - Odmawiasz mi takiej ważnej części swojego „ja”, to dla mnie nie do zniesienia, bolesne i upokarzające. - Głos jej się załamał, ale po chwili wybuchnęła znowu. - Wstyd mi za tę twoją częśćkę, tę częśćkę, która ci każe mnie odrzucać! I wstyd mi, że jestem nie dość godna ciebie z powodów, które nie mają nic wspólnego ze mną! Boli mnie i gniewa to, że z rozmysłem odmawiasz mi swojej miłości!

- Nie przeze mnie ten ból i gniew. - Abdullah, szorstko pociągając Lili, żeby wstała, zmienił pointę rozmowy, co często robią mężczyźni, gdy kobiety zanedbują się zbliżają do prawdy. - Cierpisz, Lili, i gniewasz się, bo... jak nieraz mi mówiłaś... nie wiesz, kim jesteś, i polegasz na miłości, uważasz, że miłość ma nadać twojemu życiu wartość i treść.

Zobaczyła lekceważące rozbawienie w jego oczach, jak gdyby reagował na wybuch dziecka.

- Masz rację - przytaknęła. - Tak było. - I zdziwiła się, że użyła czasu przeszłego.

Abdullah powiedział pogardliwie:

- Wy z Zachodu z tym waszym nie kończącym się poszukiwaniem tożsamości nigdy nie wiecie, kim jesteście. Jeżeli rzeczywiście chcesz wiedzieć, to dlaczego nie próbujesz tego wykryć, zamiast tylko mówić o tym?

- Dobrze - powiedziała Lili. - Spróbuję. - Wyrwała ręce z jego rąk i uciekła od niego koronkowym brzegiem ciemniejszego morza.

CZEŚĆ JEDENASTA

Rozdział pięćdziesiąty ósmy

Ledwie prasa się dowiedziała, że Lili wróciła, jej mieszkanie zaczęli oblegać reporterzy, z każdego okna domu naprzeciwko jej sypialni wykielkowały soczewki aparatów telefotograficznych, telefon musiała wyłączyć. Żyła w stanie oblężenia, borykając się jeszcze raz z upokorzeniem i niedolą, ale tym razem oburzona, rozgniewana, miała siłę rozpędu.

- Wiem, że postąpiłam słusznie - powiedziała Zimmerowi. Siedzieli przed ogniem płonącym na palenisku kominka i zszywała klapę swego płaszcza z wikunii rozdartą w ścisku, przez który Zimmer torował jej drogę do drzwi frontowych. Odgryzła nitkę. - No już, wcale nie znać, że było rozdarcie. Nagle sobie uświadomiłam, że ten kraj i naród to nieprzyjaciele, więc zerwanie z Abdullahem jest nieuniknione i że im dłużej będę je odwlekać, tym boleśniej je odczuję. - Podnosząc głowę, dodała: - Po raz pierwszy w życiu sama zdecydowałam o sobie. Och, Zimmer, trudno uwierzyć, jak rozpaczalam, jaka byłam nieszczęśliwa... jeszcze potem... bez Abdullaha. Tak jak gdyby mi oderwano część ciała, przysięgam, nieraz czuję fizyczny ból. - Przycisnęła lewą rękę do piersi i umilkła. - Ale rzecz dziwna, ani przez chwilę nie żałuję tego, co zrobiłam. Jestem dumna, że miałam siłę to zrobić. Rzeczywiście jestem z siebie dumna. Myślałam, że będę rozbita psychicznie na miazgę... Bóg świadkiem, kiedyś już tak było... a tymczasem tylko się zawzięłam, postanowiłam nie dać się upokorzyć nigdy więcej.

- Nie chcesz porozmawiać z prasą? Rzuciłaś Abdullaha sześć tygodni temu, a oni jeszcze czekają pod drzwiami...

- ...jak stado wilków! Tym razem moje osobiste życie pozostanie osobiste... Z nikim nie będę o tym rozmawiać, Zimmer. Chcę teraz wrócić do pracy możliwie jak najszybciej. Praca to jedyny niezawodny środek uśmierzający ból.

Kapiąc sztucznymi brylantami, Lili drżała w objęciach chudego urzędnika państwowego.

Była ciasno zasznurowana w atłasowej wieczorowej sukni koloru burgunda i właśnie się przeziębila w drodze do domu z opery. Miała umrzeć na zapalenie płuc w przyszłym tygodniu. Urzędnik państwowy, któremu binokle spadły z nosa, powiedział:

- Cholera.

- Cięcie - zawołał Zimmer, gdy personel zaczął się śmiać, a urzędnik państwowy pochylony podnosił binokle.

- Trzeba je przygiąć - oznajmił - ale chyba ja sam to zrobię, jeżeli dacie mi dwie minuty i pincetkę do skubania brwi.

Jego wydatny podbródek zasłaniała krótka broda, konieczna w roli wiktoriańskiego urzędnika, Lili jednak i tak go rozpoznała, przypominając sobie tę wysoką szczupłą postać, stalowoniebieski błysk oczu.

- Myśmy się już spotkali, prawda? - zapytała, gdy Zimmer jej go przedstawił. - Przed wielu laty w moim pierwszym filmie... pan mi wyjaśniał, co kto robi. Pan jest... Simon... prawda?

Simon wydawał się dosyć ostrożny.

- Simon Pont - powiedział. - Nie przypuszczałem, że pani mnie pamięta. - Już zdecydował się zachować dystans, trzymać się od Lili z daleka. Nie chciał żadnych komplikacji, fotoreporterów, zaaranżowanego dla reklamy romansu, chciał tylko mieć ciekawą, jędrną, dobrze płatną rolę w szybko nakręconym filmie Zimmera bez - błagam Cię, Boże - kłopotów z Lili--Tygrysią.

Jednakże w ciągu następnych kilku tygodni Simon ku swemu zdumieniu przekonał się, że Lili nie jest taką zepsutą primadonną, jak ją przedstawiają środki przekazu. Jest zdumiewająco cicha, prawie nieśmiała. Prawie nie wychodzi ze swojej garderoby i kiedy drzwi są otwarte, widać, jak tam siedzi w śmiesznie dużych okularach w szylkretowej oprawie, czytając książkę i robiąc przy tym notatki.

- To nie poza - wyjaśnił Simonowi Zimmer, gdy jedli obiad w bufecie. - Lili rzeczywiście jest taka, tylko nie zadałem sobie fatygi, żeby ci to powiedzieć wcześniej, bobyś mi nie uwierzył.

- Ale kto będzie te jej notatki czytał?

- Och zawsze jacyś nauczyciele czy profesorzy kręcą się po cichu w jej mieszkaniu. -I Zimmer dodał: - Rozumiesz, to dziewczyna raczej niedouczone i wciąż o tym pamięta. Myślę, że ten jej program samokształcenia jest wzruszający i uroczy.

- Ma podejście bardzo profesjonalne - zauważył Simon. -I nie widziałem ani śladu jej słynnej porywczowości.

- W istocie ona nie jest zbyt porywczą - powiedział Zimmer. - Jest porywczą w miarę. Tyle, że skłonna tę miarę przekroczyć, jeśli ktoś ją atakuje, a to zdarza się dosyć często. Zasadniczo chce żyć spokojnie, kiedy nie pracuje. Jeszcze się nie pozbięła po Abdullahu, a dziennikarze wciąż ją obiegają, próbują wywęszyć, dlaczego oni się rozeszli. Stąd jej pewna powściągliwość, ostrożność, bo przecież wiadomo, że jej najbardziej przypadkowe słowa mogą być źle zinterpretowane, powtarzane, sprzedawane redaktorom plotkarskich kronik.

- Jaka Lili jest w towarzystwie przyjaciół?

- Przyjaciół ma niewielu. - Zimmer wytarł swój talerz kawałkiem chleba. - Słuchaj, jem obiad z tobą nie po to, żeby rozmawiać o Lili. Chodzi jeszcze raz o tę jutrzejszą scenę. Kiedy ona nie żyje, a ty konasz z głodu i chcesz sprzedać jej sztuczną biżuterię, bo tylko to ci do sprzedania zostało. Otóż chcę, żebyś się zastanowił nad swoim wrażeniem, kiedy jubiler ci mówi, że klejnoty są prawdziwe i bardzo cenne. Dużo może być implikacji i ja w tym momencie u jubilera muszę je wszystkie zobaczyć na twojej twarzy...

- Jaka ma być pierwsza? - zapytał Simon. - Niedowierzanie... nadzieja... ulga... A potem nagle uprzytomnienie sobie, że najwidoczniej ta uwielbiana żona miała bardzo bogatego kochanka... od lat... Piorun strzela w najdroższe wspomnienie szczęśliwego małżeństwa... Ale też to znaczy, że jestem bogaty, wolny... Ostatecznie, oblewam to w burdelu, no nie? Chcesz, żeby publiczność płakała czy śmiała się, Zimmer? - Simon był wziętym aktorem komediowym.

- Jedno i drugie - powiedział Zimmer stanowczo.

- Czy mógłbym w tej burdelowej scenie rzeczywiście pohuścić się na zyrandolu? - zapytał z nadzieją Simon.

- Moglibyśmy spróbować.

Simon zwinny i wygimnastykowany upierał się, że kaskader mu niepotrzebny, i wszystkie sztuczki akrobatyczne chciał wykonywać sam, ilekroć grał w filmach, zresztą nieczęsto, bo wolał teatr i reakcję żywej publiczności niż nudne powtarzanie scen filmowych „w powietrze”.

- On gra w tym filmie tylko dla pieniędzy - powiedział Lili Zimmer. -

Musi ryczałtem zapłacić alimenty. Był przez lata żonaty i ta zepsuta dziwka oskubuje go teraz. Jeszcze nie wylizał się z ran.

- Przez ile lat żonaty?

- A bo ja wiem, Lili. Dość dużo, żeby mieć córeczkę, chyba siedmioletnią. Tylko unikaj z nim tego tematu, kochanie.

- Nie obawiaj się. Będę unikać każdego tematu. To nietrudne. On prawie słowa do mnie nie mówi poza planem.

W drugim tygodniu zdjęć Lili zaczęła bransoletką z cienkich złotych ogniwo o klamkę drzwi i jedno ogniwo się przerwało..

- Naprawię - zaofiarował się Simon.

Wziął bransoletkę i wyciągnął z kieszeni czerwony szwajcarski scyzoryk. Lili patrzyła przerażona, ale po pięciu minutach miała bransoletkę z powrotem na ręce.

- Szybciej niż u Cartiera - powiedziała z uznaniem.

- I taniej.

W dwa dni potem Lili pokazała się z kciukiem zabandażowanym.

- Prawie zawsze spalam grzanki na węgiel - wyjaśniła. - Jestem kucharką, że nie daj Boże.

Nazajutrz przyniesiono do jej garderoby owiązane wstążką, połyskliwe ogromne pudło. Grzebiąc pod bibułą znalazła nieduży toster i bochenek chleba.

Ze śmiechem podziękowała Simonowi.

- On może niewiele mówi, ale z pewnością słucha - powiedziała później, rozmawiając o tym z Zimmerem. - No, teraz ja muszę kupić mu prezent.

Tak więc w najbliższą sobotę wybrali się we dwoje, ona i Simon, na paryski pchli targ, gdzie nie rzucająca się w oczy, w płaszczu nieprzemakalnym z podniesionym kołnierzem i starym szaliku zawiązanym pod szyją lubiła szperać wśród osobliwości i staroci w nadziei, że wyłowi jakiś antyk. Wybrała dla Simona szkatułkę z drewna

tekowego z wymyślną inkrustacją z macicy perłowej, a potem nagle wypatrzyła wyrzeźbioną w drewnie grupę miniaturowych zwierząt, jakie Noe zabrał do swojej arki - parami słonie, żyrafy, małpy i lwy.

- Och, doskonały prezent dla dziecka! - wykrzyknęła. - Simon, chyba wolałbyś to? Mógłbyś dać swojej córeczce.

Simon spojrzał spode łba.

- Nie mam córeczki - burknął i odwrócił się.

Odwożąc Lili do domu swoim Range Roverem, jednak przerwał milczenie.

- Słuchaj, przykro mi, że byłem niegrzeczny - powiedział z wyraźnym wysiłkiem. - Miałem córkę, ale ona umarła dwa lata temu. Zapalenie opon mózgowych. Miała zaledwie cztery lata. Nie musiała umrzeć, zapalenie opon mózgowych teraz rzadko bywa śmiertelne, leczą je antybiotykami. Ale kręciliśmy film w Egipcie i tam był szpital z nieprawdziwego zdarzenia. To wszystko stało się tak prędko. Była taka maleńka w tym szpitalnym łóżku, krzyczała z bólu, a myśmy nic nie mogli poradzić. Jean i ja tylko staliśmy tam i tuliliśmy się do siebie, chociaż od lat nawet nie trzymaliśmy się za ręce. A potem nam powiedzieli, że ona z tego wyjdzie, ale tej samej nocy zatelefonowali, że jej się pogorszyło. Przyjechaliśmy natychmiast, leżała nieruchoma, straszliwie blada. Umarła prawie zaraz. Nawet nie drgnęła, ale myśmy wiedzieli. W jednej chwili leżała tam, w następnej już jej z nami nie było...

Lili przechyliła się i uścisnęła mu rękę z niemym współczuciem.

W niedzielę nazajutrz pojechali do zoo. Śmiejąc się, Lili karmiła białą kozę w ogrodzonym miejscu dla dzieci, gdy raptem usłyszała nie budzące wątpliwości pstryknięcie. Simon podbiegł do dwóch mężczyzn za ogrodzeniem i powiedział:

- Proszę jej nie fotografować. Ona tu jest prywatnie.

- Ja jestem zawodowo - powiedział fotograf.

Simon gniewnie skoczył i wytrącił mu aparat z ręki, po czym od razu uderzył tyłem głowy o ziemię.

- I możesz pan oberwać o wiele gorzej, jeżeli chcesz - powiedział drugi fotograf, zanim przybiegł zaniepokojony dozorca zoo.

Lili pomogła Simonowi wstać.

- Chodźmy już stąd - nalegała. - Paskudnie ci sfioretowieje to podbite oko. Im prędzej stąd wyjdziemy, tym mniej będzie do opisywania.

W mieszkaniu Lili przyłożyła Simonowi do oka tampon nasączony wyciągiem z kory jarzębiny, którego nadmiar pociął mu na szyję i na koszulę.

- Och, jakaż ja głupia! - wykrzyknęła. - Wiesz co, zdejmij koszulę i włóż płaszcz kąpielowy. Wysuszę ją i zaceruję to rozdarcie. Nie, nie, naprawdę mam zdolności do igły, aż jestem z nich dumna... ręczę, że nie będziesz wiedział, gdzie trzasnęła, kiedy ci ją oddam. Nie tylko ty umiesz naprawiać.

Pokojówka postawiła tacę z kawą na stoliku przy kanapie, gdzie Lili siedziała przed kominkiem pracowicie cerując, podczas gdy Simon w płaszczu kąpielowym oglądał książki na antycznym biurku. Podniósł sfatygowaną Encyclopedie Larousse.

- Zimmer mi mówił, że studiujesz - powiedział. - Czytasz coś z filozofii?

- Boże święty, nie - Lili się roześmiała. - Nie jestem intelektualistką.

- Och, filozofia jest nie tylko dla intelektualistów. Filozofowie chcą zrozumieć, dlaczego świat tak istnieje, jak istnieje, i w jaki sposób najlepiej w nim żyć.

- To z pewnością mnie interesuje. - Lili pochyliła głowę i szarpnęła nitkę swymi białymi, drobnymi zębami. - Proszę, twoja koszula jak nowa.

- Przyniosę jutro do wytwórni coś zabawnego. Masz rację! Nie mogę poznać, w którym to było miejscu.

- Nauczono mnie szyć, kiedy byłam bardzo młoda - powiedziała Lili, nagle smutna.

W poniedziałek rano Simon opowiedział Zimmerowi o rym incydencie i dodał:

- Kto by pomyślał, że Lili-Tygryśca to szwaczka. Zimmer chrząknął.

- Ona wciąż tęskni do spokojnego domowego życia. Dziecko w Lili pragnie ciepła przy kominku w dzieciennym pokoju... ale to tylko jedna jej strona, ta nie rozwinięta. Lili jest urodzoną aktorką. Taki talent wymaga spełnienia. Talent zduszony to zduszona osobowość. Ona nigdy nie będzie szczęśliwa, jeżeli nie będzie pracowała przed kamerą, choćby jak najlepiej zszywała koszule.

- Przed kamerą jest zdumiewająca - przyznał Simon - zupełnie jak gdyby nikogo oprócz niej nie było na planie. I jest zdecydowanie za pan brat z obiektywem. Wiem, że ja nie mam tego czaru.

- Ty nawet nie lubisz grać w filmach, Simon.

- Właśnie i dlatego nieczęsto w nich gram. Miałem dwadzieścia cztery lata, kiedy odniosłem pierwszy filmowy sukces... dziewięć lat temu, ale wiedziałem, że jest mnóstwo lepszych aktorów, którzy nie zdobyli tak od razu sławy.

- Ty sławy nie chciałeś - powiedział Zimmer. - Ale oczywiście zawsze chciałeś sukcesu.

- Nazwałbym to raczej osiągnięciem. Wciąż jeszcze się uczę, ale aktor nie uczy się przed kamerą, aktor uczy się przed publicznością, uczy się wybierać momenty, wyczuwać granice tolerowania nudy. Bo publiczność natychmiast brutalnie reaguje na to, co aktor robi, i trzeba błyskawicznie redagować siebie stosownie do jej reakcji... bez żadnej pomocy. Więc świadomie zdecydowałem, że moja pierwsza ambicja to być dobrym aktorem... że to dla mnie ważniejsze niż zarabianie dużych pieniędzy, a miejsce do nauki nie jest przed kamerą, jest na scenie.

Później tamtego dnia Simon przy stołkówkach hamburgerach czytał Lili wrywkowo Zarys intelektualnej bzdury. Zimmer oczywiście to zauważył i uśmiechnął się z cichym zadowoleniem. Może Lili, po dwóch mocnych destruktywnych mężczyznach nadnaturalnej wielkości, potrzebny jest spokojny, inteligentny facet, nie interesujący się bardziej sobą niż nią

- ktoś, kto daje dostateczną gwarancję, że okaże się wobec niej stanowczy a pobłażliwy, służąc jej też tak potrzebną podporą moralną. Simon nie będzie Lili zazdrościł filmowej kariery, będzie rozumiał nieodłączne od tej kariery presje i napięcia i pozwalał, żeby była wymagająca, nawet wściekle, ale tylko jako aktorka, a nie na płaszczyźnie swoich osobistych stosunków z ludźmi. Simon będzie wiedział, że Lili potrzebuje więcej opieki, więcej uwagi, niż na ogół mężczyzna gotów jest zapewnić kobiecie.

Simon podarował Lili staroświecką, okrągłą, pomarańczową pozytywkę. Gdy słuchali kryształowego brzękania Au clair de la lune, mon ami pierrot..., przestał kręcić korbką, widząc w oczach Lili łzy.

- O co chodzi? Nie podoba ci się?

- Och, Simon, wspaniały prezent. Po prostu to mi przypomniało...

- Kiedyś Angelina, kołysząc ją do snu śpiewała tę właśnie kołysankę w księżycowej poświacie i sosny za małym oknem szeleściły... Lili zachłysnęła się z bólu.

- Co ci jest? - Simon się zaniepokoił.

- Nic... no, tej nocy prawie nie spałam. Ząb mnie boli. Ale aspiryna pomoże, zawsze pomaga.

- Nie możesz pójść do dentysty?

- Nie cierpię dentystów. To minie.

- Nic nie minie, tylko dostaniesz zapalenia okostnej. - Simon podniósł słuchawkę telefonu. - Znam doskonałego dentystę. Mój sąsiad, i na pewno nie zrobi ci krzywdy, rękę słowem.

Pod wieczór nieduży paryski Place Saint Sulpicet ze swymi drzewami o zanadto poobcinanych gałęziach i starym kościołem nabrał koloru ciemno fioletowego, jak gdyby ze scen ulicznych Moneta. Od czasu zamieszek studenckich w roku 1968 właśnie na tym uroczym cichym placu policyjne oddziały specjalne parkowały swoje ciężarówki.

Lili wychodząc od dentysty, zdumiona stanęła na schodkach przed jego drzwiami. Godzinę temu pokryty śniegiem plac był pusty, teraz zapełniała go napierająca masa niesfornych studentów z plakatami na kijach. Jak wynikało z tych plakatów, studenci protestowali przeciwko raptownemu, pod presją, podaniu się do dymisji ulubionego lewicującego profesora.

- My chcemy Boulina! - skandowali wszyscy.

Nikt nie zwracał uwagi na Lili po części dlatego, że wyglądała jak niejedna ze studentek. Poza kamerą malowała się rzadko i potrafiła - co było sztuczką bardzo przydatną - wyłączać wysoki woltaż swojej urokliwości tak, że mogła chodzić po ulicach nie rozpoznawana w beżowym płaszczu nieprzemakalnym i w nijakim szaliku na głowie, związanym i sterzącym pod brodą.

Po zastrzyku z nowokainy, który zaaplikował jej dentysta, twarz miała spuchniętą i zdrętwiałą. W głowie jej się kręciło, oczy łzawiły w podmuchach wiatru, musiała trzymać się poręczy, ostrożnie schodząc ze schodków. I ni stąd, ni zowąd została przyciśnięta do ściany tej kamienicy, gdy młody człowiek z megafonem zaczął wrzeszczeć hasła, a skandowanie studentów zmieniło się w ryk.

Usiłowała przepchnąć się przez tłum, ale pod ten rozkołysany prąd to było niemożliwe. Dwa razy zmiotło ją z nóg.

Policjanci już ruszyli do akcji. Pchała się coraz mocniej wśród studentów wrzeszczących:

- A bas les flics!...

- ...enfant de putain
- ...sale vache
- ...salopę...
- ...sale eon!

Upuściła torebkę i nie mogła jej podnieść. Bezradna, nagle przerażona, daremnie usiłowała się wydostać z rozkołysanego, rozwrzeszczanego tłumu.

Czyjś łokieć dźgnął ją w pierś i niespodziewanie znalazła się przed pikietą, ciemnym szeregiem policjantów, którzy właśnie zdejmowali czapki. Czapki paryskiej policji są przy obrębie obciążone ołowiem; wyważonym machnięciem takiej czapki policjant może pogruchotać człowiekowi kości, a przecież nie da się powiedzieć, że miał broń.

Raptownie tłum za Lili zakołysał się do przodu, a potem w bok i pchnął ją w lewo na kij jednego z transparentów; szorstkie drewno przeorało jej policzek, aż popłynęła krew. Lili się zatoczyła i żeby odzyskać równowagę, chwyciła się tego transparentu z napisem „Przywrócić Boulina!”

Znów zaczął padać śnieg.

Policjanci natarli.

Gniewny tłum cofnął się wrzeszcząc, a Lili ni stąd, ni zowąd już się szamotała z rozjuszonym policjantem. Oburzenie wzięło w niej górę nad strachem.

- Co wy sobie myślicie? Przestańcie bić te dzieciaki!

- Stul jadaczkę! - powiedział policjant odrzucając transparent i wlokąc Lili w stronę czarnych bezokiennych karetek, do których jego koledzy wpychali wściekłych, rozkrzyczanych studentów. Lili walczyła gniewnie, syreny obwieściły przybycie oddziałów specjalnych i z ich autobusów z oknami odrutowanymi wysypały się postacie w połowych mundurach, kamizelkach kuloodpornych i maskach przeciwgazowych. Zaopatrzeni w tarcze, puszki z gazem łzawiącym i giętke gumowe pałki, szybko sformowali szereg i ruszyli na tłum z lewej strony Lili, gdy ona dalej usiłowała wyrwać się policjantowi.

- Voux faites une erreur - wykrztusiła. - Je ne suis pas une etudiante.

- Wyzywająco podniosła głowę, oczami miotała gromy. Szalik już zsunął się jej na kark.

- A bądź sobie, kim chcesz! Wszyscy jesteście plugawą bandą szumowin!- wrzasnął policjant, gdy kopnęła go w kostkę.

- Precz z tymi brudnymi łapami! - krzyknęła.

- Merde! Ty smarkata dziwko! - wrzasnął, chwycił ją za czarne gęste włosy i sięgnął po kajdanki.

Rozpinając podbity futrem płaszcz, Simon z okna swego mieszkania patrzył na to zamieszanie. Studenci rozmyślnie sprowokowali policję, a policja zareagowała jak na policję francuską przystało. Czego ci smarkacze się spodziewają?...

Zaraz, zaraz, pomyślał. Ta mi przypomina...

Gdy wpatrując się z furią w policjanta, ona odrzuciła głowę do tyłu, już wiedział, że to rzeczywiście Lili.

Podbiegł do drzwi, nieomal zjechał po schodach na dół, po czym błyskawicznie przepchnął się przez plac. Zdołał wejść między skręcającą się Lili i policjanta, który jeszcze ją ciągnął za włosy, i przekrzyczeć zgiełk.

- Chwileczkę! To pomyłka!

- Ah non alors! Odwal się, bo ciebie też zabiorę.

Simon wiedział, że z francuskimi gliniarzami na ogół można się dogadać, jeżeli podchodzi się do nich taktownie i uważa się, by ich nie rozdrażnić, przemówił więc do tego rozjuszonego policjanta uprzejmie, jak gdyby obaj byli w salonie jakiejś księżnej.

- Mam nadzieję, że pan wie, co pan robi, panie władzo. Bo przecież pan widzi, że to jest Lili, ta aktorka.

- Lili, dobre sobie! - chrapnął policjant.

- Nie, panie władzo, proszę się przyjrzeć - nalegał Simon.

Policjant z ukosa spojrział na niego, spokojnego, w płaszczu z wikunii na futrze. Potem spojrział na Lili w podartym trenczu, potarganą, spuchniętą, z ustami nabrzmiałymi i z policzkiem zakrwawionym, z nosem i oczami czerwonymi od wiatru. Wygląda zupełnie tak jak oni wszyscy, pomyślał. Co do diabła, ta sławna aktorka robiłaby w tym motłochu? Niemniej zastanowił się, zwieszając prawą rękę, w której trzymał kajdanki. Lepiej się upewnić teraz, bo kiedy jej się te kajdanki już założą, raczej nie będzie odwrotu. - Chętnie będę towarzyszył tej pani do komisariatu razem z panem. - powiedział Simon. Zdjął płaszcz, pokazując swój nienagannie skrojony jasnoszary garnitur od Ceruttiego. Narzucił płaszcz na ramiona Lili, podbiciem z norek na zewnątrz.

- Uśmiechnij się - szepnął nieznacznie.

Zareagowała jak na wskazówki Zimmera. Jakoś zdołała się wyprostować i wyższa o sześć cali, błysnęła uśmiechem do policjanta, który chciał jej założyć kajdanki.

Simon nadal wytworny, jak gdyby byli we troje w foyer hotelu Ritza, wyciągnął swój bilet wizytowy. Policjant jeszcze raz mu się przyjrzał, już uważniej. Tak, pomyślał, ten facet wygląda jak Simon Pont - nieraz go widywał w telewizji - i ubrany jest z pewnością drogo. Lepiej więc nie ryzykować.

Puścił Lili i mruknął:

- No, nie powinna pani tu być.

Lewą ręką prowadząc Lili, całym sobą ją osłaniając, Simon zaczął przedzierać się przez tłum. Policjant, z kajdankami w jednej ręce i wizytówką w drugiej, jeszcze nie wiedział, co myśleć.

W mieszkaniu Simona na pierwszym piętrze Lili zaczęła się trząść ze zdenerwowania.

- Boże, Simon, tak się bałam, kiedy oni przypuścili atak. - Trudno jej było mówić spuchniętymi ustami.

Simon delikatnie zdjął z niej swój płaszcz.

- Co ty tam robiłaś?

- Wyszłam od twojego dentysty. Byłam u niego ponad godzinę. Nie wiedziałam, co się dzieje, raptem znalazłam się w środku tego tłumy... byłam bezradna... nie rozumiałam, co to jest. I ten policjant napadł na mnie... - Zobaczyła się w ozdobionym cherubinkami lustrze w hallu. - Nic dziwnego, że mnie nie poznał! Wyglądam strasznie.

- Nie dla mnie. Dla mnie wyglądasz cudownie. Przyjrzała się sobie.

- Chyba będę miała siniaka pod okiem. W poniedziałek Zimmer mnie zabije... Nie wiem, jak możesz mówić, że wyglądam cudownie, Simon!

Odpowiedział francuskim wzruszeniem ramion.

- Podobasz mi się bez makijażu. Lubię patrzeć na ciebie prawdziwą. -I dodał: - Powinnaś teraz napić się herbaty. Osłodzona herbata świetnie robi na wstrząs. Chodźmy do kuchni.

Wziął ją za rękę i przeprowadził przez mieszkanie. Zwróciła uwagę na soczyste, ciemne kolory, na półki z książkami przy ścianach korytarzy, na stare obrazy przedstawiające konie, na ten cały ciepły, przytulny komfort.

Kuchnię, w której błyszcząły miedziane patelnie i pachniało ziołami, znakomicie urządził w stylu kuchni chłopskiej John Stefanidis za cenę, na jakiej zapłaceniu nigdy by nie było stać żadnego chłopca. Simon wyciągnął z kąta orzechowy fotel na biegunach.

- Siadaj, to zmyję ci tę krew z policzka. Lili osunęła się w fotel.

- Strasznie się czuję - chlipnęła.

Simon wyciągnął z kieszeni na piersi jedwabną chustkę od Charveta. Lili z zasmarkanym nosem wydawała się tylko jeszcze bardziej bezbronna i wzruszająca. Niewielu ludzi widziało ją tak nieopancerzoną, pomyślał, i sprawiło mu to przyjemność. Zagotował wodę, podał herbatę na końcu długiego żniwnego stołu z sośniny.

- Ja bez cukru.

- Dzisiaj z cukrem. Cztery kostki.

Lili niechętnie sięgnęła po cukiernicę, jednocześnie z Simonem, który chciał jej cukiernicę podsunąć, i na chwilę ich ręce się spotkały. Omal nie zabrakło jej tchu, gdy poczuła lekkie dotknięcie jego ciepłej skóry, niespodziewane i przejmujące. Z niedowierzaniem, lekko rozchylając spuchnięte wargi, zapatrzyła się w niego. On wpatrywał się w nią tak samo, oboje mieli na twarzach wyraz zdumienia. Potem doszła w Lili do głosu ostrożność wobec mężczyzny - z żadnym już się nie wiązać. Wstając od stołu, zapięła na sobie płaszcz nieprzemakalny.

- Naprawdę powinnam już iść...

Simon podszedł do okna i z rękami w kieszeniach, odwrócony do niej tyłem, powiedział:

- Tak, oczywiście, musisz.

Lili z powrotem usiadła. Po chwili znowu wstała. Simon odwrócił się od okna. Ruszyła do niego machinalnie wyciągając rękę, żeby pożegnać się z nim zwyczajem francuskim.

Ujął jej dłoń, ale nie puścił.

Nerwowo spróbowała się uwolnić. Zażartowała:

- Bez ręki przecież nie pójdę, Simon.

- Możesz pójść bez ręki albo z ręką tu zostać.

Rozdział pięćdziesiąty dziewiąty

Za oknami sypialni widać było szare dachy Paryża pokryte białą koronką mrozu. Śnieg zaczął padać, widok pojaśniał i zamazał się. W sypialni Simon lekko łaskotał Lili w palce nóg, co często stanowiło wstęp do dalszych pieszczot. Już od dwóch lat mieszkali razem tutaj, w jej mieszkaniu, spokojnie i stosunkowo cicho. Nigdy dotąd Simon nie zaznał takiego spokojnego szczęścia. Ku swemu zdumieniu przekonał się, że Lili nie jest trudna. Poza chwilami wściekłości, wywołanymi jakimś kłamstwem w gazecie, była nawet bardzo ugodowa, lubiła spokój, unormowany tryb życia. Mnóstwo oboje czytali, słuchali muzyki i w niedzielę Lili malowała.

Simon zakołysał małym palcem lewej nogi Lili. Zaczął głaskać ją po udach, coraz bliżej ciemnego lasku. W niedzielne poranki lubił ją budzić w ten sposób, a ona z ogromną przyjemnością wracała wtedy ze snu na jawę, świadoma doznań erotycznych, wolno, coraz głębiej wiodących w namiętność. Teraz z oczami jeszcze zamkniętymi poszukała Simona po omacku.

Znacznie później Simon przyniósł tacę z kawą. Lili usiadła w pościeli patrząc na nieduży obraz olejny na ścianie pomiędzy oknami na wprost wielkiego kremowego łóżka. Ten obraz, przedstawiający krętą górską rzekę, kupili tydzień wcześniej w Paradis na rue Jacob.

- Nie jestem pewna, czy wisi w dobrym miejscu. - Zastanowiła się. - Za mały, żeby patrzeć na niego z tej odległości, ale rzeczywiście jest bardzo ładny. Przypomina mi rzekę w dzieciństwie. Nie widać jej było z naszego domu, bo płynęła głębokim wąwozem. Nie mogliśmy tam chodzić, ale Roger, mój brat, często mnie tam zabierał. Łowiliśmy pstrągi i chlapaliśmy się na mieliźnie.

Głos jej zmiękł. Z czarką kawy w obu rękach patrzyła na ten obrazek naprzeciwko łóżka.

- Tam był rozklekotany stary most wiszący. Rzeka była bardzo głęboka, pośrodku zawsze lodowato zimna i bardzo czysta, wiła się, skręcała, zawsze wartka i głośna, a już szczególnie wiosną, kiedy śnieg topniał w górach. - Wypiła łyk kawy z mlekiem, nie odrywając oczu od obrazka. - Zawsze najładniej było wcześniej rano; zbocza gór otulone srebrzystą mgłą, szczyty tylko jak plama na niebie. - Zamknęła oczy i uśmiechnęła się. - I była wielka cisza, tylko rzeka pędziła i skamlał tartak w dolinie, kiedy tam cięli sosnowe deski i układali je w gotowe sterty, żeby z nich raz dwa zbudować jeszcze jeden taki górski chalet jak nasz.

- Ciekaw jestem, czy zdajesz sobie sprawę, że nieustannie rozpamiętujesz przeszłość? - powiedział Simon trochę zirytowany. - Dlaczego nie myślisz o budowaniu przyszłości ze mną? Moglibyśmy kupić chalet w Szwajcarii z desek z tego tartaku. I mogłabyś założyć nową rodzinę, zamiast wciąż wracać do tamtej, którą utraciłaś. Jesteśmy ze sobą już dwa lata i niech mnie diabli, jeżeli rozumiem, dlaczego nie chcesz wyjść za mnie.

- Taki staromodny pomysł.

- Ale dobry. Ja chcę mieć zobowiązania, Lili. Jest rok tysiąc dziewięćset siedemdziesiąty ósmy; mam trzydzieści pięć lat i chcę mieć dzieci. I co mnie zdumiewa, wiem, że ty także chcesz. A przecież raz po raz wykręcasz się od rozmowy o tym. Czy dlatego, że mnie nie kochasz? Czy może nie wierzysz, że ja cię Kocham? Czy też może nie chcesz się angażować, bo się boisz, że wtedy tobą zawładnę jak Serge i Stiarkoz, i ten bękart Abdullah?

- Nie, nie - Lili się zawahała. - Może to niemądre, ale czuję się zawieszona w próżni. Ty znasz swoją przynależność, ja swojej nie znam.

- Postawiła pustą czarkę z powrotem na tacy. - Prawie każda kobieta marzy o tym, żeby mieć dziecko z mężczyzną, którego kocha. Ja nie jestem wyjątkiem, Simon. - Popatrzyła na niego przeciągle, ze smutkiem. - Dziecko byłoby nowym życiem, moimi ponownymi narodzinami, usunięciem bólu przeszłości, nowym początkiem z moją rodziną. Nie myśl, że ja nie tęsknię do tego. Ale jak mogę mieć dziecko, przyjąć taką odpowiedzialność, kiedy co do samej siebie brak mi pewności, kiedy nie wiem, kim jestem? Chcę, żeby moje dziecko czuło, że ma korzenie i swoje miejsce. Więc muszę poczekać, aż ten niepokój mi przejdzie. - Głos jej osłabł i zaraz nabrał siły.

- Ale nie przechodzi i czasami myślę, że nie przejdzie nigdy, jeżeli się nie dowiem, kim są moi rodzice. I chociaż rozpaczliwie pragnę wiedzieć, jednocześnie boję się. Bo mogłoby się okazać, że oni są... Och, jakoś paskudnie niesympatyczni. Ostatecznie, porzucili mnie - westchnęła. - Tak czy inaczej, chyba nieprawdopodobieństwem jest ich wytropić. To beznadziejne. Simon, zastanawiając się, powiedział:

- Nie, na pewno zdołam to jakoś załatwić dla ciebie... czy w każdym razie spróbuję... Jeżeli znajdziesz swoich prawdziwych rodziców, może przynajmniej przestaniesz szukać rodziców zastępczych prawie w każdym, kogo spotykasz. Dlatego jesteś taka bezbronna wobec tych wyzyskiwaczy, jakich nieuniknienie do siebie przyciągasz. - Wypił kawę i

postawił czarę. - Wystarczy, żeby mężczyzna coś powiedział uspokajającym tonem dobrego wujaszka, a ty od razu myślisz, że to Święty Mikołaj. Podpiszesz każdy dokument, który ci podsunie. Ale Święty Mikołaj nie istnieje, więc już go nie szukaj, Lili.

- Nic nie poradzę na... tę tęsknotę - Lili mocniej objęła rękami kolana, przytuliła do nich policzek.

- Więc na litość boską, postarajmy się wreszcie odszukać twoich rodziców, zamiast żywić niejasną nadzieję, że oni wyskoczą znikąd. - Simon się zniecierpliwił. - Zaangażujemy detektywów. Twój radca prawny może nam polecić jakąś agencję. Dawno już o tym myślałem. Ale powinnaś zdawać sobie sprawę, że to, co znajdziesz, może nie będzie ci się podobało.

Lili poruszyła kolanami, taca z zastawą przesunęła się niebezpiecznie blisko krawędzi łóżka. Simon wstał i przeciągnął się.

- Przypuszczam, że twoja matka była niezamężną młodą dziewczyną, która pracowała w mieście, ale pochodziła ze wsi, z jakiejś chłopskiej rodziny. Wiesz, jacy Szwajcarzy są praktyczni... rodzina mieszczańska prawdopodobnie postarałaby się załatwić dziewczynie aborcję nawet wbrew ustawie i, być może, wbrew swoim przekonaniom religijnym.

Podszedł do obrazka na ścianie, przypatrzył się górskiej rzece.

- I jeszcze coś... twój ojciec może był żonaty z inną. I jakoś mi się zdaje, że gdyby twoja matka żyła i nie wyszła za mąż, to na pewno upomniałaby się o ciebie, czy bodaj cię odwiedziła. Więc mam taką teorię: to była dziewczyna z wioski w górach, przyjechała do miasta w dolinie, żeby zarobić na swój posag, miała dziecko z żonatym mężczyzną, a potem wróciła do rodzinnej wsi, wyszła za jakiegoś wieśniaka i nie odważyła się przyznać.

- Och, nieważne, po prostu chcę wiedzieć! - wykrzyknęła Lili.

Nazajutrz po południu złożył Lili w mieszkaniu wizytę detektyw nazwiskiem Sartor. Miał rzadkie, szpakowate włosy z przedziałkiem pośrodku i okulary bez oprawy, które dziwnie odwracały uwagę od reszty jego twarzy. Był schludny, elegancki i bez wyrazu. Radca prawny polecił Lili Agencję Sartora ze względu na koneksje międzynarodowe. Wyjaśnił, że Sartor jest w kontakcie ze znanymi agencjami detektywistycznymi w każdym z wielkich miast świata, może więc po prostu zawrzeć subkontrakt na pracę w danym kraju z miejscową agencją.

Siedząc w saloniku Lili, Sartor notował w bloczku akurat mieszczącym się w jego lewej dłoni. Nie, ona nic nie wie o swoich narodzinach poza tym, że przypuszczalnie przysłała na świat w Gstaad albo w Chateau d'Oex w Szwajcarii 15 października 1949 roku i że zajmowała się nią nie rodzona, tylko przybrana matka. Jej przybraną matką w tamtym czasie była Angelina, wdowa po Albercie Dassin, przewodniku, który mieszkał w szwajcarskiej wiosce Chateau d'Oex. Nie, na to, że madame Dassin nie była jej rodzoną matką, ona nie ma żadnego dowodu. Owszem, istnieje taka możliwość, ale trudno sobie wyobrazić, żeby madame Dassin, wdowa, mogła ukrywać swoją ciążę w takiej małej wiosce. Jej prawdziwa matka niewątpliwie stanowiła tam dla wszystkich tajemnicę - dzieci w szkole dokuczały jej tym. Ogólnie uznawano, że jest tylko przybraną córką madame Dassin, chociaż nazywała się Elizabeth Dassin. Tak, madame Dassin w roku 1955 wyszła ponownie za mąż za pewnego Węgra, Felixa Kovago, kelnera. Tak, konsul szwajcarski niezbitnie ustalił, że oboje Kovago i dziecko, Roger Dassin zostali zastrzeleni przez strażników na granicy węgierskiej w roku 1956. Oczywiście, dobrze by było, gdyby pan Sartor to sprawdził. Nie, nic już poza tymi szczegółami jej się nie przypomina, poza tym, że ona z inicjatywy madame Kovago miała prywatne lekcje angielskiego i literackiej francuszczyzny, a jej zdaniem, madame Kovago w żadnym razie sama nie wpadłaby na taki pomysł i nie miałaby na to pieniędzy. Nie, Roger, syn madame Dassin, nie miał takich lekcji, ani on, ani żadne dziecko z wioskowej szkoły. Nie, madame Kovago nie dała jej żadnej biżuterii, żadnych fotografii, które by w jakikolwiek sposób o czymkolwiek świadczyły.

- Natychmiast sprawdzimy świadectwo urodzenia - powiedział monsieur Sartor wpychając ten swój maleńki notatnik do wewnętrznej kieszeni marynarki i wstając. Simon odprowadził go do drzwi frontowych, podał mu beżowy płaszcz nieprzemakalny, jeszcze mokry od stopniałego śniegu.

W trzy dni potem monsieur Sartor zatelefonował. Simona nie było, wyjechał na tournée, telefon odebrała Lili.

- Nasz łącznik szwajcarski sprawdził w archiwum. Okręg Gstaad jest w rejonie Saaneu, w którym liczba ludności wynosi około sześciu tysięcy. Piętnastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku urodziły się dwie dziewczynki ochrzczone imieniem Elizabeth. Dotarliśmy już do jednej z tych młodych kobiet i rozmawialiśmy z nią. Jest niezamężna i nadal mieszka w Gerignoz ze swoim

owdowiałym ojcem. Druga z tych dziewczynek urodziła się w szpitalu w Chateau d'Oex, jej matka nazywała się Post... Emily Post. Na szwajcarskim świadectwie urodzenia zawsze podane jest nazwisko osoby przyjmującej na świat, położnika. W tym przypadku był to doktor Alphonse Geneste, który, na nasze nieszczęście, zmarł czwartego listopada ubiegłego roku, ale nasz człowiek w Szwajcarii rozmawiał przez telefon z wdową po nim i umówił się z nią na jutro.

- Boże - powiedziała Lili - Emily Post. To chyba Angielka, prawda? Nie szwajcarska Francuzka czy Niemka, czy Włoszka... chociaż można by się spodziewać, że tylko któraś taka urodzi dziecko w Szwajcarii.

- Jest, oczywiście, możliwe, że Szwajcarka... Francuzka, Niemka czy Włoszka podała o sobie fałszywe dane... może nazwisko jakiegoś cudzoziemca... może ojca dziecka. - Monsieur Sartor sucho zakaszłał w słuchawkę. - W świadectwie urodzenia figuruje ojciec „nieznany”.

I jeszcze raz ten prawie przepaszający kaszelek.

- Ale jeśli to nazwisko jest prawdziwe, to matka mogłaby być Angielką, Szkotką, Walijką albo Irlandką. Czy też Kanadyjką, Amerykanką, Południowoafrykanką czy Australijką. Albo może pochodziła z jakiejś dalekiej części Wspólnoty Brytyjskiej... z Kenii na przykład... czy nawet z któregoś z mniejszych angielskich bastionów... z Hongkongu, być może. Zatelefonuję do pani, kiedy tylko będę miał następne wiadomości.

Pan jest z policji, prawda?

Mężczyzna potwierdził przytaknięciem, patrząc na tę skurczoną staruszkę, która otworzyła mu drzwi domu numer 7 na Siedenstrasse w Gstaad. Miała wytapirowane rzadziutkie włosy, ufarbowane nienaturalnie na kolor niebieski, i gruby gruzowaty makijaż, powieki niebieskie, nierówne pacnięcia różu na policzkach. Obwisłą szyję zdobiła szkarłatna wąska aksamitka, a całą tę postać jaskrawoczerwony kombinezon z dżerseju. Wyglądała ta pani przerażająco zgrzybiała, gdy zgarbiona, szurając powoli nogami, wprowadziła gościa do przegrzanego, prawie nie umeblowanego saloniku.

- Nie wiem, czy mogę panu pomóc, młodzieńcze, ale sądząc z tego, co pan mi mówił przez telefon, coś tu jest szczęśliwym trafem. Jak panu wiadomo, zgodnie z prawem szwajcarskim, trzeba zachowywać swoje księgi rachunkowe przez dziesięć lat. Mój mąż

prowadził księgowość, odkąd zaczął tu praktykować, to znaczy od roku tysiąc dziewięćset dwudziestego siódmego. Schowałam te stare księgi na strychu i nigdy mi się nie chciało ich ruszać. - Niebieskie powieki zamrugały. - Ja byłam jego księgową, wie pan. Tak właśnie się poznaliśmy. Wysłałam za swojego szefa! - Staruszka roześmiała się skrzeczące detektyw uśmiechnął się, żeby mówiła dalej. - Mogę to wszystko ze strychu przynieść, jeżeli pan chce, ale nie dzisiaj, bo dzisiaj mam zły dzień. Mówi pan, że pan chce odnaleźć kogoś zaginionego... dziecko, które mój mąż przyjął na ten świat. Piętnastego października roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego, mówi pan? Dziewczynka, pan mówi, oddana na wychowanie jakiejś kobiecie w Chateau d'Oex, niejakiej madame Dassin?

I znów pomarszczone niebieskie powieki opadły, a potem nagle się podniosły, żeby odsłonić zadziwiająco bystre czarne oczy.

- No, w tej sprawie nie muszę szperać w książkach. Dobrze to pamiętam, bo ta dziewczyna była bardzo młoda... jeszcze w szkole... i nie zapłaciła rachunku.

- Nie zapłaciła rachunku?

- Nie, cztery inne dziewczyny za nią zapłaciły. Myślę, że one wszystkie były w internacie L'Hirondelle... to taka szkoła, której nie ma już od dziesięciu lat, bo jej dyrektor zmarł. W każdym razie, znajdzie pan te wszystkie szczegóły w dokumentacji. I coś sobie przypominam, że to jedna z nich zapłaciła gotówką. One trzy były bardzo dobre dla młodziutkiej matki, mój mąż też jej niemało pomógł... właściwie aż za dużo. No, ale miał dobre serce i lubił ładne dziewczyny. - Uśmiechnęła się. - W każdym razie te wszystkie raty są odnotowane w książkach. Nie, dziś tam nie pójdziemy, a jutro jest niedziela... ale w poniedziałek rano... ja chyba jestem bystrzejsza rankiem.

W poniedziałek rano detektyw znów stanął na tym ośnieżonym progu. Starsza pani otworzyła mu i po chwili rozmowy ruszyli na górę, na ten strych, gdzie w zakurzonych stertach leżały stare zapiski.

Powolutku jak ślimak, staruszka sunęła po schodach na podest, na który zwieszała się drabina ze stali przymocowana do otworu z klapą w podłodze strychu.

- Ja to nie wejść po czymś takim, ale pan, młodzieńcze, niech tam wejdzie z latarką. Księgowość jest w trzynastej teczce z lewej strony, tam w samej głębi. Panu potrzebna księga z roku tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego. Brązowa płócienna oprawa i

na grzbiecie jest naklejony pasek: tysiąc dziewięćset czterdzieści dziewięć. Bo pan powiedział, czterdziesty dziewiąty, prawda? No, to już niech pan wchodzi.

Przygotowany na trudne i brudzące poszukiwania, detektyw ostrożnie wszedł po drabinie w zimno nieogrzewanego strychu i lawirując po zakurzonych belkach dotarł do tylnej ściany. Ku swemu zdumieniu, znalazł prawie od razu księgę, której szukał, dokładnie tam, gdzie mu powiedziała ta staruszka. Zdmuchnął z księgi kurz, skacząc po belkach wrócił do klapy, zszedł po chwiejnej drabinie i pchnął ją z powrotem pod sufit.

Starsza pani przewracała stronicę, aż natrafiła na tę właściwą.

- Proszę, młodzieńcze. Pierwszy zapis w połowie czerwca, widzi pan, nazwisko Post. To nazwisko tej dziewczyny. A tu mamy raty, pan widzi. Na początek trzy czeki podpisane Trelawney i Ryan, a duże sumy to były... a potem mała splata gotówką od mademoiselle Pascale.

Następował szereg rozmaitych wpłat dokonywanych przez J. Jordan, P. Trelawney, M. Pascale i K. Ryan, ale - jak wynikało z tej nienagannie prowadzonej książki - ani jednego sou nie wpłaciła panna Post, ta młoda matka.

Dziwne.

Madame Geneste nie mogła sobie przypomnieć, jak panna Post wyglądała. Zresztą nie widziała jej nigdy.

We wtorek ten detektyw zatelefonował do Paryża do monsieur Sartora, który natychmiast wydelegował swego głównego asystenta, żeby poszperał w archiwach wszystkich szkół dla dorastających panien w szwajcarskim okręgu Gstaad. Chciał również zlokalizować świadectwo urodzenia Maxine Pascale urodzonej prawdopodobnie w latach 1929-1932, być może w Szwajcarii, w Belgii albo we Francji. Następnie Sartor przeprowadził rozmowy telefoniczne z agencjami detektywistycznymi w Londynie, Waszyngtonie, Montrealu, Canberrze, Johannesburgu i Auckland. To miało wystarczyć na początek. Prosił o rutynowe odszukanie metryk urodzenia Emily Post, Poganki Trelawney, Kate czy też Catherine czy Kathleen Ryan, Judith Jordan - prawdopodobne daty lata - 1930-

W środę rano na lakierowanym biurku Sartora leżał telegram z Waszyngtonu:

JUDY JORDAN STOP URODZONA ROSSVILLE VIRGINIA 1933 STOP BOGATA NOWOJORSKIE PRZEDSIĘBIORSTWA AKTA POCZTA LOTNICZA STOP EMILY POST CZY ŻARTUJECIE URODZONA BALTIMORE MARYLAND 1873 RODZICE

BRUGE JOSEPHINE LEE PRICE MAŻ EDWIN POST DWÓCH SYNÓW
ROZWIEDZONA 1906 PISAŁA ARTYKUŁY DO MAGAZYNÓW POTEM KSIĄŻKA O
ETYKIECIE WYDANA 1922 NATYCHMIAST BESTSELLER WYDANY 99 RAZY W
CIĄGU 47 LAT EMILY SŁYNNA AMERYKAŃSKA LEGENDA ZMARŁA ZAPALENIE
PŁUC 1966 STOP NASTĘPNE DANE ŚWIADECTW URODZENIA
ROZPRACOWYWANE ASY

Czyli pani Post miała w roku 1949 siedemdziesiąt sześć lat, więc raczej nie mogła zająć w ciąży. Ale, być może, to było pierwsze nazwisko, jakie przyszło na myśl rozgorączkowanej brzemiennej dziewczynie, która chciała zataić swoją tożsamość? Kiedy zamiast swojego nazwiska podaje się fikcyjne, wybiera się jak najdalsze od siebie, a przecież łatwe do zapamiętania.

W piątek już zostało odszukane świadectwo urodzenia Maxine Pascale, po czym we wtorek była fotokopia świadectwa jej ślubu. W tenże wtorek po południu monsieur Sartor miał telefon z Londynu. Poganka Trelawney (ochrzczona imieniem Jennifer) urodziła się w szpitalu St George w Londynie w roku 1932. Zameżna dwa razy, obecnie lady Swann mieszka w Londynie, fotokopie świadectwa urodzenia, świadectwa drugiego ślubu i aktualny adres „przyślemy”. Pierwsze małżeństwo zawarła zdaje się na Środkowym Wschodzie.

Natomiast jeśli chodzi o Catherine czy Kathleen Ryan to dziesiątki ich urodziły się w Anglii i setki w Irlandii. Agencja przeorała się przez nie wszystkie, ograniczając ich liczbę datą. W Afryce Południowej, Australii, Nowej Zelandii, Kanadzie i Stanach Zjednoczonych też zestawiono długie spisy niemowląt Ryan płci żeńskiej, ale Waszyngton zadepeszował:

NOWOJORSKA DZIENNIKARKA KATE RYAN URODZONA BRYTANIA DATA PASUJE BRAK ŚWIAD UR STANY CZY KONTYNUOWAĆ ASY

W środę Sartor zatelefonował znów do Waszyngtonu i poprosił o sprawdzenie, czy Jordan albo Ryan były w szkole w Szwajcarii w 1949 roku i jeżeli tak, to gdzie? Ostrożnie nie sugerował ewentualnej miejscowości - w ten sposób chciał sprawdzić dokładność informacji, jaką miał otrzymać.

W piątek miał dalsze dane o Emily Post. Jak z nich wynikało, tę literatkę traktującą o etykietach nie tylko znano, ale podziwiano wszędzie na obszarach anglojęzycznych. Należało więc podejrzewać, że niejedna z panien Post otrzymała imię Emily na jej cześć.

Było siedemnaście w Stanach Zjednoczonych, jedna w Kanadzie, sześć w Wielkiej Brytanii i dwie w Australii - chociaż ani w Afryce Południowej ani w Nowej Zelandii nie zarejestrowano żadnej urodzonej w tym czasie.

W następny poniedziałek, czyli w trzy tygodnie po otrzymaniu zlecenia, Sartor zastał na biurku nowy telegram z Waszyngtonu.

JUDY JORDAN KATE RYAN PRACUJĄ TERAZ RAZEM STOP OBIE GSTAAD
SZWAJCARIA 1949 ASY

Zatelefonował do Lili i powiedział, że chce się z nią zobaczyć możliwie jak najprędzej.

O szóstej wieczorem tego dnia drzwi otworzył mu Simon i we troje usiedli przy kominku. Monsieur Sartor złożył meldunek.

- Jestem zdania, że matką była jedna z tych czterech dziewcząt, które zlokalizowaliśmy, i że jeśli nam się uda wytropić wszystkie panny Emily Post, okaże się, że nie mają nic wspólnego z tą sprawą.

- Przerwał sobie suchym kaszelkiem. - Ale jest jeszcze jedna możliwość. Jeżeli istnieje nasza Emily Post, te wytropione cztery kobiety będą o niej wiedziały. Czy pani chce, żeby moi agenci przeprowadzili z nimi rozmowy?

- Nie! - Lili zerwała się na równe nogi. Twarz jej płonęła w ciepłe ognia, włosy miała potargane. - Nie! - Powtórzyła gwałtownie. Pomyślała o swojej wrzaskliwej kłótni z Judy Jordan, o wywiadzie, który przeprowadziła z nią i opublikowała Kate Ryan, o strasznej scenie w oranżerii z Maxine. O tej Pogance nic nie wiedziała, ale z tamtymi trzema stanowczo nie chciała mieć do czynienia.

Simon delikatnie ujął ją za rozdygotane ręce.

- Kochanie, musisz sobie uzmysłwić, że jedna z tych kobiet może jest twoją matką.

- Nie! - Rzewna tęsknota Lili do vraie maman, dobrotliwej, łagodnej madonny jej snów, w jednej chwili stała się wściekłością. A więc wygląda na to, że jej nie porzuciła z jakichś tragicznych, dających się wybaczyć powodów, skromna wieśniaczka. Wygląda na to, że ją wyrzuciła jakaś bogata dziwka, która nie mogła sobie załatwić skrobanki. Lili zdławiła furię.

- Znam trzy z tych czterech. Jeżeli mają coś do ukrywania, ani na chwilę nie uwierzę, że zechcą zobaczyć się z pana agentami. A gdyby nawet, to bardzo wątpię, czy udzieliłyby

jakichkolwiek informacji o tym, co wolą zataić. - Zastanowiła się. - Chciałabym, żeby pan udostępnił mi ich dane. Wszystkich czterech.

- Nie ma problemu, madame. To nietrudne. Będzie pani miała ich życiorysy.

- Zdecyduję, co zrobić, kiedy je przeczytam.

Lili uważnie przeczytała dostarczone przez monsieur Sartora akta Poganki, Kate, Maxine i Judy. Jej matką prawie na pewno była jedna z tych czterech kobiet. Lili miała nadzieję, że Poganka, ponieważ z Poganką nigdy się nie zderzyła. Ale niezależnie od tego stanowczo chciała odkryć, która to.

Z jakiejś przyczyny te cztery ukryły fakt jej narodzin i dochowywały tajemnicy. Każda z nich, zapytana, z pewnością zawiadomiłaby pozostałe i wszystkie cztery nabrałyby wody w usta. Żadna z nich nie jest głupia; wszystkie odnoszą sukcesy. Lili doszła do wniosku, że jedyną szansą dowiedzenia się prawdy jest konfrontacja z nimi wszystkimi razem, zaskakująca czy też wstrząsająca dla nich. Ona będzie patrzyła na ich twarze, na ich oczy, na ich reakcje. Tylko zaskoczenie może sprawić, że coś wyjawią.

CZĘŚC DWUNASTA

Rozdział sześćdziesiąty

Na zewnątrz drzewa w Central Parku szeleściły poruszane ciepłym październikowym wiatrem. Wewnątrz, w ciszy kremowego przepychu apartamentu w hotelu Pierre, Lili szorstko powtórzyła swoje pytanie:

- Która z was, dziwki, jest moją matką?

Poganka, Judy i Maxine już się opanowały po zaskoczeniu, jaki było niespodziewane spotkanie. Kate jednak stojąc tuż przy drzwiach którymi weszła, była jeszcze zanadto zdumiona, żeby zrozumieć, co się dzieje. Nie mogła sobie skojarzyć sławnej Lili z odległym incydencie w Szwajcarii i z tą małą dziewczynką zastrzeloną w czasie ucieczki z Węgier w roku 1956.

Lili spróbowała jeszcze raz.

- Która z was, dziwki, jest Emily Post?

Tym razem Maxine szybko spojrzała na Pogankę. Lili zauważyła, że każda z nich trzech nie patrzy na Judy.

- Jeżeli nie zdołasz ich rzeczywiście przyprzeć do muru, albo wszystkiemu zaprzeczą, albo powiedzą, że to Judy - przepowiadał Simon. - Bo tylko Judy jest niezamężna. Tylko ona nie musiałaby z niczego tłumaczyć się przed mężem. Tylko jej nie skomplikowałoby życia nagłe zjawienie się dorosłej córki, w dodatku sławnej.

Lili zrobiła dwa kroki w stronę morelowej pluszowej kanapy, zacisnęła pięści i syknęła:

- Która z was urodziła dziecko z pomocą doktora Geneste? - Odwróciła się do Kate w eleganckim kostiumie fraise, jeszcze stojącej przy drzwiach. Przypomniało jej się nagle, jak paskudnie Kate napisała o niej w gizecie - To ty?

Kate z ukosa spojrzała na grupkę usadowioną na kanapie. Myśląc szybko, próbowała odeprzeć atak Lili nie mniejszą agresywnością.

- Dlaczego pani nas tu sprowadziła? O co chodzi? Do czego to zmierza? Na jakiej podstawie myśli pani, że któraś z nas jest pani matką?

- Na takiej podstawie, że wiem. Wiem, że jedna z was czterech urodziła dziecko piętnastego października tysiąc dziewięćset czterdziestego dziewiątego roku. - Lili raptownie odwróciła się do Maxine. - Czy to ty? Tyś urodziła w szpitalu w Chateau d'Oex? Tyś oddała mnie na wychowanie Angelinie Dassin?

Spodek szczęknął o filiżankę w ręce i kilka kropel kawy kapnęło na bladoniebieską jedwabną sukienkę, ale Maxine miała minę nadal obojętną i nic nie powiedziała. Nie da się tak zastraszyć, żeby palnąć coś, cokolwiek Lili chce wiedzieć. Zresztą wszystko razem jest niemożliwe. To biedne dziecko zastrzelono. Był urzędowy dowód, list ze szwajcarskiego konsulatu. Jak śmie ta zdzira urządzać taką scenę? Nie, ta poszukiwaczka złota bez czci i wiary, ta deprawatorka nieletnich w żadnym razie nie może być tamtą maleńką przybłędką, którą zostawiły u Angeliny.

- Czy Lili to pani prawdziwe imię? - zapytała nagle Poganka. Ostatecznie Lili powiedziała o Emily Post. Skąd mogłaby wiedzieć o Emily Post? I zna datę, miejsce, imię i nazwisko przybranej matki.

- Nie, naprawdę mam na imię Elizabeth, ale Felix zawsze mnie nazywał Lili. Felix ożenił się z moją przybraną matką i to właśnie on mnie ocalił przed tymi żołnierzami na Węgrzech. Przerzucił mnie przez druty kolczaste i kazał mi uciekać.

- I co było potem? - zapytała Poganka łagodnie.

- Zabrano mnie do obozu uchodźców w Austrii, a stamtąd pociągiem do Paryża, gdzie zostałam adoptowana. Rzeczywiście niewiele z tego pamiętam, byłam chora, miałam wtedy tylko siedem lat.

Lili jednak żywiła nadzieję, że to Poganka! Rozpaczliwie nie chciała odkryć, że jej matką jest Maxine, matka Alexandres. Bo jeżeli tak - sama myśl o popełnieniu kazirodztwa była zbyt straszna.

Podeszła do Poganki i przysiadła chwytając się poręczy morelowej kanapy, żarliwie patrząc Pogance w oczy. Z nadzieją, drżącym głosem szepnęła:

- Pani jest moją prawdziwą matką?

Poganka w desperacji popatrzyła na tamte trzy. Lili przecież ma prawo się dowiedzieć. Czy one nie rozumieją, że prawdopodobnie to jest ta mała Elizabeth? Spojrzała na podniesioną ku niej twarz Lili. Całe wyrafinowanie i sztuczny spokój zniknęły. Lili była teraz niecierpliwa, ufna, bezbronna.

I nagle odezwała się Judy.

- Nie, Poganka nie jest twoją matką. To ja.

Wszystkie głowy odwróciły się do niej.

- Urodziłam córeczkę w Chateau d'Oex. Data się zgadza. Jeżeli rzeczywiście ty jesteś tym dzieckiem, Lili, no to chyba... ja jestem twoją matką. - Judy miała w głowie zamęt, była wyczerpana. Przez długie lata myślała, że jej córka nie żyje, prawie usunęła to dziecko z pamięci. I oto teraz za jej córkę podaje się ta osławiona mała primadonna! Ale to niemożliwe, że Lili jest tą dziewczyneczką tak wypieszczoną w jej sercu, tak opisywaną przez Angelinę w listach, wciąż jeszcze potajemnie przechowywanych.

Lili słysząc odpowiedź na pytanie, które odkąd tylko mogła pamiętać, dręcząco pozostawało bez odpowiedzi, wybuchnęła z furią nagromadzoną od dwudziestu dziewięciu lat.

- Dlaczego nie zatrzymałaś swojego dziecka? - krzyknęła. Wyprostowała się jednym skokiem, zaczęła bić się pięściami po udach w bezsilnej wściekłości. - Dlaczego dałaś mnie obcej kobiecie? Dlaczego nigdy do mnie nie przyjechałaś? Dlaczego mnie porzuciłaś? - Skoczyła w stronę Judy. Maxine odstawiła spodek i filiżankę i ruszyła do niej, zaniepokojona. Kate także, ale to Poganka szybko stanęła pomiędzy Lili i Judy, która jeszcze siedziała zgarbiona w swej brązowej garsonce na brzegu morelowej kanapy.

- Moja droga dziewczyno - powiedziała Poganka - musisz nam pozwolić się wytłumaczyć, tak pochopnie nie można wyciągać wniosków. My wszystkie potrafimy zrozumieć, jak się czujesz, ale proszę, wysłuchaj nas, bo widzisz, dla nas wszystkich byłaś ogromnie ważna. - Urwała. - Każda z nas równie dobrze mogłaby być twoją matką, więc zdecydowałyśmy, że wszystkie cztery będziemy miały wobec ciebie obowiązki. Poniekąd miałaś trzy matki chrzestne, Kate, Maxine i mnie. Wszystkie chciałyśmy ciebie, wszystkie się o ciebie martwiłyśmy, wszystkie wiązałyśmy z tobą wielkie nadzieje, wszystkie cię kochałyśmy.

- I wszystkie płaciłyśmy za ciebie - powiedziała Maxine. - Uważałyśmy, że pod każdym względem wspólnie ponosimy odpowiedzialność.

- Więc dlaczego mnie nie zatrzymałyście? - rzuciła Lili do Judy przez zaciśnięte zęby.

- Moja droga - próbowała wyjaśnić Poganka - nie możesz sobie wyobrazić atmosfery moralnej w tamtych czasach. W ciągu ostatnich trzydziestu lat wszystko się zmieniło tak całkowicie. Wtedy żadna dziewczyna nigdy się nie przyznawała do tego, że spała z młodym mężczyzną przed ślubem... nawet z narzeczoną, i w istocie mało która to robiła. Powinnaś sobie zdać sprawę, że twoja matka miała zaledwie piętnaście lat, sama jeszcze była dzieckiem. Proszę, postaraj wczuć się w nas takie, jakie byłyśmy wtedy. Pojęcia nie miałyśmy, co zrobić. Oczywiście matka nie mogła zabrać cię ze sobą do Ameryki. Nie chciała cię porzucić, więc załatwiłyśmy ci przybraną matkę do czasu, kiedy Judy postara się o dom dla siebie i dla ciebie... żebyście razem mieszkały... a wiedziałyśmy, że na to będzie jej potrzeba długich lat. Poganka położyła rękę na ramieniu Lili i głos jej zmiękł.

- Ale nie porzuciłyśmy ciebie, zrobiłyśmy to, co uznałyśmy za najlepsze. Czy nie rozumiesz? To był gorączkowy wysiłek czterech nastolatek, żeby uchronić jedną z nas od nieszczęścia. Nigdy, nigdy nie zamierzałyśmy cię porzucić.

Delikatnie głaszcząc Lili po ramieniu, była raczej zdumiona, że jest taka macierzyńska wobec tego uroczo wzburzonego stworzenia. Kiedyś czuła kłującą zazdrość, gdy w gazetach zaczęto pisać o romansie Abdullaaha z Lili i gdy widywała fotografię po fotografii ich obojga. Musiała się przed sobą przyznać, że chciała spotkać się z Lili też i po to, by się przyjrzeć tej jedynej Europejce, którą Abdi gościł w Sydonii, jedynej białej, z którą żył tak otwarcie.

- Alternatywą - włączyła się Kate - byłaby adopcja, a Judy nie chciała o tym słyszeć. Za nic by nie dała swojego dziecka tak na zawsze. Kochała cię. Wszystkie cię kochałyśmy. Musisz w to uwierzyć, Lili.

- Gdyby to się stało obecnie, wszystko poszłoby inaczej - powiedziała łagodnie Maxine. - Twoja matka prawdopodobnie poddałaby się zabiegowi na samym początku ciąży. Ale w tamtych czasach taka alternatywa rzadko kiedy była możliwa. I przecież gdyby twoja matka załatwiła to w ten sposób, ty byś w ogóle nie istniała. Zawdzięczasz jej życie, wiesz. Nosila cię w sobie przez dziewięć miesięcy, a musiała przez cały czas ciężko pracować.

Lili przypomniało się, że ona też zaszła w ciążę będąc dzieckiem,

I szarpnęło ją nagle bolesne poczucie winy. Bo poddała się zabiegowi. Z jej ciała wykrobano życie. Aż do tej chwili nie czuła się winna. Co więcej, wtedy sprawiło jej to ogromną ulgę. Wciąż jeszcze żywo pamiętała, jak siedziała w kawiarni, popijając kawę z mlekiem, słuchała muzyki z szafy grającej i myślała, że jej kłopoty się skończyły.

Ale Judy nie miała skrobanki. Judy urodziła dziecko. Poganka przesunęła rękę dalej na ramieniu Lili.

- Wszystkie chciałyśmy cię i jesteśmy szczęśliwe, że spotkałyśmy cię wreszcie - powiedziała nie wiedząc o nieszczęsnych spotkaniach Lili z tamtymi trzema, które teraz przypomniały sobie owe zdarzenia.

Przez chwilę panowała cisza, a potem Kate podeszła do Lili i powiedziała z powagą:

- Lili, naprawdę mi przykro, że tak na cię wrzasnęłam. Nie ma na to wytłumaczenia i nic nie mogę powiedzieć poza tym, że żałuję. - Wciągnęła oddech. - Ale Poganka słusznie mówi: nie powinnaś potępiać swojej matki. Może jakoś się postaraj podziwiać jej decyzję, tak jak myśmy podziwiali.

Była bardzo młoda i samotna, i byłyśmy z niej dumne. I nadal jesteśmy. Postąpiła najlepiej, jak tylko mogła. W istocie, myśmy wszystkie tak postąpiły.

- W takim razie dlaczego nie szukałyście mnie po węgierskim powstaniu? - wykrzyknęła Lili. Wciąż jeszcze była wzburzona i niechętna, chociaż

o wiele mniej zraniona. Zaczynała rozumieć, co się stało, zaczynała otrząsać się ze swojej urazy.

- Tak - powiedziała Maxine. - Usiądź znów, Lili, to ja ci powiem.

Liii usiadła przy Kate tyłem do okna. Poganka siedziała obok Judy na sąsiedniej kanapie.

- Judy zadzwoniła do mnie, kiedy usłyszała tę wiadomość przez radio - wyjaśniła Maxine. - Wiedziała, że spędzałaś wakacje na Węgrzech, i myślała, że już wróciłaś stamtąd do szkoły, ale chciała się upewnić. Angelina nie miała telefonu, więc Judy zadzwoniła do dyrektora hotelu Rosat i on jej powiedział, że Felix na Węgrzech zranił się w nogę i jeszcze nie wrócił. Wtedy już dość pewna, że jesteś po tamtej stronie Żelaznej Kurtyny, Judy pierwszym samolotem przyleciała do Paryża, ja na nią czekałam na lotnisku w Orly. Pojechałyśmy prosto do Austrii nocnym pociągiem. Kiedy wreszcie dotarłyśmy do granicy, panował tam wielki zamęt. Uchodźcy napływali z Węgier... ponad sto pięćdziesiąt tysięcy, jak chyba wiesz... i większość lokowano w tymczasowych obozach. Pogoda była straszna, w obozach bałagan, wszystko zagmatwane. - Wzdrygnęła się. - Jeździliśmy od obozu do obozu. Sprawdzaliśmy każdą listę, rozmawialiśmy z każdym, z kim się dało, wypytywałyśmy każde spotkane dziecko. Ale nikt nie miał żadnych wiadomości o Elizabeth Dassin.

Co noc w czasie tamtego poszukiwania na granicy austriackiej Maxine miała wielkie trudności z zaciągnięciem Judy do łóżka. Judy wciąż się wydawało, że jeśli oddali się od granicy, może ominie ją jakiś maleńki trop, jakaś wskazówka. Maxine pamiętała, jak Judy szalała, jakie sobie czyniła wyrzuty, gdy czekały w śniegu przed barakami z nadzieją, że porozmawiają jeszcze z kimś z komitetu do spraw uchodźców.

- Gdybym jej tak nie zostawiła, Maxine.
- Nie miałaś dokąd jej zabrać.
- Nie powinnam była w żadnym razie jej zostawić.
- Nie mogłaś zrobić nic innego, Judy. Przestań winić siebie. To, co się stało, jest straszne, ale nie z twojej winy.

W kilka miesięcy potem Judy dostała krótkie pismo urzędowe z konsulatu szwajcarskiego, informujące w odpowiedzi na jej list, że pochodząca ze Szwajcarii rodzina nazwiskiem Kovago, uprzednio Dassin, poniosła śmierć od kul węgierskiej policji granicznej w czasie, gdy próbowała nielegalnie przekroczyć granicę pod Sopron.

Zrozpaczona Judy nigdy nie przestała uważać się za winną śmierci Elizabeth. Prawie zdołała wziąć się w garść psychicznie, ale w sercu nieraz czuła nagły mrozący ból swojej

żałoby, głuchą ciszę utraty, nie kończącą się tęsknotę i ciągły żal, że nie ma tego, co mogłaby mieć.

Z wahaniem Judy usiłowała to wytłumaczyć w nienaturalnym spokoju luksusowego hotelowego apartamentu. Normalna pewność siebie ją opuściła, pozostawiła niezwykle zgaszoną.

Lili słuchała. Ważne było nie to, by znalazła ukojenie. Ważne było to, by poznała prawdę.

Wiedziała, że musi sprawdzić odpowiedź otrzymaną od Judy - i wiedziała dokładnie, jak. Jej prawdziwą matką jest ta, na którą one spojrzą teraz. - W takim razie - zapytała Lili. - Kto jest moim ojcem?

Rozdział sześćdziesiąty pierwszy

Śnieg jeszcze wciąż padał gęsty. Jeżeli nie przestanie padać, nie ma sensu jutro jechać z Nickiem do Saanenmoser, pomyślała Judy. Zawody narciarskie 1949 pewnie zostaną odłożone, więc można równie dobrze zostać w Gstaad. Północ już minęła. Już był kalendarzowo siódmy lutego, urodziny matki. Judy posłała matce kartę z życzeniami i piękną bluzkę z kremowej koronki. To musi być straszne skończyć trzydzieści pięć lat, myślała, trzydzieści pięć lat i mieć przed sobą tylko życie w Rossville na zawsze.

- Wszystkiego najlepszego w dniu urodzin - szepnęła, pochylając się przed drzwiami jednego z apartamentów. Podniosła tacę z resztkami posiłku i popędziła mrocznym korytarzem hotelu Imperial. Jeszcze półtorej godziny i będzie mogła się położyć. Oczy jej się kleiły; nigdy przedtem nie czuła się tak wyczerpana.

Osiem miesięcy niewysypiania się należycie, ciężkiej pracy fizycznej i wysiłków uczenia się wszystkich przedmiotów w obcym języku zaczynało już nadwątlać jej młodocianą prężność. Tęsknie pomyślała o swoim żelaznym łóżku w oddzielonej przepierzeniem klitce na poddaszu. Ma szczęście, że dostał jej się pokój jednoosobowy. Wciągnęła głęboko powietrze, odetchnęła i wyprostowała plecy.

Gdy tak biegła korytarzem do służbowych schodów, metalowe drzwi staroświeckiej windy raptownie się otworzyły.

Judy wpadła prosto na drzwi.

Brudne popielniczki z niedopałkami, fiżanki z resztkami kawy, tłuste od sosu talerze rozleciały się i cicho spadły na kasztanowaty chodnik. Wymyślnie haftowaną bluzkę Judy i jej szkarłatną spódnicę upstrzyły ciemnobrązowe plamy.

- Niech to diabli - powiedziała i rozplakała się.

Mężczyzna, który z takim rozmachem wyszedł z windy, patrzył na nią w słabym świetle niepewnie.

- Nad wyraz mi przykro - powiedział.

Pochlipując wyczerpana, zignorowała go. Przysiadła ze znużeniem, żeby pozbierać potłuczoną porcelanę.

- Byłem niezdarny. Proszę o przebaczenie.

Teraz spojrzała na niego, blada, zapłakana, i chwiejnie, ze znużeniem, podniosła się, trzymając tacę.

- Lepiej tego znów nie upuścić. - Zabrał tacę. - Doprowadzimy się trochę do porządku. Mój pokój jest drugi na lewo. - Równoważąc tacę na jednej dłoni, otworzył z klucza swoje drzwi i skinął, żeby weszła. Usłyszała.

To był jeden z najlepszych apartamentów. Rozejrzała się po saloniku. Więc to musi być jakiś ważny gość. Boczne światła już się paliły, leniwe płomienie rzucały z paleniska blask na czarną niedźwiedzią skórę leżącą przed kominkiem; na niskim stoliku stały szklanki i dzbanek z sokiem pomarańczowym.

- Usiądź na kanapie - powiedział nieznajomy. Postawił tacę ze szczątkami i wyszedł do sąsiedniego pokoju. Przyniósł ręcznik, gąbkę, szklankę wody. - Właściwie nie wiem, jak się takie rzeczy robi, ale pomyślałem, że może to...

Oszołomiona i wyczerpana, w bluzce lepiącej się do piersi mokrymi plamami kawy, Judy pochyliła się nad ogniem, żałując, że nie może położyć się spać bez problemów. Wzięła gąbkę od tego człowieka, a on dopiero teraz zobaczył jej bladą, wątłą twarz. Od razu spuściła głowę i widział tylko jej jasne włosy, gdy zaczęła czyścić spódnicę.

Uznała, że jest przystojny, jeżeli się lubi śniadych cudzoziemców. I nagle podskoczyła, bo usiadł przy niej na kanapie i delikatnie dotknął jej szyi.

Przyciągnął ją do siebie, jej głowę do piersi i wolno głaskał ją po włosach. Pozwalała mu na to zdumiona, że nie stawia oporu. Ale to było bardzo miłe. Takie kojące głaskanie nieomal usypiało. Było bardzo miłe.

Zachłysnęła się, czując na szyi muśnięcie ciepłych ust. Potem koniuszek języka dotknął jej ucha. Powoli się rozluźniła. Wyczerpanie minęło. Teraz był jakiś łagodny erotyczny trans, ten brunet coś jej szeptał - dziwne jedwabiste doznanie nie znane jej nigdy dotąd. Zupełnie tak, jakby każdy powolny ruch został z góry postanowiony, a ona mogła tylko reagować. Westchnęła cichutko z zadowoleniem już w jego ramionach, w jego pocieszającym cieple. Czowała się bezpieczna, otoczona ciszą i spokojem, gdy delikatnie położył ją na niedźwiedzim futrze.

Pachniały sosną trzaskające drwa, piżmem pachniało futro przy jej twarzy i drażnił przyjemnie zapach tego mężczyzny. Jego policzek ocierał się o jej policzek, jędrne usta lekko kładły się na jej usta. Już nie miała władzy nad swym nagle rozleniwionym ciałem, gdy on rozwiązał tasiemki ściągające dekolt bluzki. Pocałunek sprawił, że skrzyła się cała, pragnienie zwyciężyło nad wstydem i obawą. Poddała się jego pocałunkom.

W jakiś czas później naga do pasa jeszcze do niego przywierała, usta przy ustach. Czowała się tak, jakby jej się śniło, że pływa w ciepłej wodzie. A potem jego ręka stuliła się na jej kolanie i zaraz niczym wąż prześliznęła się po nodze do końca napiętej czarnej pończochy, gdzie zatrzymała się na chwilę przy czarnej elastycznej podwiązce, po czym brutalnie wepchnęła się między uda.

Czar prysnął. Judy z szarpnięciem odzyskała poczucie rzeczywistości. Nie mogła uwierzyć, że to się dzieje jej. Że leży na pół naga pod kimś zupełnie obcym, że z gotowością reaguje na jego ręce, wargi, serdeczność, która zmieniała się w namiętność, rozstętniła się dziko...

Trzeba z tym skończyć. Judy spróbowała się uwolnić, ale on przygniatał ją do tego niedźwiedzia. Jeszcze walczyła, żeby go z siebie zepchnąć. I nagle usłyszała jego oddech, jak gdyby warczał jej prosto w ucho, wpychając rękę pod nogawkę reform coraz dalej między wijące się uda. Kciuk trafił w rozedrgane miejsce, którego szukał, i w tym nowym przejmującym upojeniu Judy znów czuła, jak ciało nie daje jej myśleć. Siły namiętności przypuściły szturm na zapory jej purytańskiego wychowania.

- Dość, dość - dyszała. - Błagam! Błagam! - Szamotała się jeszcze. - Nie, naprawdę. Błagam, dość.

On był o wiele mocniejszy od niej, przygwałdział ją do podłogi.

- Błagam, pan nie wie, co pan robi. - Zaszlochała, ale ustami zamknął jej usta. Nie mogła poruszyć głową.

Gwałtownie szarpnął spódnicę, aż trachnęła rozrywana tkanina. Piersią przyciskając Judy, jedną ręką zerwał z niej reformy. Przez chwilę nie chciała, żeby się z niej zsunął. Poza sznurowanym czarnym gorsecikiem i pończochami była naga, a naglej nikt jej nie widział, odkąd ukończyła dziesięć lat.

Trzeba go powstrzymać!

Poderwała głowę i z zaciśniętej krtani dobył jej się szaleńczy krzyk, ale ten obcy lewą ręką brutalnie zakrył jej usta. Już nie mogła krzyżeć. Nie mogła oddychać. Dusił ją. Więc ją udusi. Może od początku zamierzał ją zabić.

Przedtem była zaniepokojona tym, że jej ciało reaguje. Teraz pod tą ręką, zatykającą jej usta i nos, złąkała się. Ale zarazem obezwładniał ją inny, klaustrofobiczny strach, gdy on przemocą wtargnął i rozrywał ją zagłębiał się, nacierając, dysząc. Niezdolna do walki czuła zapach jego zwierzęcej żądz, czuła, jak łyż zalewają jej oczy, spływają po policzkach, słone. Płakała bezgłośnie z oczami otwartymi, ślepo zapatrzonymi w górę. Och, ten ból, ten rozłupujący ból.

Leżała nieważna, słaba w głuchej panice bez nadziei, a potem straszliwie samotna w swoim wstydzie, gdy ten obcy z krótkim skowytem miał wytrysk.

- Nie płacz, ptaszyno - szepnął - dlaczego te łezki? Za pierwszym razem zawsze boli, ptaszyno. - Jak wielu mężczyzn nie uważał gwałtu za gwałt, jeżeli to nie zdarzyło się gdzieś w zaułku i nie pozostawiło siniaków. Przewrócił się na wznak, wyciągnął się wygodnie na niedźwiedziej skórze. Blaski ognia z kominka tak padały, że dolna połowa jego twarzy i zgniecione ubranie szerniały w cieniu. Bogu za to dzięki, pomyślała Judy, nie zniosłabym tego widoku.

Najpierw nie mogła uwierzyć, że jest wolna, jeszcze przez chwilę leżała bezwładnie rozciągnięta. Potem skuliła się zawstydzona swoją nagością i upokorzeniem. W końcu wstała powoli i chwiejnie ruszyła do drzwi, mocno trzymając przy sobie to, co zostało z tradycyjnego szwajcarskiego stroju. Ujęła klamkę drżącą ręką, otworzyła drzwi i pobiegła korytarzem nago, tylko w tych czarnych pończochach i gorseciku niebaczną na nic, byle dostać się do swojego pokoju na szczycie służbowych schodów.

Przez całą noc usiłowała zszorować go z siebie. Obrzydzenie budziły w niej fizyczne dowody faktu, że ją posiadał, i jego władzy nad nią, jego bezlitosnej zwierzęcej chuci. I ten jego szlam, i jej krew. Zmywała to zawzięcie, wzdrygając się, nie chcąc tego dotykać, nie chcąc, by ją to dotykało.

Nikt nigdy nie może się dowiedzieć. Żaden chłopiec nie będzie chodził z dziewczyną, która została zgwałcona. Tylko by nią pogardzano. Ona musi dźwigać to nieszczęście sama.

Gdy już się położyła, nie mogła zasnąć, upokorzona, skołatana i dziwnie rozdrażniona. W taki parszywie nędzny sposób stracić dziewictwo! Nie obawiała się zarażenia chorobą weneryczną, nie wiedziała, że są takie choroby, i co dość dziwne, nawet jej przez myśl nie przemknęło, że mogłaby zajść w ciążę. Uważała to za niemożliwość, jeżeli taka rzecz zdarzyła się tylko raz. I Bóg świadkiem, ona rzeczywiście nie chciała, przecież on wziął ją siłą, brutalnym gwałtem.

Coś jednak bardzo Judy martwiło. Za doliną ośnieżone szczyty gór ponad mgłą świtu powoli już się różowiły, gdy niechętnie określiła swoje zmartwienie. Czy to nie było... to znaczy, jak bardzo to było... w jaki sposób to się stało z jej winy? Ona go zachęciła? I jeżeli tak, w jakim stopniu jest temu wszystkiemu winna?

Przez dwa dni Judy nie wychodziła ze swojej klitki. Apatyczna i blada, udawała chorą. Wiedząc, że pracuje gorliwie, wszyscy jej wierzyli. Myśleli, że się przepracowała, czy może zmogła ją grypa. Nick krążył zatroskany przy jej drzwiach, przynosił jej gorące mleko, domowy rosół z wołowiny, szklanki soku ze świeżych pomarańczy i aspirynę.

W trzeci poranek Judy patrzyła, jak czerwone zimowe słońce rozrzuca brylanty na śniegu pod oknem. Muszę to już zostawić za sobą pomyślała, nie mogę dopuścić, żeby mi to marnowało życie.

Zdecydowanie pogrzebała swój wstyd i upokarzającą żalność i z podniesionym podbródkiem wyszła naprzeciw światu.

W noc Świętego Walentego wielkie ożywienie panowało w sali balowej, gdy rój ładnych dziewcząt i muskularnych chłopców uganiał się w takt fokstrota dla wsparcia szwajcarskiej kadry narodowej narciarzy. Potem orkiestra zagrała Dręczysz mnie i jeszcze więcej par wyszło na parkiet. Judy właśnie zaczęła znów pracować na nocnej zmianie. Kiedy jest sezon, pracuje się bez szemrania, dopóki nic nie zostanie do roboty - personel Chesa nieraz pomagał w Imperialu w galowe noce.

Nagle muzyka ucichła. Wszyscy odczuli tę pełną wyczekiwania ciszę, jaka poprzedza wkroczenie rodzin królewskich. Orkiestra zadudniła czyjś hymn państwowy.

Dwie postacie ukazały się w drzwiach. Poganka w rozmigotanej pajątkami chmurce szarego tiulu, i prowadzący ją pod ramię smukły w nienagannym smokingu książę Abdullah.

Judy omal po raz drugi w życiu nie upuściła tacy.

Towarzysz Poganki był tym mężczyzną który w poprzednim tygodniu zgwałcił Judy. Nieznajomy brunet był następcą tronu Sydonii.

Z półśmiechem odwrócił się, żeby czule coś szepnąć Pogance do ucha i wtedy Judy pojęła jeszcze coś, co zdenerwowało ją i oszołomiło. On najwyraźniej jest w Pogance zakochany.

Oburzyło to Judy i zabołało. Nagle poczuła się znów upokorzona i powrócił niepokój tamtej nocy. Nie mogła oddychać, potrzebowała powietrza.

Ostrożnie postawiła tacę na stoliku, przepchnęła się przez boczne drzwi wahadłowe do służbowych schodów i przez zatłoczoną hałaśliwą kuchnię wybiegła w gwiaździstą noc. Rozdygotana patrzyła, jak po srebrzystych ścianach domów sunie czarny cień psa biegnącego ulicą.

Nieważne, kim on jest i dlaczego postąpił tak, jak postąpił. Jeżeli to chłopiec Poganki, ona, Judy, będzie nadal milczała. Nie piśnie ani słowa, i na Boga, on powinien też milczeć! W końcu roztarta sobie zziębnięte gołe ręce i wróciła do kuchennych drzwi.

Nie obsługiwała czołowych stolików. Gdy tamtędy przechodziła. Poganka parę razy mrugnęła do niej, ale książę Abdullah po prostu jej nie zauważał. Nie przyszłoby mu do głowy zwrócić uwagę na kelnerkę. Zwykle otoczony uniżonymi służącymi, którzy są przecież po to, by mu służyć, akurat tak by się przejmował ich uczuciami, jak tym, co może odczuwać kurek kranu czy krzesło.

Abdullah wtedy wieczorem niespodziewanie wpadając na Judy, właśnie wracał ze spotkania z Poganką, która wzbudziła w nim namiętność, o jaką dotychczas siebie nie podejrzewał. Ale Poganka była rozwścieczająco nieuchwytna, odporna na jego królewskie życzenia i jego kunszt uwodzicielski nabyty w wyniku nauk hakima. W jednej chwili myślał, że już ją ma, w następnej słyszał jej gardłowy śmiech, ten jej cholerny bulgot, jakby woda spływała z wanny. Fizycznie i psychicznie Poganka wciąż mu się wymykała. Chciał pojąć ją, nie tylko ciało, ale i ducha, wszystko, czym ona jest - i wiedział, że żarliwością, mocą swojego pragnienia potrafi wzniecić w niej taki sam ogień, gdyby tylko mu to umożliwiła.

Ale nie mógł jej mieć. Nie dopuszczała do tego.

Więc ją pożegnał, namiętność jednak tętniła w nim, jątrzyło go poczucie daremności, gdy z hukiem i trzaskiem wracał do swego apartamentu. I raptem rymnięcie, tłucze się porcelana, ta blondyneczka płacze na podłodze. To, co nastąpiło później, uznano by w jego kraju za zaszczyt dla służebnej dziewczyny. Abdullah nieco się zdziwił, że Judy zniknęła, zanim mógł wręczyć jej wynagrodzenie, ale poza tym wcale już nie myślał o tym incydencie.

Rozdział sześćdziesiąty drugi

W kwietniu Judy od dwóch miesięcy nie miała menstruacji i codziennie budząc się rano wymiotowała. Odczuwała zmęczenie jeszcze bardziej niż zwykle i wciąż biegła do toalety.

Oczywiście, wiedziała, dlaczego. Przede wszystkim lękała się - nie ciąży, nie porodu, tylko swoich rodziców. Nigdy nic tak haniebnego nie zdarzyło się w jej rodzinie. Jakkolwiek się ułoży, ona nie może wrócić do Ameryki, zanim będzie po wszystkim.

Niezależnie od reakcji rodziny Judy wpadała też w popłoch na myśl o odpowiedzialności za życie dziecka. Chociaż rzadko to przyznawała, wiedziała, że sama jeszcze jest w wieku szkolnym.

Wolałaby nie czuć się tak bardzo samotna.

Niesprawiedliwie poczuwa się do winy. A jednak jest winna, no nie? Ostatecznie podreptała za nieznanym do jego apartamentu. Ale po prostu nie zastanowiła się wtedy, nie widziała powodu do niepokoju. Że to może być niebezpieczne, nawet jej nie zaświtało. On był przecież gościem w hotelu i przecież nie weszła do jego sypialni. No, ale w tym ponętym ciepłe ognia - musiała to przyznać - w tym pierwszym momencie była winna, no nie? Ojej, to stało się tak szybko, że nie zdążyła pójść po rozum do głowy.

W końcu zdecydowała się zwrócić o pomoc do swoich trzech przyjaciółek. Przysięgała sobie, że nigdy nic nie powie o mężczyźnie odpowiedzialnym za jej stan, o tym mężczyźnie, którego kocha Poganka. Potrzebowała jednak rady, potrzebowała pieniędzy, potrzebowała otuchy, a najwyraźniej tylko one mogłyby udzielić jej pomocy.

Nad obrusem w czerwonej szachownicy trzy pary oczu zrobiły się okrągłe ze zdumienia i bojaźni, trzy pary ust się rozdziawiły. To przecież właśnie to, czego boi się każda dziewczyna.

- Kto?

- Czy Nick?

- Zrozumcie, nie powiem wam, kto to był, więc nie pytajcie. Z bardzo ważnego powodu nie powiem, kto, i nawet nie powiem, co to za powód. Mogę wam tylko powiedzieć, że nie ma żadnej nadziei na pieniądze od niego, czy jakiegokolwiek rodzaju pomoc.

- Czy Nick wie?

- Nie wie i wy mu nie powiecie. Rzeczywiście zabiję was, jeżeli powiecie w ogóle komuś.

- Co masz zamiar zrobić?

Znów zapadła cisza. Gorąca kąpiel i dżin, pomyślały natychmiast wszystkie cztery, ale to Maxine wysunęła tę propozycję. Zdecydowały więc, że pod nadzorem Maxine w następną sobotę po południu Judy w hotelowej wannie wypije butelkę dżinu.

Judy krztusiła się i splotowała. Z trudem ostatecznie wyłopała do dna dżin z butelki i teraz zebrało jej się na wymioty.

- Nie zrzucaj, proszę cię - błagała Maxine - proszę cię, nie! Ten dżin był taki drogi i zostało nam tylko na jeszcze jedną butelkę. Proszę cię, nie marnuj tego. Proszę cię, postaraj się nie wymiotować.

Wymiotów żadna z nich nie przewidziała. Chociaż o tym ze sobą nie mówiły, spodziewały się, że Judy raptownie wpadnie w szal. Ze może zacznie wszystko rozbijać albo w amoku popędzi nago hotelowym korytarzem wyśpiewując ochryple piosenki żołnierskie. Zadaniem Maxine było zapobiec takim ekscesom. Istotnie Maxine nawet miała w torebce zapasowy szalik, żeby zakneblować Judy usta, gdyby po pijanemu śpiewała.

A tymczasem Judy zasnęła w kąpeli. Maxine niechętnie szturchnęła ją w ramię. Nigdy dotąd poza samą sobą nie widziała kobiety nagiej, a już z pewnością nigdy nagiej nie dotykała. To obnażone ciało było dla nich obu żenujące. Szturchnęła Judy trochę mocniej, a potem potrząsnęła jej ramieniem. Zaniepokojona ujęła ją za ramiona i potrząsnęła nią bardzo mocno.

Głowa Judy przechyliła się i zwisła, a ona cała z mrukliwym chrapnięciem zaczęła się osuwać w wodę. Maxine szybko wyciągnęła zatyczkę i przytrzymała obwisłą głowę, dopóki ostatnie wirujące resztki wody nie zostały wyssane z wanny.

- Judy, wyłaż - syknęła usiłując dźwignąć mokre oklapłe ciało. Mon Dieu, jak robią to mordercy? Przypomniała sobie człowieka, który utopił kolejno sześć swoich świeżo poślubionych żon po roztroprnym ubezpieczeniu każdej z nich na życie. Kto by przypuszczał, że mała Judy może być taka ciężka? Maxine miała nadzieję, że nie będzie musiała wezwać Nicka. Przecież przysięgła, że mu nie powie.

Ostatecznie zdjęła pantofle, pończochy i spódnicę i sama weszła do wanny. Najpierw wypchnęła z wanny głowę Judy, potem obie jej mokre ręce przerzuciła po pachy za krawędź, a potem dźwignęła ją w pasie tak, że ramiona też się wysunęły, i dźwigała dalej, aż cała Judy zjechała nieprzytomnie na zachlapane zielone linoleum. Maxine otuliła ją szlafrokiem i przelewającą się przez ręce na pół zaniosiła, na pół zawlokła do jej pokoiku. Położyła ją na żelaznym łóżku, nakryła kołdrą, wytarła ręcznikiem głowę i siedziała przy niej do godziny siódmej. O siódmej cicho wyszła.

Ale nic się nie stało.

Chyba są na to jakieś tabletki - powiedziała Kate. Był już pierwszy dzień maja. - Tessa, moja kuzynka, jest na kursach dla pielęgniarek. Cholerna nudna skromnisia i nie mam pewności, czy pomoże, ale napiszę do niej, zaznaczę, że to pilne.

Napisała. Kuzynka natychmiast, podejrzewając, że to Kate jest w ciąży, przysłała pocztą lotniczą pudełko czekoladek Black Magic. Pod drugą warstwą czekoladek leżała fiolka różowych kapsułek - stilbestrol, kuzynka wyjaśniła w liście. Nie wie, jak działają, warto jednak spróbować, zażywać je przez dwa dni.

Judy się zastosowała, ale bez skutku poza tym, że miała mdłości przez dwa dni od rana do wieczora zamiast tylko rano.

Poganka w duchu zdecydowała - jeśli do 1 czerwca nic się nie stanie -poprosić o pomoc Paula. Chyba on, szofer dyrektora pensji, spotkał się już z takim problemem. Naturalnie będzie myślał, że to ona ma trudności. Nieomal mdlała na myśl, że jeśli poprosi Paula o małą grzeczność, Paul ją poprosi w zamian o dużą. Ale postanowiła zagrać tą kartą, gdyby wszystko inne zawiodło.

Tymczasem Maxine zaproponowała rzecz oczywistą, zwrócenie się po prostu do aptekarza.

Ona to załatwiła, bo ona jedna płynnie mówiła po francusku. Prawie godzinę kręciła się przed apteką, nie mając odwagi wejść. Niby to bardzo zaabsorbowana, patrzyła na wystawę, szeregi białych ze złotymi literami porcelanowych słoików aptekarskich, dopóki nie zobaczyła, że w aptecce nie ma klientów. Weszła i z takim rumieńcem, jakby fatalnie spiekła się opalając w słońcu, zapytała aptekarza, czy mógłby jej dać środek na wywołanie menstruacji.

- Długo nie było?

- Cztery miesiące.

Twarz aptekarza natychmiast stała się twarzą bez wyrazu. Jak gdybym rozmawiała z robotem, pomyślała Maxine.

- Nie powinna pani radzić się mnie - powiedział aptekarz. - Trzeba zwrócić się do lekarza. Może do doktora Geneste, to ginekolog. Bardzo sympatyczny. Żałuję, ale nic nie mogę pani sprzedać. - Zapisał adres i dał go Maxine, która wyleciała z apteki jak z procy.

Za rogiem oparła się o kamienną ścianę i ruszyła dalej dopiero wtedy, gdy w pełni odzyskała panowanie nad sobą. Zapytała o drogę do tego ginekologa.

Był to staroświecki dom przy cichej ulicy. Długo wpatrywała się w startą mosiężną tabliczkę na drzwiach frontowych i wreszcie nacisnęła dzwonek.

Drzwi otworzyła pielęgniarka w białym kitlu, w białych pantoflach na niskich obcasach. Maxine zapytała, czy może zamówić wizytę u doktora.

- Proszę głośniej - powiedziała pielęgniarka - nic nie słyszę. Jak się nazywasz?

Ale Maxine nie zdołała podnieść głosu powyżej szeptu.

- To nie ja - wyszeptła. - To moja przyjaciółka. - I szybko podała imię i nazwisko wymyślone przez Judy.

W następną sobotę do tych oliwkowozielonych drzwi podeszła Judy w towarzystwie Maxine. Potem milcząc siedziały obie w poczekalni, dopóki obojętna pielęgniarka nie skinęła, żeby weszły do sąsiedniego gabinetu. Gabinet był kremowym pokoikiem: dwa metalowe krzesła stały przed sosnowym biurkiem. Na biurku stał aparat telefoniczny, staroświecki mosiężny dzwonek i zielony szklany wazonik z bławatkami, leżał też duży terminarz przy bloku do notowania. Jeden kąt pokoju zasłaniał zielony kretonowy parawan, w drugim kącie był biały porcelanowy zlew, nad którym doktor teraz się pochylał, odwrócony tyłem do drzwi.

Poczuły słaby uspokajający zapach antyseptyku, gdy doktor odwrócił się do nich. Nie był tym gniewnym otyłym francuskim lekarzem, jakiego się obawiały. Był wysoki, szczupły, stosunkowo młody i przystojny - trochę jak Gary Cooper, pomyślała Maxine.

Traktował je jak dorosłe. Zgodziły się, że pogoda jest cudowna. A potem dobrotliwie zapytał:

- Kiedy była ostatnia menstruacja?

- Chyba w trzecim tygodniu stycznia - odpowiedziała Judy. - To znaczy nigdy nie zwracałam szczególnej uwagi.

Zaległa cisza.

- Lepiej sprawdzić, czy jest rzeczywiście powód do niepokoju - powiedział doktor. - Zbadam panią, więc może koleżanka łaskawie zaczeka w poczekalni.

Judy rozebrała się za parawanem i stanęła tam drżąc, nie chcąc wyjść z tej ochrony. Ale po chwili włożyła koszulę bez rękawów położoną za parawanem, i usiadła na wysokiej kanapce, przy końcu której były przymocowane dwa straszne strzemiona ze stali nierdzewnej.

Zwiesiła nogi.

- Niech pani nie zapomina, że jestem tu, żeby pani pomóc. Nie ma czego się bać. Muszę panią zbadać, ale jestem lekarzem i powinna pani uważać mnie za swojego powiernika, nie za mężczyznę, poza tym pielęgniarka tu będzie. No, pozwoli pani na badanie? - I gdy Judy przytaknęła, mosiężnym dzwonkiem wezwał pielęgniarkę. - Teraz proszę się położyć, nogi oprzeć na strzemionach.

Zamykając oczy i czując niewysłowione upokorzenie, Judy położyła się na wznak. Doktor rozciągnął jej nogi, umieścił stopy w tych bezosobowych strzemionach. Zaczął ją badać obciążonymi gumową rękawiczką palcami, słyszała lepkie tłuste odgłosy. Potem pomógł jej zejść z kanapki. Pielęgniarka wyszła z gabinetu.

Gdy Judy ubierała się za parawanem, wróciła Maxine.

Siedząc za biurkiem doktor z powagą spojrzał na nie obie.

- Oczywiście, zrobię testy. Ale bez testów wiem, że ta panienska prawie na pewno jest od czterech miesięcy w ciąży.

Judy wpadła w czarną rozpacz. Nie ma nadziei. Schwytana. W potrzasku. Chciała wrzeszczeć, tupać nogami. Nie zgadzała się. Niech on to powtórzy. To niemożliwe. To nie mogło się stać jej. Dlaczego? Dlaczego? Dlaczego?

Doktor powiedział, że aborcja jest ustawowo zakazana. W każdym razie panienka jest chyba w dwudziestym pierwszym tygodniu, więc na zabieg za późno. Teraz już, jeśli one mu darują, nie chodzi o to, czy panienka jest w ciąży, czy nie jest, ani nie o to, jak pozbyć się tego dziecka. Teraz trzeba pomyśleć, kiedy i gdzie ono się urodzi. Znów zapanowała cisza, po czym doktor obojętnie zapytał, czy jest prawdopodobieństwo, że ojciec dziecka będzie pomocny.

- Nie.

- Aha.

Znów cisza. Doktor po chwili dodał, że rozumie sytuację Judy i chciałby ją uspokoić: to wcale nie zdarza się tak rzadko, jak ona myśli. On pomagał innym młodym paniom będącym w takiej samej sytuacji i ma zwyczaj zachowywać dyskrecję w tych sprawach. Jej sprawę niemal na pewno dałoby się utrzymać w sekrecie, gdyby nie młody wiek - jej rodzicom trzeba powiedzieć.

- To niemożliwe, moi rodzice nie żyją - usłyszała Judy swój głos. Ginekolog miał minę sceptyczną.

- Więc kto się panią opiekuje?

- Moja starsza siostra, mężatka - powiedziała Judy. - Moja siostra, Judy... Judy Jordan. - Patrzyła mu w oczy niewinnymi szafirowymi oczami.

- Muszę więc napisać do niej, poinformować ją i zapytać, czy mi pozwala zajmować się panią. Jest też sprawa pieniędzy. Mówiąc zupełnie szczerze, gdzie pani urodzi, zależy od możliwości finansowych.

- Z tym nie będzie kłopotu - powiedziała szybko Maxine.

Judy otworzyła usta, po czym je zamknęła. Rozmawiali tak, jakby urodzenie dziecka było nie większym problemem niż kupno nart.

Ale siedząc w tym schludnym gabinecie ginekologicznym i rozmawiając z człowiekiem dorosłym, Judy już poczuła się lepiej. Może to nie takie straszne, byleby rodzice nigdy się nie dowiedzieli. Może ostatecznie to nie koniec świata. I nie bardzo potrafiła określić to wrażenie, ale jej nastrój od miesiąca chyba był zupełnie inny niż przedtem. Jak gdyby świat właściwie nic dla niej nie znaczył. Znaczenie miało tylko to, że w swym krągłym małym brzuchu (twardym teraz jak piłka tenisowa) czuła jakiś trzepot muśnięcia skrzydełek motyla.

Co więcej, wydawało jej się, że to się porusza.

Nagle sobie uświadomiła, że to jest prawdziwe dziecko. Jej dziecko. Ku swemu zdumieniu piastowała tę myśl w skrytości ducha z jakimś kocim zadowoleniem i po pierwszych momentach paniki u doktora uczucie milej nierzeczywistości powróciło.

Ginekolog mówił:

- Kiedy dziecko się urodzi, będzie pani miała trzy możliwości do wyboru. Albo dziecko zatrzymać, albo oddać do adopcji, albo powierzyć pod opiekę jakichś przybranych rodziców do czasu, kiedy ułoży pani sobie życie.

Starannie poprawił bławatki w zielonym wazoniku.

- Jeżeli dziecko zostanie adoptowane, będzie pani musiała się z nim pożegnać raz na zawsze, ale dobrą stroną adopcji jest to, że nie musi pani wyklądać żadnych pieniędzy. Natomiast jeżeli znajdzie się u rodziców przybranych, musi pani łożyć na utrzymanie dziecka, bo ono nadal będzie należało do pani. - Podniósł wzrok i powiedział łagodnie: - Naturalnie nie można decyzji w takiej sprawie podjąć od razu. Bez wątpienia będzie pani chciała poradzić się siostry.

- Panie doktorze, od razu mogę panu powiedzieć, co bym chciała zrobić - oświadczyła Judy. Jej dziecko przecież nie jest rupieciem, żeby się go pozbyć, ani też niechcianym pieskiem czy kotkiem do oddania w dobre ręce. Jej dziecko leży tu zwinięte pod jej sercem. Już ma nosek i usteczka, i malusieńkie paluszki. Ciało i krew z jej ciała i krwi. Tego nie mogłaby dać nikomu, tak jakby to była paczka na kontuarze w urzędzie pocztowym.

Nie rozumując logicznie, ale mając już rozwinięty instynkt macierzyński, Judy usłyszała, że mówi.

- Zatrzymam moje dziecko. Chciałabym znaleźć mu przybranych rodziców na czas, dopóki nie dorosnę do tego, żeby miało u mnie własny dom.

- No, to trzeba dobrze przemyśleć - powiedział doktor Geneste. - Możemy o tym porozmawiać, kiedy przyjdzie pani do mnie następnym razem.

Później poszły do cichej herbaciarni.

- Dlaczego mówisz, że z pieniędzmi nie będzie kłopotu? - zapytała Judy.

- Dlatego, że nie będzie. Pogadam dziś wieczorem z tamtymi. We trzy na pewno jakoś zbieramy dosyć na pokrycie kosztów wszystkiego.

Północ minęła. Białe koronkowe firanki w oknie niezupełnie były zasunięte. Przed tym srebrzystym prostokątem siedziały, szepcząc na łóżku Maxine, trzy ciemne postacie.

- Doktor Geneste powiedział, że opłaty w szpitalu wyniosą około tysiąca franków szwajcarskich. We trzy prawie na pewno możemy się na taką sumę złożyć. Powiedział, że za dziecko w przybranej rodzinie płaci się pięćset franków miesięcznie. To jest sześć tysięcy franków rocznie.

Maxine podsumowała tę sytuację finansową na palcach.

- Czyli od każdej z nas rocznie tysiąc pięćset franków szwajcarskich. Stać na to?

- To tylko dwa razy więcej niż za utrzymanie konia w stajni w Londynie -zauważyła Poganka. Wszystkie trzy się zastanowiły.

Do ciąży Judy odnosiły się z trwożnym respektem i ze zgrozą osób, które również mógł spotkać taki straszny los, były więc gotowe złożyć ofiarę dziękczynną. Poza tym ta sytuacja wydawała im się poniekąd szkolną eskapadą z przygodowej powieści dla dorastających panienek, desperacką, ale nie amoralną. One, przyjaciółki, niezłomnie będą stać przy Judy. Jeszcze nigdy nie musiały się zmierzyć z sytuacją rzeczywiście poważną, toteż ochoczo idealizując chciały się przyczynić do utrzymania dziecka.

- Muszę wymyślić jakieś olbrzymie kłamstwo - dumiała Kate. Wszystkie trzy kłamały i tylko mówienie kłamstw sobie nawzajem uważały za grzech. -Na pewno, jeżeli to będzie blaga z prawdziwego zdarzenia, wyciągnę od ojca pieniądze. Sęk w tym, że mógłby być za bardzo wścibski.

- Ciocia Hortense obiecała mi płacić pensję na ubranie, kiedy wrócę do Paryża - powiedziała Maxine. - To nie będzie dużo, ale dostaję też pensję od papy. Jestem pewna, że jako zaoszczędzę trzydzieści franków szwajcarskich tygodniowo.

Po dość długim arytmetycznym debatowaniu Kate napisała do ojca z prośbą o pieniądze ma Fundusz Klubu Sportowego Gstaad. Jako Miss Gstaad ona chce, żeby to był wkład naprawdę wspaniały.

Odwrotną pocztą przyszedł list od ojca Kate. Ojciec poprosił dyrektora

o wypłacenie jej czterystu funtów i jest uszczęśliwiony tym, że jego córeczka tak wybitnie wyróżnia się w życiu szwajcarskiego miasta.

Tego samego dnia wieczorem Poganka z tupotem po drewnianych schodach wbiegła do sypialni i triumfalnie rzuciła na łóżko Kate plik banknotów.

- Moja wpłata! Trzy tysiące sześćset franków. Maxine zagapiła się na banknoty.

- Ależ twoja mama hojna!

- Och, jej nie prosiłam! Od niej bym nie dostała ani jednego sou. Nie, zaniósłam moje perły do Cartiera... zawsze nie cierpiałam tych cholernych pereł! Na każde urodziny następne dwie na sznurek... U Cartiera nie chcieli ich kupić... oni tylko odkupują swoją biżuterię... ale byli szalenie uprzejmi i taki mały facet w binoklach zabrał mnie do innego jubilera. Ten jubiler zaproponował najpierw dwa tysiące, ale binoklarz podbił cenę aż tak! - Wskazała radośnie pieniądze na łóżku. - Oprócz pereł jedyna rzecz, jaką miałam do sprzedania, to sygnet dziadka, a sprzedać go byłoby mi bardzo przykro, więc cieszę się, że nie musiałam.

Same te dwie sumy wystarczały na pierwsze dwa lata. Pozostawało mnóstwo czasu, żeby kombinować, skąd wziąć pieniądze na później.

Maxine mogła dać tylko trzysta franków szwajcarskich gotówką ze swoich tygodniówek. Nie udało jej się wydusić od rodziny ani grosza więcej, ale poprosiła papę o przedłużenie jej pobytu w L'Hirondelle, bo chce zdać egzamin i uzyskać Francuski Dyplom Handlowy jesienią. I tak już uczyła się na tych kursach prowadzonych w ślimaczym tempie ze względu na dziewczęta słabo znające język francuski, wiedziała więc, że przed egzaminem nie musi się napracować. A dzięki temu zostanie w Gstaad do Bożego Narodzenia i będzie opiekować się Judy.

Następna wizyta Judy u ginekologa była spokojna i uspokajająca. Nic nie jest rzeczywiście ważne z wyjątkiem narodzin i śmierci, a w tym małym gabinecie lekarskim myślało się z nadzieją i radośnie tylko o narodzinach. Problemy takie jak pieniądze i niebezpieczeństwo wydawały się dalekie i nierealne. Tutaj znaczenie miało tylko to, by nic nie niepokoilo matek i ich dzieci.

Gdy Judy przyszła po raz trzeci, doktor Geneste już otrzymał list od siostry panny Post. Ta pani uznała, że doktor Geneste dobrze postępuje z jej siostrą, Emily. Ona sama niedawno wyszła za mąż i na razie nie chce wziąć cudzego dziecka, ale Emily może liczyć na pomoc jej i jej męża, kiedy wróci do Stanów Zjednoczonych.

- Nie bardzo umie pisać listy, ale wiedziałam, że mogę na niej polegać - powiedziała Judy.

To rodzice przysłali jej list doktora Geneste. Natychmiast napisała do matki i podziękowała za przekazanie tego listu - rachunku dentysty przez pomyłkę wysłanego na jej adres w Stanach Zjednoczonych zamiast do hotelu w Gstaad. Natychmiast „siostra”

odpisała doktorowi Geneste, przy czym zaadresowała kopertę do monsieur Geneste, nie do doktora. Ten list Judy wysłała do koleżanki w Rossville, prosząc ją o przesłanie go do Szwajcarii i tłumacząc, że to do chłopca, któremu dała kosza - niech myśli, że już wróciła do Stanów.

W czasie jej czwartej wizyty doktor Geneste powiedział, że słyszał o kobiecie nadającej się na przybraną matkę. Dalej w dolinie, we wsi Chateau d'Oex jest szpital, gdzie pracuje jako konsultant. Jedna z salowych, młoda wdowa z małym dzieckiem, zgłosiła się na mamkę. Szpital gorąco ją poleca -kobieta spokojna i rzetelna. Czy panna Post chce ją odwiedzić?

W następną sobotę Maxine i Judy wsiadły do niebieskiego małego autobusu i pojechały w głąb doliny. To była wąska dolina z nisko położonymi łąkami i kilkoma kępami domków wokół szarego kościoła ozdobionego bardzo cienką wieżyczką. Wszystkie krowy teraz w połowie lata pasły się na pastwiskach górskich. Autobus mijał łąki upstrzone kwiatami pod niebem tego samego koloru, co niezapominajki na poboczu.

Judy od miesięcy była nieszczęśliwa. Spokój sphywał na nią tylko w gabinecie doktora. Ale raptem poczuła radość, zadowolenie, gdy autobus podskakiwał na wybojach wiejskiej drogi. Ukradkiem dotknęła twardego zaokrąglenia pod płaszczem. Po raz pierwszy zapragnęła, żeby ono się powiększyło.

Angelina Dassin czekała przy fontannie na brukowanym kocimi łbami wioskowym placu. Młoda kobieta o ciemnych włosach upiętych z tyłu głowy w kok, o twarzy dosyć pociągłej, bardzo rumianej, typowej w tym rejonie. Trzymała na ręku poważne, czarnookie niemowlę, chłopczyka, którego przesunęła sobie na lewe biodro, żeby się z Judy i Maxine przywitać.

Poprowadziła je przez wieś do ciemnego drewnianego domku z dachem jak rybia łuska. Już знаła sytuację i żal jej było tej opuszczonej, młodziutkiej blondyneczki. Gdy poszła do kuchni po świeże mleko, Maxine i Judy siedziały w skąpo umeblowanej bawialni i podziwiałały malowniczy widok doliny i gór pod przyłbicami śniegu.

Obie uznały, że ta sielska sceneria jest doskonała. Nastrój w domku panował pogodny, chłopczyk był miły, ruchliwy. Madame Dassin wydawała się akurat taka, jak szpital ją rekomendował. Więc zostało uzgodnione, że Judy zamieszka w tym domku po zwolnieniu się z pracy na dwa tygodnie przed porodem. Po porodzie będzie wypoczywać u madame Dassin przez miesiąc, karmiąc swoje dziecko piersią. Obie, Judy i Maxine, z

powagą podkreślały, że Judy je zabierze, gdy będzie starsze i warunki jej pozwolą. Madame Dassin potakiwała.

Maxine dorzuciła, że Judy za radą doktora Geneste nie chce, by dziecku mówiono coś o niej, poza tym, że kiedyś matka przyjedzie i zabierze je do jego prawdziwego domu. W żadnym razie nie można dziecka okłamywać, że madame Dassin jest jego rodzoną matką.

Angelina Dassin przyznała, że to słuszne.

- Jak dziecku będzie na imię? - zapytała.

Zgarbiona w wytartym fotelu, Judy popatrzyła za okno na poszarpaną linię alpejskiego nieba i powiedziała:

- Jeżeli to dziewczynka, Elizabeth po mojej mamie. Jeżeli to chłopiec, nazwę go Nicholas.

Maxine się nie zdziwiła.

Pod koniec września Judy miała brzuch ogromny. Jej sytuacja stała się jasna dla hotelowego personelu, który współczująco nie mówił nic. Judy chodziła teraz sztywno wyprostowana, dziwnie się kołysząc i odchylając do tyłu i nieraz budziła się w nocy, bo dziecko kopało. Leżała wtedy w księżycowej poświacie i myślała, że to cudowne uczucie, kiedy jej dziecko tańczy pod jej sercem.

Siódmego października, na dwa tygodnie przed przewidzianą datą porodu, Judy pożegnała się z personelem hotelu Imperial i autobusem pojechała do Chateau d'Oex obładowana prezentami. Dostała piękny biały szal z szydełkowej koronki i dwa pudła wyprawki niemowlęcej od Maxine, Poganki i Kate, butelkę Kumrnel, słoje brzoskwiń zamarynowanych w brandy i wspaniałą wędzoną szynkę od szefa hotelowej kuchni. Trzynastego października Judy obudziła się o piątej rano.

- Ooch! - Z trudem złapała oddech. Nie, to nie kopie dziecko, to ból w krzyżu.

Usiadła w łóżku z dreszczykiem podniecenia, jak gdyby już czegoś dokonała. Nie mogła się doczekać chwili, kiedy będzie mogła powiedzieć Angelinie. Wstała ciężko z łóżka, otuliła się tym białym koronkowym szalem i przeszła do saloniku. Siedziała tam rozmyślając, skręcając na środkowych palcach dwa jednakowe pierścionki z koralami, prezent od Nicka przed jego wyjazdem ze Szwajcarii.

- Wiem, że nie przyjmiesz ode mnie pierścionka na ten palec, na który chciałbym ci go włożyć - powiedział Nick, gdy siedzieli wśród jaskrów rosnących w wilgoci na brzegu rzeki - ale chcę ci dać właśnie pierścionek, bo pierścionek wiąże się z przyrzeczeniem, a ja ci przyrzekam, że zawsze będę cię kochał. - Wsunął koralowy pąk róży na środkowy palec jej prawej ręki. Potem ujął ją za lewą rękę.

- Chwileczkę - powiedziała mu. - Co ten drugi pierścionek przyrzeka?

- Że zawsze będę gotów ci pomóc. - Ucałował czubek tego jej palca i wsunął drugi pierścionek. - Zawsze możesz liczyć na mnie.

Nagle Angelina wbiegła do saloniku i skarciła Judy.

- Jazda w powrotem do łóżka! Chcesz się zaziębić i zaziębić dziecko?! - Miała przecież swój interes w tym porodzie.

Ruchy w brzuchu powtarzały się nieregularnie przez cały dzień. Wezwały doktora Geneste, spokojnego i uspokajającego.

- Jeszcze nic się nie dzieje - powiedział doktor.

W dwadzieścia cztery godziny później Judy zaczęła mieć wyraźne, silne bóle porodowe.

O ósmej wieczorem przerwa między skurczami skróciła się do pół godziny, więc Angelina uznała, że czas odprowadzić ją do szpitala. Rogera zostawiły z sąsiadką i dwoma czerwonymi lizakami i poszły główną ulicą wsi przed łukowaty ratusz, skąd dalej zabrał je autobus.

W szpitalu od razu wszystko dla Judy przestało być romantyczne. Angelinie nie pozwolono być przy niej - musiała czekać w poczekalni. Judy się rozebrała; wzięła kąpiel i po lewatywie zrobionej przez niezyczliwą położną została zaprowadzona do małego pokoiku, gdzie znalazła się na anonimowym szpitalnym łóżku twardym jak żelazo, dosyć podobnym do jej starego łóżka w hotelu Imperial.

Nikt przy niej nie siedział. Co pół godziny wpadała ta położna i pochylając się badała ją.

- Hmm, jeszcze nie czas - mówiła za każdym razem.

o godzinie jedenastej powiedziała:

- Hmmm... rozwarcie na dwa cale.

Wtedy skurcze już powtarzały się co pięć do dwóch minut. To była męka.

- Nie ma co robić szumu. Jeszcze będzie gorzej - uprzedziła pielęgniarka. Judy czuła dziwne rozdrażnienie i mdłości. Marzła, trzęsła się, miała kurcz

w lewej łydce. Ból w krzyżu stał się okrutny, ogarniał ją coraz większy niepokój i strach. Chciała położyć temu wszystkiemu kres. Kwadrans przed północą zaalarmowano doktora Geneste. Kwadrans po północy przewieziono Judy do sali porodowej. Podparto ją górą poduszek w pozycji na pół siedzącej i nakryto kocem. Stopy miała zsunięte poduszki, kolana rozsunęte, zwisłe. Już była zmęczona i wstrząśnięta. Okazywało się to bolesne o wiele bardziej, niż przypuszczała.

Znów zeszywniała, wygięła się, ale tym razem inaczej - zaczęło się jakieś wicie pod nakazem takim, jak owo bezwiedne uczucie wypierania, które zapowiada nieuniknione wymioty. Czuła, że coś w niej musi być gwałtownie, natychmiast wyrzucone na zewnątrz. I przyłączyła się do tego potrzeba najpierw słaba, potem coraz bardziej nagła - żeby przeć. Mięśnie brzucha pracowały szarpliwie jak nie naoliwiona czy też długo nie używana maszyna.

Jeszcze jeden skurcz targnął nią, aż się wygięła. Umysł już nie kontrolował ciała. Jej sapanie coraz głośniejsze przeszło w krzyki. Zjawiała się druga położna. Ta trzymała ją za rękę, dodając otuchy i ocierała jej strugi potu z czoła.

Judy zaczęła skomleć, znów nie panowała nad ciałem. Dlaczego nikt jej nie wytłumaczył? Dlaczego jej nie uprzedzili?

I rozdarł ją jeszcze jeden straszliwy ból.

- Nie przyj - rozkazująco powiedziała gniewna położna. - Nie przyj!

- Ale ja chcę. Nie mogę nie przeć. Moje mięśnie prą, to nie do powstrzymania, nie mogę przestać. Nie mogę tego opanować! Boję się.

- Szyjka niezupełnie rozszerzona, rozwarcie jeszcze nie ma czterech cali, nie wolno przeć, bo może się uszkodzić główka dziecka. Nie przyj!

- Daj gaz - lakonicznie powiedziała druga położna pochylając się, żeby zbadać Judy.

Pierwsza przytoczyła wózek z przytwierdzonymi butlami gazu i położyła Judy na nosie gumową maskę.

- Kiedy ból zrobi się niemożliwy, wdychaj, ale jak najmniej. Judy wciągnęła wielki łapczywy oddech.

Później znów usłyszała głos położnej.

- Staraj się dalej ściągać mięśnie, byle nie za mocno. - Wydawało się, że ta kobieta mówi z drugiego końca tunelu wyściełanego watą. - Dobrze, już masz rozwarcie na cztery cale. Możesz przecić, ale tylko w czasie skurczów; w przerwach staraj się odprężyć. Nie! Ręce podnieś z brzucha, nie naciskaj. Musisz pozwolić, żeby krocze rozciąło się samo, inaczej popękasz.

Teraz Judy była bardzo zmęczona i miała wrażenie, że ktoś przypala jej pochwę rozżarzonym pogrzebaczem. Nie mogła dłużej wytrzymać tego przysmażania. Pierwsza pielęgniarka szepnęła do drugiej:

- Już czas, żeby doktor przyszedł. Myślę, że dziecko wyjdzie lada chwila. Nagle Judy, podnosząc wzrok, zobaczyła głowę doktora Geneste. Oczy nad

maską chirurgiczną miał przymrużone z wyczerpania. Właśnie odszedł od czwartego tej nocy porodu, a przecież nie jadł od wczorajszego śniadania. Judy nie powstrzymała krzyku, znów wrywającego jej się z ust, ale poczuła niejaką ulgę. Przybył jej przyjaciel.

- Teraz musisz być dzielna, bo twoje dziecko zaraz tu będzie - powiedział kojąco - i zaraz będziesz mateczką. My jesteśmy przy tobie, żeby ci pomóc -dodał, gdy wstrząsnął nią jeszcze jeden skurcz.

Znów wciągnęła gaz i wszystko zafalowało miłosiernie. Powieki jej się zacisnęły, z twarzy ściekał pot, włosy lepiły się mokre od potu. Za powiekami widziała mgłę bólu. Słyszała szepty doktora i położnych, stojących przed jej rozdzieranym ciałem. Boże kochany, nigdy, nigdy nie myślałam, że to będzie takie straszne.

- Powoli, powoli. Proszę, staraj się nie urodzić. Dziecko nie może przyjść za prędko. Usiłowała się opanować.

- To może ostatni skurcz. - Ktoś muskał jej czoło tamponem, ktoś trzymał ją za rękę. - Dysz znowu, teraz wolno odetchnij, proszę, znowu dysz.

Czerwona i zielona mgła czerniała, jeszcze raz rozłupał Judy smażący ból, gdy doktor szybko się pochylił, żeby obrócić i wyciągnąć główkę dziecka. Oboje się podsunęli, doktor i położna pochłonięci swoim zadaniem, gdy maleńki ciemny czubek główki był coraz większy, aż wysliznęła się pomarszczona szkarłatna twarzyczka. Nastąpiła chwila przerwy. Judy usłyszała, że ma znów lekko przecić, i w gumowe rękawiczki na rękach doktora wypadły ramionka. I już zaraz doskonale kształtne dziecko wymknęło się z ciała Judy. Z kwileniem mała Elizabeth przyszła na świat.

Rozdział sześćdziesiąty trzeci

w komfortowo wyciszonym hotelowym apartamencie od strony Central Parku Lili już z mniejszą urazą patrzyła na te cztery kobiety. Słuchając relacji Poganki o wydarzeniach związanych z jej narodzinami, nie mogła nie złagodnieć. Zaczynała rozumieć, co się wydarzyło przed trzydziestu prawie laty tym czterem dziewczynom, więc uraza topniała.

Naprzeciw niej Poganka, wytworna w różowej welnie, wyciągnęła się na skos morelowej kanapy. Judy siedziała na brzegu tej kanapy, niespokojna kobietka w brązowym aksamicie. U boku Lili na drugiej morelowej kanapie siedziała wyprostowana i czujna Kate w kostiumie fraise. Naprzeciw nich zajmowała kwadratowy beżowy fotel Maxine, przebierając palcami swój kołnierzyk z niebieskiego jedwabiu.

Lili właśnie wystrzeliła drugi pocisk - następne z pytań, na które odpowiedzi wyczekiwała przez całe dotychczasowe życie.

- W takim razie, kto jest moim ojcem?

Od razu trzy głowy odwróciły się. Trzy pary oczu skierowały się na Judy. Więc to prawda, pomyślała Lili, ona jest rzeczywiście vraie maman. Ona jest moją matką, to jest ta!

Judy nigdy dotąd nie rozumowała tak błyskawicznie. Jeszcze nie doszła do siebie po wstrząsie odkrycia, że jej długo oplakiwana córka nadal żyje i że ta maleńka dziewczynka przeobraziła się w efektowną Lili-Tygrysicę. To jej prawie odjęło mowę i pozbawiło ją pewności uczuć. Ponadto widziała wszystkie zdjęcia starannie dokumentowanego romansu Lili i Abdullaha. Nie zamierzając i nie chcąc, Judy jednak nie mogła nie zwracać uwagi na to, co w gazetach pisze się o Abdullahu, nie mogła nie interesować się wszystkim, cokolwiek czytała o Sydonii i o Arabach. Po prostu nie mogła zapomnieć kogoś, kto tak drastycznie zmienił bieg jej życia, kto spowodował, że tyle przecierpiała fizycznie i psychicznie. Przecież to było kazirodztwo!

To słowo huknęło jej w głowie, aż się zdumiała, że one go nie słyszą. Nie sposób oddalić pytania Lili. Ale jak, na Boga, można Lili powiedzieć, kim jest jej ojciec?

Od kilku minut Judy знаła sekret osobowości Lili. To zapalczywe, porywcze, zmienne usposobienie, ta dumna buntowniczość najwyraźniej są odziedziczone po ojcu.

I tak samo siła napędowa Lili. Pomimo swojej przeszłości Lili odniosła zdumiewający sukces w oczach świata. Jest niewątpliwie przebojową damą. Jej

wrodzone zdolności aktorskie zostały, acz niechętnie, uznane przez krytyków i w ciągu ubiegłych trzech lat stale się doskonaliła. Pracowała ciężko, odrzucała zyskowe okazale role i przyjmowała tylko te, które mogły jej wyrobić reputację poważnej aktorki.

Gdybym powiedziała prawdę - zastanowiła się Judy - jak odbiłoby się na niej i na jej karierze to, że jest nieślubną córką króla, który zgwałcił jej matkę? I jakąż zgrozą przejęłaby Lili myśl, czym rzeczywiście była więź jeszcze nie tak dawno łącząca ją z ojcem! Jakie spustoszenie psychiczne poczyniłaby w niej świadomość tego! Na pewno nie jest prawdopodobne, by Lili zbyła to wzruszeniem ramion, uznając te przykre rewelacje za jeszcze jeden mały kaprys losu.

W czasie błyskawicznych rozważań Judy kręciła na palcu lewej ręki pierścionek z koralowym pękiem róży. Nick mówił, że ona zawsze może liczyć na niego, bo on jej zawsze pomoże.

W lot Judy podjęła decyzję. Jej historia musi brzmieć przekonująco - i romantycznie.

Wyprostowała się na kanapie, rzuciła okiem na przyjaciółki i wolno, starannie powiedziała:

- Twój ojciec nazywał się Nicholas Cliffe, kochaliśmy się serdecznie. W istocie przy pewnej okazji... bardzo serdecznie. To się stało w noc Świętego Walentego. Nick chciał, żebyśmy się pobrali przed jego służbą wojskową, ale nie mogliśmy, bo ja miałam dopiero piętnaście lat, to by było niezgodne z prawem, więc musieliśmy czekać. Kiedy okazało się, że jestem w ciąży, Nick był w wojsku na Malajach, a potem, zaraz po twoim urodzeniu, poległ. - Urwała i westchnęła wspominając Nicka. - Ale ja go nigdy nie zapomnę - oświadczyła z mocą.

Lili nagle wyglądała na bliską płaczu ze szczęścia. Tak, dała się nabrać. Pochylając się ochotczo ku Judy powiedziała ujmująco:

- Przez całe życie czekałam na tę chwilę. Często ją sobie wyobrażałam, a teraz nadeszła i jest dla mnie zupełną niespodzianką.

W scenie spotkania, którą sobie wyobrażała, zawsze rzucała się w objęcia vraie maman. Teraz wstała powoli i niepewnie podeszła o krok bliżej Judy. Nie takiej matki się spodziewała, niemniej matkę znalazła. I ku swemu zdumieniu, już jej serce wezbrało ciepłem. Ta matka nosiła ją w sobie przez dziewięć miesięcy, wydała ją na świat, a potem ją utrzymywała. Właściwie przez siedem lat utrzymywały ją te wszystkie cztery kobiety, a

to nie zawsze było dla nich łatwe. Wyczuwała ich wzajemną pomocną serdeczność, bliskość, niewidzialną więź między nimi. Zdawało się nawet, że porozumiewają się bez słów, samym tylko wyrazem twarzy czy spojrzeniem.

Lili jednak nie wiedziała, jak szybkie i gwałtowne są przelatujące między nimi sygnały, gdy z wahaniem, robiąc jeszcze jeden krok w stronę Judy, wyznała:

- Wiesz, wprost nie mogę uwierzyć, że to prawda.

Tamte trzy ledwie spojrzały na Judy, pojęły, że Judy kłamie. Lili nie zobaczyła niedowierzania, zdziwienia i niewiary w ich oczach, bo patrzyła na Judy. Ale Judy zobaczyła. Wstrzymała oddech, siłą woli nakazując im milczenie. Czy Poganka i Kate wiedzą? Czy może odgadują? Czy żadna z nich nic nie powie? Po co, do diabła, powiedziałam, że w noc Świętego Walentego? Po to, żeby ta historia była dla Lili romantyczna, urocza i bardziej możliwa do przyjęcia niż szpetna, brutalna prawda. Lili trzeba chronić, myślała Judy, spode łba patrząc na Maxine, Pogankę i Kate, która usta miała otwarte i w zielonych oczach absolutną niewiarę.

Kate przypomniała sobie bal Świętego Walentego, tamtą noc, gdy była w pokoju Nicka i tuliła się do niego na skrzypiącym łóżku. Uznała wtedy, że nie ma powodu czuć się winna, bo Judy przecież Nicka nie chce. Pomimo to wołała, by Judy nie wiedziała o tym, że ona i Nick mieli... no, rzeczywiście nie mieli... Chociaż starała się, głaskała delikatnie, całowała pełna czułości, Nick po prostu nie mógł. Zakłopotanie nie pozwalało im mówić o tym, ale fakt pozostawał faktem. Niemożliwość.

Również niemożliwe, żeby Judy spędziła tamtą noc z Nickiem, skoro Kate była w jego łóżku. Więc dlaczego Judy teraz kłamie? Dlaczego podaje tę właśnie datę? Może Judy spała z Nickiem którejs z następnych nocy?

Raczej nie. Chociaż Nick nigdy potem nawet nie pocałował Kate, chociaż wyraźnie czuł się winny wobec Judy i wiarołomny i chociaż oboje nigdy nie wspominali o tamtym incydencie, Kate stała się jego powiernicą. Zwierzał się jej ze swoich pragnień i nadziei, których Judy, bardziej rozsądna, nie chciała traktować poważnie.

Kate nie miała pojęcia, kto był kochankiem Judy, ale wiedziała na pewno, że to nie był Nick.

Maxine też szeroko otworzyła oczy, zdumiona tą informacją Judy. Judy kłamie, ale dlaczego kłamie w sprawie tak ważnej. Maxine pamiętała tamto letnie popołudnie w pokoju dzieciennym w Chateau de Chazalle, gdy matka Nicka wyraźnie powiedziała, że

Nick, który w dzieciństwie chorował na świnkę z komplikacjami, nie mógłby nigdy mieć dzieci.

Och, nie, z całą pewnością to nie Nick, pomyślała Maxine. Jednakże nie dałaby poznać Judy, że nie wierzy w tę historyjkę. Ostatecznie, Judy była jej przyjaciółką ponad ćwierć stulecia i zorganizowała dla niej reklamę w Stanach Zjednoczonych. Wiem, że Judy skłamała, ale nie będę tak nietaktowna i głupia, by to okazać, zdecydowała Maxine.

Również wiedziała, że nie zdoła polubić Lili. Nie zdoła zapomnieć tamtej okropnej sceny w oranżerii z ukochanym synem. Ale ze względu na Judy postanowiła, że nigdy nikomu nie zdradzi, co myśli o Lili naprawdę. Tak więc fałszywa po zęby odwróciła się i uśmiechnęła do córki Judy.

- Ma chere - powiedziała - odnalazłaś nie tylko matkę, ale całą rodzinę. Jesteśmy, oczywiście, zaskoczone. Ale też jesteśmy bardzo, bardzo szczęśliwe, że znów ciebie mamy.

Lili tak samo była zaskoczona. Zrobiło jej się tak cudownie w pełni tego szczęścia. Zdumiewające, w ciągu dwudziestu minut stało się coś, co nawet w jej marzeniach nie mogłoby się stać w ciągu dwudziestu lat. Pojęła głęboką prawdę słów Maxine i poczuła się przynależna do tych serdecznie, mocno ze sobą związanych czterech kobiet. Jeszcze dwadzieścia minut temu nie miała matki, a teraz jak nigdy dotąd w całym swoim życiu miała cztery prawdziwe przyjaciółki. Judy czuła się wypompowana. Ostatnia doba przyniosła dramatyczne zmiany w jej życiu. Wciąż jeszcze trudno jej było pojąć, że opłakiwane dziecko żyje, że ona rzeczywiście ma córkę. Od lat los sprzyjał Judy, dając jej sukcesy, sławę, pieniądze i miłość, ale aż do dzisiaj brakowało tego, na co większość kobiet ma nadzieję i czego doprawdy od życia oczekuje - brakowało męża i dziecka. I oto teraz nagle puste miejsce się zapełnia. Griffin jest wolny i chce się z nią ożenić - a to właśnie było dla niej ważne. Jednak ku swemu zdumieniu Judy słyszała jakiś cichy głos w głębi świadomości. „Co zyskasz wychodząc za Griffina? Griffin konsekwentnie oszukiwał swoją żonę. Pomiń przyczyny, pamiętaj fakt: przez lata całe Griffin żył w układzie oszukiwania żony. I wszystko jedno, czy czuł się w potrzasku, czy był znudzony, urażony czy też uważał, że czegoś mu brak, nabrał zwyczaju oszukiwania żony. Po co więc ryzykować przechodząc na pozycję żony Griffina? Nie lepiej, żeby tak pozostało, jak jest w tym obecnym związku od dawna niezachwianym jak skała?”

Jeszcze wczoraj Judy może by się rzuciła na możliwość zawarcia małżeństwa dającego miłość i oparcie przecież podkreślone tradycyjnym prawem społecznym. Ale dzisiaj... niespodziewanie... Judy nagle odkryła, że jest w jej życiu mocniejsza więź: odzyskała swoje dziecko.

Wstała z twarzą jeszcze napiętą i ruszyła do córki już z uśmiechem.

- Ale... ale - palnęła Poganka - to niemożliwe, niemożliwe...

Urwała w połowie zdania widząc zdumienie Lili i furię w niebieskich oczach Judy. Przypomniała sobie oczy Nicka mające kolor akwamaryny, odwróciła głowę i spojrzała prosto w skośne, wielkie oczy Lili, aksamitnie brązowe.

I zabrzmiało Pogance w uszach to, co powiedział jej mąż przed wielu laty, gdy dowiedziała się, że jest w ciąży. Mówiła wtedy Christopherowi, że chce mieć córeczkę o wielkich, piwnych oczach. „No - powiedział Christopher takiej nie będziesz miała, kochanie”. I wyjaśnił jej, że kolor oczu dziecka zależy od grupy genów rodziców. Dwoje ludzi niebieskookich nie może mieć dziecka piwnookiego. Był tego niezbitnie pewny.

Poganka znów odwróciła się, spojrzała w szafirowe oczy Judy, po czym przeniosła wzrok na Lili. Dlaczego, na Boga, Judy kłamie? Jakaż może być przyczyna?

Milczała tylko przez dwie sekundy, gdy te wszystkie myśli krążyły jej w głowie, ale Maxine już się wyprostowała raptownie.

- Czy grzech czy łzy - powiedziała ostro. - Pamiętaj Poganko.

- Ale... ale... - Poganka się zająknęła pojmując, że jest to upomnienie, że musi popierać Judy teraz i zawsze. Co ja mówiłam, do diabła? Och, tak.

Promiennie uśmiechnęła się do Lili i dokończyła z wielkim staraniem:

- Niemożliwe, żeby którakolwiek z nas nie pamiętała twojego ojca, Lili. I przynajmniej to było prawdą

Koniec Tomu Pierwszego